

The background features a large, stylized face-like shape in the center, composed of concentric circles in shades of orange and purple. The face has a small purple dot for a nose and a dark blue shape for a mouth. The overall design is abstract and artistic, with a textured, hand-drawn appearance.

MICHAEL
CHABON

TELEGRAPH AVENUE

Michael Chabon

TELEGRAPH AVENUE

przełożył Krzysztof Majer



Tytuł oryginału: *Telegraph Avenue*
Copyright © 2012 by Michael Chabon
Copyright © for the Polish edition by Grupa Wydawnicza Foksal, MMXX
Copyright © for the Polish translation by Krzysztof Majer, MMXX
Wydanie I
Warszawa MMXX

Niniejszy produkt objęty jest ochroną prawa autorskiego. Uzyskany dostęp upoważnia wyłącznie do prywatnego użytku osobę, która wykupiła prawo dostępu. Wydawca informuje, że wszelkie udostępnianie osobom trzecim, nieokreślonym adresatom lub w jakikolwiek inny sposób upowszechnianie, upublicznianie, kopiowanie oraz przetwarzanie w technikach cyfrowych lub podobnych – jest nielegalne i podlega właściwym sankcjom.

Spis treści

Dedykacja

Motto

I. Śmietankowa Fantazja

II. Świątynia Winyłu

III. Ptaszysko o szerokich horyzontach

IV. Powrót do wieczności

V. Brokeland

Podziękowania

Od tłumacza

Przypisy

Od opuszczenia igły aż po ostatni rowek – dla Ayelet

Mówcie mi Ishmael

– prawdopodobnie Ishmael Reed

I. Śmietankowa Fantazja

Biały chłopak stał obiema nogami na deskorolce, jedną ręką trzymając się ramienia czarnego chłopaka, który pedałowal na ostrokołowcu. Ciemny sierpniowy poranek, samo serce Flatlands. Syk opon, ziarnisty szurgot kólek po asfalcie. Rozgrzane latem Berkeley pachniało jak starsza pani: dziewięć odmian jaśminu z domieszką kocura.

Czarny chłopak uniósł się na siodełku i puścił kierownicę, a biały rozczepił wagoniki ich niewielkiego pociągu. Krzyżując ramiona, czarny chłopak chwycił brzeg koszulki i zadarł ją do góry, tak że zasłoniła oczy. Nie było mu spieszno, żeby się z niej uwolnić, gdy tak sunęli ku następnej kałuży światel przygasających latarni. Być może zaraz miał ściągnąć koszulkę do końca i zatknąć ją w tylną kieszeń spodni, by powiewała jak chorągiew, a wtedy biały chłopak odepchnąłby się mocno nogą i wyciągnął dłoń, by znów poczuć pod nią iskrzenie nagiej brązowej skóry. Na razie dzieciak na deskorolce wciąż jechał z rozpędu, podążając za oślepionym śmiałkiem.

Zażywny, zwalisty, zjarany nieco Archy Stallings, z czymś niemowlectwem na rękę, pełnił wartę przy frontowym kontuarze Brokeland Records¹, odziany w marynarkę z jasnobrązowego sztruksu włożoną na jaskrawodyniovny golf, który podkreślał jego wyraźne, niekoniecznie niekorzystne podobieństwo do Gamery, latającego żółwia mutanta z japońskich filmów. Dzieciaka musiał zatknąć pod lewą pachę, gdyż prawą ręką przerzucał zawartość ósmej z piętnastu skrzynek, stanowiących spuściznę pana Benezry: tak jak Archy, skrzynka numer osiem preferowała solidnie doprawione jazzowe kąski z tłuszczutkim funkiem. Electric Byrd (Blue Note, 1970). Johnny Hammond. Pierwsze dwa solowe albumy Melvina Sparksa. Charles Kynard, Wa-Tu-Wa-Zui (Prestige, 1971). Spisując to wszystko, Archy wsłuchiwał się, czasem z przymkniętymi

oczami, w kwadrofoniczny mincik Fingers Airto Moreiry (CTI, 1972), rozbrzmiewający teraz na wiernym sklepowym quadaptorze. Ten śliczniutki gadżet wyłowił z kubła na śmieci Nat Jaffe, a naprawił go sam Archy, niegdyś elektryk wojskowy, specjalista od śmigłowców, mogący się poszczycić bodaj (dawno już nie chciało mu się sprawdzać) trzydziestoma siedmioma procentami licencjatu z elektrotechniki na Uniwersytecie Stanowym w San Francisco.

Jak katalogować jedną ręką: wyciągnij album ze skrzynki, wyjmij z koperty papierową koszulkę i wsuń w nią palce. Kelnerskim ruchem samych opuszek oswobodź płytę, dotykając tylko nalepki. Obróć pod kątem, by na krążek padało wlewające się przez szybę stonowane poranne światło East Bay, przenikliwe, choć łaskawe, zawsze gotowe wyznać ci prawdę o stanie płyty. (Chociaż Nat Jaffe uparcie twierdził, że to nie kwestia światła, tylko okna, tej solidnej szyby z pittsburskiego szkła, która przez sześćdziesiąt kilka lat, kiedy w obecnej siedzibie Brokeland Records mieścił się zakład fryzjerski U Spencera, uodporniła się na wszelką ściemę).

Przymknąwszy oczy, Archy zaczął się kołysać: przyjemny ciężar niemowlaka w ramionach, zapach tłuszczu znad basowych pasaży Ringo Thielmanna i wspomnienie oczu Elsabet Getachew, obciążającej mu wczoraj pośród etiopskich woni w boksie restauracji Królowa Saby. Parabola jej górnej wargi i czubeczek języka wygrywający addis abebę, jakby jego fiut był struną E. Rozkołysany, nakręcony Archy delektował się tym sobotnim porankiem, nim okoliczne buciory naniósł złych wieści; teraz jeszcze wydawało się, że można tak spędzić cały dzień, całą wieczność.

– Biedny Bob Benezra – rzekł do niemowlaka. – Nie znałem gościa, ale żał mi go. Tyle świetnych płyt! I dlatego właśnie jestem ateistą, wiesz, Rolando? Jak tak patrzę na te wszystkie zacne winyle, z którymi biedak musiał się rozstać. – Bobas nie był przecież za mały, żeby się dowiedzieć, jak sprawy stoją, poznać nagą prawdę o życiu i śmierci. – No bo co to za niebo, jak nie można mieć płyt?

Niemowlak, być może pojmując, że pytanie jest retoryczne, nawet nie próbował odpowiedzieć.

Nat Jaffe przyszedł do pracy w okropnym nastroju, co zdarzało mu się jakieś pięć razy na jedenaście lub też (nie bądźmy drobiazgowi) jakieś cztery na dziewięć. Uwięziony w fatalnym humorze jak w hełmie kosmonauty, Nat nie umiał stwierdzić, czy atmosfera nadaje się do życia, ani ustalić, na ile starczy mu powietrza. Odciągnął rygiel, aż klucze brzęknęły o drzwi; on też do dyspozycji miał tylko prawą rękę, a to z uwagi na skrzynkę płyt, którą ścisnął koślawo pod drugą pachą. Wtargnął do środka jak szarżujący byk, mrużąc pod nosem; mrużąc nieoczywistą progresję z dość świeżego przeboju, który poza tym był totalnie drętwy; mrużąc treść pełnego wzburzenia listu, który mógłby posłać flejtuchowatemu właścicielowi salonu kosmetycznego dwie przecznice dalej albo naczelnemu „Oakland Tribune” (wzburzenie Nata było częstym gościem tamtejszego działu listów); mrużąc zaczątki teorii o związkach bossa novy z nouvelle vague; mrużąc nawet wtedy, gdy z jego ust nie dobywał się żaden dźwięk, nawet gdy spał, bo gdzieś w kościach Nathaniela Jaffego tkwiła struna, która nigdy nie przestawała wibrować.

Zatrzasnął drzwi, zaryglował od środka, odstawił skrzynkę na kontuar i zawiesił kapelusz z antracytowo-czarnego filcu w szare prążki na jednym z dziewięciu dwuramiennych stalowych haczyków, również pamiętających czasy salonu fryzjerskiego U Spencera. Przeczesał palcami ciemne włosy, poskręcane jeszcze bardziej niż u Archy’ego, rzednące przy zakolach. Obrócił się, poprawiając krawat, po luzacku szeroki, czarny w srebrne plamki, i odnotował stan skrzynki numer osiem. Pokręcił przy tym kilkakrotnie głową, jak gdyby w strzelaniu kośćmi i rozluźnianiu mięśni upatrywał nadziei na wolność od tego, co kazało mu bezustannie mrużać.

Nat przeszedł na zaplecze i zniknął za zasłoną z koralików, na której jego syn Julie pieczołowicie wymalował Milesa Davisa w charakterze meksykańskiego świętego. Na pierwszym planie widniało fraszobliwe serce świętego Milesa, oplątane cierniami jak drutem kolczastym. Podobieństwo z pewnością nie było idealne, Archy widział tu raczej Mookiego Wilsona, ale namalować czyjś portret na tysiącu centymetrowych koralików to nie jest prosta sprawa i mało kto prócz Juliusa Jaffego w ogóle rozważałby taki

wyczyn, o podjęciu się go nawet nie wspominając. Chwilę później Archy usłyszał szum splukiwanej wody w toalecie, wściekły atak kaszlu i oto ojciec Juliego wychynął z zaplecza, gotów na kolejny dzień w ogniu walki.

– Czyj ten dzieciak? – spytał.

– Jaki dzieciak? – odparł Archy.

Nat odryglował drzwi frontowe i przekreślił tabliczkę, informując świat, że Brokeland Records już jest OTWARTE. Kolejny raz pokręcił głową, chwilę jeszcze pomruczał, ponownie odkaszlnął, a potem zwrócił się do swojego współnika, niemal promieniując złą wolą:

– Mamy totalnie przejebane.

– Statystycznie rzecz biorąc, istnieje spore prawdopodobieństwo – odparł Archy. – A w tym konkretnym przypadku?

– Gadałem z Singletarym.

Trzy numery dalej w górę ulicy właściciel ich posesji, pan Garnet Singletary, Król Lansu, handlował wszelkim złotem: nakładkami na zęby, pierścieniami, łańcuchami. Należała do niego cała przecznica, a do tego kilkanaście nieruchomości rozsianych po West Oakland. Komercyjnych, lokalowych. Singletary, wieloryb informacji, gdy tylko trasa jego wędrówek wiodła przez tę okolicę, chłonał wszelkie plotki, filtrując je przez swój niestrudzony fiszbin i odcedzając wszystko, co pożywne. Chociaż w Brokeland Records nie wydał ani dolara, nie węszył nawet po pojemnikach z tanioczą, był stałym bywalcem sklepu, zaglądając co parę dni po to tylko, żeby ocenić sytuację, oszacować proporcje prawdy i gównoprawdy w lokalnych wodach.

– Taaa – podjął Archy. – I co takiego Singletary miał do powiedzenia?

– Że mamy przejebane. Serio, o co chodzi z tym dzieciakiem?

Archy spojrział na Rolanda Englisha, tego debiutanta o słodkiej mordce i klejących się do skroni jasnobrązowych kędziorkach, wciśniętego w błękitne śpioszki i opatulonego w żółty kocyk z bawełny. Archy uniósł nieco Rolanda i z brzuszka dzieciaka dobiegł natychmiast miły chłupot. Matka chłopczyka, Aisha English, była córką Króla Lansu. Archy zaoferował się, że tego ranka popilnuje małego, kupi, co trzeba, i tak dalej. Spodziewali się z żoną pierwszego dziecka i skonfrontowany z nieuchronnością ojcostwa

Archy uznał, że nie od rzeczy byłoby trochę poćwiczyć przed pierwszym październikiem, czyli prawdopodobną datą porodu, i w ten sposób złagodzić być może wstrząs związany z tym, że w wieku lat trzydziestu sześciu zostanie praktykującym ojcem. Dlatego wybrali się z Rolandem na wycieczkę do pobliskiego Walgreensa i w tak piękny sierpniowy poranek Archy'emu zupełnie nie przeszkadzało, że idą pieszo. Trzydzieści z powierzonych mu przez Aishę dolarów przepuścił na pieluchy, nawilżane chusteczki, mleko dla niemowląt, butelki i paczkę smoczków Nuk (Aisha dała mu listę), a potem usiedli sobie razem z Rolandem na ławce przystanku autobusowego przed Walgreensem, zmienili cuchnącą pieluchę i nieco podjedli, przy czym Archy opędzłował torebkę wypieków z Federacji Pączków, a Rolando English musiał się zadowolić seteczką początkowego gerbera.

– To jest Rolando – powiedział Archy. – Pożyczyłem go sobie od Aishy English. Na razie niewiele umie robić, ale straszny z niego słodziak. Ale, ale, Nat, z twoich wcześniejszych wypowiedzi wnoszę, że mamy w jakiś sposób przejebane?

– Napatoczył się Singletary.

– I powiedział ci co i jak.

Nat obrócił wtaszczoną przez siebie skrzynkę płyt, jakieś trzydzieści pięć czy czterdzieści krążków w pojemniku po bananach Chiquita, i zaczął je niedbale przerzucać. Archy'emu wydawało się najpierw, że to okazy z własnej kolekcji Nata, które postanowił sprzedać, albo winyle, które zabrał do domu, żeby im się lepiej przyjrzeć, ponieważ granic między prywatnymi zasobami właścicieli a sklepowym inwentarzem nie przestrzegano w Brokeland zbyt surowo. Ale teraz Archy zorientował się, że to wszystko „ochotnicy”. Album Juice Newton, jakieś słabe, późne Commodores, gwiazdkowa płyta Troskliwych Misiów. Chłam, spady z chodnika, gorzki osad jakiejś garażówki. Wspólników co rusz nawoływała jakaś osierocona płytoteka, ciśnięta przez los Bóg wie gdzie, śląc sygnał SOS, który tylko oni mogli usłyszeć. „Ten człowiek – powiedziała raz o mężu Aviva Roth-Jaffe – nawet z Antarktydy wróciłby ze skrzynką szelaków”. Teraz więc Nat przedzierał się z nadzieją przez morze beznadziei: każdy krążek był potencjalnie cudownym znaleziskiem, chociaż szanse na taki obrót spraw zmniejszyły się dziesięciokrotnie

wraz z każdym kolejnym dowodem na to, że w bezguściu ich byłego właściciela nie było nic przypadkowego.

– „Andy Gibb” – oznajmił Nat, nawet nie obciążając tych słów pogardą, opatrzywszy je zaledwie widmowym cudzysłowem, jak gdyby chodziło o znany pseudonim. Wyciągnął egzemplarz After Dark (RSO, 1980) i podsunął do inspekcji Rolandowi.

– Rolando, lubisz Andy’ego Gibba?

Rolando English miał chyba więcej tolerancji dla ostatniej płyty najmłodszego z braci Gibb.

– No dobra, rzeczywiście straszny słodziak – powiedział Nat takim tonem, jakby nie miał zamiaru ugiąć się już ani odrobinę bardziej, chociaż Archy nie przypominał sobie, żeby o coś się spierali. – Daj go tu.

Archy przekazał niemowlaka Natowi i dopiero wtedy poczuł skurcz w ramieniu. Nat wziął dzieciaka pod pachy i podniósł go tak, że patrzyli sobie w oczy. Rolando English całkiem nieźle radził sobie z trzymaniem prosto główki, odwzajemniając spojrzenie Nata i roztracając aurę wyrozumiałości dla wszystkich, nieważne, czy to Andy Gibb, Nat Jaffe, czy jeszcze ktoś inny. Gdy tak się sobie przyglądali, mruczenie Nata przeszło w coś cichszego, bliższego kołysanki. Sympatycznie się trzymało małego Rolanda, który miał słuszną wagę, był zaspany, zwarty, coś jak kilka zrolowanych par skarpetek wepchniętych do jednej wielkiej skarpety, i zupełnie nie przypominał tych niemowląt, które się czasem widywało, anemicznych jak trzepocące skrzydłami kurczaki.

– Też miałem kiedyś takiego – wspomniał Nat tonem nieco elegijnym.

– Pamiętam – odparł Archy.

Mniej więcej wtedy się poznali. Zespół Nata złapał fuchę na weselu w klubie stowarzyszenia Naturfreunde przy Joaquin Miller Road, ale basista nie mógł się stawić, więc Archy, świeżo upieczony weteran wojny w Zatoce, wszedł za niego w ostatniej chwili. Dziś Mały Julius miał już piętnaście lat i – przynajmniej z punktu widzenia Archy’ego – był z niego taki sam słodki świrus jak zawsze. Wsłuchany w tajemne harmonie, pisał wiersze po klingońsku, a na paznokciach malował czachy z Miasteczka Halloween. Do przedszkola chadzał w trykocie i tutu, a popołudniami włączał sobie

stare programy Barbry Streisand. Już w wieku trzech, czterech lat wykazywał skłonność do perorowania, zupełnie jak ojciec. Opowiadał ludziom, że fasolka po bretońsku wcale nie pochodzi z Bretanii, a ryba po grecku nie ma nic wspólnego z Grecją. Tak samo jak stary czepiał się szczegółów. Ostatnio jednak zajmował się chyba głównie nadawaniem w jakimś sekretnym kodzie nastolatków, który rozszyfrować umieli tylko rodzice, a którego celem było doprowadzenie ich do czystego szaleństwa.

– Niemowlaki są ekstra – stwierdził Nat. – Umieją się całować jak Eskimosi. – Nat i Rolando zademonstrowali tę sprawność, trąc nosem o nos. Niemowlak wisiał w powietrzu, cierpliwie znosząc całą akcję. – Nie no, Rolando jest w porządku.

– Też mi się tak wydawało.

– Nieźle trzyma główkę.

– Prawda? – przyznał Archy.

– I dlatego zwą go Tęga Główka. Cio? Cio? No przecież. Tęga główka. Chciałoby się go zjeść.

– Skoro tak mówisz. Sam dość rzadko jadam niemowlaki.

Nat przyjrzał się Archy'emu tak jak ten przed chwilą stronie A egzemplarza Kulu Sé Mama (Impulse!, 1967) z kolekcji świętej pamięci Boba Benezry: szukając powodów, by obniżyć rangę krążka.

– Czyli co, ćwiczysz? O to chodziło?

– Właśnie o to.

– I jak ci idzie?

Archy wzruszył ramionami, otulając się aurą skromnego bohaterstwa, niczym ktoś, kogo pytają, jak, na Boga, udało mu się uratować setkę sierot z płonącego samolotu, który leciał prosto na asteroidę. Odgrywając tę scenę przed Natem, Archy czuł (tak samo wyraźnie jak ból w lewym ramieniu, przybierający kształt niemowlaka), że jego gotowość i zdolność do tego, by zaopiekować się Rolandem Englishem przez godzinę, dzień czy nawet tydzień, niewiele mają wspólnego ze zdolnością czy też gotowością do bycia ojcem spodziewanego dziecka, które w mrocznym laboratorium macicy jego małżonki wciąż jeszcze usprawniało swój układ oddechowy i hormonalny.

Podcieranie pupki, wyciskanie przez smoczek mleka Carnation, zbieranie ściereczką tego, co się ułało – przecież były to tylko

zadania i procedury, serie konkretnych kroków, jak to w życiu. Należało wywiązać się ze swoich powinności, wytrzymać, co się dłuży, przetrwać, co nuży. Zaprząc umysł do rozkminy fikuśnego metrum w *On the Corner* (Columbia, 1972) albo któregoś z bardziej zagadkowych passusów z *Rozmyślań* (Archy właśnie czytał Marka Aureliusza po raz dziewięćdziesiąty trzeci), jedną ręką przerzucić pudło intrygujących płyt i zanim się człowiek zorientuje, już jest pora drzemki małego, mamusia wraca do domu i znów można się zająć swoimi sprawami. Trochę jak w wojsku: bądź ostrożny, rozsądek przechowaj w chłodnym i suchym miejscu i czekaj, aż będzie po wszystkim. Tylko że oczywiście (nagle zdał sobie z tego sprawę, gdy dopadła go panika, która od kilku miesięcy mizdrzyła się do niego, zwłaszcza o trzeciej nad ranem, kiedy budziło go nerwowe wiercenie się ciężarnej żony – panika, którą ten trening z Rolandem Englishem powinien był złagodzić, lecz, jak widać, stało się inaczej) już nigdy nie miało być po wszystkim. Ojcostwu już nigdy miało nie być końca, niezależnie od tego, gdzie przechowało się rozsądek i ile kroków instrukcji wykonało się zgodnie z planem. Nawet po śmierci. Żywy czy martwy, na miejscu czy o tysiące kilometrów stąd, już na zawsze pozostanie w sidłach czegoś, co nie jest ani procedurą, ani seria kroków, lecz wymaga niepodzielnej, nieustannej uwagi, nawet jeśli w danej chwili nie trzeba nic robić ani mówić. Jego ojciec odszedł od matki, porzucając Archy'ego, gdy ten był niewiele starszy od Rolanda Englisha, i choć przez parę lat, kiedy jego gwiazda na krótko rozbłysła, Luther Stallings jeszcze się u nich pojawiał, płacił alimenty na czas, zabierał Archy'ego na mecze Oakland Athletics, do parku Marriott's Great America i tak dalej, to Archy'emu zawsze wydawało się, że stary Luther jest mu winien jeszcze coś – coś, co nigdy się nie urzeczywistniło, nawet kiedy ojciec był tuż obok. Ojcowski obowiązek wykraczał poza finanse, cielesność i czas, wymagał też obecności niefizycznej, całkowicie niemierzalnej: ciągłej, wiecznej i nienamacalnej, niczym powinność grawitacji wobec gwiazd.

– No – powiedział Nat, a napięta struna gdzieś w głębi jego jestestwa na sekundę się poluzowała. – Niemowlaki są słodkie. A potem dorastają, przestają się myć i walą konia w skarpety.

Za szybą drzwi frontowych zamajaczył jakiś kształt i oto do sklepu wszedł pan S.S. Mirchandani. Wyglądał na zasmuconego. A człowiek ten miał twarz do smutku wręcz stworzoną: obwisłe powieki i policzki, do tego bródkę w kolorze atramentu: istny kleks rozpaczy.

– Panowie – odezwał się, jak zawsze nadając swej wypowiedzi ton poprawny i nieco elegijny, jak gdyby na pamiątkę innej epoki, gdy panowały lepsze obyczaje. – Panowie, macie przejebane.

– Słyszę to któryś raz – odparł Archy. – Ale co się właściwie stało?

– Dogpile – powiedział pan Mirchandani.

– Dogpile, kurwa – zgodził się Nat i znów zaczął mrużyć pod nosem.

– Za miesiąc zaczynają budować.

– Za miesiąc? – zdziwił się Archy.

– W przyszłym miesiącu! Tak wieść niesie. Nasz wspólny przyjaciel, pan Singletary, dowiedział się tego od babci pana Gibsona Goode’a.

– Gibson Goode, kurwa – podsumował Nat.

Pół roku wcześniej, podczas konferencji prasowej, gdzie wystąpił u boku burmistrza, Gibson „G Bad” Goode, niegdyś najlepszy rozgrywający Pittsburgh Steelers, prezes i przewodniczący zarządu Dogpile Recordings, Dogpile Films, dyrektor Goode Foundation i piąty najbogatszy Afroamerykanin, przyleciał do Oakland dostosowanym do jego potrzeb czarno-czerwonym sterowcem, aż buzując od planów, by na Telegraph Avenue, na opuszczonym od dawna terenie marketu Golden State, dwie przecznice na południe od Brokeland Records, otworzyć drugą galerię Thang². W skład oaklandzkiego Thangu, większego jeszcze od gigantycznego poprzednika w Fox Hills pod Culver City, miał wchodzić multipleks z dziesięcioma salami, strefa restauracyjna, salon gier wideo i pasaż handlowy z dwudziestoma sklepami, z sercem w postaci ogromnego salonu multimedialnego Dogpile, z jednym piętrem na muzykę, jednym na wideo i jednym na „inne” (przede wszystkim książki). Tak jak w Culver City, flagowy Thang w Oakland miał oferować spory wybór popularnych mediów, ze szczególnym naciskiem na kulturę afroamerykańską, w całym (jak to ujął Goode podczas konferencji prasowej) jej bogactwie. Na brak środków Goode nie

narzekał, a jego imperialne zapędy wiązały się ściśle z ambicjami społecznymi; nie chodziło o to, by na Thangu zarabiać, tylko by wskrzesić komercyjne serce czarnej okolicy, zarżnięte w złotej erze kalifornijskich autostrad. Prócz kompaktów w superatrakcyjnych cenach spodziewać się można było (o czym nie zająknięto się na konferencji prasowej, lecz na co wskazywał model biznesowy Thangu w Los Angeles) szerokiej oferty towarów używanych i rzadkich, takich jak winyle z jazzem, funkiem, bluesem i soulem.

– Nie ma pozwolenia i tak dalej – zauważył Archy. – Mój ziom Chan Flowers rzuca mu różne kłody pod nogi. Oddziaływanie na środowisko, analizy ruchu i takie tam.

Właściciel i dyrektor domu pogrzebowego Flowers i Synowie, mieszczącego się na Telegraph Avenue, a dokładniej naprzeciwko terenu potencjalnej galerii Dogpile, reprezentował też ich okręg w radzie miasta Oakland. W przeciwieństwie do Singletary'ego radny Chandler B. Flowers kolekcjonował winyle i przepuszczał na nie mnóstwo forsy, a wspólnicy z Brokeland Records, nie do końca rozumiejąc powody jego zdeklarowanego sprzeciwu wobec planów Dogpile, uczepili się kurczowo związanej z tym sprzeciwem nadziei.

– Najwyraźniej panu radnemu się odwidziało – stwierdził S.S. Mirchandani, bezbłędnie naśladowując ton Jamesa Masona: łobuzerski, znużony, „tylko nie wermut”.

– Ha – zdziwił się Archy.

W całym West Oakland nikt nie miał takich jaj jak Chandler Flowers, więc jeśli panu radnemu faktycznie się odwidziało, to nie dlatego, że ktoś go zastraszył.

– No nie wiem, panie Mirchandani. Wybory idą – powiedział w końcu Archy. – A ziom ledwo się prześliznął przez prawybory. Może chce swoich rozruszać, dać im lekkiego kopa. Żeby się ludziska trochę ocknęli. A lansik z Gibsonem Goode'em nie zaszkodzi.

– Niewątpliwie – powiedział pan Mirchandani, choć jego oczy mówiły „akurat”. – Na pewno istnieje jakieś całkiem niewinne wyjaśnienie.

Dano w łapę, sugerował. Posmarowano. Z tym że dla kogoś, kto jak pan Mirchandani wciąż sprowadzał z Pendżabu kolejnych krewnych, by ślali łóżka w jego motelach i myli auta na jego

stacjach benzynowych, i nie podpadł przy tym władzom ani po jednej, ani po drugiej stronie, taki tok rozumowania był naturalny. Archy jednak nie bardzo umiał sobie wyobrazić, by Flowers, ów nieustępliwy, niezmiennie poprawny człowiek o łagodnym głosie, tutejszy bohater od czasów Lionela Wilsona³, mógł przyjmować łapówki od pajacującego eksfutbolisty. Z drugiej strony Archy swój ultrakrytyczny stosunek do stanu winyli nadrabiał pobłażliwością dla ludzkich przywar.

– Ale i tak już po sprawie, co? – spytał. – Ci z banku zdrefili. Goode stracił sponsora czy coś?

– Nie do końca rozumiem futbol amerykański – stwierdził S.S. Mirchandani. – Jednak o ile wiem, Gibson Goode zasłynął manewrem znanym jako opcja rozgrywającego.

– Bieg z piłką – podchwycił Nat. – Przez jakiś czas właściwie nie było na niego mocnych.

Archy znów przejął niemowlaka od Nata.

– To był śliski skurwysynek, ten G Bad – przyznał.

Pan Nostalgia, lat czterdzieści cztery, z wąsami morsa, w okularach retro i hawajskiej XXL-ce (palmy, wysokie trawy, dzieciółki z deskami surfingowymi), stał za wynajętym za pięćset dolarów pstrokatym stołem wystawcy, pod dwuipółmetrowym winylowym transparentem DZIELNICA PANA NOSTALGII po przeciwnej stronie korytarza z polerowanego betonu i o trzy stoliki od podpisujących, żuł żelkową rybkę i oczom swym, kurwa, nie wierzył.

– E! – krzyknął, gdy grupka osiłków przechodziła obok jego stołu: dwóch białych oprychów z ochrony w niebieskich blezerach z poliestru i jakiś czarnoskóry wielkolud, przyboczny mięśniak Gibsona Goode'a, z łapami o takim obwodzie, że z największym trudem mieściły się w rękawkach czarnego podkoszulka. – Trochę szacunku!

– Bez kitu – zgodził się facet, którego właśnie wyprowadzano z sali, a kiedy byli już całkiem blisko, Pan Nostalgia pozbył się wszelkich wątpliwości.

To był on. Może i trzydzieści lat starszy, czterdzieści watów słabszy, dziesięć kilo lżejszy, ale jednak on. W przymałym czerwonym dresie, z którego wystawały kostki i nadgarstki. Nad odkrywającym dół pleców obszyciem nadruk z żółtym logo: para uniesionych pięści, a wokół nich napis INSTYTUT IM. BRUCE'A LEE, OAKLAND, KALIFORNIA. Facet był wysmukły, szeroki w barach, szedł tym samym doskonale sprężystym krokiem. Miał w sobie jakąś godność, co Pana Nostalgę wzruszyło i niemal przekonało. Wszyscy się na niego gapili, cała ta banda brzuchatych, łysiejących facetów o owłosionych plecach, ziemistej cerze i sercach, w których wiatr martwe liście porywa. Podnosili wzrok znad koszy wypełnionych starymi numerami „Inside Sports”, znad oprawionych w ramki ręczników Pittsburgh Steelers z tabliczkami z brązu wyjaśniającymi, że flamastrowy gryzmoł na żółtym frotte to podpis Rocky'ego Bleiera albo Lynna Swanna. Unosili głowy znad stołów i porozkładanych tam kart kolekcjonerskich z wizerunkami idoli ich młodszych lat (Pete'a Maravicha, Robina Younta, Bobby'ego Orra), znad anulowanych czeków na nieistniejące od lat rachunki Teda Williama czy Joego Namatha, znad nieodpakowanych z celofanu paczek kart bejsbolowych Topps z 1971 z nietkniętymi jak pamięć czarnymi obwódkami, i tych koszykarskich, Fler, z 1986 (w każdej mógł kryć się Jordan, wtedy jeszcze debiutant). Wodzili wzrokiem za tym siwym, postawnym czarnym facetem, którego kojarzyli jak przez mgłę, bo to była twarz z czasów ich młodości, i patrzyli, jak ochrona wywała go z budynku. „To ten typ z kolejki do autografów. Co gadał z Gibsonem Goode'em i się potem zaczął stawiać. To jest ten, no, jak mu tam...”. A trzeba było biedakowi przyznać, że z całej tej awantury wychodził z twarzą. Twarzą (bo to był on, bez dwóch zdań) z dołeczkiem w brodzie jak u Kirka Douglasa. Oczy, bardzo jasne, też były te same. No i ręce, Chryste, te ręce: jak dwa wyrwane z korzeniami drzewa.

– Mają panowie niezwykle szczęście – krzyknął Pan Nostalgia, kiedy przedfilowali obok jego stolika. – Ten człowiek, gdyby tylko zechciał, mógłby was zabić jednym palcem.

– No i fajnie – odparł młodszy z osiłków, z łbem wygolonym jak jądro pornogwiazdora. – Tylko niech najpierw kupi bilet.

Pan Nostalgia nie był z tych, co się awanturują. Lubił palić zioło na receptę, oglądać programy o drugiej wojnie, podjadać żelkowe rybki i słuchać Grateful Dead, w dowolnej kombinacji. To prawda, że z władzami było mu niezupełnie po drodze: ojciec przeżył dwa obozy, matka nieraz maszerowała na Waszyngton, a sam Pan Nostalgia nie był w stanie utrzymać żadnej posady, na której musiałby przed kimś odpowiadać. I choć w obwodzie był z niego wielki facet, wzrostu mierzył zaledwie metr siedemdziesiąt, i to w skórzanych sandałach, nie można też było powiedzieć, by był w świetnej formie. Opanował właściwie jeden chwyt, który w hipotetycznym stylu kung-fu musiałby się chyba nazywać „zwijka stonogi”. Pan Nostalgia stronił od spięć, kłótni, knajpianych burd i ostatecznych konfrontacji, zarówno na arenie światowej, jak i na własnym poletku. Od przemocy się odżegnywał, chyba że chodziło o rok 1944, wszystko było czarno-białe i działo się w telewizji. Jako kupiec z renomą i wieloletnim stażem odpalił organizatorom Wystawy Kart Kolekcjonerskich i Sportowych w East Bay okrągłą sumkę, z której część poszła na ochronę i spokój ducha, zapewniane (przynajmniej w teorii) przez osiłeków w niebieskich blezerach. A spokój ducha, powiedzmy to sobie szczerze, to coś więcej niż piękny zwrot: to przecież szczytny cel, ambicja religii, obietnica ubezpieczycieli. Jednak Pan Nostalgia, jak to później tłumaczył żonie (która prędkiej zjadłaby miskę purée z ebolą, niż towarzyszyła mu na kolejnej karcianej wystawie), był do głębi oburzony tym, jak szorstko ochrona obeszła się z bohaterem jego młodych lat, i to tylko dlatego, że niczym jakiś ninja zdołał wśliznąć się do Centrum Kongresowego im. Henry’ego Kaisera bez biletu. Tego sobotniego poranka Pan Nostalgia zaskoczył więc samego siebie.

Wychynął zza wałów obronnych swego stoiska, obłożonego jak szwedzki stół w Las Vegas smakowitymi kąskami z gatunku niesportowych, które od dawna stanowiły jego specjalność, jak na przykład komplet kart z Bobbym Shermanem w serialu *We dwójkę* z 1971 roku, łącznie z rarytasowym numerem 54. Pan Nostalgia sunął statecznie, jak miał w zwyczaju. (Gdy kiedyś tak sunął w jednej ze swych kwiecistych koszul, komuś niezyczliwemu zdarzyło się spytać, czy tym od Parady Róż w Pasadenie nie zginęła przypadkiem ruchoma platforma).

– Chwila! – krzyknął za wyprowadzającymi intruza ochroniarzami. – Ja mu kupię bilet.

Goryl Gibsona Goode'a zerknął przez ramię, jak gdyby chciał się upewnić, że nie wdepnął w psie gówno. Żaden z osiłków w niebieskich blezerach się nie zatrzymał.

– Ej! Co jest! – wołał Pan Nostalgia. – Ludzie! Nie róbcie sobie jaj. Przecież to Luther Stallings!

I to właśnie Stallings zatrzymał się pierwszy, zaparł się w miejscu, wyrwał oprychom i odwrócił ku swemu wybawcy. Ów znajomy, czarujący uśmiech – szczerbaty, szerniały od prochów, od usług więziennego dentysty, a może po prostu od takiej nędzy, przez którą człowiek miga się nawet od tych ośmiu dolców za wstęp – sprawił, że Pana Nostalgę aż zakłuło pod mostkiem.

– Dzięki, stary – powiedział Stallings. Ostentacyjnie, żeby zawstydzić karków. – Mój drogi przyjaciel...

Pan Nostalgia usłużnie podsunął mu swoje nazwisko, długie, żydowskie i komiczne, przywodzące na myśl markę sera albo chleba na zakwasie. Stallings powtórzył je nie dość, że bez zarzutu, to jeszcze bez śladu drwiny, którą najczęściej wzbudzało.

– Mój przyjaciel był tak miły – wyjaśnił Stallings, oswobadzając się z uchwytu oprychów z łatwością, z jaką magik zrzuca z ramion spięty łańcuchem kaftan bezpieczeństwa – że zdecydował się wyłożyć za mnie sumę na bilet. – Ostatnie słowa intonował nieco wyżej, niemal wieńcząc je znakiem zapytania. By się upewnić, że wszystko się zgadza.

– Ależ oczywiście – potwierdził Pan Nostalgia.

Przypomniało mu się, jak w sobotnie popołudnie przed trzydziestoma laty grzął w zatłuszczonym fotelu w kinie Carson Twin, z obolałym ze szczęścia sercem, oglądając wśród niemal wyłącznie czarnej publiczności film z niemal wyłącznie czarnoskórą obsadą, pod tytułem *Nocny spec*. Zachwycało go w nim dosłownie wszystko. Dziewczyna ze srebrnym afro. Walki wręcz. Funkowa muzyka w tle. Pościg, zielony saab sonett prujący ulicami, jak się okazało, kalifornijskiego Carson – tego samego, w którym mieściło się kino. Ekwipunek rabusiów, te wszystkie materiały wybuchowe. A przede wszystkim sam gwiazdor filmu, zwinny, opanowany i małomówny niczym Steve McQueen, tak samo gotowy wystawić

się na śmieszność, jednym słowem: czarujący. Do tego (w 1973 nikt tego faktu nie kwestionował) mistrz kung-fu.

– To dla mnie prawdziwy zaszczyt – dodał Pan Nostalgia.

Namierzywszy Pana Nostalgie, osiłki poczęły skanować wzrokiem zieloną plakietkę z dwudniową przepustką, dyndającą ze smyczy na jego szyi. Stępiełe japy utraciły nieco rezon, gdy ich właściciele próbowali sobie przypomnieć, czy tego typu sytuacje omawiano w oficjalnych wytycznych dla osiłków.

– Facet napastował pana Goode’a – stwierdził goryl tego ostatniego, wkraczając do akcji, by podbudować morale mięśniaków, po czym zwrócił się bezpośrednio do Pana Nostalgii: – Kupisz mu pan bilet, będzie dalej napastował.

– Napas-tooo-wał? – powtórzył z kompletnym niedowierzaniem Luther Stallings. Niewinny wszelkich czynów haniebnych, o jakie go kiedykolwiek oskarżono, a także tych, o które miano go kiedykolwiek oskarżyć. – Że niby jak go napastowałem? Chcę z kolesiem na dwa słowa, na pół minuty, czekam jak wszyscy w kolejce, żeby zasiąść u jego stóp. Niech da autograf i już mnie nie ma.

– Normalnie za autograf pana Goode’a należy się czterdzieści pięć dolarów – zauważył goryl. Mimo tuszy, wzrostu i ogólnej monstrualności głos miał delikatny i cierpliwy, właściwie płacono mu za to, by znosił namolnych głupców. Ściślej, miał utrzymywać wokół G Bada strefę wolną od głupców, ale tak, by jego pracodawca nie wyszedł przy tym na kompletnego kutasa. – I skąd na to weźmiesz, jak ci nawet ośmiu brakuje?

– Stary, ej – powiedział Stallings, jeszcze raz bezbłędnie recytując nazwisko, czemu znów towarzyszył ów bolesny (w każdym razie bolesny dla Pana Nostalgii) uśmiech, rzeźbiony w fiszbinie. Od czasów swej chwały człowiek ten musiał wyrabiać straszne rzeczy, by tak się uszczuplić i wydrążyć od środka (prócz tego, że się zwyczajnie zestarzał), lecz pamięć najwyraźniej pozostała nienaruszona. A może się już po prostu ogarnął.

– Mam nadzieję, to znaczy, eee, zastanawiam się – tym razem znak zapytania był znacznie wyraźniejszy – czy mógłbym cię prosić, byś mnie poratował?

Pan Nostalgia zrobił krok w tył. Po całych latach sprzeczek z cwaniakami, kombinatorami, sznorerami i szpeniami wszelkiej maści, którzy w świecie wystaw karcianych trafiali się równie często jak wołki zbożowe w mące, był to zwykły odruch. Do ceny biletu, który zaoferował się kupić w geście szacunku, musiałby dopłacić trzydzieści siedem dolarów, by sprezentować tamtemu – ze wszystkich rzeczy na kuli ziemskiej – akurat autograf Gibsona Goode’a. Pan Nostalgia zastanawiał się, czy jakikolwiek celebryta, choćby nawet dokumentnie zapomniany, gotów byłby stać w kolejce po płatny autograf innego celebryty. Czemu Stallings tak się upierał? I na czym G Bad miałby się niby podpisać? Nie wyglądało na to, by Stallings miał przy sobie któryś z przedmiotów tradycyjnie do tego celu używanych, takich jak książka, fotos, bluza, czy nawet program wystawy, serwetka, karteczka samoprzylepna. „Chcę z koleśm na dwa słowa”. Tylko po co? Sukces w swym fachu zawdzięczał Pan Nostalgia między innymi wyczuleniu na głodne kawałki serwowane przez rozmaitych spryciarzy i naciągaczy, a od słów Luthera Stallingsa włączyły mu się syreny alarmowe. Facet kombinował, chachmęcił. Właściwie już dał się na tym nakryć i byłoby po wszystkim, gdyby Pan Nostalgia nie poczuł ni stąd, ni zowąd, że musi opuścić stoiskowe pielesze i wsadzić nochal w nie swoje sprawy. Już słyszał, jak jego żona wydaje wyrok w tej sprawie, będący kolejną z niewyczerpanych wariacji na jedyny temat, który ją interesował, mianowicie: „Coś ty, do jasnej cholery, sobie wyobrażał?”. Nie na darmo jednak nazywano go Panem Nostalgia: to było coś więcej niż tytuł grzecznościowy czy nazwa handlowa, to było jego DNA. Pamiętając sobotnie popołudnie 1974 roku w kinie Carson Twin i serce obolałe ze szczęścia, postanowił uwierzyć w prawdę Luthera Stallingsa. Człowiekowi mogły się przecież marzyć rzeczy dużo dziwniejsze niż podpis rozgrywającego na strzępku taśmy z kasy fiskalnej czy na podartej papierowej torebce.

– Może uda mi się zrobić coś więcej – powiedział Pan Nostalgia.

Sięgnął do tylnej kieszeni dżinsowych szortów i wydobył poskładaną, przesiąkniętą potem brązową kopertę. W środku tkwiły jeszcze dwie plakietki na smyczach, do których miał prawo jako aktywny uczestnik. Wyłowił jedną i przecisnął się przez kordon osiłeków. Luther Stallings skłonił głowę, ukazując zaczątki łysiny à la

Nelson Mandela, a Pan Nostalgia zawiesił mu plaketkę na szyi: Czarnoksiężnik z Oz ośmielający Tchórzliwego Lwa.

– Pan Stallings pracuje dzisiaj u mnie – oświadczył.

– Właśnie – zawtórował mu bez zająknięcia Stallings, tonem nie tylko szczerym, ale i zniecierpliwionym, jak gdyby już od dawna wyczekiwał chwili, kiedy będzie mógł pomóc przy stoisku. Podczas całej ceremonii ledwie omiół wzrokiem napis na identyfikatorze, lecz teraz bez żadnego wahania oświadczył: – W Dzielnicy Pana Nostalgii.

– Pracuje? Czyli że co robi? – spytał starszy z dwóch osiłków.

– Podpisuje u mnie na stoisku – odparł Pan Nostalgia. – Mam dwa zestawy *Mistrzów kung-fu*, jeden pełny i jeden niepełny, bo brakuje Bruce'a Lee, i jeszcze kilka innych pozycji, które pan Stallings zgodził się podpisać. O, na przykład pocztówkę z *Czarnego detektywa*.

– *Mistrzów kung-fu*, tak jest – powtórzył Stallings, z największym trudem skrywając fakt, że nie ma bladego pojęcia, o czym mowa.

– Donruss z tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego czwartego roku. Bardzo trudno skompletować.

Cztery zbaraniałe facjaty błagały, by Pan Nostalgia je oświecił.

– Rany, ludzie – powiedział ten, rozkładając ręce i ogarniając gestem całą jazgotliwą przestrzeń wokół nich. – Karty kolekcjonerskie? Takie małe tekturowe kartoniki? Z plamami od gumy do żucia? Wkładasz między szprychy, to hurkocze, jakby się pomykało harleyem?

– O w mordę, serio? – Stallings jednak nie potrafił się powstrzymać. – *Mistrzowie kung-fu*. I mają tam Luthera Stallingsa?

– Naturalnie – odparł Pan Nostalgia.

– Luther Stallings. – Starszy z tych dwóch odziany w niebieskie blezery, z łbem jak donica w ciemnych strąkach i z trójkątnym rosyjskim (czy może polskim) podbródkiem, mniej więcej w wieku Pana Nostalgii, wymówił na próbę to nazwisko. Mrużąc jedno oko, jak gdyby miał tam zaraz wpasować jubilerską lupę. – Aha, okej. To był ten, jak mu tam... *Strutter*. I co, to niby ty?

– Moja pierwsza rola – odparł Stallings, chwytając się nieoczekiwanej sposobności, by się popuszyć. Był zachwycony. Jedna z jego dłoni, wielkich jak poroże, spoczęła nawet na ramieniu

Pana Nostalgii, by mu ten zachwyty zakomunikować. Był w swoim żywiole, a osiłków już wcielał do prawowitego oddziału: Partyzantów Luthera Stallingsa. – W rok po tym, jak zdobyłem tytuł.

– Jaki tytuł? W kung-fu?

– Wtedy jeszcze nie. W karate. Manila. Mistrz świata.

– Mistrz świata w srata tata – odparował goryl Goode'a. – To może i tak.

Stallings kompletnie zignorował wielkoluda. Pan Nostalgia, aż puchnąc z zadowolenia, przyjął tę samą strategię.

– Czy coś jeszcze możemy dla panów zrobić? – spytał Stallings tych od niebieskich blezerów.

Ochroniarze skonsultowali się z gorylem, który pokręcił głową, wyraźnie zde gustowany.

– Słuchaj no, Luther – powiedział. – Niech tylko zobaczę, że pstrykasz smarkiem gdzieś w *poblizu* pana Goode'a, to cię, chujku, dojadę. I nie będzie przebaczyć.

Facet obrócił się na pięcie i łaskawie odkuśtykał ku stołowi, za którym siedział jego pracodawca, ogolony na zero, w czarnej koszulce polo z czerwonym odciskiem łapy nadrukowanym zamiast krokodylka, zbrojny jedynie w srebrny marker DecoColor i bardzo drogi uśmiech, zmagając się z niesamowicie długą kolejką łowców autografów. Znoszone bluzy, ściachane piłki, karty, bejsbolówki: do wieczora miało się ich tu przewinąć jak nic z dziewięć–dziesięć tysięcy.

– Aha, spoko – odpowiedział Stallings, jak gdyby ostatnią rzeczą na świecie, która go obchodziła, był Gibson Goode.

Ruszył za Panem Nostalgia krokiem zdumiewająco zuchwałym, jakby przed chwilą sam wyratował się z opresji, udaremniając próbę wyrzucenia go z budynku. Ocenivszy trzeźwo całą sytuację, Pan Nostalgia zdał sobie sprawę, że powinno go to zdenerwować, ale z jakiegoś powodu teraz jeszcze bardziej Stallingsowi współczuł.

– Ło, ale bajer!

Stallings wodził wzrokiem po stole, odnotowując nietknięte paczki *Kapuścianych śmieciaków* i *Gorączki sobotniej nocy*, dziewicze pudełko kart Fleera do *Diuny*, gry planszowe *Daktari*, *Mój przyjaciel Ben* oraz *Mork i Mindy*, gadający budzik z Batmanem, modele statku

kosmicznego z *Krainy olbrzymów* i łodzi podwodnej z *Podróży w morskie głębiny*, w oryginalnej kurczliwej folii.

– Nawet do tego *Alfa* mają karty, co? – powiedział.

Ale w głosie Stallingsa i w minie, z jaką się wszystkiemu przyglądał, Pan Nostalgia wychwycił jakiś smutek, a nawet rozpacz. I nie był to nawet ten rodzaj pogardy, z jaką żona Pana Nostalgii nieodmiennie traktowała to, co dla jej męża było treścią życia, tylko coś bliższego rozczarowaniu.

– Przy najpopularniejszych serialach to był kiedyś standard – odparł Pan Nostalgia, zastanawiając się, kiedy Stallings zacznie sępić te czterdzieści pięć dolarów. – Ten akurat zestaw to nic szczególnego.

Choć Pan Nostalgia uwielbiał wystawiane na sprzedaż przedmioty, nie miał złudzeń co do ich faktycznej wartości. Warte były tylko tyle, ile klient gotów był za nie zapłacić; odpowiadały częsteczkę tego wszystkiego, co kiedykolwiek stracił i co, jak przypuszczał, przedmioty te mogły mu przywrócić. Jedynym miernikiem ich wartości było poczucie osobistego spełnienia i duchowej harmonii, mające przepełnić nabywcę, gdy już skreśli z listy ostatnią pozycję. A jednak Pan Nostalgia pierwszy raz widział, by jego karty niesportowe tak strasznie kogoś rozczarowały.

– *Alf*, taa, pamiętam – oświadczył Stallings. – No ładnie, ładnie. *Dzieciaki, kłopoty i my. Mork i Mindy*. Mhm. A *Mistrzowie kung-fu* gdzie?

Pan Nostalgia okrążył blat i sięgnął po koszyk, który rano, po rozłożeniu towaru, wepchnął pod stół. Grzebał w nim trochę i po jakiejś minucie wydobył niekompletny zestaw, bez Bruce'a Lee i Chucka Norrisa.

– W sumie są tu pięćdziesiąt dwie karty – powiedział. – A pan to chyba, niech pomyślę... dwunastka.

Stallings przeglądał karty. W obwódkach z wyrysowanego bambusa, opisane pseudochińskim liternictwem jak w menu z baru szybkiej obsługi, widniały podobizny dość swobodnej mieszanki prawdziwych i fikcyjnych praktyków (Takayuki Kubota, Shang-Chi) nie tylko sztuki walki wymienionej w tytule, ale i kilkunastu innych, w tym bartitsu (Sherlock Holmes) i savate (hrabia Pierre Baruzy). Wreszcie Stallings odszukał swoją kartę. Przyjrzał się obrazkowi

i niemal parsknął. Był to kiepski kolorowy fotos z któregoś z jego filmów. Młodego Luthera Stallingsa w czerwonym kimonie uchwycono tu w wyskoku, a właściwie w locie, niemal poziomym, z nogą wymierzoną w szereg chińskich szermierzy.

– Ja cię kręcę – powiedział Stallings. – Nawet nie pamiętam, z czego to.

– Proszę wziąć – odparł Pan Nostalgia. – Cały zestaw. To prezent ode mnie, w podzięcie za radość, jakiej w ciągu tych wszystkich lat dostarczyła mi pańska praca.

– Ile pan bierze za taki?

– Hm, jak już mówiłem, ten akurat dość trudno skompletować. Wystawiam za pięć stów, ale pewnie oddałbym i za trzy. Gdyby nie brakowało Bruce'a Lee i Chucka Norrisa, poszedłby może za siedem i pół.

– Chuck Norris? No tak, walczyłem z chujkiem. Trzy razy.

– Coś takiego!

– Tak mu skopałem dupsko, że aż latał po ścianach w tym całym Tajpej.

Pan Nostalgia uznał, że może to sobie później sprawdzić. Na wypadek, gdyby gdzieś pod stertą jesiennych liści tkwił jeszcze jakiś wciąż niepołamany kawałek serca.

– Niech pan weźmie, naprawdę – zachęcał Stallingsa. – Już jest pański.

– Ha, nie no, dzięki. Bardzo miło. Tylko że, hm, bez obrazy, ale ja już jestem taki, no wie pan, *przeciążony* tym całym szajsem z tamtych lat.

– Ach tak, w takim razie...

– Po prostu nie chciałbym już sobie dokładać.

– Całkowicie rozumiem.

– Człowiek musi być, tego, mobilny.

– Oczywiście.

– Mały bagaż. I jak coś, to wio.

– Racja.

– A ile... – spytał Luther Stallings, zniżając głos niemal do szeptu. Przełknął ślinę, po czym zaczął od nowa, tym razem głośniej. – A ile za samą moją kartę...

– Hm, hm – bąknął Pan Nostalgia, zdawszy sobie sprawę, że będzie musiał skłamać, lecz o mikrosekundę za późno, by zrobić to przekonująco. – Stówę. Tak z dziewięćdziesiąt–sto dolców.

– Pierdolisz pan!

– Tak z dziewięć dyszek spokojnie.

– Aha. To zrobimy tak. Pan mi da tę jedną kartę, Luthera Stallingsa w... hm, strzelę w ciemno, że w *Wejściu pantery*.

– Właśnie tak. – Pan Nostalgia czuł, że znów zaczynają się jakieś wkręty, że odżywa ściema, którą Luther Stallings próbował wcisnąć nie tylko jemu, ale z jakiegoś powodu również Goode’owi.

– I ja ją podpiszę, co nie? – powiedział Stallings. (Nadchodzi ściema, pomyślał Pan Nostalgia). – A pan mi za nią da czterdzieści pięć dolców.

– Dobra – zgodził się Pan Nostalgia, przepełniony naraz niewytłumaczalnym smutkiem. Przygniatała go słoniowych rozmiarów rozpacz, zagarniając jego, Stallingsa i wszystkich facetów kręcących się samotnie po tej sali, by myszkować w koszach pełnych spleśniałych i zakurzonych przedmiotów. W świetle wystaw karcianych Pan Nostalgia dostrzegał zawsze coś na kształt prawdziwego braterstwa, ligę odludków, których złączyła pogoń za minionym blaskiem utraconego świata. Teraz jednak wydało mu się, że to w najlepszym razie gruszki na wierzbie, a w najgorszym czysty fałsz. Przeszłości nie da się odzyskać, liga samotnych mężczyzn jest fikcją, a pogoń za minionym czasem – z góry skazaną na porażkę próbą wykiwania śmierci.

– Jak pan sobie życzy – powiedział Pan Nostalgia. Nie miał w zasadzie nic przeciwko temu, by cenę karty Stallingsa wywindować z pięciu dolarów do kwoty trzy- albo i czterokrotnie wyższej. Lecz kiedy podawał Stallingsowi platerowany złotem długopis Cross, który dostał od dziadków na bar micwę i którego lubił używać, zbierając autografy do własnej kolekcji, pomyślał z zalem, że trzeba było zostać za swoim stołem i pozwolić, by ochroniarze prowadzący Luthera Stallingsa minęli Dzielnicę Pana Nostalgii i wywlekli go w cholerę z Centrum Kaisera.

Przez następne pół godziny zerkał co jakiś czas na Stallingsa, który ustawił się na końcu kolejki po autograf Gibsona Goode’a, by dreptać do przodu za każdym razem, gdy kończono obsługiwać

kolejnego samotnika. Spojrzawszy tam znów podczas jednej ze swoich transakcji (pewien dentysta z Danville zapłacił pięćset pięćdziesiąt dolarów za kartę z gumy Wolverine z 1936 roku, *Walka z rekinem*), Pan Nostalgia zauważył, że Luther Stallings znów jest na czele kolejki. Goryl wstał z miejsca, ewidentnie gotów, by zgodnie z obietnicą zawiesić swe miłosierdzie, ale Gibson Goode, przygasiwszy uśmiech, oparł dłoń na kłacie osiłka i delikatnie go odepchnął, tak że olbrzym się wycofał, potrząsając wielgachnym łbem. Goode i Stallings zamienili kilka słów: cichych, opanowanych. Z tego, co Pan Nostalgia był w stanie wyczytać z ust i gestów, wyławiając tu i ówdzie słowo czy frazę, rozmowa sprowadzała się do tego, że Gibson Goode z bezbarwną uprzejmością raz po raz odmawiał, a Stallings coraz to nowszymi sposobami usiłował go do czegoś przekonać.

Cierpliwość stojących za Stallingsem miała swoje granice. Już krążyła pogłoska o tym, że zrobił wcześniej awanturę i że prawie usunięto go siłą. Słysząc było rozmaite stęki i kwęki. Ktoś wreszcie dał głośny upust zbiorowemu pragnieniu, by Stallings „się streszczał”.

Ten jednak ani drgnął.

– Ale pytałeś go? – mówił, podnosząc głos tak jak godzinę temu, gdy niebieskie blezery przyszły dowiedzieć się, czy nie zechciałby przypadkiem wypierdalać. – Pytałeś go... o Popcorna?

Teraz mówił na tyle głośno, by Pan Nostalgia i wszyscy dokoła słyszeli każde słowo.

– No to daję ci kolesia na tacy. Przyszpilonego. Bez ściemy.

Zniecierpliwienie, któremu już powszechnie dawano wyraz w kolejce, przerodziło się w otwartą drwinę. Stallings obrócił się i próbował tamtych uciszyć, łypiąc spode łba. Warknął na faceta w hawajskiej koszuli, który stał dwa miejsca dalej i który odkrzyknął mu teraz:

– Sam się pierdol!

Do kącika autografów, wywijając ramionami w agresywnym stylu dowolnym, napłynęły teraz dwa niebieskie blezery, Łyse Jajo i Rusek. Marszcząc facjaty, jakby od jakiegoś fetoru, obcesowo złapali Stallingsa pod pachy i wykręcili mu ręce do tyłu, przyginając je do kręgosłupa.

Nie minęły dwie sekundy, a Łyse Jajo i Rusek leżeli plecami do malowanej betonowej podłogi. Pan Nostalgia nie umiałby stwierdzić dokładnie, który zaliczył kopa w łeb, a który cios w bebechy, ani nawet czy Luther Stallings wykonał jakiś konkretny ruch. Gdy się tak zwalili na plecy, cała kolejka zafalowała, jak gdyby przebiegł ją dreszcz. Niepokój zapanował też w sąsiednich kolejkach, wśród ludzi czyhających na autograf Chrisa Mullina i Shawna Greena.

– Kurwo – powiedział Stallings, obracając się znów w stronę Goode’a, siedzącego wciąż na miejscu w swojej koszulce polo i mokasynach bez skarpetek. – Oddawaj moje dwadzieścia pięć patoli!

Niewykluczone (przypuszczał Pan Nostalgia), że Gibson Goode nie miał wyboru – musiał pozostać wierny swej legendzie i zachować zimną krew. Znów ta sama cierpliwa dłoń powstrzymała goryla, opierając się na jego klacie. Goode nie dał się zastraszyć. Nadal się uśmiechał. Wyciągnął portfel, otworzył go i błyskawicznie odliczył dziesięć banknotów. Przesunął je po blacie stołu. Wzburzony Luther Stallings przyglądał się im badawczo spode łba. Pieniądze leżały nietknięte, wzbudzając komentarze kolejkowiczów. Dziesięć duplikatów z niezwykle atrakcyjnej serii: *Martwi prezydenci*. Luther potrząsnął głową. Potem sięgnął po pieniądze i zgarnął je ze stołu. Pogodzony (od dawna pogodzony, zgadywał Pan Nostalgia) z robieniem rzeczy, których na pewno będzie żałował. Gdy tym razem minął stoisko Pana Nostalgii, bez najmniejszego podziękowania, nie odważył się podnieść czoła.

Dopiero znacznie później, kiedy głos z megafonu przeganiał maruderów z sali i nad kącikiem autografów pogasły światła, Pan Nostalgia zorientował się, że Luther Stallings przywłaszczył sobie jego złoty długopis.

W sobotnią sierpniową noc roku 1973 przed barem Kapka Miodu stał zielony krokodylowaty oldsmobile toronado '70 i po krokodylemu sobie warkotał, szczerząc chromowane zębiska w uśmiechu czarującym i rozległym jak zachodni horyzont.

– Zdefiniuj mi „toronado” – powiedział facet siedzący obok kierowcy.

Skryte za okularami w grubych oprawkach oczy zdradzały sennosc, ale on gardził snem i do ludzi sennych po prostu nie miał cierpliwości. Na przekór politycznym modom wcierał brylantynę w długie loki, lśniące jak gruba warstwa lakieru. Nazywał się Chandler Bankwell Flowers III. Dziadek, ojciec i wujowie, mężczyźni surowi i dostojni, życie swe poświęcili usługom pogrzebowym, on zaś zamieszkiwał dryfującą, acz solidną strefę buntu. Z dziewiętnastu miesięcy spędzonych na pokładzie statku Bonhomme Richard został Chanowi Flowersowi nałóg amfetaminowy i (po wewnętrznej stronie lewego przedramienia) tatuaż z Duszką Spookym. W plastikowym worku na śmieci leżącym przy jego prawej nodze tkwiła sobie, niczym w futerale, „pompka”: strzelba Mossberg 500.

– Zdefiniuj? – odparł kierowca, Luther Stallings, poświęcając sprawie zaledwie część uwagi. Jego oczy, zielone z cętkami złota, co chwilę wynajdowały powód, by zezować we wsteczne lustro. – Auto się tak nazywa.

– Ale co to *znaczy*? Jaka jest definicja słowa „toronado”? Może mi powiesz?

– Może ty mi powiesz – odparował Luther, nieco czujniej.

– To ja pytam.

– Dobra, ale o co tak naprawdę pytasz?

– Torro-naa-do. – „R” Chana wibrowało jak struna gitary Ricky’ego Ricarda w *Kocham Lucy*. – Jeździsz nim. Gadasz o nim. Jakbyś mógł, tobyś się z nim przespał. I nawet nie wiesz, co *znaczy*.

Luther ugniatał skórzane obszycie kierownicy, jakby szukał torbieli. Znów zerknął w lustro, a potem pochylił się, żeby spojrzeć na drzwi klubu, które zasłaniał mu Chan. Chan był przysadzisty i miał bardzo ciemną skórę, zaś Luther Stallings odznaczał się smukłą sylwetką, jaśniejszą karnacją oraz podbródkiem jak u astronauty z plakatu. Miał za sobą jedną turę w wojsku, gdzie głównie rozłupywał kopniakami deski w grupie pokazowej na treningach walki wręcz. Ubrany był jak do tańca, w obcisłe, kraciaste dzwony i frotową bluzkę z krótkim rękawem. Włosy miał zbite w świeżutkie doniosłe afro.

– To chyba z hiszpańskiego – powiedział Luther. – Częsty zwrot. W wolnym tłumaczeniu: „pierdol się”.

– Wulgaryzm – odparł Chan, czerpiąc z bogatego dziedzictwa umoralniających maksym. Kiedy byli mali, sztywna pogrzebowa retoryka wbijana mu brutalnie do głowy przez starego była dla nich niewyczerpanym źródłem wstydu. W obecnej, rewolucyjno-bandziorskiej fazie Chan afiszował się ze swą hiperpoprawną angielszczyzną, obnosząc ją niczym lilijkę w klapie płaszcza z czarnej skóry. – Pierwsza i ostatnia podpora człowieka, który nie ma nic do powiedzenia.

Luther oderwał wzrok od lusterka i spojrzał na Chana.

– Toronado! – powiedział, ewidentnie w trybie rozkazującym.

– Nie masz pojęcia, co? – ciągnął Chan. – Przyznałbyś się chociaż. Wozisz się po mieście, dałeś za brykę trzy tysie, gotówką, a „toronado” to może być dosłownie wszystko. Jakaś szczota do czyszczenia meksykańskiego kibla na przykład.

– A co mnie to...

– Juanita, migiem, dawaj toronado, sraczka mnie bierze...

– Toreador! To znaczy toreador! – krzyknął Luther, łapiąc się na haczyk, choć miał wieloletnie doświadczenie, choć jednym okiem musiał śledzić wsteczne lusterko, a drugim pikowane drzwi baru, choć pragnął już być o sto lat od tej nocy i tysiąc kilometrów od tego miejsca. – Pogromca byków.

– Po hiszpańsku – zasugerował Chan przesadnie usłużnym tonem.

Luther wzruszył ramionami. Kiedy Chan był spięty, zaczynał się nudzić, a kiedy się nudził, stwarzał problemy, byle coś się działo. Lecz w tej przepytywance chodziło o coś więcej. Chan był wściekły na Luthera i próbował ten fakt ukryć. Od paru dni tłamsił złość jak ten mały Spartanin, co schował skradzionego lisa pod koszulą i prędzej dałby zwierzęciu wyżreć sobie jelita, niż przyznałby się do czynu.

– Toreador – wycedził gorzko Chan – to *torero*.

Schylił się do leżącego u stóp pudełka z nabojami, wydobył garść dwunastek i włożył je do kieszeni tweedowej marynarki. Od mocno napomadowanej fryzury biła zatrwazająca woń kwiatów zbyt długo pozostawionych w wazonie, przegniłych jak zawiść.

– No to... eee – Luther spróbował inaczej – ...tornado.

Było to tak żałosne, że Chan, któremu nigdy nie brakowało słów, by wyrazić pogardę, potrząsnął jedynie głową, zbywając sugestię pobłażliwym uśmiechem. Luther miał właśnie wytknąć, że to on, taki ignorant, dopiero co wysupłał trzydzieści dwie studolarówki na tę piękną brykę o zagadkowej nazwie, podczas gdy profesor Flowers pozostawał bywalcem autobusów.

– Chan, ty chuju czepialski... – zaczął, ale zaraz przerwał.

Z drugiej kieszeni tweedowej marynarki z łatami na łokciach Chan wyciągnął parę granatowofioletowych rękawiczek z bawełnianej satyny. Były tandetne, ponadpruwane na szwach, zdobione spiczastymi płetewkami. Zeszłego roku w Halloween, gdy braciszek Chana, Marcel, chodził po okolicznych domach w przebraniu Batmana, potrącił go samochód i mały zginął na miejscu. Rambler american, kilku pijanych czarnych; główka chłopca była tak mała, że dziury w masce Batmana nie pasowały do oczu. Choć Chan miał drobne dłonie, rękawiczki opięły je teraz ciasno, jeszcze bardziej się prując.

Na widok fioletowych rękawiczek Marcela do walki z wszelkim złem Luther zaniemówił. Jeszcze raz zerknął we wsteczne lustro: nokturnowa Telegraph Avenue, rozkołysany podmorski światłocień. Z worka na śmieci Chan wyłowił jeszcze wytłoczoną z lichego plastiku uszatą maskę nietoperza. Naciągnął gumkę na tył głowy i pożyczona facjata zatrzymała się tymczasem na czole.

– Okej. – Luther ustąpił wreszcie bystrzakowi, tak jak ustępował mu każdego dnia od 1955 do 1971 roku, kiedy to Chan się zaciągnął. – Powiedz mi, co znaczy „toronado”.

Z baru Kapka Miodu wychyłała dziewczyna o budowie równie zniewalającej co rzeczony auto, przynajmniej w strategicznych punktach. Rozkloszowane nogawki obcisłych białych dżinsów wybrzuszały się jak żagle. Włosy, ściągnięte mocno do tyłu, wzbijały się tam w wielką połyskliwą purchawę. Stopy unosiły się na koturnach sandałów jak na rozchwianych lektykach. Przechodząc swobodnym krokiem obok samochodu, wyciągnęła ze spodni poły madrasowej koszuli z krótkim rękawkiem i związała je pod biustem.

– No – powiedział Luther. Docisnął sprzęgło i dotknął dźwigni. – Masz iść, to idź.

Kiedy Chan naciągnął maskę na twarz, Luther zauważył, że jest zamalowana. Pod warstwą matowej czerni zniknęła linia dzieląca kaptur Batmana od ludzkich rysów, farba zakryła dołeczek odcisnięty w bohaterskim podbródku i sympatyczny wytłoczony uśmiech. Oczy Chana lśniły teraz jak obnażone dwoma nacięciami wnętrzości.

– T’Challa wkracza do akcji – oznajmił Chan spod maski. – Aha, a tak w ogóle...

Pchnął barkiem drzwi po stronie pasażera i wyskoczył z auta. Strzelba w worku na śmieci dyndała u jego biodra jak zwyczajne narzędzie.

– ...„toronado” ni chuja nic nie znaczy.

Prawa ręka Chana wśliznęła się do worka, a lewą już chwycił mosiężną gałkę obitych tapicerką frontowych drzwi klubu. Otworzył je jednym szarpnięciem, prawą dłoń wyrzucając w bok. Sfrunął worek na śmieci, odsłaniając broń na gumowe kule, pobraną przez Chana tego samego popołudnia z piwnicznego arsenału w jednym z konspiracyjnych lokali Czarnych Panter we wschodnim Oakland. Z wnętrza Kapki Miodu buchnął zgiełek dęciaków, gwar rozmów i ogólny hurgot, a potem drzwi zamknęły się za Chanem, jak gdyby cały klub wstrzymał oddech. Worek na śmieci zahaczył w powietrzu o jakiś cieplejszy nurt i zawirował, szarpany niewidzialnymi dłońmi żartownisia.

Luther ściszył dźwięk we wmontowanym w deskę ośmiościeżkowcu. Miejska cisza, gdzieś w dali westchnienie autobusu, pływy międzystanówki i Grover Washington Jr., wzniecający małe, kunsztowne pożary na całej długości *Trouble Man*. I prócz tego nic. Luther czuł, że jego myśl zaczyna nie tyle wędrować, ile migrować, szukając szczęścia gdzie indziej. Oto za kółkiem ukochanej fury w pięknym zielonym kolorze mknie nabrzeżną autostradą aż do Los Angeles, ku reszcie swego życia. W ujęciu z helikoptera widzi siebie, pędzącego przez arkadowy most, a dokoła, wśród świtu i ostatków nocy, ściele się ocean.

Usłyszał nierówny klekot: kilka spluw wypaliło naraz. Drzwi Kapki Miodu znów otwały się z łomotem, a z wnętrza trysnęła mieszanina dęciaków i wrzasku. Chan niemal biegł. Wsiadł do samochodu, zatrzasnął drzwi. Strużka krwi odcinała się na tle

lewego buta niczym jaśniejsze pióro. Od strzelby bił słodki, piekielny zapach elektryczności i skwierczącej słoniny.

Luther wrzucił jedynkę, stając na pedale gazu i łapiąc na nim równowagę. Odnalazł się w tej konkretnej chwili niczym ten anielski trębacz, którego widziało się z autostrady Warrena, między Berkeley i Oakland, przycupniętego na szczycie mormońskiej świątyni, skąd przyglądał się światu, niespeszony jego szalonym wirem. Ośmiocylindrowy silnik warczał, prując, ile dała fabryka w Detroit. Wygrywali na każdym zielonym świetle, w oszołomieniu obstawiając wciąż od nowa, na całego, aż do Claremont Avenue. Gdy Luther i toronado ujrzeni się dwa dni wcześniej na giełdzie używanych aut na oaklandzkim Broadwayu, była to miłość od pierwszego wejrzenia. Teraz, gdy zasuwali po Telegraph Avenue, coś się Lutherowi przewracało i zwijało w trzewiach, jak przy nerwowym podnieceniu, które towarzyszy żądzy. Chan cisnął halloweenową maskę brata przez otwarte okno, a strzelbę wsunął pod siedzenie. Ściągnął rękawiczki i już miał smyrgnąć je w ślad za maską, ale naraz się rozmyślił. Chociaż prawa była cała we krwi i nadpalona od prochu, najwyraźniej chciał jeszcze przez chwilę je zatrzymać. Siedział tak, ściskając rękawiczki w garści, niczym nałogowy pojedykowiec rozglądający się za kimś, kogo można by spoliczkować.

Na skrzyżowaniu z Claremont, nie widząc wokół nikogo, zwłaszcza zaś stróżów prawa, Luther zwolnił i spokojnie zatrzymał się na czerwonym. Zwykły uczestnik ruchu drogowego: opuszczona szyba, zimny łokieć, letni wieczór jak każdy inny, jest w porządku. Gdzieś tu w okolicy, tak kiedyś słyszał, pod warstwami czasu i betonu leżało poletko pierwszych ludzkich dążeń w tym zakątku świata. Indianie z plemienia Miwok śnili tu swój wielki sen. Opaśli jak niedźwiedzie, gromadzili muszle po ostrygach, całkowicie nieświadomi zbliżającej się historii wraz z jej korowodem skurwysynów.

– Co ty tam odjebałeś? – spytał Luther, siląc się na lekki ton. Dopiero gdy już wybrzmiało to straszliwe pytanie, zaczął czuć coś na kształt lęku.

Chan tylko pogłośnił muzykę.

– Chan! Zrobiłeś to czy nie?

Luther czuł, że Chan stara się ubrać historię zdarzeń w Kapce Miodu w słowa, które jego samego nie doprowadzą do szału. Chandler Flowers nienawidził, gdy lekceważono jego inteligencję; jeszcze bardziej jednak nienawidził dostarczać niezbitych dowodów, że w ogóle jej nie posiada. Światło zmieniło się na zielone. Z niejasnych dla siebie powodów, jak również z braku innych wytycznych, Luther skierował wóz ku aniołowi dmącemu w trąbę apokalipsy na samym skraju tych zachodnich ziem: taki właśnie obraz miał teraz w głowie. Kolejną minutę Joe Beck i jego gitara zorganizowali podług własnych koncepcji czasu i jego fuzgowych przebiegów. Wreszcie Flowers przemówił, jak gdyby przez wąską szczelinę, zdobywając się na całe trzy słowa.

– Odstrzeliłem mu rękę.

– Lewą czy prawą?

– Prawą.

– A on jest mańkut czy standard?

– Czemu?

– Popcorn jest mańkut czy standard?

– Sugerujesz, że jeśli Popcorn Hughes jest praworęczny, to może trochę mniej spałałem? Bo teraz przynajmniej ma tylko tę rękę, której nie używa?

Luther rozmyślał nad tym, gdy jechali w górę Tunnel Road, ku miejscu, gdzie (niezauważalnie niczym decyzja, która w końcu okaże się błędna) droga przeistaczała się w autostradę.

– Nie – przyznał w końcu.

Potem już nic nie mówili. Luther wciąż rozmyślał. W poniedziałek, punkt siódma rano, powinien stawić się w wynajętej hali dźwiękowej w Studio City, gdzie miał nagrywać pierwsze sceny do *Struttera*, niskobudżetowego filmu akcji, w którym właśnie dostał główną rolę. Tej nocy woził się zaliczką. Miało być jeszcze dziesięć tysi, a potem kto wie: sequele, promocje produktów, praca w telewizji, role, na które nie miał czasu Jim Brown, coś u boku Burta Reynoldsa. A teraz, przez jakiś przekłety splot brawury, lojalności i egzystencjalnej beztroski, dzięki której w 1972 roku został mistrzem świata karate w wadze średniej, Luther swą całkiem mile zamgloną przyszłość związał, niczym worek

z kociakami, z pogrążającym się w odmętach kamulcem, który nazywał się Chan Flowers.

Tej nocy wszystko poszło nie tak, ale nawet gdyby Popcorn, zgodnie z planem, zarobił śmiertelną porcję ołowiu i gdyby życie wypłynęło zeń pod stolik przy samej scenie, sprawa nie wyglądałaby ani trochę lepiej. To prawda, że w ten sposób zostałyby zasiane ziarno legendy, którą Chan Flowers miał nadzieję pielęgnować, legendy Chana „Trumniarza” Flowersa od Czarnych Panter, nieustępliwego zabójcy – zabójcy z krwi i kości, nie jakiegoś zmyślonego twardziela z grindhouse’owej taniochy. To prawda, że Huey Newton, dręczony upartym istnieniem Popcorn’a Hughesa, zaznałby wreszcie nieco spokoju. Cóż jednak miałyby z tego wszystkiego Luther Stallings? Sukces tej misji byłby jedynie innego rodzaju porażką: Luther wpakowałby się wówczas w jeszcze gorszy gnój niż ten, w którym już tkwił.

Luther nie miał żadnych przekonań politycznych, nie żywił konkretnych uczuć ani wobec dilerów takich jak Popcorn, ani wobec partii Czarnych Panter, która tamtych wzięła na celownik. Było mu wszystko jedno, kto tak naprawdę trzęsie Oakland i ulicami jego getta. Huey Newtona widział raz w życiu, na imprezie w Berkeley: łagodnie uśmiechnięty facet w czarnej skórzanej kurtce pierdzielił coś o dezalienacji i z miejsca wydał się Lutherowi jednym z wielu stylistów gangsterskiego narcyzmu. Luther Stallings, wschodząca gwiazda kina blaxploitation, a może i kina w ogóle, nie miał tu czego szukać, czego ugrać, bez względu na rezultat. Chan kazał mu prowadzić auto, więc tak zrobił. Ale teraz we wstecznym lusterku zamiast zabójstwa widniał krwawy szlak fuszery, a jego wciąż osobliwie przyciągał obraz złotego mormońskiego anioła grającego solówkę na czubku iglicy.

– Daj w lewo – rzucił Chan, kiedy zjeżdżali z autostrady na Lincoln Avenue.

Luther już miał zaprotestować, że wtedy będzie dalej do świątyni, ale przypomniał sobie, że nie ma właściwie żadnego powodu, żeby się tam znaleźć. Niewyraźne pragnienie, by dać świadectwo chwale Anioła Moroniego, zgasło w nim, rozsypując się w popiół. Luther skierował toronado ku Joaquin Miller Road.

– To dokąd? – spytał.

– Czekał, muszę pomyśleć – odparł bystrzak. Patrzył w noc rozlaną jak ulewa na przedniej szybie. A potem: – Zamknij ryj.

– Przecież nic nie mówiłem – odparł Luther, choć zonglował sobie w myślach ciągiem słów układającym się w coś na kształt „Na to już chyba trochę późno, a?”.

– Ziom, ja zem raz był w tym Dogpile – mówił Moby. – W L.A., c’nie?

Moby należał do wiernej klienteli okołopołudniowej. Był prawnikiem, co w przypadku człowieka przepuszczającego trzysta dolarów miesięcznie na nałóg polichlorowinyłowy nie powinno być może nikogo dziwić; osobliwszy był fakt, że jedynymi klientami Moby’ego były wieloryby. Naprawdę nazywał się Mike Oberstein. Co istotne, zważywszy na ksywkę, był biały, w rozmiarze XXL. Długawe włosy nosił z przedziałkiem pośrodku, przylizane za uszami w dwie bliźniacze pletwy. Moby pracował w tym samym budynku co Gwen, żona Archy’ego. Z biura fundacji procesował się z siecią parków SeaWorld. Reprezentując szwagra orki Shamu, pozywał marynarkę wojenną o utratę słuchu u humbaków. Pełen niegospodarnego żaru, obrastał w jazzowe krążki z lat pięćdziesiątych i sześćdziesiątych.

– I powiem wam, że było grubo – ciągnął Moby.

– Taa? – odparł Nat, podsuwając butelkę małemu Rolandowi, który siedział sobie zapięty bezpiecznie w nosidełku opartym o kase na kontuarze.

Archy zdawał sobie sprawę, że Nat skupia wzrok na niemowlaku, żeby nie ukatrupić Mike’a Obersteina promieniami gamma, które w każdej chwili mogły wystrzelić mu z oczu.

– A wypaśnie też było? – rzucił Nat.

Archy, na pamięć znając wszystkie tyrady i wykłady swego współnika, wiedział, jak bardzo Nata drażni to, że Moby wprost wyłazi ze skóry (choć może już nawet nie było z czego wyłazić), żeby gadać jak „swojak”, koleś „z ośki”, jak ująłby to Moby, choć tak naprawdę był przemiłym białasem z jakiejś miejsciny w Indianie.

– No przeca, że wypaśnie. Bez kitu – odparł Moby, tak szczerze opatuliwszy się w swą słodycz i urojone futro Youngblooda z *Super Fly*, że śmiercionośne promienie zupełnie się go nie imały, może nawet ich nie zauważał. – Nat, obczaj to. Wyszperali mi gdzieś krążek *Jimmy Smith Live in Israel*, normalnie odpał. Myślałem, że to mit jakiś. Ile ja się tego naszukałem, całe lata.

Nat skinął głową, obserwując butelkę i opadający stopniowo poziom odżywki, a tymczasem w myślach (co Archy wyczytał z napiętych mięśni jego barków) wyciągnął z obwoluty nieskazitelny egzemplarz *Jimmy Smith Live in Israel* (Isradisc, 1973), oparł na kolanie i złamał na pół. I jeszcze na ćwierć. A potem oddał go Moby’emu bez jednego słowa, nie mówiąc nawet: „Wsadź se w dupę ten jebany Dogpile. I dopchaj se, kurwa, sterowcem”.

– Czego nie ogarniam, z całym szacunkiem – stwierdził Król Lansu – to czemu wy wszyscy myślicie, że ten Dogpile to jest jakaś, nie wiem, *inwazja*.

Garnet Singletary, dziadek małego Rolanda Englisha, siedział obok Moby’ego przy oszklonym kontuarze ciągnącym się wzdłuż części południowej ściany sklepu. Strategicznie zajął miejsce na samym końcu, najdalej od okna, by zachować bezpieczny dystans od papugi. Żako imieniem Pięć Osiem tkwiła przycupnięta na ramieniu Cochise’a Jonesa, okupującego ulubiony stołek przy oknie, chronicznie zgarbionego w wyniku pięciu dekad muzycznych eksperymentów na organach Hammonda, model B3. Na ramionach zielonej sportowej marynarki pana Jonesa owe kilkadziesiąt lat ptasiego towarzystwa pozostawiło meszek pazurzych śladów, kępki trawy na poliestrowym gazonie. Pobudliwa jak radioteleskop głowa żako badała świat wiecznie wgapionym okiem, czyhając na niewidoczne sygnały i komunikaty. Co jakiś czas papuga, na forum publicznym wypowiadająca się najczęściej za pośrednictwem muzyki, podrabiała chłodne hammondowe wibrato, wybuchała znieścacka luźną frazą albo osieroconym łącznikiem, czerpiąc ze swego repertuaru na sposób z pozoru dowolny, choć Singletary, w którym ptak wzbudzał strach i podziw, w jej decyzjach upatrywał wyrachowania.

– Przecież Gibson Goode się tu urodził – ciągnął Singletary, skoro żaden ze współników nie raczył podjąć tematu.

Choć Singletary miał pięćdziesiąt kilka lat, wyglądał na trzydzieści. Głowę pokrywały nieśmiałe mikrodredy, nie grubsze od paluszków wnuka. Uśmiech miał swobodny i ciepły, ale oczy zimne jak miedziaki na dnie studni. One też rejestrowały wszystko wokół, a mgiełka pogawędki miała spowijać chłód przenikliwego spojrzenia. Archy zastanawiał się, czy skrepowanie Singletary'ego nie wynikało przypadkiem z tego, że widział w papudze rywala, a przynajmniej kogoś równego sobie.

Singletary mówił dalej:

– Dorastał w L.A., ale jego babcia dalej mieszka w Rumford Plaza. Gdyby wasze Brokeland Records było w Atlancie albo Nowym Jorku i koleś by się nagle zjawił z tym swoim wielkim czarnym sterowcem, tobym może i zrozumiał, że macie jakieś wąty. Ale Gibson Goode to prawie, no, lokalny produkt. Trochę tak, jakby... – oczy do spółki z uśmiechem wyraźnie dawały do zrozumienia, że Singletary chce się z Natem podrażnić – ...jakby ciebie z Archym złożyć w jedno. Pół stąd, pół stamtąd.

– Pół na pół – wymruczał Nat pod nosem, wciąż wlewając odżywkę w małego Rolanda.

Chłopczyk naprawdę miał apetyt; już o jedenastej rano skończyły im się buteleczki Gerbera i teraz jechali na preparacie Enfamil, rozrobionym w wodzie ze sklepowej łaźienki. Proszek dostarczył S.S. Mirchandani, wyszperawszy go na jakiejś głębokiej, ledwo dostępnej i zapajęczonej półce w należącym do niego monopolowym Temescal Liquor. Nosidełko zapewnił Król Lansu.

– Patrzcie go. – Cochise Jones przyglądał się odżywce mijającej kolejne kreski jak rtęć w termometrze. Kompletnie go to pochłaniało: czasem wydawał się zadowolony, czasem zrezygnowany, jakby założył się z kimś o wynik. Mrugnął do Archy'ego. Pan Jones i jego świętej pamięci małżonka nie mieli dzieci. – Aż i człowiekowi pić się chce.

– Tak, mnie również doskwiera pragnienie – powiedział pan Mirchandani, a Archy poczuł w kiszkaach trzepot nadciągającego lęku. – Wiesz co, Nat, naprawdę powinniście tu mieć ekspres do kawy albo jakiś inny serwis z napojami.

Archy zanurkował jeszcze głębiej w tajemnice skrzynki numer osiem. Hipotetyczny ekspres do kawy był tematem drażliwym,

przedmiotem najświeższej z wielu sprzeczek między współwłaścicielami Brokeland Records, rozpętanej wokół tego, czy (jak od kilku lat sugerował Archy, z coraz mniejszym wdziękiem) nadszedł czas, by zacząć przy kontuarze serwować coś jeszcze prócz niewyczerpanych zasobów muzyki i gadki szmatki. Bo po prawdzie to *już i tak* mieli przejebane, nawet bez Gibsona Goode'a i jego imperium pod nazwą Dogpile. Zalegali Singletary'emu z czynszem. Zapasy towaru się kurczyły, bo przy słabej płynności finansowej nie mogli odkupywać atrakcyjniejszych kolekcji. Gdyby całą sprawę ocenić chłodno i racjonalnie, w czym żaden ze wspólników nie celował, okazałoby się najpewniej, że to przedśmiertne drgawki Brokeland Records. Królowie winylu w East Bay bankrutowali na potęgę, zawieszali działalność albo migrowali do sieci, przekształcając sklepy w firmy wysyłkowe. Zatrzaskiwały się podwoje, marniała gadka szmatka. Tak jak Ishi, Chingachgook i gołąb wędrowny Martha, ich sklep był niemal ostatnim żywym okazem swego gatunku.

Zawsze gdy Archy poruszał temat jakiejś nowej taktyki (mogliby rozszerzyć działalność, podrasować stronę internetową, a nawet, tak, podawać kawę, ciastka i indyjski czaj), Nat stawiał zdecydowany opór. Opór to mało powiedziane: facet ucinał temat, zamykał się w sobie, spowijał się w denerwujący, dufny nimb patriarchy Abrahama, jak gdyby nie byli zwykłą firmą na rynku wtórnym walczącą o utrzymanie płynności, tylko strażnikami jakiegoś prastarego splendoru, który zmienić choć odrobinę oznaczałoby skalać. A tak naprawdę (jak w każdej religii, przypuszczał Archy) chodziło o mieszanekę zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych i trwogi egzystencjalnej, wyparty lęk przed zmianą. Objazdy zamiast znanych sobie tras, nowe znaki wodne i esy-floresy na banknotach narodowych, uaktualnione zasady recyklingu? Nat Jaffe wyklinał je wszystkie. Czyste konta, resety, restarty? Tak samo. Opierał się im jak wysepka wśród rwących prądów, jak podwodny korzeń, o który haczą się gałęzie.

– Macchiato ci się, kurwa, zachciewa? – wycedził kilka dni wcześniej, ciskając w Archy'ego płytą, nieszczególnie cenną, ot, egzemplarzem *Stan Getz and J.J. Johnson at the Opera House* (Verve,

1957), gdzie Getzowi, prócz Johnsona, towarzyszyli Oscar Peterson, Ray Brown i Connie Kay. – Tu masz, kurwa, macchiato!

Czyli słodka, lekka, białasowata pianka na wierzchu, a pod spodem mrok gęstej czerni. Poszło gdzieś bokiem, ale cholera, taki lecący winyl mógł Archy'ego skrócić o głowę. Archy zirytował się teraz na samo wspomnienie. Zirytowała go też uwaga o ekspresie do kawy, chociaż wiedział, że pan Mirchandani tylko stara się pomóc, przysłużyć dobrej sprawie, dołączyć do chóru tych, którzy chcieli uchronić Brokeland od agonii. Ale widać było, że w Nacie dziś wre i że wystarczy bardzo niewiele, tak ze dwa bąbelki, by wszystko wykipiowało.

– Panowie.

Był to łagodny głos należący do kogoś, kogo nauczono wychwalać pod niebiosą tych, których los powalił na ziemię. Kogoś, w kim wyrobiono obyczajność, kogo nauczono stąpać miękko i cicho pod kirem pamięci i żalu rozpostartym niezmiennie nad zakładem Flowers i Synowie. Na dźwięk tego pogrzebowego głosu, przekrzywiając łebek w stronę Singletary'ego, popielata papuga afrykańska poczęła odtwarzać nuta w nutę spiritual Mahalii Jackson *Trouble of the World* w interpretacji pana Jonesa, zarejestrowany na jedynym albumie tego ostatniego, pod tytułem *Redbonin'* (CTI, 1973).

– Uwaga – powiedział pan Jones, ale Pięć Osiem jak zwykle miał lepszy refleks.

Ocieniony szerokim rondem czarnego kapelusza, przywodzącym na myśl mafijnego bossa albo może Henry'ego Fondę w *Pewnego razu na Dzikim Zachodzie*, w trzyczęściowym grafitowym garniturze w szare prążki i w czarnych butach z noskami wypastowanymi tak mocno, że roztaczały aureolę, do sklepu wszedł Chan Flowers. Wkroczył przez drzwi frontowe, nieuchronny jak ostateczne wezwanie z urzędu. Plecy proste, tors wydatny, nogi pałakowate. Wzór prawości: dłoń pewna, gotowa nieść otuchę pogrążonym w żalu, mina poważna (ba, grobowa), istna opoka, niezawodna

niczym filar krypty. Do tego szczodra doza gangsterki (kapelusz), by nie było wątpliwości, że w rozgrywkach politycznych radny hołduje starej szkole (noc, księżyc, łopata). Plus szczypta gotyckiego westernu w stylu *Tombstone*, że niby gdy nastaje pełnia, a ciemność pustego zakładu Flowers i Synowie rozpraszają jedynie ogniki świec, Chanowi zdarza się ulec pokusie, by dosiąść trumny i pędzić na niej jak na dzikim koniu.

– Widzę, że mamy tu dziś samych zawodowców – stwierdził, błyskawicznie ewidencjonując twarze zebranych. Jego wzrok zatrzymał się na Archym. W spojrzeniu tym czało się jakieś pytanie, radny chciał się czegoś dowiedzieć.

– Poczekajcie tutaj – przykazał siostrzeńcom.

Dwaj młodzi zostali na chodniku przed wejściem. Podobnie jak reszta Flowersowego narybku w niedopasowanych czarnych garniturach, nie tyle je nosili, ile chwilowo zajmowali, czekając, aż nawinie się coś mniej żałosnego. Mieli śmiertelnie poważne miny dowcipnisiów na ułamek sekundy przed tym, gdy gag wychodzi na jaw. Jeden z nich wyciągnął książeczkę japońskich łamigłówek i ogryzkiem ołówka zaczął wpisywać liczby w kwadraciki.

– Panie Jones! – zagaił Flowers z politykierskim zacięciem, gotów rozwiązać to ludzkie sudoku.

– Cóż za zaszczyt – odparł Cochise Jones.

Flowers ujął jednoipółoktawową dłoń pana Jonesa, z paznokciami jak okładziny z kości słoniowej.

– Cały zaszczyt po mojej stronie – oznajmił. – Jak zawsze, gdy mogę rozkoszować się odbitym światłem dziedzictwa, które pan reprezentuje. W końcu to pan stworzył styl muzyczny, który nazywają Brokeland Creole.

Mało tego, pomyślał Archy, pan Jones bodaj jako pierwszy użył nazwy Brokeland, by opisać tę okolicę, ów zapuszczony uskok miejskich płyt tektonicznych Berkeley i Oakland.

– Witaj, Pięć Osiem – powiedział Flowers.

Zaległa cisza. Ptak przyglądał się bacznie Chanowi.

– Przywitaj się – zachęcił go pan Jones.

– Przywitaj się, ściemniaczu jebany – powiedział Pięć Osiem.

Naśladowany przez papugę chrapliwy, palacki głos mógł należeć tylko do Cochise'a Jonesa, ale Archy jeszcze nigdy nie słyszał w nim

takiego rozdrażnienia. Zaśmiali się wszyscy z wyjątkiem Chana Flowersa. Na jego ustach igrał uśmiech, ale wzrok nie chciał mieć z nimi nic wspólnego.

– Rób tak dalej – powiedział Flowers do popielatej papugi. – Wiesz przecież, że na półce w magazynie trzymam luksusową trumienkę z drewna wiśni, w sam raz na twoje truchełko.

Istotnie, Cochise Jones już dawno z iście egipską precyzją ustalił szczegóły ostatniej drogi tak dla siebie, jak i dla kompana swej samotności.

– Bracie Singletary. – Flowers wyciągnął długi, smukły palec w kierunku Garneta. – Królu Lansu, jak się pan miewa?

– Witam pana radnego – odparł Singletary, przyglądając się Flowersowi tak, jak zwykł przyglądać się papudze, a więc z mieszaniną ciekawości i odrazy, jak gdyby jego język napotkał w kąciku ust coś gorzkiego.

Od lat ci dwaj spinali się często i spektakularnie, choć zawsze w sposób cywilizowany. Nieruchomości, pozwy, pełnomocnicy i adwokaci: długa zimna wojna z funduszami modernizacyjnymi w tle. Wieść w West Oakland niosła, że źródła animozji sięgały późnych lat siedemdziesiątych, kiedy to pewna kobieta poślubiła Singletary'ego mimo obietnicy danej wcześniej Flowersowi. Do tych szczegółów dodawano wątpliwą, choć osobliwie przekonującą informację, jakoby o sprawie miał przesądzić nieusuwalny fetor rozkładu, bijący od dłoni przedsiębiorcy pogrzebowego.

– Miewam się nieźle, chyba żeś pan tu przyszedł zakomunikować co innego – odparł Singletary.

– Albowiem... – powiedział Flowers, zwracając się również do reszty obecnych, tonem przesadnie przyjaznym, choć nie tak napuszczonym, jak mogłaby sugerować retoryka. Jego głos, chłodny i beznamiętny, do goryczy nadawał się równie dobrze jak do pochlebstw. – W Piśmie Świętym było tak, że właściwie tylko *król* mógł uprawiać *lans*. Rzecz jasna, tak tego wówczas nie nazywano, nieprawdaż, panie Oberstein? Na przykład król Salomon, w Księdze Koheleta. Czy wie pan, jakim mianem określał to, co dziś nazywamy lansem?

Moby postanowił zgadywać:

– Kadzidło i mirra?

– *Marność* – odpowiedział za niego Król Lansu. – Wcale bym się z tym nie sprzeczał.

– Hm, to świetnie! W końcu nie przyszedłem tu się sprzeczać – odparł Flowers. – Panie S.S. Mirchandani! Późno pan dotarł do tych brzegów, a jednak, trzeba przyznać, nie traci pan czasu.

– Dzień dobry, panie radny.

– I tak trzymać! A pan Oberstein... – Flowers przyjrzał się pełnomocnikowi wielorybów i zmarszczył czoło, najwyraźniej szukając stosownego podsumowania. Lubił obdarzać nimi rozmówców, mieć gotowe epitafium na każdy nagrobek.

– ...trzymaj fason – podpowiedział Nat.

– No ej. – Moby aż promieniał. – Wiadomix.

– Pan Jaffe. – Wymieniwszy to nazwisko, Flowers szczerze zacisnął usta.

– Tak jest, panie radny.

Zapanowała cisza, tym głębsza i bardziej niezręczna, że Archy zapomniał przerzucić płytę. Flowersowi raczej nie zdarzało się zaniemówić. Czyżby doskwierało mu poczucie winy, bo zmienił zdanie w sprawie kontraktu z Dogpile? Czy postanowił tu zajrzeć w porze lunchu, zdobywając się na to, by osobiście przekazać im złe wieści? Czy też tak bardzo zaangażował się w grę pierwszoligową, w ustawianie linii defensywnej przeciw rozgrywającemu, że nie brał pod uwagę oporu, jaki mógłby napotkać przy kontuarze Brokeland Records?

– Archy Stallings – powiedział radny, a zmieszany Archy, pamiętając, że do Chana Flowersa ma się odnosić z chłodną wrogością, lecz od najmłodszych lat nawykły go podziwiać, dał się wciągnąć w gesty powitalne: żółwik, potem nawet niedźwiadek.

– Tatę widziałeś ostatnio? – spytał radny, ścisząc głos niemal do szeptu, z naciskiem na „niemal”.

Archy odsunął się, zaskoczony. Zdążył tylko zmrużyć oczy, ale Flowers już miał swoją odpowiedź i ruszył w dalszą drogę. Puszczając Archy’ego, powiedział:

– Jeśli mnie pamięć nie myli, panie Jaffe, miał pan dla mnie jakąś wiadomość. Tak słyszałem w biurze, całkiem niedawno. Pomyślałem więc, że wstąpię, by dowiedzieć się, czego mogła dotyczyć.

– Mogło tak być – odparł Nat, wciąż nie podnosząc wzroku. Jego proteuszowy pomruk wzbierał czasem w połajankę, której musiała wysłuchać przynajmniej automatyczna sekretarka w gabinecie radnego, a przy odrobinie szczęścia jeden z jego siostrzeńców, asystentów, kierowników biura czy rzeczników prasowych. Nat skarżył się na to, tamto i owamto: że nie wywozi się śmieci, że ludzie żebrzą na ulicach, że napady w biały dzień.

– Hm. – Nat przez chwilę udawał, że próbuje sobie przypomnieć sprawę, w której ostatnio dzwonił, a potem, że się poddaje. – Nie, niestety.

– Hm – powtórzył jak echo radny i znów zaległa cisza.

Niezręczny żółwik, oceniłby Julie Jaffe, gdyby był wśród obecnych, układając dłonie w taki właśnie kształt i kręcąc nieporadnie kciukami.

– Ale proszę państwa! Kogo my tu mamy! – Flowers zauważył niemowlaka, któremu przysnęło się podczas opróżniania butelki. Wzrok radnego powędrował ku Archy’emu, z niekłamana serdecznością, acz z lekceważeniem matematyki. – Byłbyż to mały Stallings?

Tym razem Flowers zwyczajnie podał mu prawicę, a Archy chwycił ją z poczuciem narastającej zgrozy, jak gdyby faktycznie chodziło o jego dziecko, a on miał zaraz zostać zdemaskowany w całej swej bezradności i niemocy.

– Choć może się to wydać niewiarygodne – oznajmił Flowers, nie puściwszy dłoni Archy’ego, wciąż urabiając publiczność – pamiętam ciebie takim.

Wszyscy posłusznie, acz nieszczerze zaśmiali się z tego, że Archy mógł kiedykolwiek być tak mały.

– Poza tym dzieciak jest do ciebie bardzo podobny.

– Nie, nie – wyjaśnił Archy. – On jest od Aishy English. To Rolando, wnuk pana Singletary’ego. U nas z żoną to tak jeszcze z miesiąc. Ja tu się tylko opiekuję.

– Taki trening – odpowiedział pan Mirchandani.

– Na to nigdy nie za wcześnie – przytaknął Flowers. Choć miał pod dostatkiem siostrzeńców i siostrzenic, od małych łebków po dorosłych facetów, którzy grali z Archym w futbol w szkole średniej,

Flowers był kawalerem i podobnie jak pan Jones nie dorobił się dzieci. – Coś takiego może człowieka podejść zniecka.

– To może ja powinienem już trenować bycie trupem – powiedział Nat nieco za głośno, chociaż Archy nie umiałby stwierdzić, czy ta nadmierna donośność była zamierzona. Lecz nim ktokolwiek zdążył roztrząsać sens uwagi Nata, ten dodał: – Aha. Już sobie przypominam, po co do pana dzwoniłem, panie radny. Chciałem pana prosić, żeby pan tu do nas wpadł i poderżnął mi gardło.

Flowers obrócił się, lekko skonsternowany. Uśmiechnął się, potrząsając głową, po czym powiedział:

– Bracie Nat, nigdy nie znudzą mi się twoje cięte riposty. Jakież to przywilej ich słuchać.

– A poza tym mam dla pana tego Sun Ra, co go pan szukał – dodał Nat, konserwując wściekłość, przez wentyl uśmiechu podsycając ją powietrzem. – Chociaż nie wiem, może woli pan poczekać i odebrać ją sobie w tym pańskim nowym salonie Dogpile. Dochodzą mnie słuchy, że w dziale używanych winyli będzie *wypaśnie*.

– Nat – powiedział Archy.

– Wiem – odparł z miejsca Nat. – Ostrzeż mnie jeszcze raz za dwadzieścia sekund, dobra?

– Oczywiście rozumiem twoje zaniepokojenie rozmachem potencjalnej konkurencji, Bracie Nat – oznajmił Flowers z nienagannym współczuciem. – Ale weźże, człowieku, wyluzuj. Miej odrobinę wiary w siebie i swojego współnika! Cóż to za defetyzm? Czy nie sądzisz, że twoje obawy są nieco przedwczesne?

– A wie pan, że nigdy nie zdarzyło mi się mieć obaw, które byłyby przedwczesne – powiedział Nat, w klinczu zawsze gotów zadawać kolejne ciosy. – Powiedziałbym raczej, że zjawiają się w samą porę.

– Tym razem jednak... – zasugerował Flowers, szarpiąc klapy marynarki, bo spieszno mu już było do wyjścia – przedwczesne.

– Czyli co, mówi pan, że Gibson Goode, piąty najbogatszy... Jak to szło? – Nat obrócił się, aż mu chrupnęło w szyi, do Garneta Singletary'ego, który odgiął się do tyłu, usta zacisnąwszy w wymijający uśmiech; nie miał najmniejszej ochoty otwarcie występować przeciwko ulubionemu wrogowi z dawnych lat.

Musiałby być ostatnim głupcem, a tego o Singletarym na pewno nie można było powiedzieć. – Piąty...?

– Jeśli dobrze pamiętam, w „Black Enterprise” pisali, że to teraz piąty najbogatszy Afroamerykanin – powiedział ostrożnie Singletary.
– Nie żebym gdzieś tam widział swoje nazwisko.

I znów wszyscy mężczyźni w sklepie się roześmiali, z ulgą pozwalając Singletary’emu rozładować napięcie, ale (Archy nie miał wątpliwości) współczując też Natowi. Ten sklep był częścią ich życia i dotyczyło to nawet Chana Flowersa, który całymi latami co tydzień wstępował tu, by ostrzec się u Eddiego Spencera, i potem już nigdy nie wyzbył się nawyku.

– A więc twierdzi pan, panie radny, że Gibson Goode nie ma, dzięki panu zresztą, pozwolenia, by budować ten swój Thang o dwie przecznice stąd, czyli, praktycznie rzecz biorąc, by poderznąć gardło nie tylko mnie, ale i temu ogromniastemu eksbobasowi, do którego ma pan taką słabość? Bo jakiś czas temu słyszeliśmy, chyba nawet od pana, że Goode ma poważne problemy z pańskimi kumplami z komisji zagospodarowania przestrzennego, a więc „w obecnym klimacie”, chyba tak pan to ujął, ma z bankami pod górkę.

– Jeśli tak powiedziałem – odparł Flowers – to dlatego, że taki był moim zdaniem stan rzeczy.

– Więc co się zmieniło? Albo inaczej: ile kasy zmieniło właściciela?

– Nat, miałem cię ostrzec – wtrącił Archy.

– Ile *kabony*. Racja, Moby?

– Ee... że z czym ja się niby zgadzam? – wybąkał Moby.

– Rany boskie, Nat – powiedział Archy.

– Niech się pan lepiej liczy ze słowami, panie Jaffe – wycedził Flowers, choć jego wzrok spoczywał na Archym. Ni to apel, ni to groźba: oczy radnego rozwarły się, wyraźnie chciał coś ustalić. W powietrzu wisiało pytanie, którego Flowers wolał nie zadawać przy wszystkich, i Archy zaczął się zastanawiać, czy to właśnie ono, a nie telefon Nata w sprawie płyty Sun Ra, było przyczyną dzisiejszej wizyty.

– Obczaiłem sobie ten cały Dogpile – powiedział Nat, uśmiechając się do Moby’ego. – Latem, jak graliśmy z Archym chałturkę na weselu w Fox Hills. No i fakt, że było wypaśnie. W dziale

używanych winyli mieli mincik Roya Meriwethera, *Nubian Lady*. Cena konkurencyjna albo i lepiej. A jeszcze wdałem się w bardzo ciekawą dyskusję z kierownikiem działu, dobre czterdzieści pięć minut przegadaliśmy. Młody gość, studenciak, czarny, przystojny, z pierdolcem na punkcie Ornette'a Colemana. Miał teorię, że Coleman właściwie wrócił do pierwotnego brzmienia nowoorleańskich kornecistów, wykombinował je sobie tak jak Einstein ten eksperyment z pociągami. I koło się zamknęło: koniec kropka. Skończył się jazz, jaki znamy. Coś jak Uroboros: wąż połknął własny ogon. Nie wiem, czy się całkowicie zgadzam, ale to była ciekawa hipoteza. Aha, i jeszcze dorwałem całkiem przyzwoity egzemplarz *Out There* Dolphy'ego.

– Panie radny, nie jestem takim fanem hiperboli jak mój współnik – włączył się Archy. – Sam pan wie najlepiej. Dlatego przepraszam w jego imieniu za obraźliwe komentarze, których już pan więcej nie usłyszysz, bo inaczej tak mu skopię tyłek, że będzie go szukał pod Vallejo. Co nie, Nat? Tylko że jeśli faktycznie zrobił pan przysługę Goode'owi po tych wszystkich latach zagładania tu do nas, ba, świecenia przykładem, bo przecież wiele razy zaspokajaliśmy pańskie muzyczne potrzeby, to wówczas, przepraszam, z całym szacunkiem, ale naprawdę pan nas wystawił. Chyba.

Wzrok Flowersa prześliznął się po śpiącym niemowlaku, jak gdyby zobaczył w nim małego Archy'ego w sześćdziesiątym ósmym, a w tle rozbrzmiały funkowe gitary.

– Mam szczerą nadzieję, że tak nie jest – oznajmił, wracając do teraźniejszości. – Wierzcie mi, że naprawdę by mi tego miejsca brakowało. Ale Dogpile Thang bardzo się przysłuży naszej wspólności.

– Wspólności. Aha.

Łojapierdołę, pomyślał Archy.

– Wspólności! – powtórzył Nat.

– Nat, luz – powiedział Archy.

– Luz, tak, jasne. Będę miał, kurwa, totalny luz, jak pójdę na ulicę handlować osoczem!

– Nat...

Dla Nata przymus handlu własnym osoczem stanowił zawsze najgorszy z możliwych scenariuszy. Przykład ten podawał synowi,

żonie, wspólnikowi, właściwie wszystkim, którym chciał uprzytomnić widmo finansowej ruiny oraz rozwiązań, których będzie musiał się chwycić.

– A wie pan, panie radny, mnie się tak jakoś wydawało, że to miejsce, o... tu – Nat grzmotnął w kontuar: o! tu! – jest jakąś wspólnotą. Ale najwyraźniej się myliłem.

Nat wyciągnął spod lady egzemplarz *Soul Vibrations of Man* (Saturn Research, 1976) i cisnął nim przez cały sklep. Słyszał było, że płyta pękła: trzasnęła raz, jak drewno w ogniu. Prócz zamartwiania się, że będzie musiał handlować osoczem Nat miał w zwyczaju rzucać winylami, przeważnie badziewiem. Pech chciał, że teraz trafiło na rzadki i cenny okaz.

– Niech Gibson Goode razem z tą pańską wspólnotą znajdą panu zafoliowany, oryginalny, monofoniczny egzemplarz *Soul Vibrations of Man*. Bo my tu zamykamy. Właśnie teraz. W tej chwili. Po co odkładać? Po co przeciągać agonię? Dzisiaj zamykamy sklep. Możecie sobie wszyscy iść. Dziękujemy wam bardzo, żeście nas przez te wszystkie lata wspierali. Żegnam, panowie.

Flowers otworzył usta, żeby coś powiedzieć, zaprotestować przeciwko zniszczeniu tego pięknego krążka. Ale się zreflektował. Raz jeszcze wbił swe przenikliwe gały w Archy'ego, jak gdyby w jego minie, całkiem zresztą bez wyrazu, szukał jakiejś odpowiedzi.

– No cóż. – Dotknął runda kapelusza i ukłonił się mężczyznom przy kontuarze. Wyszedł ze sklepu, a dwaj siostrzeńcy natychmiast zajęli miejsca u jego boków. – Miłego dnia życzę. Panie Jones. Panie Singletary.

– Żegnam – powiedział stanowczo Nat.

Klienci oderwali oszołomiony wzrok od drzwi. Pan Mirchandani i Moby spojrzeli pytająco na Archy'ego, ale ten tylko wzruszył ramionami.

– Sorka, panowie – powiedział.

Wziął na ręce Rolanda drzemiącego sobie w nosidełku i oficjalnie przekazał go dziadkowi. Oto Anglia oddawała Hongkong, ozwały się smętne pożegnalne trąbki, a w sercu Archy'ego zagościł dziwny ból, jakby zwiastun łez, a może ich odległe wspomnienie. Mężczyźni ześliznęli się ze stołków i gęsiego wyszli na ulicę.

Pan Jones zatrzymał się w progu, wyprostował się, jakby na chwilę odejmując dłonie od widmowej klawiatury, i zawrócił. Posłał Natowi spojrzenie, w którym współczucie walczyło o lepsze z pogardą. Z kieszeni na biodrze wyłowił fajkę i tytoń. Wskazując cybuchem Rolanda wynoszonego na dwór przez Króla Lansu, pan Jones skinął Archy'emu:

- Ćwicz dalej, Zółwik. W końcu ci się uda.
- Taką mam nadzieję, panie Jones.
- Masz dobre serce. Gdzieś tam pod spodem. A dobre serce to w życiu osiemdziesiąt pięć procent sukcesu.

Policzki piekły Archy'ego od łez. Choć co do zasady próbował, za przykładem Marka Aureliusza, nigdy się nad sobą nie uzalać, to rzeczywiście mało kto doceniał jego dobre cechy i męski potencjał. Matka umarła, gdy był jeszcze młody, ojciec zmył się bardzo wcześnie. Ciotki, u których się wychował, zmarły w całkowitej nieświadomości jego przymiotów. Zona, choć przecież kochająca, również zaliczała się do pokaźnego grona ekspertów i znawców (w skład którego wchodził też dowódca wojskowi, nauczyciele oraz wspomniane już ciotki), którzy o unikatowości i stanie jego duszy nie mieli nadzwyczaj dobrego zdania. Tylko pan Jones zawsze przystawał, by wyciągnąć tę płytę z obwoluty, opuścić igłę w szeroki serpentynowy rowek, w którym zakodowana była esencja Archy'ego, i wsłuchać się w dobiegające stamtąd dźwięki. Nawet jeszcze za życia pani Jones, gdy jej mąż był rozchwytywany w klubach i studiach nagraniowych, w pół drogi do sławy, zawsze jakoś znajdował czas dla Archy'ego „Zółwika” Stallingsa.

- Dziękuję panu – powiedział Archy.
- A te pozostałe piętnaście procent? – spytał Nat. – Tak z ciekawości?
- Uprzejmość – odparował pan Jones bez chwili wahania. – I trzymanie nerwów na wodzy.

Nat się zarumienił, nie mając odwagi podnieść oczu ku wodnistemu spojrzeniu pana Jonesa.

- Słuchaj no, chłopie, jutro gramy – zwrócił się pan Jones do Archy'ego. – Potrzebny mi ten mój Leslie.
- I będzie go pan miał.
- Miało być na niedzielę.

– Bo będzie.

Gdy pan Jones, pilotowany przez papugę, opuścił sklep, Nat zatrzasnął za nimi drzwi. Zaryglował je i przekreślił tabliczkę, żeby było jasne, że jest ZAMKNIĘTE.

– Wspólnota – wymruczał z ręką na zasuwie. Potem znów ją odryglował, otworzył drzwi na oścież i wybiegł na chodnik, by wrzasnąć w stronę, w którą udał się przed chwilą radny Flowers: – Wielka mi wspólnota! Od osiemdziesiątego dziewiątego roku nie powstał tu ani jeden porządny album!

Wrócił do środka, strasznie przy tym tupiąc, i powtórzył całą zabawę z rygłem. Wszedł za kontuar i stał tam, biorąc głębokie wdechy, wyraźnie próbując się uspokoić, chociaż krew dalej pulsowała mu w skroniach. Zatrzymał się przed Archym i utkwiał w nim wzrok.

– I widzisz, Archy, dlatego właśnie nienawidzę wszystkiego i wszystkich – oznajmił, jak gdyby między jego słowami a tym, co się przed chwilą wydarzyło, istniał jakiś związek, ciąg przyczynowo-skutkowy, jak w teorii o Ornetcie Colemanie i legendarnych trębaczach z nowoorleańskiego Storyville. – Dlatego właśnie nienawidzę swojego żałosnego, zasranego życia.

Porwał z wieszaka kapelusz, wcisnął na głowę i wyszedł. Archy zastanawiał się, czy cokolwiek z tego, co powiedział Nat, należy potraktować poważnie, a jeśli tak, to którą część. Z kieszeni na biodrze wydobył penguinowskie wydanie *Rozmyślań*, zatknięte tam właśnie na takie okazje, lecz nawet bez zaglądania do środka wiedział, czego Marek Aureliusz raczej nie poleci: pociechy, jaką człowiek mógł odnaleźć w gorących, korzennych woniach Etiopii, w jej lepkim, słodko cuchnącym sosie.

Gwen Shanks jechała Telegraph Avenue na północ, żeby odebrać poród domowy w Berkeley Hills, gdy naraz niemożliwa do opanowania zachcianka zwała ją z kursu wprost w przepelniony wonią kuminu półmrok restauracji Królowa Saby. Nauczona przez całe życie tłumić takie impulsy, niczym Spock odbywający co

siedem lat straszliwą walkę z godowym szaleństwem *pon farr*, Gwen przez pierwsze trzydzieści cztery tygodnie ciąży opierała się pragnieniom, falom estrogenu i progesteronu, odmawiając sobie wszelkich zachcianek, zatrzasnąwszy włązy przed hormonalnymi tajfunami. Z niezmienną tkliwością znosiła napady furii i paniki u swoich pacjentek, ich paroksyzmy płaczu i cukrowe ciągi, ale sobie nie miała w zwyczaju folgować. Z zawodu była położną, lecz jej głównym życiowym projektem było doskonalenie się w samokontroli. Pech jednak chciał, że przed dwoma tygodniami jej mąż ni stąd, ni zowąd zajrzał do biura Towarzystek Porodu, przynosząc (diabli nadali) styropianowy kubek wypełniony czymś, co nazywało się suff. Od tamtego czasu biedną Gwen dręczyła niemal codzienna tęsknota za tym schłodzonym wywarem z ziaren sezamu, o słodko-gorzki posmak żalu. Tego ranka, jako właścicielka czarnego pasa w kung-fu (styl Wing Chun), zdążyła już spędzić dwie godziny w dojo Instytutu im. Bruce'a Lee, trenując ze swoją mistrzynią, Irene Jew – starając się nie tylko bronić przed dekoncentracją, osłabieniem i stępieniem refleksu, które sprowadziła na nią ciąża, lecz także odzyskać choć część samodyscypliny. Wszystko na próżno! Ryzykując, że się spóźni, Gwen zaparkowała w żółtej strefie i bez reszty poddała się pragnieniu.

Stała przy kasie, czekając na resztę, i właśnie pociągnęła pierwszy, bolesny, acz zbawienny łyk, gdy naraz pod południową ścianą, w pół drogi między drzwiami a kuchnią, spostrzegła swego kochanego męża przy stoliku za zasłoną z jasnobrązowych koralików, na tyle rzadką, że wyobraźnia, nie mając nic do roboty, natychmiast się tym widokiem zajęła. Grube mingusowe paluchy Archy'ego Stallingsa, tego arcypsa, kleiły się właśnie do chlebków indzera i do ciała długoszyjej, rdzawowłosej suki o cudnych oczyskach nocnego zwierza. Po jednej stronie stolika Elsabet Getachew, Królowa Saby we własnej osobie, zwinięta mięciutko jak niecny zamiar. Po drugiej Archy, który właśnie zdjął rogowe okulary i przecierał szkła ściereczką. Tyle tylko zobaczyła; nie całkiem niewinne, ale z drugiej strony, gwoli sprawiedliwości, nic takiego. Później nie umiała sobie do końca wytłumaczyć, skąd wzięła się myśl, by przemaszerować przez pół sali do oddzielonego zasłoną

stolika i cały kubek przyjemnie chłodnego, pianistego żalu wylać kochanemu mężowi na łeb. „Myśl” to nie było zresztą właściwe słowo, w tamtej chwili przepełniła ją po prostu świadomość, że jest kobietą, która zrobi coś takiego; w morzu jej woli pływała tylko jedna ryba i był nią właśnie ten czyn.

Przez całą ciężą napady zmęczenia występowały u niej naprzemiennie z okresami fizycznej ekscytacji, lecz kiedy tak maszerowała do ich stolika, piątego, licząc od tylnej ściany, a waga dziecka rozkładała się idealnie po architekturze jej kości, Gwen czuła się wręcz niezwyciężona. Lewą dłonią, zdolną rozwalić sosnową deskę w drzazgi, a pustak skruszyć w drobny szary pył, szarpnęła koraliki zasłony. Pękły sznurki. Setki jasnobrażowych paciorków posypały się ze stukotem i brzękiem na podłogę, rozpraszając się na wszystkie strony i układając w spiralne kształty, które niczym cząstki w komorze mgłowej odwzorowywały cyrkulację *qi* wokół dłoni wojowniczkki z czarnym pasem.

Właściwie to Gwen powątpiewała w *qi* oraz w dziewięćdziesiąt siedem procent tego, co się w światku kung-fu twierdziło na ten temat, czyli w historyjki o ludziach, którzy potrafili unieść w powietrze honde, zmieniać tor lecących ku nim pocisków i rozwalać łby wojownikom potężnych armii, a wszystko za sprawą władzy nad magicznymi przepływami energii. Należy jednak dodać, że Gwen powątpiewała w jakieś dziewięćdziesiąt siedem procent wszystkiego, co ludzie sobą reprezentowali, przy czym obstawali lub co próbowali jej wcisnąć. I choć ostatnimi czasy do akuszerstwa przyłgnęła zła sława newage'owej abrakadabry – te kryształki, stany alfa, nagrania gongów i napary z korzenia pluskwicy – to większość położeń odznaczała się zawodowym sceptycyzmem, a sceptycyzm Gwen był w tym gronie ponadprzeciętny. Mimo to, stojąc wśród rozpryskujących się koralików, wyraźnie czuła, że coś w niej i wokół niej pulsuje. Gromiła teraz wzrokiem drania, który jakimś cudem zdołał ukryć całe swe cielsko za jej trzyprocentową ślepą plamką i wśliznąć się do jej życia.

Gdy tylko sylwetka Gwen wyrosła przy samym stoliku, Archy pojął cały scenariusz (żona, wtopa, koraliki, duży suff) z błyskawiczną intuicją właściwą wszystkim niewiernym facetom. W ciągu tej jednej chwili, pośród deszczu drewnianych paciorków,

jego oczy rozwarły się, gotów był przeproszać i protestować, lecz styropianowy kubek już się przechylił i pół litra lodowatego etiopskiego napoju wylało mu się na głowę.

– Kurde – powiedział, gdy mlecznobiały płyn ciekł mu po okularach i nosie, aż za kołnierz. Nie stracił panowania nad sobą, nie podniósł głosu, nie uskoczył w bok, nawet się nie otrząsnął, jak na psa przystało. Siedział tylko, pokapując, cierpliwie znosząc karę, jak gdyby to wszystko mieściło się w ramach pobłażliwości pantoflarza i było ceną za to, że ma się żonę, która jest nie tylko brzemienna, ale jak widać, niezrównowazona. – Przecież z nią tylko gadałem.

– Ja bardzo przepraszam – powiedziała Elsabet Getachew swym ochryłym głosem z nutką akcentu, ze spuszczoną głową usiłując wyśliznąć się z boksu.

Na głowie miała burzę loków, w sam raz, by usidlić tego czy innego męża. Mocno pachniała kuchnią, unosiła się nad nią woń orzechów, olejków i pomarańczowej przyprawy rozcieranej w dłoniach. Gwen odcięła jej drogę ucieczki, raz jeden mając satysfakcję ze swej nieustępliwej masy. Czekwała, aż młoda kobieta odważy się podnieść oczy i napotka jej żonine spojrzenie: mur, tama, pięść prawa. Dziewczyna uniosła wzrok. W jej sarnich oczach Gwen ujrzała winę wymieszaną z szyderstwem, lecz nade wszystko pogardę.

Nagle w głowie Gwen rozbłyły wszystkie światła. Spojrzała w dół, na swój brzuch, na zmechacony i powyciągany top, na wypchane kolana dzinsów z CP Shades, na obdarte czarne espadryle, w które ledwo wchodziła. A pod spodem! Niedorzeczny stanik, babcine majtasy!

– To cię nie usprawiedliwia – powiedziała Gwen słabiutkim głosem, ale zrobiła przejście.

Elsabet Getachew prześliznęła się koło niej i zniknęła w kuchni, za jeszcze jedną kotarą z koralików. Prócz szczęśliwej pary w sali było teraz jeszcze dziewięć osób i wszystkie z nieskrywaną uciechą śledziły urządzone przez Gwen widowisko.

– Czyli co? – zagaił Archy. – Nie wolno mi już utrzymywać kontaktów z lokalnymi przedsiębiorcami? Prowadzić dialogu? Jak

mamy tu walczyć z przestępczością, jeśli nie będziemy mogli sobie dawać cynku, wymieniać się informacjami?

– Wymieniać się informacjami – powtórzyła. – Aha. Rozumiem.

– Bo ty zawsze musisz zakładać najgorszy scenariusz. – Archy chwycił garść serwetek i zaczął nimi delikatnie oklepywać łepetynę, wycierać ociekające policzki. Pokręcił głową.

– Cóż, Archy. Prawdopodobieństwo – odparła Gwen. – Liczby nie kłamią.

Owszem (przyznała, gdy wyszedł za nią przez frontowe drzwi restauracji i ruszyli Telegraph Avenue do jej czarnego bmw cabrio, rocznik 1999), wyglądało to tak, jakby Archy i Elsabet tylko rozmawiali, i jeśli faktycznie tylko rozmawiali, to jej wybuch rzeczywiście był całkiem irracjonalny. Zważywszy, jak niewinnie to wszystko wyglądało, Gwen nie powinna była oblewać mu pięknego dyniowego golfa i tweedowych spodni napojem z Rogu Afryki. Owszem, wiedziała doskonale, że Archy często chodzi na lancz do Królowej Saby. Zdawała sobie sprawę, że pracuje tam Elsabet Getachew, bratanica właściciela, skądinąd całkiem sympatycznego. Nie, nie wymagała od męża, by zachowywał się niegrzecznie wobec koleżanki, a zarazem członkini Stowarzyszenia Kupców Dzielnicy Temescal.

– To jest po prostu upokarzające – usłyszała z własnych ust przewodnią myśl kodeksu honorowego jej matki i tak ją to zmroziło, że na karku poczuła pełzanie włoskowatych pajęczych nóżek; jeszcze chwila, a kamera się obróci, by ukazać palmę w donicy, upiorną chmurę papierosowego dymu i Roda Serlinga, oznajmiającego, że znaleźliśmy się w Strefie Mroku.

Stała tuż przed Archym, niemal nos w nos, żeby móc palnąć mówkę, nie podnosząc głosu:

– Ja już tak od trzydziestu sześciu tygodni. Jestem zmęczona, spasiona i hormonalnie niestabilna. I jest mi gorąco. Jest mi tak gorąco i jestem taka spasiona, że muszę nosić halkospodnie, żeby mi uda o siebie nie tarły. Więc tak, przyznaję, trochę mi odbiło. Może nie powinnam była wylewać ci na głowę suffu. Ale wiesz co? – To były podszepty estrogenu czy logiki? Umiała je jeszcze odróżnić? – Może jednak powinnam. Ponieważ nawet jeśli „tylko rozmawiałeś” z jakąś zabójczo piękną dziewczyną, Archy, to jest to upokarzające.

A ja mam tego dosyć. Muszę łązić po tym mieście, moim własnym mieście, i zastanawiać się, czy jak następnym razem zajrzę... bo ja wiem, do drogerii po wkładki na hemoroidy, to nie zobaczę przypadkiem swojego męża, jak przystawia się do farmaceutki.

Przykład z farmaceutką nie był czysto hipotetyczny.

– To jest żenujące. A ja mam swoją dumę. – Gwen przyłożyła dłoń do mostka, czując, że kolejne słowa cisną się na usta niczym potężne beknięcie. Zniżyła głos do szeptu, jak gdyby to, że musi powoływać się na pamięć jej ze wszech miar dostojnej matki, drugiej zaledwie Afroamerykanki, która ukończyła medycynę na Harvardzie, było największym upokorzeniem. – Za dużo mam do siebie szacunku.

– Stanowczo za dużo – przytaknął jej mąż.

– Przysięgnij mi, Archy – powiedziała. – Unieś prawą dłoń i przysięgnij na duszę swej matki, że ty i ta Chewbacca czy jak jej tam... nie kręcicie ze sobą.

– Przysięgam – powiedział Archy, nie popierając tego jednak żadnym gestem, który mógłby spowodować potępienie na nieboszczkę matkę.

– Prawa w górę – upomniała go Gwen.

Archy uniósł prawą dłoń niczym białą flagę.

– Przysięgaj. Na duszę matki. Nie tak cię przecież wychowała.

Przed wypowiedzeniem stosownych słów Archy zawahał się na moment i ten ułamek sekundy go zgubił. Wszelkie zapewnienia o godności własnej i szacunku do siebie samej rozsypały się jak leżaki na pokładzie przechylającego się statku. Gwen zerknęła w obie strony, upewniając się, że nie ma świadków, po czym zanurzyła dłoń w jego spodniach, tak że aż drapnęła ją w nadgarstek górny szeryf litery F w złotej klamrze paska Ferragamo. W worku bokserek jej palce wymacały ciężki, szlauchowy zwój; dalsze badania utrudniła na chwilę warstewka cielesnego kleju, słabego jak na karteczkach samoprzylepnych. Oswobodziła ze spodni lepkie palce, uniosła pod nos i krótko, acz wprawnie powąchała. Stragany, dym z rusztu, juki pełne soczewicy. Korzenny smród Etiopii: kurkuma, palone masło, sól z Morza Czerwonego.

– Skurwysynu. – W ustach Gwen przysięga, której Archy nie chciał złożyć, zwróciła się przeciw sobie samej jak komórka rakowa.

Jego żona wypowiedziała to słowo dopiero trzeci raz w życiu, pierwszy raz nie implikując wstydliwie cudzysłowu, tak więc niewiele było do dodania. Gwen okrążyła samochód ku drzwiom kierowcy, całkowicie ignorując zgniłozieloną kopertę z mandatem za parkowanie, zatknietą podczas jej nieobecności za lewą wycieraczkę. Ostrożnie wsunęła się między siedzenie a kierownicę i odjechała ze swą poturbowaną godnością i z mandatem furkoczącym na szybie, a dojmujące pragnienie suffu (dla jednego łyżeczka tej karmelowej ambrozji zniosłaby w tym momencie każdy afront wobec godności własnej, każdą skazę na swej dumie) miało w niej płonąć, niezaspokojone, jeszcze przez wiele dni.

Dom przy Stonewall Road był jedną z tych kalifornijskich konstrukcji z końca lat sześćdziesiątych, które do prawa powszechnego ciężenia podchodziły z dezynwolturą godną NASA: z zielonej próżni kanionu wyrastał zespół narożników na cienkich słupach. Z ulicy widziało się jedynie skrzynkę pocztową i wiatę, a sam dom czał się w dole zbocza, gotów wyskoczyć z tej kryjówki na przechodnia. Na środku podjazdu, górując nad nieodłączną kałużą wiecznie ciekącego oleju, rozsiadło się auto Avivy Roth-Jaffe, volvo kombi, którego wiek można było liczyć w dekadach. Na niebieskich tablicach na zamówienie widniał wytłoczony złotymi zgłoskami napis HEKATE. W którymś momencie jego żywota studolarowym wyrokiem lakierni Earl Scheib auto zostało skazane na kolor zbliżony do fluorkowej pasty Crest.

Gwen oparła się o bagażnik swojego samochodu i wzięła niespieszny, głęboki wdech. Strzepnęła z siebie wspomnienie ostatnich trzydziestu minut, a w każdym razie to, co się poluzowało; resztę trzeba było uklepać. Powiedziała sobie, że teraz czeka na nią praca, a z mężem, który przecież nadal będzie tym samym psem ciągnącym za sobą zapach obcej cipy, rozprawi się później. Zarzuciła na ramię czarną torbę treningową, w której miała pościel na zmianę, rękawiczki, lekarstwa, strzykawki, kleszcze oraz detektor tętna, i staszczyła to wszystko wraz z ciężarem własnym ze

spiralnych schodów prowadzących z ulicy do drzwi frontowych. Za jej plecami rozpościerało się porośnięte wilcami zbocze, a drewno schodów muskały gałązki jaśminu. Swą winoroślą smutnych trąbkowych paszcz ogromny milin zagarnął drewniany dom już niemal w całości, aż po ostry stodołowaty szczyt. Powietrze nad Stonewall Road miało zapach cedrowej kory, eukaliptusa i jodłowych polan płonących w piecyku. Dzwonki wietrzne na najniższej gałęzi cytryny Meyera leniwie szukały melodii. Na jednym z podłużnych okien przy drzwiach tkwiła samoprzylepna karteczka informująca strażaków, za ile kotów (trójkę) mają ewentualnie ryzykować życie. Z wnętrza domu dolatywał rozpaczliwy, żałosny ryk cierpiącego zwierzęcia.

– Dzień dobry? – zawołała Gwen, otwierając drzwi.

Przywitał ją niewielki czarny budda siedzący na niskim stoliku zaraz przy wejściu, gdzie dotrzymywał towarzystwa zdjęciom, na których widniała Lydia Frankenthaler, producentka oscarowego dokumentu o niedostatecznie zbadanym męczeństwie lesbijek w nazistowskich Niemczech, partner Lydii, Garth, a także córka Lydii z pierwszego małżeństwa z czarnoskórym mężczyzną, którego imienia Gwen nie mogła sobie w tej chwili przypomnieć. Chiński Budda był z tych, co mają przysparzać właścicielowi pieniędzy i szczęścia, wesoły, brzuchaty, z buzią dziecka. Przypominał Gwen jej kochanego męża, z tą tylko znaczącą różnicą, że kontynentalny bezmiar brzucha Archy’ego można było pocierać bardzo długo, nie odnotowując żadnych przyplływów gotówki.

– Halo, ktoś tu podobno rodzi?

– Tutaj, Gwen – usłyszała głos Avivy.

Lydia i Garth, adwokat ubogich, zdecydowali się na poród w dużym pokoju ze sklepieniem sufitem, gdzie od kanionu dzieliła ich zaledwie tafła grubego szkła. Ich córka (Arabia? Alabama? Jakieś geograficzne imię) siedziała z beznamiętną miną, oszołomiona widowiskiem, które robiła z siebie matka spoczywająca na środku pomieszczenia niczym kawał abstrakcyjnej marmurowej rzeźby. Dziewczynka trzymała na kolanach tekturowy prostokąt z przyklejonym trzystronicowym planem porodu, którego brzegi pomalowała mazakami w czterech kolorach: widać było kwiatki, winorośle i całkiem radosny płód, podpisany BELLA. Dwie niskie

sofy odsunięto pod ściany, żeby zrobić miejsce na szeroki, płaski przekładaniec skonstruowany z maty tatami, rozwijanej gumy piankowej o wypustkach jak z wytłaczanki oraz z zasłony prysznicowej z ogromnym autoportretem Fridy Kahlo. Garth, drobnokościsty, cienkonogi mężczyzna z rudą brodą i takąż szczeciną na głowie, spał na zaimprovizowanym łóżku.

– Dziewięć! – rzuciła Lydia w ramach powitania, a jej napięte, pokryte meszkiem pośladki uzupełniły to własnym komentarzem, kiedy je wypięła, układając się w asanę „pies z głową w dół”, chwytając w dłonie dwie widmowe garście podłogi. – Pełne rozwarcie!

– Próbowałam namówić Lydię, żeby zaczęła troszkę przeć – powiedziała Aviva.

Siedziała obok w kucki, a teraz odgięła się lekko do tyłu, studiując blade, podstarzałe ciało powtórnie brzemiennej. Z dezaprobatą, ale to zauważyła tylko Gwen, widząc usta przyjaciółki zaciśnięte po lewej, jak gdyby broniły się przed pocałunkiem. Aviva była boso, w luźnej bawełnianej sukience, którą włożyła na czarne, wzmacniane nylonem rybaczki, a jej skłębione czarne włosy z wirkami srebra ściągnięte były z tyłu w niestaranny kok. Na jej jasnych łydkach niebiesciła się szczecinka. Paznokcie miała pomalowane na głęboki czerwonawy kolor kakao, jak skóra tej całej Królowej Saby.

– Ale mamuśka nic, tylko takie o, wygłupy.

– Bo ja nie chcę przeć – odezwała się Lydia. Jej jogowy głos dobiegający z odwróconych ust i starannie wpasowany w rytm oddechu był ściśnięty bólem. – Dobrze, Gwen? Mogę jeszcze przez chwilę tak zostać? Tak jest mi znacznie lepiej.

Skoro Aviva twierdziła, że trzeba zacząć trochę przeć, to zdaniem Gwen trzeba było zacząć trochę przeć. Ta Alice Waters wśród położnych⁴ na pewno wiedziała dokładnie, kiedy należy wyciągnąć bagietkę z piekarnika.

– Hm, grawitacja ci sprzyja – spróbowała Gwen, mniej skora do cierpliwości czy kurtuazji niż jej współniczka, lecz gotowa dać przynajmniej jedną szansę nagiej rodzącej kobiecie z tyłkiem w górze i głową w dole. – Ale jeśli komukolwiek udało się wypchnąć

z siebie dzieciaka w pozycji „na scyzoryk”, to nic mi o tym nie wiadomo.

– Właściwie to mogłoby być ciekawie – dodała Aviva. – Może jednak powinnaś spróbować.

Choć słowa te wypowiedziano w żartach, ich ton, przynajmniej w uszach Gwen, nadal brzmiał krytycznie.

– Umyję tylko ręce i tak dalej, zaraz odpalimy UDT i popatrzymy, co tam się w środku dzieje – powiedziała Gwen, upuszczając torbę na fotel z czarnej skóry. – Cześć, słoneczko.

Arcadia. Właśnie!

– I co panienka Arcadia na to wszystko, hm?

Dziewczynka wzruszyła ramionami: w rozwartych oczach błyszczały łzy, ale nie były to łzy rozpacz. Nie popadając we frazesy i aluzje do Potrójnej Bogini, fazy Księżyca czy inne bzdury, trzeba było przyznać, że salon miał się zaraz zmienić w scenę rzeczy doniosłych i uroczystych. Któż miałby wczuć się w tę całą tajemnicę lepiej niż dziecko? Na pewno nie ten chudzielec Garth, kompletnie bez kontaktu, nadymany co chwila snem niczym jakiś miech, z paluchem wystającym z lewej skarpety.

– Trochę obleśne – odpowiedziała dziewczynka, unosząc wyżej plan porodu, jak gdyby chciała się nim przed tą obleśnością zasłonić.

Zgodnie z punktem siódmym pępowina miała zostać przecięta dopiero wówczas, gdy przestanie tętnić. W dwunastym był jakiś nonsens o sztucznym świetle. Nie żeby Gwen miała pokpiwać ze starannie przygotowanego planu porodu, ale opierały się one zawsze w dużej mierze na pobożnych życzeniach i abrakadabrach, a gdy sprawy przybierały taki obrót, jaki prędzej czy później zawsze musiały przybrać, niejeden plan okazywał się błazenadą.

– Bez urazy, mamó – dodała Arcadia.

– Nie musisz – sznurek bólu zaciskał się coraz bardziej – Na to. Patrząc. Kochanie. Mówiłam ci...

– Ale ja chcę zostać.

– Obleśne jest czasem ciekawe, co? – powiedziała Gwen.

Arcadia skinęła głową.

Lydia opuściła uda i osunęła się na kolana, zapadając się jak zamek z piasku. Odpoczywała tak, na czworakach, ze zwieszoną

głową i zamkniętymi oczami, jak gdyby miała zaraz odegrać jakąś zwierzęcą pantomimę.

– Będę teraz przeć – oznajmiła, po czym dodała tonem stewardesy: – Proszę więc wszystkich, żeby się zamknęli.

W jej głosie było coś dziwnego i niepokojącego, jakby brzęknął kieliszek z utajoną skazą. Garth natychmiast poderwał się do pozycji siedzącej i utkwiał w Gwen nieprzytomny wzrok, mrugając i wycierając usta rękawem.

– Co się stało? – spytał. Jego spojrzenie odkleiło się od Gwen i powędrowało po pomieszczeniu, z największym wysiłkiem wynurzając się z jakichś podmorskich głębin snu. Facet rozglądał się za noworodkiem, lecz odnalazł tylko żonę, z którą trudno było nawiązać kontakt wzrokowy.

– Wszystko dobrze, kotuś – powiedziała Aviva. – Tylko potrzebna nam będzie Frida Kahlo.

Gwen poszła do kuchni, żeby napić się wody i (jeśli nie w imię dumy, to gwoli aseptyki) zmyć z rąk resztki zapachu Elsabet Getachew. „To cię nie usprawiedliwia” – doprawdy, cięta riposta. Odradzające się wspomnienie dyshonoru zdusiła parą bezlateksowych rękawiczek. Wróciwszy do salonu, zobaczyła, że Fridę Kahlo przykryto pomarańczowym ręcznikiem kąpielowym. Lydia leżała na plecach, podparta starym kraciastym wałkiem, ukazując w całej okazałości blady brzuch, poznaczony naczynkami jak gałka oczna. Rodząca dobywała z siebie jakiś nowy odgłos, niski, warkotliwy, który przeradzał się stopniowo w krótki, donośny krzyk, by wreszcie rozkwitnąć eksplozją wulgaryzmów i przyprawić wszystkich obecnych o napad śmiechu.

– Niezłe – powiedziała Aviva. – Naprawdę niezłe.

Aviva mogła się poszczycić wprawnymi, opanowanymi dłońmi, które złapały już tysiąc noworodków, ale teraz, gdy nadszedł czas, ustąpiła pola współpracownicy, Gwen Shanks, i wirtuozerii jej rąk: wielgachnych, zwinnych jak dwa morskie stwory i solidnych jak liny mostu Golden Gate.

Ustępując miejsca Gwen, Aviva starała się zasygnalizować swymi nad wyraz ekspresyjnymi brwiami, że jej zdaniem coś tu nie gra, zaszło coś nieprzewidzianego w planie porodu, który leżał teraz pod krzesłem dziewczynki, zwiotczały i niemal zwinięty w rulonik.

W przypadku Avivy zakrawający na zdolności parapsychiczne talent do przewidywania niepowodzeń, zwłaszcza porodowych, nie był li tylko wyhodowanym na statystykach owocem zatwardziałego czarnowidztwa. Przy całym swym sceptycyzmie Gwen zbyt wiele razy była świadkiem jej nieprawdopodobnych, a jednak trafnych prognoz klęski, by lekceważyć przecucia współpracownicy. Zmarszczyła więc brwi, usiłując dostrzec lub chociaż wyczuć to, co zaniepokoiło Avivę, lecz bez skutku. Nim odwróciła się ku Lydii, po tamtym grymasie nie było już śladu.

– No dobra – powiedziała. – Sprawdźmy, co u naszej panienki Belli.

Okupując niemal każdy centymetr innym wersem modlitwy, Gwen zdołała schylić się na tyle, by kucnąć na podłodze. Osiągnąwszy tę pozycję, ujrzała, że wargi mniejsze Lydii Frankenthaler zdążyły już uformować się w ognisty krąg. Na tym posterunku kontrolnym przedstawiła swe listy uwierzytelniające umazana płynami kępka włosów, wysłanniczka ambasadorki z dalekich stron.

– Niezłe masz tempo – stwierdziła Gwen. – Już widać główkę. No to jedziemy. O mój Boże.

– Lydia, kochanie ty moje, pamiętasz, jak mówiłaś, że nie za bardzo chcesz przec? – powiedziała Aviva, kucając obok Gwen. – No to teraz poprosiłabym cię, żebyś przestała. Już nie przyj. Pozwól jej samej...

– Szybko idzie – stwierdziła Gwen. – Uważaj tam.

Zafalowała mokra skóra, rozległo się waginalne westchnienie i malutka dziewczynka wystrzeliła wprost w szerokie dłonie Gwen, twarzą ku górze. Oczka były otwarte, ospałe i rozemglone, lecz chwilę przed tym, gdy się rozpląkała, rozbłysły, jakby przyglądając się uważnie Gwen Shanks. Powietrze wypełniała gorąca woń, gdzieś między zapachem seksu a fetorem ubojni. Ojciec wydał z siebie krótkie „och” i wcisnął się na miejsce obok Gwen, by przejąć lepkie od mazi dziecko. Arcadia trzymała się z tyłu, wpatrzona w podekscytowanym osłupieniu w czerwień narodzin i w życie, które rozpalało się właśnie w dłoniach jej ojca. Owinęli noworodka luźno w pasiasty kocyk i kiedy Aviva, głaszcząc Lydię po włosach, pomagała jej unieść głowę, Garth i Arcadia dopełnili niezbędnych

formalności, przedstawiając sobie wzajem matkę, dziecko i pierś. Tylko Gwen, przykucnięta z drugiej strony srebrzystej pępowiny, zauważyła krew płynącą z pochwy Lydii silnym, leniwie pulsującym strumieniem, jak woda z przesyconej gąbki.

Jedynie dzięki swej rozległej praktyce i wrodzonej umiejętności bagatelizowania katastrof Gwen nie wymówiła podówczas trzech feralnych sylab: „O-kur-wa”. Aviva musiała jednak wywnioskować coś z jej twarzy i układu ramion, bo kiedy Gwen oderwała wzrok od krwi zbierającej się w zagłębieniu zasłonki prysznicowej w coś przypominającego czerwoną półdolarówkę, współniczka już obchodziła leżącą Lydię, żeby sprawdzić, co się dzieje. Ukucnęła za plecami Gwen jak sędzia, który opiera się na ramieniu łapacza, żeby lepiej się przyjrzeć nadlatującej piłce. Do tej pory woń współniczki (mieszanina skórki cytrynowej i spoconych pach) była dla Gwen ledwo wyczuwalna, choć działała na nią uspokajająco. Czekały w skupieniu na łożysko. Następną parę minut minęło w takt cichutkiego niemowlęcego pomlaskiwania. Aviva schyliła się, by lekko pociągnąć pępowinę. Zmarszczyła czoło. Z jej gardła dobiegło przeciągłe mruczenie, które przerodziło się w słowo „Hmm”.

Otoczająca głowę Lydii bańka rodzinnego szczęścia natychmiast pękła. Garth podniósł wzrok:

- Wszystko dobrze?
- Nie jest źle.

Gwen rozerwała rzepy apteczki, ułożyła ją na podłodze i lewą dłonią próbowała wymacać ampułkę z oksytocyną.

– W tej chwili łożysko nie bardzo chce się urodzić – wyjaśniła Aviva. – Wstydzisz się, a my byśmy chciały przekonać macicę, żeby zrobiła dla nas parę skurczów. Lydia, karm ją dalej, nie przestawaj. To najlepsze, co możesz teraz zrobić. Jak ci to idzie?

– Od razu znalazła cyca! – krzyknęła Lydia. W świecie, do którego się przed chwilą wprowadziła, wszystko było wspaniałe. – Przyssała się jak trzeba. I teraz sobie pije.

– To dobrze – odparła Gwen, odprawiając uważny strzykawkowo-ampułkowy rytuał: opukiwanie, wbicie na igłę gumowego korka, odczytanie podziałki. – Tak trzymać. A żeby mieć pewność, że tam w środku wszystko jest ciasne i skurczone jak trzeba, damy ci troszkę oksytocyny.

– Ale o co chodzi? – spytał Garth. Wyciągnął szyję, żeby zobaczyć, co się dzieje między nogami jego żony. Może i nie był to ocean krwi, ale wystarczyło z nawiązką, by wstrząsnąć niewinnym, świeżo upieczonym ojcem, po uszy skąpanym w poporodowej wierze w to, że świat jest z gruntu dobry. – O ja pierdolę. Zjebałyście coś?

Garth sam był chyba skrępowany tym bluzgiem, ale Gwen zaskoczyła jego niekłamana wściekłość. Uważała go za delikatnego i niezbyt zaradnego białasa z Berkeley, co to nosi spodnie ze ściągaczami i sandały Teva na skarpety turystyczne, a życie swe bez reszty poświęcił wspieraniu małżonki tak jak niektórzy mnisi służbie milczenia. Gwen nie wiedziała, że Garth i Lydia mieli za sobą szereg kłótni o poród domowy, że zdaniem Gartha upór Lydii, by rodzić w salonie, był kolejnym z wielu lekkomyślnych, ostentacyjnych przejawów niekonwencjonalności, podobnie jak odrzucenie oświadczeń Gartha, i to przy trzech (jak dotąd) okazjach. Garth wierzył w szpitale, szczepionki i usankcjonowaną prawem monogamię, a od swych klientów, ubogich czarnoskórych i Latynosów, przejął silne poczucie, że nad całą ludzką egzystencją unosi się widmo pecha i śmierci. A ponieważ spokojne, wygodne i spełnione życie nie doświadczyło go żadnymi przeciwnościami losu, spodziewał się, że w każdej chwili może mu ono przywalić z bekhendu, by w mgnieniu oka wyrównać tę dziejową niesprawiedliwość; co więcej, czuł nawet, że sobie na to zasłużył.

– Jest dobrze, tatuśku – powiedziała Gwen. – Będzie dobrze.

– Serio?

– Serio, serio. – Mocno naciągała, ale tylko dlatego, że mogła sobie na to z czystym sumieniem pozwolić.

Takie krwotoki się zdarzały; za chwilę zacznie działać oksytocyna, macica się skurczy, a łożysko, ów tajemniczy, przejściowy, skazany na zgubę organ, ukończy swój krótki pobyt na tym świecie. I będzie po wszystkim.

– Tylko że, tego... – zaczął Garth. Najwyraźniej, przemyślawszy sprawę i chcąc uniknąć powszechnej paniki, postanowił nie wypowiadać słów, które cisnęły mu się na usta, a potem jednak je wypowiedział: – Bo to po prostu nie wygląda za dobrze.

Gwen przeniosła migiem wzrok na ich starszą córkę, ale świat Arcadii ewidentnie skurczył się teraz do dzieciątka ssącego lewą

pierś mamusi oraz jej dłoni, którą ścisnęła w swojej.

– To w większości odchody – wyjaśniła Gwen. – Resztki tkanek, śluz, czyli wszystko, co dobre. Normalka.

– W większości – powtórzył Garth tonem mniej neutralnym niż oskarżycielskim.

– A może być tak, tatuśku, przyniósł nam ręczniki – zasugerowała Aviva. – I to sporo.

– Ręczniki – powtórzył Garth, uczepiwszy się chęci przydania się do czegoś.

– Tak jest – odparła Gwen. – No już, skarbie. Przynieś nam tu wszystkie ręczniki, jakie ci się tylko nawiną. Aha, i jeszcze podpaski.

Gwen miała co prawda w torbie nieliczny zapas, ale postanowiła omotać Gartha jakimś konkretnym misterium w nadziei, że ten przez kilka przynajmniej minut się z niego nie wyplącze. Kiedy prosiła własnego męża, żeby przyniósł jej tampaxa, twarz Archy'ego zawsze przybierała ten sam wyraz: było to coś między onieśmieleniem, jak gdyby szło co najmniej o zaawansowaną kosmologię, a najszczerzym lękiem, jak gdyby od samego kontaktu z tamponem mogła mu nagle wyrosnąć vagina.

Garth wyszedł z salonu, mrużąc pod nosem: „Ręczniki i podpaski”.

Aviva zadzwoniła do Aryego Bernsteina.

– Przepraszam, że zawracam ci głowę.

Opisała mu z grubsza sytuację, a potem wysłuchiwała tego, co ich zaprzyjaźniony położnik miał do powiedzenia na temat łóżyska Lydii Frankenthaler.

– Tak zrobiliśmy. Dobra. Okej. Dzięki, Aryeh. Obyśmy nie musiały.

– I co powiedział?

– Oksytocyna i masaż.

– Robi się – odpowiedziała Gwen.

Aviva rozpoczęła przygotowywanie do kolejnego parcia, a Gwen położyła dłonie na brzuchu Lydii i bezbłędnie wymacała twardą macicę. Zatopiła palce w ciastowatym brzuchu i poczęła go ugniatać z beznamietną delikatnością piekarza. Choć zgodnie ze swą regułą dziewięćdziesięciu siedmiu procent nie wierzyła w mistyczną zdolność wizualizacji, nie przeszkadzało jej to wyobrazić sobie przy

każdym zgięciu palców, że macica Lydii zaciska się, zwiera, zageścza niczym bryłka węgla w garści Supermana, przeistaczając się w twardy, lśniący, zdrowy diament.

Z łazienki gdzieś w głębi domu doleciał ich hałas zatrzaszczonych w farsowej panice szafek, stłukła się szklanka i Arcadia aż podskoczyła na krześle. Gwen być może też. Aviva ani drgnęła: właśnie wkłuwała Lydii drugą igłę.

– Arcadia, kotuś – powiedziała Gwen. – Jak tam?

– Dobrze.

– Trzymasz mocno rękę mamusi? Ściskasz?

Dziewczynka skinęła powoli głową. Była czujna. Gwen aż skręcało od fałszywej wesołości, która coraz wyraźniej wkradała się do jej głosu.

– A wiesz, co ja tu robię? Masuję mamie macicę. Ty na pewno wiesz, co to takiego macica, prawda?

– Tak.

– Och, no pewnie! Przecież mądra z ciebie dziewczynka.

– Hm, eee, Gwen... – wyjąkała Lydia, zapadając się głębiej w kraciasty wałek. Jej głowa zwisała teraz jak kwiat ze złamanej łodygi. Lewe ramię, w którego zgięciu kulił się noworodek, zaczęło się osuwać: usteczka z głośnym cmoknięciem puściły sutek. – Kurczę, słuchajcie, coś jakby, no nie wiem...

– Jakaś zmiana? – spytała Aviva.

– Trochę tak.

Gwen starała się nie patrzeć na współniczkę, gdy ta poszła po swoją jaskrawą torbę podróżną ze skaju, opatrzoną ironicznym, zrozumiałym dla wtajemniczonych napisem SULACO, z której poczęła wyciągać rurki, woreczki i barbiturany składające się na zestaw do iniekcji. Gwen kuciała, zanurzona po łokcie w cieście życia tej kobiety, wiedząc, że wszystko będzie dobrze, że to tylko kwestia hormonów i masażu, no i męża, którego tak przemyślnie posłały po podpaski i ręczniki. Wiedziała też, że natura obciążyła ją (czy może obdarzyła) czymś w rodzaju antyczarnowidztwa, które stanowiło naturalną przeciwwagę dla pesymistycznych prognoz jej współniczki. Gwen była mało podatna, może nawet całkiem niepodatna, na wyraźne oznaki niebezpieczeństwa czy porażki. Nie dlatego, że była optymistką, wręcz przeciwnie, lecz dlatego, że

każdą porażkę (dosłownie każdą, bez względu na to, czy nawaliła ona, czy wszechświat) tak bardzo brała sobie do serca. Jeśli na przedmieściach indyjskiego Bengaluru zawalił się most i autobus pełen dzieci runął w przepaść na pewną śmierć, Gwen czuła drobniutkie, acz uchwytnie mgnienie odpowiedzialności. Nawkładano jej kiedyś do głowy, że nie można przypisywać sobie sukcesów, o ile nie jest się gotowym wziąć na siebie winy za porażkę, więc by nie musieć robić tego drugiego, na przestrzeni lat Gwen wypracowała użyteczną taktykę, nie tyle świadomą, ile związaną z instynktownym uporem, polegającą zaś na tym, by zupełnie nie brać pod uwagę nawet ewentualności porażki. A właśnie porażkę musiałaby uznać, gdyby znad ugniatających ciasto dłoni spojrzała na Avivę, która swym posepnym, mierzącym wszystko i wszystkich spojrzeniem omiatała uniesiony pod światło woreczek z solą fizjologiczną, zaciskając jednocześnie usta w cieniutką linię katastrofy.

– Mamusiu, nie zasypiaj – powiedziała Arcadia. – Tatuś już niesie ręczniki.

Gwen pędziła korytarzem, krwawiąc ze świeżego skaleczenia na lewym policzku, jedną ręką podtrzymując brzuch i starając się nadażyć za Avivą, która próbowała z kolei dotrzymać tempa noszom na kółkach z Lydią Frankenthaler, prującym pod wodzą dwóch pielęgniarek i sanitariusza, który niemal przytrzasnął twarz Gwen drzwiami karetki, ku jednej z sal operacyjnych na urazówce. Teraz sanitariusz wjechał tyłkiem w obrotowe drzwi i poturkotał dalej wraz z pielęgniarką kierującą statywem kroplówki, a gdy drzwi za nimi już się zamykały, druga pielęgniarka obróciła się, by stawić czoła dwóm położnym. Mogła mieć tyle lat co Gwen, czyli trzydzieści kilka: chuda blondynka o popielatych oczach i włosach związanych gumką w kucyk, ubrana w fartuch z nadrukowanym logo Oakland Athletics.

– Bardzo mi przykro – oznajmiła, choć zupełnie na to nie wyglądała. – Będą panie musiały zaczekać tutaj.

Więc wydano na nie wyrok, skazano je i zesłano, lecz Aviva zrazu jakby się nie zorientowała, a raczej udała, że się nie orientuje. Jako Alice Waters wśród położnych od dawna borykała się ze szpitalami, czasem z powodzeniem, czasem bez, i choć z natury była jedną z najszczerzych i najbardziej bezpośrednich osób, jakie Gwen kiedykolwiek spotkała, to kiedy szła na bój z pielęgniarką, recepcjonistą izby przyjęć, a już zwłaszcza z położnikiem, ujawniał się jej talent bajerancki. Talent ów w mniejszym lub większym stopniu przydawał się niemal za każdym razem, gdy miały do czynienia ze szpitalami i firmami ubezpieczeniowymi. W takich sytuacjach Gwen zdawała się na Avivę i była jej wdzięczna, że tak sprawnie radzi sobie z nieodzowną w ich zawodzie dyplomacją. Zazdrościła Avivie tego, że z pozoru tak niewiele ją kosztuje lizanie dupy, łykanie bzdur i przymilność. Avivie zależało tylko na tym, by móc chwycić noworodki, i gotowa była rzucić na szalę wszystko prócz swej nienagannej reputacji w tej dziedzinie. Z punktu widzenia Gwen był to swego rodzaju luksus.

– Ależ oczywiście, nie ma sprawy, poczekamy – zaświergotała Aviva do pielęgniarki.

Z wielką ostentacją obejrzała swoją sukienkę z archipelagiem krwawych wysp i odprysnięty lakier na paznokciu dużego palca u nogi. Z taką samą częściowo udawaną dezaprobatą przyjrzała się policzkowi Gwen i obwisłym kolanom jej wysłużonych dżinsów z CP Shades. Następnie pokiwała głową, jednym uśmiechem przyznając, że nad współpracownikami unosi się aura brudu i nieładu.

– Ale jak się oporządziemy i przebierzemy w fartuchy, to już nie będzie problemu, prawda? – Aviva pochyliła się, żeby odczytać plaketkę pielęgniarki. – Prawda, Kirsten? Jeśli chciałabyś się skonsultować z doktorem Bernsteinem, to jestem pewna, że...

Gwen widziała, że pielęgniarka zastanawia się, komu w zaistniałej sytuacji przypadła rola Totalnej Pizdy, a przecież na to właśnie obliczony był gambit Avivy. Czasem okazywało się, że ów straszliwy obowiązek można delegować w nieskończoność, a innym razem miało się szczęście, trafiając na kogoś, kto był tak zmęczony albo zajęty, że miał to wszystko gdzieś.

– Bernstein utknął w korku – powiedziała Kirsten. – W tej chwili lekarzem prowadzącym jest doktor Lazar. Spytam go. Tymczasem

może sobie panie usiądą. – Spojrzała na Gwen i powiedziała: – Na pewno chciałyby pani usiąść.

„Sama se usiądź, suko jedna. To moja pacjentka i może w tym momencie wykrwawia się na śmierć”.

– Dziękuję – wycedziła Gwen. – Postoję.

Jej relacje z władzą, z dzierżycielami i instrumentami władzy, były (z konieczności) bardziej złożone niż w przypadku jej współpracownicy. Nie mogła z taką samą beztrąską podporządkować swojej dumy i godności dyktatom szpitalnej polityki i wydestylować z położnictwa jakiegoś podstawowego elementu, jakim dla Avivy było chwywanie noworodków. Ale tak jak skrzypek zna się na rodzajach drewna, tak Gwen znała się na władzy i umiała ją obejść. Dorastała w rodzinie lekarzy, prawników, nauczycieli i policjantów. Jej ojciec przez wiele lat był zastępcą prokuratora okręgowego w Waszyngtonie, a potem pracował jako prawnik w Departamencie Sprawiedliwości. Obie siostry jej matki były pielęgniarkami. Wujek Louis najpierw służył w drogówce, potem był śledczym, a teraz dorobił się posady szefa bezpieczeństwa na Uniwersytecie Howarda; jej brat Ernest kierował pracownią na Uniwersytecie George’a Masona. Gwen naturalnie doświadczyła w swoim życiu nieprzyjemności ze strony przedstawicieli białego establishmentu, ale nauczono ją wychodzić z takich opresji bez narażania na szwank godności: czasem wspomniała odpowiednie nazwisko, innym razem okazała respekt, autentyczny lub przynajmniej przekonująco udany. Zwykle jednak dawała lekarzowi albo funkcjonariuszowi odczuć, że wie, co to znaczy mieć zawodowe obowiązki.

– Ale dziękujemy ci, Kirsten, naprawdę – dodała Gwen, próbując zaświergotać, jednak nie sięgnęła głosem odpowiedniej nuty. – Doceniamy, że poświęciłaś nam czas. Wiemy, jaka jesteś zajęta. – Tu Gwen się uśmiechnęła. – A może faktycznie usiądę, co mi tam!

Jak gdyby robiąc Kirsten przysługę, Gwen z trudem wpasowała się w jedno z plastikowych krzesełek przyśrubowanych do ściany.

– No i naprawdę ktoś powinien obejrzeć pani ten policzek – stwierdziła pielęgniarka, choć Gwen miała wrażenie, że z oschłego tonu przebija troska nie tyle o stan policzka, ile o własną udręczoną osobę, wiecznie w służbie ludności miejskiej.

– Och, bardzo dziękuję, że tak się troszczysz – odparła Gwen. Chyba jednak powinna się wysilić nieco bardziej, bo z miny Avivy wywnioskowała, że (jak to określała jej współpracowniczka) zaczyna jej się ulewać. – A teraz bądź, kotuś, tak dobra i spytaj doktora, kiedy będziemy mogły zobaczyć naszą pacjentkę.

„Kotuś” przesądził sprawę. Kirsten odparła:

– Ta pani już nie jest waszą pacjentką.

Formalnie rzecz biorąc, sprawa przedstawiała się inaczej. W wyniku wielu lat ciężkiej pracy, konsekwentnie solidnej praktyki, ewoluującego z wolna lekarskiego światopoglądu i uporczywych wysiłków zainicjowanych przez założycielkę Towarzystek Porodu, a zarazem starszą położną, Aviva i Gwen mogły w pełni korzystać z akredytacji przy Szpitalu Ogólnym Chimesa, a więc miały święte prawo uczestniczyć w opiece nad Lydią Frankenthaler, która – póki sama nie postanowi inaczej – wciąż była ich pacjentką. Lecz tego wieczora Aviva i Gwen przyjechały karetką, w kłopotliwej aurze i w całkowicie niepotrzebnej eskorcie policji, która przyplątała się po drodze. Tak więc niczym parę roboczych buciorów uwalanych gnojem zostawiono je za drzwiami.

– Zaczekamy tutaj – wkroczyła do akcji Aviva. W jej tonie w idealnych proporcjach mieszały się obłudna słodycz i zawodowa troska, chociaż miksturę tę Aviva podkreśliła jeszcze przestrogą dla współpracowniczki, jakby ukradkiem dawała jej kuksańca: „Ulewa ci się, tamuj albo się zamknij, do cholery”. – Jak tylko porozmawiasz z lekarzem prowadzącym, to po nas przyjdiesz, prawda, Kirsten?

Gwen poszła za Avivą do łazienki, tłamsząc w sobie chęć przeprosin. Chciała zwrócić współpracowniczce uwagę, że jak ktoś ma białą skórę, to lizanie dupy jest pewnym wyborem i jeśli się bardzo chce, to można, ale dla czarnej kobiety jedynym słusznym wyjściem jest tego unikać.

Pochylone w ciszy nad osobnymi umywalkami, myły dłonie i twarze, z rozpaczą przyglądając się swym zniszczonym ubraniom. Chłupot wody w porcelanie tylko wzmagił ciszę. W lustrze współpracowniczka Gwen wzrokiem pustym z przerażenia przypatrywała się krwawym plamom – teraz Aviva naprawdę wyglądała na swoje czterdzieści siedem lat. Gdy ich oczy spotkały się w odbiciu, przegrane spojrzenie zniknęło w jednej chwili, przeszmurowane

przez granicę, zakapturzone i w kajdanach, wtrącone do jakiegoś karceru, dokąd Aviva Roth-Jaffe wysyłała takie uczucia na śmierć.

– Wiem – powiedziała Gwen. – Ulało mi się.

– Dosłownie – odparła Aviva, zbliżając się, żeby obejrzeć krzywdę, którą wyrządziły policzkowi Gwen drzwi karetki.

Już przestało krwawić, ale kiedy Aviva dotknęła rany, u samego dołu zaperliła się świeża kropelka. Skaleczenie, nie większe od ziarnka granatu, miało brzydki różowy kolor. Od razu było widać, że zostanie blizna, a ponieważ Gwen miała skłonność do keloidów, już zawsze będzie się mogła cieszyć pamiątką po tym cudnym dniu. W myślach znów odwinęła się klisza: potknięcie i błysk, gdy jej twarz zderzyła się ze skrajem metalowych drzwi.

– Musi być szew – oceniła Aviva. Nachyliła się jeszcze bardziej. – Może nawet dwa.

Wyszły na korytarz urazówki i po kolejnych paru minutach upokarzających umizgów Avivy zaprowadzono je do gabinetu, gdzie dostały igłę, nici chirurgiczne i imadło. Gdy przyszła pora na nowokainę, Gwen usiadła na rękach i kazała Avivie szyc bez wahania.

– Jeden szew zniosę bez niczego – powiedziała.

– Lepiej przygotuj się na dwa.

– No to dwa.

– Macho, jebaniutka.

– I tak się zaraz rozbeczę, to chociaż będę miała powód.

Igła wgryzła się w skórę, a Gwen wciągnęła gwałtownie powietrze.

– Aua. Aj!

Aviva, oddychając z poświstem przez nos, przeciągała szew z surową delikatnością. Gwen skupiła całą uwagę na wisiorku dyndającym z rzemyka w dekolcie współpracownicy. Julie Jaffe zrobił go na zajęciach z wypalania szkła w *The Crucible*⁵. Urocze, tajemnicze cacko: malutka planeta ze szkła, łąza błękitnych pozaziemskich mórz, zielonych kontynentów i czap polarnych o lodowatym niebieskawym odcieniu. Odkąd Gwen go znała, Julie był kartografem innych światów, czy to na papierze (gazetowym, milimetrowym), czy to na luminoforze ekranu komputerowego. Gwen przypomniał się miniaturowy szklany glob, który dostała od

niego rok wcześniej na Gwiazdkę. Spytała wtedy, co go natchnęło, a teraz starała się w jego odpowiedzi znaleźć jakąś pociechę, a przynajmniej azyl przed igłą chirurgiczną: „Tam właśnie mieszkam”. Aviva wbiła igłę po raz drugi i wtedy Gwen się rozpląkała. Obyło się bez wielkich scen, w końcu obie współpracownice miały nerwy ze stali. Żadnego szlochania. Żadnych rozpaczliwych kwęków. Po prostu zebrało się trochę łez i teraz się wylały, szczypiąc w świeży szew. Właściwie było to całkiem dobre uczucie.

Łzom dała tylko tyle czasu, by Aviva zdążyła przyciąć nici drugiego szwu, odłożyć imadło, ściągnąć rękawice i podać współpracownice chusteczkę. Gwen przetarła nią oczy, po czym wydmuchwała nos, trąbiąc potężnie.

– Nie wpuszczą nas – stwierdziła gorzko.

– Raczej nie.

– A gdzie Bernstein?

– Wtedy był gdzieś w centrum. Czyli jedzie.

– My musimy być tam, u niej. Będą chcieli usunąć macicę, już ja ich znam. A przecież wystarczyłoby, gdyby trochę poczekali. A ten Lazar? Co to za facet?

– Nie wiem.

– Powiedz, że wszystko z nią będzie dobrze.

– Będzie dobrze.

– Powinam była wcześniej zauważyć.

– Zauważyłaś, jak tylko się dało. Czyli od razu.

Gwen skinęła, spuszczając głowę i gniotąc w garści chusteczkę. Podniosła się i zaczęła chodzić po gabinecie, potem przystanąła i objęła się ramionami, wciskając je między krągłość brzucha a biust. Usiadła, wstała i znów wydmuchawszy nos, jeszcze raz przespacerowała się po pomieszczeniu. Wiedziała doskonale, że nikt by tam, w salonie Frankenthalerów, nic nie poradził, ale to tylko pogarszało sytuację, z jakiegoś powodu jeszcze wzmagając jej poczucie winy. I zupełnie nie oczyszczał jej z zarzutów fakt, że gotowa była obwinić także kilka innych osób.

– Jak oni mogą nas tam nie wpuszczać!

– Wyluzuj – powiedziała Aviva ścisłym głosem, sugerując, co Gwen w lot pojęła, że mówi za głośno.

Gwen zauważyła zresztą, że udało jej się wytrącić współpracę z równowagi, ale z niejasnych dla niej przyczyn czuła też w związku z tym pewną satysfakcję. Już drugi raz tego dnia miała wrażenie, że wdziera się na teren jakiejś wewnętrznej kwarantanny, w zakazaną strefę uczuć, za którą rozpościera się już tylko *pon farr*, kompletny amok. Nie byłoby w porządku, gdyby przez Avivę miała się tam udać sama.

– Mam już tego dosyć – oznajmiła Gwen. – Serio. Słuchaj.

– Słyszę cię doskonale, Gwen.

– Daj spokój. Za ciężko na to wszystko pracowałaś. Obie zasłużyłyśmy, żeby nas tu lepiej traktowali.

Pisk tenisówki o płytkę podłogową: spłoszone współpracki obróciły się ku drzwiom gabinetu, w których wyrósł młody lekarz o różowej facjacie i glacy ogolonej niemal do skóry, na której tu i ówdzie testosteronowe łysienie pozostawiło swe widmowe szewrony. W jego oczach nie było ani krzty życia, a to, co miał do powiedzenia, zmęczyło go, jeszcze zanim otworzył usta.

– Doktor Lazar – przedstawił się. – Udało się ręcznie wydobyć łożysko. Stan pani Frankenthaler jest stabilny, macica wygląda na dobrze obkurzoną. Zatrzymaliśmy krwotok. Wyjdzie z tego.

Współniczki stały w całkowitym bezruchu, smakując tę wieść jak spragnieni, którzy wciąż nie mogą uwierzyć, że właśnie kapnęła na nich kropelka deszczu. Potem padły sobie w objęcia i trwały tak, w mocnym uścisku. Gwen, na wpół ogłupiała z ulgi, pijana nią, trzymała się kurczowo Avivy, jak gdyby pokój wirował jej przed oczami i tylko w ten sposób dało się go zatrzymać.

Doktor Lazar przyglądał się tej fecie oczami flądry, uśmiechając się nikiem jak szuler z asem w rękawie.

– Czy mogłyby panie... – powiedział, odczekawszy chwilę, nie dość jednak długą, by dało się to uznać za wspaniałomyślność. – Hm, więc tak. Czy któraś z pań wytłumaczy mi może, jak zdołałyście tak zawalić ten poród?

– Że co proszę? – spytała Gwen, puszczając Avivę. Oszołomienie przeszło jej równie gwałtownie, jak się pojawiło.

– Jeszcze dziesięć minut okadzania szałwią czy innego wudu, które sobie tam panie odstawiały, i ta mamuśka...

– Wudu? – powtórzyła Gwen.

Doktor Lazar palnął coś, czego niewątpliwie miał wkrótce żałować, lecz jego twarz, zamiast się skrzywić, stężała w lodową skałę. Zaczerwienił się też po same czubki uszu.

– Wie pani co? – powiedział. – W cholere.

Obrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu, a Gwen zauważyła, że na tyłku spodni chirurgicznych tkwi przyklejony fioletowy skittles. Z jakiegoś powodu na widok resztek cukierka uczepionych lekarskiej dupy wezbrało w Gwen nikłe współczucie dla tego znużonego młodziana o rybich oczach, któremu doskwierało w dodatku łysienie plackowate. I już nie mogła się powstrzymać.

– Gwen! – krzyknęła Aviva, ale było za późno, a zresztą do diabła z nią.***

Godzinę temu, gdy przywiani pośpiechem wpadli tu z podjazdu dla karetek (sanitariusz wykrzykiwał polecenia, domagając się noszy, zahukany Garth toczył wokół dzikim wzrokiem, podrygując, jakby strasznie chciało mu się łać, i ściskając w ramionach noworodka, którego ktoś musiał zaraz nakarmić, więc Aviva wyszarpnęła z plecaka buteleczkę enfamilu i odkręciła ją z cmoknięciem, a wkoło rozeszła się ta charakterystyczna odżywkowa woń witamin i sera, przecież ta cudna, spragniona dziecinka potrzebowała każdego grama), Gwen nie zauważyła, że tego wieczora na urazówce Szpitala Ogólnego Chimesa jest spory ruch.

Wyglądało na to, że wszystkie gabinety są zajęte. W pogoni za doktorem Lazarem Gwen dojrzała kątem oka bladą, pokrytą jasnymi włoskami goleń, rozoraną czerwienią. Jakaś żałosna nastolatka w siatkarskim stroju ściskała rękę wygiętą pod iście surrealistycznym kątem. Młody człowiek z dredziatkami nachylał się nad zlewem, uczepiony obiema dłońmi brzegów, jakby zaraz miał zwymiotować. Pod całą scenę podłożony był kompletnie dysharmonijny dźwięk brzęczących telewizorów i powszechnej udręki: paplanina SpongeBoba, niedźwiedzie charknięcia jakiegoś starca, soczyste bluzgi pięknej Azjatki, której właśnie wyciągano coś z żywego mięsa dłoni, przeraźliwe wrzaski jakiegoś malucha przytrzymywanego przez ojca, by laborantka mogła odszukać żyłę.

Przed ostatnim gabinetem, tuż przy poczekalni, młody Latynos kiwał się na krześle, przykładając do twarzy zakrwawiony okład z lodu, a z pomieszczenia dobiegały pogodne krzyki lekarza, który napominał po angielsku jego pokaleczonygo towarzysza, jak gdyby ten był nie tylko głuchy, ale i opóźniony w rozwoju.

– Jestem pielęgniarką – oznajmiła Gwen, z trudem opanowując głos, gdy już udało jej się dogonić Lazara. – Proszę mi powiedzieć, że się przesłyszałam i że nie użył pan przed chwilą terminu „wudu” w odniesieniu do mojej certyfikowanej praktyki położniczej.

Lazar przystanął w progu poczekalni, gdzie, jak sądziła Gwen, zamierzał poinformować Gartha i Arcadię, że z Lydią wszystko w porządku, co było z pewnością znacznie istotniejsze (w jakimś chłodnym, cichym zakątku swego jestestwa Gwen doskonale zdawała sobie z tego sprawę) od wszelkich racji, które ona mogła w tej chwili przedstawić. Odwrócił się ku niej, zrezygnowany, podejmując wyzwanie jak posłuszny żołnierz, który dosiada wierzchowca, by wyprawić się wprost w dolinę śmierci.

– Wiem, że coś tam panie paliły – powiedział. – Ta kobieta jeszcze tym pachnie.

– Kadzidelko ylang-ylang – wtrąciła Aviva, dopędzając ich wreszcie i stając tuż przy współpracownicy, jak gdyby chciała rozdzielić lekarza i Gwen własnym ciałem. – Jej mąż palił je w pierwszym okresie porodu. Ona lubi ten zapach.

– U tej kobiety... – powiedziała Gwen. – U Lydii... doszło do zatrzymania łożyska i krwotoku: faza zerowa, przejście w fazę pierwszą. Atonia macicy. I wstrząs hipowolemiczny.

– Zgadza się – przyznał zniecierpliwiony lekarz.

– Mimo że brała suplementy. Mimo że od razu podałyśmy jej oksytocynę i od razu przystąpiłyśmy do masażu macicy. Czyli zrobiłyśmy dokładnie to samo, co zrobiłby na naszym miejscu pan czy jakikolwiek inny lekarz. Mylę się?

Lazar zamrugał oczami, nie chcąc ustąpić ani o krok.

– Więc niech mi pan powie, panie doktorze, ile mieliście w tym miesiącu przypadków przyrośniętego łożyska? Ile krwotoków poporodowych? Zaryzykuję: ze sześć?

– Nie wiem tego.

– Dziesięć?

– Nie znam odpowiedzi, pani Shanks, ale coś pani powiem. Kiedy takie rzeczy zdarzają się tutaj, u nas... i kiedy jest krwotok... bo to się oczywiście zdarza. Więc jeśli to się zdarzy tutaj, to wtedy, do jasnej cholery, pacjentka już jest w szpitalu! Czyli tam, gdzie powinna być od początku.

Gwen zerknęła w bok, na młodzieńca z połową twarzy pod okładem z lodu, na jego drugie oko, otępiałe, błędne, na knykcie obrzęknięte jak przejrzałe truskawki.

– Wie pan co? – powiedziała Aviva, wyciągając palec, którego tak lękali się wszyscy kochający ją ludzie, w tym Gwen: zniknęło gdzieś Berkeley, na wierzch wylazł Brooklyn i nagle stojąca tuż przed lekarzem Aviva z bufora bezpieczeństwa przeistoczyła się w zagrożenie. – W ciągu piętnastu lat nie straciłyśmy ani jednej matki. I ani jednego dziecka. Czy ten wasz szpital ma podobne sukcesy? Nie. Tak się składa, że bardzo dobrze o tym wiem, tak samo jak pan.

– Kto by w ogóle chciał tu rodzić? – zawyrokowała Gwen, na wpół do siebie, osłaniając wydatny brzuch dłonią niczym amuletem albo tarczą.

– Mówimy o *porodzie* – oznajmił lekarz. – No naprawdę, czy to mnie odbiło, czy może jednak to właśnie jest jedna z tych rzeczy, których nie powinno się próbować w domu? W końcu nie chodzi o prostowanie włosów.

W poczekalni ktoś gwałtownie wciągnął powietrze. Ostry, łobuzerski kobiecy głos powiedział przeciągle: „O jaaa pierdooolę”.

– Ty rasistowska... – zaczęła Gwen – mizogińska...

– A dajże pani spokój! Z czym mi tu pani wyjeżdża!

Lazar odwrócił się na pięcie i wszedł do poczekalni, kręcąc głową i wymachując we wzburzeniu rękami: ludzie często zmieniają się w złych aktorów właśnie wówczas, gdy są najszczerzy. Gwen dotrzymała mu kroku. Wszyscy w poczekalni unieśli głowy z tym samym neutralnym, ale bacznym wyrazem twarzy, w oczekiwaniu, a może i w nadziei na ciąg dalszy widowiska.

– Nie prowokuj mnie – wycedziła Gwen, czując, jak jakaś struna, naciągana od wielu, wielu lat, pęka z przepyszny i straszliwym brzdękiem. – Nie waż się mnie prowokować, ty łysy konowale, specu od cesarek, ty zmoro ubezpieczycieli.

„Ta-jest! Dobrze gada! Jedziesz, mamuśka!”.

Gwen stała tuż przy nim i już tylko materiał bluzki oddzielał od niego jej pokaźne ciało, jej brzuch, jędrną kopułkę jej sterczącego pępka. Lazar cofnął się, zdradzając cięć lęku.

Wtedy podniósł się ze swego miejsca Garth, w rozpaczliwie sztywnych ramionach trzymając noworodka niczym jakiś rzadki instrument muzyczny, niejasny konglomerat piszczałek i pęcherzy, na którym zaraz każą mu grać. Z jego oszołomionych błękitnych oczu wyzierał strach i patrząc na niego, Gwen poczuła ukłucie wstydu. Arcadia, skulona w plastikowym fotelu, obudziła się i zaczęła płakać.

– Pan Frankenthaler? – spytał lekarz.

– Wszystko z nią w porządku, Garth – powiedziała Aviva. Podbiegła do męża Lydii i masowała mu teraz ramię. – Wszystko z nią dobrze. Będzie dobrze.

– Pan pozwoli ze mną, panie Frankenthaler. Zaprowadzę pana do żony – zaproponował Lazar.

– Ona nie jest moją żoną – odparł Garth z głębi swego oszołomienia. – Mam na nazwisko Newgrange.

Lazar ukląkł przed Arcadią i łagodnym szeptem powiedział coś, co było przeznaczone tylko dla niej. Mała skinęła głową, pociągając nosem, a on odgarnął jej z oczu gruby czarny lok z wilgotną od łez końcówką, zostawiając na policzku lśniący ślad. Nagle był najmiłszym lekarzem w całym wszechświecie. Potem wstał, Arcadia chwyciła się rąbka ojcowskiej wiatrówki i ruszyli za Lazarem do sali operacyjnej. Dwie sekundy później w drzwiach znów zjawił się Lazar i wycelował w Gwen palec, być może nieświadomie parodiując niedawny popis Avivy.

– Wszystko zaprotokołuję – powiedział.

Pierś Gwen falowała od ciężkiego oddechu. Święta racja już całkiem się w niej wypaliła, ostatni zbiornik poszedł na finalną podniebną eksplozję.

– Może pani być tego pewna.

– Słyszeliście, jak on się do mnie odezwał? – spytała Avivę i wszystkich innych w poczekalni, ale w jej głosie drżała nutka wahania, jak gdyby chciała się upewnić, że te słowa nie padły jedynie w jej wyobraźni. – „Wudu”. „W końcu nie chodzi

o prostowanie włosów”. Słyszeliście? Wiem, że wszyscy tu słyszeli, co ten facet wygadywał.

Aviva delikatnie ujęła łokieć Gwen, mówiąc ściszym głosem:

– Słyszałam. Rozumiem.

– *Rozumiesz?* Szczerze wątpię.

– Oj, daj spokój. – W tonie Avivy pobrzmiwało niefortunne echo głosu Lazara. – Rany boskie, Gwen. Przecież jestem po twojej stronie.

– O nie, Aviva. Po mojej stronie to jestem ja. I tylko ja. Bo nie słyszałam, żeby którykolwiek z tych rzeczy powiedział do ciebie.

Wyszarpnąwszy ramię z rąk współpracownicy, Gwen powlokła się do drzwi poczekalni i dalej korytarzem, przez zadaszone wejście do urazówki aż na podjazd, gdzie wciąż stało volvo HEKATE, niezmiennie błyskając awaryjnymi. Wraz z popołudniową bryzą późnego lata doleciał ją zapach oceanu. Gwen zaczęła dygotać. Spazm wezbrał w ramionach i barkach, ale wkrótce dreszcze wstrząsały już całym ciałem. Tego dnia prawie nic nie jadła, co samo w sobie było straszne, haniebne: do porodu jeszcze dwa miesiące, a ona już zdążyła zostać wyrodną matką. Teraz dopadł ją straszliwy głód, a jednocześnie czuła się tak, jakby miała za chwilę wymiotować. Piekły ją szwy na policzku. Tu, za drzwiami szpitala, cuchnęło petami i popiołem, a w powietrzu wisiała smużka świeżego dymu. Odwracając się, zobaczyła dwie młode kobiety, które widziała w poczekalni. Obie miały szeroko otwarte oczy i karmelowe loki, pewnie były kuzynkami, może nawet siostrami, przy czym jedną z nich zaawansowana ciąża rozděła do rozmiarów jeszcze bardziej monstrualnych niż Gwen. W aurze radosnego zniecierpliwienia dzieliły się teraz koolem, jak gdyby zaraz po wypaleniu przynajmniej jedną z nich czekało coś dobrego.

– Cześć – zagaiła Gwen, a tamte parsknęły śmiechem, jakby palnęła coś głupiego albo jakby głupia była sama z siebie, niezależnie od tego, co mogłaby palnąć.

To między innymi one z jawną radochą kibicowały przed chwilą jej publicznej awanturze z doktorem Lazarem. Ta w ciąży zaciągnęła się teraz z ową dziwną niecierpliwością, mierząc Gwen wzrokiem, jakby potwierdziła się jakaś dawno przyjęta teoria.

– Akuszerka? – spytała.

Gwen skinęła głową, siląc się na wygląd godny i kompetentny, jak przystało na chlubę swej profesji i swojego ludu. Ciężarna upuściła niedopałek na ziemię i przydeptała go, a potem obie się odwróciły, ruszając z powrotem na urazówkę; pierwsza miała na nogach japonki, które szurały przy każdym kroku, klapiąc o gołe stopy.

– O, i widzisz – zwróciła się do towarzyszki. – Od takiego wieśniactwa to lepiej z daleka.

Mniej więcej wówczas, gdy dziecię Frankenthalerów wysupłano z czerwieni matczynego brzucha na świat, Archy już po raz drugi tego dnia wytoczył się przez frontowe drzwi swego domu i stanął na najwyższym stopniu werandy, umyty, wytarty i wysikany, w świeżutkiej miętowozielonej koszuli z lnu i w lnianym garniturze barwy kajmakowej. Tylko nad jego dumą unosił się być może wciąż leciutki zapaszek sezamu. Archy rozprostował ramiona, żeby poprawić mankiety: w owej chwili mógłby posłużyć jako ilustracja kluczowej części podręcznika *Jak chwytać dzień*. Choć ten konkretny dzień już raz schwytał, Archy był gotowy, o ile zajdzie taka potrzeba, schwytać skurwiela jeszcze raz.

A dzień był niewątpliwie piękny i wart chwytania: w kalifornijskim Oakland piękniejsze się nie zdarzały. Z wypalonej mgły pozostało jedynie coś miękkiego, delikatnego jak wspomnienie z dzieciństwa, a ciągnące się wzdłuż rozpachnionego chodnika kępy rozmarynu i fioletowej szaławii grzały się w rozmazanych, ruchliwych promieniach przesianych przez gałęzie araukarii. To kapryśne zimozielone drzewo, olbrzymie, kolczaste, panowało niepodzielnie nad ogródkiem zbudowanego w 1918 roku i uginającego się pod własnym ciężarem bungalowu Archy'ego i Gwen. Wcześniej mieszkał tu niesympatyczny stary Portugalczyk nazwiskiem Oliveira. Gdy Archy był dzieckiem, mówiło się, że gdzieś w tym domu jest pokaźna kolekcja spreparowanych ludzkich głów, które pan Oliveira zebrał podczas długiej kariery we flocie handlowej; w każdym razie ludzie z okolicy dbali o to, by domostwo cieszyło się złą sławą, zwłaszcza w Halloween, i czasem, gdy Archy

wracał do domu jesiennym wieczorem, na wspomnienie tych legendarnych łypiących czerepów znów czuł to samo dziecięce podniecenie, korciło go nawet, by zadzwonić i uciec. Do dziś nie zapomniał, jak osobliwą zgrozą przepełnił go przelotny widok jednego z wielu tatuaży pana Oliveiry. Było to coś jak z powieści Nathaniela Hawthorne'a: strzępiasty prostokąt, gruba atramentowa krecha, którą wykreślono w kurdybanowej skórze nadramienia, by niczym piórem cenzora wymazać widniejące tam wcześniej imię czy też podobiznę, których pamięć, z przyczyn całkiem zagadkowych, okazała się wstrętna.

Archy poklepał kieszeń na biodrze, by się upewnić, że tkwią tam *Rozmyślenia*.

Schodził po frontowych schodach z rezygnacją, skostniałą (w najlepszym stoickim stylu) w coś na kształt postanowienia. Wiedział, że postąpił źle, i był gotów odpokutować, uregulować rachunki. Był zdecydowany wrócić do Brokeland Records, otworzyć na oścież drzwi przed aniołem zagłady handlu detalicznego i jeśli będzie trzeba, własnoręcznie sprowadzić swój okręt na mieliznę. Mimo to zamierzał przyjąć tę porażkę chłodno, z fasonem, a przede wszystkim z autentyczną godnością, obcą tak jego żonie, jak i jego współnikowi, polegającą zaś na tym, że nigdy nie dostaje się pierdolca ani też nie okazuje się urazy czy też krzywdy tym, którzy są owej urazy bądź krzywdy przyczyną.

Usłyszał warkot słabo wytłumionego silnika z klasycznej ery Detroit i z niejasnym przeczuciem nadciągającej katastrofy patrzył, jak w Sześćdziesiątą Pierwszą Ulicę wjeżdża niczym nawracający koszmar oldsmobile toronado, rocznik 1970. Samochód był w fatalnym stanie: niegdysiejsza zieleń przemalowana na biel dawała w efekcie kolor pleśni, a smugi i pląty rdzy sprawiały, że widoczny bok auta wyglądał jak pasek zjełczałego bekonu.

Archy był fanatykiem przypakowanych amerykańskich fur z dekady, która rozpoczęła się wraz z rokiem jego narodzin, czyli w 1968, i która, w jego opinii, wykładanej po wielokroć przy kontuarze Brokeland Records, za sprawą niezliczonych egzemplifikacji, ustnych przypisów i neologizmów, była również najbardziej przypakowaną erą w muzyce czarnej Ameryki. To do Archy'ego zresztą należał el camino zaparkowany na podjeździe,

rocznik 1974, cynamonowy metallic, z miłością i znanstwem utrzymywany w dobrej kondycji z pomocą niejakiego Sixto Cantora, zwanego też Eddiem⁶, który piastował z nadania Archy'ego katedrę elcaminologii stosowanej w warsztacie Motor City: Serwis–Blacharstwo–Usługi. Więc nawet gdyby Archy nie wychował się z tym konkretnym toronado, będąc w pewnym sensie jego starszym bratem, jako autor wciąż niespisanego *Przewodnika po brykach z epoki funku* rozpoznałby po emblemacie GT na masce i podwójnym wydechu rok produkcji podupadłego egzemplarza, który właśnie zajeżdżał pod jego dom. Z chromowanych akcesoriów zostały się tylko białe plastikowe mocowania, a maska trzymała się wyłącznie dlatego, że związano ją złachanym nylonowym sznurkiem, zapętlonym wokół atrapy, której brakowało z kolei kilku skrzydełek, przez co nieszczęsne auto miało głupawy, szczerbaty grymas Leona Spinksa. Archy mógłby przysiąc, że na tylnym siedzeniu mignęła mu niebieska plastikowa walizka Samsonite, którą jego babcia zwykła zabierać na wycieczki koleją turystyczną do Reno. Z tylnego okna po prawej sterczała smukła lampa halogenowa w stylu art déco, trochę jak ta, od której zajęło się mieszkanie Lionela Hamptona.

– O nie – powiedział Archy, orientując się, że to jednak dzień z gatunku tych, kiedy najlepiej jest pamiętać, przykład biorąc z Marka Aureliusza albo i Williego Hutchy, że wszystko, co związane z ciałem, to rzeka, a co z duszą, to sen i mara; że życie to wojna i przystanek chwilowy w podróży, a po śmierci już tylko zapomnienie⁷. – Jedźcie dalej w swoją drogę.

Widać było, że pojazdem nie kieruje Luther. Choć przez pamięć Archy'ego przewaliła się teraz cała galeria intergalaktycznych dziwadeł i dziadów, którzy mogliby zasiadać za sterami tej starganej międzygwiazdnej fregaty z lat siedemdziesiątych, gorzki instynkt natychmiast podpowiedział mu Vallettę Moore.

No i oczywiście. Jęknęły żałośnie zawiasy, jak gdyby ktoś otworzył na oścież kryptę pełną mściwych truposzy, i z auta wyszła Valletta Moore. Grubokoścista, kształtna, dobrze (a raczej tragicznie) po pięćdziesiątce, z wysoką talią, wysokim biustem i trójkątną, kocią twarzą. Oczy brązowe jak szkło butelki od piwa, skóra świetlista, cynamonowa, jakby i ją Sixto Cantor potraktował

lakierem. Od ich ostatniego spotkania musiało minąć dziesięć, może jedenaście lat.

– O rany. Ratunku.

– Wiem, że mnie pamiętasz.

– Pamiętam, że nie zawsze byłaś taka elegancka.

– „Ratunku” – powtórzyła jak echo Valletta, kręcąc głową i zsuwając znad bursztynowych oczu kopulaste okulary w białych plastikowych oprawkach. – Chyba wiem, kto cię tego nauczył.

Gdy Archy przyglądał się Valetcie, już w zasięgu jej perfum, pamięć podsunęła mu w błyskawicznym rozdaniu kilka obrazów, wśród których niewątpliwym asem był upojny spektakl: Valletta Moore w roku 1978, goląca nogi u jego ojca w kalifornijskim El Cerrito, podglądana przez uchylone na kilkanaście centymetrów drzwi łazienki. Smukłą prawą stopę oparłszy na podłodze, a lewą, wygiętą w łuk, na lśniącym brzegu wanny, Valletta pochylała się jak zegarmistrz nad swym zadaniem: odsłonić pas brązu po wewnętrznej stronie biało namydlonej długiej lewej nogi. Włosy miała okręcone ręcznikiem, lecz poza tym jej silne ciało było nagie, zuchwałe jak flaga. Architektonika jej pośladków była dla Archy’ego czymś głębszym jeszcze niż wspomnienie, wykraczającym prawie poza granice pamięci: archetypem, matrycą dla wszystkich innych tyłków, już na zawsze wdrukowaną w samą strukturę rzeczywistości.

– Valletta – powiedział, uznawszy, że adresatka wciąż mimo wszystko wygląda nieźle.

Zignorował spidermański instynkt, a nim zebrał w sobie resztki rozsądku, ona zdążyła wziąć go w objęcia, a że miała na sobie wiązany na szyi top, zaraz uczuł na ramieniu chłód jej nagiej skóry, wciąż wydzielającej tę samą mocną woń świec zapachowych Spencera i sandałowego kadzidła jak wówczas, w 1978 roku, nawet jeśli tłumił ją teraz fetor petów i zapaszek purée z proszku, czyli dokładnie to, czego można by się spodziewać po wnętrzu rozjechanego w trzy dupy toronado.

– Ożeż ty – mruknął.

Dopiero kiedy go puściła, Archy dostrzegł jej usta ściągnięte w wąziutką kreskę. Rozejrzała się w obie strony. Niespokojna, spłoszona, chciała się kryć, uciec: prosto w jego objęcia.

W niezwykle wrażliwym dołku brzucha Archy'ego przelekle neuroprzekazniki z drzeniem odnotowały, że ojciec znów musiał się wpakować w jakieś tarapaty. Od razu pomyślał, że pewnie jest w to zamieszany Chandler Flowers, najlepszy kumpel ojca z dawnych czasów. Przypomniawszy sobie Flowersa, który zajrzał tego dnia do sklepu i spośród wszystkich możliwych pytań zadał właśnie to: „Tatę widziałeś ostatnio?”. Jakiś czas temu Luther przyczytał się ponoć w West Hollywood, tak przynajmniej Archy słyszał, nie żeby kiedykolwiek dążył do tego, by wiedzieć, co, gdzie, kiedy i z kim porabia jego ojciec.

– Ha, no tak, kopę lat, Valletta – powiedział pogodnie, postanawiając udać, że kupuje tę historyjkę: na Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy znalazła się przypadkiem, akurat przejeżdżała autem Luthera, zobaczyła Archy'ego na werandzie i uznała, że się zatrzyma, żeby zamienić parę słów. Jak gdyby pod osiemdziesięcioma kilogramami żywej, trzydziści lat kumulowanej wagi faktycznie była w stanie rozpoznać nastolatka, w którego marzeniach odegrała krótką, choć niezwykle intensywną rolę. – Wiesz co, muszę lecieć, bo, teges, do sklepu idę i w ogóle, ale słuchaj...

– Archy, nie... Nie, zaraz, moment...

– Tak że... miłego dnia. Okej? Nie, serio. Naprawdę muszę spadać, przepraszam. Ale niech to będzie taki miły, naprawdę dobry dzień.

Za jego chłopięcych lat w okolicy widywało się człowieka, który nazywał się Joseph Charles. Co dnia wystawał na Oregon Street przy Grove Park, przywdziawszy jaskrawożółte rękawiczki. Machał do wszystkich mijających go aut, oferując każdemu kierowcy, bez względu na rasę, wyznanie, płeć czy stopień otwartości, jedno (sztuk 1) autentyczne, szczere powitanie. W jego manierze, śmiałej i pogodnej, była też doza formalizmu, wskazująca, wciąż w granicach uprzejmości, na bezosobowy charakter całego przedsięwzięcia. Intencją pana Charlesa nie było powitanie konkretnej osoby – po prostu przypominał wszystkim, że tak jak reszta ludzkości korzystają właśnie z zacnego przywileju, jakim jest bycie witany. Podobnie zachowywał się Archy wobec kobiet, kiedy wyczuł, że za chwilę zwrócą się do niego z jakimś problemem.

Uściskał czule ramię Valletty i ruszył w swoją stronę. W głębi duszy wiedział jednak, że daleko nie zajdzie; w każdym razie jeszcze nie teraz. Jak wielu porzuconych synów, zdawał sobie sprawę z istnienia tajemniczego, niespłacalnego długu wobec człowieka, który był w rzeczywistości jego wiecznym dłużnikiem.

– Archy, chodzi o twojego tatę – powiedziała, przedkładając mu ów niespłacalny rewers. – O Luthera.

Gdy uniosła okulary przeciwsłoneczne, dwie bliźniacze eksplozje żółtobrazowego ognia trafiły go prosto w serce. Wstrząśnięty gorzkimi śladami czasu i zepsucia, patrzył na polepioną tuszem pajęczynę rzęs.

– Taa?

Valletta jeszcze raz rozejrzała się w obie strony, upewniając się co do wszystkich szelestów w mrocznych zakamarkach, omiotła swą paranoją ten cichy jak sadzawka zaułek, wraz z miniaturowym placem zabaw, który jakiś bezimienny wielbiciel dzieci ukrył jak pisanekę w trawiastej wysepce na samym środku Sześćdziesiątej Pierwszej Ulicy. Archy’emu przyszło do głowy, że Valletta jest na haju, co tłumaczyłoby, czemu zachowuje się jak postać z Pynchona. Kiedy ostatnim razem ktoś, mimo jego zdecydowanego oporu, zdołał opowiedzieć mu o Lutherze, była to wspaniała, budująca opowieść o ascezie, trzeźwości i pokucie. Gdzieś na południu Lutherowi trafił się sędzia, który nie dość, że pamiętał film *Strutter*, to w dodatku nie był nigdy synem podsądnego, toteż, uboższy o to doświadczenie, postanowił dać Lutherowi Stallingsowi szansę i przekazać sprawę Komisji do spraw Osób Uzależnionych. Ponoć Luther oferował później zadośćuczynienie bardzo wielu ludziom, rozsianym po dwóch kontynentach (konkretna liczba osób miała wynosić 1751). Od tamtego czasu minął co najmniej rok, a jedyne zadośćuczynienie, jakie Archy gotów był wtedy przyjąć, sprowadzało się do tego, by Luther, w stanie swej nieskazitelnej trzeźwości, obiecał mu przez telefon, że da mu, kurwa, święty spokój aż do końca świata.

– Wejdziemy do środka? – spytała Valletta, wzdychając niecierpliwie, a zdesperowany Archy uczeplił się nadziei, że tylko zachciało jej się siku. – Do ciebie?

– Nie – odparł Archy, nie starając się już jej oczarować czy urobić. Zaczynała się przez niego przesączać gorycz roku 1978 i tamtego

mieszkania w El Cerrito, już pamiętał, jak Luther i Valletta zostawiali go tam na całe noce samego, a w telewizji był tylko Wolfman Jack i jakiś film, w którym szatańska lalka o rekinich zębach kąsała Karen Black po kostkach. Teraz chciał wiedzieć tylko jedno: w jakie debilne tarapaty pakował go tym razem Luther Stallings i ile konkretnie będzie go to kosztować krwi i skarbów. – Przysłaś tu, żeby coś powiedzieć, więc mów. Nie żartuję, Valletta, naprawdę muszę spadać.

– Mhm, no tak, ani trochę się nie zmieniłeś – powiedziała i lodowate diody rozbliły gdzieś w głębi tych oczu, które latem 1977 roku przeszły na wskroś nie tylko duszę Archy’ego, ale całej młodej czarnej Ameryki, spoglądając z okładek pism takich jak „Jet” czy „Sepia” i objawiając się w całym splendorze (kung-fu-pióra-futro-i-skóra) jako oczy Candygirl Clark w jednym z ostatnich filmów blaxploitation z tamtej epoki, *Strutter 2. Spuszczony z łańcucha*, gdzie Valletta wystąpiła u boku szczupłego, muskularnego i pięknego Luthera Stallingsa, tu w swej najsłynniejszej roli. – Ciągłe zero luzu, smutne pysio i na wszystkich patrzysz wilkiem, a już zwłaszcza na ojca i jego kumpele.

– Aha, czyli dalej się kumplujecie.

– Wróciliśmy do siebie. Wiesz, do trzech razy i tak dalej.

Udało mu się przegapić czas, gdy drogi Luthera i Valletty przecięły się po raz drugi, z równie katastrofalnym skutkiem, ponieważ Archy tak sprytnie zaplanował służbę w armii amerykańskiej, że zbiegła się w czasie z geopolityczną chcią Saddama Husajna.

– Znaczący jest w mieście?

Patrzyła na niego przeciągle, zaczepnie, nie mając najmniejszego zamiaru niczego zdradzać, jeśli dalej będzie musiała sterczeć na chodniku.

– A teraz ty zjawiasz się tutaj. Czyli co, Luther cię przysłał, tak? I po co właściwie?

– Luther nie ma pojęcia, że przysłałam. Bo gdyby miał... – Ugryzła zausznik okularów, jakby nagle wyobrażała sobie wściekłość Luthera, wraz ze wszystkimi konsekwencjami. – Wie, co o tym wszystkim myślisz, i szanuje twoje uczucia.

– Czyli kasy nie chcesz.

– Właściwie... – odparła – ...to chcę. Wezmę, ile możesz dać. Bo musimy stąd zniknąć, i to na zawsze.

Gdy szło o Luthera, Archy nie musiał się zbytnio wysilać, by utwardzić serce; ta glina, od wielu lat na wolnym ogniu, była już całkiem nieźle wypalona. Złość, uraza, wzdarda, wstręt: wszystkie te uczucia trzymał syn Luthera na podorędziu duszy, na wszelki wypadek, tak jak *Rozmyślenia* w kieszeni na biodrze. Musiała tu jednak zadziałać jakaś nieuleczalna głupota właściwa synom przegranych ojców, ponieważ wcale nie poszło tak łatwo. Trzydzieści sześć lat tego gówna, a facet wciąż potrafił Archy'ego rozczarować.

– Nie spytam czemu – oznajmił Archy. – Bo jeśli mi nie powiesz, to nie będę wiedział, i tyle.

– Nie mogę tu, na ulicy, wchodzić w szczegóły, Archy.

– Nawet nie wiesz, jak bardzo się cieszę.

– Twój tata... Luther... – Przez kilka sekund walczyła ze sobą, zaciskając mocno wargi i opukując je w zamyśleniu prawą pięścią, jakby szukała odpowiednich słów. Wreszcie dała za wygraną. – Już trzynaście miesięcy nie ćpa i nie pije.

– Aha. Miodzio.

– No i, hm, ma coś tam na widoku. Chciałby kuć żelazo, co nie? Póki gorące.

– O, nie wątpię – powiedział Archy, myśląc sobie, że lepiej nie dałoby się tego opisać. Tak właśnie przedstawiała się zawsze przyszłość w odniesieniu do Luthera Stallingsa: sterta rozżarzonych sztab żelaza, które kuć można by było tylko za cenę poparzonej skóry. – Niech zgadnę: możliwości inwestycyjne?

Znów zdała się na swe piorunujące spojrzenie, jednak tym razem najwyraźniej Archy był na nie gotowy lub też przestawało na niego działać. Opuściła okulary na nos.

– Szczerze mówiąc – powiedział Archy – mam nie najlepsze przeczucie.

Chan i Luther odpięli ciężki łańcuch między dwoma słupami i już po chwili toronado tkwiło w najciemniejszym zakątku nocy, na końcu zwirowego parkingu. Chan niósł strzelbę. Chrzęściło im pod nogami, gdy w oparach eukaliptusa wspinali się po zboczu, do ustronnego miejsca, które sobie kiedyś upodobali, by snuć rozmaite plany podboju świata. Gdy tam dotarli, Chan odwrócił się, wziął zamach i cisnął strzelbę w mrok. Zawirowała jak śmigło, by po chwili upaść z metalowym brzękiem gdzieś w gąszczu za ich plecami. Potem usiedli ramię w ramię na swojej ławce, tam, gdzie Oakland pięło się najwyżej. Spoglądali na ulice, mosty i autostrady, wyszyte nićmi światła na ciemnych płótnach wody i nieba.

Budując famę bezwzględnego *pistolero*, której jednym z kluczowych składników miała być czystość, Trumniarz nie pił nigdy, a popalał z rzadka, lecz gdy Luther podsunął mu teraz paczkę koolów, Chan dał się skusić na jednego. A ponieważ Luther miał jeszcze w kieszeni kurtki zero siedem miętowego sznapsa Rumble Minze, Trumniarz przehandlował ostatki swej poronionej legendy za niepewną obietnicę ukojenia.

– Złapał się za nadgarstek i tylko tak siedział i się na niego gapił – powiedział Chan, wycierając usta. – Mięcho, jucha. Kikut. Mankiet marynarki w strzępach. A on taki spokojny, opanowany. Była ręka, nie ma, zwisa jakaś krwawa szmata, a ten się tylko gapi.

– Popcorn Hughes – powiedział Luther z podziwem.

– Luther, ja muszę zniknąć.

– Gdzie? – Luther poczuł, że lęk wzdyma mu klatkę piersiową jak nabrzmiały balon. Ledwo starczyło mu tchu na kolejne dwie sylaby: – L.A.?

Takie rozwiązanie nasuwało się samo: zajrzeć na chwilę do domu matki Luthera, zgarnąć stamtąd płócienną walizkę i trzy skrzynki po produktach Berkeley Farms, wszystko spakowane i gotowe do drogi. Rano dotarliby do L.A., zakupy Chan zrobiłby już na miejscu. Potem tylko wyniuchać jeden z gównianych lokali konspiracyjnych, gdzie Chan mógłby się jakiś czas przechować. I pomachałoby sobie, pa, pa. Odstawiłoby scenkę, w której każdy rusza swoją drogą, ku własnemu przeznaczeniu, póki Chanowi znów nie powinie się noga na tych jego machinacjach, a on sam nie przekona się raz jeszcze, niezbitcie, że ufając tylko sobie, źle zainwestował, że spryt nigdy nie zastąpi

mu farta i nie uchroni go przed kolosalną, ba, wrogą obojętnością, z jaką świat traktuje wszystko, co lęgnie się w intelekcie czarnoskórego mężczyzny. Tak jak partia, do której przystał za późno, ale i zbyt młodo, Chan przypominał zgubiony kwit bagażowy, sekwencję fotografii poklatkowych, w których uchwycono moment łamania obietnicy. Był królem zamkniętej przestrzeni, uwięzionym w skorupce orzecha. A Luther miał już tego potąd. Żał mu było nawet tego czasu, jaki zdążył zmarnować, odkąd zadzwonił jego agent. Miał z tego powodu wyrzuty sumienia, choć równocześnie współczuł Chanowi.

– Chyba że... – zaproponował, chcąc się na coś przydać. – Chyba że Chicago, bo tam sporo Panter, co nie?

Chan nic nie odpowiedział.

– No to Maroko. Albo Hiszpania.

– Hiszpania – powtórzył Chan, a Luther niemal usłyszał, jak jego usta wykrzywiają się w szorstkim uśmiechu. – Ekstra pomysł. Zwiąć do Hiszpanii. I zostać *toronado*.

– Ale czemu nie? Przecież wszyscy czarni rewolucjoniści wieją do Maroka, do Hiszpanii. Do Paryża. To były ich porachunki, nie twoje. Więc nie ma, że to tamto, muszą się tobą zająć.

– Kto?

– No, partia.

– Stary, gdybym ja miał takie chody, żeby stąd spierdolić na drugi koniec świata, tobym się nie musiał nikomu podlizywać i robić z siebie takiego idioty.

Luther przypomniał sobie, że gdyby iść ścieżką dalej w górę, mijając stoły piknikowe, natknęłoby się w końcu na ułożoną z kamieni piramidę, którą zostawił po sobie dawno temu jeden stary, brodaty i ostro zryty poeta, gdy w Oakland były tylko bagna, stajnie i kowbojski hotel⁸. Przyjeżdżali tu ze szkołą na wycieczki, żeby oglądać biały gospodarczy domek i wielki, niezgrabny pomnik poety na koniu o nieco mongoloidalnym wyglądzie. Piramidę z kamieni, a kawałek dalej kamienną platformę, którą zbudował z myślą o własnym stosie pogrzebowym. Dzień za dniem, w spiekocie, facet układał kolejne głązy jak wersy w tych swoich nudnych poematach. I przez cały czas, gdy tak stawiał jeden głaz na drugim, marzyło mu się, że te wszystkie oaklandzkie bandziory, ci

dziwkarze, bandyci, złodzieje ziem i mordercy Indian, ci łupieżcy i opiumiści spojrzą pewnej pięknej nocy ku zielonemu zboczowi i ze zdumieniem przyglądać się będą płonącemu poecie. Chociaż, o ile Luther pamiętał, nic z tych planów nie wyszło. Ale, pomyślał, tak to na ogół bywa z planami.

– Skoro ty jesteś idiotą... – powiedział Luther. – To kim ja jestem w tym układzie? – Ponieważ pytanie było z gatunku retorycznych, Luther gładko przeszedł do kolejnego: – Akurat coś mi się trafiło fajnego, więc po co miałbym ryzykować, rozbijając się po West Oakland jako twoje zakapiorskie taxi? – spytał. – Wy tłumaczysz mi? Żeby marksistowscy gangsterzy mogli rozwalić gang psów łańcuchowych kapitalizmu, a potem przejąć ich prochy i kasę?

– Możesz jechać – odparł Chan. – Ciebie to nie dotyczy. No już, spadaj.

Luther nie zdążył udać, że nawet nie rozważa tej szczodrej propozycji, gdy kątem oka dostrzegł błysk księżyca, jasny paznokietek światła. Chan wpatrywał się w pistolet: tak jak strzelba, wzięty niewątpliwie z partyjnego arsenału, który zgodnie ze swą oficjalną funkcją Trumniarz miał inwentaryzować i utrzymywać nie tylko w stanie gotowości bojowej, ale i w tajemnicy. Czterdziestkapiątka, niebrzydka, najpewniej całkiem nowa. Na widok Chana, który ważył broń raz w jednej, raz w drugiej dłoni, jak ciężki wolumin, z którego można wyczytać równie ciężką odpowiedź, Lutherowi stanęło serce.

– Co chcesz z tym zrobić? – spytał.

– Spróbować jeszcze raz – odparł po długiej chwili Chan. – Dowiedzieć się, do którego szpitala zawieźli Popcorną.

Udało mu się w końcu wygodnie ułożyć rękojeść w dłoni, po czym dodał:

– I za drugim razem nie nawalić.

– Może powinieneś z kimś to najpierw przegadać? Może Huey będzie zadowolony z tego, że mu już trochę tego Popcorną ujebałeś.

Panorama Oakland u ich stóp zaczynała się rozmywać we mgle. Cisza tak zgęstniała wokół dwójki przyjaciół, że zrobiło się niemal podniosłe. Węgielki papierosów rozpały się z leciutkim trzaskiem, a mgła syczała jak gaz w napoju.

– Pamiętasz, co twój wujek Oogie zawsze robił w twoje urodziny i na Gwiazdkę? – odezwał się w końcu Chan, po czym bezbłędnie spapugował mamrotliwe, przeciągłe samogłoski Oogiego: – „Słuchej, yyy, chciałem ci kupić wiatrówkę”. I myślał, że będziesz mu tak samo wdzięczny, jak gdyby naprawdę ci ją kupił. To co, mam iść do Hueya i powiedzieć: „Yyy, słuchej, miałem ci ukatruuupić Popcoorna Huughesa, ale yyy...”?

– A czemu nie?

– A czemu nie? – powtórzył Chan, ale tak, by zabrzmiało piskliwie i dziecinnie. – Łatwo ci mówić. No bo co, jak już się zjawisz na tym swoim planie filmowym, to powiesz, że zapomniałeś kwestii? Idzie reżyser, a ty: „Słuchej, yyy, miałem się, kuurwa, wykuuuć, ale, yyy...”?

– Nie.

– Zrobiłbyś tak?

– Nie!

– To czemu mnie namawiasz?

– No dobra – powiedział Luther. – To jazda.

– Że niby gdzie?

– Trzeba... hm, trzeba się stąd zwinąć. Jedź ze mną. Do L.A. Tam się gdzieś zabunkrujesz. Wiesz, San Pedro. Long Beach. – Luther starał się wykrzesać z siebie zapał do własnego pomysłu albo przynajmniej go zamarkować. – No i, tego, Ensenada.

Było za ciemno, by Chan mógł dostrzec, że oczy Luthera nie współgrają ze słowami, ale i za ciemno, by Luther mógł stwierdzić, czy jego towarzysz się zorientował.

Podnosząc się, Chan wpuścił czterdziestkępiątkę w kieszeń na biodrze. Szczęknęła tam o zapasowe naboje.

– Obudziłem się dziś rano – powiedział – z całą masą wspaniałych intencji. Że wykażę się przed Najwyższym Sługą Ludu, wyręcę go w coś, co mu bardzo nie leży. Że się zakręcę, wkręcę i może za rok będę już miał pod sobą oddział Panter w Oakland. I wtedy się przyjrę księgowości. Zobaczę, co nie styka, gdzie się kasa marnuje, te sprawy. Zaprowadzę jakiś porządek, dyscyplinę. A teraz co? Gówno. Ja to *muszę* naprawić. Ale ty jedź, Luther. Masz coś fajnego, to łap się i nie puszczaj.

Głos mu się załamał, a z powstałej szczeliny dało się słyszeć chłopca, którym jeszcze tak niedawno był. Przerażliwie nieśmiałego, zawsze z nosem w książce, który prócz własnej porcji niewyczerpanego jadu brał od starego Flowersa również za siostry i braciszka, jakby nie mógł się nasycić. Na myśl o tym chłopcu, którego już nie było, Luther pożałował nielojalnych myśli, choć nie wyzbył się ich całkowicie. Objął profesorskie ramiona przyjaciela, mówiąc:

– To już się za bardzo pokopało, Chan. Nie naprawisz.

– Pewnie nie.

– Musisz stąd pryskać. Mówię ci. Pojedziemy do L.A., zadekujesz się tam. Przeczekasz.

– Doceniam ten gest, Luther – odparł Chan. – Już i tak narobiłem ci dość kłopotów.

– To jedź gdzie indziej.

– Gdzie?

– Gdziekolwiek, gdzie da się dojechać autobusem.

– Może tak zrobię – powiedział Chan, by zamknąć temat.

Dopili miętowego sznapsa i podnieśli się z ławki, zostawiając za sobą miejsce, gdzie pewien zapomniany kalifornijski marzyciel śnił, by ogień uwiarygodnił jego chwałę. Obrócili się i ruszyli z powrotem w dół, ślizgając się niekiedy, do zaparkowanego auta. W milczeniu dojechali nim do podnóża miasta, gdzie błękitna kopuła stacji Greyhounda piętrzyła się niczym obietnica przygody. Gdy już byli blisko, okazało się, że przy krawężniku stoi radiowóz oaklandzkiej policji, lecz nim zdążyli rozważyć zarzucenie planu „dworzec autobusowy”, z budynku wyszedł gliniarz, wsiadł do wozu i odjechał.

Luther miał w portfelu trzysta dolarów, bo tylko tyle mu zostało z zaliczki. Podał je Chanowi.

– Tak że teges – powiedział.

Stali twarzą w twarz przy bagażniku toronado. Wąziutkie szparki tylnych świateł przypominały nacięcia w masce Batmana, który przygląda się im, mrużąc sceptycznie oczy. Przybili kilka piątek, jeden drugiego na chwilę przytulił do piersi. Na pożegnanie Chan próbował wcisnąć jakiś kit, jak to złapie autobus na północ, aż na Alaskę, albo może jednak kopsnie się na południe, do Zatoki

Meksykańskiej, żeby tam porobić na krewetkowcach. Zasłona dymna: Chan nie był z tych chłopców, co zadanie zostawiają nierozwiązane, żarcie niedojedzone, cipki niedoruchane. Nie miał najmniejszego zamiaru iść na dworzec ani wsiadać w autobus do Północnej Pipidowy. Czekał tylko na odjazd Luthera, żeby dokończyć to, co zaczął. Bo przecież trzeba było dokończyć.

– Ale tak serio – powiedział Luther. – Co chcesz zrobić?

– Nie musisz tego wiedzieć, Luther. Jedno ci powiem: jak już będzie po wszystkim, będę mógł chodzić z podniesionym czołem.

– Wierzę.

– A ty pilnuj, żebyś mógł robić to samo. Trzym, kurwa, fason. I rób swoje.

– Sie wie.

– Słowo?

– Sie wie.

Luther starał się nie okazywać zniecierpliwienia i nie dać po sobie poznać, jak bardzo chciałby zostawić za sobą Chandlera Bankwella Flowersa III z jego kubkiem zsiadłych ambicji. Zostawić za sobą Oakland, Berkeley i wszystkich tutejszych pajaców. Wszystkie złamane obietnice i stosy, których, gdy przyszło co do czego, nikt nie podpalał.

– Masz teraz farta, dobrą passę – pouczał go dalej Chan. – Dobra passa to dobra rzecz, wiadomo. Ale tylko tyle. Czaisz? Bo przede wszystkim musisz robić swoje.

Luther skinął głową, „Jasne, jasne”, chociaż przed oczami miał reklamy, które widywało się na kartkach „Ebony” i „Esquire”: długi, nisko zawieszony toronado, rocznik 1970, szczerzący swe krokodyle zęby w uśmiechu, a u góry strony slogan: Z TAK ZRYWNYM WÓZKIEM MÓGLBYŚ NATYCHMIAST PRYSNAĆ!

– Wiem, co to znaczy – powiedział Luther.

– Że jak? – spytał Chan. – O czym...

– Wiem, co znaczy *toronado*.

Chan zmarszczył czoło, a gdy przypomniał sobie wcześniejszą rozmowę, bruzda na czole jeszcze się pogłębiła. – No to dawaj.

Ale Luther tylko pokręcił głową.

– Nie musisz tego wiedzieć.

Potem zapiął pasy swego zrywnego wózka i wypruł ku autostradzie Nimitza, ku San Jose i Los Angeles: tam czekał na niego świat, czekała fortuna.

Luther dowiedział się potem, że tego dnia nad ranem ktoś zastrzelił Popcorną Hughesa w jego łóżku w szpitalu Summit. Jedynym podejrzanym był niezidentyfikowany czarnoskóry mężczyzna, którego świadkowie pierwszej napaści, w barze Kapka Miodu, opisali jako ubranego w maskę, mającą przypominać (świadkowie byli co do tego zgodni) tę, którą nosił T'Challa z komiksów Marvela, pierwszy czarnoskóry superbohater, zwany też Czarną Panterą.

Zabójcy nigdy nie zatrzymano. A toronado przegrzało się w obszarze Grapevine, zaraz na północ od Lebec, i trzeba je było holować przez granicę hrabstwa Los Angeles.

– Czyli szuka inwestorów – zgadł Archy.

Valletta udała, że przypatruje się czemuś w oddali, jakiemś szczegółikowi hen za placem zabaw, za Berkeley, za wulkanem Lassen, i nic nie odpowiedziała, pokręciła tylko leciutecznie głowę, a kąci jej ust wykrzywiły się do dołu, co mogło oznaczać dezaprobatę dla Archy'ego, Luthera, siebie samej albo dla wszystkich razem; ramiona wściekle skrzyżowała pod biustem, zastanawiając się chyba, jak to możliwe, że dała się wciągnąć w kolejne cwaniactwo Luthera, że nie dał się w nie wciągnąć Archy lub też że świat wciąż nie umie docenić i pewnie nigdy nie doceni geniuszu Luthera Stallingsa.

– Ciągle gada o tym cholernym filmie?

– A jak myślisz?

Pogrzebała w torebce i wyciągnęła coś, co wyglądało na boks z trzema DVD, zatytułowany *Strutter. Trylogia*. Na okładce atrakcyjne zbliżenie: pociągła twarz, orli nos, a wszystko w aureoli afro, czyli klasyczny Luther Stallings, circa 1973, w roli genialnego złodzieja Willy'ego Struttera. Miały to być odrestaurowane albo cyfrowe wersje trzech filmów: *Strutter*, *Strutter 2*. *Spuszczony*

z łańcucha i *Strutter 3. Łomot po staremu*. Ale w opakowaniu nie było żadnych płyt, a po dokładniejszych oględzinach okazało się, że ktoś nie bez mozółu przerobił tekturowe pudełko po serii *Powrót do przyszłości*, zaklejając oryginalne ramki wyrazistymi, choć zgrzebnymi wydrukami, ewidentnie wykonanymi techniką kopiuj-wklej. Było to drobne, choć nieodzowne szalbierstwo, ponieważ o ile Archy wiedział (a wiedział wiele, zbyt wiele), film pod tytułem *Łomot po staremu* nigdy nie powstał.

– *Strutter 3*. No jasne. Autor scenariusza, reżyser i odtwórca roli głównej: Luther Stallings. Potrójny cios: szybko, tanio i zajebicie, tak jak to się kiedyś robiło. Po prostu oldskul. A ty zagrasz główną rolę żeńską. Z taką historyjką cię tu przysłał, Valletta?

Z dżentelmeńskich pobudek, a co gorsza również dlatego, że żał mu było tej kobiety, jednej z wielu, które w czasach jego dzieciństwa zgłosiły się na przesłuchanie do roli „nowa mama”, Archy starał się pohamować szyderstwo wkradające się do jego głosu, gdy snuł oparte na solidnych podstawach domysły co do motywacji Luthera; w końcu takie zwroty jak „potrójny cios” czy „szybko, tanio i zajebicie” zaczerpnął wprost z ojcowskiego wokabularza bajery. Starał się więc, ale nie do końca mu się udało. Bardziej dziadowska od planu, by wyciągnąć od Archy’ego kasę na film, którego przecież nie miał najmniejszego zamiaru kręcić, była tylko wiara Luthera, że jego syn cokolwiek mu jeszcze kiedyś da.

– Na pewno załatwi ci dużą, fajną rolę. Nie, Valletta? I co jeszcze? Okaze się, że Candygirl Clark jednak nie zginęła?

Zobaczył, że mięśnie jej policzków leciutko zafalowały. Trzymała się kurczowo swego milczenia, wpatrzona w kolorowe flagi tybetańskie, które powiewały ze sznurka przyczepionego do werandy Sandersonów po drugiej stronie parku, zanosząc różnorakie modły.

– Jesteśmy na etapie preprodukcji – wydusiła w końcu. Butnie, idąc w zaparte.

– Czyli że co, jest jakiś scenariusz?

– Nie, ale twój tata już wykombinował całą fabułę. Wszystko mi opowiedział, po kolei, każdą postać, każde ujęcie, co się będzie działo na ekranie minuta po minucie, z pięćset razy już to słyszałam, w dziesięciu różnych wersjach. Archy, to naprawdę będzie coś.

– Że niby Strutter wraca do gry, jeden ostatni numer, zemsta na wszystkich, którzy mu podpadli? Coś w tym stylu?

– Chcesz usłyszeć, jak to leci od początku?

Archy przymknął oczy, przygotowując się na jej gadkę, na męczący, absurdalny scenariusz, niestrawny koktajl z *Ocean's Eleven*, *Matrixa* i *Życzenia śmierci*, ukochanego filmu ojca, soczyście podlany destylatem z jakiejś aktualnej sagi kretyńskich potyczek z właścicielem mieszkania, skarbowką albo dentystą czy z kim tam obecnie potykali się Luther i jego dziewczyna. Ale Valletta znów zamilkła, więc Archy otworzył oczy i ujrzał na jej policzku jedną nieruchomą łzę, malutką, odosobnioną kałużę oburzenia albo wstydu. Zrobiło mu się przykro, więc znów sięgnął do niewyczerpanych zasobów fatalnie ulokowanego poczucia winy. Wydobył portfel i szybko przejrzał żalostną zawartość.

– Nie – powiedziała, odtrącając banknoty, które się z niego wyłoniły: cztery świeżutkie dwudziestki, wyblakłą piątkę i dwie wygniecione, miękkie jednodolarówki. – Nie, daj spokój. Zatrzymaj sobie tę kasę. Nie przyszłam tu sępić. Wiem, że w to nie wierzysz...

– Nie no, czemu, ja...

– Nie przyszłam też mędzić ci o tym chujowym filmie, bo i tak oboje wiemy, że nikt go nigdy nie robi.

– Spoko.

– Wiem, że gdybym ci powiedziała, że to przez prochy, nie miałbyś najmniejszej, ale to najmniejszej ochoty tacie pomagać. A że sama jestem na odwyku, od czternastu miesięcy i dziewięciu dni bez ćpania i picia, to szanuję twoją postawę, zresztą on też. Ale chcę cię spytać o coś innego: a gdyby nie chodziło o takie kłopoty? Gdyby to nie miało związku z dragami? Czy wtedy byłbyś chociaż trochę skłonny mu pomóc?

– Co znowu odwalił?

Przez chwilę bacznie sondowała ulicę, okoliczne drzewa i domy.

– W sumie to nie wiem – odparła w końcu. – Hipotetycznie pytam.

– Hipotetycznie? Hipotetycznie to gdyby mu się włosy zapaliły, nawet bym go nie oszczał, żeby zgasić.

Założyła z powrotem okulary słoneczne.

– Ale to tylko teoria – dodał Archy. – Nie musimy jej sprawdzać w praktyce.

Skinęła głową, przygryzając usta, i wtedy zobaczył, że pod warstwą szminki jej wargi są poranione do żywego mięsa.

– No dalej, Valletta – powiedział, wciskając jej pieniądze. – Obiecuj, że mi nie powiesz, gdzie mieszka albo co robi, albo jak źle wygląda, obiecuj, że w ogóle nic mi o nim nie powiesz. Naprawdę, to będzie całkiem nieźle zainwestowane osiemdziesiąt siedem dolarów.

Rozważała tę propozycję. Język wysliznął się z warg i raz łapczywie okrążył usta. Potem banknoty zniknęły w jej długich palcach, tak błyskawicznie i dokumentnie, że można było spekulować co do tego, jak długo zabawią w jej kieszeni. Pudełka po boksie DVD nie chciała wziąć.

– Nie, zostaw se. Ma jeszcze takich pięć.

– Dobra.

Wziął pudełko, czując się jak Jaś przyjmujący garść magicznych fasolek. Zaczynał gorzko żałować swojej głupoty, która już kosztowała go osiemdziesiąt siedem dolarów.

– Może za tydzień znów zajrzę – powiedziała Valletta, a w niższych rejonach jej oblicza zagościł czupurny uśmiech bez jednego przedtrzonowca na dole. – A nuż przypomni mi się jeszcze parę rzeczy, których nie chcesz o nim wiedzieć, i zobaczymy, ile zarobię.

– Bardzo śmieszne – powiedział Archy.

– Wyluzuj, więcej mnie nie zobaczysz.

– Valletta...

Już szła do swojego toronado, ale przywołał ją z powrotem.

– No weź – upomniał ją. – Musisz to powiedzieć.

Latem 1978 roku, które należało bez reszty do niej, sklepy z koszulkami w czarnych dzielnicach Ameryki oferowały prasowanki przedstawiające Vallettę Moore w jednoczęściowym spodnim w zeberkę, z rozszerzanymi nogawkami, otoczoną baloniastymi, wybrokaconymi literami sloganu, z którym już na zawsze miała być kojarzona, a który po raz pierwszy wypowiedziała w filmie *Strutter 2. Spuszczony z łańcucha*. Była to robota gości z firmy Roach, królów

sitodruku, którzy całym dochodem, zapewne sporym, dzielili się ze sprzedawcami i dystrybutorem filmu.

– Naprawdę chcesz, żebym to powiedziała? – spytała niepewnie, zadowolona.

– Dałem osiemdziesiąt siedem dolarów, to chyba mi się należy.

Westchnęła, zaciskając pięść i unosząc ją jak obuch ciężkiego młota.

– Rób swoje. – Pięść rozpękła się w zwolnionym tempie, zakwitając palcami. – I trzym fason.

Valletta chwilę mocowała się ze stalowymi drzwiami, mieszanką cierpliwości i finezji wskrzesiła silnik i przy akompaniamencie skrzypiących amortyzatorów auto potoczyło się ulicą.

– Trzym fason, Valletta – powiedział Archy.

Julius Jaffe czytał od nowa swój nieukończony memuar, pod roboczym tytułem *Wyznania potajemnego władcy wieloświata*. Zaczął go pisać przed dwoma miesiącami w notesie Moleskine, w malignie nudy, po przedawkowaniu H.P. Lovecrafta, z zamiarem wystawienia majestatycznego pomnika swej samotności oraz przeraźliwemu otępieniu, które w sobie wywołał. Tej pierwszej nocy zabazgrał trzydzieści dwie strony gładkiego papieru. Zaczynało się tak:

Ów zapis rozpaczy krwią ludzką sporządzam na pergaminie ze skór potopionych żeglarzy. Nieszczęsny autor słów tych – o, pożaluj mnie, przyjacielu, gdziekolwiek swobodnie poczywasz! – przycupnął u wysokiego okna chłostanej piorunami wieżycy na trupim nawisie skalnym, kędy szaleje kipieli polarnych mórz. Za kostkę obręczą przykuty do żelaznej ramy łoża, ogryza udko pieczonego szczura. Postrzępionym piórem kreśli te zdania, za stół mając odwróconą balie, za światło zaś tłusty płomień dogasającej lampy tranowej. Zakładnikiem jestem podłego losu, igraszką fortuny, nędznym sługusem szydliwych bogów, których raduje wyrwanie skrzydeł złocistemu motylowi ludzkiego szczęścia! Skoro wolność mi odebrano, obciążając w zamian wątpliwym darem czasu, ulżę choćby brzemieniu

łowianych godzin, sporządzając ten oto wierny zapis: wspomnienie zhańbionego króla.

W noc po tym, kiedy to spisywał, zza klifu samotności wychynął Titus Joyner, zarzucając na szczyt kotwiczkę. Od tamtej chwili Julie nie dodał ani jednego słowa do swej kroniki znużenia. Zamknął notes, zabezpieczył wspomnienia gumowym paskiem i aż ścisnęło go w sercu na tkliwą myśl o pacholęciu, które w jakichś zamierzchłych czasach kreśliło te zdania.

Trzasnęły drzwi frontowe, a potajemny władca wieloświata powiedział:

– Żez kurwa.

– Titus – powiedział Julie. – Wrócił mój tata. Wstawaj.

Titus Joyner leżał na plecach, przytrzymując ramieniem rozpląszczoną na twarzy poduszkę. Tak właśnie sypiał: osłonięty.

Titus z Tyler, które w wyobraźni Juliego było spaloną słońcem, bezkresną połącią nieogarnionego Teksasu, nekromanckim miastem *Día de Muertos*, miastem kajdaniarzy i róż, gdzie Titusa wychowała posepna babka, na którą wołano Shy. Julie wyobrażał ją sobie całą na czarno, na tle błyskawicy. Gdy zmarła, po targanego wichrami losu Titusa jak po zgubiony kapelusz zgłosiła się pewna cioteczka z Oakland, jakaś obca z obcego domu.

– Ej! – wyszeptał Julie. – Ti!

Julie sięgnął po przenośny ośmiościeżkowiec, który Archy przywiózł mu z pchlego targu w Alamedzie. Zielony jak czołg z G.I. Joe i stylizowany na radiostację polową odtwarzacz miał parciany pasek, chyba po to, jak sądził Julie, żeby Wojownik Funku mógł sobie maszerować do spoko rytmu. Wyciągnął ze środka *Innervisions* Steviego Wondera (Motown, 1973); pośród niewielkiej kolekcji wyszperanych przez Juliego taśm była to jedna z zaledwie kilku, których Titus zgadzał się słuchać. Zamiast niej Julie z krzepkim trzaskiem zapakował *Point of Know Return* Kansas (Kirshner, 1977), zdając sobie sprawę, jak to wkurzy ojca.

– Julie? Jesteś na górze?

Zagadkowe białasy ze Środkowego Zachodu lat siedemdziesiątych poczęły dawać wyraz specyficznym koncepcjom na temat miejsca skrzypiec i organów w muzyce rockowej, a tymczasem Titus

ściągnął z twarzy poduszkę i usiadł. Rozbudzony, spojrzał prosto na Juliego, a potem, nim Julie zdążył się zorientować, błyskawicznie wygrzebał się z łóżka. Z gołą dupą, jak to mówił Titus. Zmiał ciuchy w kulę, która akurat mieściła się pod pachą, podszedł do okna, obrócił się na pięcie i stanął oko w oko z szafonierką w stylu art déco, która należała kiedyś do prababci Juliego. Drzwi otwarły się z prababcinym skrzygnięciem i Titus wgramolił się do środka.

Julie zaakceptował ten manewr, nie dociekając nawet, czy był rzeczywiście konieczny albo pożądany.

Wiedział więcej niż ja czy tyyyy. Te rysunki, spójrz tylko, jak snyyy⁹.

– Kitraj faję! – zawołał ojciec. – Wchodzę na piętro.

Biorąc głęboki, uroczysty wdech, Julie aktywował tajemną broń psychiczną, którą władał nader sprawnie. Zdecydował się na Pole Ciszy w kombinacji z Grymasem Ostatecznej Dezaprobaty. Rozwarły się drzwi i do pokoju zajrzał ojciec. Oczy miał płonące i zapadnięte, policzek draśnięty maszynką, a na grzbiecie jedną ze swoich staroświeckich hipsterskich marynar. W spojrzeniu czaiła się jakaś przebiegłość, jak zawsze, kiedy coś przeszkrobał. Julie pojął, że i dla niego może to być niezły moment, by wyznać występki, których się ostatnimi czasy dopuścił, albo przynajmniej o nich napomknąć. Z drugiej strony w spisku Titusa z prababciną szafonierką było coś niezwykle ujmującego.

Ojciec udawał, że wcale nie niucha na okoliczność osadu marihuanowych cząsteczek, odgrywając przesadzoną scenę niuchania na tę dokładnie okoliczność.

– I co, tak sobie siedzisz? – spytał.

Julius Lovecraft Jaffe (choć w paszporcie, wskutek jednej z tych metafizycznych pomyłek urzędowych, jakie rzeczywistość co rusz popełniała ze szkodą dla jego prawdziwej natury, jego drugie imię zapisano jako Lawrence) przyglądał się ojcu z całkowitym spokojem. Siedział na łóżku po turecku, w bluzie od ręcznie farbowanej piżamy. Nie była to ta farbowana piżama z nadrukiem nieskończonych schodów Eschera, tylko ta z kosmicznym galeonem płynącym przez morze gwiazd ku Tau Ceti, którą kupił zeszłej wiosny w dziale odzieży damskiej w Shark's, widząc wykaligrafowaną odręcznie metkę i nieuchronnie czując drgania najgłębszych strun swej duszy: DOSKO KOSMICZNY KICZ Z LAT 70.

Wokół Juliego pulsowało miarowo Pole Ciszy, zgęstniałe jak syrop totalnej destrukcji, a Grymas Ostatecznej Dezaprobaty wypalał w dzielącym ich powietrzu migotliwe korytarze.

– Co to jest! – W oczach ojca jakby się zaciął film, policzki się nagle zapadły. Wyglądał jak ktoś, kto cierpi na zapalenie ucha wewnętrznego i dezorientacja walczy w nim o lepsze z palącą potrzebą wymiotowania. – Boże mój – wydukał wreszcie. – Błagam, powiedz mi, że nie słuchasz *Kansas!*

W Brokeland Records był co prawda niewielki pojemnik z prog rockiem, ale gardzono tam strzelistymi szczytami tego gatunku na rzecz brytyjskiej gęstwiny i roju niemieckich umlautów. Gdyby ktoś nieopatrznie zawędrował do sklepu, chcąc sprzedać egzemplarz *Point of Know Return* czy, dajmy na to, *Brain Salad Surgery* (Manticore, 1973), jego prochy trzeba by zbierać z posadzki odkurzaczem.

Z tylnej kieszeni obciętych drelichów Julie wyciągnął portfel. Na żółtym plastiku widniał zdrapany częściowo nadruk: Johnny Depp z fryzurą z lat osiemdziesiątych, a nad nim pseudowariackie literki układające się w napis 21 JUMP STREET. Odpiąwszy kieszonkę na monety, Julie pogmerał wśród rozmaitych wizytówek, które kazał sobie wydrukować w Kinko's na początku lata, tuż przed poznaniem Titusa. Od tamtego czasu prawidłowo dobrana wizytówka już ileś razy posłużyła mu jako substytut rozmowy, zwłaszcza z rodzicami. Tym razem wybrał tę, na której stało napisane:

JULIUS L. JAFFE

kurator

– Muszę przyznać... – powiedział jego ojciec tonem, który sugerował, że przyznanie tego nie kosztuje go zbyt wiele – ...że te, kurwa, karteczki wyłazą mi już, kurwa, bokiem.

Oddał wizytówkę Juliemu, który umieścił ją na powrót w portfelu, po czym schował Johnny'ego Deppa do kieszeni szortów.

– A co to za wielgachne buty?

Były to bieluteńkie air jordany, numer czterdzieści dziewięć. Wyglądały jak dwa bliźniacze modele Niszczyciela, ustawione

elegancko na platformie startowej Gwiazdy Śmierci. Julie rozważył przedstawienie takiej wersji. Zdał sobie sprawę, że będzie musiał deaktywować Pole Ciszy, przynajmniej na jakiś czas, i zamiast niego zarzucić Wnyki Oszustwa.

– To na plastykę – powiedział. – Pamiętasz, jak ci mówiłem.

Strategia ta (matka Juliego zwała ją omotaniem) bywała zaskakująco skuteczna wobec ojca, który tak wiele czasu spędzał w krainie własnego pomruku, że niekiedy wydarzenia z prawdziwego świata kompletnie mu umykały.

– Mhm – odparł ojciec.

Nie było sensownego powodu, by kłamać, i w głębi duszy Julie to wiedział. Jego rodzice musieli się w końcu zorientować, łamane przez zrozumieć, że Julie jest trochę „bi-ciekawy”, „pół-homo”, a może nawet jest gejem czy co tam jeszcze. Wpół do gejowej. Ale takie wyznania zdawały się strasznie pracochłonne; nic, co związane było z Titusem, nie dawało się łatwo wytłumaczyć. Na przykład że był totalnie hetero, z obiema wskazówkami grzecznie na dwunastej, co nie przeszkodziło mu jednak przyjąć w ciągu ostatnich dwóch tygodni wszystkich banknotów i monet Julesowego dziewictwa. Zresztą w grę wchodziło tu coś znacznie ważniejszego niż płć biologiczna, płć kulturowa, rasa i te wszystkie inne bzdety. Julie czuł, że na podobieństwo aminokwasów w zupie prebiotycznej jego życie zaczęło się nagle splatać w zagmatwane struktury. Jak tu wyznaczyć, że każdej nocy wymykał się z deskorolką, żeby być z Titusem, w przenośni, ale i dosłownie, gdy kładł dłoń na jego ramieniu i mknęli razem przez skąpane w letniej nocy South Berkeley i West Oakland, przez rozgałęziający się w zawrotnym tempie wieloświat ich wspólnej wyobraźni? Titus wołał ulicę od dachu nad głową, na który skazała go niełaskawa fortuna i porypana dziewięćdziesięcioletnia cioteczka, a Julie nade wszystko wołał czuć pod dłonią obojczyk i mięśnie Titusa, słyszeć szum rowerowych kół i cichutki świst każdego mijanego drzewa, każdego auta, każdej latarni.

– No wiesz, mamy zanieść do muzeum, do Habitot – dodał Julie, żeby uprawdopodobnić swoją wersję. – Mam je pomalować.

Ojciec pokiwał głową ze znanstwem (inaczej zresztą nie umiał).

– To co właściwie porabiasz? – spytał. – Grasz w MTO?

Tak się akurat składało, że zanim Titus przysnął, grali na zmianę w Marvel Team-Up Online na laptopie Juliego, levelując najnowsze postaci, Dezire i Black Answer, biegali, spowici w peleryny i zorze energii, po ludnych ulicach Hammer Bay na wyspie Genosha.

– Zęby se piłuję – odparł Julie.

– Aha. Czyli nie palisz trawki.

– Tylko krak. No i może trochę opium. Tak gdzieś tyle, o. – Julie ujął w palce niewidzialną kulkę. – Tato, kurwa...

– Bo wiesz, że nie byłoby w tym nic złego.

– Tak, tato.

– To znaczy nie że nic złego, ale rozumiesz, że jakbyś tu coś ćpał, to chciałbym o tym wiedzieć, prawda?

– Prawda.

– Żebyś nie musiał się z tym kryć ani nic.

– Jasne.

– Bo właśnie wtedy zaczyna się robić głupstwa.

Julie oznajmił, że zamierza trwać przy swej starej, sprawdzonej dewizie i unikać głupstw przy każdej sposobności.

– Czyli że co – ojciec podjął kolejną próbę. – Tak sobie tu siedzisz i, hm... się nad sobą użalasz?

– Niczyjego żalu mi nie trzeba – odparł Julie, widząc, jak słowa te kreślą się same na stronicy jego wyobraźni, tym ozdobnym charakterem, który sobie narzucił, pisząc piórem w notesie. – Zwłaszcza własnego.

To ostatnie wzbudziło na twarzy ojca uśmiech.

– A co ty tu w ogóle robisz? – spytał z kolei Julie. – Środek dnia jest.

– Ja, no, zajrzałem do domu na trochę – odparł ojciec. – Ale chyba powinienem wrócić.

Długość tych ojcowskich bajeczek okazywała się zazwyczaj odwrotnie proporcjonalna do poziomu głupoty i żenady jego faktycznych czynów. Niewidzący wzrok ojca po raz tysiąc siódmy prześliznął się po rysunkach Juliego, przyczepionych pod sufitem: były tam portrety alfonsowatych cyberzakapiorów i ślepych albinoskich szermierzy, w których płynęła jotuńska krew, oraz jeden szczególnie hołubiony szkic, przedstawiający Doktora Strange'a, wykonany przez Juliego (lat pięć czy sześć) świecówkami

i flamastrem. Plakat do filmu *Nausicaä z Doliny Wiatru*, izraelski prospekt do *Pulp Fiction*. Rozkładana okładka płyty *Yes, Close to the Edge* (Atlantic, 1972), a na niej chłodny świat zagadkowych wodospadów, w nieskończoność przelewających swój zielonkawy błękit. Ojciec, niewidzący niczego i niczego nierozumiejący, wyczekiwał, aż Julie zdradzi się jakąś odzywką, jakimś objawem, znaczącą ripostą. Niedawno całkiem nieoczekiwanie pękł światłowód łączący kontynenty Ojciec i Syn; przerwał go zadziór wleczonej kotwicy niewiadomego pochodzenia. Ojciec stał w drzwiach stryszku, z dłońmi w bufiastych kieszeniach luzackiej marynarki, i przy całej miłości do Juliego emanował też jakąś przebiegłą ostrożnością. Chociaż chłopak czuł się kochany, rozumiał też doskonale, że jest to uczucie daremne, ciulowe, stanowiące zaledwie niewielką, jałową częśćkę Ogólniejszej Ciulowości, która najwyraźniej nadawała ton całemu życiu ojca.

– Coś się stało? Coś z Archym? – spytał Julie.

– Z Archym?

– Chodzi o sklep?

– O sklep?

– Pytaniem na pytanie!

– Przepraszam.

– To co żeś przeskrobał?

– Ja? Ja nic, tylko nerwy mi trochę puściły.

– Jezu, tato...

– Jak gadałem z Chanem Flowersem. Z radnym Flowersem.

– Nieźle.

– Ano.

– On jest jakiś taki, tego, straszny czy co?

– Mnie się tak zawsze wydawało.

– Ale że trochę, no, ciary?

– Ma w sobie coś takiego czasem.

– Ale kupuje dużo płyt.

– Częstsza kombinacja, niż ci się wydaje.

– I co, *nawymyślałeś* mu?

– W sumie to go wywaliłem za drzwi – przyznał Nat. – A potem wywaliłem całą resztę paskudniaków.

– Ja pierdołę, tato...

- A potem zamknąłem sklep na dobre. I co ty na to?
- Że jak? Na dobre?
- Że zwijamy interes.
- Zamknąłeś sklep?
- Naprawdę czułem, że nie mam wyboru.
- Na dobre?

- Pytaniem na pytanie – powiedział Nat. – Słuchaj, wszystko w porządku. Już mi przeszło. Zaraz tam wrócę, pokajam się przed Archym. Przepraszę Flowersa, Moby’ego i wszystkich, którzy będą chcieli. Bo widzisz, Julie, przeprosiny niewiele kosztują i ten koszt jest totalnie niewspółmierny do skuteczności. Mój ojciec mawiał: „Noś je w kieszeni jak zwitek banknotów i rozdawaj lekką ręką”. Zapamiętaj to sobie.

- Aha, dobra.

- A potem dodawał: „Wtedy biznes się kręci, a świat staje się trochę lepszy”.

Ojcu Juliego ewidentnie dzisiaj nieźle grzało, bo zaczynał mówić jak Groucho Marx. Od lat brał z przerwami najróżniejsze leki, których nazwy brzmiały jak imiona czarodziejek i aliasy zabójców ninja. Skutki niektórych były opłakane już od pierwszej dawki, inne rozczarowywały dopiero po dłuższym czasie, lecz żaden nie zagrzał miejsca w krwiobiegu ojca na tyle długo, by choć osłonić izolacją rozżarzony drut w samym środku jego jestestwa. Jego nastroje nie zmieniały się regularnie, według wyraźnego schematu, może z wyjątkiem przesilenia, którego można było się spodziewać każdego roku we wrześniu i w lutym. O ile jednak Julie nauczył się z czasem niwelować do zera wstrząs nieprzewidywalnych ojcowskich odpałów, uodpornił się przy okazji na ich całkowicie przewidywalne (choćby najszczerze) pokłosie w postaci przeprosin i skruchy.

- Po prostu przepraszę – oznajmił Nat. – A potem znów otworzę sklep, że niby zrobiłem sobie taką małą przerwę. Wiesz, taki mentalny lancz. Fałszywy alarm. Po którym wszyscy wracają do swoich zajęć.

- Ale z wyjątkiem Gibsona Goode’a, co?

- Co mnie to – zachnął się Nat. – Niech se facio handluje, czym chce i gdzie chce. Zwisa mi. A co do ciebie: rozchmurz się wreszcie.

Jeszcze dwa tygodnie lata przed tobą, coś z tym trzeba zrobić.

Wśród ledwie słyszalnych trzasków na powrót wyrosło między nimi Pole Ciszy.

Się staraaał. Lecz powiedzieć nie zdążył, bo zmaaart¹⁰.

Ojciec zamknął drzwi. Julie nasłuchiwał skrzypnięć spiralnych schodów pod jego stopami.

Wąskie, opatrzone lustrem drzwiczki starej szafonierki art déco rozwarły się, zdradzając zgiętą, acz wymowną okazałość Titusa Joynera, do połowy odzianego w wyprasowane dżinsy.

– Joł-joł-joł – powiedział Titus. Ostrożnie, kawałek po kawałku, wy dostał się z szafonierki i na podłodze sypialni Juliego zmontował się z powrotem do kupy jak żołnierz składający z części strzelbę. Wyglądał na zmęczonego, a pachniał jak męska szatnia w YMCA. – Jeszcze pięć minut – wybełkotał.

Położył się na podłodze, na skołtunionych splotach chodniczka, i wyciągnął na całą długość. Zamknął oczy; jego oddech, z chwili na chwilę poważniejąc, sprawił, że pierś unosiła się i opadała coraz wolniej. Do spontanicznego, ukradkowego snu miał nadzwyczajny talent. Łóżko, w którym los nakazał mu sypiać, było strefą niebezpieczną, gdzie dopadała go ponura bezsenność. Gdy tylko zamykał oczy w tamtym groźnym domu, wkradała się do jego koszmarów i bezcześciła sny.

– Titus – powiedział Julie. – Joł, Ti.

Cisza; przepadł. Julie ściągnął z łóżka narzutę i przykrył nią Titusa. Był to relikw z lat osiemdziesiątych, przedstawiający Michaela Jacksona w tandetnym skafandrze kosmicznym, otoczonego wielobarwną zgrają robotów i ufoludków. Julie gapił się na chłopaka leżącego na podłodze jego sypialni, tajemniczego chłopaka, który spadł z nieba jak ten meteor w Wold Cottage, z pozoru bezwładny, lecz w istocie buzujący od mutagennych informacji o odległych galaktykach i eksplozjach gwiazd.

Julie był zakochany.

Tytuł kursu oferowanego w ramach letnich wieczorowych wykładów otwartych w Klubie Seniora w Southside Berkeley brzmiał: „Sampling jako zemsta. Źródła i aluzje w filmie *Kill Bill*”. Przez dziesięć tygodni aż do końca sierpnia mieli spotykać się co poniedziałek w wypełnionej składanymi meblami, wielofunkcyjnej beżowej sali, gdzie Julie uczył się wcześniej robienia pacynek, rzeźbienia w glinie i ikebany. Nieodmiennie młodszy od wszystkich, czasem o całe dziesięciolecia albo i pół wieku, wśród starszków czuł się szczęśliwszy niż w towarzystwie tak zwanych rówieśników.

W ten pierwszy czerwcowy poniedziałek, tydzień po ukończeniu gimnazjum Willarda, Julie zasiadł na jednym z pięciu krzeseł w pierwszym rzędzie, dokładnie pośrodku sali, w pół drogi między rzutnikiem a Peterem Van Ederem, którego Julie zawsze kojarzył (wnioskując z poirytowanego tonu jego artykułów w „Berkeley Daily Bugle”) z pewnym przysadzistym łysołem w lotniczych okularach i dzierganym krawacie z kwadratową końcówką, którego widywał w kinie California, jak wtedy, gdy cierpiał ponure katusze podczas premiery *Planety małp* (największego bodaj rozczarowania, jakiego doświadczył w swym kinomańskim życiu Julie Jaffe, psychofan Tima Burtona) czy *Steamboya* (kolejny tragiczny niewypał). Lecz Van Eder okazał się młodym, kościstym facetem zaraz po studiach: wielka grdyka, wydatne nadgarstki, jedna poła koszuli na wierzchu i strąki długich włosów obsypane łupieżem lub popiołem z papierosów, a może i tym, i tym. Cieniutka hiszpańska bródka, jakby naprędce dorysowana ołówkiem.

Z torby podróżnej Pan Am wyciągnął Julie klej w sztyfcie i jasnopomarańczowy notatnik papieru milimetrowego. Do wewnętrznej strony okładki starannie przykleił listę filmów, które Peter Van Eder miał zamiar wyświetlić i omówić.

Krwawa pani śniegu (1973), reż. Toshiya Fujita

Brygada lalki (1973), reż. Ted V. Mikels

Dobry, zły i brzydki (1966), reż. Sergio Leone

Skazana „Skorpion”. Więzienie 41 (1972), reż. Shunya Ito

Zabójca z getta (1974), reż. Larry Cohen

Opowieść o Zatoichim (1962), reż. Kenji Misumi

Wszyscy na scenę (1953), reż. Vincente Minnelli

Mechaniczna pomarańcza (1971), reż. Stanley Kubrick
36 komnata Shaolin (1978), reż. Gordon Liu
Coffy (1973), reż. Jack Hill

Julie przeglądał wykaz, bo czekali jeszcze na dwie ostatnie osoby z listy zapisanych. Jedną z nich, co Julie odnotował z zaciekawieniem, był Randall Jones. Pan Jones sam prowadził niektóre zajęcia w Klubie Seniora w Southside, a na inne chodził, i to właśnie od niego przed kilkoma laty Julie dowiedział się o kursie robienia pacynek. Pan Jones, który lubował się w brutalnych westernach i kryminałach, był stałym bywalcem spotkań filmowych Petera Van Edera.

Juliego oszołomiła własna ignorancja. Spośród wybranych przez Van Edera filmów znał tylko dwa: spaghetti western Sergia Leone i *Wszyscy na scenę*. Chyba że istniał jeszcze jakiś inny film pod tytułem *Wszyscy na scenę*, co wydawało się całkiem prawdopodobne, bo ten, który Julie oglądał z dziadkami ze strony matki podczas którychś świąt Bożego Narodzenia we florydzkim Coconut Creek, był pysznym musicaliem z udziałem Freda Astaire'a i Cyd Charisse, której uda rozbudziły w dziadku prastare i nieco bolesne pragnienia. Julie kojarzył też kilka innych tytułów, paru reżyserów. *Zatoichi*. Kubrick, no jasne.

Ktoś krzyknął:

– Patrzcie tego ptaka!

Do wielofunkcyjnej sali wkroczył Cochise Jones, odziany w garnitur sportowy w wyblakłą pepitkę. Achterdekiem jego lewego ramienia zawiadywał Pięc Osiem, a za nimi płatał się jakiś chłopak, może wnuk, mniej więcej w wieku Juliego, o jasnobrażowej skórze i jasnych oczach, szeroki w barach i wąski w biodrach. Jednak wedle informacji Juliego pan Jones nie miał żadnej rodziny z wyjątkiem papugi. Gdy ten go zauważył, zmarszczył brwi w zamyśleniu i chyba przez moment się wahał, czy przyprowadzić chłopaka do Juliego, by się poznali.

– Ziom mojego Pięc Osiem – wyjaśnił pan Jones z kamienną twarzą, uznawszy, jak widać, że przedstawiając sobie chłopców, niczym nie ryzykuje. – Jak również wielbiciel pana Tarantina. –

Z jakiegoś powodu pan Jones wymawiał to nazwisko tak, jakby rymowało się z *Tipitina*.

– Cześć – bąknął Julie, wpijając palec wskazujący w postrzępiony rąbek obciętych drelichów, aż krew przestała krążyć w koniuszku. Schwytany w bawełnianą pętlę palec nabrzmiał i pulsował teraz gorączkowym tętnem, zmieniając się w symbol, a raczej synekdochę swego właściciela, w którego chudzielczej piersi czternastoletnie serce przeżywało w tym momencie wszechogarniającą, wszechkierunkową awarię, wzbierając miłością do Tarantina, do świata, do całej ludzkości. – Też go lubię.

Titus Joyner skinął głową, leciutko (o ile w ogóle) rozbawiony widokiem Juliego w obciachanych drelichach i podkoszulku bez rękawów, w przezroczystych białych sandałach z plastiku, ze stojącym obok przenośnym ośmiościeżkowcem i jasnoniebieską torbą podróżną jak u księżycowych stewardes w *Odysei kosmicznej*. Nic nie odpowiedział.

Był to smukły chłopak o długich, giętkich kończynach i skórze w odcieniu sojowego latte od Peetsa. Na głowie schludne, skromne afro, wystudiowane retro. Wzrok nieufny, drwiący i chłodny, jeśli pominąć owo widmowe rozbawienie, czy też może iskierkę epifanii, jak gdyby już zdążył Juliego zaszufadkować. Dołek w brodzie. Ciuchy eleganckie, nieskazitelne: ciemne džinsy i koszula z bawełny oksfordzkiej, z krótkimi rękawkami i zapinanym kołnierzykiem. Nic szczególnie wyszukanego, ale w świeżutkiej białej koszuli i zaprasowanych w kant spodniach i tak wyglądał oficjalnie. Na nogach miał kiksi-Niszczyciele.

– Siema – powiedział.

Julie wyszperał w portfelu świeżo wydrukowaną wizytówkę i podał chłopakowi. Napis na niej głosił:

ULIUS L. JAFFE
*Ronin * NAJEMNY WOJOWNIK*

Chłopak przyglądał się wizytówce, a na jego twarzy wciąż igrał kpiący uśmiezek. Ale przynajmniej ją przestudiował, a potem wetknął do kieszeni džinsów. I poszedł na koniec sali, żeby

porozkładać swoje długie kończyny na wciśniętym w kąt obitym fotelu.

– NAJMOCNIEJ PANA PRZEPRASZAM.

Był to syntezowany roboci głos jednego ze słuchaczy, faceta na wózku inwalidzkim. Julie widywał go w Temescal, w okolicach Brokelandu, gnającego po chodnikach, uwięzionego w ciele, które dręczyła jakaś bestialska choroba. Głos dobiegał ze skrzynki jak u Stephena Hawkinga.

– PROSZĘ PANA? PRZEPRASZAM, ALE MAM ALERGIĘ NA PTAKI.

– Alergię na *ptaki* – powtórzył pan Jones, z którego miny wynikało, że kompletnie nie pojmuje, w jaki sposób taka informacja mogłaby go dotyczyć. – Bardzo mi przykro.

– Może mógłby pan... Czy on mógłby poczekać na zewnątrz? – wtrącił się Peter Van Eder. – Jak pan sądzi?

Pięć Osiem grzecznie skubał srebrzysty puch na piersi, nie biorąc sobie najwyraźniej do serca rozwoju wypadków, ale pan Jones z jakiegoś powodu (być może dlatego, że bardzo się na te zajęcia cieszył, a może w imieniu Pięć Osiem) wydawał się zrozpaczony.

– TO DOŚĆ POWAŻNA ALERGIA – dodał mężczyzna na wózku, a nienaturalnie skręcona szyja przydawała jego słowom, z pewnością niesłusznie, jakiejś pokrętej, kłamliwej aury, jak gdyby w rzeczywistości po prostu bał się papug albo miał coś przeciwko tej jednej. – NAPRAWDĘ BARDZO PRZEPRASZAM.

Pan Jones westchnął. Choć po prawdzie on i Pięć Osiem nie byli nierozłączni, tak rzadkiego, drogiego ptaka nie godziło się przecież zostawiać gdzieś na korytarzu. Odwrócił się zmieszany do chłopaka siedzącego na samym końcu sali i uniósł brew. Tamten przyglądał się gościowi na wózku z jawną, pełną podziwu zgrozą.

– Wrócisz autobusem? – spytał pan Jones. Chłopak splótł ciaśniej ramiona i leciuteńko skinął głową: oto zostawiają go samego na pastwę kalek i staruchów.

– Na razie, Pięć Osiem – powiedział Julie. – Do widzenia, panie Jones.

– CZUJĘ SIĘ STRASZNIE – oznajmił człowiek na wózku, lecz z racji bezbarwnego, niemal wokoderowego tonu trudno było się

zorientować, czy chodzi o wyrzuty sumienia, czy raczej o wstrząs anafilaktyczny.

– Chodź, głuptaku – powiedział pan Jones do papugi.

Van Eder wręczył listę filmów Titusowi Joynerowi, który podziękował mu cicho, dodając na końcu odruchowe „psze pana”. Chłopak szybko przeskanował wykaz. Titus zmarszczył brwi. Coś przejęło go trwogą; wpatrywał się w kartkę w zakłopotanym wzburzeniu, całkowicie wbity w fotel. Aż go skręcało i w końcu nie wytrzymał.

– *Wszyscy na scenę...*?

Tytuł siódmego filmu na liście wyrecytował tonem tak pogardliwym, z odrazą tak bezmierną, że któraś z emerytowanych rozjuszonych, komunistyczno-lesbijskich i zakonnicywatyckich nauczycielek gry na fortepianie stanowiących gros słuchaczy kursu „Sampling jako zemsta” musiała wstać i czym prędzej zacząć wydawać maski tlenowe i butle, żeby pozostali staruszkowie i Julie mieli czym oddychać, bo inaczej całe powietrze z ich płuc zostałoby wessane przez rozszumiałą próżnię w atmosferze rozoranej ostrzem tego ciętego komentarza z końca sali.

Peter Van Eder zamrugał, delikatnie rozbawiony.

– Masz coś przeciwko filmowi *Wszyscy na scenę*? – spytał.

– To jest *musical* – powiedział Titus. – Z tą, jak jej tam, Sid Caesar.

– Cyd Charisse – wycedził surowo Peter Van Eder, brzmiąc trochę jak pan DiBlasio, który kiedyś uczył Juliego szermierki i takim tonem zwykł poprawiać jego postawę, trzepiąc go niecierpliwie płazem szabli w zadek.

Chłopak skinął głową, z pozoru usatysfakcjonowany tą korektą. Umieścił listę przed oczami, a potem odsunął na odległość całego ramienia, jak gdyby nie dowiedział, ale Julie wziął to za kpinę.

– Gordon Luuu – wydukał, mrużąc z niedowierzaniem oczy i przekręcając chińskie nazwisko, jakby rymowało się z „tu”. – Stanley Kubrick. I *Cyd Charisse*.

Starsze panie (było ich siedem, wszystkie białe), trzech starsi panowie (wśród nich jeden amerykański Azjata w czapce Oakland Athletics) i facet na wózku najwyraźniej nie widzieli nic zabawnego, a nawet niedorzecznego w tym, że wśród rozpierduch i naparzanek znalazł się film z Fredem Astaire’em i Cyd Charisse. Wręcz

przeciwnie: czy to z racji wieku, czy białej skóry, czy też kombinacji tych czynników, ewidentnie byli zaszokowani, a nawet nieco zniesmaczeni okazanym przez chłopaka brakiem szacunku. W każdym razie na pewno zaszokowany był Julie.

– Sam Tarantino często twierdzi, że jego dzieła powinno się rozpatrywać w kontekście filmu muzycznego i że paroksyzmy przemocy pełnią w ich strukturze narracyjnej tę samą funkcję co tam utwory muzyczne – wyjaśnił Peter Van Eder. – Tak jak w wielu innych dziełach Minnellego, w obrazie *Wszyscy na scenę* mamy wyeksponowaną silną postać kobiecą, podobną do tych, które kojarzymy dziś z kinem Tarantina. Co więcej, i mówię teraz trochę nie po kolei, ale już trudno, ten samowystarczalny, samozwrotny świat aktorów i tancerzy, który sportretował Minnelli, stanowi dokładną prefigurację hermetycznego i pustego uniwersum fizycznego arcyzmu, który odnajdziemy w *Kill Billu*. Ponadto *Wszyscy na scenę* ukazuje techniczną wirtuozerię Minnellego, która wywarła wielki wpływ nie tylko na Tarantina, ale i na Martina Scorsese, co zresztą można łatwo wykazać. Innymi słowy... – Tu na usta Van Edera wypłynął uśmiech, niepewny, ale szczery, a przez to chyba jeszcze straszliwszy, bo przymilna poufałość mieszała się tu z chęcią pokazania dzieciakowi, gdzie jego miejsce. – ...Minnellego to ty szanuj, ziom.

Julie pragnął umrzeć na swoją własną białość, utonąć w fali żenady, jaką czuł w imieniu wszystkich nefajnych białasów na świecie, którzy tak bardzo chcieli być fajni. Titus Joyner mierzył Van Edera gniewnym wzrokiem. W zamyśleniu to zaciskał usta, to znów je rozluźniał, być może wahając się między oddaniem Van Ederowi sprawiedliwości za przekazaną wiedzę a urazą za tego okropnego „zioma”.

– *Krwawa pani śniegu* – kontynuował Van Eder.

Przez dziesięć minut mówił do zebranych, czytając z fiszek o wymiarach dziesięć na piętnaście centymetrów cichym, osowiałym i coraz bardziej zdyszonym głosem, jak astronauta, który błaga oszalały superkomputer, by otworzył śluzę, a więc głosem, którego Van Eder z niewiadomych przyczyn używał do przekazywania wiedzy. Wspominał o ambiwalentnej roli kobiet w powojennej gospodarce Japonii, o dziejach feudalizmu i zachodnich

wartościach, o popularności mang takich jak ta, na której oparto film, o motywie zemsty w literaturze japońskiej, o konflikcie między potrzebami jednostki a normami, jakimi rządzi się społeczność, itd. Potem włączył rzutnik, rozwinął ekran i zgasił światła.

Korzystając z osłony nagłej ciemności, Julie obejrzał się na Titusa Joynera. Ten sięgnął do kieszonki koszuli i wydobył potężne okulary, kwadratowe, ale lekko zaokrąglone, coś między wczesnym Spikiem Lee a Milesem Davisem z okładki *Get Up With It* (Columbia, 1974). W migotliwym świetle rzutnika chłopak dostrzegł, że Julie mu się przygląda, i kącik jego ust uniósł się, poderwany haczykiem uśmiešku. Julie natychmiast odwrócił głowę w stronę ekranu, w odtwarzaczu z logo Panasonica zawirował dysk, uruchomił się wentylator, zatrzeszczało w głośnikach, brzęknęły czynele i Julie przez dwie godziny śnił z otwartymi oczami.

A śniony był *Kill Bill*, anielski i upiorny, uproszczony, piękniejszy, posępniejszy. Bardziej (tu Julie się postarał) *egzystencjalistyczny*. Beatrix Kiddo, Panna Młoda z *Kill Billa*, zaznała przynajmniej w życiu nieco miłości i szczęścia, przyjaźni, przez pewien czas miała przed sobą jakąś przyszłość. Nawet gdy była na dnie, nawet w śpiączce, gwałcona przez mętów, nosiła w sobie to wspomnienie, w miejscu opustoszałym po dziecku, które jej odebrano. Nad jej zemstą unosiło się widmo minionego szczęścia. Ale Yuki Kashima (Meiko Kaji, taka delikatna, taka zajebista!) od urodzenia znała jedynie przekleństwo krwawego, bezsensownego przeznaczenia. A jaka tu była szermierka! Zbrodniarze i łotry, mistrzowie i adepci, ciachnięcia, sieknięcia, śmiercionośne parasolki! A ile krwi! Fruwały odcięte kończyny, jucha tryskała na dziewiczy śnieg: kaskady i gejzery krwi!

Gdy na koniec znów zapłonęły światła, gadzi mózg Juliego rejestrował niejasne sygnały: głos Van Edera przeproszającego za przedłużenie zajęć, szelest kartek, szuranie krzeseł. Biomasa określana mianem „Julie Jaffe” wstała, po czym wegetatywny układ nerwowy, przejąwszy kontrolę, pchnął ciało w stronę beżowego korytarza, po płytkach beżowego linoleum, przez beżowy świat, a tymczasem w innym wszechświecie jego wędrowna dusza ostrzyła kataną, jadła pałeczkami ryż znad ogniska i wiązała rozwichrzoną czarną grzywę w gruby kok. Julie był w połowie drogi do

zaśnieżonego dziedzińca, gdzie miał się rozegrać egzystencjalistycznie absurdalny i piękny pojedynek Yuki z jej ostatnim wrogiem (czyli w połowie drogi do szklanych drzwi Klubu Seniora w Southside, które wychodziły na betonowy plac z rzeźbioną fontanną), gdy usłyszał za sobą cudaczny skowyt, z początku jakby niski, psi, lecz wznoszący się zaraz, by wezbrać w skrzekot pseudojapońskiego wyzwania.

Julie okręcił się na pięcie w samą porę, by zobaczyć, że tamten chłopak, Titus, który zdążył już schować okulary do kieszonki, naciera na niego, oczy wywinąwszy w morderczej euforii, kopiąc powietrze z wyskoku i wymachując nad głową niewidzialnym mieczem.

– Haj-jiaa! – wrzasnął, lądując dosłownie kilkanaście centymetrów od Juliego i siekąc mieczem, jak gdyby miał go rozplatać od kości czołowej po ogonową. Julie jednym płynnym ruchem dobył katany i odparował cios, a potem cofnął się w deszczu iskier o krok, by furiacki rozpęd tamtego szarpnął nim niezgrabnie w przód. Gdy chłopak przelatywał obok, Julie dźgnął powietrze lewym łokciem, skierowanym ostro w dół (od krzyża tamtego dzieliły go milimetry).

– Hjiaa!

Chłopak złapał równowagę, odwrócił się błyskawicznie i wymienili serię prędkich ciosów i parad, naśladując głosem brzęk i szcęk stali. Odparowując sztychy, Titus wycofywał się przez szklane drzwi Klubu Seniora w letnią noc.

Hjiaa!

Haa!

Haj-JIAA!

Obok szły, powłócząc nogami, starsze panie i dziaduniowie w bejsbolówkach, a Julie i jego przeciwnik wciąż ciachali i uskakiwali, wrażli, na przemian siekąc i robiąc uniki. Miotali się po całym oświetlonym reflektorami placu, wskakując na dość przypadkowo porozstawiane kloce z betonu, by zaraz z nich zeskoczyć i ganiać się wokół wzniesionej na samym środku fontanny. Julie, bogatszy o dwa (rozczarowujące, choć wciąż świeże w pamięci) lata zajęć z szermierki, miał tę przewagę, że wiedział, jak posłużyć się mieczem, o ile faktycznie trzymało się go w dłoni, lecz Titus miał przewagę innego rodzaju, i to taką, którą miał mieć już zawsze: to

wszystko był jego pomysł. To on był sprawcą, napędzał tę fantazję, traktował ją poważnie na tyle długo i z takim uporem (w dodatku publicznie), że w jakiś sposób faktycznie się *urzeczywistniała*. Julie go gonił, a rozbawiony Titus uciekał. Wskoczył na szeroki brzeg fontanny i wziął głęboki wdech. Światło trzech reflektorów w betonowej osłonie prowadziło przez wodę niczym kamienne stopnie do umieszczonej na środku stalowej rzeźby w kształcie wielkiej mutanciej łapy rozcapierzającej pazury ku nocnemu niebu, zatytułowanej *Grupa tancerzy II*. Z koniuszkiem języka w kąciку ust, Titus przeskoczył z jednej świetlistej wysepki na drugą, a potem na trzecią i dotarł do rzeźby. Wdrapał się na rozwartą stalową dłoń i stanął na niej, posyłając Juliemu promienny uśmiech. Gdzieś w dole, przy Czwartej Ulicy, pociąg do Sacramento ubolewał, że nadszedł jego czas. Powietrze pachniało chlorem z fontanny i skoszoną murawą boiska do piłki nożnej po drugiej stronie Klubu Seniora.

– Ej, przypomnij mi, jak się nazywasz – krzyknął Julie, choć wiedział, że czar przez to pryśnie. – Jesteś... To znaczy pan Jones to twój dziadek czy jak?

Zamiast odpowiedzi Titus zeskoczył z rzeźby, szybując nad mętną wodą fontanny pełną rozrzuconych miedzianych marzeń, kręcąc nad głową młyńca katana, nogi wyrzuciwszy w przód i w tył jak płotkarz; pokonał dystans dwóch metrów w poziomie i jednego w pionie, by wylądować, drobiąc kroczeni tenisisty, na samym brzegu fontanny. Juliemu zaparło dech.

– Titus Joyner z Tyler w stanie Teksas – przedstawił się. – I zjawiłem się tu po to, panie Spock, by tak ci skopać to twoje ciotowate dupsko na różowym rowerku, że ci pospadają plastikowe sandaalki i raz na zawsze odechce ci się śpiewać Jethro Tull.

Serce Juliego się zacięło, a potem cały świat zaczął dziwnie musować, jak gdyby chłopiec był kostką lodu wrzuconą do szklanki wody sodowej. Poprzedniego wieczora poszli z rodzicami do Archy'ego i Gwen na rybne tacos, specjalność gospodarzy. Juliego prędko znużył kierunek rozmowy przy stole, więc żeby zabić trochę czasu, wyszedł na dwór ze swoim ośmiościeżkowcem. Na trawiastej wysepce, gdzie leżały często zabawki porzucone przez okoliczne dzieci, natknął się na dziewczęcy rowerek, różowy z białymi

chwytami i oponami w tym samym kolorze. W przerobionym na koszulkę bez rękawów niebieskim uniformie naukowców ze *Star Treka*, z czarnym kołnierzem i znaczkiem Gwiezdnej Floty na lewej piersi, Julie jeździł na różowym rowerku dokoła zaułka, śpiewając z ośmiościeżkowcem ile sił w płucach, że w dżungli chce się kundlić¹¹. Nie miał pojęcia, że ktoś go obserwuje, że pada na niego chłodny wzrok inteligentnej istoty z innej galaktyki. A teraz Titus Joyner górował nad nim, unosząc miecz, który z wielką mocą spadł na Juliego, a ten, bezgranicznie zaintrygowany, potwornie zażenowany, dał się ukatrupić. I umarł.

– Czyli mogę zostać?

Julie aż podskoczył. Titus leżał nieruchomo, zasłonięty kołdrą. Oczy miał zamknięte, gadał przez sen.

– Yy, okej, jasne – powiedział Julie. – Tata poszedł z powrotem do sklepu, pewnie za szybko nie wróci. Mama chyba odbiera poród, czyli nie będzie jej cały dzień. Możesz wziąć prysznic. A ja mogę, to znaczy muszę zrobić pranie. Mógłbym ci coś przeprać.

Przez ostatnie dwa tygodnie Julie, udając, że nagle zrobił się samodzielny i chce pomóc w domu, prał ukradkiem ubrania Titusa razem ze swoimi. Titus był posiadaczem zaledwie trzech par spodni, trzech koszul, pięciu par skarpet i tyłuż majtek, ale miał obsesję na punkcie elegancji i czystości. Nieświeży oddech napawał go niemal chorobliwym obrzydzeniem, a ponadto każdego dnia poświęcał w sumie przynajmniej godzinę doglądaniu skromnego afro.

– Ale nie, nie – powiedział Titus. – Chodziło mi o to, czy mogę tu zostać.

– Chodzi ci... że jak? *Zamieszkać*?

Odkąd przyleciał tu w czerwcu z Dallas, Titus miał „meline”, jak to ujął, gdzieś w West Oakland, choć jej dokładna lokalizacja pozostawała tajemnicą, w każdym razie dla Juliego, któremu udało się tylko ustalić, że pan Jones razem z Pięć Osiem mieszkali gdzieś po sąsiedzku. W trzech sypialniach spało w sumie dziewięć osób – kuzynów i niespokrewnionych krewnych, a wszystko to pod

wściekłą, acz lekceważoną jurysdykcją przedpotopowej cioteczki Titusa, która była właściwie jego cioteczną babką albo i prababką. W tym domu, w którym (w wyobraźni Juliego) jak w kreskówkowym psychiatryku kłębiło się od wszelkiej maści szaleńców i obłąkanych, nikogo nie obchodziło, gdzie Titus się podziewa, czy ma co jeść, w co się ubrać i gdzie się umyć, czy w ogóle jeszcze żyje, czy pali krak albo może buduje w jakiejś piwnicy walizkową bombę. A jednak dzień w dzień, mniej więcej, zjawiał się w świeżo uprasowanych dżinsach i śnieżnobiałym podkoszulku, z narzuconą na wierzch rozpiętą białą koszulą z bawełny oksfordzkiej albo jedną z dwóch kraciastych koszul z krótkim rękawem i kołnierzykiem (czarno-niebieską albo czarno-zieloną). I w tych butach jak krążowniki, idealnie wyczyszczonych. Juliego ta pedanteria z jakiegoś powodu wzruszała, więc gdy pomagał Titusowi ją pielęgnować, był to nie tyle obowiązek, ile zaszczyt. Ofiara miłosna.

Ośmiościeżkowiec brzęknął głośno, przeskakując do następnej ścieżki, i Titus usiadł, wystraszony, z rozwartymi oczami. Sięgnął do kieszonki po okulary, a Julie dopiero teraz zauważył, że mostek spajający wielgachne szkła à la Spike Lee jest owinięty ciasno czarną taśmą izolacyjną. Zeszłego wieczora, kiedy spotkali się na terenie Frog Park, Titus zachowywał się dziwnie, ale było za ciemno, żeby dostrzec przyczynę.

– Co się stało? – spytał Julie. – Była awantura? Czy ktoś... czy oni cię wyrzucili?

Titus chyba już się rozbudził: mrugał, przełykał ślinę, wierzchem dłoni wycierał usta. Ale na odpowiedź trzeba było poczekać.

– Nie chce mi się o tym gadać – wydusił wreszcie, niemal szeptem. Potem się ogarnął. – Ogarnij się! – upomniał samego siebie.

Wstał, podszedł do łóżka i spojrzał na Juliego z góry zza ogromnych szkieł. W spojrzeniu tym była kpina: z siebie i z troskliwości Juliego.

– Widziałem rzeczy, którym nie dalibyście wiary – powiedział, stojąc nad Juliem, na tyle blisko, że tamten czuł zapach swojego dezodorantu (pomarańcza z goździkami), który jakimś cudem

rozmażał się na ciele Titusa, gdy tego ranka mocowali się w ciemnościach. – Myśliwce w ogniu przy Ramieniu Oriona.

– Promienie laserów, błyszczące w ciemnościach opodał Wrót Tannhäusera. Nie możesz tu zostać.

– Zasuń im po prostu, że jestem twoim zmyślonym przyjacielem – zaproponował Titus. – Jedynek, ej. Chyba jasne, że masz zmyślonego przyjaciela.

– Miałem, jak byłem mały.

– Taa? I jak się nazywał?

– Nazywał się Cherokee.

– *Cherokee!* I co, dalej tu mieszka?

Nim zdążył zbyć pytanie jako żart, którym niewątpliwie było, Julie odruchowo omiółł wzrokiem stryszek. Kiedy miał cztery albo pięć lat i mieszkał w pokoju przy sypialni rodziców, wdrapywał się tu czasem, żeby pospiskować w tej kryjówce z wyimaginowanym towarzyszem zabaw. Teraz po Cherokeeem pozostało już tylko leciutkie pulsowanie w dłoni: suchy, chłodny dotyk indiańskich palców.

– Już drugi raz, okej, może pierwszy, ale obiecałeś, Ti.

– I co żem takiego obiecał? – Titus tak podkreślił pytanie, że zabrzmiało obcesowo, po czym obrócił się do komody i zaczął oglądać tellurium miniaturowych planet ze szkła, stojące na półmisku, efekt paru lat zajęć w *The Crucible*. Nawet jeśli Titusowi coś się chlapnęło, próbował to teraz obrócić w żart (przecież to nie było serio, zapomnij): – Tylko tyle, że jak już się urządzę w Hollywood jako topowy reżyser filmów autorskich, to będziesz mógł mi pomóc ze scenariuszami. To ci faktycznie obiecałem. Nic innego se nie przypominam.

– Powiedziałaś, że... no wiesz... – Julie czuł, jak jego głos cichnie, prawie zanika. – Że gdybym tam z tobą poszedł...

Niczym Galactus albo jakaś inna olbrzymia, przedwieczna, niebiańska istota, starsza nawet od gwiazd, Titus wziął w garść kilka planet, przetoczył je między palcami i zsywał z powrotem do rozdźwięczonego nagle półmiska, po czym odparł:

– Jasne. Tylko że pokumaj, gościu... – Zaśmiał się gorzko, pogardliwie. – Ja się jej boję. Raz słyszałem, jak do niego niby tak szeptała z werandy, jak mu torba na śmieci upadła i się wszystko

kulało po chodniku. To mi się przypomniał taki jeden dyro, cośmy go mieli w Teksasie, też się tak cicho wkurzał, gadał niby tak spokojnie i po ludzku, a potem łup, dup i trzy dni jesteś zawieszony, bo, kurwa, rzuciłeś ołówkiem.

– Fakt – zgodził się Julie. – Czasem wyłazi z niej Eastwood. – Po chwili dodał: – Często tam jeździsz?

– Parę razy szedłem za nim aż do domu.

– Ale śledziłeś go czy co?

– Tylko patrzyłem.

Julie wyobraził sobie Titusa na rowerze, mijającego o zmroku dom Archy'ego i Gwen, werandę uginającą się pod ciężarem bugenwilli; życie, w którym Titus nie mógł uczestniczyć, a przynajmniej nie mógł się przemóc, by podjąć próbę, przewijało się na ekranie wielkiego wykuszu jak film, który trzeba było zapamiętać co do klatki. Potem Titus spojrział na niego, a Julie przeżył szok, widząc w jego oczach łzy.

– Nie wracam do cioci, tyle ci powiem – oznajmił Titus, a do jego słów wkradł się autentyczny teksaski akcent, nosowy i przeciągły. Ściągnął okulary, żeby otrzeć łzy ramieniem, poluzowany zwitek czarnej taśmy trzymającej mostek puścił i szkła spadły, klekocząc o sklejkę stryszkowej podłogi. – Już mnie tam nie zobaczą. Nie ma bata.

Stali obok siebie, dzieliło ich piętnaście centymetrów oraz nieustępliwa membrana wieloświata. Julie pragnął objąć Titusa i go pocieszyć, ale nie był pewien, jak tamten zareaguje na tego rodzaju dotyk. Właściwie podejrzewał, że Titus taki gest odrzuci. Julie, wiedziony intuicją, która brała się w dużej mierze, a może wyłącznie z wątpliwych egzaltowanych melodramatów o czarnym getcie, seriali policyjnych i brutalnych hiphopowych tekstów, mógł się tylko domyślać, jakich to urazów Titus musiał ostatnio doznać.

Julie ukląkł, by pozbierać kawałki zniszczonej oprawki, a potem przeniósł je na stół z surowej sosny, którego blat wyglądał jak obraz Pollocka: kleksy farb Testorsa przypalone tu i ówdzie na czarno pistoletem klejowym i rozżarzoną grotem lutownicy, nieprzeniknione pismo klinowe z nacięć łamanym nożykiem; to tu, w bezmiernym, samotnym transie zwykł składać modele maszyn krocących AT-AT i myśliwców z *Gundam Wing*, a także

przyozdabiać miniaturowe armie stalowych orków i paladynów, inwestując wciąż od nowa wszystko, czym procentowało jego życie wewnętrzne, a więc jedyne, jakie miał. Na blacie stały trzy schludne plastikowe stojaki z szufladkami na śrubki i gwoździe. Z jednego z nich wygrzebał Julie tubkę kleju błyskawicznego z zaskorupiałym wylotem końcówki przebitym na zawsze, jak w jakiejś alegorii z arturiańskich legend, bolcem malutkiej czerwonej nakrętki. Wycisnął dwie krople, a następnie wprawnym ruchem modelarza złożył dwie akrylonitrylowe połówki Titusowych okularów, aż złapały, a po pęknięciu nie pozostał najmniejszy ślad. Potem oddał je Titusowi, który nieufnie przetestował spojenie. Bez okularów jego twarz wyglądała delikatnie i krucho.

– To i tak same szkło – bąknął.

– Serio?

– Normalnie plus jeden czy coś. Noszę je, żeby, tego, mądrze wyglądać.

Założył je i jego twarz znów przybrała swój zwykły wyraz, nieustępliwy i szczelny niczym pancerz.

– Dziś chyba możesz tu zostać – oznajmił Julie, choć wymawiając te słowa, poczuł ukłucie żalu, bo mgliście zwiastowały pożegnanie.

Gdyby Titus przyjął warunki, jakie Julie miał zamiar mu zaproponować, okres ich sekretnej przyjaźni dobiegłby końca. Od dziś cały świat wiedziałby już o istnieniu Titusa Joynera, a w konsekwencji dowiedziałyby się też czegoś (lub przynajmniej sądziłyby, że się czegoś dowiaduje) na temat Juliusa Jaffego. A przecież ten ostatni zupełnie jeszcze nie czuł się gotowy na to, by dowiedzieć się czegoś o sobie samym ani by podjąć walkę ze światem i jego definicjami.

– Potem to już nie wiem, się zobaczy – dodał.

– Zajebicie – odparł Titus. – Dzięki, stary.

– Ej, ale pod jednym warunkiem.

– Tylko nie tempeh. Nie tknę więcej tego gówna.

– W sumie nie jemy aż tak dużo tempehu – wymamrotał Julie, czując, jak się czerwieni na samą myśl o tym, jacy wszyscy w jego rodzinie są beznadziejnie zberkeleizowani. – Nawet nie wiem, czemu mieliśmy go w lodówce. I nie, nie o to mi chodzi.

– To o co?

– No wiesz.

– Nie – zaparł się Titus. – Nie ma mowy. Ja nie...

– Ale musisz. To znaczy, nawet jeśli moi starzy pozwolą ci zostać, a nie chcę sobie nawet *wyobrażać*, jak ja im to wszystko wyjaśnię, chyba cała nadzieja, że się podjarają tym, jak to zakumplowałem się z pogubionym czarnoskórym dzieciakiem, któremu mogą, bo ja wiem, pomóc czy coś. Ale nie możesz ciągle jeździć koło jego domu. To jest takie smutne.

Julie zszedł na dół do łazienki, żeby umyć zęby oraz, powodowany jakąś dziwną skromnością, przebrać się w zwyczajne ciuchy. Kiedy stamtąd wyszedł, zastał Titusa na najniższym stopniu schodów na stryszek, ubranego, siedzącego prosto, z dłońmi na kolanach, jak gdyby czekał na rozprawę.

– A jak mnie nie polubi? – spytał.

Julie pomyślał, że mógłby się wcisnąć między Titusa a ścianę schodów, objąć go, położyć mu głowę na ramieniu, wziąć go za rękę. Gdyby był dziewczyną Titusa, byłaby to najprostsza rzecz na świecie.

– Szkoda, że nie jestem twoją dziewczyną – powiedział.

– Przymknij się, cioto – odparł Titus łagodnie.

– Mowa nienawiści – powiedział Julie, siadając obok niego, ale z tej drugiej strony, gdzie było na tyle dużo miejsca, że mogli dzielić ten sam stopień, nie dotykając się. – Po prostu zrób, jak ci mówię. Wszystko będzie dobrze.

Titus otarł policzek wierzchem dłoni i pociągnął nosem. Julie podał mu chusteczkę, ale Titus tylko machnął ręką.

– Łzy, kurwa, w deszczu – powiedział.

Jadąc, by otworzyć podwoje Brokeland Records na przekór wichrom zagłady, Archy postanowił, że nadłoży drogi przez skrzyżowanie Czterdziestej Pierwszej i Telegraph Avenue, gdzie kiedyś był market Golden State, z którego zdarzało mu się jako szczeniakowi kraść różne smakowite przedmioty pożądania. Niewielka, ograniczona do rejonu San Francisco sieć Golden State przeżyła cichą implozję,

kiedy Archy był w Zatoce Perskiej. Teren przy Czterdziestej Pierwszej zasiano solą porażki i od tamtego czasu ani jeden biznes nie zapuścił korzeni w tym przeklętym miejscu. Ani szkółka plastikowych roślin. Ani sklep oferujący nietypowe pokrycia podłogowe w stylu tych, które widywało się czasem na sprzedaż, przewieszane przez drucianą siatkę przy pustych narożnych posesjach: włochate dywany z podobiznami Malcolma X albo azteckich wojowników kołyszących martwe azteckie kobiety w ramionach z grubego nylonu.

Archy zaparkował el camino i wysiadł. W tym samym duchu badawczym, który natchnął go, by pożyczyć na trochę Rolanda (nie zdążył powiedzieć o tym Gwen i wykazać się zarówno wolą, jak i chęcią, a informowanie jej o tym teraz miałyby mniej więcej tyle sensu co wrzucenie do parkomatu jednego centa), Archy oddał się uważnej analizie tej bryły porażki, wykutej z większego masywu fiaska, jakim było całe jego rodzinne miasto. Starał się patrzeć na nie oczami dobrze prosperującego biznesmena i pierwszolicowego bogacza, takiego jak Gibson Goode, czyli widzieć tu coś, co w odróżnieniu od plastikowej rośliny w doniczce mogło przy odpowiedniej opiece wykiełkować. Przyglądał się zabitym deskami oknom i rdzewiejącym barierkom wokół pustej zagrody na wózki. Zagadkowo dziewczemu kręgowi białego betonu, gdzie na przecięciu wszelkich ziemskich pragnień stała kiedyś maciupcia karuzela na monety, z konikami z fiberglasu, których harówka na miniaturowej orbicie mogła się wydać cudowna tylko dziecku. Gdy Archy zaszedł spacerkiem na tyły budynku, do rampy przeładunkowej z drzwiami pozamykanymi na łańcuchy i zatrzaśniętymi okiennicami, dostrzegł przysadzistego człowieka w turkusowym dresie i tenisówkach przypominających parkę tropikalnych ptaków, który mamrotał coś do telefonu. Choć wielkie okulary słoneczne z turkusowego plastiku zasłaniały górę twarzy, widać było, że jej dolne partie układają się w markotny dąs. Mężczyzna rzucił mu ciche „cześć”.

– Siema – odpowiedział Archy, całą swą koneserską uwagę skupiając na zupełnie nieciekawej i pozbawionej charakteru tylnej ścianie z pustaków. Pogładził podbródek i pokiwał głową, jak gdyby potwierdziła się jakaś pogłoska o konstrukcji obiektu i w istocie

proporcja między szerokością i wysokością pustaków odpowiadała wiedzy zakłętej przez Boga w dziełach Pitagorasa oraz w pulsacji gwiazd. Archy szedł niespiesznie dalej, nie oglądając się na faceta w jaskrawych kiksach, Czterdziestą Pierwszą, ku autostradzie 24, jak gdyby faktycznie miał tam jakiś interes.

Czterdziesta Pierwsza stała połączeniem nieba, kablami i łamaną linią dachów. Jak wiele innych ulic rozoranych na pół autostradą Grove-Shafter, po tylu latach wciąż sprawiała wrażenie oszołomionej, niczym facet, który dostał w łeb i kolebie się bez kapelusza od Telegraph Avenue, a przy wiadukcie wywala się na pysk. Archy uczył, że klatkę piersiową rozdyma mu balon kłęski. Miał wrażenie, że między epoką maciupciej karuzeli i ciasteczek Ding Dong, podwędzanych gorączkowo ze sklepu, a tym popołudniem na ziemi jałowej parkingu Golden State ziele jakaś przepaść. Jak gdyby w tej całej historii nie chodziło o niego, tylko o kogoś, kto był jej naprawdę wart, kto jej nie zdradził. Nie po raz pierwszy tego dnia czuł, że ostatnią dobrą decyzję w życiu osobistym lub zawodowym podjął w roku 1989, gdy całkiem spontanicznie zgodził się zastąpić złożonego zatruciem Boogiego Mossona na jednym koncercie Funkadelic w sali koncertowej Warfield (Archy był w owym czasie basistą ich tribute bandu Bop Gun). Trudno to właściwie nazwać decyzją, bo zaproszenie od George'a Clintona było głosem z wierzchołka niezwykle wysokiej góry. Archy miał dosyć Nata, miał też dosyć Gwen z tą jej ciążą, która w jego przypadku groziła ujawnieniem istnej otchłani nieudolności. Miał dosyć Brokelandu, miał dosyć czarnych, miał dosyć białych, tych wszystkich intryg i pretensji, zmyłek, cwaniactw i kantów. A już najbardziej miał dosyć swej nieugiętości, tego, że był jedynym ocalałym, ostatnim kokosem na ostatniej palmie na ostatnim atolu, czekającym tylko, aż zmiecie go monstrualna fala późnego kapitalizmu.

Czterdziesta Pierwsza doprowadziła go łukiem do Czterdziestej Drugiej, gdzie skręcił w prawo i znalazł się (skoro już mowa o jedynych ocalałych na drodze tsunami) przed piekarnią Neldam's. Zaraz przy wejściu, na odwróconej skrzynce na mleko, siedział jakiś dziadek ze złachaną brodą, którego w czasach dzieciństwa Archy'ego nazwano by żulem, i z wyraźnym zadowoleniem pałaszował cynamonowe bułeczki z papierowej torby.

– Niezłe mają te bułeczki – rozmarzył się Archy.

Żuł żuł, ale na chwilę przestał, by spojrzeć na Archy'ego zamglonym, choć mimo wszystko przenikliwym wzrokiem, starając się najpewniej ustalić, czy chcą go bić, czy tylko wysepić bułeczkę.

– Na lancz mam – powiedział potulnie. – I na śniadanie.

– Ja ci, brachu, nie chcę lanczu ruszać – odparł Archy. – Zresztą osobiście wolę Śmietankową Fantazję.

Kiedy był chłopcem, Śmietankowa Fantazja z piekarni Neldam's (kry kruchego czekoladowego ciasta przekładane tundrą bitej śmietany, w poszarpanym tektonicznym pancerzu szerokich wiórków z czekolady) była cudem, cackiem, pięciodolarowym cymesem, na który nikogo nie było stać, lecz który rok w rok kupowały skąpe, acz rozmiłowane w cukiernictwie panie, by kolejny raz uczcić przyjście na świat grubasa bez matki i ojca.

– No to idź pan se kupić – stwierdził żul. – Coś mi się widzi, że pan potrzebujesz.

– Może i tak zrobię – przyznał Archy.

Wszedł do piekarni, by zastać tam te same pofalowane gabloty i typową dla lat osiemdziesiątych bladą paletę szarości i różu. Zaciągnął się głęboko powietrzem i duchy mieszkających tu woni (karmelu, sosnowego chloroxu „na wszystkie plamy” i przepadłych już dawno śmietankowych fantazji) przepełniły go tak dojmującym poczuciem straty, że ledwo ustał na nogach. W Neldam's nie mieli pierwszorzędných ciast ani ciastek, za to byli po staroświecku szczerzy, wyczuwało się tu jakąś skromną cudowność, która na tle tej epoki, gdy wszystko, co dobrego w życiu, było albo syntetyzowane w ogromnych kadziach przez transgeniczne cyborgi, albo uprawiane w cieniu w miniaturowych porcjach przez kolektyw niewidomych wiccan-buddystów, wydała się Archy'emu niezwykle ujmująca. A teraz wieść niosła, że i nad Neldam's zebrały się czarne chmury, oni również mieli się zamykać.

– Muszę Śmietankową Fantazję – powiedział kobiecie stojącej za kontuarem.

Była to drobna Filipinka o ostrym spojrzeniu, która dla jego melancholii nie miała ani cierpliwości, ani czasu.

– Dużą, małą? – spytała.

Archy odparł:

– I tylko taki mam wybór?

Pół ogromnego ciacha zjadł w aucie łyżkowidelcem z restauracji Vik's Chaat, pożółkłym od kurkumy, który udało mu się ekshumować z najgłębszych pokładów schowka. Bez opamiętania ładował do gęby porcję za porcją, wydając niedźwiedzie pomruki i eksklamacje. Okazało się, że w przeciwieństwie do większości rzeczy na tym świecie Śmietankowa Fantazja jest niemal tak samo znakomita jak we wspomnieniach. To odkrycie, do spółki z przewidywanym powabem cukru, tłuszczu i czekolady, dodało mu otuchy i wzmocniło na tyle, że poczuł gotowość, by z typową dla siebie nonszalancją stawić czoła smutnej doli detalisty. Drugą połowę ciacha, która mogła przydać się później, zostawił w różowym tekturowym pudełku pod stosem gazet na fotelu pasażera, a usta wytarł rewersem mandatu za parkowanie, który, podobnie jak przyszłość Brokeland Records, padł ofiarą kodeksu moralnego Stallingsa, opartego na wystudiowanym niedbalstwie.

– Ołać to – powiedział do siebie.

Wiszącą na drzwiach Brokeland Records tabliczkę z napisami OTWARTE i ZAMKNIĘTE przekreślono już trzeci raz tego dnia. Archy wrócił za kontuar, gotów podjąć od nowa samotniczą inwentaryzację muzycznych szczątków Boba Benezry. Miał przy tym świadomość, że nad wszelkimi jego działaniami unosi się aura tragicznego poświęcenia, niczym nad sumienną rutyną skazanego na zgubę wartownika, który trwa na samotnym posterunku, podczas gdy za wzgórzami horda barbarzyńców dosiada kuców, by ruszyć na podbój. Wtedy otwarły się z hukiem drzwi i do sklepu wmaszerowały tamte adidasy o wyglądzie tukanich dziobów, jak zwykle wyprzedzając o ułamek sekundy swego właściciela, jak zwykle przechylonego o trzy stopnie na prawo.

– Kuuuwa, Żółwik – powiedział ów asymetryczny człowiek z wyraźnym rozgoryczeniem. – Żeś mnie uraził.

Archy oczywiście pamiętał ten chód, wdrożony po raz pierwszy w późnych latach siedemdziesiątych, a potem skrupulatnie

trenowany jako bardziej prozaiczny wariant „gangsterskiego przechyłu”, który William DeVaughn rekomendował w kawałku *Be Thankful For What You Got* (Roxbury, 1974) jako warunek konieczny „obczajania wszystkiego / z przodu i z tyłu”.

– Żeś się czochrał po tym rzepie, co ci się do brody przyczepił. Normalnie „Na miły Bóg, jakiż intrygujący przykład miejskiej architektury lokalnej w kontekście komercyjnym, aż muszę zajrzeć do notatek”. Jak gdybyś mnie nawet *nie zauważył*.

– Kung-Fu! – powiedział Archy, wychodząc z za kontuaru, żeby wymienić złotwika i uścisk z Walterem Bankwellem, najlepszym kumplem od przedszkola aż po technikum.

Walter Bankwell, któremu od ich ostatniego spotkania przybyło pięć kilo wagi i dwadzieścia pięć centymetrów kwadratowych łysiny, był siostrzeńcem Chana Flowersa i zdążył już swoje odsłużyć wśród umarłaków, rozbijając się swego czasu karawanami, nosząc pager na wypadek, gdyby zdarzył się trup, i roztaczając wokół siebie ten charakterystyczny zapach, jakby wody z wazonu po starych kwiatach. Ale jakimś cudem chłopakowi udało się uwolnić od wujka. Wkręcił się w biznes muzyczny i załapał jako przedstawiciel w paru niezależnych wytwórniach hip-hopowych, które się wszystkie pozamykały. Był managerem kilku szczególnie utalentowanych raperów, spośród których jednemu niemal udało się narobić wokół siebie szumu w L.A. i okolicach. Tymczasem Walter co chwila miał kłopoty z policją, ze skarbowką, z prawnikami, szefami wytwórni i matkami młodych dziewczyn, ruchanych z lubością przez jego klientów. Nad całym jego życiem ciążyła ta sama proporcja sprytu i głupoty: pięćdziesiąt jeden do czterdziestu dziewięciu. Kilka lat temu tak zjebał, że doczekał się solidnych będków od jakiegoś bonzy z Long Beach, po których trafił do szpitala, a potem na rehabilitację i fizjoterapię. Nieszczęsne czterdzieści dziewięć procent w końcu kosztowało Waltera wzrok w jednym oku.

– Co jest, ziom? – zagadnął Archy.

– Powolutku.

– Pracujesz?

Walter, w tym swoim dresie, który walił po oczach niezdrową chemiczną zielenią świetlika, odsunął się o krok, a na usta z obu stron wychyły się zaczątki drwiącego uśmiechu.

– O co chodzi? – spytał Archy.

– Jak za dawnych lat! Żółwik Stallings obczaja market Golden State. Co, pewnie masz w gaciach dwulitrowego orange crusha i ze dwie paczki „mordolejek”?

Wymówił nazwę tak, jak robili to wtedy, że niby cuksy tak leją po mordzie.

– Hm – bąknął Archy.

– Konkurencję podglądasz, co? Thang wam tu wjedzie, dział z winylami będą mieli ze dwa razy większy od tego, coście tu sobie wykombinowali.

– Jeszcze nie wiadomo. I w ogóle to są dwie totalnie różne rzeczy.

– Potem mnie widzisz w drzwiach i „ło kurwa!”. Wiej, Żółwik, wiej!

– A pierdol się, Walter. Ostatni raz wiałem w dziewięćdziesiątym pierwszym. W Kuwejcie. Jak mnie wściekły nietoperz gonił.

– Jaja se robię, co nie? Ej, pokumaj.

Dłoń Waltera wśliznęła się w jedną z zapinanych na suwak kieszeni ocieplanej bluzy od dresu, by zaraz wyłonić się z eleganckim mosiężnym pudełeczkiem na wizytówki. Klasyczny wygląd, podkreślony jeszcze przez wielki biały kamień dzielnie udający diament. Walter wyciągnął wizytówkę i podał Archy’emu. Widniał na niej czarno-czerwony nadruk, a zza tekstu wyzierało półtonowe znajome logo psiej łapy.

– „Relacje ze społecznością lokalną” – przeczytał Archy na głos. – „Grupa medialno-rozrywkowa Dogpile”. Od kiedy?

Walter wzruszył ramionami.

– Jeszcze przed tym, jak twojemu wujkowi się odmieniło...? – Uśmiezek nie zdążył jeszcze opanować dolnej wargi Waltera, a Archy już zrozumiał, że to było głupie pytanie. – Aha, okej. Czyli tak się bawimy.

– Kwik pro kwok, jak to mówią – oświadczył Walter. – Ręka rękę myje.

– Ach tak. Święty Chan i jego mały Walterek. – wycedził Archy. – Zaczynam pojmować.

Ten przysadzisty, pucołowaty chłopak chory na astmę, co rusz z gorączką, co chwila w szpitalu, ponoć kropka w kropkę jak jedyny, nieżyjący brat Chana Flowersa, zawsze był ulubieńcem wujka

i zawsze umiał się wykaraskać z kłopotów, w które wciąż pakowała się reszta siostrzeńców. Przy całym szacunku dla cynizmu oraz pana Mirchandaniego, jego proroka, Archy'emu trudno było uwierzyć, że Flowers mógł przehandlować Brokeland Records za zwykłą łapówkę. Takim akurat zepsuciem radnego nigdy nie było czuć. Lecz gdyby chodziło o to, by wyciągnąć pomocną dłoń do siostrzeńca, tego chłopca, który nie był już chłopcem, od dziesięciu lat się szamotał i widział tylko na jedno oko? Coś takiego Archy prędzej byłby w stanie zrozumieć.

– „Relacje ze społecznością lokalną” – powtórzył Archy. – Pan Gibson Goode.

– Robię dla G Bada.

– A czy G Bad wie o twojej wrodzonej wadzie? Że mianowicie, niestety, od dziecka jesteś totalny ściemniacz?

– Płatne urlopy. Wyjazdy integracyjne na Hawaje. Świadczenia zdrowotne.

Walter starał się mówić takim tonem, jakby wszystko było w należyтым porządku i w oczywisty sposób mu się należało, ale Archy zbyt dobrze go znał, by nie dostrzec w jego twarzy jakiegoś rozpaczliwego zadziwienia. Jak gdyby nad Walterem zjawił się dopiero co śmigłowiec, z którego spuszczone linę z hakiem, ratując go od spienionej, lodowatej kipieli. Pensja, świadczenia. Archy wyobraził sobie, że wraca do domu z czymś takim: jak by to było móc wreszcie odeprzeć pełen wyrzutu wzrok Gwen? Czy zagwarantowałyby sobie pięćdziesiąt procent spokoju we własnym domu, z gnuśnego rozpustnika stając się rozpustnikiem zaradnym? Stosik ćwierćdolarówek: wrzucasz do automatu, wskazówka leci ostro w prawo i masz spokój.

– To naprawdę wspaniale, Walter – powiedział Archy. – Życzę ci samych sukcesów. A teraz wypierdalaj.

– Żółwik, ej...

– Ty tak na serio? Wjeżdżasz mi tu, na moją chatę, na mój detal, a robisz dla tych kurwa grabieżców...

– Dobra, weź, Żółwik, wyluzuj. Łapię przecież. Wiem, jak ty kochasz ten swój lokal po fryzjerze, te wszystkie pajęczyny, kurz, normalnie Roger Corman. – Walter ogarnął wzrokiem wyblakłe okładki w ramach z pleksiglasu, starego iBooka w kształcie

zielonkawej muszelki, na którym robili inwentaryzację, pojemniki, które Archy i Nat sami skonstruowali, doczepiając u dołu kółka, żeby dało się je łatwo rozstawić po kątach i zrobić miejsce na sławetne, choć dziś już rzadko urządzone imprezy, podczas których zbierali forszę na czynsz. Arkologie pajaków. – Ale wiesz co? Właściciele Dogpile to w stu procentach czarni. W stu procentach!

Niczym dżin zawieszony tą aluzją, do sklepu wkroczył Nat. Niósł pudełko z Federacji Pączków za rogiem i pod dolną wargą miał w związku z tym jazzbródkę z cukru pudru. Omiótł wzrokiem spektakularny dres i buty Waltera, po czym, najwyraźniej rozpoznając w nim starego kumpla Archy'ego, skinął mu niezobowiązująco.

– O, właśnie, Nat, yyy, to jest, ten, pamiętasz Waltera Bankwella? Co żeśmy się z dawna kumpłowali? Walter, poznajcie się, to Nat Jaffe, mój współnik. Walter jest, to znaczy, właśnie zjechał w interesach i, tego...

– Jak leci? – spytał Nat.

Wyciągnął dłoń do uścisku, ale Walter uniósł ramiona jak wariackie anteny, odstające od ciała pod dziwnym kątem. Dłonie spleścił w dwa szpadle i kucnął nisko, zamiatając podłogę opartą na dużym palcu stopą.

„Coś jakby styl Białego Żurawia”, pomyślał Archy.

Walter się wyprostował.

– Narka – rzucił Archy'emu, nie oglądając się nawet na Nata. Jego buty wyszły ze sklepu, a w ślad za nimi Walter, wciąż po gangstersku przechylony, z tym że teraz nieco na lewo.

– Nazywaliśmy kolesia Kung-Fu – wyjaśnił Archy.

– Tak sobie zajrzał?

– Jakbyś zgadł.

– Powspominać stare dzieje.

– Żebyś nas widział, jakieśmy kiedyś numery odstawiali! Miałem tyle lat co Julie.

– Ty *do dziś* nie masz tylu lat co Julie – stwierdził Nat. – Julius Jaffe, jak się urodził, już miał więcej niż ty teraz.

– No nie wiem, szefie – odparował Archy.

Po drugiej stronie ulicy, przed samym domem pogrzebowym, stał wilk, co o nim mowa. Podbił deskorolkę nogą, by chwycić ją

w powietrzu, i teraz wiercił się w miejscu, a obok siedział na rowerze jakiś poważny młodzik, którego Archy zupełnie nie kojarzył. Na pewno obczaja lokal (tak podpowiadał Archy'emu osadzony gdzieś w głębi mózgu ośrodek problemów), obmyślając jakiś metafizyczny skok.

Nat też się obrócił, żeby zobaczyć, co przykuło uwagę Archy'ego.

– Znasz tego drugiego dzieciaka? – spytał.

Wyglądał na zmartwionego. O ile Archy dobrze rozumiał, Juliemu trochę ostatnio odjechał peron. Dotychczas Archy raczej nie wyobrażał sobie, by chłopak mógł wpakować się w jakieś kłopoty, których nie dałoby się rozwiązać, rzucając garścią dwudziestościennych kości.

– Hm – powiedział. – Stąd jakby trochę podobny do mojego kuzynka Trevora, ale nie. To nie Trevor.

– Stąd widzisz, do kogo on jest podobny?

– Czego oni tam tak sterczą?

– Napad czy coś.

– Hm. – Gdy Archy usłyszał echo swej spontanicznej reakcji na widok tych tam, tkwiących obok siebie jak Sól i Pieprz, zdjął go niepokój, że za chwilę całe to draństwo się wysypie. – To po to wróciłeś?

– Nie, Archy – odparł Nat. – Nie po to wróciłem.

Ściuliłeś. Autor: James Joyce. Tak żartował ojciec Nata, wydając na samego siebie wyrok, kiedy zapomniał odebrać rzeczy z pralni chemicznej, kiedy minął termin opłacenia rachunku i odcięli im telefon, kiedy nie potrafił rozniecić ognia albo przewinać silnika, kiedy padał kolejny prowadzony przez niego sklepik czy kiosk z gazetami. Człowiek, którego jedynym talentem było wręczanie napiwków znużonym kelnerkom i przemykanie lizaków oseskom, gdy ich matki były przez chwilę zajęte czymś innym. Obciążony szczególnym ściuleniem socjalisty w trzecim pokoleniu, jednego z samotnych wnuków Eugene'a V. Debsa: wystawiony przez Utopię, wydany na pastwę zarobkowania. Historia ojcostwa w rodzinie

Jaffe, gdzie do Nata należał zaledwie ostatni rozdział, była właściwie historią ściulenia: co jeden, to większy *luftmensch*, nieudacznik albo bankrut, a korzenie owej długiej linii sięgały aż guberni mińskiej. Stojąc w drzwiach sypialni Juliego jak kompletny osioł (totalny ciul!), serwował synowi ten sam koktajl kpin i napinek, sporządzony podług starego rodzinnego przepisu. W synowskich oczach widział pecha, zwątpienie i zamęt, ale nie miał pojęcia, co z tym wszystkim począć. Mimo że zdawał sobie sprawę, że im chłopak starszy, tym mniej prawdopodobne, że nadarzy się jeszcze kiedyś taka okazja. Należało więc ją chwycić i smakować, nie pozwolić, by uleciała wśród niedomówień i porzekadeł.

Carpe diem. Czy można wyobrazić sobie bardziej ciulową radę?

Nat przypomniał sobie powrót do domu na pogrzeb ojca, parę tygodni po tym, jak zaczął sypiać z Avivą. Znalazł wtedy ten stary egzemplarz *Ulissesa*, upchnięty w pudełku z dziesięciocalowymi analogami, na których była głównie powaga, zwłaszcza Szostakowicz. Cegła w miękkiej oprawie, końcówka lat pięćdziesiątych, najpóźniej początek sześćdziesiątych, grubaśne „U”, wysmukłe „L”, grzbiet zapadnięty, zmechacone krawędzie, papier żółty jak filtr wypalonego szluga. Między stronami ulubionego fragmentu ojca (poranna oracja głodnej kotki) Nat znalazł wycinek z „Times-Dispatch”. NAPAD UDAREMNIONY PRZEZ KIOSKARZA. Niedzielny poranek, rok 1968, w Shockoe Bottom, Richmond w stanie Wirginia. Podejrzany, Murzyn, lat około dwudziestu, poprosił o egzemplarz magazynu dla miłośników ptactwa, znajdujący się na półce za ladą, a gdy właściciel kiosku odwrócił się, by mu go podać, tamten przetrząsnął zawartość kasy. Gdy inny klient próbował interweniować, podejrzany uderzył go kilkakrotnie kolbą pistoletu. Wtedy to właściciel, Julius Jaffe, lat czterdzieści, zdzielił napastnika grawerowanym przyciskiem do gazet („Times-Dispatch”). Zachowując przytomność umysłu, zatrzymał przejeżdżający wóz policyjny. Niemal na pewno zapobiegł w ten sposób kolejnym aktom przemocy, jako że podejrzany odsiedział już w zakładzie karnym Powhatan wyrok za usiłowanie zabójstwa oraz napaść z użyciem śmiertelnej broni. Julius Pierwszy nie miał w zwyczaju przechowywać wycinków z gazet, nie był z tych, co się

samymi sobą napawają: ta historia sprzed piętnastu lat była wówczas dla Nata całkowitą nowością, więc mógł jedynie wywnioskować, że choć ojciec nigdy o niej nie wspominał, incydent miał dla niego spore znaczenie. Był to najwyraźniej szczytowy punkt egzystencji na poziomie morza, przy silnych tendencjach powodziowych.

Wtedy, w samym środku żałoby po ojcu, ten znaleziony wycinek wywołał u Nata uśmiech. Trzy tygodnie wcześniej, wracając do domu z Telegraph Repertory, gdzie pracował jako bileter, przeszkodził rabusiowi, zabierającemu właśnie portfel, zegarek i srebrną tybetańską spinkę do włosów młodej kobiecie, w której Nat rozpoznał stałą bywalczyńnię tego kina, pałającą szczególną sympatią do filmów z Elliottem Gouldem (Natowi zawsze się wydawało, że jest do niego podobny). Bez namysłu, planu ani skrupułów rzucił się na pomoc, a w nagrodę za męstwo otrzymał cios w brzuch oraz noc w ramionach tej młodej kobiety, która nazywała się Aviva Roth. Czytając wówczas ten stary wycinek – ze łzami w oczach na myśl, że incydent przy kiosku znaczył dla Juliusa tak wiele, że przechował jego pamiątkę między ulubionymi stronami ulubionej powieści – Nat nie przypuszczał, że pewnego dnia i on będzie spoglądać wstecz na chwilę bezmyślnego bohaterstwa sprzed kilkunastu lat z refleksją, że to jedyna sensowna rzecz, jaką kiedykolwiek zrobił.

– Po pierwsze, wróciłem, żeby przeprosić – powiedział Archy’emu. – Przepraszam. Zjechałem.

– Aha.

Nat zdawał sobie sprawę, że Archy będzie opóźniał przyjęcie przeprosin. Stanowiły one bowiem rewers Natowego obraźstwa, zestawu fukań i fochów, a przychodziły mu tak łatwo, że ludzie z jego otoczenia nauczyli się stawiać im taki sam opór jak napadom złości, które czyniły je nieodzownymi. Lepiej się zadekować w domku z cegieł i sprawdzić, czy wilk jest dostatecznie zdeterminowany, żeby wleźć przez komin. Zawsze włąził.

– Stąd pączki – dodał Nat.

– Doceniam – odparł Archy.

Otworzywszy pudełko, dokonał oględzin zawartości, jak gdyby oceniał skrzynkę świeżych nabytków, ponieważ, jak często

tłumaczył Natowi, istnieje głębokie duchowe podobieństwo (dziurka, te sprawy) między pączkiem a winylem.

– No więc, tego, przepraszam. Zachowałem się jak totalny ciul. To po pierwsze. Przepraszam, przepraszam, przepraszam. Wszystkich przeproszę osobiście. Pana Jonesa, Moby’ego. Wszystkich.

W ostatnim akapicie wycinka z „Times-Dispatch” donoszono, nie bez pewnego dziennikarskiego rozbawienia, że świadek wyraźnie słyszał, jak właściciel kiosku, pan Jaffe, który udaremnił kradzież, przeprasza niedoszętego rabusia za to, że przydzwonił mu sztabką ołowiu.

– Dobra już, dobra – powiedział Archy, opędzając się od niego. – Jarzę. Przeprosiny przyjęte. A co po drugie?

– A po drugie – powiedział Nat i gdy tak przygotowywał się do zarysowania drugiego punktu w porządku obrad, szczęśliwie przypomniało mu się zdanie, którego ojciec, niech spoczywa w pokoju, nigdy nie zdołał wyartykułować, przynajmniej nie w obecności Nata. – Nie zabiorą mi, kurwa, tego sklepu.

– Aha? To super.

– Bo nie wiem jak ty, Archy, ale ja tak sobie myślę, że jak nie będę miał tego miejsca, to chyba w ogóle nie będę miał miejsca. Nigdzie.

– Rozumiem.

– I co, myślisz, że dramatyzuję?

– Ty? Skąd!

– Bo ja tak totalnie na serio – powiedział Nat. – Spójrz na mnie. Do czego innego ja się nadaję? Hm? Lód się stopi, a z pingwinem co?

– Zasadne pytanie.

– No bo gdzie ja się podzieję!

– Znaczący, w sensie duchowym.

– Właśnie tak.

– Poza tym – powiedział Archy, podczas gdy jego brwi mówiły „Uwaga, będę se leciał w chuja” – że, no, w domu. Z rodziną.

– Archy, ja kocham żonę. I kocham syna. Przecież wiesz.

– Wiem.

– Zaświadczasz.

– Owszem.

– Ale ten sklep to jest mój świat. Tu są moje *płyty*. Rozumiesz?

– Rozumiem, Nat, jeszcze jak. – Bo choć Archy się z nim drażnił, po kpiarsku wszystko aprobując, Nat czuł też, że tu i ówdzie jego słowa padają na podatny grunt i zaczynają kiełkować. Jeśli zobowiązywałeś się dzielić swój trud i doczesny majątek z człowiekiem, który lubi zadzierać nosa, robić ludziom wykłady i generalnie się pieklić, to pewnie dlatego, że wiedziałeś, że czasem ktoś to musi robić, i nie będziesz to ty. – Ten sklep to *nasz* świat.

– Ale rozumiesz, prawda?

– Tak.

– I właśnie dlatego nie mam zamiaru stać z boku jak jakiś ciul – powiedział Nat, bo już sobie to wszystko przemyślał: poczucie, że znalazł się pod kołami pędzącego tira z napisem „Dogpile”, wywołane zrazu przez wieści Mirchandaniego. Gorycz rozmowy z Juliem. Wspomnienia ojcowskiego życia sprowadzającego się do zakładki w książce. – Idę z nimi na wojnę.

– Z Gibsonem Goode’em?

– Z Gibsonem Goode’em. Z Chanem Flowersem. Z całą tą kurewską bandą.

W uśmiechu Archy’ego nie było już ani kpiny, ani szczególnej satysfakcji. Był to uśmiech, z jakim wita się coś (złego, dobrego, nieistotne), co zjawia się w samą porę.

– Pomożesz mi, prawda, Arch? Jeśli obiecuję, że nie zrobię nic głupiego, że mi nie odwali? Że to będą działania konstruktywne? Pozytywne? Pomożesz mi z nimi walczyć?

Nim zdołał wydusić z Archy’ego odpowiedź (nie żeby jej tak naprawdę, w głębi duszy, potrzebował), z ulicy wdarł się jakiś perkusyjny rytm, płacząc się kompletnie z tym, co zapodawał ze sklepowego gramofonu Jack DeJohnette; huknęły drzwi i do środka weszli chłopcy, Julie z tym drugim. Julie roztaczał wokół siebie dźwiękową aurę mocno podlaną Moogiem, do tego w fikuśnym metrum, w stylu Return to Forever. Ostatnio nigdzie się nie ruszał bez tego pieprzonego ośmiościeżkowca, gibał po mieście w tych smętnych lokach w stylu Isro i w dzwonach, jak jakiś żydowski elf z krainy soulu. Nat poczuł, jak cały jego żal i niedawna chęć porozumienia się z synem obracają się w złość. Wymacał potencjometr magnetofonu i skrzyknął do zera.

– Co to za jeden? – Potem zwrócił się do tamtego: – Coś ty za jeden?

– Okej – powiedział Julie. – Tato. Posłuchaj.

Odkąd tylko opanował komunikaty werbalne (w wieku dwóch czy trzech lat), Julie dbał o to, by nie stawać przed komisją bez doszlifowanej, uporządkowanej argumentacji. Biznesplan musiał być odpowiednio sformatowany, w punktach. Julie kręcił, jeszcze jak, ale równocześnie pozwalał ci dostrzec, że kręci i że twoja świadomość tego faktu stanowi część, być może nawet sedno, jego kręactwa.

– To jest Titus Joyner. Poznaliśmy się na tych zajęciach o filmie, no wiesz, „Sampling jako zemsta”, Tarantino i tak dalej, w ogóle to tam jest zajebicie, w tym tygodniu oglądamy *Mechaniczną pomarańczę*, która, okej, może nie jest aż tak ekstra jak *Odyseja* czy *Lśnienie*, ale chyba się zgodzisz, że mogłaby być na trzecim miejscu.

Nat dał do zrozumienia, że sprawa jest co najmniej dyskusyjna (nie interesowała go żadna topowa trójka, w której nie zmieścił się *Barry Lyndon*), ale coś dziwnego działo się z Archym. Gapił się na Titusa Joynera, od dłuższego czasu nie mrugając, z otwartymi ustami. Było to coś na kształt *niepokoju rozpoznawczego* (określenie Nata), jak gdyby Archy właśnie zdał sobie sprawę, że zostawił portfel w taksówce w jakimś odległym mieście i teraz próbował sobie przypomnieć, ile tam było pieniędzy.

– Dobra – powiedział Julie. – To przechodząc do następnej sprawy. Titus. Przywitaj się, Titus.

– Cześć.

– Więc, tego, co ja wam mogę powiedzieć. Titus właśnie się sprowadził do Oakland z Teksasu, ze dwa miesiące temu, prawda? Nawet nie. Ma czternaście lat, jest strasznie bystry i dobrze wychowany. Wymiata w MTO. Plus, jak sami widzicie, nienaganna higiena osobista.

Faktycznie, w ubiorze chłopaka wszystkie fałdki, szwy i kanty były nieskazitelne, a jego paznokcie miały w sobie idealność muszelek.

– W Teksasie mieszkał z babcią, Shy, ale jej się zmarło i teraz Titus mieszka u starej, szalonej, normalnie zniedołężniałej ciotki,

gdzie jeszcze przed jego przyjazdem było ich, no powiedz, czternaścioro?

Obrócił się do kolegi błędzącego niewidzącym wzrokiem po słynnej fotografii, na której Art Kane uwiecznił pewien „wspaniały dzień w Harlemie”. Titus wyglądał, jakby w jego uszach zaległy się szerszenie, a on bardzo starał się ich nie rozdrażnić.

– Dziewięcioro – wyszeptał.

– Dziewięcioro! – krzyknął Julie, jak gdyby chodziło o liczbę jeszcze większą i bardziej wstrząsającą od czternaściora. – Mieszka w warunkach niebezpiecznych, niezdrowych i niehigienicznych, i nie dostawaj od razu pierdolca, okej, tato? ale powiedziałem mu, że do czasu burzliwej narady rodzinnej między tobą a mamą mógłby może, moglibyśmy się zastanowić, zważywszy na to, z jaką świetną, miłą i mądrą osobą mamy do czynienia, osobą, pragnę zaznaczyć, niesamowicie kreatywną, wręcz kipiącą od twórczych pomysłów, a przy tym posiadającą wizję kina, której nie zawahałbym się nazwać prawdziwie oryginalną...

– Powstrzymaj się – powiedział Nat. – Błagam.

– Miałem nadzieję, że mógłby na trochę zostać u nas. No chyba że...

Julie zwrócił się teraz do współnika ojca. Dotąd niósł go własny entuzjazm, lecz ta fala chucpy czy też bajery najwyraźniej rozbiła się o wzrok Archy’ego, który Nat, nawet bez zbytnej przesady, opisałby już w kategoriach czystej paniki. Nazwisko Joyner z pewnym opóźnieniem zagrało w pamięci Nata właściwy akord, durowy z noną, jak u Steely Dan: piękny, ale i nieco podejrzany. Jamila Joyner, dziewczyna, z którą Archy był związany, związany zbyt mocno, tego lata, gdy się poznali z Natem. To było zaraz po powrocie z Kuwejtu. Kręciła się przy nim na tyle długo, że zdążyła zupełnie go wykończyć, po czym wróciła do starych, do Oklahomy. Choć właściwie, gdyby się tak zastanowić, mógł to być Teksas.

– Cóż – powiedział Nat. – Chyba komuś tu należą się gratulacje.

Archy stał we frontowym wykuszu swego domu niczym skazany na zgubę kapitan na mostku statku kosmicznego i dumiał nad widmem nadciągającego pożeracza planet, a raczej czarnego bmw żony. Trąc podbródek, budował zawiłe równania trygonometryczne, mające wykazać, czy intensywność reakcji Gwen na sprawę Elsabet Getachew zostanie podniesiona do kwadratu, czy też od razu do sześcianu w związku z wieścią, że totalnie znikąd, a raczej z jakiegoś „skądś” znanego chyba tylko Juliemu Jaffe, wziął się tu dzieciak Archy’ego. Rezultaty tych obliczeń były otrzeźwiająca.

Zajechawszy przed dom, bmw przywarowało z zapalonymi światłami: rozgrzany silnik zaginał atmosferę nad maską, a przednia szyba była wielką, lśniąca taflą odbitego szarobłękitnego nieba. Światłu dnia zupełnie się nie spieszyło, by błednąć w zmierzchu, a ulice w porze kolacji zdawały się wstrzymywać oddech, rozdarte na strzępy głębokiego cienia i słońca, w pełnym bezruchu, jeśli nie liczyć białych ciem haftujących pośród wiciokrzewu swe płątane wzory. W piaskownicy na maleńkim placu zabaw leżało kilkadziesiąt porzrzucanych zabawkowych pojazdów i przyrządów, a wszystko to w barwach podstawowych, niczym plastikowe ruiny szkrabiego kataklizmu.

Otworzyły się drzwi po stronie kierowcy. Gwen lewą ręką złapała się ramy, prawą samych drzwi i zacisnąwszy zęby oraz skłoniwszy głowę jak przy niewdzięcznej robocie, dźwignęła się, równocześnie wypychając swe ciało z auta, brzuchem do przodu, by wreszcie stanąć na nogach. Przez kilka sekund wahała się tam, zupełnie jak wieczór dokoła. Potem sięgnęła do tylnego siedzenia i wydobyła stamtąd nie karabin automatyczny ani wyrzutnię rakiet, ani nawet latającą gilotynę, czego obawiał się Archy, tylko aluminiowy bidon i pasek torby porodowej. Chwyciwszy pasek, próbowała przeciągnąć ją między zagłówkiem siedzenia kierowcy a ramą drzwi, ale torba tam utknęła. Gwen zaczęła szarpać i nagle się zatoczyła, bo coś (najpewniej pasek) pękło. Kiedy chciała odzepić zagłówek, wypadły jej kluczyki. Odbiły się tylko raz i wpadły pod samochód. Wtedy puściła dyndający pasek od zakleszczonej torby i oparła się ciężko o bok samochodu, oddając się niemej rozpacz.

Przez ostatnią godzinę Archy wyobrażał sobie powrót Gwen według kilku różnych scenariuszy, włączając do tych fantazji na

temat wściekłości, wyrzutów i pojednania elementy zaczerpnięte z opery włoskiej, pornosów z połowy lat osiemdziesiątych oraz materiałów dokumentalnych, w których tornada w świetle błyskawic pustoszą Kansas. Gwen tak rzadko puszczały nerwy (co zawsze owocowało u niej długotrwałym poczuciem zdrady własnych zasad), że Archy'emu trudno było ocenić, na ile jego żona jest gotowa przekroczyć granice wyznaczone bezprecedensowymi wydarzeniami tego poranka. Do głowy mu jednak nie przyszło, że Gwen może wrócić do domu w aurze totalnej klęski.

Stała tak, oparta o samochód, spozierając na zerwany pasek torby porodowej, jak gdyby z postrzępionych brzegów chciała wyczytać ogólniejsze intencje wszechświata wobec jej osoby. Archy podreptał boso frontowym chodnikiem, lekko i ostrożnie stąpając po rozgrzanych płytach. Zakładał, że ten smutek, owo znużenie ducha widoczne w zgarbionych ramionach i schylonej głowie, ta cała ciężowa wersja *Końca szlaku*¹², że to wszystko ma wyrażać emocjonalny koszt powrotu w jego zdradliwe ramiona.

– Przepraszam – powiedział, zapominając z miejsca wszystkie planowane przemowy i formułki. – Gwen, ja po prostu... Ej! – Podszedł bliżej, żeby stanąć z nią twarzą w twarz, i ujrzał krew na jej koszuli. A na policzku czarne czułki dwóch szwów. – Ja pierdołę, kobieto, co jest? – Żelazny pręt, lodowaty jak maszt flagi zimą, wbijał mu się w pierś. – Czy ty...?

– To nie moja krew – odparła Gwen gorzko, jak gdyby powinno być inaczej. Uniosła głowę, starając się spojrzeć mu w oczy, ale jakoś jej się to nie udawało. – Ja... – Teraz wreszcie na niego patrzyła. Miała tak piękne seminolskie oczy, zagadkowe pod ciężkimi powiekami, w odcieniu między herbatą a melasą. Nagle wypełniły się łzami, jak gdyby gdzieś tam w środku pękła tama. – Totalnie nawaliłam, wiesz?

Puściła pęknięty pasek i uwiesiła się na Archym. Jej włosy pachniały szpitalem, od ciała biła woń ciężkiej pracy i porażki, z delikatną nutką kadzidła. Zarzuciwszy mu ręce na ramiona, zwisała, jakby w ogóle nie miała kości, pragnąc, by ją podtrzymał, całe jej siedemdziesiąt parę kilo, brzuch, zakrwawioną koszulę i resztę. Archy postanowił sprostać zadaniu. Ramionami przypiął ją do siebie, jak gdyby zepsuł się jej spadochron, gdy pędzili ku ziemi

sto kilkadziesiąt na godzinę, na łasce wiatru, linek i prującego się płótna. Natychmiast postanowił, że podoba, że da radę. Był przecież mężem, który umie również być wierny. Był Supermanem, który chwyta lokomotywę, gdy ta już ma runąć z mostu w przepaść.

– Wszystko będzie dobrze – powiedział.

I natychmiast pożałował swoich słów. Pojął, że to załamane, czy cokolwiek to jest, nie ma nic wspólnego ani z nim, ani z ich małżeństwem. Gwen poświęciła swą godność, by wrócić do domu nie ze względu na niego, tylko na siebie samą, ponieważ czuła, że zaraz rozpadnie się w drobny mak, a na coś takiego mogła sobie pozwolić tylko we własnym domu. I oto stała przed nim, zakrwawiona, zmordowana i wypruta, a Archy nie miał najmniejszego, kurwa, pojęcia, czy wszystko będzie dobrze.

– Ktoś umarł? – spytał. – Gwen. Kochanie. Jakieś dziecko? – Pokręciła głową. – *Matka?*

– Nie – odparła. – Nikt nie umarł. Z dzieckiem wszystko w porządku, z matką też.

– A z tobą?

Skinęła głową. Położył jej dłoń na brzuchu i jak zwykle go to podnieciło. Ta krągłość była w jakiś dziwny sposób dojrzała, pełna, jak gdyby prosiła się o otwarcie.

– Z dzidziusiem?

Naraz przestała płakać, nieodwołalnie, z cichutkim terkotem: ostatni kadr filmu odwijającego się z rolki.

– Z dzidziusiem wszystko w porządku.

– O, no widzisz – powiedział, walcząc ze wzwodem, który pojawił się w jeszcze bardziej nieodpowiednim momencie niż zwykle i kwitł ochoczo w jego bokserkach.

– Nie, Archy, słuchaj, ja nie mogę... Ja nie... Archy, ja, ja tak strasznie nawaliiiłam...

Osunęła się na ziemię, a Archy razem z nią. Oto człowiek ze stali leciał w przepaść w ślad za spadającą lokomotywą. Czuł ból w ramionach, kolana mu się trzęsły, jak gdyby Gwen z sekundy na sekundę przybywało kilogramów, dzidziusiów i wód płodowych.

– Chodź do środka. O tak. Wstań. Już dobrze.

Dźwignął ją do pionu, a ona była w stanie ustać na nogach, ale zdawało się, że to tymczasem kres możliwości. Odpoczywała z

głową na jego piersi. Myślał: „Mogę tak tu stać całą noc, aż łapy mi odpadną i się rozpirzą na milion kawałeczków”, i ta myśl zaprzętnęła go tak całkowicie, że z początku nie zauważył, z jaką determinacją Gwen przyciska twarz do gorsu jego koszuli, później do skóry przy kołnierzu, wreszcie do dołka w szyi, biorąc głębokie, inkwizytorskie hausty powietrza.

– Czemu pachniesz świeczkami? – spytała.

Cofnęła się i teraz patrzyła na niego badawczo. Z kieszeni zakrwawionej koszuli wyciągnęła zgniecione w kulkę serwetki i wydmuchała w nie nos.

– Długo by opowiadać – wybąkał. – Lepiej powiedz, co się właściwie stało.

Potrząsnęła głową.

– Nie mam ochoty o tym gadać. Puściły mi nerwy. A teraz tamci z Chimesa odbiorą nam akredytację, Aviva jest na mnie wściekła i to pewnie będzie koniec naszej działalności, i... i...

Zza rogu, tuż przy Zaułku Zaginionych Zabawek, wyłonił się na swym ostrokołowcu Titus Joyner, a jego nagi tors błyszczał jak olej silnikowy. Wycięcie koszulki naciągnął sobie na czoło, tak że reszta zwisała z tyłu niczym burnus. Serce Archy’ego zachybotало się i spadło z półki. Wcześniej udało mu się przekonać Nata i chłopców, żeby na razie nie podejmowali żadnych kroków, żeby nie mówili nic Avivie, w ogóle nikomu, a już na pewno Gwen. Nie zaprzeczał swemu ojcostwu, właściwie nawet nie kwestionował Titusowych roszczeń. Rzeczywiście, słyszał wtedy o ciąży Jamili i chociaż trochę podejrzewał, że dziecko jest jego, te częściowe podejrzenia nie skłoniły go, by zaprotestować albo wykonać jakikolwiek inny gest, kiedy Jamila wyjechała do Arkansas (czy gdzieś), żeby urodzić. Zawsze kiedy słyszał jakiś hycior z tamtej epoki, jedną z piosenek, które ułożyły się w coś na kształt ścieżki dźwiękowej dla ślepej szamotaniny jego plemników w intymnym mroku Jamili Joyner, poświęcał temu dziecku nanochwilę swych myśli. Lecz aż do tego popołudnia Titus pozostawał beznamiętnym, pulchnym bobasem, wiecznie wciśniętym w najmniejszy smoking świata, podług jedyne go zdjęcia, jakie Archy widział, przesłanego wiele lat temu przez teksaską babunię wraz z informacją, że Jamila zginęła w wypadku samochodowym. List nie zawierał żadnych innych słów,

nawet prośby o czek – opiewający na trzysta siedemdziesiąt pięć dolarów – który Archy wystawił, ów jeden, jedyny raz, w reakcji na zdjęcie i tragiczne wieści. Dziś w sklepie zachował wobec chłopaka dystans, starając się jednak nie wypaść chłodno czy nieprzyjaźnie. Wymienili pospieszny uścisk, którego w swym wzburzeniu prawie nie odczuł. A teraz Titus w chuście z koszulki przejeżdżał koło nich, ze wzrokiem zupełnie bez wyrazu, utkwionym gdzieś przed sobą, nie patrząc ani na Archy’ego, ani na Gwen, ani w lewo, ani w prawo. I tak jak Gibson Goode oraz ten nieuchronny, beznamiętny, pulchny bobas w brzuchu Gwen, chłopak miał jeden cel: wszystko mu rozpieprzyć.

– Kto to? – spytała Gwen, nie spuszczać z oka Archy’ego, który patrzył za mijającym ich smarkaczem. Archy’emu trochę obluzowała się szczęka, a oczy trochę wylazły z orbit. – Archy, co się stało?

– Nic – bąknął Archy.

Dosłownie w ostatniej chwili chłopak się poddał. Jego wzrok prześliznął się po ziemi ku Archy’emu, smagnął go leciutko i natychmiast wrócił do patrzenia na wprost.

– Ja... Nie. Nic.

Archy jeszcze przez chwilę śledził tor jazdy Titusa, po czym odwrócił się, by stawić czoła ruinie, jaką przedstawiała sobą jego żona, i spróbować znaleźć jakieś rozwiązanie.

– Zaczekaj tu – powiedział. Podszedł do zaparkowanego na podejździe el camino, otworzył drzwi po stronie pasażera i wyciągnął stamtąd ogromny różowy lotniskowiec: pudełko z ciastkiem z Neldam’s.

– Co – powiedziała Gwen, biorąc głęboki, dygotliwy wdech, i choć na jej twarzy wciąż malował się ten sam nieufny wyraz, wprawnemu oku Archy’ego nie umknął fakt, że wyraźnie pojaśniała – to. Na Boga. Jest.

– Śmietankowa Fantazja – odparł Archy.

II. Świątynia Winyłu

– „Pardon”, powiadasz? To jakiś nowy kabel? – spytał pan Randall „Cochise” Jones. – Bo inaczej sobie na hammondzie nie pogram.

Obrócił wszystko w żart, nie chcąc okazać zdenerwowania. Całą noc nie zmrużył oka, bo w głowie wirowało mu pięć myśli. „Jutro fucha. Garniak: brąz i złoto, krata. Ptak: krople na skazę. Van: zatankować. Leslie: odebrać”. Fucha, garniak, ptak, van, Leslie; igła uwieczona w zamkniętym rowku, krążąca w nieskończoność wokół szpindla jego umysłu. Zawstydziła go ta przykrótka lista nocnych kawałków. Gdy był młodszy, jego bezsenność grała wszystko, jak leci: seks, rasę, prawo, politykę, Bacha, Marksa, Gurdzijewa. Najróżniejsze myśli, dzikie, samowolne, nieskrępowane, miały swój ciężar, rozmach, głębię. A teraz? Wszystko by się, kurwa, zmieściło na jednej EPce, pięć numerów, i tak w kółko.

– Mówiłeś: „Bądź pan tu w sobotę” – powiedział do Archy’ego.

– Wiem, wiem.

– Dla czarnego faceta w moim wieku to może być nie lada wyzwanie.

– A jednak pan się zjawił – odparł Archy.

– A jednak się zjawiłem.

No i zjawił się, faktycznie, wciąż szczupły i krzepki, mimo swych sześćdziesięciu sześciu lat. Sportowy garnitur w brązowo-złotą kratę roztaczał woń świeżego krochmalu, jakby ciuch przed chwilą odebrano z pralni, a teraz prezentował się w lobby kasyna. Ptak na ramieniu dostał solidną dawkę tabletek z mniszka lekarskiego, utłuczonych na miazgę i zmieszanych z porcją owsianki. Van (za paliwo zaśpiewali mu pięć dych) stał teraz zaparkowany tyłem na podjeździe Archy’ego: biały ford econoline ’83, z dwukrotnie przekreślonym licznikiem, pokryty szarym meszkiem kurzu. Stał tam, tylne drzwi miał otwarte na oścież i był pusty niczym obietnica. Chłopak mówił mu już w zeszłym tygodniu, że się uporał z robotą.

– Panie Jones, kurde no, przepraszam, co mogę powiedzieć? – wykrztusił Archy. – Dużo się działo.

– Mówiłeś, że skończone.

– Taa, no bo prawie było, ale potem, teges, się okazało, że skopał się panu głośnik wysokotonowy. I musiałem jechać do jednego gościa aż w Suisun City.

Archy wstukał kod w zamek szyfrowy na drzwiach garażu i zwolnił zatrask. Schylił się, żeby chwycić klamkę. Dziewiąta rano, a chłopak w piżamie. Spał, jak widać, w dziwacznych ciuchach od kung-fu, jakby z czerwonego atłasu, z napisem INSTYTUT IM. BRUCE’A LEE wyszytym na plecach białą jedwabną nicią.

– Serio prawie gotowe. Dwie, góra trzy godzinki. Przed koncertem się zdąży na stówę. A o której mamy tam być?

– Tego nie wiesz, to skąd wiesz, że się zdąży?

Archy zerknął na papugę, przewracając oczami, jakby mówił: „Czujesz gościa? Budzi mnie o ósmej, kurde, pięćdziesiąt siedem rano i dupę zawraca błyskotliwą logiką”. Archy Stallings, wciąż jedyna osoba prócz Fernandy, która kiedykolwiek próbowała wciągnąć ptaka w rozmowę o panu Jonesie. Pan Jones pamiętał sposób Fernandy, pamiętał, jak z hukiem stawiała na blacie kuchennego stołu (na przykład) buteleczkę pigulek, po czym odwracała się do papugi uczipionej żerdki przy oknie i mówiła coś w rodzaju: „Te, Pięc Osiem, pilnuj lepiej, żeby wziął lekarstwa. Bo jak on się przekreśli, to jeszcze tego samego dnia opchnę cię do KFC”.

– Nie no, ale serio, panie Jones. Złożyć tylko muszę i może pan brać.

– Młody człowieku – wycedził pan Jones – muszę pograć *przed* koncertem. Sprawdzić, czy działa, dźwięk obczaić.

Z brzękiem sprężyn ruszyły w górę zawiasy garażowych drzwi. Pół kilo ptasiego ciepła i nieustannego oddechu na barku pana Jonesa powitało wzmacniacz Leslie, naśladowując turkot, jaki wydawał po włączeniu wirnik wysokotonowy. Jednak wypatroszony Leslie nie odpowiedział. Obudowa była jeszcze pustsza niż van, w którym przynajmniej upchano parę koców przewodzkowych, płataninę sznurów i linek elastycznych, parę wózków do sprzętu. Silniczki, tarcze, głośniki obrotowe i komora, wzmacniacz najeżony lampami

elektronowymi jak Kreml – wszystko to leżało pedantycznie porozkładane na stole warsztatowym. Pan Jones od razu zauważył, że części są wyczyszczone, naoliwione, jednym słowem, wyglądały schludnie.

Pan Jones lubił w Archym tę schludność. Nawet w wieku pięciu czy sześciu lat paznokietki miał Archy czyste i schludnie przycięte, a koszula nie śmiała wystawać ze spodni. Podręczniki owijał w papier z toreb po zakupach. Potem, już jako piętnasto-, szesnastolatek, zaczął się stroić w staroświeckie git gajery, kapelusz, krawat, te sprawy, gdzieś między Malcolmem a Mingusem. I w kółko czytał jakąś penguinowską broszurkę, przełożoną z łaciny czy z greki; przy pingwinie, tym najpoprawniejszym z ptaków, nawet pedantyczny Pięć Osiem wyglądał jak miotełka z piór.

– Się rozkojarzyłem – przyznał Archy. – I trochę dałem dupy. Bo ta cała afera z Dogpile, wie pan? I jeszcze inne sprawy...

– Trzeba się skupić – powiedział pan Jones, chociaż na dźwięk własnych słów aż go skrzyło. Doskonale pamiętał, gdzie miał maksyminy starszych panów, kiedy sam był młody. Jak deszcz o parasol, kiedy młodziak poprzysiągł sobie, że za nic w świecie nie przemoknie. Co prawda Archy nie był już taki młody, a deszcz bezsensownych porad pana Jonesa padał na niego nie od dziś. Staremu z kolei powstrzymać się było równie łatwo jak nabrzmiałej chmurze. – Skoro już się zobowiązałeś.

– Nie no, jasne – odparł Archy, strzepując widmowy parasol. – Jasna sprawa. Wie pan co? Nie ma pan czegoś do załatwienia? Bo ja bym to tymczasem poskładał. Może być? Serio, z godzinę mi to zajmie, nie więcej. Potem możemy pójść do pana, podłączyć hammonda, wypróbować cały bajzel. Jak coś trzeba podkreślić, zrobię na miejscu. I pomogę załadować wszystko do vana. – Wyprostował się i ściągnął pasek od kung-fu-szlafroka. – I jest gites. Na wieczór będzie gotowe. Okej? Pasuje?

Wszystko to pojednawczym tonem, który zawsze przybierał w rozmowach z tym staruszkim, ponieważ rozumiał jak żaden śmiertelnik (z wyjątkiem jednego pierzastego mędrca), że Cochise Jones jest w głębi duszy człowiekiem gniewnym, niecierpliwym i że łatwo go oburzyć i urazić. W tekście z okładki płyty *Redbonin'* Leonard Feather pisał o „opanowanym panu Jonesie” i w tamtej

epoce, w samym środku rozgorączkowanych lat siedemdziesiątych, taka była o nim gadka. Cochise miał być wyluzowany i małowówny jak filmowy Indianin, jak Jeff Chandler w *Złamanej strzale*. Dziś wydawał się raczej nieszkodliwym, uśmiechniętym dziaduniem, cichym miłośnikiem papug, który, gdy czasem zasiadł do hammonda, przeistaczał się ku zdziwieniu obecnych w soul-jazzowego Zorro, którego palce fechtowały z klawiaturą i drawbarami. W kostiumie rozpromienionego, chichotliwego staruszka pan Jones czuł się tak samo uwięziony jak w pseudoindiańskim opanowaniu z czasów młodości.

– Kiedy przyjdzie dzień, że sam nie poradzę z targaniem tego kłamota – powiedział pan Jones – to dam sobie z tym wszystkim spokój.

Hammond B-3 był ciężki jak diesel, nieporęczny jak trumna i delikatny jak zegarek. By z nim koncertować, trzeba było albo silnych mięśni, albo silnej woli, by nadużywać uprzejmości przyjaciół. Od dnia, w którym kupił instrument od Rudy'ego Van Geldera, pan Jones zawsze wybierał to pierwsze.

– Daj no lepiej jakie krzesło – powiedział. – I może jeszcze wymyśl, gdzie mógłbym odstawić to cholerne ptaszysko.

Archy zniknął w domu, by za chwilę wrócić z dwoma kubkami czarnej kawy, krzesłem do komputera i kijem od szczotki z doczepioną zwornicą, żeby Pięć Osiem mógł sobie przycupnąć. Na podłodze garażu rozłożył koc przewodzkowy z vana. Okazało się, że są urodziny Counta Basiego: w KCSM grali *Li'l Darlin'* w wersji z Lambertem, Hendricksem i Ross, gdzie samemu Countowi zdarzyło się zasiąść do hammonda B-3 i kultywować żałobny, kościelny ton, który ten instrument wniósł do jazzu, mniej więcej wówczas się w nim zadamawiając.

Pan Jones, wyciągnąwszy fajkę i kapciuch, przysiadł na krześle i obserwował chłopaka przy pracy. Sprawiało mu jakąś satysfakcję przyglądanie się, jak mięsiste niczym u jazzowego klasyka paluchy Archy'ego podnoszą jedną po drugiej fikuśne części wzmacniacza Leslie. Wyglądało to wszystko, jakby ktoś część wygrzebał z kuchennej szuflady, część z pudełka z zabawkami, resztę skombinował z U-Bootu, a potem kazał zamieszkać w jednej skrzyni. Kanciasta modernistyczna fajka wrzoścowa, подарowana niegdyś

panu Jonesowi przez Archiego Sheppa, miała dziś nadzwyczaj dobry cug. Pszczoły leniły się w rosnących wzdłuż podjazdu kwiatach wiciokrzewu, gdzieś odezwał się tajemniczy świergot kolibra. Pięć Osiem gmerał ospale czarnym dziobem w nakrapianej piersi. Leslie zostanie naprawiony, koncert się odbędzie, zagrają wieczorem w Berkeley Hills. Ewidentnie wszystko było w porządku. A jednak coś dręczyło pana Jonesa, jak lekka zgaga w przełyku: jakaś porażka, która majaczyła na rozpościerającej się przed nimi drodze lub też za ich plecami.

– Co za „inne sprawy”? – spytał pan Jones.

Pięć Osiem zaświergotał jak koliber.

– Hm? – Archy zdążył już zamontować zestaw wysokotonowy na najwyższym z trzech poziomów i podpiąć do silniczka na prąd zmienny. Przykucnął, zaglądając do środka i wsłuchując się w dobrze naoliwioną ciszę, w której tarcza z dwoma głośnikami, tym prawdziwym i jego bratem niemową, wirowała na tubie: śmigła na kreskówkowej czapeczce. – Inne sprawy?

– Co żeś się przez nie rozkojarzył.

Archy odciął prąd i wirnik wysokotonowy zamarł ze słyszalnym westchnieniem. Chłopak odwrócił się, by stanąć twarzą do pana Jonesa, z mozolną determinacją, niczym autobus manewrujący w wąskiej uliczce. Przez chwilę w zamyśleniu kołysał się na piętach, sapiąc przez nos. Zastanawiając się, czy chce ruszać ten temat.

– Jakoś tak wyszło, że mam syna – powiedział. – Czternastolatka. Zjawił się wczoraj w sklepie z, kurwa, nikąd. Okazuje się, że od czerwca mieszka tutaj, w Oakland.

Długa cisza usprawiedliwiła wniosek Archy’ego, że pan Jones nie ma na ten temat nic do powiedzenia. Pan Jones podejrzewał, a nawet miał nadzieję, że Titus może być przyczyną owego rozkojarzenia, ale nie był przygotowany na słowo „syn”, które wprawiło go w głębszą konsternację; był mianowicie rozdrażniony, że po tylu latach słowo to wciąż może odbijać się w nim tak niepokojącym echem. Był czas, że – wypowiedziane – spadało jak taca z naczyniami na wykafelkowaną podłogę, kończąc wszelkie prowadzone w duchu rozmowy. Teraz rozbrzmiewało już tylko łagodnym tremolem żalu, nie różniąc się szczególnie od innych szmerów w sercu sześćdziesięciosześcioletniego mężczyzny. Pan

Jones siedział bez ruchu, zmieszany swym rozgoryczeniem, obracając w myślach rewelację Archy'ego, jakby była przyciskiem do papieru, czymś małym, ciężkim, o wielu ostro ściętych krawędziach. Pragnął udzielić temu porządnemu, utalentowanemu młodzieńcowi jakiejś rady, przekazać mu coś ponadczasowego i użytecznego, coś o synach, stracie i żalu. Im dłużej trwała ta cisza między nimi, tym bardziej pan Jones się irytował. Archy obrócił się z powrotem do wzmacniacza. Wyciągnął wtyczkę, wziął z blatu wirnik basowy, zamontował nakrętki mocujące.

– Z żoną ile się znacie? – spytał pan Jones.

– Dziesięć lat.

– Aha.

W fajce nie było już ani krzty życia, więc pan Jones przekazał ją papudze. Ta z leciutkim kliknięciem chwyciła cybuch w dziób, sfrunęła z prowizorycznej żerdzi i poleciała w poranne słońce. Usłyszeli stukanie fajką o chodnik. Ptaszysko się pewnie załatwiło przy okazji, bo przyuczone było lepiej niż pięciolatek. Po paru sekundach przyfurkotało z powrotem, by sięść na ramieniu pana Jonesa i oddać mu fajkę z opróżnioną główką. Sztuczki tej nauczył Pięć Osiem jakiś wcześniejszy właściciel, przed panem Jonesem, a nawet przed Marcusem Stubbsem, od którego pan Jones wygrał ptaka w pokera i który nie palił fajki, a co ważniejsze, nawet rekina nie nauczyłby gustować w stekach. Pan Jones ujął fajkę w dłoń, a papuga w kilku susach wskoczyła z powrotem na prowizoryczną żerdź.

– W ogóle to żonie jeszcze nic nie mówiłem – odezwał się Archy.

– Gdyby pan się zastanawiał.

– A wcześniej nie wiedziałeś, że masz syna?

– Niby wiedziałem, ale jakoś nie mieliśmy, tego, no, kontaktu. Chłopak mieszkał gdzieś w Teksasie, chyba w Tyler.

– Znam.

Fucha w jakimś grill-barze na rozdrożu, buda kryta blachą, w gęstej, wilgotnej nocy przyczajona woń róż. Za bębnami Idris Muhammad, wtedy jeszcze dzieciak występujący pod własnym nazwiskiem, jako Leo Morris. A wszystko to prawie pół wieku temu.

– Mieszkała tam jego babcia, znaczy mama mamy – ciągnął Archy. – Starsza pani wysłała mi kiedyś zdjęcie.

– Mhm.

Pan Jones upchnął do fajki kolejny kłębek ulubionego perique i ubił palcem.

– Nikt nigdy ode mnie nie chciał, żebym mu tatkował – powiedział Archy. – A ja się, no wie pan. Się nie zgłosiłem.

– Mhm.

– I wczoraj chłopak się nagle zjawia w moim sklepie, a ja dalej właściwie nie rozumiem po co. No ale! Aha, i razem z nim Julie.

– Julie?

– Julie Jaffe.

– Nie wiedziałem, że ten chłopiec ma jakichś kolegów.

– No, w tym chujku to on się całkiem zabujał.

– Ach – powiedział pan Jones. – To on z tych?

– Takie odnoszę wrażenie – odparł Archy.

Nie żeby którakolwiek z tych rzeczy pana Jonesa niepokoiła. Gdy szło o styl życia i wzorce zachowań, bezwarunkowo hołdował zasadzie „żyj i daj żyć innym”: gejom, wiccanom, ludziom, którzy koniecznie chcieli mieć w płatku ucha metalowe kółko. A jednak, choć nie czuł zaskoczenia, to z jakiegoś powodu na wieść, że Julie Jaffe okazał się homoseksualistą, pana Jonesa ogarnął smutek. Za dużo komplikacji, myślał, zbyt wielki ciężar dla chłopca w tym wieku. Nie potępiał, ale nie widział też, jaka mogłaby z tego być radość.

– Taki młody chłopak – powiedział, kręcąc głową. – A jaki bystry.

Papuga zapikała jak mikrofalówka pana Jonesa, cztery razy. Pop-corn, pop-corn! Następnie, trzymając się swej własnej nieodgadnionej logiki, zaczęła artykułować refren *American Pie* w wersji Richarda „Groove” Holmesa. W ptasim gardziołku terkotał upiorny hammondowy wirnik.

– Że niby spotkali się na jakichś zajęciach o filmie – powiedział Archy, montując w dolnej partii wzmacniacza komorę basową. – W Klubie Seniora w Southside.

– Coś podobnego? – powiedział pan Jones, patrząc w oczy papudze, jak gdyby ją ostrzegał, by trzymała język w dziobie: ani słowa o tamtym czerwcowym wieczorze.

– Jakiś kurs o Quentinie Tarantynie. Nie wiem, pewnie analizują *Kill Billa* czy coś w ten deseń, filmy kung-fu oglądają, filmy klasy B.

W sumie to się dziwię, że sam się pan na to nie zapisał, tak pan kocha to swoje *Pulp Fiction*.

– No właśnie że się zapisałem – odparł pan Jones. – I chyba ci chodzi o mojego koleżkę Titusa. Serio, to twój syn?

Archy podniósł się powoli, ostrożnie. Do pana Jonesa podchodził pomalutku, jak gdyby w każdej chwili mógł się znaleźć na muszce.

– Pan go zna?

Kiedy tylko pan Jones, znów w stylu charakterystycznym dla beznadziejnych staruszków, życzył sobie pokontemplować ułomność tego świata, a przynajmniej tej jego części, którą na Czterdziestej Drugiej zamykała z jednej strony autostrada Grove-Shafter, a z drugiej Telegraph Avenue, wystarczyło mu spojrzeć przez ulicę i dwa numery w górę, ku domowi pani Wiggins. Wydawała się stara już wówczas, gdy się tu sprowadził z Fernandą i z teściową, czyli w 1967 roku. Ale wtedy to była fest baba, wściekle religijna, zadowolona z rozgłosu ochoczo przez nią samą podsycanego, jaki przynosiły jej rządy żelaznej ręki sprawowane nad tabunami włóczących się po okolicy dzieciaków (w tym nad świętej pamięci Jamilą Joyner), które spływały do jej domu jak uchodźcy, biorąc od niej to, co była im w stanie dać: miłość, manto, czyste ubrania, ciepłe posiłki. Mijały lata, dziesięciolecia, a pani Wiggins wciąż się nie poddawała, jak jeden z tych japońskich żołnierzy, co to walczyli na Wyspach Salomona czy gdzie to było. I nie zjawił się nikt, kto by ją wsparł albo przekonał do złożenia broni. W końcu jednak czas, występki i wszelkie odmiany nieszczęścia zgnębiły nawet panią Wiggins. Choć żyła jeszcze, to już tylko jako rozbełkotany cień samej siebie. Współczuć należało każdemu dziecku, które wysoki sąd złego losu powierzał jej opiece. W Oklahoma City, gdzie pan Jones dorastał, zabrano go raz do wesołego miasteczka, gdzie jedną z atrakcji był człowiek, którego przedstawiano jako Johna C. Frémonta, liczącego sobie podobno przeszło sto dwadzieścia lat. Kościste ręce, zbity kołtun i para przesłoniętych bielmem oczu łypiących z rozdygotanej hałdy koców. Dokoła tej gapiącej się na widzów istoty w półmroku cyrkowego namiotu poruszały się inne dziwolągi i szkaradzieństwa, wyginając się w swym szczwanym zgorzknieniu. I ten właśnie obraz przychodził panu Jonesowi do

głowy, gdy myślał teraz o pani Wiggins w jej maleńkim domu po drugiej stronie ulicy.

– Być może mam coś wspólnego z tym konkretnym rozkojarzeniem, które ci się przytrafiło – stwierdził pan Jones. – Titus mieszka u pani Wiggins. Pamiętasz ten dom naprzeciwko mojego?

– No, chyba tak. Ciotka Jamili czy coś.

– Któregoś dnia widzę chłopaka, jak wychodzi z domu, i wydał mi się jakiś, wiesz, znajomy. Taką miał na sobie kamizeleczkę swetrową. Włosy uczesane, spodnie w kant...

– Elegancko się nosi, przyznaję.

– ...więc sobie pogadaliśmy.

W tych trzech słowach zdołał pan Jones zawrzeć dwutygodniową historię skinięć na powitanie. Dzieciak przejeżdżał rowerem o najróżniejszych porach dnia i nocy, pan Jones przyglądał mu się, dzień w dzień szukając oznak nadciągającego fatum, ale jedyną rzeczą faktycznie godną uwagi był niewielki, aczkolwiek zawzięcie utrzymywany w schludności zestaw koszul z kołnierzykiem oraz śnieżnobiałych podkoszulków. A potem ni stąd, ni zowąd wybuchła między nimi rozmowa. Titusa przyciągnęła salwa dziwacznych papuzich cytrzeń dobiegających z kuchennego okna pana Jonesa: poprzedniej nocy na KQED leciał *Trzeci człowiek*.

– Mówi mi, że chce być reżyserem filmowym – ciągnął pan Jones.

– Opowiada, rzuca te wszystkie nazwiska, Walter Hill, Sam Peckinpah, Stanley Kubrick. A ja sobie myślę, hm, no okej.

– Chłopak ma gust.

– Potem się zgadało, że lubi Tarantina. To mu powiedziałem, że są takie zajęcia. Tylko jak żeśmy już dotarli, był tam taki jeden facio na wózku. – Tu pan Jones przerwał i zasznurował usta. Wziął głęboki wdech, potrząsając głową we wściekłym rozżaleniu. – I ten facio mówi, że ma *alergię na ptaki*.

Zdaniem doktora Hanseliusa z Biblioteki Marksistowskiej im. Niebyła i Proctora alergie na ptaki były, tu cytat, niezwykle rzadkie, koniec cytatu, i coś z niezaleczonej wciąż zadry upokorzenia, którego doświadczył pan Jones owej nocy, z poczucia, że on i jego papuga padli ofiarą jakiejś zagadkowej bigoterii, podsyciło złość, która narastała w nim, odkąd dowiedział się, że jego Leslie wciąż

nie jest gotowy na wieczorny koncert, odkąd wyrzucono go z zajęć o Tarantynie, odkąd zamordowano Marcusa Fostera, a może i Martina Luthera Kinga, od roku 1953, a w sumie to od 1938.

– Skurwysyn pewnie codziennie śpi na puchowej poduszce – powiedział pan Jones.

Spojrzał na ptaka, od którego piór biła delikatna papuzia woń nadpalonej gazety. W tym stworzeniu rozpuszczała się cała jego samotność, całe oburzenie. Pięć Osiem fiuknął jak gwizdek tłokowy.

– Tak więc musiałem sobie pójść – powiedział pan Jones, zrozumiawszy, że tłumacząc rolę, którą odegrał w doprowadzeniu syna do ojca, nieco zбочzył z kursu. – Titus został. A chłopak Nata siedział tak, że... no, nie można było go nie zauważyć.

– W pierwszym rzędzie, zaraz przy wykładowcy?

– Na samym przodzie, na środku. Coś musiało między nimi zaiskrzyć. Domyślałem się, że chłopak może prędzej czy później chcieć cię znaleźć.

– Czyli pan wiedział?

– Pewien nie byłem.

– Ale, panie Jones, czemu mi pan tak normalnie, jak człowiekowi, nie powiedział?

Na to pytanie pana Jonesa aż skreśliło.

– Wydawało mi się, że już swoje zrobiłem. I że teraz to już wy sami. Ty i on.

– Super – powiedział Archy. – Hm. A z pana, panie Jones, to w sumie taki skryty chujek jest.

– Nie mogę zaprzeczyć.

– I pana ścieżki też jakieś niezbadane. A *im* pan powiedział?

I może właśnie wtedy do pana Jonesa zaczęło docierać, że czuje się urażony.

– Myślisz, że *im* bym powiedział, a tobie nie?

– Bo chyba musieli się sporo nakombinować, że znaleźli drogę aż pod moje drzwi.

– Czyli to tam teraz jest Titus? Pod twoimi drzwiami?

– No, w przenośni.

– Nie mieszka z tobą?

– Że tak z dnia na dzień? Nie no, jasne: „Cześć, jestem twoim synem”, „Super, dobra, to jest twój pokój”.

Pan Jones usiłował dopatrzeć się wady w takim scenariuszu. Kochał Archy'ego Stallingsa i zawsze starał się widzieć w nim to, co najlepsze. Trudno mu jednak było pojąć, co mogłoby człowieka powstrzymać przed przyjęciem nieoczekiwanego błogosławieństwa, jakim był żywy chłopiec, przystojny i elegancki, na dodatek z godnym pochwały gustem filmowym.

– Ja tak szybko nie działał, panie Jones, pan mnie przecież zna. I powtarzam, że Gwen nic jeszcze nie wie. I tak już mam u niej totalnie przesrane, bo parę razy zachowałem się, hm, nieroztropnie.

– Ale chyba nie kazałeś mu zostać u pani Wiggins?

– Nie, mieszka na razie z Natem i resztą. Pomyślałem sobie: a co, przynajmniej Julie będzie miał frajdę. Małe piżama party na strychu i tak dalej.

– Chuja sobie tak pomyślałeś.

– Okej – zgodził się Archy. – Może i nie. Tylko że zaraz będziemy mieli dziecko i jeszcze to Dogpile...

– Więc będziesz rozkojarzony.

– No tak.

– Ciężko się będzie skupić na najważniejszym celu.

– Dokładnie.

– Czyli właściwie na czym?

– Hm – wymamrotał Archy. – Panie Jones? Co pan taki jakiś?

Ale pan Jones już się podniósł i stał obok krzesła. Wyciągnął rękę do papugi, a Pięć Osiem przedreptał po niej jak po trapie na swój stały posterunek.

– Panie Jones, czy ja coś powiedziałem nie tak? Czemu pan idzie? Jeszcze nie skończyłem, znaczy już prawie.

– Na koncert przywieziesz, i tyle – wycedził pan Jones. – Jak nie zadziała, to jebać ten cały interes.

Ruszył do tylnych drzwi forda econoline, naprawdę chcąc (a przynajmniej czując, że powinien) opowiedzieć Archy'emu o Lasalle'u, który urodził się i zmarł 14 kwietnia 1966 roku. Opowiedzieć o dwóch godzinach i siedemnastu minutach przepełnionych tą samą dumą i radością, którą Archy od czternastu lat marnotrawił. Gdy pan Jones był już przy vanie, trzasnął drzwiami pustego bagażnika. Pomógł papudze przeskoczyć na

zagłówek kierowcy, gdzie Pięć Osiem lubił jeździć, zaczepiony dla równowagi jednym pazurem o pas.

– Może po prostu skup się na tym, co cię rozprasza – powiedział pan Jones. – Może wtedy nie będziesz taki rozkojarzony.

– Panie Jones! Halo, no o co chodzi? Co ja takiego powiedziałem?

Pan Jones wsiadł do vana i odpalił. Nawet przez charkot trzystu koni mechanicznych w silniku V8 Windsor słyszał, jak Archy żałośnie powtarza: „Panie Jones, przepraszam”.

– Zrywanie plastra – powiedziała Gwen.

– Nawet nie – odparła Aviva.

– Obiecujesz?

– Obiecuję. Bądź odważna.

Nad Avivą powiewał sztandar odwagi. Stopy stały pewnie, płasko jedna przy drugiej na szarej wykładzinie Berber. Nowe sandały z rzemykami jak z filmowej epopei krzyżującymi się nad kostką, paznokcie u stóp pomalowane na śliwkowy kolor. Gładkie, opalone nogi, lśniące jak czary orkiestrowych dęciaków. Szara lniana spódnica i biała lniana bluzka, które może nie były nowe, za to w surowym kroju i starannie utrzymane. Bluzka zapięta jak u profesjonalistki, odkrywająca jednak uroczy, usiany piegami trójkątny skrawek obojczyków i szyi. Na kolanach Avivy leżał ezoteryczny wolumin *Akupunktura. Punkty i meridiany*.

– „Bądź odważna” – powtórzyła Gwen. Pociągnęła rąbek wysłużonej czarnej spódnicy ciężowej, którą w tym rytuale upokorzenia wcieliła żelazkiem do służby. Koszula, choć czysta i świeżo uprasowana, należała kiedyś do jej męża, poza tym była hawajska. Za to fryzurę miała Gwen bez zarzutu. Umytą, sprężystą, ze świeżymi dredzikami. Jej włosy z całą pewnością stanęły na wysokości straszliwego zadania, jakie czekało ją tego ranka, i w tym fakcie Gwen znalazła szczyptę pociechy, a może nawet, co mogło się okazać niebezpieczne, przekory. Odkaszlnęła.

– Aviva, gdybym ja była odważna, tobym tu nie siedziała.

– Mam na myśli odwagę długofalową – odparła Aviva. – Odwagę w szerszej perspektywie.

– Czyli taką jakby tchórzowską odwagę?

– O właśnie – powiedziała Aviva. – W odróżnieniu od idiotycznej.

Taki podział był zgodny z doświadczeniem Gwen, a także, choć w mniejszym stopniu, z jej przekonaniami. A jednak przeprowadzenie go nie przyniosło jej ani odrobiny ulgi.

– Przysięgnij – powiedziała, już trzeci raz tego ranka domagając się takiej gwarancji. – Aviva, przysięgnij mi tu.

– Przecież to naprawdę nic nie znaczy – powiedziała Aviva.

– Bo wiesz co, dla mnie to chyba znaczy tak wiele, że się zaraz porzygam.

– Będzie pani wymiotować? – spytała sobotnia recepcjonistka, przyglądając się bacznie Gwen znad monitora i całą sobą mówiąc: „Ani mi się waź puścić pawia w gabinecie”. Miała olśniewające afro z loczków i Gwen rozpoznała w niej współwyznawczynię Tyneece z salonu Glama-Rama. Podczas pielgrzymek do tej świątyni ich drogi kilkakrotnie się przecięły. Coś w tej kobiecie zawsze Gwen odrzucało i teraz wreszcie pojęła co: dojmujące niewidzialne wyziewy doktora Lazara.

– A wie pani, że może tak? – stwierdziła Gwen. Ściszyła głos do kuriozalnie wyrazistego szeptu, tak typowego dla kobiet w jej rodzinie. Był kuriozalny nie z racji swej wyrazistości, lecz afekcji, z jaką (niczym Bóg rozdający przykazania zgrai, która, jak doskonale wiedział, będzie je wszystkie łamać po wielokroć i do końca świata) w ogóle udawał szept. Wyćwiczywszy się w tym odpowiednio, kobiety z Shanksów umiały nie tylko modulować dynamikę takiego szeptu, ale i posyłać go za zamknięte drzwi, za róg ulicy, a nawet przez granicę czasu, by mógł już zawsze rozbrzmiewać, dajmy na to, w uszach bezecnej wnuczki, co wyszła za nicponia. – Jak się liże wie-pani-co, to potem tak bywa.

Aviva spuściła wzrok ku podręcznikowi, ale nie dość szybko, by skryć uśmiech. Jednak popisy Gwen najwyraźniej nie bawiły recepcjonistki. Jej długie paznokcie znów zaczęły wściekle klekotać po klawiaturze komputera, a Gwen zdała sobie sprawę, że dźwięk ten irytuje ją, odkąd tu usiadły. Wierciła się na jednym ze stalowych, krytych winylem krzesel w poczekalni, przysiadając to

na lewym pośladku, to na prawym. Za każdym razem, kiedy przechylała się na jedną albo na drugą stronę, jej uda odklejały się od siebie z westchnieniem, niczym niechętni rozstaniu kochankowie. Mięśnie krzyża zdążyły się już zacisnąć w rozstrożoną pięść. Główka dzidziusia tkwiła gdzieś przy lewej stronie klatki piersiowej, zaraz pod sercem, dokładnie tam, gdzie Gwen zwykle przeczuwała nadchodzące katastrofy.

– A potrzebowałabym – powiedziała tym samym szeptem Shanksów, słyszalnym dla dermatologa w sąsiednim gabinecie – czegoś na popitkę. – W myślach ujrzała kubek kremowego białego suffu, na którego rozkosze już nigdy więcej nie miała sobie pozwolić. – Żeby pozbyć się smaku...

– Cśś – powiedziała Aviva. Sięgnęła do leżącej pod krzesłem torby, rozpięła suwak jakiejś wewnętrznej kieszeni i wydobyla lotniczą minibuteleczkę sosu tabasco. – Parę kropel załatwi sprawę.

Gwen wzięła buteleczkę i kilka razy nią potrząsnęła, myśląc przy tym: „Wycisnąć parę kropel do dozownika mydła w łazience u Lazara. Wmasować mu to w tę jego różową, wygoloną łepetynę. Rozprowadzić po porach”.

Gdy tak sobie wyobrażała z przedziwną satysfakcją ów akt mściwej kosmetyki, otworzyły się drzwi dzielące poczekalnię od gabinetu i wyszedł z nich doktor A. Paul Lazar, certyfikowany ginekolog położnik. Jego strój sugerował jakiś stan przejściowy między salą porodową a siodełkiem roweru, bo spod zielonego fartucha wystawały śliskie lycrowe spodenki i para kolarskich najków. W tak hybrydowym kostiumie doskonale pasował do swej poczekalni, na tyle podporządkowanej ogólnej estetyce gabinetów lekarskich w Berkeley, że była swobodną mieszaniną elementów zaczerpniętych z ekspozycji używanych mebli, biura nieruchomości i orwellowskiego Ministerstwa Prawdy. Lazar był przystojniejszy niż Gwen zapamiętała, nie aż taki młody, wcale nie taki blady, a w oczach nie widać już było tamtej martwoty. Za to jego twarz wciąż miała w sobie coś rybiego.

– Drogie panie – rzekł ponuro. Wyciągnął do nich dłoń w geście tyleż złowróżbnym, co figlarnym, jak gdyby mieli podpisać traktat zezwalający na okupację ich kraju pod płaszczykiem jego obrony. – Zapraszam.

Aviva wsunęła atlas akupunktury do płóciennej torby na zakupy reklamującej rozgłośnie KPFA i podniosła się z krzesła. Gwen wsparła się na ramieniu Avivy, żeby wstać, a wszystko to pod byстрыm, diagnostycznym okiem Lazara. Zgroza, choć może była to główka noworodka, zdawała się wpijać jeszcze mocniej w jej klatkę piersiową, gdy Gwen szła za Avivą do gabinetu. To ciemne akwarium (czarne stalowe półki, obrazki promocyjne od Pfizera, widok na parking) ożywiały tylko rozbałaganione książki medyczne oraz zdjęcie w ramce, na którym Lazar cieszył się słońcem na jakimś szarzielonym górskim szczycie, obok młodej kobiety o końskiej szczęce i dwóch włoskich rowerów. Lazar wraz z żoną czy też dziewczyną uśmiechali się z owym uprzejmym zachwytem, do jakiego ludzie zdolni są tylko wówczas, gdy ktoś całkiem obcy zgadza się cyknąć im zdjęcie. Gwen podsyciła w sobie ogienek litości, który zapłonął w niej na widok Lazarowego biura, upatrując w tym lichym płomyku jedynej nadziei na wyciągnięcie Towarzystek Porodu z tarapatów, w które przez nią popadły. Litość, tylko litość mogła przykryć gorzki smak gówna.

– A więc – zaczął Lazar. – Przyszły panie.

– Przyszłyśmy – przyznała Gwen, starając się wytrzymać spojrzenie błękitnych oczu Lazara, bo miała wrażenie, że ten kontynuuje oględziny. Obrzęk, ostuda.

– Wiem, że mam was w garści – powiedział. – Ale mimo to doceniam gest. – Uśmiechnął się nieszczercze, by im pokazać, że te żarty to wcale nie żarty.

Płomyczek litości Gwen został brutalnie zduszony. W myślach wyświetliła sobie sekwencję z filmu kung-fu, w sumie ze sto klatek, kończąca się zupełnie innym gestem, w wyniku którego jej stopa nawiązałaby intymną znajomość z gulą jego krtani. Udało się jej nad sobą zapanować i nie ulec pokusie podzielenia się z Lazarem tym scenariuszem. Nie zmieniało to jednak faktu, że żadna z nich nie miała pomysłu, jak odbić piłeczkę.

– Ja... – Gwen zerknęła na Avivę. – Ja rozmawiałam rano z Lydią. Była raczej w dobrym nastroju. Nie wiem, czy pan...

– Wyjdzie z tego – powiedział Lazar. „I żadna w tym wasza zasługa”, dodały jego oczy.

Nie, nie, Gwen po prostu miała już paranoję. Wczoraj zachowała się nieodpowiednio. Pozwoliła emocjom przyćmić rozsądek, a to było zupełnie nie w jej stylu, niepodyktowane ani jej naturą, ani wolą, nie wynikało ani ze zwyczajów, ani z upodobań. Choć jej emocje bywały bardzo intensywne, już w wieku siedmiu lat zrozumiała, że na niewiele się zdają, natomiast na rozsądku naprawdę mogła polegać. To przez to wszystko, i przez ten długi, krwawy, koszmarny poród wczoraj, i jeszcze przez hormony przetaczające się jak cumulonimbusy nad prerią jej trzeciego trymestru – przez to wszystko Gwen sprzeniewierzyła się swym zasadom. Z medycznego punktu widzenia postępowanie doktora Lazara było bez zarzutu. Gwen nie miała z nim żadnej medycznej spiny, a w każdym razie nie takiej, w imię której warto byłoby narażać ich pozycję w szpitalu, która z kolei, tak jak w przypadku wszystkich pielęgniarek-położnych z akredytacją w Chimesie, była osobliwie niestabilna. A teraz, dzięki interwencji Aryego Bernsteina, Gwen musiała tylko wypowiedzieć dwa najpustsze słowa w całej angielszczyźnie i w ten sposób dostać przebaczenie. Przeprosiny... Nat miał takie powiedzonko, rzekomo cytował ojca, ale jak to szło? Przeprosiny to piękna rzecz? Nie, cud języka. Nic cię nie kosztują, a tyle dostajesz w zamian. Takiemu Natowi łatwo mówić.

– To był długi, dziwny dzień – zaczęła, wiedząc z góry, że to nie wystarczy, bo z tej linii argumentacji, gdyby miała jej się trzymać, logicznie wynikało, że winą nie należy obarczać Gwen, ani nawet pecha, tylko wczorajsze popołudnie: długie, dziwne i Bogu ducha winne. – Panie doktorze, na co dzień jestem osobą stanowczo zbyt dumną, żeby pakować się w taką sytuację, w jaką się wczoraj wpakowałam, tracąc panowanie nad sobą.

Aviva zerknęła ukradkiem na współniczkę i gdzieś w najciemniejszych zakamarkach jej głęboko osadzonych oczu wystrzeliła ostrzegawcza flara. Nie po to Gwen tu przychodziła, by z Paulem Lazarem, dr. med., omawiać tendencje i kaprysy swej dumy i opanowania.

– Dlatego też... – Gwen podjęła próbę.

Zorientowała się, że od jakiegoś czasu w jej ustach, tuż za językiem, nawarstwia się mdły, ohydny smak. Teraz już wiedziała, że oczekuje się od niej nie tylko tego, by uporała się z własną dumą

i przeprosiła tego człowieka, który obraził ją rasistowską obelgą, ale by znosiła jego zadufanie i kolarskie spodenki, a już najgorszy ze wszystkiego był koński grymas tej kobiety ze zdjęcia, w którym Gwen nie dostrzegała już żalosnej tęsknoty za przyjaźnią, tylko chępliwą pewnością siebie, bo tak uśmiechali się ludzie przekonani, że ich miejsce jest na szczytach gór. Chociaż może nie, może jednak najgorsze były te spodenki.

– Dlatego też – podjęła wątek. – Zastanawiając się nad własnym zachowaniem. A także biorąc pod uwagę zdecydowaną sugestię mojej współpracownicy. Która na przestrzeni całego swego życia zawodowego musiała stawiać czoła lekarzom, szpitalom, liczykrupom z ubezpieczalni...

– Gwen, kochanie – powiedziała Aviva, miksując brooklyńskie tony do przodu, może po to, by przydać pieszczotliwemu określeniu nieco ironii, a może w ramach autentycznego ostrzeżenia.

– ...więc może pan być pewien, że moja współpracownica zdaje sobie sprawę, tak jak i ja sobie zdaję, że nie tylko musimy być dwa razy kompetentniejsze, dwa razy uważniejsze, dwa razy lepiej przygotowane, dwa razy wrażliwsze i dwa razy bardziej opanowane w sytuacjach stresowych...

– Mówimy tu o położnych czy o Oprah Winfrey?

– ...kiedy jakiś doktorek, co pozuje na Lance'a Armstronga, z dyplomem z... – tu Gwen zerknęła na oprawiony pergamin – z Uniwersytetu Loma Linda...

– Łoo! – wciął się Lazar. – Że co proszę?

– ...że nie tylko musimy być we wszystkim dwa razy lepsze niż wy...

– Rany boskie, Gwen...

– ...może pan być pewien, że Aviva zdaje sobie sprawę, bo sama mi o tym powiedziała, i ponieważ, Bóg mi świadkiem, wystarczająco często sama widziałam, jak to robi, tak więc Aviva wie, że musimy też dwa razy lepiej lizać dupę.

Aviva opadła na krzesło.

– I tego właśnie się tu ode mnie oczekuje. Rach-ciach, lizu-liz. Dwa słoweczka. Może nie te dwa, które sama bym wybrała, gdybym miała jakiś wybór, ale nie mam.

Gwen podniosła się (swoim zdaniem) nadzwyczaj żwawo, a nawet, po raz pierwszy od wielu tygodni z czymś na kształt wdzięku. Na widok Avivy opadłej bez sił na krzesło i aż kipiącej ze złości, na widok błyszczących oczu doktora Lazara (będzie wnosił o odebranie im akredytacji, nie było żadnych wątpliwości) w Gwen nawet nie drgnęła struna skruchy ani wyrzutów sumienia. Podchodząc do drzwi i kładąc dłoń na klamce, obróciła twarz ku Lazarowi i – nawet nie jakby mu mówiła, żeby się pierdolił, nawet nie jakby mu radziła, by przeprowadził eksperyment w celu ustalenia, jak głęboko w dupę mógłby sobie wsadzić siodełko tego swojego pinarello za trzy tysie, ale raczej w porywie owej litości, z którą wiązała nadzieje na to, że uda się przemknąć przez tę gehennę, nie rujnując wszystkiego, na co obie z Avivą tak ciężko pracowały – znalazła dwa słoweczka, które dobrze podsumowywały jej uczucia względem tego chudodupca, tego fanatyka cesarek, pachółka ubezpieczalni i konowała, a właściwie względem całej jego pseudoprofesji, względem tego świata, który wszystko, co ludzkie i pogmatwane, noszące w sobie równy potencjał katastrofy i euforii, postrzegał jako proces, który należy usprawnić, ujednolicić i odpowiednio kontrolować:

– Przykro mi.

Czując się tak, jakby silnymi wymachami nóg odbijała coraz dalej od brzegu basenu, uwolniona wreszcie od masy, pędu i inercji, Gwen ruszyła przez recepcję ku drzwiom. Aviva dopadła ją przy windzie; w jej torbie na zakupy luźne monety pobrzękiwały o pęk kluczy.

– Przykro mi – powtórzyła Gwen, choć tym razem nie dlatego, że żałowała jakichś słów lub czynów, raczej na odwrót: jej przeprosiny, jak to z przeprosinami bywa, stanowiły oręż. Przykro było jej tylko z tego powodu, że wcale nie było jej przykro.

Auto z Gwen w środku dotoczyło się pod dom. Miała obolałe stopy, marzyła o prysznicu, a miękkie części jej ciała lepiły się do siebie już tylko żywicą hormonów i potu. Zemdliła ją fala jaśminu spływająca

z frontowej werandy przez podwórko, by rozbić się o ogrodzenie nastroszoną kwiecistą pianą o zapachu, który przywodził jej na myśl przejrzałe banany. Irytowało ją owadzie bzyczenie klawesynu w radiu Classical KDFC (zmusiła się, żeby je włączyć, z uwagi na rzekomo relaksujące właściwości muzyki barokowej, chociaż zawsze jej się wydawało, że to dźwiękowy odpowiednik mentalnego origami). Najbardziej zajmowało ją wcale nie to, jak postępować z komisją, przed którą po jej ostatnim popisie arogancji niechybnie będą musiały wraz z Avivą stanąć, tylko jak się przekonująco wymówić od wieczornej szkoły rodzenia. Zgasiła silnik. Jęknęły wiecznie skrzypiące drzwi na amen zagraconego garażu. Zjawił się też Archy w swym trzyczęściowym funkowym garniaku (dziesięć metrów fioletowej satyny): pchał po podjeździe jakiś olbrzymi drewniany kłamoto estradowy, który chciał wstawić na tył el camino i najwyraźniej, jak zwykle, nie potrzebował żadnej wymówki, by nie zaprzętać sobie głowy techniką Lamaze'a.

Zajęcia odbywały się w sobotę wieczorem w domu kultury przy kościele baptystów na Telegraph Avenue. Gwen wybrała je spośród dziesiątków innych, gdzie brzemienne z Berkeley i Oakland tydzień w tydzień ćwiczyły oddychanie i techniki relaksacyjne, ponieważ słyszała, że to tam chodzą młode czarnoskóre pary. Miała nadzieję, że w ten sposób nie tylko (tak sobie roiła) zaprzyjaźnią się z sympatycznymi (sześćdziesiąt procent bohema, czterdzieści procent burżuazja) rodzicami in spe jakiegoś kędzierzawego koleżki swego dzidziusia, ale że uda jej się również, dzięki dość przygnębiającym obliczeniom, zniwelować ryzyko natknięcia się przy ułożonych w krąg matach do jogi na którąś ze swoich pacjentek. Jak się jednak okazało, w tej niepełnej grupie zbierającej się co tydzień pod brzęczącymi jarzeniówkami świetlicy, gdzie wciąż jeszcze wisiał fetorek stóp i pach po zajęciach z capoeiry, jedynymi czarnoskórymi prócz nich były dwie samotne matki, którym w ćwiczeniach musiały pomagać ich własne rodzicielki, oraz dwaj faceci z mieszanych małżeństw, gdzie jedna żona była Azjatką, a druga była biała. Instruktor, pani Pease, uczyła też w kościelnym przybytku i manierę miała wprost ze szkółki niedzielnej, jednocześnie przesłodzoną i ganiącą. W każdym razie było jasne, że Gwen niczego się tu nie nauczy: poza wymiarem

symbolicznym (małżeńsko-rodzicielska solidarność) ich udział w tych zajęciach w rażąco oczywisty sposób miał służyć Archy'emu. Mimo to co tydzień udawało mu się o nich zapomnieć, a gdy Gwen mu przypominała, udawał, że przecież pamięta, a potem przez całe zajęcia wyglądał na tak zaangażowanego, z tak poważną miną chłonał wszelką położniczą mądrość tej starej, zgorzkniało-ckliwej pleciuchy Charmayne Pease, że po prostu nie dało się w to uwierzyć, choć Gwen naprawdę się starała.

Ten jego wyraz twarzy, nazbyt cierpliwy, nazbyt wyrozumiały, nazbyt szczery, by nie był czystą kpina, zaczął zajmować przestrzeń między podbródkiem a czołem Archy'ego już we wczesnej fazie jej ciąży. Zdaniem Gwen streszczał on w sobie stosunek jej męża do nieuchronnego ojcostwa w takim kształcie i w takim zakresie powinności i obowiązków, jakie mu się do tej pory objawiły. Miała wrażenie, że Archy jest w stanie traktować tę całą sprawę serio tylko o tyle, o ile potrafi udać (a przez większość czasu potrafił), że traktuje ją serio. I nawet wówczas musiała podtykać mu wszystko pod nos, karmić go artykułami i linkami do tekstów o rozszczepie kręgosłupa, spaniu na wznak i nagłej śmierci łóżeczkowej, o zaletach i wadach smoczków. Czytała mu na głos z podręczników ciążowych, których nakupiła, by potem udawać, że je studiuje, choć okropnie ją to nudziło i w myślach sprzeczała się z autorami; wszystko po to, by Archy, leżąc wieczorem u jej boku, musiał jej słuchać. Było trochę jak w eksperymentach Piageta z niemowlętami: widmo ojcostwa, gdy usunęło się je z bezpośredniego pola widzenia Archy'ego, w ogóle przestawało w jego umyśle istnieć. A gdy Gwen mu przypominała, powrót widma był boleśniejszy niż jego zniknięcie.

Tak więc tego wieczora wróciła do domu, popołudnie spędziwszy na wsłuchiowaniu się, niczym adept zen, w milczenie Avivy na temat spotkania z Lazarem (milczenie to doskwierało bardziej niż najgorsze wyrzuty, zresztą w życiu Gwen było chyba zbyt wiele osób, które potrafiły człowieka wykończyć paradoksami), czując gładziutką główkę lęku pod samą klatką piersiową, gotowa dziś akurat odpuścić swemu załganemu, zdradzieckiemu, nic niewartemu mężusiowi – i patrzcie go, palanta! Sam ją wyręcza. Kombinuje z linkami elastycznymi i kocami do przeprowadzki. Wielgachny

i fioletowy niczym powód jej wszystkich zmartwień, w kretyńsko olśniewających oksfordkach na platformie, które dumnie odmierzały kolejne centymetry dystansu, jaki dzielił go od świata jakichkolwiek powinności i obowiązków.

Choć przed paroma zaledwie minutami wypróbowała w myślach garść nieszczerych lub nieco sarkastycznych sposobów, by zakomunikować Archy'emu, że jej jedynym pragnieniem jest spędzić wieczór na kanapie, w jego ramionach, wcinając mleczno-czekoladowe lody z dwulitrowego pojemnika z Fenton's Creamery i oglądając cokolwiek, na co akurat przyjdzie mu ochota, to jednak teraz poczuła, że prędzej pozwoli mu wyruchać wszystkie kobiety w Etiopii i Erytrei, dwójkami albo i trójkami, niż pozbawić się towarzystwa pani Pease.

Wtedy dostrzegła ruch mięśni pod jego marynarką, połyskliwą jak ostrze noża: jednym swobodnym ruchem uniósł na pakę auta wielką drewnianą skrzynię wzmacniacza. Musiał to być należący do starego pana Jonesa bezcenny Leslie, którego naprawie Archy poświęcił ostatnie tygodnie ich bezdzietnej wolności. Dźwignął ten wielgachny kłopot, jak gdyby chodziło o karton styropianowych granulek. Gwen wydała z siebie dźwięk, który z zamierzonego i pełnego dezaprobaty „hmmf” ześliznął się wbrew jej intencji w zbasowany brzęk, jak gdyby gdzieś w środku obluźowała się struna.

– Oho – powiedział, obracając się. – Ręka na biodrze. Już to kiedyś widziałem.

– Rozumiem, że *rozładowujesz* – wycedziła Gwen. – Chociaż wygląda, jakbyś *ładował*.

– Aha, nie, to znaczy, hm, fucha jest dzisiaj. I to niezła. Taka jakby polityczna kwesta, pod Kensington. Chyba Cragmont, przy zjeździe z Arlington Avenue albo... – Zorientował się, że nie jest zainteresowana detalami geograficznymi North Berkeley. – O cholera. Sobota dziś.

– Tak? Na pewno?

– Dobra – powiedział. – Słuchaj. Tak naprawdę to mnie tam nie potrzebują. Będzie Nat, Boom i pan Jones i jeśli tylko dostarczę mu jego Lesliego, to gostek lewą stopą zdziała więcej niż ja dwiema rękami na basie. Serio. – Zerknął na zegarek. – Śmigniemy tam, odstawimy im wzmacniacz, kupimy coś do żarcia, żeby ci trochę

podnieść cukier, i w sam raz zdążymy tu na szkołę rodzenia. To jak? Dobry plan?

– Owszem, całkiem dobry plan – odparła Gwen. – Tyle że to nie jest twój plan. Bo twój, niech zgadnę, był taki: wrzucić tam resztę tych gratów. – Machnięciem ręki ogarnęła jazzową basówkę w futerale, piecyk do niej i przedwzmacniacz, ustawione w rządę przy prawym zderzaku el camino. – A potem fru do North Berkeley, nie zastanawiając się ani przez chwilę nad jedyną ważną rzeczą, jaka się teraz w twoim życiu dzieje. Założę się, że nawet mi, kurde, kartki nie zostawiłeś.

Był to zarzut tak straszliwy, że Archy już zaczął protestować, gotów zgłosić zastrzeżenia, sondując sytuację jak facet, który musi skręcić w ciemny korytarz, i to tyłem, jak gdyby w nadziei, że kiedy dotrze do samego końca, odkryje z triumfalnym okrzykiem zrehabilitowanego, że właśnie nie, *au contraire*, zostawił kartkę, tylko tymczasem po prostu zapomniał. Ale nie: nadzieja w jego oczach gasła. Wtedy coś mu przyszło do głowy. Uniósł palec. Poklepał się po kieszeni. Skinął głową. Przydając całej sprawie karykaturalnej, błazeńskiej aury, starając się rozładować jej złość słodkimi gierkami, która to taktyka przyniosła mu na przestrzeni lat kilka sukcesów jaśniejących tym wyraźniej, że lśniły na tle bezmiaru spektakularnych porażek. Sięgnął do kieszonki na piersi funkowej marynarki, wydobył stamtąd czarny pisak i skrawek papieru, który okazał się nieopłaconym mandatem, wystawionym przed dwoma laty przez władze miasta Emeryville, nabazgrał na odwrocie parę słów, po czym z ceremonialną bezceremonialnością podał jej świstek. Gwen złożyła go na pół bez czytania, zastanawiając się, co właściwie jego el camino robiło tego czerwcowego popołudnia dwa lata temu na Sześćdziesiątej Drugiej Ulicy pod numerem 1133, ale uznała, że w grę może wchodzić tylko kobieta albo piwnica z płytami jakiegoś nieboszczyka, więc złożyła papier jeszcze raz na pół i wetknęła mu z powrotem do ręki.

– Idę wziąć prysznic – powiedziała. – A ty w tej chwili zasuwasz do La Calaca Loca po elote, tylko nie za dużo chili, i taco z rybą, nie, dwa tacos z rybą, te z piwną panierką. I butelkę tamarindo. Jak zejdziesz na dół, to wszystko ma tu już na mnie czekać.

– Robi się, pszepani – odpowiedział Archy.

Przez jego twarz przemknęło coś dziwnego, jakby telewizor zamigotał przy spadku napięcia: wzrok pomknął w lewo, a chwilę później w prawo, w ślad za cykadzim terkotem rowerowych kół. Odwróciła się i jej oczom ukazały się plecy smukłego chłopaka na rowerze, być może z okolicy, choć nie rozpoznała twarzy, a kiedy znów przeniosła wzrok na Archy'ego, ten już spieszenie ładował resztę sprzętu do el camino, mówiąc:

– Elote, hm, jasne, dla mnie bomba, meksykańskie to ja bym mógł codziennie. – Obrócił się z powrotem do niej. – Bo ja w ogóle kocham Meksyk. – Spodem odzianego w satynę ramienia otarł pot z czoła. – Kochanie, chodź pojedziemy do Meksyku. Że dziś, znaczy. No chodź. Chodź zamieszkamy w Meksyku.

– Ha, ha.

– Ale serio. – Twarz Archy'ego wyrażała całkowitą powagę, choć niewykluczone, że ten jeden raz akurat tak mu wyszło. – Mówię zupełnie szczerze.

– A ja totalnie serio i szczerze lada chwila będę miała dziecko. To jak mam jechać do Meksyku?

Lecz natychmiast pożałowała tych słów, orientując się, może nawet szybciej niż Archy, że jeśli jej mąż chce jechać do Meksyku, to może i bez niej. Archy mógł sobie jechać do Meksyku, ba, mógł się tam przeprowadzić, jeśli taki miał akurat kaprys. Właściwie mógł ruszyć jeszcze dziś.

Archy zdjął okulary słoneczne, żeby przetrzeć szkiełka końcówką krawata. Przyglądał się jej bezwstydnie, z ironicznym wyrazem twarzy. Przecież to tylko takie żarty. Jeszcze.

– Pomyśl. Tacos z rybą – powiedział. – Całymi dniami.

Parkowacze w identycznych jasnobrązowych kombinezonach stali ramię w ramię jak skuci jednym łańcuchem skazańcy, zadarłszy głowy, z podbródkami wycelowanymi w niebo. Coś tam w górze zaprzętało ich uwagę. El camino z Archym za kółkiem pięło się na wzgórze, sunąc ku tamtym, a zarazem ku miejscu imprezy: okrągłej wieży o ścianach pokrytych złocistą sztukaterią, z okienkiem

godnym Julii i bramą tej samej złocistej barwy, zwieńczoną wykafelkowanym na błękitno łukiem. Samochód pełził ulicą naśladowującą serpentynowy tor jakiegoś starego *arroyo*, a z obu stron wpychały się miejscowe pojazdy, tak że ów hałaśliwy, kopący, szerokokołowy odprysk starego Detroit ledwo się mieścił na jezdni. W środku Archy też miał zresztą niewiele miejsca, bo samochód szczelnie wypełniała małżeńska cisza, przy czym Archy wiedział doskonale, z całą encyklopedyczną mądrością implikowaną słowem „mąż”, że obecna cisza jest raczej złowróźbna niż następcza. Ta cisza dopiero się konstituowała. Był to ów złowieszczy spadek ciśnienia, gdy na niebie nie widać już ptaków i za chwilę ma się rozpętać tornado.

Minęli Nata w saabie wtaczającym się na stanowisko, gdzie czterech parkowaczy w zapinanych na zamek kurtkach Carhartt gapiło się w niebo: latynoskie chłopaki rozmiarami i masą tak się od siebie różniące jak porcje popcornu na wystawie kinowego baru. Gwen wychyliła się z okna po swojej stronie *el camino*, ujrzała to co oni i opadła z powrotem na oparcie przedniej kanapy. Skrzyżowane ramiona wepchnęła między piersi a brzuch. Potem odezwała się po raz pierwszy od jakichś osiemnastu minut, a w każdym razie wydała z siebie znaczący dźwięk, zadając sobie trud, by niczym dżihadysta klecący bombę upakować ją najpierw odpryskami ironii, gwoździ goryczy i ostrymi łupkami ponurego zadziwienia.

– Ha – powiedziała.

Archy wysiadł z samochodu. Na sekundę, góra dwie, jego wzrok przykuło olbrzymie płótno miasta, zatoki i mostów, rozpięte w ramie eukaliptusów za krytym terakotą dachem budynku. Farba nałożona pędzlami i pędzelkami, fale mgły i mrugotliwe słońce na podzielonych szprosami szybkach okien, sterczący z wody wrak Alcatraz, rozradowany żelazny olbrzym hen na bliźniaczych szczytach wzgórz Eureka i Noe. I nagle na krzywiźnie sierpniowego nieba zobaczył to co inni.

Długi jak jego ramię i w obwodzie tak samo grubaśny, mrużący sam do siebie niczym Nat Jaffe (kiedy teoretyzował, że losy świata potoczyłyby się zupełnie inaczej, gdyby Hank Crawford nie wystawił Creeda Taylora i dotarł na sesję, z których zrodził się pierwszy album Grovera Washingtona Juniora) przed oczami Archy'ego

przepłynął sterowiec Dogpile. Czarny od dziobu po płetwy, z czerwonym odciskiem wielkiej łapy i napisem „Dogpile” wymalowanym czerwoną pogrubioną egipcjanką wzdłuż całego kadłuba. W jego leniwym, rozmyślnym przepływie było coś szyderczego, jak gdyby obok twojego podjazdu przetaczał się powoli gangsta merc z opuszczonymi szybami.

– My tylko na chwilę – rzucił Archy do parkowaczy, ruszając od razu do tylnych drzwi el camino, żeby odpiąć pasy i wyjąć Lesliego z powijaków.

– To może zostawisz mi, gościu, tę marynarę – odparował któryś z tamtych. – Bo mi się latarka wyczerpała.

Archy może i miał ochotę zaoferować młodzieńcowi jeśli nie kontre na temat brązowej torby, do której ktoś go schował jak popijane ukradkiem alko, to przynajmniej sugestią anatomiczną tyczącą się tymczasowego przechowania rzeczony latarki. Ale jak przystało na człowieka z nienagannym wyczuciem stylu, Archy już dawno zrozumiał, że w obchodzeniu się z niekumatymi jedynym właściwym wyjściem było namącić im w głowie jeszcze bardziej. „Podpalić ziomusia i zdmuchnąć jak świeczkę”¹³. Jednak zamierzony efekt piorunującego spojrzenia uszczupliło nieco parsknięcie Gwen.

– Latarka – powiedziała ta zdrajczyni. – Boskie.

Muzyków poproszono, by rozstawili się na zewnątrz, przy sadzawce ze złotymi rybkami, na dalekim skraju wyłożonego łupkiem patio, wkoło którego wisiały już światełka w kształcie papryczek, a także lampiony: różowe harmonijki, zielone pagody. Archy przeszedł przez rozsunięte drzwi balkonowe, zasapany pod pięćdziesięciokilowym ciężarem Lesliego. Na całej trasie od samochodu na patio nękała go drobna, spokojnie spanikowana Azjatka, dzierżąca w jednej dłoni podkładkę z klipsem, a w drugiej długopis, który wiecznie wisiał nad kartką, gotów inwentaryzować każde zarysowanie czy obtarcie, na które Archy zechciałby narazić którąś ze ścian bądź framug.

– Tak w ogóle to dziękuję, że pan przyjechał – powiedziała. – I to tak na ostatnią... o! O mój Boże, niech pan uważa, błagam.

– Jestem znany z ostrożności – zapewnił ją Archy. – Podziękowałbym, że daje nam pani pograć, ale prawda jest taka, że

to ja pani robię przysługę, bo jesteśmy sto razy lepsi od tych cieniasów, co was wystawili. Przecież oni tam mają aż trzech dentystów.

– Aha, no cóż, dzięki – odpowiedziała dziewczyna od kampanii.

Nat, z zawieszonym na wysokości wąskich bioder czerwonym jazzmasterem, uniósł palec wskazujący, a także jedną brew, dając Archy’emu znak. Ostrzegając, by nie przerywał ani nie psuł widowiska, które fundował właśnie wszystkim klnący siarczyście Stanley „El Boom” Ellerbe, zgarbiony nad kotłem i majdrujący plastikowym nożykiem przy gnieździe nóżki. El Boom był kierowcą autobusu, niesławnym tyleż z racji pecha do sprzętu, ile sążnistych, frenetycznych i starannie dobranych wiązanek, które wypuszczał po całym dniu tłamszenia ich w sobie, gdy za kółkiem numeru 51 musiał się poddawać woli społeczeństwa i kaprysom ruchu ulicznego. Za bębnami jednak El Boom potrafił się schłodzić jak kubek z lodem, a tempo trzymał jak zegar atomowy.

Tymczasem wciąż nigdzie nie było widać pana Jonesa ani jego hammonda, co poważnie groziło skomplikowaniem już i tak napiętego małżeńskiego grafiku, ponieważ a) Archy nie mógł w dobrej wierze zostawić tu wzmacniacza, nie upewniwszy się, czy stan sprzętu zadowala pana Jonesa, b) staruszkowi, mimo jego dumy czy też próżności, trzeba było pomóc znieść hammonda po tych wszystkich schodach i c) Archy lubił czuć na sobie wzrok pana Jonesa, gdy bez trudu dźwigał skrzynię z miejsca na miejsce, najwyraźniej dając panu Jonesowi przyjemność, którą starsi mężczyźni czerpią z przyglądania się wysiłkom młodszych. Pan Jones błyskał wówczas tymi małymi krugerrandami, na które sobie uciulał, zazdrośnie strzeżonymi przez usta, i wszystkim wokół mówił: „Uwaga! Sprzęt idzie”, całą swą kościstą osobą angażując się w sprawę, jak gdyby szło o walnięcie szklaneczki hennessy’ego, wrąbanie porcji smażonego suma albo o jakąś inną radość, której zabronił mu lekarz. Staruszek miał łzy w oczach, gdy Archy po raz pierwszy zaoferował się z naprawą wzmacniacza; szkoda, że Gwen tego nie widziała. Nie było oczywiście potrzeby wspominać, że oczy pana Jonesa były jak ostrygi, perliste, i że zawsze pokrywała je warstewka wilgoci. Albo że tego ranka strasznie zrzędził, nie wiedzieć czemu urażony jakąś uwagą Archy’ego o Titusie Joynerze.

– Pani się idzie zająć, czym tam trzeba – poradził Archy dziewczynie od podkładki z klipsem, która popatrywała ku chmurze przekleństw gęstniejącej wokół El Booma Ellerbego, jak gdyby próbując ustalić, czy facet stanowi zagrożenie. – Jak będę potrzebował pomocy, dam znać, spokojnie... – Tu spojrzął na identyfikator, by móc ją zbyć tym dobitniej, i z uśmiechem przeczytał: LESLIE.

Tymczasem El Boom przestał już podważać nieskalaność matczynej linii swego zestawu perkusyjnego i podniósł się, by pozdrowić wzmacniacz, czcigodny, rodowodowy model 122, należący niegdyś, o czym powszechnie wiadomo, do Rudy’ego Van Geldera, w którego to studiu w Englewood Cliffs korzystali z niego Johnny „Hammond” Smith i Charles Earland, zanim nabył go pan Jones, na którego płycie *Redbonin’* można było po wsze czasy podziwiać jego wspaniałe brzmienie. Stał teraz doczyszczony, naoliwiony, odrestaurowany, z wymienioną instalacją. Archy czuł wdzięczność, że było mu dane wpełznąć do środka historii, analogowej, wykończonej orzechowym fornirem, napędzanej pasami, gdzie wszystko wirowało; nie szczędził wolnego czasu. Miał przecież odpowiednie kwalifikacje, więc jakimż to nieczułym, niekulturalnym i płytkim człowiekiem musiałby być, żeby przepuścić taką okazję? Nie mówiąc o tym, że można było w ten sposób pomóc samotnemu staruszkowi, który właściwie żył z emerytury wspomaganej niewielkimi tantiemami od współautorstwa (wraz z białym producentem, którego wytwórnia miała prawa do wszystkich innych kawałków, jakie Cochise Jones kiedykolwiek napisał) piosenki *Cold Cold Sunday*, z którą Wilson Pickett odniósł w 1969 roku umiarkowany sukces na soulowych listach przebojów, a która pod koniec lat osiemdziesiątych pojawiła się w reklamie lodów Dreyer’s¹⁴. Tak oto spierając się ze swą wewnętrzną Gwen, Archy dopilnował, by Leslie (z drewna) nie stuknęła o łupkową powierzchnię; chwilę później pchana przez niego skrzynia, dostojna niczym karawan, toczyła się przez patio.

– Ej, Deep Purple! – zakrzyknął El Boom, mierząc wzrokiem Archy’ego w funkowym garniatku. Po nawoskowanej do błysku obudowie Lesliego prześliznęła się lśniąca jak lakierowany orzech krzepka prawica bębniarza.

– Elo, ziomuś, Boom, jak jest? – Piąteczka, strzałeczka, rąsia: dłoń starszego mężczyzny była sucha, chłodna. – W aucie mam narzędzia, jak coś trzeba, obcęgi, co tam chcesz. Klucz nasadowy. – Archy zdusił jakieś dziewięćdziesiąt dwa procent uśmiechu, który usiłował przedostać się w rejon ust. – Lutlampę.

– Kyyyyrwa – odparł El Boom, w rozpaczliwej bezsilności redukując komunikat do dwóch sylab, choć trzeba przyznać, że je przeciągnął. – Sztuka nówka, używany ludwig, no.

Archy pokręcił głową z udanym współczuciem i obrócił się do Nata, uwalniając wreszcie uśmiech. Nat brzdąknął ozdobnik na niepodpiętej gitarze, komiczny urywek z kreskówkowego jazzu Carla Stallinga. Pan Jones miał się do organów, a ponieważ pierwotny zleceniobiorca, który został w domu złożony którąś literką chronicznej żółtaczki, był (zdaniem Archy’ego dość nudnym) gitarzystą, Nat uzbroił się w jazzmastera i w starego rozkapryszanego epiphone’a, do którego miał wielki sentyment; choć najlepiej grał na fortepianie, gitara była druga w kolejce. „Gitara, organy, perkusja, chłopaki poradzą sobie beze mnie”, pomyślał Archy. Próbując uzbroić spojrzenie w podobną otuchę, odsunął się o krok i przechylił głowę, co miało oznaczać, że on i jego wspólnik muszą pogadać na osobności. Nat wsunął fendera w stojak i klucząc wśród kabli, dotarł do Archy’ego, który ulokował się przy wysokim jak człowiek kaktusie w donicy typu Talavera, gdzie podsłuchać ich mogły tylko złote rybki. Brzydactwa. Właściwie to karpie koi, jak sądził Archy, dziwaczne, kurwa, mutanty. Jakieś cętki, wyłupiaste gały, a wszystko zaplątane w migotliwą chustę, samo w siebie.

– Pan Jones coś zwleka, nie?

Wszystko będzie dobrze, pomyślał Archy, przynajmniej dopóki Nat nie spojrzy w niebo i nie wypatrzy tam tej wielgachnej czarnej aluzji do stuleci anatomicznych lęków białych mężczyzn.

– Dosłownie i w przenośni – odparł Nat. – Dzwoniłeś do niego?

– Rano się widzieliśmy. Strasznie na mnie wsiadł, żeby na czas było.

– Ja się już nauczyłem, że jemu trzeba kazać przyjść pół godziny wcześniej. Bo na tę chwilę, podobnie jak ty, jest już spóźniony o... – Nat spojrział na szwajcarski zegarek kolejowy, wskutek

przyzwyczajenia z dawnych barmańskich czasów nastawiony o siedem minut do przodu – ...dwadzieścia trzy minuty.

Z jakiegoś powodu (może ze względu na przedkoncertową trzęsączkę, może na fakt, że angaż był w zastępstwie na ostatnią chwilę, może przez kaliber lokalu i klienteli, a może nawet, myślał sobie Archy, przez polityczny ton całej imprezy, bo kandydat na prezydenta, o którego kampanię tu chodziło, nie radził sobie tak dobrze, jak można było na tym etapie oczekiwać) z głosu Nata przebijała nerwowość. Wspólnik Archy’ego miał na sobie czarny garnitur typu skóra rekina, specjalnie uszyty tak, by rękawy i nogawki były za krótkie, a marynarka bardzo ciasno opinała klatkę. Czarna kowbojska koszula była zapięta do samej góry, po kołnierzyk. Krawat bolo ze spinką zdobioną miniaturowym czarno-białym portretem Richarda Nixona. Właściwie każda z tych części garderoby mogła wzmóc wrodzone sztywniactwo Nata. Archy postanowił jeszcze o sekundę czy dwie odwlec wyznanie, że skoro już dostarczył Lesliego na miejsce, zamierza odpuścić okazję, by wraz z zespołem Wakanda Philharmonic zaprezentować się widowni pełnej kasiastych trendsetterów z East Bay (spośród których na pewno niejeden w najbliższej przyszłości weźmie ślub, skończy pięćdziesiątkę albo urządzi dzieciakom bar micwę), ponieważ musi posiedzieć na gumowej macie w śmierdzącej skarpetą kościelnej świetlicy, opanowując cały zestaw czynności i technik, bez których przez jakieś pięćdziesiąt, a nawet sześćdziesiąt tysięcy lat ojcowie radzili sobie całkiem nieźle. Choć coraz trudniej było sobie wyobrazić, by Gwen faktycznie życzyła sobie przy porodzie jego niezdarnej obecności. Tylko będzie zawadzał, wszystko mu będzie leciało z rąk, jak Igorowi w zamczysku z *Młodego Frankensteina*, podczas gdy Gwen rzuci się w wir wydarzeń, w grzmoty i błyskawice („To żyje! To żyje!”), tyrając za dwoje, bo przecież na tej robocie znała się lepiej niż ktokolwiek inny, być może z wyjątkiem Avivy Roth-Jaffe, która, swoją drogą, też miała tam być, czyniąc nieprzydatność Archy’ego tym bardziej dojmującą.

– Tak pogrywasz? – spytał. – Każesz ludziom przychodzić pół godziny wcześniej, bo se wymyśliłeś, że się akurat tyle spóźnią?

– Czarnym tak – odparł Nat. – Trzydzieści siedem minut.

– Łącznie ze mną? Czyli co, za każdym razem...

– Tobie dowalam przynajmniej czterdzieści pięć. A i tak, patrz no, i tak się dwadzieścia spóźniłeś. – Nat w głębokiej zadumie podrapał się po wierzchu dłoni. – Nie twierdzę, że umiem to wyjaśnić matematycznie.

– Taa, słuchej – powiedział Archy, konspiracyjnie trąc palcem skrzydełko nosa. – Gwen czeka w samochodzie i teges...

– Wszystko z nią okej?

– Nie no, tak, wszystko super. Tylko że, hm, ona, znaczy, ja zapomniałem...

– Bo dochodzą mnie słuchy, że od kilku dni zachowuje się, bo ja wiem... – Nat udał, że szuka odpowiedniego słowa, chociaż Archy widział je już w jego głowie, odpakowane, wyciągnięte z pudełka, podłączone i gotowe do startu – ...trochę *irracjonalnie*. No wiesz, ten poród i ten... incydent. Z lekarzem. To jest chyba jakiś totalny trep, ale rozumiesz, jak to tam wszystko działa...

– Taa, no nie wiem, bo ona...

– Mówiłeś jej już o Titusie?

Jakby wpadł do studzienki: tak się czuł na dźwięk tego imienia. Za każdym, kurwa, razem. Idziesz sobie ulicą, słońce praży w przeciwsłoneczne okulary, w słuchawkach dobry bicik, suniesz po chodniku w swoim tempie, tak jak lubisz, a tu nagle fuuup! I żeby jeszcze jakiś kłęb dymu, plama z popiołu, jakikolwiek ślad, że raził cię grom, a tu nic. Gwen w kółko oskarżała Archy'ego, że nie myśli o dziecku, które ma się lada chwila urodzić, że się nie przejmuje i nie przygotowuje. A z tego wynikało tylko, jak słabo go znała lub też, by oddać jej sprawiedliwość, jak zazdrośnie Archy potrafił strzec przed kobietą, właściwie przed wszystkimi, faktu, że żyje w stanie niemal permanentnego niepokoju. Niepokoju, który kazał mu na przykład zgłosić się wczoraj na ochotnika do opieki nad małym Rolandem i przekonać się, czy da radę z tą całą pieluchowo-odżywkową robotą. No ale ten chłopak. *Titus*. Jego syn, całkiem już wyrosnięty, wpatrywał się weń z przeciwległego brzegu urazy i odrzucenia. Gdyby Gwen wiedziała o Titusie Joynerze – a prędzej czy później się dowie – jej oskarżenia o nieuwagę i bezmyślność okazałyby się uzasadnione. Bo od wczoraj Archy starał się wrócić do stanu błogiej niewiedzy i myśleć jak najmniej o tym dziecku, które już miał.

– Do tej rewelacji jeszcześmy, hm, nie doszli – powiedział.

– Może powinieneś spróbować teraz – zaproponował Nat. – Wiesz, holistycznie. Leczenie trucizną, zwalczanie ognia ogniem. Dowalisz jej taką szajbę z innej mańki, to jej wyjdzie na zero.

– Taa – odparł Archy bez entuzjazmu. – Jesteśmy już w trzydziestym szóstym tygodniu i coś mi się nie wydaje, żebym miał duży wpływ na to, co ona ma w głowie.

Nat zacisnął usta, potakując w milczeniu; najwyraźniej nie miał kontrargumentu.

– A jak on się zachowuje u was w domu? Titus, znaczy? – spytał Archy.

– Och, bo ja wiem, chyba dobrze. Jest okej. Dziwny dzieciak.

– Dziwny?

– Taki poważny chujek, no.

– Poważny? Czyli że co?

– Poważny, czyli dość wąski repertuar ma, no, emocjonalny.

– Stawia się? Pyszczy?

– Może trochę. Ale wygląda na to, że on i Julie... – Nim Nat zdążył dokończyć, dojrzał coś, co sprawiło, że uniósł obie brwi. Jego twarz straciła wszelki wyraz, jakby ktoś mocno potrzęsnał ekranem znikopisu. – No witam panią.

El Boom powiedział:

– Orient!

Orient, bo oto przez oszklone drzwi dzielące patio od salonu z łukowym sklepieniem, pełnego ludowych malunków Dziewicy Maryi, nadciągała Gwen. W czarno-różowej kręglarskiej koszulce z klasycznych zbiorów Archy’ego, noszonej niegdyś, jeśli wierzyć nadrukem i haftowanym napisom, przez rosłego jegomościa imieniem Stan z drużyny Alameda: Rury, Węże, Przewody. Sapiąc w swej brzemienności jak lokomotywa, Gwen nacierała wprost na Archy’ego. I na pewno nie po to, by mu powiedzieć, żeby odetchnął, ponieważ przebaczone mu grzechy, bez względu na ich wagę. Gwen jeszcze nie zdarzyło się nikomu przebaczyć pod jego fizyczną

nieobecność. W każdym razie nie bez interwencji z zewnątrz, takiej jak rada ojca lub doktora Nickensa, pastora z czasów jej dzieciństwa, albo, w pewnych okolicznościach, inna zła wiadomość, której udało się przelicytować obecną niedolę. Nieobecność winowajcy była bowiem świetną okazją, by piętrzyć wyrafinowane argumenty i wydobywać z pamięci kolejne wykroczenia.

– Cześć, Nat – powiedziała. – Arch. Hm. Okej. Słuchaj.

W chłodnym opanowaniu zerkała to na Nata, to na Archy'ego, którego w środku aż skręciło, bo wywnioskował, że Gwen zstąpiła tu z wyżyn el camino, by na oczach jego współnika i całego świata ogłosić ultimatum, i niezależnie od jego treści, tudzież formy, będzie musiał powiedzieć jej o Titusie, a wtedy to już do widzenia, żegnaj, adieu, druga wspaniała spółko w życiu Archy'ego, nawet nie przez to, że ma syna na boku, bo może to w sumie nie aż tak wielka sprawa, tylko dlatego, że w rozmowach z Gwen nigdy się o tym fakcie nie zająknął. Dlatego, że od jakichś dziesięciu lat Archy'emu nie zdarzyło się o chłopaku ani razu *pomyśleć* i ów nawyk niepamięci miał się całkiem dobrze, chociaż dzieciak wrócił i objął się o ich życie jak ćma o abażur. Gdzieś tam na stryszku u rodziny Jaffe.

Archy przeżył chwilę najczystszej paniki. Niczym nie brzydził się bardziej niż oznakami męskiej słabości, szczególnie u siebie samego, a największym słabeuszem był ten, kto stara się coś ukryć. No, może jeszcze ten, kto musi się przyznać.

– Nat, ja nie mogę zostać – wybąkał, postanawiając w pierwszej kolejności cisnąć za burtę najlżejsze wyznanie i sprawdzić, jak na tym wyjdzie. – Strasznie cię przepraszam. Mamy dziś z Gwen szkołę rodzenia i kiedy mówiłem, że dam radę zagrać, to po prostu wyleciało mi to, kurwa, z głowy.

– Nie! – powiedzieli jednocześnie Nat i Gwen.

„Moje szczęście, a twój pech, pech się odwraca i do ciebie wraca, colę stawiasz!”. Potem Nat, nie zaczekawszy, aż ktoś go uwolni od skiśnięcia, powiedział, wążąc słowa, zawsze chętny, by zrobić komuś wykład:

– No pewnie, oczywiście. Rozumiem. To jest ważne, Arch. Robili różne badania, testy. Dajesz radę, stary, ułatwiasz życie Gwen i tej

dziecinie tam w środku. – Wskazał włochatym palcem brzuch Gwen.
– No już, ziomy, zbierajta się.

– Nie – powtórzyła Gwen. – Słuchajcie, ja... Archy, telefon ci zadzwonił, tam w aucie. Odebrałam.

Sprężyna paniki Archy'ego napięła się jeszcze mocniej, a jego myśli, jak zegarek Nata, były o siedem minut do przodu. Gorączkowo przeszukiwał mentalną kartotekę, zachodząc w głowę, która to dziewczyna, dziwka, dama, gdzie napaskudził i nie posprzątał.

– Dzwonił Garnet Singletary – ciągnęła Gwen. – Archy, chodzi o pana Jonesa. On... Archy, on nie żyje. Umarł.

– On... co? – Nim Archy usłyszał własne słowa, uczył falę krwi uderzającą do policzków. – Niemożliwe, przecież rano się z nim widziałem.

– To chyba... Chyba sąsiadka, pani... eee, pani Wiggins. To ona zadzwoniła po karetkę.

Archy wciąż jeszcze nie do końca kontaktował, ale był na tyle przytomny, by zauważyć, że Gwen jest roztrzęsiona, wytrącona z równowagi. „To się dzieje”, pomyślał.

– Dwie godziny temu z nim gadałem! – krzyknął Nat, jakby sądził, że te słowa mogą zdyskwalifikować, zdyskredytować rozgłaszane przez Gwen niedorzeczności. Przeczesał palcami nażelowaną siwiznę. Z kieszeni na biodrze marynarki wyłowił telefon. – Siema, Garnet – powiedział. – Nat Jaffe z tej strony. Kurwa, co jest grane?

Obrócił się i ruszył przez patio, plecami do Gwen i Archy'ego, sceptyczny do bólu, z zasady wątpiący we wszystko, co słyszy, póki nie potwierdził u niezależnego źródła, w każdą informację, która bodaj otarła się o niecodzienność, zbywając jako „miejską legendę”, „zbiorową halucynację”, „mylące określenie” albo „etymologię ludową”. U tego gościa nawet lewe jądro kwestionowało zeznania prawego, przy czym żadne nie zgadzało się z tym, co mówił fiut. Nat miał pewnie nadzieję, że Garnet Singletary pomoże mu zdobyć kontakt do pani Wiggins, raport policji, oświadczenie koronera.

Nieświadom niczego El Boom rozbudził bęben basowy, obdzielił szesnastkami hi-hat i werbel, po czym przypiął się na dłużej do tego drugiego, zasuwając rytm podpitych doboszów z nowoorleańskiej parady, którym akurat napatoczył się break z *Funky Drummera*

(King, 1970). Pan Jones zawsze twierdził, że James Brown był jego kuzynem ze strony matki (nie oferując jednak zadowalających Nata dowodów prócz jednej, niczym innym niepopartej wzmianki w tekście z okładki *Redbonin*). Archy pamiętał, jak któregoś razu pan Jones zlął ze swojego stołka w Brokeland Records i odstawił na kafelkach skomplikowany układ z „mashed potato”, nie odrywając wzroku od swych ptasich stópek i uśmiechając się w oszołomieniu do tej parki cudów.

– O nie – powiedziała Gwen. – Archy, proszę cię, nie zaczynaj.

Otarła policzek przedramieniem. Podeszła do Archy’ego i zrobiła, co mogła, żeby go objąć. Ale on był zbyt wysoki, ona zbyt wypukła. Więc pociągnęła go na stojący obok fotel, jedno z tych meksykańskich ustrojstw z drewnienek obciążonych świńską skórą. Usiadła mu na kolanach, przyprawiając fotel o atak paniki. W jej ramionach Archy dał sobie przyzwolenie, by na chwilę się rozkleić. Zapach włosów Gwen chłodno muskających jego policzek był czysty, kwietny.

– Już dobrze – powiedziała. – Ja wiem.

I nagle, tak po prostu, poczuł, że Gwen mu przebacza. Gdzieś wpośród kontynentu dezorientacji i rozpacz, jakim był teraz Archy Stallings, jedno ksiąstewko oddało salwę na wiwat.

– Jeśli ktoś był dla mnie ojcem, to on – powiedział.

– Tak zawsze mówiłeś.

Wiedział, że miała dobre intencje, ale jej słowa zabrzmiały też trochę jak napomnienie. Gwen dogadywała się z panem Jonesem, ale dla niej był tylko sympatycznym, uczuciowo mętnym i małowównym człowiekiem, którego prócz relacji z hammondem najtrwalszy związek łączył z papugą oraz z garniturami sportowymi z lat siedemdziesiątych, toteż pod żadnym istotnym względem nie kojarzył jej się z ojcostwem. W takiej ocenie pana Jonesa nie było właściwie nic, z czym Archy nie mógłby się zgodzić. Nie przeszkadzało mu, że jest drugi po papudze, bo Pięc Osiem był czymś w rodzaju cudownego dziecka, ptasim Mozartem.

– Ładował hammonda do samochodu – powiedział Nat, wsuwając telefon z powrotem do kieszeni. – Chyba nie przypiął dobrze pasów na wózku. Hammond się na niego przewrócił.

„Kiedy przyjdzie dzień, że sam nie poradzę z targaniem tego kłamota, to dam sobie z tym wszystkim spokój”. Jak Archy mógł go puścić samego, pozwolić mu po prostu wyjść z garażu? Pan Jones był zły, rozdrażniony: Archy już nigdy się nie dowie czemu. Z natury nieostrożny, cały w emocjach, a wokół żywej duszy, która pomogłaby mu taszczyć ten ciężki, cholernie ciężki sprzęt.

– O, hm, hej – powiedziała Leslie od podkładki z klipsem, wychylając się zza Gwen; najwyraźniej to ją posyłano z kijkiem, żeby dźgała niedźwiedzia przed zapasami. – Bo wiesz, ludzie już się schodzą? I Robin z Davidem pomyśleli, że już moglibyście, hm, zacząć?

– Jesteśmy gotowi – odparł Nat. – Tylko że, tego, będzie taka mała poprawka w honorarium, znaczy zjadę wam trochę z ceny, bo mój basista ma zaraz szkołę rodzenia i okazuje się, że... rany, no tragedia po prostu, ale mój organista właśnie, eee, właśnie *zmarł*.

– Ojej – powiedziała Leslie, mrugając. Spojrzała na podkładkę, chyba w nadziei, że organizatorzy kampanii przewidzieli jakąś procedurę na wypadek śmierci muzyka. – Tak mi przykro.

– Czyli tym razem będzie duet. Gitara i perkusja. Ale możemy...

Na patio wyszło dwóch parkowaczy. Jeden trzymał jazz-bas Archy’ego w miękkim koncertowym pokrowcu, a drugi szedł tuż za nim z naręczem kabli i lamp do wzmacniacza. Ten z przodu podał Gwen kwit parkingowy, a ona ruchem głowy skierowała ich do Archy’ego.

– Będzie trio – powiedziała do Leslie. – Plus jedna ciężarna w koszulce do kręgli.

Tuż przed tym, jak gospodyni wieczoru, posiadaczka patentu na gen, który koduje białko przeciwdziałające odrzuceniu przeszczepionej nerki, poprosiła wszystkich, by zgromadzili się w jej salonie pod ozdobnym rzeźbionym stropem z drewna jodłowego, i kazała tej młodej od kampanii wyjść na patio i na dziesięć minut uciszyć muzyków, żeby senator stanu Illinois, niejaki Obama, mógł wygłosić przemowę do zebranych, spośród których każdy wpłacił

przynajmniej tysiąc dolarów, by się tutaj znaleźć, przemowę, w której postara się za pomocą wyważonych słów i opanowanej postawy zapewnić ich (nadaremno i, jak się miało okazać, błędnie), że ich kandydat na prezydenta Stanów Zjednoczonych nie poniesie w listopadzie sromotnej porażki, Obama przystanął na chwilę w drzwiach wychodzących na łupkowe patio, by posłuchać wynajętych muzyków. Z najgłębszą powagą smażyli właśnie instrumentalny cover *Higher Ground*.

Sekcja rytmiczna składała się z siwego starszego faceta w białym golfie, który miał w sobie ten zwodniczy spokój kapitałnego bębniarza, co to nasuwa jak trzeba, a siedzi nieruchomo jak gekon na kamieniu. Jakiś wielki kolo w idiotycznym garniaku, młodszy od tamtego, grał na basie przez olbrzymi drewniany wzmacniacz do organów rozmiarami zbliżony do prawdziwego pieca; bas miał przez to tłusty, mętniutki splendor, czarny jak melasa. Nieco z boku jakiś biały gość o posępnej facjacie, chudy jak patyczak, kręcił z nut jazzowe bezy, układając je na ciężkim, cholernie ciężkim sercu kawałka, jednego z tych, które senator darzył szczególnym uczuciem. Gospodyni zaczęła się odrobinę niecierpliwić, bo Obama ociągał się w drzwiach, przytupując i kiwając do taktu krótko ostrzyżoną głową.

– Chłopaki czują temat – stwierdził, kierując tę uwagę do niewysokiej, nieprawdopodobnie wręcz ciężarnej kobiety, która stała tuż za otwartymi drzwiami na patio, ubrana w męską kręglarską koszulkę. Ciemna, ładna, z włosami ściągniętymi w uroczy i pomysłowy ukwiał dredzików. Palcami prawej dłoni wygrywała na brzuchu widmowe basowe nuty. Słyszając jego komentarz, pokiwała głową, nie obracając się do niego: oddzielał ich od siebie kaktus w donicy, wymyślny kandelabr, za którego zwężonymi ku górze kolcami starała się chyba schować niczym jakaś pokutnica. Tego lata Obama kandydował do senatu i miesiąc wcześniej wygłosił wspaniałą przemowę na konwencji Demokratów w Bostonie. Kiedy w końcu postanowiła się do niego odwrócić, wybałuszyła oczy.

– To pani znajomi? – spytał.

W pełni uprawniony wniosek, zwłaszcza że w koszulce do kręgli odstawała od obecnych tu kobiet, z których większość miała na

sobie stroje koktajlowe. Poza tym nietrudno było zauważyć, że prawie wszyscy są biali. Jeszcze raz skinęła głową, sztywniej niż wcześniej; nie brzdąkała już na niewidocznym basie, a jej oczy zasły mgłą. Nie dość, że wydawała się sobie wielgachna, pomyślał, zbyt swobodnie ubrana, to jeszcze w fantazyjnej rezydencji pełnej białasów przyłapał ją za kaktusem sławny czarny facet. Postanowił jeszcze odrobinę zaryzykować.

– Mój ziomal na basie?

Ciężarna kobieta spojrzała na niego z ukosa, jakoś tak komicznie, i chyba zdołała przezwyciężyć konsternację.

– A to... – stwierdziła z zaskakującą szorstkością – jest pytanie za sto punktów.

– Panie senatorze? – wtrąciła gospodyni, prezentując się bardzo pięknie w skomplikowanym marszczonym wdzianku pełnym geometrycznych cięć. – Jeśli jest pan gotowy, mogę poprosić muzyków, żeby...

– Dajmy im skończyć numer – powiedział Obama.

Jego pamięć dośpiewała brakujący tekst, w którym nadzieja w kuriozalny sposób mieszała się z trwogą apokalipsy, co wpisywałoby się doskonale w polityczny nastrój chwili, gdyby ktoś tu uważnie słuchał, lecz w to akurat, zważywszy na dobiegający bezustannie z wnętrza, nieprzerwany jazgot wesołej paplaniny i ponurych, pokutnych wywodów, senator z trzynastego okręgu w stanie Illinois raczej powątpiewał.

– Szkoda, że nikt nie tańczy – powiedział.

– To chyba nie tego typu impreza – odparła.

– Rzadko są tego typu – przyznał Obama. – Zbyt rzadko. A ja poprosiłbym panią do tańca, ale wątpię, by moja żona się ucieszyła, gdyby ktoś jej powtórzył, że widziano mnie tańczącego z przecudną ziomalką w stanie błogosławionym.

– Podoba mi się ta filozofia – odpowiedziała ciężarna kobieta, wbijając wzrok w basistę i potwierdzając tym samym wcześniejszą konkluzję senatora. – Taka filozofia mi pasuje. Szkoda, że nie jest bardziej rozpowszechniona.

Senator poczuł, że musi się uśmiechnąć.

– Ale trzeba przyznać, że ziomek wkłada w to całą duszę – ocenił.

– Od razu widać. I to nie byle jaką duszę.

Basista pieścił całą długość gryfu, błędząc po nim w tę i z powrotem niczym niewidomy, który czyta coś żarliwego w brajlu. Senator przypomniał sobie kilka słów, które doleciały go wcześniej z głośników: muzycy chcą zadedykować dzisiejszy występ komuś, kto właśnie zmarł, a nazywał się Jones. Senator patrzył, jak facet w fioletowym garniturze gra tamtemu kadisz.

– Zacny garniak – zawyrokował Obama. – Nie każdy facet by się odważył.

– A wie pan, że on sobie z tego nawet nie zdaje sprawy? – odrzekła ciężarna. – Zero żenady, krępacji, nic, łązi w tym, cały zadowolony. – Jej ton składał się mniej więcej w równych proporcjach z pogardy i podziwu. – A w środku dokładnie to samo co na zewnątrz. Aż trudno opisać. Nie chodzi o to, że jest uparty, to znaczy tak, bywa strasznym uparciuchem, do tego dumnym jak cholera, ale żeby się tak ubrać, no, żeby włożyć fioletowy garnitur, co to nawet alfons by się dwa razy zastanowił, i do tego oksfordki... to już trzeba mieć sporo...

– Godności.

Na dźwięk tego słowa ciężarna uniosła wzrok. Przez jej twarz przemknęło coś dziwnego; przyszło mu do głowy, że zaczęły się jej skurcze.

– Właśnie stracił bliską osobę – powiedziała.

– Coś mi się obiło o uszy, wspominali wcześniej nazwisko Jones.

– Tak, właśnie, miał tu dziś być. Grał na organach. Cochise Jones.

– Cochise Jones, aha.

Niewykluczone, że kojarzył to nazwisko, gdzieś w piaskach senatorskiej pamięci widniał być może leciutki ślad stopy. Lecz równie dobrze mógł go zostawić Elvin, a nawet Philly Joe.

– Miał tu być, zagrać z nimi. To wszystko strasznie świeże, umarł dziś po południu.

– Naprawdę bardzo mi przykro to słyszeć.

– Jeśli ktoś był dla mojego męża ojcem, to on.

Muzykom udało się gładko przejść w cover *Bad Medicine, Trespasser*.

– Dziękuję, że mi pani powiedziała – odparł Obama. – Bo wie pani, to było słyszeć w jego grze. Coś jakby żałobnego. Tylko nie wiedziałem, co dokładnie.

– Pan Jones to był właściwie taki niemrawy głupol – powiedziała łagodnie. – Muzyk. A jakie on miał plany na swój pogrzeb! Orkiestra marszowa mu się marzyła, jak karawan, to tylko cadillac. – Pokręciła głową. – Przez ostatnie dwa tygodnie mogliśmy się przygotowywać na dzidziusia, cieszyć się resztką czasu dla siebie, ale co mój mąż robił zamiast tego? Otóż postanowił się zamknąć w garażu i reperować tamten zakurzony przedpotopowy wzmacniacz. A teraz, kiedy został tylko miesiąc? Wkręci się w cyrk z tym pogrzebem. Zamiast się skupić, na czym trzeba.

– No tak, ale... – powiedział senator. – Ja, hm, ja rozumiem pani rozżalenie. Wszyscy znamy te historie, wiemy, jak to czasem bywa z muzykami. Ale jeżdżąc po swoim stanie, po kraju, w ramach kampanii, widziałem... poznałem wielu bardzo różnych ludzi. Fartowni są właśnie tacy jak ten pani mąż. Ci, co znaleźli pracę, która coś dla nich znaczy. W którą naprawdę mogą włożyć całą duszę i w cholerę z tym, co sobie myślą inni.

Gdy mówił to wszystko, tknęła go w pewnym momencie drobna wątpliwość, obawa, jakby łagodny skurcz Braxtona-Hicksa, ponieważ przypomniał sobie, w jakim właściwie celu przyleciał tu wczoraj wraz z Gibsonem Goode'em na pokładzie jego prywatnego sterowca „Minnie Riperton”: Goode miał się pojawić na jakiejś wystawie memorabiliów, a senatorowi było po drodze, więc się z nim zabrał.

– A skoro o tym mowa...

Odwrócił się znów do gospodyni, ewidentnie zniecierpliwionej opóźnieniem, choć najpewniej nie tyle z racji konkretnego harmonogramu, którego trzeba się było za wszelką cenę trzymać, ile dlatego, że pragnęła pokrzepienia w kwestii nadchodzących wyborów. Miał nadzieję, że zdoła jej to zapewnić.

– Okej, Robin – powiedział. – Jedziemy z tym koksem.

Uścisnął dłoń ciężarnej, która wyglądała w tym momencie na nieco rozkojarzoną, zamyśloną, a nawet, o dziwo – biorąc pod uwagę jej wcześniejsze zmieszanie – nieszczęśliwie zainteresowaną obecnością wschodzącej gwiazdy Illinois.

– Ma pan rację – stwierdziła, a on dopiero po sekundzie połapał się, do czego nawiązuje. – Marnuję sobie życie.

– Ależ niech mu pani trochę odpuści – powiedział, w perspektywie rychłego rozstania siłąc się na lekki ton.

– Nie chodzi mi o niego – odparła. – To znaczy o niego, ale w sumie nie o niego. Przede wszystkim o to, co pan powiedział o pracy. O tym, że trzeba wkładać całą duszę w coś, co dużo dla nas znaczy. Dziękuję panu za to.

I uściśnęła mu dłoń z solennością, która go zastanowiła.

Zespół uciszono, zebrano gości i Barack Obama wbiegł do salonu, sadząc długie kroki, swobodny i uśmiechnięty. Stał na tle wysokiej ściany w kolorze cynamonu, pod ekspozycją *retablos*, poobijanych prostokątów z blachy i złomowej stali, na których łatwowierne meksykańskie dusze wymalowały techniką o boleśnie ujmującej prostocie sceny przedstawiające ich udrękę, dając przy tym surowy wyraz swej wdzięczności wobec Matki Bożej oraz różnych *santos* i *santas* za pokrzepienie. Przynajmniej jednej obserwatorce zdawało się, że senator odczuwa ciężar bardzo podobnych oczekiwań. Swoją przemowę poprzedził kilkusekundową pauzą.

– Jeśli ktoś był dla ciebie ojcem, to on – powiedziała ciężarna kobieta do mężczyzny w wielkim fioletowym garniturze, wypełniając tę przeciągłą ciszę (przynajmniej z perspektywy tych stojących w pobliżu) swym grobowym szeptem. – Jasne, że musisz go pochować *jak należy*.

Titus siedział u Avivy przy kuchennym stole. Miał na sobie drelichy z Cast Iron, dzianinową kamizelkę, a pod spodem kraciastą koszulę z krótkim rękawem, w której poprzedniego wieczora życzył jej dobrej nocy. Z Juliego zawsze był przedwczesny *zajde* (urodzony nostalgik, urodzony dziwak, liczący już w chwili narodzin jakieś sto trzy lata) i może właśnie to łączyło go z sędziwym Titusem, którego z kolei trudno było rozgryźć, gdy tak siedział w tej swojej akrylowej kamizelce, zgarbiony nad jakimś magazynem, z dłonią wciskającą się coraz mocniej w policzek przechylonej głowy, tak zaczytany, że

nawet nie podniósł wzroku, gdy Aviva przystanąła w drzwiach, zaciskając mocniej pasek szlafroka i rzucając:

– Hej, cześć.

Chłopak ani drgnął, wyraźnie usiłując doprowadzić swój bezruch do perfekcji. Nadal nie wiedziała, co o tym dzieciaku myśleć, jej śledztwo było w toku, ale podobała jej się ta jego flegmatyczność, to niewymuszone ruchowe sknerstwo. Nie wystukiwał rytmów na wszystkich rezonujących powierzchniach jak Julie, nie mruczał niekończących się melodii jak Nat. Przynajmniej ta cecha Titusa zasługiwała według niej na szacunek.

W ciągu tego dnia i dwóch nocy, bo tyle już trwał etap jego tułaczki spędzony na łonie rodziny Jaffe, Avivie weszło w nawyk wydzielanie Titusowi szacunku w takich właśnie skromnych porcyjkach, spośród których żadna rozmiarami ani wartością nie przekraczała, dajmy na to, pięciocentówki czy ziarenka fasoli pinto. Za schludność, za obeznanie z mydłem i wodą, za grzeczne maniery, za gotowość do tego, by po kolacji sprzątnąć nakrycie, i to bez przypominania. W każdym z tych przymiotów wyczuwała twardą rękę zmarłej teksańskiej babci i chyba właśnie na cześć tej nieodżałowanej kobiety ze stali Aviva wciąż powstrzymywała się od wydania ostatecznego wyroku w sprawie Titusa. Gdy tylko przekroczył próg ich domu, kuśtykając jak dziadunio z zatwardzeniem i tachając poplamiony marynarski worek, a jego domniemany ojciec wszczepił jej w duszę – niczym nabazgrany pospiesznie liścik – niezbyt precyzyjne embargo na dzielenie się ze współniczką i najlepszą przyjaciółką choćby faktem egzystencji tego dzieciaka, Aviva dokonała błyskawicznej ekspertyzy: kłopot. Kłopot dla wszystkich, ale zwłaszcza, jak sądziła, dla Juliego, w którym najwyraźniej zakwitła jakaś niezborna, gorączkowa miłość do Titusa Joynera.

Nat zgodził się (te słowa rzadko występowały obok siebie), że wraz z nastaniem Titusa, wszystkie zaobserwowane w ostatnim czasie dziwactwa ich syna zaczęły tworzyć logiczną całość. Tylko dzięki solidnie wyćwiczonemu odruchowi, by trzymać rękę na pulsie własnego rasizmu i karmionych stereotypami uprzedzeń na temat młodych czarnoskórych mężczyzn (lub też dzięki iście żelaznej wytrwałości ich babć), Aviva była tymczasem w stanie pohamować

instynktowną reakcję (będzie kłopot z tym chłopakiem) i podziwiać Titusowy spokój, a więc kolejną cechę, której próżno było szukać u jej własnej niedomytej, niewychowanej, niechlujnej i nadpobudliwej latorośli.

Naraz usłyszała powolny, chrypiący mokro oddech Titusa: dzieciak po prostu spał. Fryzura, do tej pory z godną kustosza pedanterią utrzymywana w archiwalnym afro circa 1973, była cała w mechatych gruzełkach, jak wypukły globus. Siedział podparty, drżąc w delikatnym, przebijającym przez poranną mgłę szarym świetle, nad egzemplarzem (specjalnie podeszła, by sięgając przez niego, odgiąć okładkę) „American Cinematographer”.

Z samoorganizujących się nanocząstek pesymizmu ułożyła się w wyobraźni Avivy pewna narracja. Zmechacone włosy Titusa, niezmienione ciuchy, nad którymi unosił się nikły, a jednak niewątpliwy zapach nocnego Berkeley (szałwia, jaśmin, mgła, kocie siki), no i to jego przysypianie.

Podstępny gówniarz!

Wycofała się z kuchni, żeby się nie obudził, nim ona zdoła znaleźć dowody potwierdzające jej teorię. Jak większość osób z natury podejrzliwych umiała być całkiem podstępna i działać ukradkowo, gdy trzeba było potwierdzić hipotezę. Zakradła się więc na górę do pokoju Juliego i delikatnie uchyliła drzwi, lekceważąc trzy poprzyczepiane pinezkami tabliczki mające odstraszyć szeroki wachlarz intruzów: pierwsza była po klingońsku, druga w zapisie runicznym, a trzecia wypisana podrabianą (najpewniej) krwią. W pogrążonym w półmroku łóżku z Ikei leżał Julie zwinięty w tak nieprawdopodobnie małą kulkę, że nie odważyła się na niego patrzeć w obawie, że tęsknota za utraconym na zawsze malutkim staruszkim udaremni jej śledztwo. W materacu rozłożonym dla Titusa dwie noce temu na podłodze stryszku widniało lekkie podłużne wgłębienie, ale pościel była zasłana, poszczególne warstwy idealnie poutykane i wygładzone jak poły jego koszul i kanty spodni. Dla Avivy była to wyraźna wskazówka, a nawet dowód, że Titus leżał tu, ubrany od stóp do głów, póki nie uznał, że może bezpiecznie wymknąć się przez jedno jedyne okno na tej kondygnacji, którego dolne skrzydło otwarte było na oścież. Pod oknem wylegiwały się w lubieżnej pozycji jego megalityczne

tenisówki, co sugerowało, że zrzucił je, gdy tylko wtarabanił się z powrotem do środka.

Aviva podeszła do łóżka Juliego i stała tam chwilę, starając się wywnioskować z widocznych gołym okiem dowodów (wygiętego w łuk kręgosłupa, pogmatwanego szkicu kolan i łokci pod kołdrą), czy on także wymknął się zeszłej nocy z domu, by później z powrotem się wemknąć. Przenikliwością starała się odegnać panikę. Nie było jednak wymownych butów, ciśniętych w kąt skarpetek.

Aviva zeszła do kuchni i w rozdrażnieniu zaczęła smażyć rzekomo ulubione śniadanie Titusa, czyli naleśniki z bekonem. Rozbiła jajka niczym fałszywe argumenty niegodnych adwersarzy. Z pogardą zarezerwowaną dla tych, którzy notorycznych przechwałek nie umieją poprzeć działaniem, patrzyła, jak bekon kurczy się we własnym tłuszczu. Gdy naleśniki zaczęły bąbelkować, odkleiła je od blachy i przerzuciła na drugą stronę z poczuciem, że kładzie kres jałowej dyskusji. Maślanka i soda w cieście stały się alegorią jej emocjonalnego pH. Nim we własnym pojęciu wypłaciła chłopakowi całą zawartość jego konta w walucie naleśników ze skwierczącym plasterkiem bekonu, wędzonego dymem jabłoni, najlepszego, jaki mieli w Berkeley Bowl, udało jej się przepracować i spożytkować większość oburzenia, wznieconego wykryciem jego nocnych przygód. Strategia ta była zgodna z oficjalnym stanowiskiem Avivy Roth-Jaffe w kwestii oburzenia, a mianowicie, że nawet w słusznej sprawie jest ono narzędziem nieskutecznym.

– No dobrze, proszę pana – powiedziała, podtykając mu talerz pod nos. – Pobudka.

Wzdrygnął się, wybałuszył oczy, odkleił policzek od dłoni. Spojrzał na Avivę, potem na talerz, potem znów na Avivę, usiłując złożyć to wszystko w jakąś sensowną całość: gdzie się znajduje, co mu podała. Jego wielkie brązowe oczy zwilgotniały jak u szczeniaka. Aviva czuła, że wyparowują z niej ostatnie mililitry rozdrażnienia, lecz nagle Titus najwyraźniej przypomniał sobie, jaki to z niego twardziel. W jednej chwili wzrok mu zlodowaciał, a nozdrza zafalowały, jak gdyby w unoszącej się z naleśników parze wyniuchał coś wstrętnego.

– Dziękuję – powiedział, rugując z głosu wszelkie oznaki wdzięczności i wycinając ze sterty naleśników elegancki trójkącik.

– O której wróciłeś?

Zamiast odpowiedzi wsuwał kolejne warstwy naleśników, jak gdyby wjeżdżały mu do ust na taśmie.

– Nie zgrywaj takiego milczka. Przecież słyszę, jak nawijasz z Juliem. Wydaje ci się pewnie, że coś w ten sposób manifestujesz, że nie ma po co gadać z dorosłymi albo z białymi, coś w tym stylu, ale tak naprawdę jesteś po prostu niegrzeczny. Nie zasłużyłam sobie na taki brak szacunku. Wiem, że babcia lepiej cię wychowała.

Przeżuł ostatni kęs, ważąc i analizując jej argument. Przełknął. Popił mlekiem.

– Czy mogłaby pani powtórzyć pytanie?

– O której wróciłeś. Bo wiem, że gdzieś łąziłeś w nocy, Titus. Na pewno nie spałeś tam, gdzie masz pościel. I nawet mi się nie waży kłamać.

– Hm, no, ja zegarka nie noszę, tak że...

Nie była zaskoczona, że potwierdziły się jej domysły (wyroste z pesymizmu, były równie niezawodne jak prawa fizyki), ale też jej to nie uspokoilo. Poczula nawrot paniki.

– Był z tobą Julie?

– Tak.

– O mój Boże.

Aviva opadła na stojące przy stole krzesło. Czasem w przypadku dystocji barkowej, gdy wszystko inne zawiodło, lekarz decydował się na manewr Zavanelliego: kładł mianowicie dłoń na głowce noworodka, którego ramiona nie mogły się precyzyjnie przycisnąć, i wpychał ją z powrotem w mrok. Aviva w ten sam sposób potraktowała panikę, która za wszelką cenę chciała z niej wypelznąć i rozgościć się w świetle poranka.

– Aha – powiedziała. Usiadła wygodniej, szukając jakichś rozsądnych, stanowczych słów. – Gdzie byliście?

Przez chwilę wyglądało na to, że Titus naprawdę zbiera się do udzielenia odpowiedzi. Potem wziął do ręki kawałek bekonu i wzruszył ramionami.

– Różnie – powiedział. – Żeśmy się tak trochę szwendali.

– Szwendali?

– Znaczy, ja na rowerze jechałem. A on na desce. Bo poza jeżdżeniem to on na tej desce za dużo nie potrafi, ale może się mnie złapać, a ja go wtedy holuję, coś jakby.

Nawet była w stanie to sobie wyobrazić: deska z Juliem toczy się za Titusem przez letni mrok Berkeley, a on trzyma się ramienia kolegi. Widywała coś takiego u innych skejterów.

– Proszę, żebyś przestał robić takie rzeczy – powiedziała. – Przynajmniej póki jesteś gościem w moim domu. Idziesz do łóżka, śpisz w łóżku i rano budzisz się w łóżku. Zrozumiano?

– Tak jest, psze pani.

Musiała przyznać, że strasznie jej się podobało to „psze pana” i „psze pani” tak gładko spływające z jego ust, te przeciągłe sylaby jak masło rozsmarowane na rogaliku. Przypomniało jej się, jak parę letnich sezonów temu pojechali z Natem i Juliem do parku Yosemite. Żeby pokonać cały Szlak Mgieł, trzeba się było wspiąć po nedorzecznych kamiennych schodach, które ktoś wymyślił, wyciosał, przytargał na miejsce i solidnie umocował, by mogły opierać się działaniu czasu i trzęsieniom ziemi, a wszystko to pod auspicjami WPA¹⁵. Przypomniała sobie, jaka była wdzięczna tym nieżyjącym już od dawna ludziom, planistom i robotnikom, za ich przezorność, ich pracę i heroiczny absurd tych granitowych schodów. Za każdym razem, gdy Titus mówił do niej „psze pani”, czuła dokładnie to samo wobec jego nieżyjącej babki.

– Bo kiedy tak się zachowujesz – powiedziała łagodniejszym tonem, czując, że przyparła go już do ściany – kiedy się tak wymykasz z mojego domu, Titus, to ja to odbieram jako brak szacunku.

Pokręcił głową; w kącikach ust odciskał się ironiczny uśmiezek, a spuszczonego wzrok miał pokazywać, jak bardzo chłopak jej współczuje.

– No co? – nie wytrzymała Aviva. – Nie zgadzasz się?

– Ja żem... Ja nic nie mówiłem.

Zaczął przyglądać się ścianie nad zlewem wyłożonej opalizującymi kafelkami w kolorze rdzawoczerwonym z domieszką kremowego. Aviva najpierw nienawidziła tych kafelków, potem przez dekadę je ignorowała, a obecnie ich ziemiste barwy wywoływały w niej tę samą kąśliwą ironię co wiele innych reliktyw

lat siedemdziesiątych. Ale chłopak wyglądał tak, jakby spozierał tęsknie ku śnieżnym czapom na jakimś posepnym, ustronnym szczycie.

– Ja wcale nie chcę tutaj być. – Oderwał się od kontemplacji wyniosłych lodowatych murów warowni swej duszy, ale tylko na chwilę, by rzucić jej kpiące spojrzenie. – Bez urazy.

– Serio? – spytała Aviva, wiedząc doskonale, że tu go ma. Równocześnie zastanawiała się, co właściwie chce osiągnąć, przedłużając tę rozmowę, i dlaczego nie potrafi dzieciakowi odpuścić. – Bo Julie twierdzi coś zupełnie innego. A mianowicie że błagałeś go, żebyśmy pozwolili ci tu zostać.

– Że jak? Nie, on coś... ja... nie, o nie, psze pani.

Jakoś żałośnie i machinalnie brzmiało teraz to jego „psze pani”, a ona postanowiła go przycisnąć, czując w sobie ducha zmarłej teksańskiej staruszki, której nigdy nie poznała. Odnalazła ukryty szew i postanowiła pociągnąć za nitkę.

– Tak słyszałam. Że chcesz mieszkać z rodziną Jaffe i zażerać się tempehem, dopóki nie pęknie.

Spojrzał na stojący przed nim talerz jak ktoś, kto właśnie odkrył zdradę.

– Daje pani tempeh do *naleśników*?

– Tylko trochę – odparła Aviva. – Żart. Nikt cię nie będzie zmuszał do jedzenia tempehu. Dobrze, to gdzieście łązili?

Odsunął od siebie podejrzany talerz i już się szykował, żeby wstać od stołu.

– Halo, nie powiedziałam, że możesz iść.

Titus skinął głową; to się zgadzało. Usiadł znów na krześle, zerkając na artykuł w „American Cinematographer”. Na zdjęciu facet w białym garniturze przyglądał się parowcowi, który utknął na zboczu wzgórza gdzieś w dżungli; Aviva nie mogła sobie przypomnieć tytułu filmu. Antyczny numer, który Julie gdzieś wyszperał, może na pchlim targu albo w składnicy makulatury w East Bay. Podniosła się, na nowo zawiązała pasek szlafroka, zrobiła sobie filiżankę kawy i usiadła przy stole naprzeciw niego. Przypomniała sobie – *Fitzcarraldo*. Widziała to w Telegraph Repertory na trzecim roku, mniej więcej w czasie, kiedy poznała Nata, który dwa wieczory w tygodniu sprawdzał tam bilety.

Osiemdziesiąty czwarty, może piąty, tuż przed bolesnym końcem tej dusznej i mrocznej nory. Niedługo przed tym wieczorem, kiedy rzucił się jej na pomoc. Kto wie, co by ją spotkało, gdyby się nie zjawił: on i to jego zapóźnione Isro, ten niespodziewany, seksowny akcent ze starego Południa. Nat z tamtego okresu był najbardziej pretensjonalnym facetem bez ogólniaka, jakiego widział świat. Próbował ją poderwać na jakąś skomplikowaną teorię o Peterze Lorrem i darmową maksiporcję popcornu. Dorabiał w sklepie z płytami (Rather Ripped Records) i jeszcze w księgarni (Pellucidar Books), po których też nie było już dziś śladu. Przypominał Habsburga na wygnaniu, wychowanego tylko po to, by zjednoczyć pod swym berłem utracone królestwa. Kiedyś ta aura bohaterskiego anachronisty rekompensowała jej ciężar bycia jego żoną, tyleż materialny, co uczuciowy. Dziś miała już tylko nadzieję, że gdy będzie kręcić głową nad kolejnym z jego postępów, rozbawienie weźmie w niej górę nad pogardą.

– Okej, czyli nie chcesz tu być. A gdzie chcesz być? Z tatą?

Albo ten artykuł o *Fitzcarraldzie* był tak fascynujący, albo chłopak znów zasnął: nie widząc jego oczu, Aviva nie była w stanie tego ustalić.

– Dziś macie z Juliem ostatnie zajęcia.

– Tak, psze pani.

– Julie mówił mi, że chcesz być reżyserem.

Bez odzewu.

– Mówi, że napisałeś scenariusz.

Zanurzył czubek lewego palca wskazującego (był leworęczny) w kałużę syropu, która została mu na talerzu. Powstrzymała się, by nie trzepnąć go po dłoni, jak zrobiłaby z Juliem. Chwilę trwało, nim wykombinował, co chce lub też może powiedzieć.

– O tym jednym akurat wie.

– To napisałeś więcej?

– Pięć.

– Zdradź jakiś tytuł.

– Mogę już iść?

– Jeszcze minutka tortur, potem cię puszczę.

– *Zdarzenie na moście Al-Kufa*.

– Na moście Al-Kufa? Jakaś historia wojenna?

– To jest taka jakby adaptacja *Zdarzenia na moście Owl Creek*. Tylko że podczas wojny w Zatoce, a nie secesyjnej – powiedział, łapiąc na gorącym uczynku jej wewnętrzną rasistkę, która tyle energii poświęcała na autocenzurę. – To jest opowiadanie Ambrose’a Bierce’a, w domenie publicznej, nie muszę nic płacić.

– A wiesz, że twój ojciec, Archy, był wtedy w Zatoce? W wojsku?
Bez odzewu.

– Wiedziałeś o tym?

– To mogę już iść?

– Dokąd? – Coś ją nagle tknęło. – Wiesz, gdzie on mieszka?

– Gdzie kto mieszka?

– *Archy*. Przejeżdżasz koło jego domu, prawda? Nocą. Na rowerze.

– Muszę do łazienki.

Spojrzał na nią, tym razem naprawdę, po raz pierwszy tego ranka. Wzrok miał błagalny, wręcz skamlał o to, by skróciła jego męki.

– W porządku – powiedziała i kiedy mijał ją pędem, by wreszcie opuścić salę tortur Torquemady, chwyciła go za ramię prawą dłonią (powstrzymała ją już tysiące dzieci, które się zanadto zapędziły). – Ale najpierw mnie posłuchaj. Nie chcę, żeby przez to wasze szwendanie się po nocach mój syn miał jakieś kłopoty. I lepiej, żebyś mnie już nigdy więcej nie okłamał.

– Mhm, psze pani.

– Nie nazywaj mnie tak. Wystarczy „Aviva”.

– Dobra – odparł chłopak. – To zabieraj, kurwa, tą rękę, Aviva.

Puściła go. Już miał wybiec z kuchni, ale się obrócił.

– Twój synalek to pedzio i lachociąg – powiedział. – Gdybyś się zastanawiała. Bez kitu.

– No toś pięknie zaczął – odparła Aviva. – Pięknie. Jest na czym budować.

– Mów mi Moby.

Gwen ścisnęła kurczowo brzuch, biegnąc po chodniku przed biurowcem Nefastis, trzypiętrowym kłocem z betonu, w którego pasażu leżały się wiry pyłowe z knajpianych ulotek i podkwiatków

bügenwilli. Wciąż o jakiś kilometr od windy, być może najwolniejszej na całej zachodniej półkuli (niech ci ucieknie, to poczekasz przynajmniej dziesięć minut). Zawołała:

– Panie Oberstein, dzień dobry, przytrzyma mi pan?

Każdego przepracowanego dnia mijala wywieszke z nazwiskiem OBERSTEIN i fakt – nigdy nie spotkala kogos, kto bardziej wygladaby na Obersteina, zwlaszcza w tym trzyczesciowym garniturze. Przy czym zawsze miala wrazenie, ze jego ulubiona ksywka miala poprzedzac nigdy niedopowiedziane „Dick”. Najistotniejsze bylo jednak, ze facet wysunal obuta w mokasyn stopę, by drzwi kabiny nie zatrzasnely jej sie przed nosem, a w dodatku co miesiac zostawial sporo pieniedzy w Brokeland Records, pomagajac przerzedzic winylowa trzode, uznala wiec, ze bedzie nazywac go tak, jak on sobie zyczy, i podziekowala mu za przytrzymanie windy.

– Dzięki, Moby.

Zauwazyła, ze do niebieskiego garnituru i brązowych mokasynów wlozyl biale sportowe skarpety w błękitne paski.

– Ty tez dzis wzescnie – dodala.

Wpól do siódmej rano. W poniedzialki Towarzyski Porodu zjawialy sie tu skoro swit, by obsluzyc kobiety pracujace. O tej porze prócz Gwen i zólwi w terrarium doktora Mendelsohna Moby byl tu zapewne jedynym zywym organizmem.

– Na dziewiatą muszę do federalnego pokicac – wyjasnil Moby, wpadajac w te swoja dziwaczna gadke, z gettem majaca tyle wspolnego, co minstrel show. Niewykluczone jednak, ze byl w niej uwiezony na stale, jak mięciutka biala ćma zakleta w kropli hiphopowego bursztynu. – I wogle zem nie jest gotowy. Bo status prawny próbuje skolowac dla wielorybów i potem pozwac marynarke, ze w ich imieniu, kumasz?

– Ach, no tak – przytaknela Gwen, przypominajac sobie cos piate przez dziesiate. Gehenna wielorybów, ktore glupialy od pingania lodzi podwodnych. Facet i tak mial nad nia przewage, przynajmniej w jednym wzgledzie. W zyciu zawodowym kierowal sie sercem, robil to, co kochal, i kochal to, co robil. – To super.

Pieli sie centymetr po centymetrze. Z mechanizmu windy dobiegaly huki, ryki i skrzeki, jak gdyby w aparacie do rezonansu

magnetycznego uwięziono Sun Ra razem z tą całą okropną Arkestrą.

– Te sonary na niskiej częstotliwości, co je marynarka testuje? Jakie to jest draństwo. Rozpierała wielorybom wewnętrzny układ nawigacji i potem lądują na brzegu, mózg normalnie jeb, kaput. Po testach marynarki na plażach masz dziesiątki martwych wielorybów.

– Moby, będę z tobą szczerą – powiedziała Gwen, triumfalnie niczym asyistentka iluzjonisty wskazując mistrzowską sztuczkę w postaci własnego brzucha. – Słowo „wieloryb” nie należy ostatnio do moich ulubionych.

– Lada dzień, co? – ocenił Oberstein. – Jeszcze chwila i pęknie!

– *Cztery tygodnie.*

– Jezu!

– Dlatego mówię. Szczerze, to jestem pod wrażeniem, żeśmy się tu oboje zmieścili. Za tydzień mogę już potrzebować osobnej windy.

– Ale za pięć tygodni już nie będziesz w ciąży. A ja dalej będę gruby.

– Coś ci powiem...

Nie spała dobrze, udręczona supłem szamoczącym się w jej brzuchu, a jeszcze rwało ją w krzyżu. Nie ułatwiały sprawy czarnoczerwone migawki wykrwawiającej się Lydii Frankenthaler i Cochise'a Jonesa, który sapał, przygnieciony molochowym ciężarem hammonda B-3. Nie pomagały myśli o Archym i jego ukradkowej udręce. Facet strzegł swego smutku z zazdrością godną tajemnicy, skradając się przez pole minowe uczuć między okopami sekretów, z głową wtuloną w ramiona. Wiedziała, że musi chodzić o śmierć pana Jonesa, ale nie mogła opędzić się od wrażenia, że męczyło go coś jeszcze. Zastanawiała się, czy przypadkiem nie miał już kogoś na boku, czy nie był zakochany w Elsabet Getachew, czy nie skłamał, twierdząc, że pan Jones zostawił pieniądze na swój pogrzeb, i czy nie doprowadzał ich właśnie w sekrecie do bankructwa, by pochować staruszka w „odpowiednim” (cóż za niepokojące słowo!) stylu. Ale przede wszystkim męczyło ją to rwanie w krzyżu.

– ...Ja już *zawsze* będę w ciąży.

– Jak ja bym chciała, żeby już był koniec – zgodziła się pierwsza poranna pacjentka Gwen, Jenny Salzman-House, której data porodu

przypadała na ten sam dzień, ale przytyła tylko trzynaście kilo, w odróżnieniu od Gwen, której udało się upakować dwadzieścia dwa. – A ty?

Jenny miała bladą cerę, długie, smukłe kończyny i chłopięcą buzię, okoloną mało twarzowym blond bobem w kształcie znaczka Volvo, spopularyzowanym w latach siedemdziesiątych przez słynne tenisistki. Jej krągłość z trzydziestotygodniowym dzieckiem w środku była całkiem niespektakularna, nawet kiedy Jenny ułożyła się na leżance, obnażając brzuch przed niebiosami i jaskrawością bezcieniowych świetlówek na suficie. Nosiła ciężę niczym obrońca piłkę, elegancko, w pięknym stylu, tak że ledwo dało się poznać. Tymczasem brzuch Gwen przypominał raczej jakąś einsteinowską siłę, która zaginała wokół niej strukturę czasoprzestrzeni. Tego ranka nie była szczególnie skłonna litować się nad Jenny i jej dziewięciokilowym niedoborem przykrości.

– Ja? Ze mną już *jest* koniec – odparła Gwen. Wycisnęła na skromną kopułę brzucha Jenny lśniąca pecynkę żelu do USG, a potem przytknęła głowicę. – Koniec i kropka.

– Wiem coś o tym.

Gwen włączyła dopplera i przez chwilę wsłuchiwały się w zalewającą gabinet falę szumu. Jenny z dzielnym uśmiechem zniosła tradycyjną chwilę paniki, gdy nie docierały do nich jeszcze żadne informacje. I wtedy z nicości wyłonił się ten miarowy gwizd: międzygwiazdny sygnał, strumień z rozrzuconych skrzeli jakiejś istoty z głębin. Rytmiczny dowód życia z samego dna oceanu, z najdalszego skraju wszechświata. System zastawek i tłoków przemawiający w prostym języku maszyny.

– Cześć, maluszkę – powiedziała Jenny.

Gwen zanotowała tętno dziecka obok masy Jenny, jej temperatury i obwodu brzucha. Wszystko w normie, właściwie można było nie zapisywać. Bo wszystko zawsze było w normie – aż nagle nie było. Aż któregoś dnia szum wypełniał gabinet swym zgiełkiem bez żadnych zakłóceń. Aż okazywało się, że obwód krągłości mierzy tyle samo co przy poprzedniej wizycie. Aż zwyczajne łożysko utknęło w przeciętej macicy i doszło do krwotoku. I wtedy pędziłaś karetką przez tor przeszkód pod nazwą Berkeley, lepiąc się od krwi

i macicznej mazi, pyskując lekarzom, próbując ocalić dwa życia. Rzecz nie w tym, że nie było potrzeby ani sensu zapisywać normalnych informacji o ciąży Jenny, tylko w tym, że *nie istniało* coś takiego jak normalność, ani w położnictwie, ani w życiu; istniały tylko różne poziomy ignorancji i wyparcia, nieświadomości klęski majaczącej na horyzoncie niczym jakiś wieloryb. Jej małżeństwo opierało się na fortelach i kłamstwach. Jej praca, a przez to i ona sama, nie liczyła się dla tych ludzi, na których uznaniu najbardziej jej zależało, a o których myślała jak o swoich. W ostatecznym rozrachunku wszystko było tylko nieprzerwaną falą szumu, nieróżniącą się zasadniczo od ciszy. Hałasem towarzyszącym stworzeniu. Nieubłaganym potopem czasu.

– Bez zarzutu – powiedziała Gwen do siebie samej, wzdrygając się i wyłączając dopplera. – I czujesz się dobrze?

– Tylko że czuję się wielgachna.

– Kobieto. Nawet nie zaczynaj.

– Nie no, jasne, właściwie to nie mam w tej chwili żadnych problemów poza tym, że mój mąż leci na ciężarne.

– Tak mi przykro.

– A twój?

– Żebym ja go w ogóle do siebie dopuszczała.

Na początku drugiego trymestru ciąży Gwen na pewien czas pozwoliła Archy'emu sobie z nią używać, jak gdyby był kreskówkowym wilkiem, z nożem w jednej łapie, widelcem w drugiej i serwetą u szyi. Nakrywała się do stołu i serwowała suto jak bufet w Las Vegas, nie protestując, gdy wracał po kolejne porcje. Między trzynastym a siedemnastym tygodniem coś zaiskrzyło na hormonalnych łączach i ich łóżko rozgorzało jak od błyskawicy. Nie do końca sprawiało jej przyjemność, gdy w nią wchodził tak jak zwykle, za to odkryła u siebie w ciągu tych kilku przedziwnych tygodni bezprecedensową ochotę na seks analny. Za sprawą jakiejś fali peptydów otworzyła się tam jak nigdy dotąd. Ale i to jej przeszło; tu też koniec kropka. Czasem w nocy jego noga pięła się niezgrabnie po jej ciele, lecz ten dotyk wywoływał w niej jakąś wściekłość, uczucie osobistej zniewagi, jak gdyby ktoś zaproszył na jej skórze ogień. Najwyraźniej gdy wygnała go ze swoich podwojów,

zbuntował się. Zabrał swój pusty talerz i serwetę i pojechał się nażreć do Etiopii. Oblizując wilcze zębiska.

– Chcesz, żebym ci kategorycznie zabroniła seksu? – spytała Gwen.

– O, a mogłabyś?

– Nie ma sprawy.

Gwen starła z brzucha Jenny żel i wytarła głowicę dopplera, ogarnięta bolesnym wspomnieniem tych żarliwych, bezpowrotnie straconych tygodni. Jenny, ubrając się na powrót w bluzkę, zakiet i aktówkę, błędziła po rozdrożach konwersacji, od kompletnego szaleństwa na rynku nieruchomości w Rockridge po figowce w restauracji Oliveto, z którymi zrobiono coś zupełnie bezsensownego, ale ponoć wyglądały pięknie.

– A mogę mu jeszcze od ciebie przekazać, że ma mi każdego wieczora do końca ciąży przygotowywać piwo korzenne z gałką lodów? – spytała Jenny, gdy wychodziły z gabinetu.

Duszę Gwen rozdarła nagła żądza piwa korzennego: takie ciemne, spienione, cierpko-słodkie.

– Niech do mnie zadzwoni – powiedziała.

Upokarzało ją to służalstwo wobec hormonów, te zawieruchy nastrojów były jakąś kpina, czuła się bezsilna w swoim ogromie niczym waleń bez pełnomocnika, pusta w środku, wykończona, a w dodatku od rana do nocy odstawiała (jak ująłby to wielmożny Mike Oberstein) jedną wielką ściemę.

Wrażenia te tylko się pogłębiły, gdy wyszła do poczekalni, gdzie stały dębowe fotele, wyściełane malinową wełną (w latach osiemdziesiątych szczyt nowoczesności), i wisiąca dość przypadkowa galeria naklejonych na piankę plakatów z Gauguinami, ocalałych z jakiegoś pradawnego wyjazdu panny Roth i pana Jaffego do Danii (smagłe, półnagie Maoryski i smętne goghowskie pola ziemniaków pod enigmatycznym napisem NY CARLSBERG GLYPTOTEK) i ujrzała jeszcze trzy czekające na swą kolej ranne ptaszki. Psychoanalityczka, agentka nieruchomości i jakaś nowa pacjentka, też biała, z aktówką Coach u stóp, wyglądająca, o dziwo, na prawniczkę.

– Do zobaczenia, Jenny – powiedziała Gwen, tłamsząc w sobie niejasny dyskomfort, jaki za każdym razem wywoływały w jej

nieznającym duńskiego umyśle wciskające się doń słowa NY CARLSBERG GLYPTOTEK. Zwróciła się do pań w malinowych fotelach.

– Cześć, Jenny. Cześć, Karen. – Przyjrzała się nowej pacjentce, starszej mamie, ubranej w luźny czarny kostium, klasycznej kalifornijskiej kociarze w aureoli zwierzęcego łupieżu. – Cześć...

– Jenny – powiedziała z uśmiechem kociara. – Wiem, aż trudno uwierzyć.

– Trzecia Jenny – powiedziała Gwen. – Coś takiego.

– Już drugi raz się coś takiego zdarza, odkąd tu pracuję – powiedziała Kai, recepcjonistka współpracowniczek.

Choć urodziła się kobietą, Kai nie była do tego szczególnie przywiązana. Włosy miała krótkie i przylizane, nosiła białe T-shirty i dżinsy z podwiniętymi nogawkami, grała na saksofonie w alternatywnej orkiestrze marszowej. Dziewczyny obsługiwały festyny uliczne, hipsterskie potlacje, obrzeża plenerowych koncertów, zjawiając się zniecka jak sztuczny tłum, ubrane w marynarskie czapki i płaszcze wojskowe z szamerunkiem jak ta chińska orkiestra pogrzebowa w mieście, serwując pokręcone marsze Sousy, muzykę kościelną na dęciaki i covery Led Zeppelin. Nazywały się Bomp and Circumstance¹⁶.

– Tylko że wtedy były trzy różne Carolyn.

Gwen odwzajemniła uśmiech trzeciej Jenny i z niegodnym, lecz głębokim lękiem, a nawet przerażeniem zwróciła się do drugiej, która zgarnawszy torebkę i aktówkę, dźwignęła swój dziecięcy fracht, zakolebała się gwałtownie, lecz w końcu wymanewrowała całym tonażem ku Gwen.

Drzwi do recepcji rozwarły się z charakterystycznym upiornym skrzypnięciem jak z horroru klasy B, który to dźwięk, zwyciężywszy oliwę i WD-40, prześladował kolejno urzędujących pod numerem 202 psychoanalityka jungowskiego, terapeutkę par, specjalistę od programowania neurolingwistycznego, hipnoterapeutę, masażystę *shiatsu* i trenerkę rozwoju, aż w końcu dopadł Towarzyszki Porodu. Do środka zajrzała bardzo młoda kobieta o szerokiej indiańskiej twarzy i wyszeptała:

– Przepraszam.

Karen, wszystkie trzy Jenny oraz Gwen odwróciły głowy, by przyjrzeć się młodej kobiecie. Zarazem drobniutka i obszerna, nie mogła mieć dużo ponad metr czterdzieści, a była, na oko, w siódmym miesiącu i nie miała wyjścia: swe nienarodzone dziecko musiała nosić hen przed sobą. Rysy Majów, włosy czarne, lśniące jak zahartowana w bojach patelnia, ściągnięte do tyłu i na bok, związane migotliwą różową frotką. Do czarnych legginsów włożyła T-shirt w rozmiarze XL, na którym widniała dość nieoczekiwana reklama sklepu z alkoholem i przynętą nad jeziorem Hopatcong w stanie New Jersey. Koszulka mocno opinała brzuch i świeciła rozciągniętymi otworami rękawów, z których wystawały ręce o spiczastych łokciach i chudych nadgarstkach. Gdy wypowiedziała swą króciutką kwestię, na jej policzkach wykwitły rumieńce tak idealnie okrągłe, jak gdyby ktoś je namalował. Trwające właśnie lato mogło być w jej życiu najwyżej piętnastym.

Zrobiła pół kroku w głąb poczekalni, spoglądając od jednej kobiecej twarzy do następnej, łącząc fakty i najwyraźniej coraz bardziej żałując swej decyzji. Usiłowała rozszyfrować zagadkowy tekst, jakim było to nijakie, wysłużone pomieszczenie, mogące przecież, myślała Gwen, wyglądać dokładnie tak jak Urząd do spraw Wiwisekcji na Ludziach w Tegucigalpie, czy skąd to dziewczę pochodziło.

– Cześć! – powiedziała Gwen tak głośno, że dziewczyna aż podskoczyła. Na widok tej młodej kobiety, jej chudych ramion, podkrążonych oczu, aury ogólnego zagubienia i koszulki, na której okoniopstrąg rzucał się radośnie na haczyk niosący mu zgubę, Gwen uczuła, że jej serce nabrzmiewa mrocznym pragnieniem i że, jak u Grincha, towarzyszy temu brzęk tłuczonego szkła. – Wchodź! Śmiało.

– Chyba dzwoniła wczoraj – powiedziała Kai. – Zgadza się? Areceli?

– Areceli – powtórzyła Gwen.

Dziewczyna zaczęła kiwać głową, ale natychmiast przestała, uciekając spojrzeniem, jak gdyby przypomniawszy sobie, że ostrzegano ją przed fałszywymi umizgami recepcjonistów posępnego urzędu.

– Mówisz po angielsku?

Areceli delikatnie potrząsnęła głową, wycofując się w stronę drzwi.

– *Entre* – błagała ją Gwen, wyniesionym ze studiów zaocznych na Uniwersytecie w Berkeley hiszpańskim, zdatnym nawet do użytku, choć z trudnymi do wytłumaczenia naleciałościami bostońskimi. – *Por favor, entre, puedo verle enseguida.*

– *Lo siento mucho, pero tengo un desayuno muy importante a las siete y media* – powiedziała druga Jenny – *y no puedo esperar*¹⁷.

Gwen ułożyła dłoń na piersi, jak gdyby pragnąc zatrzymać serce, nim na dobre wyfrunie ku tej młodej kobiecie, dzięki której wszystko mogło jeszcze zostać uratowane. Rozumiejąc, mimo oporów, że nie obejdzie się bez minimum zarządzania pacjentami (który to talent, przymus, dryg wołała zostawiać Avivie), Gwen zwróciła się do drugiej Jenny:

– *¡Usted habla muy bien español!*

– *He pasado dos años en Guatemala* – odparła Jenny II – *enseñando al Quiché como manejar una cooperativa del tejer*¹⁸.

Gwen mrugnęła, stąpając ostrożnie: zaplątała się w *Quiché* i poleciała na twarz prosto w *tejer*. Doszła do wniosku, że ma totalnie w dupie, gdzie Jenny nauczyła się hiszpańskiego, gdy usłyszała skrzypnięcie zawiasów grobowca, a w ślad za nim westchnienie zamykających się drzwi.

Stała sparaliżowana paniką mocno podlaną oburzeniem, jak gdyby nagłe szarpnięcie w brzuchu uświadomiło jej, że oto zrobiono ją na szaro, wystawiono do wiatru, jak gdyby ta młoda kobieta była oszustką, która właśnie opróżniła portfel Gwen z poważnej sumy, której już nigdy nie uda się odzyskać.

– Przepraszam na chwilę – powiedziała półgłosem, wybiegając za Areceli, a demon zawiasów raz jeszcze wykpił wszelkie terapie, kuracje, uzdrowienia oraz perspektywy rozwoju osobistego.

Popędziła korytarzem, mijając biuro pełnomocnika waleni, aż dopadła drzwi windy. Dźgnęła palcem przycisk, a drzwi natychmiast się rozsunęły. Areceli najwyraźniej wybrała schody. A konkretniej, wyzuty z wszelkiego charakteru układ betonowych płyt uwieszonych na pręcie zbrojeniowym jak kręgi na rdzeniu. Gwen zeszła na podest między trzecim a drugim piętrem i przystanąła tam, nasłuchując kroków schodzącej dziewczyny i charakterystycznych

basowych brzęknięć stalowej poręczy. W klatce schodowej rozlegał się jednak tylko zawodzący, halloweenowy gwizd miarowego podmuchu, który hulał tam nawet w całkiem bezwietrzne dni.

Gwen schodziła po jednym stopniu, aż budynek trząsał się w posadach, a przynajmniej tak jej się zdawało, i cały czas wołała: „Areceli!”. Wreszcie wybiegła na Telegraph Avenue, prosto w poranek, w rozbrzęczony turkot kolumny wózków pchanych przez parking marketu Andronico's, w echo wrzawy znad basenu Willard, w niecierpliwe westchnienie autobusu po drugiej stronie ulicy, przyklękającego akurat dla pasażerów, wśród których mignął kucyk stalowoczarnych włosów.

– Czeka! Areceli! *Espera!* – Jej dłoń wystrzeliła w górę, jak gdyby autobus AC Transit był taksówką, i Gwen, jeszcze bardziej nieostrożna niż zwykle, wypadła na środek ulicy.

Ktoś powiedział: „Niech pani uważa!”, a potem był już tylko metal, zapach metalu i okrutnie metaliczny gruchot jej kości ogonowej o krawężnik.

– Przepraszam – powiedział rowerzysta.

Zrozumiała, że jej nie potrafił; zepchnął ją tylko z drogi nadjeżdżającego autobusu. Był to szczupły żylasty nastolatek w eleganckich dżinsach i w bluzie z naciągniętym mocno na oczy kapturem, tak że twarz tonęła w półcieniu.

– Jest pani cała?

Zobaczyła, że ma rozoraną nogawkę spodni. Wetknąwszy tam palec, wymacała tylko otarcie; najwyraźniej nie ucierpiało nic prócz jej nieśmiertelnej dumy.

– Nic mi nie jest – wysapała Gwen, łapiąc oddech. – Na pewno. Dziękuję.

Machnęła na chłopaka, a on skinął głową. Nim wspiął się z powrotem na siodełko i odjechał, sprawiał przez chwilę wrażenie (tak jej się później wydawało), jak gdyby rozważał, gdzieś pod swym kapturem Nazgula, czy nie udzielić jej jakiejś rady albo innej ważnej informacji.

– Bo ty to nie jesteś zbyt ostrożna – usłyszała jakiś głos: znajomy, cichy, męski. – Prawda?

Garth Newgrange, świeżo upieczony ojciec, za kółkiem priusa w bladym odcieniu sałaty. Wjeżdżał właśnie powoli w alejkę

wiodącą do podziemnego parkingu biurowca, który wyrósł niedawno obok budynku Nefastis. Marynarka, krawat, strój jak do pracy, chociaż, o ile pamięć Gwen nie myliła, Garth pracował w centrum Oakland. Widać też zerwał się skoro świt na wizytę u lekarza albo dentysty.

– Jak tam Lydia? – spytała Gwen, czując, że nie ma siły odgadywać linii ataku zapoczątkowanej jego gambitem, a co dopiero obmyślać kontratak. Lecz jego słowa z całą pewnością zabrzmiały cudacznie, coś się kryło za tym ciasnym uśmiezkiem.

– Jak tam Lydia? Wyobraź sobie, że bardzo zdenerwowana. Cała nasza trójka jest bardzo zdenerwowana. Wszyscy przeżyliśmy traumę. Dosłownie: traumę. Rozumiesz?

Był (z czymś takim zetknęła się chyba tylko w powieściach) biały ze złości.

– Garth...

– Lydia miała marzenie, a ty i Aviva, wyście po prostu... wyście je po prostu rozpierdoliły w drobny mak.

– Marzenie?

– Tak.

– Garth, to był poród. Lydia miała poród.

– Co ty nie powiesz – prychnął. – Tak, Lydia miała poród. Teraz ma dziecko. A ja mam prawnika. A ten prawnik ma wiesz co? Biuro, ha, ha. Tu obok, po sąsiedzku. Zabawne, nie?

– Czy ty... Ty nas *pozywasz*?

– Mam zamiar – odparł Garth. – Taki właśnie mam zamiar.

– Ale... jak to? Dlaczego? Wiem, to był ciężki poród, mogło być lepiej, ale przecież z nią i z dzieckiem wszystko w porządku.

– A kto to może wiedzieć, czy z dzieckiem jest wszystko w porządku? – warknął. – Ty nie wiesz. Ja nie wiem.

– Garth, no błagam. – Cisnęło się jej na usta, że i tak mają dostatecznie dużo kłopotów bez jego absurdalnego pozwu, który dla wszystkich będzie tylko stratą czasu i pieniędzy. Ale gdyby to powiedziała, pewnie zgłosiłby to zaraz prawnikowi w sąsiednim biurowcu, a tamten już znalazłby sposób, żeby wykorzystać to jako dowód przeciwko nim.

– Mam nadzieję, że wasz prawnik jest lepszym fachowcem od was – powiedział, zdejmując nogę z hamulca i wieńcząc tę uwagę,

a także całą rozmowę, wykrzyknikiem. Rolę wykrzyknika znakomicie odegrał jego środkowy palec.

– Ładnie – powiedziała Gwen do tyłka Garthowego priusa, który już toczył się rampą do podziemnego parkingu.

A potem, dostrzegając w tym geście potencjał wyrażenia wszystkiego, co czuła tego ranka (wobec swojej profesji, swojego życia i świata w ogólności), odpowiedziała Garthowi tym samym, unosząc środkowy palec wysoko, tak by dobrze go widział we wstecznym lusterku.

– Ładnie – zgodziła się Aviva, zajeżdżając przed ich biurowiec rozklekotaną Hekate. – Jak logo Big Boya, tylko wredne.

– Dziesięć lat się znamy – mówiła Aviva, siedząc w kucki i grzebiąc w szafce obok zlewu w gabinecie numer 2. Przychodnia była zamknięta na czas lanczu; cały lokal 202 miały dla siebie. – I ani razu nie musiałam ci udzielać pierwszej pomocy. A teraz się zrobiła taka jakby tradycja.

– Hm.

– Jakbyś mnie ciągle zapraszała na tę samą kiepską randkę.

– Jestem zestresowana – powiedziała Gwen tonem, który nawet jej samej wydał się opryskliwy. Odpływ zostawił ją po kostki w skrusze o nieznannej przykrew woni, więc brnęła przez szlam cuchnących skrupułów. Fatalnie rozegrała sytuację z Garthem Newgrange'em, co do tego nie było wątpliwości. Czas przyznać się do porażki i raz jeszcze oddać się w opiekę Avivie z jej zrzedliwym, lecz dobrodusznym dyskursem pretensji. – Jestem w ciąży.

– Wiem, kochana. W porządku. Nie musisz mi się tłumaczyć.

Gwen upomniała się, by odpuścić tej kobiecie, która przecież nie popełniła żadnych błędów, w niczym nie nawaliła.

– Jakby we mnie wjechał ten AC Transit... – spróbowała nieśmiało – ...tobym wisiła hrabstwu Alameda nowy autobus.

– Bardzo śmieszne – odparła Aviva. – Mhm. – Zostawiła w spokoju szufladę z zaopatrzeniem i obróciwszy się na pięcie, wstała, trzymając w każdej dłoni po kartoniku z bandażem

elastycznym. Miała na sobie sukienkę April Cornell w fioletowe kwiatki, kupioną z drugiej ręki w Crossroads: do kolan, z wycięciem w kształcie V i krótkim rękawem. Każda inna kobieta wyglądałaby w niej kluchowato, ale ramiona Avivy były szczupłe, żyłaste. Zresztą całe jej czterdziestosiedmiokilowe ciało było jak żyłka, która to się zwija, to rozwija. Kwiecista sukienka starała się za nią nadążyć, zamknąć jej ruchy w jasnym, choć nieudolnym oplocie. – To jaki look wybierasz? Białaska czy trędowata?

– Daj ten bez. Nie wiem, chyba... chyba po prostu się strasznie podjarałam, że przyszedł ktoś z brązową skórą.

– No chyba tak.

– Żałosne. Ganiać po ulicy za jakimś dzieckiem. Żebyś mnie widziała, jak pomykałam po tych schodach. – Parsknęła smętnie, basowo. – Nie śmiej się.

Aviva przestała się śmiać.

– Wiem, czemu za nią pobiegłaś – powiedziała.

Gwen miała nogi przewieszane przez skraj stołu, a szeleszczący papier komentował na żywo nerwowe ruchy tyłka, gdy Aviva bandażowała jej prawą stopę od sklepienia po kostkę. Nie wyglądało to na nic poważnego, ale Gwen cały ranek się na niej opierała i teraz, gdy tylko przenosiła na nią ciężar, kości zaczynały wibrować jak trącona struna. Otarcie na goleni Aviva już przemyła i opatrzyła plastrem. Obwiązała kostkę Gwen z bezkompromisową delikatnością kobiety doświadczonej w opatulanii niemowląt. W konfrontacji z jej znaczącym milczeniem Gwen jak zwykle czuła się bezsilna.

– To był Garth – powiedziała Gwen. – To jemu pokazywałam faka, jak podjechałaś.

– Co? Ale Garth Newgrange?

– Zaraz po tym, jak wpadł na mnie ten dzieciak na rowerze, podjechał Garth. Na spotkanie z prawnikiem tu obok.

– Z prawnikiem.

– Mówił, że będą chcieli nas pozwać. Że sprawdza, czy mają podstawy.

Aviva zachwiała się na piętach, puszczając stopę Gwen.

– Ja pierdolę – powiedziała, masując oczy opuszkami długich palców z równiutko przyciętymi paznokciami. – Co?

– No tak mi powiedział.

- Więc pokazałaś mu *faka*?
- To on zaczął.
- Dobra, ale zrozum, Gwen, że ty... – Cokolwiek Aviva miała zamiar powiedzieć, otrząsnęła się z tego. – Zresztą nieważne.
- Co?
- Nic.
- Obwiniasz mnie o to, że pokazał mi faka. I że chce nas pozwać. Uważasz, że ma prawo. Bośmy tak strasznie nawaliły.
- Ja... Nie. Wcale nie. Serio. Ale ciągle tak sobie myślę, że mogłybyśmy, wiesz, po prostu pójść do niego.
- Nie.
- I, i wiesz.
- Nie wymawiaj tego słowa.
- Przeprosić.
- Nie, Aviva, tak nie będzie. Po prostu nie. Nie mamy za co przeproszać. Nie zrobiłyśmy nic złego.
- Dobra, Gwen, ja się z tobą zgadzam, ale on polazł, kurwa jego mać, do prawnika.
- Otworzyły się drzwi i zajrzała Kai, żując coś liściastego, zawiniętego w lawasz.
- Gdybyście się zastanawiały, czy pacjentka z pierwszej, co przyszła za wcześniej i siedzi teraz w poczekalni, więc gdybyście się zastanawiały, czy ona was słyszy, jak się tu wydzieracie w gabinecie numer dwa, to już wam mówię: tak.
- Wszystko okej – powiedziała Aviva.
- Na pewno? – Kai przeżuwała z wymuszoną beztroską, tarmosząc kołnierzyk haftowanej kowbojskiej koszuli.
- Jasne. Ze mną okej. Z Gwen okej. Z Gwen będzie okej jeszcze przynajmniej przez... – Aviva spojrzała na męski timex z tarczą przekreconą na wewnętrzną stronę prawego nadgarstka, jak gdyby wszystko miała skalkulowane, łącznie z wiszącą w powietrzu rewelacją, i chciała za wszelką cenę trzymać się harmonogramu. Zmarszczyła brwi, ewidentnie rozczarowana tym, co wyczytała z zegarka – ...no, powiedzmy, że przez najbliższe pięć minut.
- Kai też zmarszczyła brwi, tylko bardziej w stylu Sala Mineo, i cichutko zamknęła za sobą drzwi, jakby z wyrzutem.
- A co ma być za pięć minut? – spytała Gwen.

– Gwen – powiedziała Aviva. Potem nastąpiła kolejna przeciągła Avivowa pauza, przepastna, brzemienna. – Gwen, rozmawiałaś z Archym?

„Archy ma raka, ale ukrywa to przed tobą, przed własną żoną” – to właśnie sugerowała grobowa mina Avivy.

Gwen oderwała garść papieru higienicznego z płachty pod tyłkiem. – Co się stało? – spytała, znów odczuwając efekty metalochodnikowego cyklonu.

– Czyli nic ci nie mówił.

– Ale co miał mi powiedzieć? To jakaś choroba?

– Nie, rany boskie. Nie. Wszystko z nim okej. Tak, z nim też wszystko całkiem okej. Jeszcze.

– Jeszcze przez pięć minut.

– Teraz już bardziej cztery.

– Aviva, o co tu chodzi?

– Kurde. Okej. Przynajmniej siedzisz. To dobrze.

– Chwilę – powiedziała Gwen. – Czekać. Bo czuję, że może jednak powinnam wstać.

– Nie, Gwen, myślę, że jednak powinnaś...

– Daj mi się trochę na niej oprzeć, Aviva.

Aviva pomajstrowała jeszcze chwilę przy bandażu, wreszcie uznała, że jest zadowolający, i wypuściła kostkę Gwen z rąk.

– Znacznie lepiej – oceniła Gwen. – Dzięki wielkie. A teraz: o co chodzi, do jasnej?

Ktoś zapukał leciutko do drzwi gabinetu. Aviva znów spojrzała na zegarek.

– Aviva, co tu jest grane?

Drzwi rozwarły się na oścież i Gwen ujrzała Juliego w towarzystwie dzieciaka, który zepchnął ją z drogi autobusu. Weszli do środka i chłopak odgarnął kaptur bluzy. Wyglądał jak mniejsza, odchudzona wersja ojca Archy’ego, jak singiel z albumu Luthera. Sformułowanie pierwszego całkiem szalonego domysłu zajęło jej mniej niż sekundę.

– Boże święty – powiedziała.

Obaj chłopcy pochłonięci byli, choć każdy na swój sposób, widokiem własnych butów, kostki Gwen, podłogi.

– Titus – powiedziała Aviva. – Gwen. Poznajcie się.

– Cześć – wybąkał chłopak. Na oko miał tyle lat co Julie, czternaście, może piętnaście. Gwen dokonała paru biograficznych obliczeń, złożyła sylogizm z kilku uwag rzuconych luźno na przestrzeni lat, a resztę odgadła.

– Na nazwisko masz Joyner?

Chłopak gwałtownie uniósł wzrok, ale zanim spojrzał jej w oczy, zdołał odzyskać figlarny uśmiezek Luthera Stallingsa.

– Tak jest, psze pani.

– Okej – powiedziała Gwen. A potem ktoś przewrócił płytę na drugą stronę i okazało się, że to *Ściema* Archy’ego, a właściwie pierwszy kawałek ze strony B, pod tytułem *Jamila*. Gwen nie poznała nigdy Jamili Joyner, co jak zawsze w takich wypadkach pozwoliło z tym większą łatwością naszkicować w myślach jej podłą sylwetkę. – Ona jest tutaj, w Oakland?

– Nie, psze pani. – Uśmiech wyparował jak kropla wody na rozgrzanym piecu.

– Jego mama... no, nie żyje – odezwał się Julie. – Od dawna.

Dudnienie zazdrości ustało, a serce Gwen zaczęło bić, niepewnie, po raz pierwszy od chwili, kiedy Aviva otworzyła drzwi gabinetu, i wyszło naprzeciw Titusowi, który nagle zaczął wyglądać bardziej na dwanaście niż na piętnaście lat.

– Titus mieszka u nas – powiedziała Aviva. – Tymczasowo.

– Co?! Od kiedy?

– Od piątku. Gwen, ja cię przepraszam. Chciałam uszanować życzenie Archy’ego. Bóg raczy wiedzieć czemu. Mówił, że sam ci powie. Że potrzebuje trochę czasu, żeby to sobie wszystko poukładać.

A więc to (a nie żałoba po panu Jonesie, nie wstyd, że został przyłapany z Królową Saby, nie rak) była ta tajemnica, którą Archy przed nią ukrywał, ta pustka czająca się pod jego fizyczną obecnością w pokoju, ten poślizg, z jakim odpowiadał na jej pytania. Nie chodziło nawet o to, że ma syna, tylko że ów owoc jego lędźwi *zaraz się do nich wprowadzi*. A Gwen będzie musiała zajmować się trzema niemowlakami, a nie tymi dwoma, na które się pisała.

– Niepotrzebnie mnie ratowałeś przed tym autobusem – powiedziała Gwen. – Trzeba było jechać dalej.

Giez. W uchu, od urodzenia. Facet słyszał przepływ własnej krwi, trzask neuronów, wszechobecny puls rozciągniętej po całym globie elektro-industrialnej sieci energii i informacji, nieuchwytną muzykę. Niczym talerz satelitarny jego głowa ściągała z kosmosu promieniowanie naturalne, sinusy i sygnały, septymy zmniejszone, napływające przewodami czasoprzestrzeni, by wprawić w drżenie tajemne membrany. Bo coś przecież słyszał. Jego nastroje (obecnie bez interwencji farmakologicznych) często filtrowały sygnał na wejściu. W te dobre dni były to melodie, struktury harmoniczne, polirytmie, sample i strzępki, frazy i riffy, całe pomysły muzyczne. W dni złe albo takie sobie był tylko ów zrytmizowany pomruk, który jeden z jego wielu byłych psychiatrów uznał za (jakżeby inaczej!) nikłe, niewyraźne echo mamusi, która zmarła, nim Nat skończył dwa lata. Kołysanka w mroku, miarowe, kojące poklepywanie po zawiniętej w pieluchę pupce. Jaaasne. A jednak zawsze gdzieś w środku, pod podszewką, spleciony z serwowaną tego dnia halucynacją słuchową, istniał ten niezmienny dźwięk, zarazem niski i ostry, wkurzający, precyzyjny, stabilny niczym poręcz. Dziś w porannym menu zapętlony pasażyk w stylu Maceo, radosne dźwięczenia dęciaków, bo dziś chyba będzie dzień z tych dobrych, tak jest, kurwa, bi-da-li-dop, ba-dida-la-di!

W menu także: smażony kurczak à la Richmond. Bułeczki. Fasola z ryżem. I oczywiście jarmuż. Jarmuż, tajna broń, wytrych do duszy faceta, który wychował się w takim czasie i miejscu jak Garnet Singletary. Jarmużem ruszy się sumienie Króla Lansu.

Tylko kuchnia, *oj wej*, ta kuchnia. Ba-dida-la-di-dop! Normalnie, kurwa, pobjowisko. Nata aż zakłuło w sercu na wspomnienie macochy, Opal, księgowej w dziale rozliczeń domu towarowego Thalimers, która zawsze umiała okiełznać bałagan, regularnie po sobie sprzątając, postępowała według pewnej niezmiennej logiki, okrawki zsuwając nożem do śmieci, podczas gdy liście jarmużu gotowały się na wolnym ogniu w wywarze ze słoniny, fasola dochodziła, a miska, w której poprzedniego wieczoru moczyły się ziarenka, błyszcząca, wypucowana, na drucianej suszarce, ciasto na bułeczki było wymieszane (przepis od niejakiej pani Portman,

u której matka Opal przepracowała całe życie, wymagał zarówno drożdży, jak i sody) i zostawione na całą noc w lodówce pod wilgotną ściereczką, by wyrosło; teraz trzeba je było jedynie rozwałkować, pociąć na kawałki i wstawić do piekarnika dziesięć minut przed dzwonkiem na kolację. Tymczasem Opal Starrett, *alejcha haszalom*, zdążyła swą gąbką Scotch Brite oddać sprawiedliwość każdemu garnkowi, rondlowi i półmiskowi, wycierając je tak, że lśniły niczym przybory w laboratorium, a wszystko to, by na koniec zmierzyć się już tylko z blachami do pieczenia, wielką żeliwną patelnią i promieniem tłuszczowej eksplozji na płycie kuchennej.

Prócz wielu innych rzeczy Nata zachwycała u macochy zdyscyplinowana progresja czynności kuchennych, lecz nie łudził się, że potrafiłby ją w tym naśladować. Podobnie jak Julius Pierwszy, Nat już tak miał, że wszystko musiał robić naraz. Tumany mąki buchały z nieodzownej torebki z brązowego papieru, w której obtaczał w kruszonym czarnym pieprzu, cayenne i soli kawałki kurczaka: nóżki i udka, wedle upodobań dzisiejszego klienta. To było coś więcej, cały układ pogody: przez kuchnię z zachodu na wschód przetaczały się fronty mącznych burz. Pod nogami leżały rozsypane ziarenka fasoli, których kompanów wrzucono na godzinę do wrzącej wody zamiast całonocnego moczenia, bo nagły impuls, by zyskać poparcie Króla Lansu, wykluczał takie czasochłonne manewry. Smalec (kolejna tajna broń w walce o duszę Garneta Singletary'ego) już zaczynał szemrać i strzelać na patelni. Patelnię tę Nat odziedziczył po Opal, tak jak i pancerne blachy do pieczenia, na których leżała w układzie domina połowa z planowanych trzech tuzinów bułeczek, oraz wielki szary garnek Magnalite, gdzie gotował się jarmuż. Jego okrawki piętrzyły się na blacie obok łupin cebuli, odkrojonej skóry ze słoniny i arktycznego krajobrazu nie do końca rozwałkowanego ciasta. I lepiej nawet nie myśleć o ryżu, rany boskie, o ryżu, którego część posłusznie wessał w swe brzuch, nim zdechła mu bateria, ręczny odkurzacz DustBuster, porzucony teraz na podłodze wśród całej niewessanej reszty. Ryżowy deszcz, gdy Nat wyszarpnął torebkę ze spiżarnianej półki, bo ktoś, najpewniej on, odłożył ją tam, nie zacisnąwszy porządnie drucianego wiązadełka. Choć w sumie dźwięk bębniącego o podłogę ryżu zgrywał się

frapująco z riffem dęciaków, który Nat miał właśnie w głowie: metalowe szczotki rozedrgane na hi-hacie.

O dziewiątej czterdzieści pięć przy dźwiękach aplauzu pierwsza porcja kurczaka pograżyła się w świńskim tłuszczu, który z miejsca zabrał się do swej kapitalnej roboty, doprowadzając przyprawioną mąkę do pięknej reakcji Maillarda, zapach złocistego brązu mieszał się z ciepłym, gęstym, lekko laurowym i niemal cielesnym smrodkiem fasoli i letnią cierpkością jarmużu, wywołując wspomnienie białych kedsów uzienionych świeżo skoszoną trawą, i Nat przeszedł przez portal czasowy otwierający się w kręgu wysłużonego żeliwa, wstąpił do kuchennego wehikułu czasu. Obracając kawałki kurczaka szczypcami, podczas gdy jego mruczenie, którego nawet nie zauważył, masowało mu rytmicznie szyję, przypomniał sobie Opal, jak stała nad przedpotopową kuchenką Hotpoint w ich mieszkaniu przy East Broad Street, w butach na wysokim obcasie i fartuchu Marimekko w duże koralowe maki, klnąc na Juliusa Pierwszego, wściekła o kolejną nieprzemyślaną decyzję, o jeszcze jedno ściulenie, przecież stoisko z gazetami i alkoholem było już zadłużone na dziesięć kawałków, a jakiś krewny Opal, kompletny truteń, namówił ojca Nata, by pożyczył mu, wbrew jej wyraźnemu zakazowi, trzysta pięćdziesiąt dolarów, których właściwie nie mieli. W dolnym skrzydle okna za piekarnikiem dwa małe elektryczne wentylatory cały czas w niewyszukany sposób parodiowały ojca Nata (antycypując też postawę syna), który kręcił się w kółko, zawsze z najlepszymi intencjami, całkiem nadaremno, jak ostatni ciul. Wreszcie, gdy kawałki kurczaka leżały już w eleganckim stosiku, a bułeczki stoczyły się do koszyka wyłożonego czystą ściereczką do naczyń, w korytarzu na tyłach domu rozlegał się stukot wysokich obcasów i Opal dopadała drewnianych schodów jak z *Popeye'a*, zbitych krzywymi gwoźdźmi z beczkowych klepek i przyśrubowanych do tylnej ściany ich szeregowca, otwierała gwałtownie drzwi i stała na podeście, wachlując się brązowymi dłońmi o wymanikiurowanych paznokciach, uwalniając spod chusty ciemne, gołębno miękkie włosy, i mówiła w tym swoim dzikim murzyńskim jidysz: „No co, *mechaje*, ej!”. To musiało być trzydzieści, prawie trzydzieści pięć lat temu; koneserski instynkt

Nata pragnął osłodzić to wspomnienie sączącym się z głośników świeżutkim Isaakiem Hayesem albo jakimś kawałkiem z pierwszej płyty Minnie Riperton, *Come to My Garden*. Za biedną, słodką Minnie dałaby się Opal pokroić.

W kwestii porządku w kuchni, jak i w wielu innych, Aviva była Opalopodobna, więc bez wątpienia dostanie szału, jak zobaczy, co tu nawyprawiał, „Wehikuł czasu to zaraz ci z dupy zrobię, Nat!”. Rano wykombinowała chłopakom jakieś średnio zaawansowane śniadanie, naleśniki, bekon, a jednak gdy Nat zebrał się z łóżka, brzemienny podstępny planem przekabacenia Garneta Singletary’ego na swoją stronę, i wszedł do cichej, lśniącej kuchni, wcześniejszą obecność jego żony zdradzał jedynie unoszący się w powietrzu korkowy zapaszek bekonu. Aviva, pierwsza biała kobieta, do której Nat poczuł miętę, i jedyna z jego dziewczyn, która dorastała do poziomu jego macochy i zyskała jej aprobatę. Aprobatę, którą Opal na krótko przed śmiercią zawarła w zwięzłej przemowie na użytek Nata, a którą właściwie mogłaby wygłosić sama Aviva: „Nie spierdol tego”.

Czterdzieści minut po tym, jak pierwsza porcja kurczaka zatonała w tłuszczu (kuchnia nie była ani odrobinę czystsza), zbrojny w szczypce Nat wciąż zajęty był pałkami z kurczaka, pomny, że Opal kategorycznie zakazywała przepelniać patelnię. Nim te małe, niezłomne czerwone fasolki wpędzone pospiesznie do kąpieli w smalcu zdołały rozluźnić się na tyle, by można je było przerzucić do żaroodpornego naczynia z ryżem, dochodziła dziesiąta czterdzieści. Trzeba się było zbierać. Króla, a częściej kogoś z jego świty, widywało się zazwyczaj przez okno Brokeland Records niosącego torebkę z McDonalda, czasem kanapkę z rybą z piekarni Your Black Muslim, w okolicach południa, najpóźniej o wpół do pierwszej. Nat musiał idealnie się wstrzelić w porę, kiedy facetowi zacznie doskwierać głód.

Jak pies w kreskówce, którego przednie łapy zamieniają się w rozmazaną turbinę, gdy rozrzucając ziemię na wszystkie strony, szuka kości, Nat przegrzebał szafki i przetrząsnął szuflady w poszukiwaniu nadających się do użytku półmisków i talerzy. Za nim piętrzyły się już góry osieroconych pokrywek i owdowiałych spodów, szczękających foremek do ciast i tart. Plastikowe

pojemniki, przedwieczne pamiątki przyjęć składkowych, tacki do lodu, zakrętki od termosów, tyle że bez termosów, foremki do lizaków, ale bez patyków, ruszty do brytfanny, bambusowe szpikulce, waga kuchenna! Nat zakładał, że trzeba będzie obsłużyć maksymalnie pięciu, sześciu satelitów, pieczeniarczy Singletary'ego, może nawet jego klientów. Miał nadzieję, że przynajmniej część z nich uzna jego argumenty za rozsądne, a pochlebstwa za przekonujące, oczywiście dzięki nieodpartej kuchennej retoryce Opal Starrett. Najpierw jednak musiał dotrzeć do samego Króla.

A do Garneta dało się dotrzeć. Choć urodził się i wychował w Oakland, jego pokręcone korzenie sięgały głębokiego Teksasu, serca Oklahomy. Nat zamierzał rozłożyć przed nim dania, które zapakował ostrożnie do pudełek, owinał w folię, ustawił w plastikowej skrzynce na mleko (jej zawartość, czyli nieposortowane i w większości całkiem niechodliwe winyle, w tym parę pozycji Jima Naborsa, szczerze zasiliła kuchenny bałagan), a następnie zataszczył to wszystko na dół, do bagażnika podstarzałego saaba 900, by przemówić do Singletary'ego językiem z otchłani czasu, niczym czarodziej do smoka w jednej z tych powieści, którymi zaczytywał się po nocach jego syn: w Prastarej Mowie.

– O ho, ho – powiedział sam Król Lansu, gdy otworzyły się drzwi z metalowej siatki i Nat wszedł tyłem do rzeczonyj firmy. Królestwem swym władał Singletary ze stołka za oszkloną ladą, warując w owej jaskini na kłębowisku złotych łańcuchów. Prócz skarbów pozamykanych w gablotach w całym sklepie nie było na czym oka zawiesić: podłoga z gładkich białych płytek, gołe ściany wyłożone płytą Masonite. Sam Singletary, jak zwykle bez grama lansu, bez najdrobniejszej nawet błyskotki, wypełniał sobą koszulę guayabera i chyba było mu bardzo gorąco w kultywowanych ze skrupulatnym historyzmem lokach à la Michael Jackson z czasów *Thrillera*. Na pasie przez ramię, jak u Bullitta, wisiała kabura z zarejestrowanym magnum czterdzieści cztery, którego (o czym właściciel niestrudzenie zapewniał ciekawskich) w służbie jego królewskiej mości nie raz i nie dwa użyto zgodnie z przeznaczeniem.

– Coś tak czułem. Jak tylko zobaczyłem te ulotki, co żeś je rozdawał.

– Coś podobnego – powiedział Nat z powątpiewaniem.

Jako bądź co bądź fachowiec Garnet Singletary umiał całkiem nieźle ocenić szlachetność ludzkiego kruszcu, chociaż Nat wiedział, że wśród publiki, tej kupującej i tej dającej w zastaw, Król lubił mówić rozmaite rzeczy, by wywoływać wrażenie, że jest jeszcze przenikliwszy, niż był w istocie. Z drugiej strony Nat nie aspirował do subtelnych rozgrywek politycznych ani też nie udawał nieprzeniknionego mistrza dzielnicowej dyplomacji. To były dość podstawowe manewry.

– Czyta pan w moich myślach – oświadczył.

Mrugnął do Ervisa Watsona, częściej nazywanego Airbusem, który zapewniał Królowi Lansu całkiem adekwatną obstawę, dwumetrową, stuczterdziestokilową pierwszą linię obrony w welurowym dresie, nieuzbrojoną, jeśli nie liczyć artyleryjskich ramion, nóg jak haubice, no i cielska, którego ogrom tak skutecznie blokował większość incydentów, że rzadko zachodziła potrzeba skorzystania z broni bocznej Singletary’ego. Sklep Króla Lansu zajmował przestrzeń o połowę mniejszą niż Brokeland, dzieląc z Federacją Pączków lokal należący niegdyś do włoskiego rzeźnika, tak więc kiedy w środku był Singletary, Airbus i towar wystawiony wzdłuż całej północnej ściany w dwóch długich i dwóch krótkich gablotach poziomych oraz w jednej pionowej, z trudem można się tam było obrócić.

Airbus nie zareagował na mrugnięcie Nata: prawdę powiedziawszy, jego twarz nawet nie drgnęła. Nat doskonale rozumiał, że mruganie jako próba zadziernięcia naskórkowej komitywy było standardowym gambitem zaniepokojonego białasa w obcym środowisku. A on nie był ani trochę zaniepokojony, w końcu dorastał w czarnej dzielnicy Richmond, gdzie miał czarną macochę, czarnych przyjaciół, czarnych wrogów, czarne kochanki, czarnych nauczycieli i idoli, którzy byli prawie wyłącznie czarni (z paroma żydowskimi wyjątkami). Ale miał też tak głęboki wstręt do białych facetów z czarną pozą, takich jak Moby, że z niemal chorobliwą skrupulatnością unikał w ruchach i mowie wszelkich sugestii, że chciałby uchodzić za chłopaka z sąsiedztwa. Uznał, że całe gadanie odwali za niego kurczak.

– Słuchajcie, przyniosłem wam coś na lancz – powiedział, stawiając skrzynkę po mleku na szklanej ladzie, za którą tronował

Singletary. – Pomyślałem: a, pewnie im się już znudziły te big maki.

Singletary zerknął z ukosa na skrzynkę, potem na Nata, analizując w myślach negatywne scenariusze, które mogą się ziścić, gdy Nat otworzy poukładane wewnątrz pojemniki: kanty, plany rabunkowe, jakiś ohydny humus czy inne gówno, które trzeba jeść z liścia. Potem jednak woń bijąca od jedzenia, bryza znad wybrzeża przeszłości, wkradła mu się do nozdrzy, całkiem dobrze przecież strzeżonych przez wąsy Billy’ego Dee Williamsa, i fantastyczny domysł rozpałił jego chłodną facjatę. Nat uniósł półmisek z kurczakiem i zastygł w bezruchu, chcąc do cna wykorzystać chwilę, a jego palce zawisły nad naczyniem, gotowe w każdej chwili odgiąć płachtę aluminiowej folii. Niech tylko Król Lansu da znak.

Singletary przyglądał się Natowi z osobliwą mieszaniną nadziei i obawy. Zerknął na Airbusa, jak gdyby nie był pewien, co zrobić z miękką jedenastką: rozdzielić karty czy podwoić stawkę. Potem skinął głową: dobieram. Nat zerwał folię.

– Ło w mordę – powiedział Airbus.

– Spodziewałem się, że może jeszcze być parę osób – mówił Nat, stawiając na ladzie pojemniki z fasolą, ryżem i jarmuzem, rozrywając foliowe zawiniątko z bułeczkami. Potem widelce, noże, tekturowe talerzyki. Otomankę hipsterskiego masła z jarmarku w San Rafael. – Że może się załapie paru klientów.

– Była Aisha, ale fotkę dzieciakowi robi w Hilltop Mall – wyjaśnił Singletary. Uśmiechnął się. – No i może wystraszyłem paru, co lubią marnować mój czas, i swój też, cały dzień mi tu zalegają. Te piguły, co je biorę na nadciśnienie, ponoć jestem po nich trochę nadpobudliwy. Tak przynajmniej słyszałem.

Airbus wyglądał na przygotowanego, ale odmówił komentarza na temat tej plotki.

– A z klientami – ciągnął Singletary – to nie wiem. Od rana biznes się słabo kręci.

– Chuj z klientami – odezwał się Airbus. – Będzie więcej dla mnie.

– I łapą jak hak chwycił talerz upakowany wszystkim po trochu.

– Mam nadzieję, że wystarczy – powiedział Nat.

Singletary kontemplował solidnie załadowany talerz, który właśnie dostał od Nata, ale wciąż odwlekał degustację. Nawet się nie odwróciwszy, sięgnął za siebie i spośród leżących tam papierzysek

wydobył jedną z niebieskich ulotek wystukanych przez Nata zeszłej nocy na sklepowym komputerze, a poodbijanych w Krishna Copy Center. Singletary uniósł do oczu zwykłe czarne półprawki, które nosił na cienkim gumowym rzemyku (kolejna odpuszczona okazja, by zaprezentować towar na sobie samym). Studiował lub też udawał, że studiuje tekst ułożony przez Nata w szale słusznej kontestacji.

- „COCHISE” – powiedział. – Czyli to dla pana Jonesa.
- Kolejny drobny hołd.
- Pogrzeb w sobotę?
- U nas w sklepie, o drugiej.
- „Chrońmy Oaklandzki Charakter przed Homogenizacją, Interesownością i Szkodami Ekologicznymi”.
- Jestem otwarty na propozycje.
- Może być.
- To miło.
- Homogenizacja?
- W sensie korpo. Sieciówki, franczyzy.
- Rozumiem. No tak, całkiem sprytne.
- A dziękuję.

Singletary odłożył kartkę, jak gdyby ważyła pięć kilo i jak gdyby, wbrew opinii sprzed paru chwil, wydrukowany na niej tekst nie robił na nim właściwie wrażenia. Półprawki, asekurowane gumowym rzemykiem, znów musiały walczyć o punkt oparcia na pochyłości jego kopulastego brzucha. Jego oczy przypominały stalowe szale wagi precyzyjnej.

– Ale powiedz no, czy ja dobrze rozumiem – rzekł. – Centrum handlowe Dogpile ma powstać na terenie niegdysiejszego marketu Golden State, przy Czterdziestej Pierwszej i Telegraph Avenue, z poparciem wielce szanowanych członków lokalnej społeczności, takich jak Pan Chan, i stoi za tym firma, która ciężko pracuje na to, by poprawić status ekonomiczny czarnoskórych mieszkańców i wzmocnić ich lokalny patriotyzm. I to wszystko miałoby twoim zdaniem mieć negatywne skutki.

– To się nazywa Thang – powiedział Airbus z ustami pełnymi fasoli i ryżu. – Coś bardziej jak pasaż handlowy.

– Pięć i pół tysiąca metrów kwadratowych – powiedział Nat. – Pięć pięter wysokości. Parking na dwóch poziomach. Zabudowa z każdej strony, do samego chodnika. Obok takiego molocha wszystko zmaleje.

– Nie obraż się, ale wiele rzeczy w tej okolicy nawet obok karła by zmalowało. Nie żebyśmy tu mieli na każdym kroku wille, pałace i te, jak im tam. Zabytki.

– Racja – odparł Nat. – Nie mamy też problemów z korkami ani z parkowaniem, ale będziemy mieli, jak walną tu ten cały Thang. Poprawienie statusu ekonomicznego społeczności lokalnej? Serio, Panie Król? Gibson Goode chce *sobie* zrobić dobrze. Przyszedłem tu z dwóch powodów, a jednym z nich jest to, że ze wszystkich ludzi na tej ulicy w promieniu trzech kilometrów, białych, czarnych, Azjatów czy Tadżyków, tylko pan prędzej niż ja przyzna otwarcie, że wkurwiają pana te brednie o poprawianiu statusu.

Singletary zważył zamierzony komplement na stalowych szalach.

– Pogromca bredni – powiedział wreszcie. – Cały ty, nie? A to wszystko – zafurkotał ulotką – nie ma nic wspólnego z faktem, że jak się ten Dogpile Thang zainstaluje dwie przecznice stąd, to obaj z Archym Stallingssem pójdziecie z torbami tak prędko, że nawet plajta ogłoszona na Gwiazdkę *rok temu* was nie uratuje?

– Jasne, że ma – przyznał Nat. – Powinienem był od tego zacząć. Ma pan rację. Chyba po prostu odechciało mi się już łązić w tę i z powrotem i powtarzać, że mamy przejebane. – Potarł podbródek. – No dobra, otwarte karty. Gadałem z jednym gościem z biura radnego Abreu.

Abreu był członkiem niezależnym Rady Miasta Oakland. Nat nie słyszał nigdy, by interesował się Brokeland Records czy w ogóle muzyką. Z historii jego głosowań wynikało, że Abreu nie powinien mieć filozoficznych, ekologicznych ani też żadnych innych wątpliwości do takiego projektu jak Dogpile. Lecz wieść niosła, że Abreu nie trawi Chana Flowersa, a ich scysje podczas sesji były dobrze udokumentowane.

– Powiedział – ciągnął Nat – że Abreu być może zechce się zjawić, pogadać z COCHISE i usłyszeć nasze argumenty. No chyba że...

– Chyba że – Singletary zerknął na ulotkę – koło wpół do pierwszej w sklepie będą same nadęte białyasy.

– Przydałoby się paru wpływowych ludzi o innym kolorze – powiedział Nat. – Oczywiście. Prominentnych lokalnych handlowców.

– Różnimy się z Chanem w zbyt wielu kwestiach. – Król Lansu ostrożnie dobierał słowa. – Niejedno już mówił o moim biznesie, czasem prosto w oczy, a czasem za moimi plecami, ale tak, żeby do mnie dotarło. Że sprzedaż złotych łańcuchów itede to jest rak, zaraza i w ogóle. Ale jeśli ta okolica ma serce i duszę, to widzę tylko jednego kandydata. Jest nim Pan Chan. A ty żeś powinien wiedzieć lepiej niż ktokolwiek inny, boś jest facet bystry, rozumny, masz kawał doświadczenia i ludzie cię szanują, że jeśli taki zimnokrwisty, podejrzliwy kutafon jak ja opowiada wszystkim, że te gadki o statusie ekonomicznym lokalnej społeczności to stek bredni, to jeszcze nie znaczy, że i tobie wolno.

– Znowu racja – powiedział Nat. – Punkt dla pana.

– A drugi powód?

– Ha, no, wiem, jak bardzo pan lubi jarmuż.

Singletary skinął głową i sięgnął po widelec. Wpakował do ust solidną porcję jarmużu i żuł, z początku refleksyjnie i, jak się zdawało, z nutką powątpiewania. Raptem zamknął powieki i wziął głęboki, przeciągły wdech, jak gdyby zrzucał z siebie ciężar wielu długich lat. Gdy znów otworzył oczy, były tak przepełnione uczuciem, że niejednen przydupas wygnany dopiero co z lokalu przez podły nastrój Króla byłby zaskoczony.

– O której mam być? – spytał Singletary.

Ten czy ów miał poważną minę, niektórzy się uśmiechali, inni byli nieco zaskoczeni, a jeszcze inni machnęli raz-dwa, niczym Dobra Wróżka Glinda, jednak każdy z zainteresowanych podał w końcu dane alfanumeryczne, by przekazać dalej podkładkę z klipsem oraz pamiątkowy długopis z parku rozrywki Children's Fairyland, zaczarowany różowym i fioletowym sreberkiem w różdżkę. Shoshana Zucker, niegdyś dyrektorka przedszkola Juliego, dziś z głową obwiązaną po chemii; Claude Rapf, urbanista, który

mieszkał na wzgórzu nad tunelem Caldecott, w domu o kształcie latającego spodka, gdzie urządził pewnego razu imprezę mającą upamiętnić odpakowanie nietkniętego, oryginalnego tłoczenia *In a Silent Way* (Columbia, 1969), które następnie skatalizował na wzmacniaczu analogowym za pięćdziesiąt tysięcy dolarów; chudzielec o rzadkich, prostych włosach i wąsach Fu Manchu, przedstawiony później, nie bez fanfary, jako Profesor Presto Digitato, iluzjonista, który uświetnił występem piąte urodziny Juliego; dwoje podstarzałych żyddystów, którzy otworzyli niedawno ośrodek medytacyjny pod nazwą Neshama, o przecznicy od dawnego Golden State (mężczyzna z niepohamowaną uważnością siorbał przez gumowy smoczek wodę z butelki, a kobieta melancholijnie przegrzebywała pałeczkami płachty cielistej yuby w pojemniku bento, jak gdyby ubolewała nad rzezią niewinnych soi, na którą skazywał je jej apetyt); Moby; ta cudaczna imitatorka Emmetta Kelly (a raczej *Królowej Kelly*) ze skye terrierem na kolanach, z mieszkania nad pralnią samoobsługową; Amre White, chrześniak Jima Jonesa, obecnie pastor przylegającej do Golden State misji pomocy społecznej, w którego płatkach uszu, skrzydełkach nosa i brzeżkach brwi zagnieździły się duchy wypędzonych kolczyków; arborystka Marge z Berkeley, którą Aviva przeprowadziła kiedyś przez dotkliwie późną aborcję; ten facet, który gadał jak Hawking, Hawkingiem jednak nie będąc; właścicielka nowofalowego sklepu dziewiarskiego, wyczarowująca właśnie z pierwotnego chaosu dzierganej torebki coś, co przypominało portki Eldridge'a Cleavera ze skarpetkowym suspensorium, choć mogło też być pulowerkiem dla oswojonego wiwerna; o dziwo, ten księgowy, którego złapano na defraudowaniu niewielkich sum z pieniędzy kilkorga klientów, w tym Brokeland Records, i którego wezwano (wskutek szajby, jakiej dostał wówczas Nat) przed sąd drobnych roszczeń; uznany ekspert od języków ąltajskich z Uniwersytetu Kalifornijskiego w Berkeley, który wyspecjalizował się także w kolekcjonowaniu siedmicalowych singli wydawanych przez niezależne wytwórnie soulowe w drugiej połowie lat sześćdziesiątych, a teraz na jego prawym ramieniu (choć nie było po temu ani krzty rozsądnego powodu) spoczywał dojrzały banan z domalowaną przez kogoś (najpewniej przez niego samego)

uśmiechniętą buźką; jeden z jedenastu psychoanalityków, z których usług Nat korzystał w ciągu ostatnich dziesięciu lat, niejaki doktor Milne, który przez cały czas wodził niespokojnym lekarskim okiem po wiszących na ścianie oprawionych okładkach płyt, po niedziałającej żelaznej fuksji wentylatora, którego drażek niknął w zacienionym wysokim suficie z blachy, porośłym z biegiem czasu futerkiem pajęczyn, po zasłonie z koralików, na której Julie wymalował Davisa, ale raczej Sammy'ego niż Milesa, po miniaturowym batalionie plastikowych Shrinersów w minismokingach i fezach, zgromadzonym na gzymsie boazerii w głębi sklepu, architektonicznej pozostałości jakiegoś pre-Spencerowego przedsiębiorstwa, które według niepotwierdzonych pogłosek stanowiło przez jakiś czas oaklandzką siedzibę Czarnej Ręki; trenerka psów Sandy, która od blisko dziesięciu lat lobbowała za tym, by na terenie dawnego marketu Golden State powstał park dla psów, i która nauczyła Jaspersa, należącego do rodziny Jaffe mieszańca sznaucera z beagle'em, pokonanego później przez raka, jak robić „zdechł pies”; S.S. Mirchandani, który stawił się tylko dlatego, że o tej porze zawsze był w okolicy, niczym wędrująca gwiazda w swym zagadkowym układzie moteli, kuzynów i sklepów z alkoholem. Na samym końcu podpis złożył (nie bez chrząkania, wiercenia się i takiej miny, jakby wolał najpierw skonsultować się z prawnikiem) siedzący na swym ulubionym stołku Król Lansu, przez co spełniony został, choć ledwo, ledwo, narzucony przez anonimowego doradcę radnego Roda P. Abreu wymóg rasowy; Airbus, choć niepotwierdzony różdżką, również był obecny, na samym końcu sklepu, doszywając tym samym drugą łątkę wiarygodności owej pstrokatej pelerynie poparcia, w którą Abreu, w swej nieustającej walce z Panem Chanem o wpływy w Radzie Miasta Oakland, mógł przekonująco spowić swą obecność i swe intencje.

– Drodzy, chciałbym zacząć od tego – powiedział Abreu – co moim zdaniem nie jest powodem naszej tu dzisiejszej obecności.

Rod Abreu, prawnik o znużonych barkach i policzkach jak budyń, niegdysiejszy radca prawny związku zawodowego elektryków, pachnący wodą po goleniu Bay Rum, był młodszy i bystrzejszy, niż wskazywałby jego wygląd, lepiej wykształcony, niż można by

wnosić z jego słów, a przy tym obdarzony parą dużych, wilgotnych i stroskanych oczu w kolorze rozwodnionej kawy, osadzonych w sinych wgłębieniach, jakby bandyckie kciuki życia odcisnęły tam tuszem grafikę. Jednak mimo smętnie zgarbionych ramion i zgnębionej facjaty miał zdecydowaną tendencję do niepohamowanej, zaraźliwej werwy, której esowate strumienie oblepiały wszystko, co mówił, jak beton tryskający na zbrojenia.

– Zapewne nie powinniśmy zbierać się tu dziś, o tej porze – powiedział wyzywająco – z myślą o tym, że uda nam się zatrzymać czas, a nawet go cofnąć, jeśli chodzi o Dogpile. Racja?

Czekając na sprzeciw, gotów z miejsca go odrzucić, zaprawiony w sądowych bojach Abreu uniósł podbródek. Na żaden sprzeciw się jednak nie zanosilo, chociaż kobieta ze skye terrierem wyglądała na zawiedzioną. Nat sam był zawiedziony, lecz uznawszy, że może to być retoryczny gambit w stylu „Brutus zacnym jest człowiekiem”¹⁹, rozsiadł się wygodniej, żeby posłuchać reszty. Zgodnie z planem podbródek radnego wrócił do swej poprzedniej pozycji.

– Mówić coś takiego, przyznacie, byłoby nie dość, że przedwczesne, to jeszcze niesprawiedliwe. Może nawet byłoby błędem. – Abreu zwykł występować przed ławą przysięgłych, komisją do spraw zatrudnienia, a więc przed ludźmi, którzy nie uważali się za prostaków, choć powinni. – Owszem, czytałem pierwotny projekt, miałem okazję przyjrzeć się mu wraz z moim zespołem i sądzę, że najlepiej pasuje do niego określenie „ambitny”. Jest to ambitny projekt, a pan Gibson Goode, ten wspaniały atleta, ten chodzący katalog sukcesów (nie żartuję), to, rozumiecie, ambitny gość, który zrobił niesamowity użytek ze swoich talentów i przewagi nad konkurencją, bo jest urodzonym liderem. Jeśli widzieliście go kiedyś na boisku, wiecie, że to autentyk. Koleś od wszystkiego. Jeśli narada przed akcją, to tylko z nim. Trzecia próba i długi dystans, bieg z piłką, zresztą sami wiecie lepiej ode mnie, bo ja, szczerze mówiąc, raczej baseball oglądam. Do boju, Athletics?

Tej niezobowiązującej opinii zawtórował rozproszony, lecz całkiem szczerzy entuzjazm, w końcu Oakland Athletics od pierwszego miejsca dzieliło zaledwie półtora punktu, lecz chwilę później przekorne zawiasy drzwi frontowych zadrwiły z takich sentymentów. Wszyscy się odwrócili, by ujrzeć sporego mężczyznę

wahającego się w progu, w poplamionej bluzie z Kapitanem EO, z której ściętych domowym sposobem, podkasanych rękawów wystawały dwa dalekosiężne, mocarne ramiona. Miał też na sobie oficjalne spodenki koszykarskie Team USA, noszone tego lata przez niesławną drużynę olimpijską. Do tego białe adidas, poorane bliznami jak konie bojowe, po słońcowemu pomarszczone. Facet był najwyraźniej speszony i dezorientowany, a także (co zauważył jego współnik) markotny, jak gdyby urzeczywistniło się właśnie jakieś ponure fatum wiszące jego zdaniem od dawna nad ich interesem: dajmy na to, masowy napływ obcych mu białasów. Pod pachą trzymał czarną kwadratową ramkę ze sklepu plastycznego Blick, podobną do tych, w które oprawiali okładki płyt. Nic nie mówił, tylko stał bez ruchu, spocony, dysząc przez nos.

– Mój współnik, proszę państwa, Archy Stallings – ogłosił Nat, świadomy, że zmienia się tonacja muzyki w jego głowie, jakby ktoś przerzucił bieg na niższy. Po raz pierwszy, odkąd zabrał się do projektowania ulotki powołującej do życia COCHISE, przyszło mu do głowy, być może nieco poniewczasie, że powinien być przynajmniej napomknąć o swych zamiarach, tak by miał o nich jakieś pojęcie również jego współnik, proszę państwa, Archy Stallings. Chociażby z tego powodu (Nat zrozumiał, chyba znów nieco poniewczasie, ile mogło być innych powodów), że pozwoliłoby to udaremnić katastrofalną gafę w zakresie stylu osobistego, na którą skazało Archy'ego uchybienie Nata. Czasem, zwłaszcza jeśli miał sporo zawalonej roboty, Archy'emu zdarzało się zajrzeć do sklepu po drodze z kortów w Mosswood Park, zanim poszedł do domu wziąć prysznic i się przebrać. Zawsze jednak robił to niechętnie, z zażenowaniem i gotowymi przeprosinami na użytek tego, kto akurat stał przy ladzie i musiał widzieć go tak syfiastym.

– Przepraszam – powiedział do wypełnionego po brzegi pomieszczenia, nim jego wzrok spoczął na współniku, czyli prawdopodobnej przyczynie jego odzieżowego *faux pas*; Archy zmarszczył czoło i nastroszył brwi. – Ja... tego. Hm. Nat...

– Archy, jest z nami pan radny Abreu – powiedział Nat, siłąc się, by zabrzmiało to tak, jakby tylko przypominał współnikowi o tym fakcie, nie zaś dopiero go o nim informował. – Był łaskaw znaleźć dziś nieco czasu, żeby zajrzeć i porozmawiać z nami, przedstawić

swój pogląd na tę całą sprawę z Dogpile. Oraz – dodał, nagle (choć obłudnie) olśniony – by usłyszeć, co my mamy do powiedzenia. Nasz sąsiad, a zarazem dobry przyjaciel, pan Singletary...

Garnet Singletary przycisnął palce do mostka, jak gdyby sprawdzał, czy nie przeszła go kula.

– Musimy walczyć! – zakrzyknęła kobieta z mieszkania nad pralnią samoobsługową, dziabiąc swego pupila w tyłek przy słowie „walczyć”, jak gdyby go zachęcała, by poparł ten wniosek. Pies się wstrzymał.

– TAK JEST, DO CHOLERY – zaintonował przez swój wokoder klon Stephena Hawkinga, odjeżdżając kawałek marsjańskim łożikiem, żeby przepuścić Archy’ego.

– Hm – powiedział cicho Archy. – Coś takiego? Walczyć. Okej.

Nat zobaczył, że przez szeroką, łagodną twarz przyjaciela przemyka coś na kształt prawdziwej udręki. Woląc przypisać ów bolesny widok wszystkiemu z wyjątkiem faktu, że w przypiływie hipomanii zgromadził (nie konsultując się z nikim, w samym środku „przejściowej” dzielnicy miasta, gdzie spora część mieszkańców była czarna, uboga i spragniona takich gestów ekonomicznych i potencjalnych powodów do dumy jak postawienie w ich okolicy Dogpile Thang, choćby miał to być pusty gest, przynoszący korzyść jedynie Naszym Umiłowanym Korpowałdom) pstrokatą zgraję europoidalnych cudaków, których najpewniej, powiedzmy sobie szczerze, łączyła tylko odruchowa gotowość, jeśli nie przymus, by oprotestować praktycznie wszystko, co nowe, zwłaszcza jeśli miało być duże, błyszczące i *wypaśne*; że po drodze zrobił (a co gorsza, zostawił) we własnej kuchni nieziemski bałagan, który, jak podszeptywało mu już pracujący na najwyższych obrotach mózg, był najpewniej metaforą, przepowiednią tego, jak cała sprawa się potoczy; broniąc się zatem przed uświadomieniem sobie tego wszystkiego, postanowił szukać przyczyny ewidentnej konsternacji Archy’ego w nowo nabytej ramce od Blicka. Archy oprawił w nią okładkę hołubionego egzemplarza *Redbonin*’, gdzie na dobrze oświetlonym zdjęciu autorstwa Pete’a Turnera chudy i prężny Cochise, z wydrukowaną na policzkach dramatyczną historią piegów, wyglądał znacznie groźniej niż kiedykolwiek za życia.

– Ja tylko wpadłem to powiesić – powiedział Archy.

– Elo, ziom, moje kondolencje – powiedział Moby, napuszczając na niego jakąś absurdalną czeredę żółwików, które Archy jakimś cudem zdołał odwzajemnić, klep w klep, ścisk w ścisk, plask w plask. Następnie, niczym walczące niedźwiedzie, zwarli się w śniętym klinclu. – Jak mi, kurwa, przykro, brachu. Pan Jones to była legenda, a w dodatku spoko kolo.

– Tak było – powiedział Archy, brnąc ku kontuarowi pośród tyłu wybałuszonych gał, że Natowi przyszedł na myśl Jezus wśród przekupniów w świątyni.

Archy dostrzegł na blacie resztki smażonego kurczaka, fasoli z ryżem, jarmużu i bułeczek. Zacisnął usta, jak gdyby na znak żyddystycznej obojętności wobec takich ziemskich (by nie powiedzieć: nieczystych) wyrobów. Wymienił z Królem Lansu uścisk dłoni o zenicznej prostocie, z lekko tylko zagiętymi palcami. Podszedł do wiszącej za ladą półki, odsunął stary zegar cyfrowy Seth Thomas, kiwaczka z głową Jamesa Browna i stertę rachunków z AT&T, które jeden ze wspólników powinien był już dawno przejrzeć z zakreślaczem w dłoni. Odgiął kartonową podpórkę z tyłu ramki i umieścił okładkę na półce, okoloną funeralną matową czernią. Cofnął się o krok, żeby ocenić efekt, i wydał z siebie głębokie westchnienie starego, sporego faceta. Potem obrócił się, by stawić czoła zdumiewająco pełnemu pomieszczeniu, i sięgnął po nóżkę kurczaka. Ugryzł, przeżuł i połknął bez widocznej przyjemności, z czego Nat wniósł, że jego wspólnik musi być naprawdę zły.

– Arch...

– Przyszedłem posłuchać – odparował ten. – I ty też słuchaj.

Mlask.

– Przepraszam, panie radny. Niech pan kontynuuje.

– W porządku – podchwycił Rod Abreu. – A więc, jak już wyjaśniłem dosłownie minutę temu, panie Stallings, w tej fazie gry wcale nie wydaje mi się, byśmy powinni myśleć w kategoriach walki. Jak już mówiłem... – Wyglądał na zakłopotanego. – Co ja właściwie mówiłem?

– Do boju, Athletics – odpowiedział doktor Milne.

– Właśnie. Futbol. Tak. Moi drodzy, nie ma wątpliwości, a jeśli tego nie wiecie, to uwierzcie mi na słowo, nie ma żadnych wątpliwości, że Gibson Goode zrobił dużo świetnych rzeczy dla lokalnej społeczności w L.A., a u nich tam wcześniej nie działało się za dobrze. I podziwiam to, chwala mu, moim zdaniem, tak jak chwala tym spośród moich koleżanek i kolegów z rady miasta, którzy widząc, co pan Goode osiągnął w L.A., mówią: O! czy nie byłoby świetnie, gdybyśmy spróbowali czegoś podobnego tu, w Oakland? A przecież Goode to swojak, prawda? Chłopak stąd. I co, nie byłoby super? Taki zastrzyk energii. Pewnie byłoby super. Brzmi super. Super wygląda na papierze. Ale jeśli coś w życiu zrozumiałem, a słuchajcie, też jestem stąd, urodzony w East Oakland, dokładnie w szpitalu Highland, no więc zrozumiałem jedną rzecz: w ciągu tych wszystkich lat przez to miasto przewinęła się masa olśniewających ludzi z masą superpomysłów, które wyglądały dobrze *na papierze*. Ale wiecie, z moją aparycją człowiek chciałby chociaż na papierze dobrze wyglądać.

Tym udało mu się ich rozbawić. Shoshana w chemochustce pokiwała głową, parę innych osób też. Abreu wywracał tymi smętnymi oczyskami, marrańskimi, bo *abreu* to przecież „hebrajski” (o czym Nat chętnie by Archy’ego poinformował) po portugalsku, a może po katalońsku.

– Gdy idzie o tak ambitny projekt jak ten, a ja wam mówię, moi drodzy, że ten jest bardzo ambitny, trzeba uważać. Bo gdy pojawia się taki charyzmatyczny koleś jak Gibson Goode, prawdziwa gwiazda, to ludzie zwykle, hm, ludzie się strasznie ekscytują, dają się wciągnąć, nie? A jak ludzie są podekscytowani, to ich ponosi, wszystko by chcieli na łapu-capu. I właśnie po to się dziś tu zebraлиśmy. Bo ktoś musi odrobinę dać na wstrzymanie, powiedzieć: chwila, moment, trochę wolniej. Dajmy sobie nieco czasu. O, z takim właśnie przesłaniem do was dzisiaj przychodzę.

Trochę wolniej: nie takie przesłanie, prawdę mówiąc, wyobrażał sobie Nat, gdy zaczął snuć swe gorączkowe plany, lecz w słowach Abreu węszył jakiś podstęp. Niemożliwe, żeby plan radnego sprowadzał się do działań retardacyjnych.

– I to samo przesłanie chciałbym przyjąć od was, by móc je przekazać moim koleżankom i kolegom z rady miasta.

S.S. Mirchandani nachylił się Archy'emu do ucha.

– Wiem z wiarygodnego źródła – powiedział złowieszczym i całkowicie nieudolnym szeptem, wskazując podbródkiem Abreu – że jak wylali siostrę Pana Chana z pracy w porcie w Oakland, to była jego sprawka.

Podobnie jak Archy, pogryzający właśnie beznamiętnie bułeczkę, od której poweselałby nawet Kłapouchy, Nat udał, że nie słyszy uwagi pana Mirchandaniego, zerknął za to ku prawdopodobnemu źródłu tej informacji. Singletary uniósł łukowatą brew i rozejrzawszy się po sali, ułożył usta w pełen zwątpienia, choć zachęcający uśmiech, tak jak można by się uśmiechnąć do kogoś, kto skonstruował w piwnicy plecak odrzutowy i właśnie zamierza uruchomić zapłon. Chyba nie robili na nim szczególnego wrażenia rzekomi członkowie założyciele COCHISE, rekrutujący się w większości, co Nat musiałyby przyznać, spośród odbiorców maila wysłanego w szajbowym pośpiechu do tych osób z jego osobistej książki adresowej, które miały ten sam kod pocztowy co Brokeland Records, a była to liczba dość skromna (Nat był korespondentem w najlepszym razie nieregularnym), obejmująca ludzi poznanych na przestrzeni kilku lat w najrozmaitszych okolicznościach.

– Chciałbym podziękować naszym gospodarzom, którzy obaj są filarami tej społeczności, za zorganizowanie dzisiejszego spotkania.

– Ha – powiedział Archy.

Słyszac to, Abreu obrócił się i przyłapał Nata na tym, jak obdarza właściciela lokalu skomplikowanym wzruszeniem ramion, wyginając jednocześnie usta asymetrycznie ku dołowi, która to mina miała oznaczać, że 1) owszem, Nat jest gotów przyznać, że sukces COCHISE jest mało prawdopodobny, a wśród twarzy zebranych przeważają niestety, przynajmniej jak dotąd, te białe; jednak owym konstatacjom towarzyszy 2) uprzejma sugestia, by Singletary nie wyciągał pochopnych wniosków, bo kto wie, co się jeszcze może wydarzyć, a także druga, jeszcze uprzejmiejsza sugestia, by 3) Singletary szedł w chuj. W takich to wyszukanych, wielopoziomowych wzruszeniach ramion ród Jaffe specjalizował się przynajmniej od czasów, gdy ich żywot w dolinie Wisły upływał pod znakiem wiecznej niepewności losu.

– Naprawdę – powiedział Abreu, w geście Nata całkiem błędnie upatrując skromności. – Przecież Brokeland Records to coś więcej niż sklep. To lokalna instytucja. Wiem, że przez te wszystkie lata wielu z was poświęciło temu miejscu dużo czasu i pieniędzy.

– Dużo więcej czasu niż pieniędzy – uściślił Archy, a Moby, który zostawił tu przez te wszystkie lata przynajmniej kilka patoli, lojalnie się zaśmiał.

– To jedno z tych niezależnych, egzotycznych, przyjaznych miejsc – ciągnął Abreu niepewnym głosem, jak gdyby wyczuwał, że w eterze między współnikami trzeszczy od polityki, podczas gdy spinozański smutek jego oczu zdawał się wzmaczać, a okalające je odciski kciuków jeszcze się pogłębiły – które nadają tej części miasta szczególny charakter. I właśnie nad tym szczególnym charakterem będziemy się musieli dokładnie zastanowić, przyglądając się rozwojowi planów Dogpile. Być może w grę wchodzi też kwestie wpływu na środowisko naturalne. Z tego, co wiem z rozmowy z, hm, z panią...

– Sandy – powiedziała niegdysiejsza iskierka w oczach nieszczęsnego Jaspera, obiekt jego euforycznych merdań. – Poinformowano mnie, że właśnie dlatego nie można tam zrobić parku dla psów. Na końcu posesji była kiedyś fabryka czy coś takiego. Podobno jest tam rtęć. Żeby kopać, trzeba by najpierw dokładnie oczyścić teren.

Kilka osób kiwało głowami, pomrukując, że też dotarły do nich pogłoski o jakichś problemach z tym terenem, lecz dla większości zebranych była to chyba nowość, a Nat z satysfakcją obserwował wywołane tą wieścią zaniepokojenie; w jego wyobraźni już się rozgałęziała, podążała siecią plotkarsko-blogerską, nabrzmiewając aż po *crescendo* oburzenia i przesadzając tym samym o ostatecznej klęsce Dogpile, które z chrzęstem i gruchotem zwali się na ziemię, wzniesając wielki tuman kurzu. Chciał zwrócić się do Archy'ego, który stał zirytowany obok, do Avivy, która w jego myślach wybiegała z wrzaskiem ze zdewastowanej kuchni w ich domu, także przecież zagrożonego awansami galerii Thang, do ducha Opal Starrett, która zwykła mawiać, nie bez czułości, że Nat nawet pustej szuflady nie umiałby zorganizować, chciał unieść ręce i zakrzyknąć: Da-dida-la-di-dop!

Nat już sobie gratulował i w myślach chwalił się wszem wobec, żywym i umarłym, nadzwyczajną zręcznością w posługiwaniu się bronią przodków, procą dawidową, gdy nagle ujrzał, że Singletary unosi się na krześle jak rażony wstrząsem elektrycznym, by z chłodną nieufnością skinąć komuś dostrzeżonemu przez frontowe okno, gdzie wzrok Nata nie sięgał.

– Tak więc ci od Dogpile będą po drodze musieli udzielić paru odpowiedzi. No i oczywiście, i na tym chciałbym skończyć, rada miasta i Komisja Planowania Przestrzennego spodziewa się waszych sugestii i komentarzy, naprawdę liczymy na was...

I wtedy do sklepu wszedł Pan Chan, w swym kapeluszu jak z filmów Sergia Leone i w pogrzebowym garniturze, stawiając dobrze odmierzone kroki; wzrok miał żywy i bystry, koguci. Zatrzymał się w progu, a za jego plecami przywarowało dwóch siostrzeńców.

– O mój Boże – powiedział. – Przepraszam. Nie zdawałem sobie sprawy.

Podniósł dłoń do ust, jakby zakłopotany, oniemiały na widok tych wszystkich ludzi, od których ni stąd, ni zowąd zaroilo się w środku dnia w jego ulubionym sklepie. Lokal był niemal pełen, co chyba nie przydarzyło się jeszcze nigdy, nawet za czasów zakładu fryzjerskiego U Spencera. W myślach Nata na ułamek kineskopowego mgnienia scenę w Brokeland Records przesłoniło popołudnie sprzed czterdziestu lat, gdy mężczyźni i chłopcy, być może także Chan Flowers i Luther Stallings, rozpychali się wokół przenośnego czarno-białego telewizora, bo każdy chciał z bliska zobaczyć walkę Cassiusa Claya z Sonnym „Big Bearem” Listonem. Gdybyż tamci ludzie mogli tu być dzisiaj zamiast obecnych, marzył żarliwie Nat, gdy jeszcze tyle mieli przed sobą lat twórczego fermentu i nowatorstwa, tak w muzyce, jak i w rzeczywistości czarnej Ameryki. Rozbuchane nadzieje, których nikt jeszcze nie zdążył zaprzedać.

No i patrzcie go, szczwanego skurwysynka, jaki niby zdumiony. Nawet zaskoczenie skręconym przez Nata i skądinąd całkiem przyzwoitym tłumkiem było niezbyt przekonujące, a co dopiero ta konsternacja. Że niby Chan akurat był w okolicy, zupełnie przypadkiem natknął się na spotkanie komitetu organizacyjnego

COCHISE, o mój Boże, przepraszam, że nachodzę, to może ja przyjdę później.

Flowers dokonał błyskawicznego, acz uważnego przeglądu obecnych tu zasobów ludzkich i jego wzrok zatrzymał się na Królu Lansu.

– Pan Singletary – powiedział z chłodną czułością. – Proszę, proszę. Znakomita osobistość.

– Mhmmm – odparł Singletary.

Delektując się sytuacją, nagle całkiem kontent, że się tu znajduje, Król Lansu odchylił się na stołku. Na jego usta wypłynął niespieszny uśmiech, a Pan Chan go odwzajemnił.

– Tyle tu nowych dla mnie twarzy – oświadczył Flowers, jak gdyby odpowiedzialność za tę niewiedzę leżała całkowicie po jego stronie. – O, Elisheva, dobrze pamiętam?

– Tak, dzień dobry – powiedziała rabinka z Neshamy, machając trzema palcami jak przy skautowskim pozdrowieniu.

– Szykuje się już pani do Dni Trwogi?

– To rzeczywiście niedługo – odparła Elisheva.

– No tak! Rosz Haszana! – W ustach Flowersa nazwa święta zabrzmiała Natowi jak coś znacznie podnioślejszego, „rorsz haszanaaa”, jakaś klingońska heca, rytualne walki i wycie do księżyca. – I kto jeszcze? Och, bardzo cię, bracie, przepraszam.

Hawkingopodobny gość pociągnął za drążek i odjechał kawałek wózkiem, żeby zrobić miejsce, przez co Abreu musiał dać krok do tyłu i tym samym znalazł się po raz pierwszy na linii wzroku Chana Flowersa. Do tej pory zasłaniał go naklejony na piankę certyfikat, informujący przybyłych, że w 2003 roku czytelnicy „East Bay Express” uznali Brokeland Records za najlepszy sklep z używanymi płytami w całym East Bay, do którego to wniosku w ciągu ostatniego dziesięciolecia doszli siedem razy. Tym razem Chandler Bankwell Flowers III naprawdę osłupiał.

– Pan radny Abreu – powiedział. – I faktycznie niezależny.

– Świetnie się składa – oznajmił Abreu z mozolną rześkością, tak przydatną w jego pracy. – Właśnie miałem się upewnić, czy ci dobrzy ludzie nie mają jakichś pytań. A pan przecież o tyle lepiej się w tym projekcie orientuje. Moi drodzy, na pewno wszyscy wiecie – bo wiecie, prawda? – jakim orędownikiem Dogpile oraz pana

Goode'a stał się ostatnio pan radny, choć przez pewien czas żywił zastrzeżenia podobne do tych, które, jak wiem, nurtują wielu z nas tutaj zebranych. A zatem, panie Flowers, być może zechciałby pan, nie wiem, podzielić się z nami paroma informacjami, które udało się panu zdobyć, lub też decyzjami, które pan podjął, a które pomogły panu zmienić zdanie na temat tego projektu.

– Bardzo bym chciał – odrzekł Flowers. – Proszę mi wierzyć, że nic by mnie bardziej nie uszczęśliwiło. Niestety, dzisiaj za bardzo się spieszę. Wstąpiłem tu w drodze z jednego spotkania na kolejne. Dziś nie mam nawet czasu pogrzebać w pudle z nowymi nabytkami, zostawić kolejnych ciężko zarobionych pieniędzy w tamtej kasie, o.

W odpowiedzi buchnął śmiech znacznie sowitszy niż ten, który z tej samej publiczności udało się wycisnąć radnemu Abreu, publiczność z Berkeley i Oakland bowiem nie była łatwa – w wyniku przegrzania się dwudziestu paru oburzonych głów jej poczucie humoru spadło jak liczba plemników u faceta w za ciasnych gatkach. Nat widział, że Pan Chan jest w formie i że gotów jeszcze palnąć mówkę. Ba, może nawet właśnie po to się tu zjawił. By wygłosić przemowę adresowaną do trzonu klienteli Nata: okolicznych kwękaczy, purystów, tych rozkochanych w szczegółach i tych zagorzale pielęgnujących swą szajbę. A jeszcze wszyscy byli w jednym pomieszczeniu, gotowi pójść w surowe, acz wyrozumiałe objęcia Flowersa. Nat sam mu ich dostarczył, i to za jednym zamachem, jak dzielny krawczyk te swoje muchy. Z pozdrowieniami od Nathaniela Jaffego, któremu na grobie niech wyryją: „To naprawdę wyglądało na dobry pomysł”.

– O, panie Stallings, właśnie pana szukałem – powiedział Flowers.
– Jeśli ma pan chwilkę?

Wiec potoczył się dalej, doktora Milne'a interesowało jakieś kuriozum w oaklandzkich przepisach o zagospodarowaniu przestrzennym i nikt nie zwrócił uwagi na szczere, przyjazne pytanie Flowersa, a raczej nikt z wyjątkiem Nata, który spoglądał akurat na Archy'ego, gdy ten odparł nieufnie, niechętnie:

– Jasne, nie ma sprawy.

W gabinecie Chana Flowersa, gdzie panował chłodny półmrok, Archy opadł na uszaty, obity perkalem fotel, po babcinemu wielki i miękki, kremowy, w obsypany różyczkami wzór treliazu. Fotel wprost stworzony do tego, by w nim omdlewać, by zrzekać się godności w bezpiecznym, klimatyzowanym królestwie współczucia, podczas gdy władczy, beznamiętny Chan Flowers, przyczajony za swym biurkiem jak leśniczy w ambonie, pobierał cło śmierci. Archy czuł, jak na ramionach i czole stygną mu pajęczynki potu.

– Dziękuję, że znalazłeś chwilkę, synu – powiedział Flowers. – Nie wydawało mi się, żebyś był jakoś szczególnie zaangażowany w tamtą awanturę.

– Nie jakoś szczególnie – przyznał Archy.

Wciąż walczył z fotelem, nie chcąc ulec pokusie wpasowania swej sylwetki w jego żalobną konstrukcję. Już sama żaloba była jak fotel, szeroki, serdeczny, zdolny opleść człowieka swą miękkością, a potem pożreć, ewentualnie zostawić na później jak garść drobniaków. Archy łapał się na tym, że leży w fotelu niedbale, krzywo, nogi ma wyciągnięte, jedno gołe kolano założone na drugie i cały czas zakrywa dłonią usta, jak gdyby chciał zdławić ciętą odzywkę.

– Pomyślałem, że skoro nie jesteś zajęty – powiedział Flowers – moglibyśmy przegadać szczegóły pogrzebu i tak dalej. Bo wyniknęło parę kwestii. Drobnym drukiem, by tak rzec.

Archy skinął głową, wyczuwając w tej rozmowie, tej audiencji u radnego, jakąś fałszywą nutę. Bankwell i jeszcze jeden siostrzeniec, Feyd, warowali z obu stron drzwi do gabinetu niczym para psów Foo, jak na gust Archy'ego nieco zbyt złowieszczo. Nie było żadnych wątpliwości, że to obstawa Trumniarza. Gdy podczas pogrzebu sytuacja wymykała się spod kontroli, bywało, że któryś z nich wkraczał do akcji, by zaprowadzić porządek. Jeśli Chandler Flowers grzebał ofiarę morderstwa, której pozbyto się zgodnie z logiką odwetu, w związku z czym atmosfera, nabrzmiała krwawymi zaszłościami, robiła się ciężka, zdarzało się, że taki siostrzeniec musiał iść między żalobników uzbrojony. Również obecne miny Bankwella i Feyda, tonących w zbyt wielkich garniturach, mogły odzwierciedlać spokój chłodnej stali u boku. Archy pamiętał Bankwella jako otyłego dwunastolatka z przymałym

łebkiem, który wywołał skandal w okolicy, gdy wyszło na jaw, że od swej otępiałej babci wyciągał po pięć dolarów od rozwiązanej książeczki z wykreślankami Penny Dell. Pomagał jej tylko zachować godność, jak twierdził, żeby książeczki mogły leżeć na widoku, a w nich starannie obwiedzione litery, wykreślone słowa. Dla Archy'ego zagadką było, czemu Flowers uznał, że obstawa jest nieodzownym czy nawet tylko pożądanym elementem ich schadzki. Wychylił się z fotela i ospałym, znudzonym wzrokiem wystosował do siostrzeńców zaproszenie, by się odpiardolili. Pozdrowił przy tym Feyda wysoko uniesionym podbródkiem, a tamten z równie oziębłą uprzejmością odpowiedział mu tym samym. Chodziły słuchy, że jest zajebistym, wręcz epickim breakdancerem, umie wszystko, southside, turfing, co tam chcesz: nikt mu nie podskoczy. Pewnie umiał się też bić, liznął trochę capoeiry, sprawiał wrażenie szczupłego, sprężystego *malandro*. Za to Bankwell niewątpliwie rozrósł się do ogromnych rozmiarów.

Archy wrócił myślami do Chana, z gotową odpowiedzią.

– A mam jakiś wybór? – spytał.

– Ależ oczywiście – odparł Flowers łagodnie, tak łagodnie, że Archy natychmiast pożałował swych słów.

Paranoja, żeby od razu sobie wyobrażać jakieś idiotyzmy, spluwy, fałszywe nuty. Tak niegrzecznie do człowieka, arogancko.

– Jeśli to nieodpowiednia pora – powiedział Flowers – to mogę przecież...

– Ee, nie – odpowiedział Archy. – Jaja se robię. Pogadajmy.

– W porządku.

– Miało być o panu Jonesie.

– Owszem. Jak już na pewno wiesz od Garneta Singletary'ego, pan Jones zadbał o wszystko, zarówno jeśli chodzi o sprawy finansowe, jak i o decyzje.

– O tym to wszyscy wiedzieli. – Wykonawcą testamentu okazał się Singletary, który zawsze kładł łapę na tym, czego nie zdążył tknąć Chandler Flowers. – Jezu, przecież on nawet przez jakiś czas nosił w portfelu złożony prospekt swojej trumny, czasem wyciągał i szczyrzył się do niego jak do rozkładówki albo, nie wiem, zdjęcia z Tahiti.

– Pan Jones, niech mu ziemia lekką będzie, niewątpliwie miewał swoje idiosynkrazje.

– Chciał, żeby go pochowali w tym azteckim wdzianku – powiedział Archy. – Tak mi się obilo o uszy.

– Ale co podłym, to już szczegół – włączył się Feyd.

– Uszył je niejaki Ron Postal z Beverly Hills – wyjaśnił Archy, chętnie korzystając z okazji, by zamiast pokładać się na fotelu i pyskować jak nastolatek, przybrać profesorski ton i nauczyć paru rzeczy tego koguciego chujka. – Niekwestionowany mistrz, jeśli chodzi o amerykańskie garnitury sportowe. To jest unikat. Powinien wisieć, kurwa, w Smithsonian.

– Gdy chodzi o strój trumienny, ludzie bywają bardzo drobiazgowi – oznajmił Flowers swym łagodnym, do perfekcji wyćwiczonym tonem. – Ale dziwne jest co innego, zresztą może „dziwne” to niewłaściwe słowo. Przeglądałem właśnie jego instrukcje, wiesz, sześć stron na maszynie, z pojedynczym odstępem. – Otworzył na biurku oliwkowy segregator z haczykami z białego metalu, taki do wieszania w szafie kartotekowej. Czubkiem środkowego palca, chłopięcych rozmiarów, zaczął odhaczać punkty z pierwszej spośród wpiętych tam stron. – A więc. Karawan. Ma być cadillac.

– Jakżeby inaczej – powiedział Archy.

– Jakżeby inaczej. Załatwimy. Trumna ma być otwarta...

– A jak on wygląda?

– Teraz? Spokojnie, godnie.

– Nie widać żadnych, hm, urazów?

– W tym sedno naszej sztuki, panie Stallings – upomniał go Flowers. – Naszego fachu. Niechże pan da spokój. Pan Jones życzył sobie tej chińskiej orkiestry marszowej z centrum, Green Street Mortuary Band. – Podniósł wzrok znad segregatora. – Coś wiadomo?

– Okazało się, że już mają angaż – odpowiedział Archy. – I na rano, i na południe.

– Czyli problem – ocenił Flowers.

– Niechże pan da spokój – odparł Archy. Zdążył już wymienić parę wiadomości z Kai, recepcjonistką Gwen, w sprawie zabukowania jej żeńskiego zespołu, Bomp and Circumstance, na pogrzebową paradę. Pan Jones trafił na nie kiedyś podczas festynu

ulicznego w Temescal. Grupka śmiertelnie poważnych, drobnych, ślicznych, wytatuowanych lesbiątek, dmących w dęciaki *Przyjacielem naszym Jezus*, zawsze mogła liczyć na uśmiech pana Jonesa. – W tym sedno mojej sztuki i fachu.

– Punkt dla ciebie.

– Dalej czekam na te parę spraw, co to wyniknęły – powiedział Archy. – Te, co wie pan... Drobny drukiem.

– Cóż – powiedział Flowers. – Jegomość ten, świeć Panie nad jego duszą, miał awersję, że tak to ujmę, do religii. Z pewnością wiedziałeś o tym.

– Tak. Ale to był myśliciel.

– Prawda. Jednak wyraźnie zaznaczył – powiedział Flowers, stukając w trzecią stronicę maszynopisu z oliwkowego segregatora – że nie życzy sobie kaznodziei, pastora, nic z tych kościelnych rzeczy. Nie chciał nawet, żeby ceremonia odbyła się tu, w domu pogrzebowym. Pewnie dlatego, że witraże, kapliczki z ławkami jak w kościele i tak dalej. Mamy tu Biblię, mamy śpiewniki. Ogólna atmosfera jest, nazwijmy rzecz po imieniu, uroczysta i nabożna. To znaczy, oczywiście, dbam o to, żeby to nie było nachalne, nie kłuło w oczy. Formalnie rzecz biorąc, jest to przedsiębiorstwo świeckie. Ale cóż, kiedy mówi się na to „kaplica pogrzebowa”, a pan Jones...

– Był ateistą z krwi i kości – dokończył Archy. – Pamiętam, jak mój staruszek mówił, że z pana Jonesa to był nawet kiedyś totalny *komunista*.

– Jak się miewa Luther? – spytał Flowers tonem znużonym, obojętnym i jeszcze łagodniejszym niż wcześniej. Pro forma. Lecz jedna wyłupiasta gałka myknęła w lewo, łapiąc wzrok Bankwella i mówiąc mu: „Teraz uważaj”.

– A bo ja wiem – odparł Archy.

– Nie widziałeś się z nim?

– Ostatni raz ze dwa lata temu. Co znowu zmalował?

– Nic nie zmalował – zachnął się Flowers. – Nic podobnego nie sugerowałem.

– Ale go pan szuka – powiedział Archy. – Takie mam nieodparte wrażenie.

– Może i tak.

– A skoro go pan szuka – stwierdził Archy – to znaczy, że coś zmalował.

W dolnych rejonach twarzy Flowersa rozchylił się uśmiech, cieniutki jak rana od kartki papieru. Archy wiedział, że Chan Flowers ma kosę z Lutherem Stallingsem, lecz natury tego prehistorycznego zatargu nie znał. Była to historia zakazana i niejasna. Jego ciotunie, póki żyły, rozpytywały, gdzie się dało, badały grunt; całymi latami zapuszczały się w głąb plotkarskich wyrobisk, rozgarniały popioły. Lecz nawet tym legendarnym koneserkom skandalu nie udało się znaleźć niczego, co w sposób definitywny wyjaśniałoby ów rozbrat; szeptano jedynie, jakoby obaj zamieszani byli w jakieś mityczne morderstwo z epoki Czarnych Panter. Archy wiedział, że jako chłopcy Chan i Luther byli nierozłączni, znani ze swych nieustannych konszachtów. A potem, gdy Archy miał cztery czy pięć lat, mniej więcej u progu kariery aktorskiej Luthera, porzucili tę przyjaźń jak dom, który stał teraz zamknięty na cztery spusty, zapieczętowany, wywłaszczony.

– Cokolwiek zmalował, zakładam, że to wszystko jego wina – oznajmił Archy. – Z góry mówię, żeby było jasne.

– Być może masz rację – odparł Flowers. – Może Luther faktycznie coś zmalował, a jeśli tak, to najpewniej, z przykrością stwierdzam, wina jest jego. Nie ma to jednak nic do rzeczy. Muszę po prostu się z nim zobaczyć. I po prostu z nim pogadać.

Ze ścian różnych mieszkań ojca zapamiętał Archy pewną fotografię. Połyskliwe czarno-białe zdjęcie, zrobione przez fotografa „Oakland Tribune” na potańcówce w technikum: Luther Stallings, Chan Flowers i dwie świetne babki z tej samej ery. Wszyscy odpicowani, uśmiechnięci, a przy tym nadzwyczaj jak na swój wiek dostojni, jak to nasi przodkowie na zdjęciach z młodości.

– Panie radny, gdybym ja wiedział, gdzie on się podziewa, tobym panu nie ściemniał – odparował Archy. – Ale nie wiem. Z własnej woli. I nie zamierzam się dowiadywać.

– Domyślam się też, że nie znasz nikogo, kto by wiedział, gdzie on mógłby być. Ani jednej duszyczki.

W słowach tych czaiła się być może delikatna połajanka: radny dawał mu zapewne do zrozumienia, że dla kogoś gdzieś mógł jeszcze być z Luthera Stallingsa pożytek.

– Nie. Nie, proszę pana. Nie znam.

– Hm, cóż, gdyby jednak coś się w tej kwestii zmieniło, na przykład twoja optyka... Powiedzmy, że któregoś dnia przyglądasz się okolicznym wodom i nagle wynurza się znajoma płetwa, bo stare rekinisko znów do nas zawitało. To wtedy po prostu, hm, daj mi znać. Coś mam dla niego. Coś, czego on bardzo potrzebuje.

– Taa? A co, fokę?

Senne spojrzenie Flowersa spoczęło na Archym, niczym nałożone dłonie. Ciężkie powieki uniosły się powoli, sceptycznie.

– A teraz serio – powiedział. – Gdybyś natknął się na niego albo któregoś z jego kumpli, koleżków. Kogoś z jego starej ekipy, kto jeszcze dycha, choć niewielu takich zostało. Po prostu daj znać. Taką na przykład Vallettę Moore gdybyś spotkał. Słyszałem, że jest w okolicy.

Spojrzał na Archy'ego, a ten poczuł się tak, jakby ktoś zaszedł jego duszę od tyłu, z latarką i łomem. Archy nie chciał oddać przewagi, z niczym się zdradzić. Może Flowers już wiedział o jego spotkaniu z Vallettą, a może tylko węszył. Archy nie umiałby powiedzieć, dlaczego właściwie postanowił siedzieć cicho.

– Załóżmy, że ona gdzieś ci się nawinie – ciągnął Flowers. – To wtedy od razu dzwoni do mnie na prywatny. Feyd, daj mu numer. Dobrze? Zrobisz to dla mnie?

Archy odparł:

– Pomyślę.

– Tak zrób – ciągnął Flowers. – A wtedy, kto wie, może szepnę w twojej sprawie słówko panu G Badowi.

– Coś takiego.

– Coś takiego nie jest całkiem wykluczone.

– „Relacje ze społecznością lokalną”, co?

– Wiem z dobrego źródła, że nowy sklep Dogpile będzie miał największą, najencyklopedyczniejszą sekcję z jazzem w całym kraju. Będzie też hip-hop. R&B. Blues. Gospel. Soul. Funk. I ktoś tym działem będzie musiał kierować, panie Stallings.

Archy miał wybór: mógł pozwolić, by słowa te faktycznie do niego dotarły, lub też natychmiast się otrząsnąć, nie dając im żadnej szansy, jak pies, któremu ktoś próbuje założyć kapelusz.

– Idź precz ode mnie, szatanie – powiedział, uśmiechając się.

Nikt się jednak nigdzie nie wybierał; gdzieś tam z tyłu parsknął Feyd, a może Bankwell.

– Twoja wola, oczywiście. Chociaż wiesz... dzieciak w drodze – ciągnął Flowers. – Chyba czas, żebyś zaczął konkretnie zarabiać. Przydałyby ci się te wszystkie świadczenia.

– Mógłby mi nawet zaoferować przejazdkę tym swoim sterowcem – odparł Archy. – Nie dam się kupić.

– Uwielbiam prorocтва facetów, którym zaraz urodzi się pierwsze dziecko – powiedział Flowers. – Są jak maciupkie płatki śniegu. A po chwili zza chmur wyłazi słońce i te radosne mrzonki topnieją aż miło.

– W takiej krainie jakby fantazji żyją – wytłumaczył Bankwell.

– Otóż to – podchwycił Flowers. – Tylko że zaraz trzeba zapłacić czynsz.

– Hm, no tak, jasne, więc ja chciałbym panu naprawdę bardzo serdecznie podziękować – powiedział Archy, podnosząc się wreszcie z fotela. – Bo dzięki panu nagle poukładałem sobie w głowie, co myślę o Brokeland Records. Doceniam.

– Dzięki mnie? – Teraz to Flowers przybrał podejrzliwy ton, nieufnie śledząc trajektorię myśli Archy’ego. – Jak to?

– No tak, bo dzięki panu zrozumiałem, że pogrzeb musimy urządzić u nas w sklepie. Odsunie się wszystkie skrzynie z płytami, bo wie pan, że są teraz na kółkach? Masa ludzi się zmieści. Jak na tych imprach, co żeśmy je tam kiedyś urządzali. – Choć nie było to łatwe dla kogoś w usyfionych spodenkach koszykarskich, w bluzie z Kapitanem EO i obciętymi rękawami, Archy, porządnie zanurkowawszy, wydobył na powierzchnię tyle godności, ile dało się wyszarpnąć z samego dna duszy. – Panie radny, coś mi pan uświadomił. Dzięki, naprawdę, ale my z panem Jonesem, Natem Jaffe i resztą mamy swój własny kościół. Świątynię. Pan też kiedyś, w sumie jeszcze całkiem niedawno, regularnie dawał na tacę. A chodzi mi konkretniej o Świątynię Winyłu.

– Świątynię Winyłu – powtórzył Flowers, jakby na wpół przekonany. Zaraz jednak potrząsnął głową i prychnął, dając wyraz rozbawieniu, a może pogardzie. – No pięknie.

Archy obrócił się na pięcie i wyszedł z gabinetu, nie zaszczyciwszy spojrzeniem ani strony Bankwella, ani strony Feyda,

bo wciąż cudnie brzęczał mu w uszach wymyślony przed chwilą zwrot.

– Gdybyś jednak dostrzegł tę rekinia płetwę – zawołał za nim Flowers – od razu dawaj znać.

El camino, rozległe jak otchłań, dudniące jak zły los, dotoczyło się do Zaułka Zaginionych Zabawek i zamarło przed domem. Dygot, charkot, głuchy huk: potem krępująca cisza. Późne popołudnie pod koniec sierpnia, gdy nieba nie ogranicza nic oprócz wzgórz i ściany nadciągającego mroku. Palma, platany, wszystko skąpane w cieniu. Bungalowy w kształcie australijskich kapeluszy, na samych szczytach rozpalone słonecznym blaskiem. Archy chłonał to wszystko z żarliwością człowieka straconego. Nie żeby sądził, że grozi mu bezpośrednio niebezpieczeństwo czy też że umiera śmiercią inną niż ta najpowolniejsza, najbardziej sztampowa. Przejrzysta słodycz późnej pory, a także światło, od którego aż kłuło go w piersi, były zaledwie efektami lekkiej paniki o podłożu tyleż etycznym, co praktycznym.

Gdy wysiadł z samochodu, poczuł na czole chłodną dłoń wieczoru, jak gdyby ktoś badał mu temperaturę. Archy stał na chodniku przed swoim domem. Silnik el camino wzdychał i pomrukiwał sam do siebie, układając się do snu. Jakiś smarkaty archeolog przekopywał czerwoną łopatką piaskownicę. Na pewno zaraz znajdzie prastary odłupek zabawkowej legendy, głowę od Steve’a Austina albo innego Oscara Goldmana. *Na sześć milionów sposobów obracałem gadkę*²⁰. Powie Gwen o Titusie. A potem paru innym osobom o paru innych rzeczach. Na podjęcie czekało ileś tam kluczowych decyzji. W ten sposób znajdzie się przynajmniej w punkcie wyjścia, a może, kto wie, nawet odrobinę dalej.

– Stop – powiedziała Gwen, lecz rozkaz, jak się okazało, dotyczył młodego pana Joynera, okupującego najniższy stopień frontowej werandy.

Z miny małżonki, która zjawiła się na chodniku i sapiąc pod ciężarem sporego zielonego marynarskiego worka, nacierała teraz

wprost na niego, wynikało raczej, że zamiast przystawać, Archy postąpiłby znacznie rozsądniej, gdyby natychmiast zrobił w tył zwrot i spierdalał na podziwiane przed chwilą wzgórze.

– Zabrałam go na zakupy do Trader Joe's. – Gwen upuściła worek na dzielący ich spłacheć ziemi; Archy'emu zadźwięczało to jak jakieś dwadzieścia pięć kilo dobytku i rzeczy osobistych. – Jest tu puszka chili z czarną fasolą i mrożone *taquitos*. Jajka, bekon, mieszanka do naleśników i syrop klonowy.

– Okej – powiedział. – Cokolwiek sobie... Okej. – Schylił się po worek.

Dwadzieścia pięć kilo. Rzeczy niezbędne Archy'emu Stallingsowi do tego, by wieść swobodny, spokojny, szczęśliwy żywot na tym świecie, musiały przecież ważyć przynajmniej dwieście, dwieście pięćdziesiąt.

– Kupiłam mu nowe skarpetki i majtki. – Jej ciałem wstrząsnął dreszcz. – Tych starych nie chciałbyś nawet sobie wyobrazić.

Spojrzał na Titusa, który siedział z głową w dłoniach, wpatrzony w swoje air jordany. Archy zobaczył w myślach nowe białe skarpetki na plastikowych klipsach, strzegących ich jak małe pastereczki swych owiec, i świeżutkie koszulki Fruit of the Loom w szeleszczących opakowaniach. Dopiero kiedy spojrzał na syna i wyobraził sobie te wszystkie majtasy i skarpety, poczuł prawdziwy wstyd. Ten chłopak nie miał na świecie nikogo, kto by zadbał o jego czystą bieliznę albo przynajmniej się tym od czasu do czasu zainteresował. Z jego ojca zaś był taki nieużytek, taki nicpoń, że Gwen, której nie łączyły z dzieciakiem żadne biologiczne więzy, poczuła się w obowiązku wkroczyć do akcji niczym Wuj Sam, gdy rozhula się jakieś państwo zbójckie i trzeba interweniować. Przejął kontrolę nad sytuacją.

– Hej – rzucił. – Hej, stary. Titus. Tak chcesz?

Chłopak nie spieszył się z odpowiedzią, choć w jego oczach nie mignęła nawet iskierka procesu myślowego. Potem wzruszył ramionami.

– No dobra – powiedział Archy. Poprawił pasek worka na ramieniu i spojrzał na Gwen. – Dziękuję.

Odwrócił się, czując kluczę w gardle; próbował zamaskować ją kaszlem, już właściwie kasłał, jak wcześniej *el camino*. Stary,

zrujnowany gruchot, zrujnowany zakład fryzjerski pełen starych, pogruchotanych płyt i dwukolorowa, dwumiasztowa ruina Brokelandu: oto inwentarz jego życia.

– A ty, przepraszam, *dokąd?*

Zawrócił, zrozumiał, że nie zrozumiał, lecz wciąż nie rozumiejąc do końca. Gwen zeszła do niego, zerwała mu worek z ramienia i tak objuczona ruszyła chwiejnym krokiem do swojego auta. Gdy wycofywała beemkę z podjazdu, worek jechał na przednim siedzeniu, na miejscu pasażera. Gwen opuściła szybę po stronie worka i odczekała, aż Archy, popatrując po oknach sąsiadów, gdzie tu i ówdzie majaczyła jakaś twarz, w paru susach znalazł się przy samochodzie.

– Powiem ci, jak to robić – wycedziła Gwen, a Archy widział, że mocno ścisną kierownicę. – To nic trudnego. Dam ci tylko jedną radę, bo tak naprawdę nie mamy o czym gadać.

– Okej – odparł Archy. Choć widział, że Gwen siedzi w swoim aucie, gotowa odjechać z dwudziestoma pięcioma kilogramami wolności, wciąż nie do końca rozumiał, że go zostawia. – Słucham.

– Przede wszystkim chcę się upewnić, że rozumiesz. Wyglądasz, jakbyś był skołowany. Jesteś skołowany?

– Tak, jestem trochę skołowany.

– Moja pacjentka właśnie zaczęła rodzić. Amy. Jadę się nią zająć. A potem spać, ale gdzie indziej. Nie wrócę. Nadążasz?

Archy pokiwał głową.

– Tamto dziecko na schodach to twój syn. Titus. Ledwo, bo ledwo, ale zmieści się na dmuchanym materacu w pokoju gościnnym. Ponoć potrafi mówić, ale jak dotąd nie mam na to zbyt wielu dowodów. *Taquitos*. *Bekon*. – Odliczyła te rzeczy na palcach. – Jasne?

– Jasne.

– Dobra. To teraz rada: trzeba ich zmuszać, żeby robili to, czego nie chcą robić, nawet jeśli masz w dupie, czy faktycznie to zrobią – powiedziała. – Cała reszta to już... no wiesz.

Archy dumiał nad tą radą, pokrętną jak wstęga Möbiusa, i nad eleganckim, znikającym już z pola widzenia tyłeczkiem auta Gwen, lecz jego mózg potrzebował jeszcze kilku nanopierdów, by pojąć, co się właśnie wydarzyło. Nieodpakowana bielizna, chili z czarną

fasolą w puszkach z Trader Joe's. To nie były pretensje wściekłej kobiety starającej się swoją gotowością do poświęceń zawstydzić go na tyle, by wreszcie zwrócił uwagę na własne dziecko. To były informacje, które faktycznie miały mu się przydać.

– Głodny jestem – powiedział chłopak, kiedy Archy ruszył z powrotem w stronę werandy.

Gdy matka Archy'ego i jej siostry zbierały się w kuchniach z jego dzieciństwa, żeby zaplatać włosy i wydawać opinie, na podorędziu zawsze były dwie ulubione obelgi. Pierwszym gromem, którym z lubością ciskały, po zeusowemu sięgając do wiadra stojącego w kącie gdzieś za ich plecami, było słowo „bezwstydny”. Archy często je słyszał. Migotało jakąś dwuznacznością. Bezwstydny, czyli tak leniwy, że nawet nie kryje się ze swymi postępkami. Choć może i taki, co nic nie ma do ukrycia, niczego nie musi się wstydzić.

Drugą błyskawicą miotaną przez siostry z niedostępnych wyżyn ich zgorzenia było słowo „bezczelny”. „Bezczelny” był gramatycznym kuzynem „bezwstydny” i oba terminy mały Archy rozumiał w kategoriach braku czegoś, który to brak był jednocześnie wolnością od czegoś. Lecz w wirze rozmowy tę drugą obelgę ciotki składały jak scyzoryk, w dwie sylaby, więc wychodziło z tego słowo „szczelny”. W wyobraźni Archy'ego „bezwstydni” opatulali się „szczelnie” w moralkę niewidkę, zwodząc tym samym wszystkowiedzące detektory, dzierżone przez ludzi porządných, umiejących się zachować, którą to grupę siostry uważały za bardzo niewielką, właściwie pokrywającą się dość dokładnie z ich kuchennym zgromadzeniem.

Archy, bezwstydny, szczelny, wemknął się do fury Waltera Bankwella, więc było jasne, że ma coś na sumieniu. Kiedyś byłby to zajeżdżony, acz umiłowany datsun B210 '81, siny jak nabrzmiałe jądra, w którym zamiast tylnych siedzeń, niczym w deLoreanie doktora Emmetta Browna, wmontowano kondensator strumienia: dwa głośniki Alpine zdolne poluzować śruby czasoprzestrzeni. Tego dnia jednak, o wpół do pierwszej po południu, przy sekretnym

zakręcie Trzydziestej Siódmej, miejscu schadzki, które Archy wybrał przez prastary nawyk ukradkowości, czekał świetnie utrzymany dodge omni GLH '86, z turbodoładowaniem po zbóju. Żółty jak znak ostrzegawczy, oklejony czarnymi pasami plastrów, z wydechem nastrojonym na barytonowy pomruk à la Gerry Mulligan. Na wypadek, gdyby Archy lub jakikolwiek inny mieszkaniec planety Sol III, nie połapał się, że kolor lakieru jest hołdem dla kombinezonu, który eksoaklandczyk Bruce Lee miał na sobie w ostatnim, nieukończonym arcydziele, czyli w *Grze śmierci*, Walter odziany był w klasyczny pszczelozółty dres Adidasa z szerokim, pionowym pszczeloczarnym lampasem, na nogach zaś miał obowiązkową parę trzmielowych tenisówek Onitsuka Tiger.

– Jezuniu – wybąkał Archy, tak boleśnie piękne było auto, do którego właśnie władował się z całym swoim cielskiem. Zmierzył starego kumpla uważnym, niespiesznym spojrzeniem pełnym ironicznego podziwu. – Uma Thurman! Szacunek.

Walter odłamał kawałek uśmiechu i upchnął w lewy polik, ewidentnie odkładając go na później. Wydawał się rozdrażniony, jak gdyby go niecznie wykorzystano, a przecież mógł robić tyle ciekawszych rzeczy, szukać lepszego wiatru w jakimś zacniejszym polu. W mailu wysłanym do Archy'ego z adresu w domenie Dogpile Walter nie ujawnił celu ani intencji, przykrywając je zdawkową, może nawet obraźliwą (choć przecież akuratną) aluzją do faktu, że Archy nie przepuściłby przecież darmowego posiłku.

– Uma Thurman. – Walter potrząsnął głową z politowaniem, wyraźnie Archym rozczarowany. – To nawet nie jest obelga.

Archy zastanowił się nad tym.

– Może i masz rację.

– Jak ją ugryzł ten komar, co nie? i się Uma wybudziła ze śpiączki? – Walter oparł dwa palce na kierownicy. – To potem już poszło raz-dwa. Raz, pobudka. Dwa, rozjebka! – Bankwell piał z zachwytu. – A jak tamtemu gościowi odgryzła język...

– To jest możliwe w ogóle?

– W sumie – ciągnął Walter, puszczając pytanie mimo uszu – to chciałbym być Umą Thurman. Na pewno bym się nie musiał bujać po temescalskim zadupiu z jakąś podróbą Mingusa. Beret, jazzbródka i, kurwa, Négritude.

Walter wrzucił w dodge'u bieg i prędko odbili od krawężnika. Silnik podgrywał niskie tony.

– Ale tak se na ciebie patrzę i mi się zdaje, że jak już ktoś cię zaprosił na szamę, to do wiatru nie wystawił.

Pod względem merytorycznym rozumowaniu temu niewiele można było zarzucić. Archy zdjął i złożył na kolanach marynarkę od lnianego garnituru w kolorze karmelowego brązu, z jednym guzikiem i klapami wąskimi jak ostrze noża, circa 1962; wymacał wajchę, żeby odchylić siedzenie do tyłu, na maksa do tyłu, skrzyżował nogi w butach z aligatora, rozmiar czterdzieści osiem, w kolorze cukru trzcinowego, zapinane na zamek; ustawił pod odpowiednim kątem autentyczny baskijski beret tego samego koloru i się zamknął. Przeczuwał, że ta wycieczka w nieznane może być konsekwencją wczorajszej rozmowy z Chanem Flowersem, lecz świadomość nie pozwalała tej idei wykiełkować. Gdy ruszali, obejrzał się przez tylną szybę, upewniając się, że z chodnika nie obserwuje go Nat.

Stary Kung-fu, patrzcie no. Tyle szamotaniny, tyle spierdolino przez te wszystkie lata w L.A., tyle drzwi zatrzaśniętych przed nosem, wszystko po to, by trzymać na dystans wujka, który za bardzo go kochał. A teraz Walter znów był w Oakland, robił dla piątego w rankingu najbogatszych Afroamerykanów, rozbijał się tą nienagannie odrestaurowaną furą, z głośników podpiętych pod fabrycznego kaseciaka ryczał Zapp (no, może jakaś solowa płyta Troutmana), i ogólnie, jak ująłby to Archy za ich cielecych lat, jechał po kontrabandzie.

– A tak właściwie – spytał Archy – to gdzie jedziemy?

Ale Walter milczał; bez słowa zjechał na autostradę stanową nr 24 w kierunku zachodnim, chwilę później gnali międzystanówką nr 880 i już tylko Hayward, San Jose i Los Angeles dzieliło ich od ponurego, podbiegunowego bezkresu, gdzie nie było ani jednej knajpy.

– Gdzieś koło lotniska? – zgadywał Archy. Wzdłuż odnowionego odcinka Hegenberger Road ostało się parę oldskulowych spelunek, poutykanych między świetlice związków zawodowych i znormalizowane burgerownie: ciemne, podwodne jaskinie w sam raz dla związkowych prawników, motocyklistów, bagażowych

i stewardes na krótkim dystansie, sumujących grzanki w dziennikach kalorii. Archy'ego w każdym razie ta perspektywa nieszczęśliwie ekscytowała, a raczej ekscytowała o tyle, że w każdej chwili ktoś mógł go poprowadzić (nawet najmniej obiecującą, obstawioną billboardami, równoległą do szosy drogą) ku półmiskowi nieznanym dotąd cudów.

– Ma być niby niespodzianka – odburknął Walter. Głos zawsze miał chrypliwy, ale coś mu jakby stanęło w gardle, jakaś piguła zwątpienia. Archy odtworzył sobie w myślach tamtego maila, pewien, że jego treść dawało się sparafrazować jako „Postawię ci lancz”. – Bo może jesteś za ślepy, za durny i zbyt nieogarnięty, żeby się samemu pofatygować.

– Ale to jakaś restauracja. Zgadłem?

– Niech to też będzie niespodzianka – odparł Walter. – Jeszcze przez jakiś czas.

Wyobrażenia zaczęła podsuwać Archy'emu najdziwsze obrazy: jakaś absurdalna knajpa przy farmie, coś w stylu „sam zaszlachtuj sobie prośka”, albo smażony w głębokim tłuszczu kopic termitów.

– Bo jak mnie wręczasz, to Bóg mi świadkiem...

– Weź, Żółwik, wyluzuj. Gwarantuję, bez lipy, że weźmie cię w obroty zajebisty kucharz. Okej?

Archy'ego, który w kwestiach kulinarnych był wszechstronnie otwarty, uspokoiła ta informacja, więc rozsiadł się wygodniej, pozwalając, by perspektywa tajemniczego lanczu (może al pastor skrawane z różną przez jakiegoś nieznanego geniusza tacowozów?) przegnała z jego głowy niepokojące myśli o chłopcu, za którego przez jakąś pętelkę w splocie życia nagle stał się odpowiedzialny. Przez tę kamienną twarz, sylwetkę i odcień skóry, jakby żywcem zdjęte z Luthera Stallingsa, na jego widok czuł Archy w sercu skubnięcie szczypczyków, boleśnie łapiących przeszłość razem z terażniejszością: ten ból przeskakiwał całe dziesięciolecia, do następnego pokolenia. Albo może jeden z tych koreańskich grill-barów, gdzie kelnerka rozkładała przed tobą na stole całą talię talerzyków i miseczek z kimchi, jakby miała ci powróżyć z papryczek i pikli, a potem przynieść ci własny grill, żebyś mógł usmażyć sobie żeberka wołowe, pokrojone cienko jak wędlina. Archy pozwolił, by na jakąś minutę ogień pod koreańskim rusztem

wypalił gorzką, dręczącą go nieustannie świadomość tego, jaki ból i zawód sprawił (i niewątpliwie będzie sprawiać dalej) ukochanej kobiecie swym szczelnym bezwstydem. Albo błyszcząca chromem ciężarówka, w której serwuje się kurczaka z goframi, gdzie losy Brokeland Records tudzież długiej, zawilej przyjaźni z Natem Jaffe można by utopić w kleistej wstędze syropu do naleśników rozlewającej się po kruchej kratce gofra, podczas gdy słodka, leciutko okopcona woń lepi się do chrupkiej drobiowej pałki. Wszystkie te problemy, śmierć pana Jonesa, czekające go wciąż ustalenia i przygotowania były zaledwie dymem, parą, którą wessał zaraz wentylatory huczące nad rzędem hunahńskich woków, rozbulgotanych garów z birrią i grillów, na których syczała cebulka do burgera „patty melt” albo „Joe’s Special”.

Naraz Archy zobaczył (równocześnie pojmując), na czym miała polegać niespodzianka. Huśtała się powoli i majestatycznie, przyczepiona odciążeniem do szczytu długiego stalowego masztu, który był z kolei zamocowany na naczepie tira ustawionego na rubieży oaklandzkiego lotniska, u skraju posępnych półdzikich bagnisk.

– Sterowiec – powiedział Archy. Obły kształt wypełnił sobą przednią szybę dodge’a, lśniący, czarny, z wielkim czerwonym odciskiem psiej łapy i biegnącym wzdłuż kadłuba napisem czerwoną pogrubioną egipcjanką. – Sterowiec Dogpile.

– Nie jakiś tam zwykły sterowiec. Zeppelin. – Zwykle chrypliwy, kojarzący się wręcz z Q-Tipem głos Waltera brzmiał teraz miękko, jakby ten czymś się dławiał. Archy gotów był pomyśleć, że Walter zwyczajnie ma pietra. – Twardy w środku.

– A, no tak.

– Sterowiec to taki dmuchany worek.

Dotoczyli się do punktu kontrolnego, który obsługiwał jakiś dziobaty gliniarz do wynajęcia. Walter wymienił tam prawo jazdy na długie, oschłe spojrzenie spode łba, by po chwili zrewanżować się takim samym, gdy już trzymał dokument w dłoni. Wjechali w strefę rzucanego przez zeppelin cienia i wysiedli, trzaskając drzwiami. Na długość wypełniłby odcinek między dwiema przecznicami Telegraph Avenue; był też chyba wyższy od szpitala Kaiser Permanente.

Archy stał, poprawiając beret, upewniając się, że poły koszuli są odpowiednio poutykane, i gładząc przód cynamonowej marynarki, i przyglądał się tej wielgachnej czarnej aluzji do iluś stuleci anatomicznych obaw białych facetów, czując, że próbuje ona, niczym melizmatyczny monolit u Kubricka, namieszać mu we łbie. Podpuszczało go to późnosierpniowe słońce, tak jak kiedyś Walter, żeby wymknąć się miotającym gromy ciotuniom, które zamieszkiwały jego duszę, wypełznąć z przeklętej pieczary Brokeland Records, zostawiając za sobą posępne widmo niekończących się nigdy śmietnikarskich wykopalisk i nieprzebranych skrzynek po umarlakach, gdzie kolejne dni układają się na poprzednich jak stos płyt na szpindlu, gdzie zamykasz kasę z kiepskim utargiem, a na koniec dnia wleciesz się do domu, targając pudło porysowanych, zapleśniałych skarbów tylko po to, żeby żona mogła ci palnąć kazanie, cytując z jakiegoś poradnika imperatyw moralny, nakazujący okroić swe życie do tego, co niezbędne. Zrzucić balast i poszybować w górę. Zaczynając, dajmy na to, od twojej kolekcji płyt, po prostu pozbądź się całej tej toksycznej sterty, niech sobie spadają jak stuosiemdziesięciogramowe frisbee, a ty w górę ulatuj. W błękitnej zasłonie nieba nad głową i leciutkim mokradlanym cuchu od Alamedy przyniesionym przez wietrzyk, który bawił się krawatem Archy'ego, majaczyła nadzieja na spełnienie niespełnionej nadziei, pogniecionej i obdartej, którą od zawsze nosił przy sobie, w portfelu swego życia.

– Lancz, kurwa – wyjaśnił Walter.

Oakland przypominało płaszcz uchodźcy z kolekcją rodzinnych klejnotów zaszytą pod podszewką i w sekretnych kieszeniach: nawet tu, na smrodliwym, nadgniłym, usyfionym skraju miasta można było znaleźć zrecznie ukryte cuda.

Gondola zeppelinowa okazała się opływowym wagonem restauracyjnym z jakiegoś czarnego polimeru o połyskliwości winylowej płyty, unoszącym się tuż nad ziemią niczym poduszka

rozleniwionego boga. Dwaj piloci w kapitańskich czapkach, starannie do tej roli wyselekcjonowani, zasalutowali nadchodzącym pasażerom przez frontowe okienka, by zaraz podjąć na chwilę tylko przerwane przygotowania do startu: w ruch poszły gałki i suwaki, palce śmigwały jak po wielkich stołach mikserkich. W pół drogi między przybyłymi a gondolą jakiś zorientowany wszerek mężczyzna o brązowej karnacji, w toczku i białym kitlu, zbrojny w mosiężne szczytce i pędzel, stał nad wózkiem grillowym i z pozbawionym kompromisów artyzmem obrabiał dwa tuziny sporych krewetek. Na przedniej ścianie grilla widniał dziko wysprejowany tag GŁODNY SAMOAŃCZYK²¹.

– Nie mów mi... – zaczął Archy, ale przerwał, gdyż nie był jeszcze gotowy w pełni zrozumieć ani przyjąć do wiadomości tego, co już wiedział, a mianowicie, że lancz zjedzą w powietrzu. Przyglądał się dymowi, który to splatał, to rozplatał nad pokrywą grilla swe gęste kędziory, zaczepiające o burtę sterowca.

– W środku jest hel – powiedział Walter, śledząc niespokojną trajektorię wzroku Archy’ego, choć sam, mimo chłodnego, rzeczowego tonu, wcale nie robił wrażenia spokojnego. Jakby i sobie dodawał otuchy. – Totalnie inertny szajs. Nie pali się, nie oddziałuje.

Wtedy w ścianie gondoli z sapnięciem otworzył się wąż, odsłaniając tajemny ładunek sterowca: bazaltowy monolit, a więc dokładnie to, co sprawia, że małopoludy zaczynają śnić o gwiazdach. Koszulka polo z czarnej dzianiny, glaca wypolerowana jak główka Oscara. Okulary w złotych oprawkach, na palcach złote pierścienie, do tego czarne levisy, mokasyny Timberland. Przystając u szczytu rozkładanych schodów, by dać fristajlowy popis złowrogości, ziomek wyglądał na słynnego golfistę, a przynajmniej na kogoś, kto dopiero co słynnego golfistę pożarł. Mechanika jego wypiętego torsu i odrzuconych do tyłu ramion miała w sobie rwaną płynność animacji poklatkowej: mógł być mitycznym czarnym olbrzymem od Harryhausena. Za nim szedł przystojny, wysoki i barczysty (choć przy koleśku z *Podróży Sindbada do Złotej Krainy* wyglądający na niższego) mężczyzna o herbacianej karnacji i smukłej, gibkiej sylwetce. Przystanął na najwyższym stopniu, lustrując swych gości, po czym w paru susach znalazł się na dole i już niespiesznie

krokiem podszedł do nich, wyskakując zza ochroniarza, swojego blokera, i kuśtykając leciutko, jak gdyby doskwierał mu ból w stawach albo jakiś stary uraz.

– Archy Stallings – rzekł Gibson Goode, a słowa te zabrzmiały jak sprytna puenta dowcipu, który go niedawno ubawił. – Dzięki, że wpadłeś.

– Jasne, dzięki, że pan mnie, hm, zaprosił. – Przy zaimku głos zawiódł Archy’ego, który tak bardzo nie był godzien. Walter przytknął palce do ust, tłumiąc śmiech, gdy Archy prześcigał się w próbach nieprześcigania się w pochlebstwach. – Gibson Goode! Jezu. – Archy już sam się z siebie śmiał. – O ja cię.

Tak właśnie można by zatytułować opis na odwrocie jego karty Topps. Metr dziewięćdziesiąt osiem, sto pięć kilo, Władca Wszechświata w roku 1999, gdy nikt w konferencji NFC nie mógł się z nim równać pod względem liczby przyłożeń, skuteczności podań i wydajności, kiedy w trzech spotkaniach zdobył dla swojej drużyny czterysta jardów. Sylwetka wciąż smukła, żylasta, z postury raczej center niż rozgrywający, najwięcej pary w nogach, do tego swobodny, niemal koński zmysł ruchu. Gibson Goode, znany również jako G Bad. Strzygł się tak króciutko, że głowa wyglądała jak równiutko przyprószona węglowym pyłem. Oczy, ukryte za ciemnozielonymi szklami w ciężkich szylkretowych oprawkach, mogły z chłodnym, niewidocznym z zewnątrz spokojem doglądać imperium.

– Czego się napijesz? – spytał.

– Nie piję... – odparł Archy i od razu zamilkł.

Zdawał sobie sprawę, jak to brzmi, i brzydził się za każdym razem, gdy okoliczności zmuszały go do wypowiedzenia tych słów. Wiadomo, że Goode nie będzie zachwycony perspektywą towarzystwa jakiegoś smętnego męczuchjka pod tak ponurym sztandarem.

– ...alkoholu – dokończył, tylko pogarszając sprawę, pedancik jebany, może jeszcze wymieni wszystkie napoje, które jest w stanie przyjmować. Podjął więc mizerną próbę naprawienia wizerunku, sugerując niegdysiejsze ekscesy: – ...od jakiegoś czasu. – I w końcu osunął się w szczegóły medyczne, których nikt nie chciał znać: – Kłopoty z żołądkiem.

– Jasne – powiedział Goode ze stosownie trzeźwą miną. – Też rzuciłem. To co, cola? San pellegrino? Mrożona herbata z cukrem?

– Zasmakuje panu moja mrożona herbata – powiedział z grobową powagą Głodny Samończyk. O dziwo, brzmiało to jak rozkaz.

– Joł, Ti – powiedział Goode do olbrzyma w timberlandach, swojego goryla, majordomusa.

Tamten bez słowa, posłuszny jak golem, wrócił do gondoli. Gdy Archy w ślad za Goode'em wkroczył do kabiny pojazdu błędnie nazywanego sterowcem Dogpile, olbrzym miał już dla Archy'ego i Goode'a po wysokiej szklance herbaty z passiflorą, a dla Waltera puszkę piwa Tecate z limonkową brewką.

Chłodna i przytulna gondola wyprofilowana była w ciągłą błyszczącą powierzchnię z czarnego plastiku zdobionego szczotkowanym aluminium i pokrytego łaciatą skórą wszędzie tam, gdzie istniało prawdopodobieństwo kontaktu z pośladkami. Na spektrum kryjówek plasowała się gdzieś między samotnią obłąkanego naukowca żadnego władzy nad światem a gniazdkiem rozimpresowanej latorośli rodu terroryzującego pomniejszy emirat. W wystroju wyczuwało się aluzje (które Archy pochwalał) do *Diabolik* i Lynchowskiej *Diuny*.

Goode został z tyłu, by Archy mógł swobodnie zachwycać się wnętrzem.

– Witamy na pokładzie „Minnie Riperton” – powiedział.

Walter zerknął ukradkiem na Archy'ego, który aż się gębął z wrażenia.

– Serio? – spytał Archy.

– Serio. – Goode miał już gotową odpowiedź: – Czarna. Piękna. I wchodzi w bardzo wysokie rejestry.

Sięgający nawet F nad wysokim C pięciooktawowy głos Minnie Riperton, zmarłej na raka w 1977, gdy miała zaledwie trzydzieści jeden lat, był w pamięci Archy'ego awatarem jego matki: miał w sobie coś z połowicznej tylko obecności i jakieś eteryczne ciepło. Minnie i Mauve nawet wyglądały podobnie: nos czerokeski, oczy duże, ciemnobrązowe, udęczone. Gdy znienacka przywołano to imię, serce Archy'ego aż podskoczyło i w tym całym pomieszaniu przez jedną nierzeczywistą chwilę był przekonany, że Goode nazwał zeppelin na cześć jego matki.

– Dziękuję – powiedział. – Bardzo miło z pana strony.

Goode spojrział na Waltera, a w każdym razie zdawał się przyglądać staremu kumplowi Archy'ego zza solidnej osłony okularów D&G.

– Mówiłem. – Walter wzruszył ramionami. – Trzeba gościa nakarmić.

– Bez śniadania? – spytał Goode.

– Nigdy – odparł Archy.

Trzymając się framugi, Goode wychylił się do połowy z włazu i zawołał kucharza, by dowiedzieć się, za ile lancz. Kucharz uniósł trzy grube palce i zaczął z didżejską zręcznością nakładać porcje. Dwie minuty i czterdzieści osiem sekund później Archy znalazł się przy plastikowym stole, wielkim, jakby miała tam zasiąść cała ekipa, krytym laminatem w cętki, gdzie pilnie potrzebowano jego ekspertyzy w sprawie talerza wypełnionego po brzegi tajsko-samoancko-kalifornijsko-gangsterską grillowaną krewetką na ryżu kokosowym, dobrze podlanym srirachą. Do tego był czarnooki groch w czosnkowym sosie hoisin. I nieco okry w tempurze, utopionej w słodkim, pikantnym occie.

– Że niby trochę soul food, trochę Azja, taki fusion? – powiedział Archy.

– To chyba twoja działka, co? – odparł Goode. – Soul-jazz. Soul-funk. Walter mówił, że lubisz te wszystkie myśluki. Walter... Noż kurwa mać.

Walter stał z zamkniętymi oczami, próbując utrzymać ciało w bezruchu, jak gdyby chodziło o talerz z wodą, tymczasem żwawy, znarowiony nagle sterowiec wierzgnął, wyrzucając grawitację z siodła, i uniósł się w niebo. Goode uśmiechnął się, kręcąc powoli głową.

– Chłopak całe życie rozcinał truposzy, przekazywał zgrai rymujących gangsta psycholi, że wytwórnia już ich nie chce, a boi się latać *balonem*.

– Eee – odpowiedział Walter.

Oakland prędko zniknęło spod ich stóp. Cały rejon Zatoki San Francisco strzepnął wymiętą kape, szaro-zieloną, wyszywaną obłądnymi solniskami, poprutą, poharataną i pozszywaną cudami inżynierii lądowej. Twin Peaks, Tamalpais i Mount Diablo,

wyłaniające się z za wzgórz. Archy już dobre kilkanaście razy leciał nad rodzinnym miastem, lecz jeszcze nigdy nie towarzyszyła temu tak zapierająca dech cisza, takie poczucie wolności, zerwania się z łańcucha. Samolot potrzebował siły napędowej, paliwa i sztuczek fizyki, by wzbić się w powietrze, ale „Minnie Riperton” wracała po prostu na swe prawowite miejsce. Niebo było jej domeną.

Gdy osiągnęli pułap trzystu metrów, Walter przełknął ślinę i otworzył oczy.

– Och, ludzkości! – wydusił.

Archy wstał, żeby powyglądać przez okna, poznać kapitanów, zerknąć przez pokładowy teleskop na odległą, spowitą we mgły anomalie, która okazała się wulkanem Lassen. Obejrzał sobie kilka polaroidów i innych fotek na tablicy korkowej przy składanym fotelu, w którym siedział T., goryl Goode’a, ukryty za ciemnymi okularami w złotych oprawkach i tłamszący tam, jak błyskotkę w pięści, swe nieodgadnione myśli. Na zdjęciach był G Bad pozujący w różnych nocnych sceneriach, na tle miejskich świateł albo rozjaśnionej fleszem ciemności, w towarzystwie znanych piosenkarzy i aktorów, czarnych i białych, dzierżących Złote Globy za reżyserię czy główne role w filmach zrealizowanych dla Dogpile albo Grammy za nagrane dla Dogpile płyty. Albo wmieszany w różne ekipy, choć może tak naprawdę była to jedna i ta sama ontogeneza, ukształtowana przez epokę, modę i kaprys Gibsona Goode’a. Ziomale w czapkach i sportowych bluzach, czasem uśmiechnięci, czasem bez wyrazu, ze szklankami albo butelkami w dłoniach, pokazywali gangsterskie znaki. Kobiety z całego globu, ze śmiałymi dekoltami cukierkowych strojów i z powiekami, które błyszcząły, jakby polakierował je Sixto Cantor. Gibson Goode na każdym zdjęciu wyglądał tak samo: okulary przeciwsłoneczne, zagadkowy półuśmiech, mistrzowski pierścień z Super Bowl. Właściwie równie dobrze mógł być powiększonym do autentycznych rozmiarów, naklejonym na piankę zdjęciem.

– A to moi ludkowie – powiedział Goode, wyciągając szpilkę z jednego ze zdjęć na tablicy korkowej. – Tu masz zeszyły tydzień.

Podał zdjęcie Archy’emu: wianuszek wyjątkowo niesfornych dam, wyglądających, jakby huragan rozrzucił je na kolanach kilku dżentelmenów, w tym Waltera Bankwella, który wyzierał z za

spoziomowanych ziomalek. Na jego twarzy malowała się najprawdziwsza panika.

- Pierwszy lot małego Walterka.
- Nie miałem pojęcia, że ma lęk wysokości – stwierdził Archy.
- Słyszałem, że kopę lat się znacie.
- Od Waltera pan to słyszał czy gdzie indziej?
- Może nawet z kilku różnych źródeł.

„Tak zrób. A wtedy, kto wie, może szepnę w twojej sprawie słówko panu G Badowi”. Widać Trumniarz się nie opierdalał. Naprawdę mu zależało, żeby skontaktować się z Lutherem Stallingssem, i to bardzo pilnie. A Archy na to: „Pomyślę”.

– To gdzie ta cała zgraja? – spytał Archy, wskazując podbródkiem tablicę. – W domu zostali?

– No, na imprezowy rejsik zawsze chętni, ale już te podróże z Long Beach nie bardzo. Tempo zbyt, hm, stateczne – odparł Goode. – Zresztą! Czasu na nich szkoda. Jak tu sami jesteśmy z Takim, to mogę trochę popracować.

Starał się pokazać Archy’emu, że wbrew tym wszystkim fotkom poważny z niego gość, co to samego siebie wysyła jak zastępcę na te bzdurne imprezy, a tymczasem jego prawdziwe ja może w spokoju snuć plany kolejnych podbojów: hiphopowy *Władca świata*, szybujący swym sterowcem jak Vincent Price.

Gdy wypłynęli nad monotony, niebieskoszary świat za Golden Gate, pilot zawrócił maszynę i znów dał kurs na Oakland. Z bocznych okien przyglądali się rodzinnemu miastu, które znów okrywało się swą skromną świetnością.

- Szpital Highland – wskazał palcem Goode. – Tam się urodziłem.
- Ja też – powiedział Archy.
- Jak miałem trzy latka, przeprowadziliśmy się do L.A., ale zawsze wracałem na lato, na Gwiazdkę. Kiedy tylko szkoła pozwalała. Mieszkałem u babci w Longfellow. Jej brat miał przez jakiś czas sklep z płytami. Na rogu Market Street i Czterdziestej Piątej, obok tej pralni samoobsługowej.

– House of Wax – podchwycił Archy, i było to nieomal pytanie. – Poważnie? Zachodziłem tam kiedyś. Pana dziadek to był taki, hm, tęgi facet?

– Wujek. W sumie dziadek wujeczny, wujek Reggie. Tęgi? Bardziej okrągły.

– Pamiętam go – powiedział Archy. I nagle, jak gdyby poluzował się haczyk, od lat zaczepiony o jakąś skrytą w głębinie wypustkę rafy, na powierzchnię pamięci wypłynęło pewne popołudnie. Jakiś chłopak, a raczej pospieszny szkic chłopaka, czytał komiks albo magazyn, długie stopy w nowiutkich adidasach top ten zaczepiwszy o nóżki metalowego stołka. – Pana może też.

Goode poklepał się po policzku, sprawdzając być może skuteczność porannego golenia albo bolący ząb.

– Lubił pan wtedy komiksy? – spytał Archy.

– Jeszcze jak.

– Pamiętam, że czytał pan komiks. – Archy chwycił żyłkę obiema rękami i wywlekł tamto popołudnie, ociekające wodą lat. – Chyba jakiegoś Marvela, ale...

– To był *Luke Cage* – powiedział Goode, nieco zbyt pewnie, wyrrywając piłkę Archy’emu jak spartaczone podanie.

– Ach tak?

– Tak, *Luke Cage. Power Man*. I wdaliśmy się w dyskusję, całkiem długą. – Tu Goode odwrócił się ku Walterowi, który uniósł wreszcie głowę i patrzył prosto przed siebie. Swojej porcji nawet nie tknął. – Tęgie rozkminy. – Twarz Goode’a wykrzywił uśmiech, ale z racji ciemnych okularów nie dało się ustalić, ile w nim ironii, a ile nostalgii.

– No cóż – zaczął Archy.

– Chujek zaczął mi serwować jakieś wymyślne interpretacje. Ukryte znaczenia. W *Luke’u Cage’u*, rozumisz? Że niby w komiksach Marvela odbija się system karny USA. I jeszcze koleś co chwila zahacza o jakieś poważne lektury. Ma jedenaście, może dwanaście lat i nasuwa mi o tym, co jakiś jebany Frantz Fanon sądzi o potencjale czarnych superbohaterów w strukturze władzy białego supermocarstwa, coś w ten deseń.

– Hm – odparł Walter bez przekonania; najwyraźniej wracało mu życie, oblekając się przy tym w irytację.

Zawartość ściemy w mówce Goode’a można było spokojnie ocenić na dziewięćdziesiąt do dziewięćdziesięciu siedmiu procent. W pamięci Archy’ego tamto popołudnie w House of Wax migotało

zaledwie jakąś nieskładną wymianą haseł, kojarzył tylko przygodne spotkanie z innym czarnym nerdem w nieoczekiwanej scenerii. Archy nawet dziś nie miał żadnej teorii na temat czarnoskórych superbohaterów, ledwo kojarzył, kim jest Frantz Fanon, i wyłączając niezwyciężonego T'Challę, Czarną Panterę (zwłaszcza kiedy o książce McGregora i Grahama było naprawdę głośno), nigdy się szczególnie nie zastanawiał nad kolorem skóry swoich ukochanych superbohaterów, spośród których większość, gdy się tak nad tym zastanowić, była biała. Świat, w którym żyły i działały te postaci, najwyraźniej nie był światem, w którym żył Archy, i było mu z tym, ogólnie rzecz biorąc, po drodze. Tego dawno minionego popołudnia w House of Wax nie snuto więc żadnych teorii, nie dawano też dowodów żadnej dogłębnej wiedzy. Goode mu schlebiał, być może dlatego, że taką miał naturę, a może po to, by sprawdzić, czy Archy jest na pochlebstwa łasy. Wszystko to jednak warte było tej iskielki zazdrości w oczach Waltera, gdy Goode obłudnie zachwalał zmysł krytyczny Archy'ego, lat jedenaście.

– Ma pan lepszą pamięć niż ja – stwierdził Archy ostrożnie, podejrzliwie i z neodpartym wrażeniem, że nie tylko robi boki Natowi Jaffe, delektując się w przestworzach ucztą z krewetek, pochlebstw i mnóstwa pikantnych sosów, ale że wpadł po uszy, że wmanewrują go tu w coś, czego nie chce robić, na co się nie zgadza, a przynajmniej czego nie rozumie, w jakieś niejasne machlojki Goode'a i Flowersa, które zaszkodzą Lutherowi, a może i innym. Z tego, co czytał o G Badzie, i z zapamiętanych migawek, kiedy to podczas ciężkiego natarcia facet przeprowadzał błyskawiczne, iście einsteinowskie analizy (nie mówiąc już o tym, że Archy właśnie gościł w kabinie jego prywatnego zeppelinu napędzanego płonącymi dolarami), można było wywnioskować, że Gibson Goode jest sprytniejszy od Archy'ego, i to na wielu poziomach. – Ale tak, pamiętam pana. I pańskiego wujka też.

Goode wstał i podszedł do pięknego półautomatycznego thorensa, który stał na niskiej plastikowej szafce, będącej częścią wyprofilowanej ściany. Na półce u dołu, pod gramofonem, stał rząd analogów w leniwych pozach chłopaków sterczących na ulicy. Obok albumów był druciany pojemnik z kilkudziesięcioma singlami. Goode przerzucił je szybko, wybrał jeden i jakimś

typowym dla tego modelu wihajstrem przestawił obroty na czterdzieści pięć.

– Jaka to melodia? – spytał.

Opadło ramię gramofonu i z maskownic głośników doleciał ich perkusyjny rytm, który zaraz się powtórzył, p-tam tam CZK!, cztery czwarte, stłumiona centrala, miks bardzo surowy, wszystko zarejestrowane z tą dbałością o szczegół, z jaką nagrywało się bębny w latach siedemdziesiątych, tak często później samplowane przez hiphopowców, że w jakiś sposób ponadczasowe, niezwiązane już z określoną epoką czy konkretnym stylem.

– Manzel – powiedział Archy. Wiedział, że się go sprawdza, uważał, że to w sumie idiotyzm, ale nie umiał się oprzeć wyzwaniu, nawet tak lichemu. – *Midnight Theme*. To wyszło w, jak im tam, Fraternity Records. W siedemdziesiątym piątym.

Singiel grał dalej, gęstniała faktura, mnożyły się warstwy. Nastrojowe pianinko, sztych syntezowanych smyczków z ARP. Rozwirowane pomruki hammonda B-3, przepuszczonego przez tellurium wzmacniacza Leslie. A na drugim kanale gitarowe dżyt-dżat i sparowane linie spacefunkowego minimooga, które wjeżdżały późno, żeby przejąć melodię i bas: dźwięk minimooga przekłuwał bańkę ponadczasowości, z wdziękiem przywracając kawałek połowie lat siedemdziesiątych.

– Brzmi nieźle – powiedział Archy. – Dobre tłoczenie.

– A wiesz, gdzie kupiłem? – spytał Goode.

– W sobotę po południu – ciągnął Goode. – Walter opowiedział mi o tobie i o tym waszym sklepie. Miałem tu tak czy inaczej coś do załatwienia, to myślę, hm, trzeba obczaić. Zaglądam do sklepu, akurat jest ten twój kolega. Nat, tak? I mówi, że już wyszedłeś, tego dnia już cię nie będzie, coś w tym stylu.

– Racja, musiałem się z kimś zobaczyć.

Archy starał się nie myśleć o ostatnim spotkaniu z panem Jonesem, przewijał sobie za to w głowie wszystkie rozmowy, które od soboty przeprowadził z Natem, a w których padły słowa „Gibson

Goode”, szukając choćby śladu wiedzy obciążonej winą czy tajemnicą.

– Ja pierdołę. Do sklepu zagląda Najbardziej Wartościowy Gracz NFL i magnat medialny w jednym, a ten skrytek, kurwa, ani słówkiem nie piśnie.

Archy uznał, że to mało prawdopodobne, by Nat mógł coś takiego przemilczeć, a co dopiero zapomnieć.

– Nie poznał mnie – wyjaśnił Goode. – Byłem zwykłym klientem. Tak między nami, to gostek średnio się palił do gadki. Cały czas siedział przy kasie i coś tam mamrotał pod nosem, mrucał, kurwa, jak Keith Jarrett, jakieś takie „nyyyy”. Tylko fortepianu nie było.

– Zdarzają mu się takie dni – powiedział Archy.

– Szczerze mówiąc... – odparł Goode – to znaczy, wiesz, fajny macie ten sklepik i w ogóle. Naprawdę fajny. Klimacik jak trza, wybór imponujący, zróżnicowany. I już w cholere z tym, że twój wspólnik się, jak by to powiedzieć, nie angażował. Tylko ruchu, kurwa, w biznesie nie było.

– Radzimy sobie.

– Naprawdę? Bo wiesz co, byłem tam dwadzieścia dwie minuty, z zegarkiem w rękę, i nikt inny nie zajrzał. Pustynia dosłownie. W sobotę po południu!

– No dobra, ale w sobotę była ładna pogoda. – Archy przypomniał sobie zapach nasłonecznionego wiciokrzewu, stukot fajki pana Jonesa o chodnik. – Ludziska pewnie...

– I tylko ten twój wspólnik za kasą, mruczy, jęczy, rany boskie. Czuję się jak jakiś jebany *Człowiek Omega*. Wszyscy poza mną zginęli, a ja jestem uwięziony, kurwa, z zombiakiem.

Po raz pierwszy, odkąd na horyzoncie zamajaczyła „Minnie Riperton”, Walter się rozchmurzył, a nawet czknał, jakby miał zamiar się zaśmiać. Teraz, gdy skręcili na północ, Archy odwrócił głowę i przyglądał się nadciągającemu Berkeley. Złość i wstyd szły w nim równolegle jak żyły w kablu, lecz tą mocniej obciążoną był wstyd. Archy nie chciał wysłuchiwać, jak G Bad albo ktokolwiek inny drze łacha z ich sklepu: obok pewnych dźwięków, które udawało mu się niekiedy dobyć z fender jazz basa, Archy zawsze uważał Brokeland za jedyną bezsprzecznie piękną rzecz, jaka mu się w życiu udała. Wiedział, że pod względem finansowym kręca się

z Natem wokół szpindla, kołując coraz węższą spiralą. A tu zjawia się człeno, którego stać (nawet w epoce upadających sieci sklepów muzycznych i nieskończonych cyfrowych bibliotek, które mieszczą się w kieszeni) na to, by otworzyć *wypaśny* sklep z używanymi winylami, pięć razy większy i z dziesięć razy szerszym asortymentem niż Brokeland, tylko po to, by okryć się chwałą i nieść dobro, bo sklep i tak splajtuje na wieki, mimo niewyczerpanych funduszy z medialnego imperium, licencjonowanego wizerunku i midasowego dotyku, gdy idzie o gettowe nieruchomości. I ten człeno ot tak sobie wpada do Brokeland Records w sobotnie popołudnie: król incognito przybywa, by docisnąć sandałem szyje pokonanych.

Archy wstydył się też na myśl o pragnieniu, które tliło się w nim jeszcze niespełna pół godziny temu, by raz na zawsze zrzucić z siebie brzemię ich sklepu. Przypominało mu się, jak poznał Nata Jaffe po tym weselnym angażu na ostatnią chwilę w Oakland Hills; Archy, świeżo powrócony z saudyjskich pustyń, dupę wsadził w honorowo zwolnione troki i włóczył się po ulicach Ameryki Busha Seniora, zagubiony, samotny, nie mogąc się dogadać ani z czarnymi, ani z białymi. Pamiętał, jak do piątej rano wysiadali z Natem na podłodze w salonie rodziny Jaffe, podczas gdy mały Julie spał, a Aviva mocowała się gdzieś z kolejnym nowo przybyłym na ten świat. Jaffe skręcał tłuste blanty, upakowane srebrzystym, nitkowatym afganem, który zawsze udawało mu się wtedy skombinować, a potem, siedząc ramię w ramię po turecku, z totalną faza, frunęli zauroczeni przez wszystkie koliste portale winylowej kolekcji Nata, koziółkując, niczym drużyna krasnoludzi chrononautów z *Bandytów czasu*, przez czarodziejskie tunele w podszewce rzeczywistości. Na Archym ogromne wrażenie robiła skala i szczegółowość wiedzy Nata, a przede wszystkim jego zapach (niezachwiany, drażniący, ekstatyczny, inspirujący), gdy chodziło o muzykę „w całym jej bogactwie”, od ragtime’ów z burdeli w Storyville po didżejskie potyczki na ulicznych imprezach w Południowym Bronksie; Archy dawno nie widział człowieka tak gotowego zdradzić się z entuzjazmem dla czegoś, czego nie dało się zabić, wyruchać albo zeżreć. Nat już wtedy marzył o tym, żeby

otworzyć własny sklep; do takiego przedsięwzięcia brakowało mu tylko kogoś, kto dołoży drugą połowę kasy, towaru i głupoty.

– Fakt, mój wspólnik jest męczący jak wrzód na dupie – powiedział Archy, przypominając sobie, jak się rwał, by dopełnić ową świętą trójcę niedoborów. – Ale jest też moim najlepszym przyjacielem.

Pod nimi przesuwano się Golden Gate Fields: Archy spoglądał na trybuny, w połowie zasiedlone przez przegrywów, i na konie mknące po absurdalnym owalu jak confetti na wietrze. Lecieli nad zboczami Richmond, gdzie kolosalne zbiorniki z ropą wyglądały jak używane gramofony, które ktoś poustawiał na półce w lombardzie. *Midnight Theme* dobiegło końca. Ramię, uwolniwszy się z pułapki u brzegów naklejki, udało się na zasłużony spoczynek.

– No dobrze – powiedział Goode. – Wiem, że wiesz, co planujemy w Temescal, i rozumiem, że radny już ci zasugerował, czego mógłbym sobie od ciebie w tej kwestii życzyć.

– Oferuje mi pan pracę – odparł Archy.

– Możesz tak na to spojrzeć. Ale możesz też inaczej: oferuję ci misję.

– Tak jest – dodał Walter.

– Powiedzmy, że buduję klasztor – powiedział Goode, wyraźnie się rozkręcając – w którym adepci będą ćwiczyć winylowe kung-fu. I chciałbym, żebyś został opatem. Aha, dobrze kombinujesz – dodał z zagadkowym półuśmiechem. – Wychodzi, że ja w tym układzie to Budda, ale nie idźmy z tą analogią za daleko, bo, teraz uważaj, będzie przewrotka. Ta funkcja, ta posada, którą chcę ci... Słuchaj, jest taka książka, Taku mnie nią zaraził. *Kantyczka dla Leibowitza*, znasz?

– Dobra książka.

– Czyli znasz. No to słuchaj. Pod wieloma względami świat czarnej muzyki przeszedł coś w rodzaju apokalipsy. Nadążasz? Rozejrzyj się po jej dzisiejszym krajobrazie: to jest krajobraz postapokaliptyczny. Jakies pomieszane odłamki. Odpryski, sample. Gangsterka, plemienne odruchy. Nie żebym miał coś do muzyki z ostatnich dwóch dekad. Sama w sobie jest świetna, uwielbiam ją po prostu. Uwielbiam! Życie bez Nasa, bez pierwszego Slum Village, bez, kurwa, *Miseducation of Lauryn Hill*? Nie wyobrażam sobie.

Nawet nie próbuję sobie wyobrazić. No i nie twierdę, że przez to całe samplowanie nic się nie dzieje nowego. Bo czarna muzyka z definicji zawsze jest *nowa*. A przy tym mamy ciągłość tradycji, nawet w najnowszym kawałku hiphopowym. Obśmiewanie, przechwałki. Nawet muzyka kościelna i blues, jak się dobrze wsłuchasz. Ale trzeba też spojrzeć prawdzie w oczy: dużo straciliśmy. Cholernie dużo. Duke Ellington, Sly Stone, Stevie Wonder, Curtis Mayfield, dziś ludzi tego kalibru nawet na horyzoncie nie widać. Chodzi mi o geniuszy, *kompozytorów*, czaisz? Takich jak Quincy Jones. Charles Stepney. Weldon, kurwa, *Irvine*. Wiesz, takich, co na swoich instrumentach potrafili wyczyniać cuda. Gitara, saks, bas, bębny, to kiedyś wszystko, do chuja, było nasze, nikt by nam nie podskoczył. A trąbka! Należała do nas, białas tylko wynajmował. A teraz zjawia się jakiś czarny dzieciak, ma zadatki na geniusza, powiedzmy, taki RZA, i co? I nawet na piszczałce, kurwa, nie umie zagrać. Jedno, co umie, to cytować. Jak ci dzisiejsi Indianie w Meksyku, taki chudzielec jeden z drugim, co tylko wpierdala fasolę i śpi z kozą na jakiejś skale, a ta skała to była kiedyś świątynia, w której umieli przewidzieć zaćmienie słońca. Wiesz, ja nikogo nie chcę obwiniać, nie wiem, dlaczego tak się dzieje, nie wnिकam. Jak to w życiu, pewnie jest kilkanaście różnych powodów, dla których całą cywilizację muzyczną nagle trafia szlag, czaisz, wielki pożar i te sprawy, jak to szło w tym Leibowitzu...?

Goode obejrzał się przez ramię na swojego goryla, Taku, który siedział pochłonięty lekturą mangowego magazynu „Shōnen Jump”.

– Potop płomieni – odparł tamten, nie podnosząc wzroku.

– Wytwórnice. MTV. Korporadio. Krak. Cięcia w edukacji: mniej lekcji muzyki, mniej szkolnych zespołów. Może wszystkie te rzeczy naraz, może żadna z nich. Bez różnicy. Bo mi chodzi o to, że żyjemy w epoce schyłku. Łazimy po gruzach. A ty te gruzy zbierasz, odkurzasz, mało tego, dbasz, żeby były czyściutkie i w ogóle cacy. I to ci się chwali. Serio. Ale ja chcę, żebyś mógł zrobić coś więcej niż tylko wieszać je na ścianie swojego muzeum i może raz na jakiś czas któryś sprzedać jakiemuś białemu dentyście czy innemu doradcy podatkowemu, żeby sobie zabrał do domu i tam powiesił na ścianie. Oferuję ci... a raczej mówię do ciebie, stary, chodź, zapodaj te rzeczy *dzieciakom*, chodź ze mną tam, gdzie nasza przyszłość

przepuszcza kasę. Naucz ich czegoś. Wytłumacz, skąd się wzięły te wszystkie odłamki i dlaczego to jest ważne. I może wtedy któryś z tych dzieciaków... może zjawi się taki, co się nauczy, zrozumie. I może zacznie to wszystko składać do kupy. Łapiesz?

– Hm – powiedział Archy. – Czyli mam być świętym Leibowitzem od Funku.

– Bardziej jak ten... Taku, jak on się nazywał? Ten z tej, no, *Fundacji*?

– Hari Seldon – odparł Taku.

– Właśnie, możesz być jak Hari Seldon – powiedział Goode. – Facio przechował wszystkie zdobycze nauki do czasu, aż odrodzi się cywilizacja, miał całą planetę, no...

– Terminus. – Archy był o ułamki sekund szybszy od goryla. Taku kiwnął głową, zachowując powagę.

– Planet of the Negroes – wtrącił się Walter. – Tak powinniście nazwać tę waszą kapełę. Gracie jeszcze, co nie? Ty i twój ziomal Nat?

– Jak się uda złapać fuchę, to gramy.

– Na czym on gra? Na fortepianie?

– Trochę na gitarze. Ale głównie fortepian.

– Jak Bill Evans.

– Odrobinę.

– Elton John, Barry Manilow.

– Lennie Tristano – podsunął Goode.

– Tristana to on akurat szanuje – powiedział Archy. – Śpiewał u Nata na urodzinach, czy na bar micwie, jakoś tak. Ale przede wszystkim, Walter, my już mamy nazwę. Wakanda Philharmonic. – Spojrzał wyzywająco na Goode'a: niech sięga do tych swoich reminiscencji, do chłopięcej nerdozy, tajemnej wiedzy o komiksach. – Zważywszy na dzieje naszej znajomości, na pewno pokumał pan aluzję.

– Niezła – powiedział Goode. – A skoro jesteśmy przy nazwach... Co byś powiedział na taką: Dział Tłustych Bitów imienia Cochise'a Jonesa?

– Fajne. Fajny hołd. Powinien pan tak zostawić.

– To przejdź do nas. I zostawię. Wiem, że mi nie wierzysz, ale ja tego nie robię dla kasy. Sklepy z płytami, takie stacjonarne, są na

wymarcu. I te duże, i te małe. Każdy głupi by to zauważył.

– A ja, w podzięce za te hojne dary, muszę tylko co? Wysupłać adres tatuśka? Zgadza się? Żeby Bank i Feyd mogli odwiedzić Luthera i wręczyć mu coś, czego bardzo potrzebuje.

– Szczegółów nie znam – oświadczył Goode. – I nawet nie chcę znać. Im mniej mam do czynienia z Lutherem Stallingsem, tym lepiej.

– Zna go pan?

Zza rozłożonych stron „Shōnen Jump” Taku wydał dźwięk, którego nie powstydziliby się nosorożec.

– Poznaliśmy się – powiedział G Bad. – Ziomek przyszedł się ze mną zobaczyć, no i muszę mu oddać sprawiedliwość, bo faktycznie pomógł mi z tym całym interesem z Golden State. Bez kitu. Ale to był wypadek przy pracy, efekt uboczny. Luther chciał tylko pomóc sobie, nikomu innemu.

– Więc jednak go pan zna.

– Powiem tak: koleś sam się wpakował w niezły gnój. Cokolwiek byś zrobił, już go nie pogrążysz.

– Panie Goode – powiedział Archy. – Naprawdę dziękuję za hojną ofertę, dziękuję, że zabrał mnie pan na przejażdżkę pańskim zeppelinem i nakarmił naprawdę przepyszными krewetkami. Ta nutka *mole* w marynacie? Jezuniu! Ale nawet gdybym, no, trzymał się swojej życiowej zasady i nie mieszał w to starego... to wie pan, ja już *mam* sklep z płytami. Cały sklep, tylko mój, to znaczy w połowie mój, ale to nie jest jakiś tam dział w outlecie czyjejs sieciówki, z kodami kreskowymi, oprogramowaniem do inwentaryzacji i pewnie jeszcze plakietką z imieniem. – Próbował wypatrzeć za okularami oczy Goode'a, żeby w stylu Nata Jaffe zasunąć mu przez te jego szkła polaryzacyjne promieniami gamma.

– Za rok o tej porze – powiedział Goode – już go nie będziesz miał. I dobrze o tym wiesz. Już teraz jednym skrzydłem szorujecie po wodzie. W West Covina mam trzy magazyny, w każdym asortyment większy i tak samo, kurwa, różnorodny jak to, co wy wystawiacie na sprzedaż, wychodzi ze trzy do pięciu dolców taniej na płycie, a do tego nowej muzyki od metra. Składaki, boksy, książki o muzyce, muzyczne DVD. Otworzę wam takie cudo cztery przecznice dalej, to się nie pozbieracie.

– Nie wątpię – odparł Archy, odwracając się od Goode’a, żeby wyjrzeć przez szeroki pas okien z przodu kabiny.

– Ech – ciągnął Goode. – Teraz już jesteś po prostu uparty. A upór w imię błędnych przekonań to zwykła próżność. I grzech.

– Moje życie dostarczyło mi na to wielu dowodów – przyznał Archy.

Gibson Goode stanął obok niego przy frontowej szybie. Kapitan zdążył już obrać kurs na północny wschód i teraz u ich stóp rozpościerały się puste, jałowe połacie, tu i ówdzie poorane srebrem.

– O, widać Port Chicago – powiedział Goode. – Znasz tę historię?

– Tak. Druga wojna światowa, wybuch na okręcie amunicyjnym. Zginęło od cholery czarnych marynarzy. Musieli robić za dokerów, bo segregacja. Mój dziadek tam był, ośleplł od tego, płuca poparzył. Jakiś rok później już go nie było.

– Wujek mojej matki całkiem ogłuchł – powiedział G Bad. – A tylko sobie stał z ćmikiem półtora kilometra dalej, na pirsie przeładunkowym.

– Ponoć to była tak naprawdę atomówka – włączył się Walter. – Tak słyszałem.

Archy też o tym słyszał. Bomba próbna, przed Hiroszimą, eksplodowała przedwcześnie, kiedy ładowali ją na statek, żeby zawieźć na któryś z atoli na Pacyfiku. Całą sprawę bez trudu zatuszowano, w końcu wszystkie ofiary były czarne, więc nie było mowy o żadnych roszczeniach i jedyne, co ci ludzie mogli zrobić, to pozostać trupami. Archy właściwie nie wierzył w całą historię, ale nie dawały mu spokoju te wszystkie przypadki raka piersi, od których tak się później zaroilo w hrabstwie Marin, również wśród kobiet z jego rodziny.

– Kula ognia na pięć kilometrów – ciągnął Goode. – Deszcz płonących murzyńskich ciał. I czym oni zawinili? Chcieli tylko jeszcze bardziej, jeszcze lepiej zasuwać, chociaż to nawet nie była ich wojna.

– To była ich wojna – powiedział Archy.

– Może. A Oakland to było ich miasto. Nasze.

– Ładny wykład z historii. Zaraz mi pan powie, że mam szansę się w niej zapisać jako dożywotni *el presidente* Działu imienia Cochise’a Jonesa w Oaklandzkim Dogpile Thang – zauważył Archy.

– I jeszcze zapunktować u swoich, bo się wypiąłem na ciemność, na Białego Pana, który kazał dziadziusiowi tak zasuwać z naręczem bomb, że aż bidula rozpieprzyło w kawałeczki.

– Może i chciałem tak zagrać – powiedział G Bad, trąc podbródek i wykrzywiając usta w uśmiešku. – Fakt, że już biegłem z piłką.

– Sprowadza mnie pan tu z moim starym kumplem. Zapuszcza mi pan oldskulowe bity na świetnym sprzęcie, no, może trochę za dużo basów, ale co tam. Odgrzewa mi pan wspomnienia: Luke Cage, House of Wax, te sprawy. Podtyka świetną szamę. Gra pan nie tylko na mojej nostalgii, ale i na moim żołądku. Bardzo skutecznie.

– Dobra, Żółwik, w cholerę z misją – wciął się znów Walter. – Ale pracę byś miał, pokumaj wreszcie. – Ławka, na której się usadowił, znajdowała się na samym środku gondoli, w jednakowej odległości od wszystkich niewidocznych z tego miejsca okien. – Bierz, nie bierz, ale coś zdecyduj, żeby to chujstwo mogło już wylądować.

– Miałbyś pracę – powiedział Goode. – A o ile dobrze rozumiem, należą się gratulacje, prawda? Dziecko w drodze? Z tego, co widzę, to wy tam w Brokeland Records tak się identyfikujecie z nazwą, że niedługo każda oferta pracy może być dla ciebie atrakcyjna. Ale wtedy będziesz mógł już tylko pomarzyć o takiej okazji jak ta, dzięki której, co próbowałem ci wytłumaczyć, mógłbyś nadać swojemu życiu jakąś wagę i sens. Żeby syn mógł być z ciebie dumny.

Syn. Goode miał na myśli tego wciąż nienarodzonego, który mógł się jeszcze okazać córką, i zachodziło spore prawdopodobieństwo, że będzie miał centralnie w dupie przejście zespołu Jamesa Browna z epoki Bernarda Oduma w erę Bootsy'ego Collinsa, lecz Archy natychmiast pomyślał o Titusie, z twarzą jak zamaskowany właz, przez którego judasze łąpała na niego i resztę świata jakaś obca, być może wroga istota. Archy'emu wystarczyło zerknąć na mapę własnych uczuć względem ojca, który go porzucił: synowska dumna była najodleglejszym, niedosiężnym królestwem, a droga do niego wiodła przez pustynie, morza i czapy lodowe. Praca. Dziecko. Synowie, córki, żony i kochanki. Czeki i listy płac.

– Jak daleko można tym dolecieć? – spytał nagle Archy, gdy szybowali nad bezmiarem pyłu i słonawego srebra, scenerią dramatu

siedmiuset czarnych, biorąc kurs na wulkan Lassen, na Jukon, na Księżyc.

– Że co? – spytał Goode.

– Jaki to ma zasięg skuteczny?

– Z pełnym zbiornikiem? Będzie z osiemset kilometrów. Znaczący, jak masz gaz i zaopatrzenie, to w ogóle nie musisz lądować.

– Brzmi nieźle – powiedział Archy. – Całkiem dobry plan.

III. Ptaszysko o szerokich horyzontach

O ile smutek bierze się z zaburzenia schematu, to ptak faktycznie przeżywał żalobę, szukał ukojenia w tupocie i stukocie dziecięcych bucików o drewnianą podłogę, w którą Rolando nasuwał, niczym Billy Cobham, podeszwami malutkich air jordanów, po której jeździł na plecach jak ludzki mop sunący ścieżką konika szachowego po opróżnionym salonie, a jego brązowe oczy cały czas z wielką frajdą wpatrywały się w czerwoną sterówkę i czarne, paciorkowe oko papugi, której to chowu, przeprowadzki czy nawet ostatecznej eksmisji nie dotyczyły żadne z rozporządzeń otrzymanych przez matkę Rolanda wraz z nakazem oczyszczenia lokalu od wykonawcy testamentu Cochise'a Jonesa, który to testament obejmował skromny majątek, uszczuplony przeszło sześćdziesięcioma latami ostrożnej nieroztropności, tak że gros stanowiły winyle, resztę zaś klasyczne garnitury sportowe (Aisha naliczyła ich dwadzieścia dwa), krwiożerczy hammond, syntezator Yamaha na iksowatym metalowym stojaku, meble nadające się jedynie na pchli targ przy stacji Ashby oraz antarktyczna architektura tak zwanej kartoteki pana Jonesa, czyli rozciągających się jak okiem sięgnąć wież, gór i hałd papierzyk, które Aisha załadowała jak leci do tekturowych pudełek Bankers – rachunki za gaz, rachunki od lekarza, przesyłki od związku zawodowego muzyków Local 6, zdjęcia ludzi, którzy nikogo Aishy nie przypominali, zdjęcie pana Jonesa przy kontuarze sklepu, w którym najbardziej lubił przesiadywać, mówiącego coś, co przyprawiało Archy'ego Stallingsa o ten jego wielki, niespieszny uśmiech, menu w kształcie zawieszek na kłamkę, wyciągi bankowe z połowy lat dziewięćdziesiątych, dokumenty medyczne i ubezpieczeniowe, żółknące, niedokończone dzieje potyczek pana Jonesa z szeregiem wytwórni i ich działów prawnych – by wreszcie z ciężkim sercem zwrócić się ku papudze imieniem Pięc Osiem, która nie odezwała się ani słowem w ciągu całego segregowania dobytku staruszka przez Aiszę, wydawała z siebie tylko gardłowy, muzykalny pomruk, który przypominał Aishy stare organy

Wurlitzera w jej kościele, ni to śpiewając, ni to grając instrumentalną wersję piosenki, którą słyszało się czasem w stacjach ze złotymi przebojami, *już za późno, kochanie, za późno już*²², przy czym papuga brzmiała jak podfunkowane organy kościelne, dobór repertuaru zaś był, zważywszy na okoliczności, niepokojąco trafny, choć po paru godzinach to niekończące się organowe solo zaczęło, powiedzmy, działać na ostatni nerw, jaki Aishy pozostał, które to włókno tkanki cielesnej służyło wśród znajomych i rodziny ze swej cienkości, a było już solidnie naciągnięte przez jej zADeHaDebistego synka, który leżał na dywaniku i wierzgał zADeHaDebistymi stópkami, oraz przez osobliwy trupi klimat, który psuł aurę domu, a na który składała się woń zniedołężnienia i zaniedbanych roślin w doniczkach, zegarowe tykanie kropli skapujących z nieszczelnego kranu do wanny, nawarstwione lata długów i poręczeń, stare analogi, żalobny zapach garniturów sportowych, Aisha miała już od tego dosłownie, kurwa, ciary, ale w końcu udało jej się wszystko opakować, poupychać i poopisywać, po czym, dla bezpieczeństwa na powrót zapiąwszy Rolanda w foteliku samochodowym, zrobiła pięć kursów na dół, zawsze z naręczem wszelkiego baracha na wygnaniu, by zostawić przy krawężniku dla potencjalnych amatorów, usiłując, gdy tak się pięła lub schodziła po frontowych schodach, zdecydować raz a dobrze o losie papugi, ponieważ z jej dotychczasowych analiz wynikało, że można ją było 1) sprzedać, 2) uśpić, 3) puścić wolno, by sama zadbała o swój los w środowisku naturalnym, lecz gdy Aisha po raz ostatni wróciła do domu Cochise'a Jonesa, postanowiwszy powierzyć tę kwestię wykonawcy testamentu w osobie jej ojca, to jest Garnetowi Singletary'emu, mimo oczywistego ryzyka, jakie wiązało się z zasięgnięciem jego opinii, a mianowicie, że wybierze opcję 4), czyli zatrzymanie żako dla siebie, a więc los, który plasowałby się gdzieś między opcją 1) a 2) z punktu widzenia ptaka, a co gorsza – z jej własnego, ponieważ cierpiała na ciężką odmianę ptakofobii, co więcej, była święcie przekonana, że w domu jej ojca i bez tego niezbyt pięknie pachnie, tak że dzięki, wróciła przeto do salonu, gdzie jej bobas siedział sobie spokojnie w foteliku, ssał butelkę i przyglądał się papudze, podczas gdy papuga, umilkłszy, kontemplowała bobasa, i Aishę olśniło, że jakaś część Rolanda, dzika, zwierzęca, cała

z nerwowych spojrzeń i odruchów, już w nim gaśnie i niedługo całkiem przeminie, więc do Aishy dotarło nagle, jak delikatne jest jej dziecko i do jakiego stopnia cały jej świat kręci się teraz wokół niego, zrozumiała, że tę wiecznie ulotną radość, którą od niego dostawała, jej dziecko odbije sobie kiedyś w jej rozpacz, a wtedy papuga namierzyła ją swym bystrym okiem, w którego wyrazie było coś takiego, jakaś aura życzliwej rezerwy, współczucia, przez grzeczność zachowanego dla siebie, co jeszcze bardziej wytrąciło Aishę z równowagi, więc choć nadszedł już czas, by zadzwonić do ojca i przekazać mu ptaszysko, czas powiedzieć bobaskowi: „No dobra, mój panie, spadunek”, Aisha przyglądała się tym dwóm zwierzątkom pochłoniętym jakąś wspólną chwilą i nagle poczuła, że gdzieś w jej duszy zwalnia się zapomniana już niemal blokada, i wtedy wreszcie przemówił żako, oświadczając wyraźnie, głosem Cochise’a Jonesa, że jest „za kwadrans trzecia w nocy, do jasnej cholery!”, i to właśnie wtedy (nie skracając zanadto opowieści) Aisha podeszła do okna sypialni i otworzyła je na piękne sierpniowe popołudnie, błękitne niebo, zielone drzewa i w ogóle wszystko, czego mogłaby sobie zażyczyć papuga, przy czym Aishy coś się skojarzyło, jakaś plotka o koloniach papug, choć może to były papużki, w każdym razie żyły dziko i fruwały nad San Francisco, więc wyobrażając sobie, że Pięć Osiem dołącza do zatokowych lokalsów z Trestle Glen czy Tilden Park, i trzymając się ze wszystkich sił tej radosnej myśli o wolnych, towarzyskich ptakach buszujących sobie w listowiu, Aisha zebrała w sobie całą odwagę i podeszła do ptaka bardzo blisko, tak blisko, że aż strach, na tyle blisko, by chwycić drążek, czując smrodek jej piór jak od świeżo wydrukowanej gazety, a potem zaniósła drążek wraz z papugą pod okno, obcesowo nakłaniając ją, by wybrała wolność, z której to propozycji żako nie omieszkał skorzystać; strosz piór, krok w bok i trzepot, łopot w ten letni dzień, bez słowa pożegnania, ptaszysko o szerokich horyzontach i nietuzinkowym talencie puszczone wolno nad Telegraph Avenue, chwyciwszy narządem węchu woń eukaliptusa, dało w lewo, a potem na północ przez Czterdziestą Trzecią, dwie przecznice w górę, przelatując nad Instytutem Sztuk Walki im. Bruce’a Lee, gdzie za wiodącymi na dach schodami, w sekretnym pomieszczeniu, w którym różni wygnańcy i uchodźcy

religijni, w tym, przez dziewięć nocy, nawet Żywy Budda z sycuańskich gór, zaznali już goryczy i bezpieczeństwa, Luther Stallings i Valletta Moore gotowali się do ucieczki, i choć żadne z nich nie grzeszyło czystością, oboje byli nieprzyzwoicie wręcz trzeźwi, a teraz pakowali wszystko, co pod ręką, w walizy i torby gimnastyczne, po czym Luther wysłał Vallettę na dół, na malutki, skryty za budynkiem parking, żeby załadowała te graty do samochodu i wreszcie, gdy zatrąbiła – nie tak się umawiali – zszedł na dół, ostrożny jak kocur, zabezpieczając, jak mówił, „klejnoty koronne”, choć Valletta nie miała pewności, czy ma na myśli swoje własne, czy też zawartość wypchanej aktówki i plastikowego pojemnika, które niósł pod pachą: projekty ilustracji i kampanii promocyjnej, notatki, treatmenty, szkice scenariuszy i inne materiały artystyczne, które w przypadku zgonu uprzedniego wobec rozpoczęcia produkcji można by pewnego dnia zgromadzić, jak to sobie często z lubością wyobrażał, w opakowanym w dodatkową tekturkę wydaniu specjalnym, zatytułowanym, ze stosowną skromnością, *Strutter 3. Łomot po staremu. Drugi najwspanialszy film, który nigdy nie powstał*, jako że najwspanialszym filmem, który nigdy nie powstał, był oczywiście *Napoleon* Stanleya Kubricka, tak więc Luther zniósł rzeczoną aktówkę i wspomniany pojemnik, osłaniając je z taką czułością, jaką zdaniem Valletty rzadko okazywał jej, na tylną werandę z malowanych belek, którą dyrektorka Instytutu im. Bruce'a Lee, Irene Jew, zamiatała właśnie jakąś obłądną chińską miotełką, a raczej pękiem długich gałązek przytroczonych magicznym słomianym węzłem do bambusowego kija, która z pewnością służyła do wymiatania z domu demonów, *sifu* Irene posiadała bowiem także sztukę opętania, dlatego też, zważywszy na jej biegłość w zakresie kung-fu z upiorami, dwaj młodzi czarnoskórzy mężczyźni w źle leżących garniturach, którzy starali się sprawiać wrażenie, jak gdyby całkiem przypadkowo zaparkowali wcześniej swój karawan przed Instytutem, nie byli dla niej żadnym wyzwaniem, na widok owych zjaw udała się zatem natychmiast na górę, by ostrzec Luthera, że kryjówka spalona, teraz zaś pani Jew oderwała się od zamiatania dosłownie na moment, by powiedzieć mijającemu ją Lutherowi: „Nie martw się”, ponieważ, co w lot pojął, sama się martwiła, więc mógł jedynie odpowiedzieć: „Powinniśmy

byli już wczoraj stąd pryskać”, po czym zostawił ją, by mogła w spokoju dokończyć zamiatanie, a sam ładował storybordy swoich marzeń do bagażnika toronado, niczym obalony dyktatorzyna z Haiti czy innych Filipin, który ma za chwilę odlecieć „Sikorskim” do jakiegoś rajy podatkowego, z tą tylko różnicą, że nie miał tytułu, helikoptera ani dochodów, które można by opodatkować, ów król w łachmanach, wciąż najwybitniejszy wychowanek Instytutu im. Bruce’a Lee, najbardziej utalentowany uczeń, jaki kiedykolwiek trafił się pani Jew, upychał teraz pudełko na perukę Valletty obok bokkena do ćwiczeń i właściwie nie miał dokąd pójść, kogo prosić o pomoc, bo Archy za żadne skarby nie odwiesi wieczystej kosy z Lutherem, mimo że Luther starał się przecież naprawić swoje błędy, wziąć za nie odpowiedzialność, próbował tych całych dwunastu kroków, niektórych nawet po dwa albo i trzy razy, zrobił dyplom z żalu, a potem jeszcze doktoryzował się ze skruchy, lecz Archy i tak nie chciał mieć z nim nic wspólnego, słuchać nawet nie chciał, zresztą nie chciał też słuchać innych, ze swoją żoną na czele, którzy prosili go, żeby posłuchał, a tymczasem Luther, mimo trzeźwości i pożytków rzekomo z tego stanu płynących, żył w takiej nędzy i niedostatku, że zmuszony był szukać schronienia u tej szajbniętej staruszki, Irene Jew, niech Bóg ma tę drobniotką Chinkę w opiece, popadł w taką rozpacz, że starał się dotrzeć do Gibsona Goode’a, by wreszcie urzeczywistnić od dawna rozważany plan wyduszenia kasy z Chana Flowersa, na który to plan do tej pory nie pozwalał mu stan permanentnego zjebania, by wykonać to długie, desperackie podanie z samego dna naprawdę głębokiego „kotła”, ponieważ po drugiej stronie boiska znajdowało się dostatecznie dużo pieniędzy (Goode obiecał), by sfinansować marzenie Luthera, odraczane już zbyt długo, a przecież każde ujęcie miał już w głowie, od klasycznej sceny, gdzie o sobotnim poranku kroczy dumnie i niespiesznie tłoczonymi ulicami oaklandzkiego Chinatown, lecą napisy, Cleon Strutter po wielu latach wraca do gry, by zrobić jeszcze jeden, już naprawdę ostatni, zajebisty skok (istny przybysz z przeszłości, w trzyczęściowym garniaku i borsalino, taki Rip van Winkle, tylko że ten skopie ci dupsko), aż po finałową stop-klatkę, bo Luther zawsze znajdował jakąś perwersyjną przyjemność w takich zakończeniach, *Butch Cassidy*, *Wściekłe pięści*, a więc ujęcie,

w którym Luther i Valletta z walizką pełną złota skaczą z samolotu w rojące się od rekinów fale oceanu, a wszystko w ciągu tych wielu długich lat przemyślane do najdrobniejszych szczegółów, od kampanii reklamowej po casting, tak by Luther stał się gwiazdą nie tylko wchodzącego na ekrany filmu, ale też własnego comebacku, i to bez niczyjej pomocy, jak Pam Grier czy John Travolta, Lutherowi wystarczył własny geniusz, a w ogóle to jebać Tarantina, tego białego wypierdka, który mógł mu przecież dać rolę Winstona w *Jackie Brown*, ale go olał, tylko dlatego, że zawierzył (całkowicie podówczas prawdziwym) pogłoskom, że Luther Stallings szama ćpanie zupełnie bez pamięci, tak więc Luther równie szczegółowo wyobrażał sobie każdy kadr swojego comebacku zwieńczonego sceną, w której rzuci Valletcie pod nogi całą stertę ofert od agentów i producentów, przecierając tym samym szlak ku kolejnemu marzeniu, jakim była praca z Clintem Eastwoodem, którego uważał (wiedziała o tym połowa mieszkańców West Oakland, w tym umarłaków) za najwybitniejszego aktora pierwszoplanowego w dziejach Hollywood i na którego elokwentnej małomówności wzorował własny powściągliwy styl, pozostający zresztą w ostrym kontraście (o czym również zaświadczyłyby spora część żywych i umarłych z West Oakland) do jego pozafilmowej natury, nadzwyczaj gadatliwej, albo, o, może jak już mu się uda to desperackie podanie wzdłuż boiska, to weźmie całą kasę, jaką zdoła wytrzepać z Gibsona Goode'a za wyświadczone usługi, czyli pomoc w przekonaniu Chana Flowersa do Dogpile Thang, i wciągnie jedną prędką krechę przez nos, która to opcja wydała mu się, gdy pomagał Valletcie załadować do bagażnika jej sztangi, być może nawet atrakcyjniejsza niż ta z comebackiem, bo tamta będzie trudna, o tyle, kurwa, trudniejsza, niż sobie kiedykolwiek wyobrażał, nie dopuszczając właściwie takich myśli, i na moment, nim ich auto wytoczyło się z tylnej uliczki, Luther ujrzał na tle popołudniowego nieba nietutejszy profil papugi rejterantki, która skutecznie właśnie ucieczkę, orientując się z grubsza na przeciwprostokątną trójkąta ulic, czyli na Telegraph Avenue, przetwarzając dane ze światła, zapachów i układu kątów, z kursem na wzgórze eukaliptusowe, choć zniosło ją nieco na wschód, gdy ze zgrozą musiała ominąć chmurę śmierci nad hamburgerownią Smokehouse,

przez co niespodziewanie znalazła się nad Zaułkiem Zaginionych Zabawek i nad jasnobrązowym, obrosniętym kwiatami bungalowem, lecz żaden z obecnych lokatorów jej nie zauważył, ani dorosły, ani chłopak, siedzący obok siebie na żółtej szwedzkiej kanapie z lat pięćdziesiątych, którą ów dorosły kupił, bo z jakiegoś powodu przypominała mu garnitur typu zoot, a teraz oglądali mecz Athletics kontra Baltimore Orioles, na górze Rich Harden znów szykował szatańską podkręconą piłkę, z obu stron niskiej ławy sterczały, niczym pylony mostu między Oakland a San Francisco, dwie pary odzianych w skarpetki stóp, w rozmiarze 45 i 49, między nimi zaś, w otwartym tekturowym pudełku, resztki kiepskiej, taniej i jeszcze niedawno gigantycznej pizzy „Uczta mięsna” XL (kiełbasa, peperoni, bekon, mielona wołowina i szynka), z której ostały się zaledwie okruszki i łukowate brzegi pozostawione przez chłopca, niczym nawiasy ujmujące pustkę jego konwersacji, a może nawet, kto wie, jego myśli, odkąd bowiem Gwen ich porzuciła, Titus nie odezwał się do Archy’ego ani słowem, wydzielał mu jedynie monosylaby typu „tak/nie” w odpowiedzi na bezpośrednie pytania „Lubisz baseball?”, „A pizzę lubisz?”, „Jesz mięso?”, „Wieprzowina może być?” i gdy tylko się dało, chłopak ograniczał się do leciutkiego kiwnięcia sztywnym podbródkiem, pilnując się po swojej stronie kanapy, jak gdyby jechał zatłoczonym pociągiem i wiózł na kolanach coś bardzo kruchego, toteż nikt się nie odzywał w tym pokoju, w tym mieście, w tym wszechświecie, jedynie Bill King i Ken Korach komentowali ten nieszczęśliwie ekscytujący, lecz na całe szczęście powolny mecz, w którym wymiany zawodników i długie pojedynki miotacza z pałkarzem pożerały wielkie połacie czasu, a wtedy nikt nie musiał niczego mówić, podejmować żadnych decyzji, czuć tego, co można by całkiem logicznie w tej sytuacji czuć, drżeć przed tym, przed czym można by drżeć, bo na razie był remis, jeden do jednego, a taka sytuacja mogła teoretycznie trwać w nieskończoność lub przynajmniej póki w szatni ostanie się choćby jeden silny miotacz, w trzydziestej drugiej rundzie zaś wystawią trzeciorzędowego łapacza, pałkarze będą drzemać na ławce, oparci jeden o drugiego, albo słać się na nogach w okrągłej strefie dla następnych w kolejce, echo będzie się niosło po pustych trybunach, opakowania po hot dogach toczyć się będą jak ziele po pustyni pod nogami

najzatatwardzialszych fanów, śpiących na krzesłach, rozpocznie się kolejna runda, pod firmamentem rozpalonym przez świt na niebieskawy kolor płomienia na kuchence, a z Sacramento, ze Stockton i Norfolk w Wirginii dowozić będą całymi autobusami, w imię określonej w zasadach sytuacji wyjątkowej, robotników rolnych, by uzupełnić wątłą listę zawodników, przeczesywać się będzie całe wioski na Dominikanie, a kwiat młodzieży ładować do Lockheedów C-130 i transportować do Oakland, by zaspokoić nienasycony apetyt tego jednego meczu na pałkarzy, zapołowych i zmienników miotaczy, kolejne groźby skutkować będą zaledwie trzecim autem, słabymi piłkami wysoko w powietrze i strikeoutsami, i tak runda po rundzie, tydzień po tygodniu, aż wszystkim urosną brody, nadejdzie Gwiazdka, początek lata zapętli się z jego końcówką, pokończą się wojny, noworodki odbiorą dyplomy uczelni, będzie czwarty bol i zajęte bazy, już po raz trzy tysiące dwieście jedenasty, i znów słaba, wysoka w lewo, komisarz MLB włączy do gry drużyny uniwersyteckie, gwiazdy dziewczęcych turniejów softballowych i ligi młodzieżowe, a Archy i Titus nadal trwać będą w równie nieprzerwanej ciszy, choć dzieli ich zaledwie sto centymetrów kanapy; Pięć Osiem leciał więc dalej, odnotowując po drodze potężny sensoryczny szum szpitala Chimesa, dziwując się jego jasnej, ludzkiej aurze, której to pojedynczy, delikatny, elektronowy puls odwzorowywany był właśnie w tej chwili na ciekłokrystalicznym wyświetlaczu i drukarce monitora funkcji życiowych płodu w jednej z najprzytulniejszych sal porodowych na czwartym piętrze, z istic marriottowską atmosferą (białe zasłonki, ściany w śliwkowym kolorze, podłogi Pergo), a wspomniany kardiogram przypominał nić błyskawicy, szkicowany naprędce górski łańcuch, bit wysterowany na stole miksterskim, toteż tatko i mama zapatrzeni w ekran trzymali się za ręce, choć to słowo – „trzymali” – jest nie dość pojemne, ponieważ wyglądało to raczej na chwyt sumo, walkę wręcz, w każdym razie oboje czekali, wpatrując się w monitor, podczas gdy za drzwiami, niemal poza zasięgiem słuchu, lekarz prowadzący, doktor Bernstein, z wyraźnym żalem tłumaczył dwóm położnym, że będzie musiał tam wejść i wyciągnąć noworodka, które to wieści dla żadnej z nich nie były wielkim szokiem, zdążyły przecież zapoznać się z wydrukiem, a poza tym

zdawały sobie sprawę, że w szpitalach często pochopnie stawia się na ostrożność, niecierpliwość myśląc ze skutecznością, lecz mimo to obie były oszołomione, gdy okazało się, że muszą wrócić do sali porodowej, sprawiając tym samym poważny zawód swej pacjentce, której pierwsze dziecko również przyszło na świat w wyniku pilnej cesarki i która dawała z siebie wszystko, tak długo wizualizując, powtarzając mantry, ćwicząc mięśnie Kegla, medytując, poddając się hipnozie i pozwalając co wieczór, by tatko *in spe* nacierał jej krocze olejem jojoba, przygotowując się do „porodu naturalnego po cesarskim cięciu” niczym Beatrix Kiddo do zemsty na Plutonie Śmiercionośnych Żmij, aż jej tożsamość i determinacja zostały niemal całkowicie podporządkowane (wbrew radom obu położnych, choć nie bez ich sympatii) projektowi, jakim było przecięnięcie się dziecka przez kanał rodny, i która to pacjentka rozszłochała się, gdy Gwen i Aviva weszły do sali, kąciki ust unosząc w wążutkim pseudouśmiechu, po prostu całkiem się rozkleiła na samym szczycie długiego skurczu i młody tatko starał się nie zerkać na monitor, gdy Aviva tłumaczyła, że skoro płód, w mądrości swej odmawiając narażania matczynej miednicy na bezpośredni kontakt z własną główką, zaczynał po dwudziestu dwóch godzinach porodu wykazywać objawy zmęczenia, będą musieli porzucić przemyślany, życzeniowy plan i skoncentrować się na tym, czego potrzebuje w tej chwili dziecko, a był to argument, który rzadko zawodził, gdy chodziło o ponowne przywiązanie rodzącej do masztu jej własnej determinacji, więc i teraz odniósł zamierzony skutek, ponieważ mama, której już mijał skurcz, skinęła głową i Gwen odpowiedziała tym samym, nie odzywając się jednak, unikając bezpośredniego kontaktu wzrokowego, tak jak czyniła, odkąd się okazało, już tyle godzin temu, w sypialni małego bungalowu przy Ada Street, że dziecko „pływa”, nie przypierając się dobrze do części kostnych kanału rodnego, stoi na poziomie -3 na skali Amerykańskiego Kongresu Położnictwa i Ginekologii, stwarzając tym samym niewielkie ryzyko wypadnięcia pępowiny, którym to ryzykiem Towarzyszki Porodu zwykle zanadto by się nie przejmowały, pozwalając mamie wytrwać przy swych planach dla domu i wagi, czekając, aż „pływak” opadnie, lecz matka, mimo otulającej ją chmury bólu i rozżalenia, była dostatecznie przytomna, by

zauważyć dziwaczne zachowanie Gwen i by się zastanowić, czy Gwen czuła się w jakiś sposób odpowiedzialna za przebieg wydarzeń, czy jej spokojny, życzliwy, lecz także nieco oględny ton świadczył o osobistym niedopatrzeniu, czy też może Gwen w skrytości ducha sądziła, że cesarka nie jest konieczna, wcale nie chciała przenosić wszystkiego do szpitala, lecz z jakiegoś powodu uznała, że nie może głośno wyrazić swej opinii, i w związku z tym musiała ustąpić polityce szpitala, a także współpracownicy, choć prawdą mogło być również dobrze to, że takie „pływaki” rodzą się w domowych warunkach cały czas, na całym świecie, zupełnie zdrowe, lecz nim pacjentka zdążyła spytać Gwen, o co chodzi, czemu ma wrażenie, że współpracownicy w ogóle ze sobą nie rozmawiają, a tylko przekazują sobie istotne informacje, sala wypełniła się jakimiś nowymi, obcymi lekarzami, których powaga wydała się tatkowi głęboka i przerażająca, a tymczasem grupa pielęgniarek wykonała sztuczkę magiczną, przemieniając łóżko porodowe w stół operacyjny, który już wyjeżdżał przez drzwi, ciągnąc za sobą tatka, który tak mocno trzymał dłoń żony, że Gwen musiała ich rozdzielić, mówiąc: „Już, już, kotuś” i tłumacząc, że pora dać mamie wypuścić bobaska, a potem pomagając tatkowi włożyć fartuch i maseczkę, przygotowując go do krótkiej i względnie zaszczepnej serii obowiązków, które go czekały: przecięcie pępownicy, robienie zdjęć cyfrowym aparatem, trzymanie kciuków za dobre apgary, podczas gdy jego dziecko wierciło się pod lampą jak do frytek, ponieważ on, Gwen i Aviva – a więc jedyni ludzie w tym budynku, w tym mieście, w tym uniwersum, prócz samej mamy, którzy przejmowali się tym, czy urodzi przez pochwę, czy też przez rozcięcie w brzuchu – stali się nagle ludźmi najmniej w tej sali ważnymi, całą procedurę zdawała się okrywać jakaś aura sennej niemocy, a przynajmniej tak się zdawało tatkowi, który w pewnej chwili, gdy z dziury w mamie wyciągano za pachy bobasa, dziewczynkę, z miejsca nazwaną imieniem Rebekah (przez „k”), mającym jej zresztą całe życie zawadzać, zrobił poważny błąd, ponieważ gdy lekarze składali jego żonę z powrotem z kawałków, obrócił głowę – miał patrzeć, jak jego córeczka po raz pierwszy w życiu obcuje ze światłem, powietrzem, wodą, przecież to był pierwszy dzień stworzenia – i dojrzał po drugiej stronie sali operacyjnej rzeczy, których żaden mąż nie

powinien oglądać, krwisto-pomarańczowy mętnik maści Betadine, łożyska, złotego tłuszczu i błony, białej jak kurczące mięso, lecz w końcu, prócz rozczarowania, które całymi latami miało zalegać w maminy sercu niczym spalenizna w zimowej kuchni, wszystko było w porządku, a niewyraźny, rozplywający się obraz uśmiechniętego tatka z opatuloną „pływaczką” na ręku był ostatnią rzeczą, jaką widziała mama, nim przymknęła oczy, wycieńczona, otumaniona, sporo lżejsza, przewieziona do sali pooperacyjnej, gdzie ustawili ją pod wysokim, wąskim oknem, które wychodziło na oślepiający blask niemożliwie wprost zielono-błękitnego popołudnia, i gdzie mama wreszcie odpadła, i gdzie nadal była, wciąż na wyjebistym hajku po jakimś srogim opiacie, gdy do sali weszła Gwen, stanęła przy łóżku, ujęła dłonie mamy w swoje, których chłodny dotyk miał przetrwać jeszcze długo w jakiejś głębokiej fałdzie maminej pamięci, a następnie, ileś tam minut czy też stuleci później, gdy mama znów otworzyła oczy, na moment, zanim odwróciła głowę od popołudniowego blasku za oknem, by powitać córeczkę i skombinować jej odrobinę mleka, wśród listowia wiecznie zielonego dębu mignęła jej plama wścieklej czerwieni, ptaszysko jakieś, papuga!, która łąziła wte i wewte po gałęzi dębu, jakby do siebie gadając, ba, śpiewając, po czym zebrała się w sobie, powodowana chyba jakąś wybrednością, i znów wzbiła się w niebo, kierując się ku stadku nakrapianych wzgórz, obierając kurs nad bliźniakiem przy Blake Street, gdzie w głównej sypialni z łazienką inny ojciec zamiast rozmawiać z synem coś razem z nim oglądał, leżeli jeden obok drugiego na łóżku, oparci na poduszkach, a ich twarze oświetlał blask ekranu laptopa, który ojciec usiłował utrzymać w poziomie na swoim brzuchu pod takim kątem, by leżąc tuż obok siebie, obaj dobrze widzieli film, jeden z dziewięciu, które Julie wygrzebał w sekcji blaxploitation w sklepie z DVD Reel Video i przytaszczył do domu w ramach kwerendy do poświęconych Tarantinowi zajęć w Klubie Seniora, a główne role w tym konkretnym filmie, *Strutter* (1973), grała dwójka obecnych uciekinierów z Instytutu im. Bruce’a Lee, w pełnym blasku swej młodości, tu jako mordy piorący, ze spluw grzejący, po wielokroć spółkujący tandem funkowej zajebistencji, Luther Stallings bowiem wcielił się w byłego marine, weterana z Wietnamu, doskonale

wyszkolonego w tajnych akcjach i walce wręcz, którego postawiono przed sądem wojskowym i karnie zwolniono po tym, jak przeszkodził (białemu) kapitanowi w zgwałceniu dziewczyny z wietnamskiej osady, a który obecnie, z całym tym komandoskim zestawem umiejętności, buja się po świecie banków, kradzionych kolekcji dzieł sztuki oraz transportów kruszcu i klejnotów, a w ślad za nim (pierwsza część zamierzonej trylogii była całkiem jawną wariacją blaxploitation na temat *Sprawy Thomasa Crowna*) podąża długonoga i skąpo odziana detektywka ubezpieczeniowa o niezbyt wiarygodnej ksywce Candygirl Clark, która musi go zdradzić, by dostać zapłatę, tak więc syna zachwycała emanująca z filmu beztroska taniocha, a ojca klimat konkretnego czasu, konkretnego roku, 1973, cała seria odłamków przeszłości (dwukolorowe, kryte czerwienią skrzynki na listy, długie rzędy budek telefonicznych na dworcach autobusowych, staruszkowie wycierający się po knajpach w gajerach i pod krawatem), które, nim się spostrzegł, zniknęły tak dokumentnie jak grzybki pod butem pędzącego Super Mario, ale obaj, ojciec i syn, byli pod wrażeniem (i to z paru powodów) Valletty Moore, jej niesamowitych ciosów kung-fu, pomarańczowego wdzianka z wycięciami na brzuchu i butów w tym samym kolorze sięgających daleko za kolana, tej odrobiny łaniowatości, a nawet leciutkiego zeza w spojrzeniu twardzielki, ale największe wrażenie robił na nich nieodparty luz Luthera Stallingsa w kwiecie wieku, to, jak subtelnie ogrywał każdą scenę, najwyraźniej przeświadczony, że sprostą jej bez słów, wszak w opisie mającego się niebawem ukazać boks DVD z całą trylogią (obecnie w bagażniku toronado) stało, że zaraz pierwszego dnia zdjęć Stallings (autor rzeczonoego opisu) pożyczył długopis od reżysera (który nakręcił później setki odcinków *Doktora Trappera*, *Nieustraszonego* i *Strażnika Teksasu*) i wykreślił ze scenariusza sześćdziesiąt trzy procent swoich kwestii, łamiąc tym samym wszelkie branżowe zasady i przepisy, miał bowiem ów dar, częsty wśród geniuszy nieudaczników (choć tego akurat nikt by się z opisu nie dowiedział), że doskonale znał swoje ograniczenia, a do tego był mistrzem kung-fu i jego gibkie akrobacje przypominały niektóre ruchy taneczne Jamesa Browna (na przykład słynny „popcorn”), zwiastując wyzwolenie ciała od nieubłaganego fatum fizyki, co było

„totalnie mega”, jak ujął to syn, odnotowując kilkakrotnie z aprobatą, od której ojca aż zakłuło w sercu ze współczucia, niesamowite podobieństwo między młodym Lutherem Stallingsem a młodym Titusem Joynerem, więc kiedy film się skończył, ojciec, zamykając laptopa, sam poważił się na megaskok godny Stallingsa, zasypując syna bardziej dobitnymi niż zwykle pytaniami o jego przyjaźń z paniczem Joynerem, a z odpowiedzi wyłoniła się historia, właściwie opowieść, jak zdało się ojcu, o nieodwzajemnionej miłości, jakiej nastoletni chłopcy często doświadczają w swoim towarzystwie, choć tu akurat wszystkie uczucia były po stronie Juliego, a ojciec w czasie tej rozmowy rozumiał coraz wyraźniej, że jest do niej żałośnie wręcz nieprzygotowany, i nie chodziło nawet o sprawy gejowskie, te niech sobie będą, jakie chcą, tylko o świat cierpienia i rozpacz (homo, hetero – bez różnicy), w który jego syn tak gwałtownie wkroczył, tak więc ojciec, z całego serca współczując chłopakowi, porzucił tę linię śledztwa, dając mu szansę na odwrócenie ról za sprawą pytania: „Co się z nim właściwie stało?”, i w ten sposób rozpoczęło się długie, szczegółowe przesłuchanie w sprawie post-Strutterowej kariery Luthera Stallingsa, charakteru jego relacji z synem, miejsca jego obecnego pobytu, o ile cokolwiek na ten temat było wiadomo, a Nat nie szczędził skromnych informacji, jakie posiadał, orientując się, nie bez pewnej dezaprobaty, i chuj tam rozpacz, że jego syn był we wczesnej fazie pełnoobjawowej obsesji, dlatego też, gdy wróciła Aviva, ciągnąc za sobą klimatyzacyjną woń szpitala, i gdy upuściła torbę na podłogę sypialni, okazało się, że właśnie (słowa Juliego) „geekują na internetach” temat ojca Archy’ego Stallingsa, oglądają jego dzieła zebrane w formie trzyminutowych filmików i mają przy tym taką radochę, jakiej jej już od dawna nie udało się z żadnym z nich zaznać, więc przez sekundę wyglądała na urażoną i poirytowaną, lecz uczucie to przerodziło się zaraz w słodką gorycz, gdy Aviva padła między nich na łóżko, a oni zorientowali się, że już dawno nie widzieli jej tak skonanej, i w tym skromniutkim futbolowym „kotle” cała trójka próbowała teraz znaleźć wspólną pociechę, a tymczasem papuga, zmęczona lotem, wylądowała na gałęzi cedru w People’s Park, obejmując tym samym punkt obserwacyjny, by móc śledzić poczynania grupki zdziczałych

nastolatków, którzy jeszcze długo dokazywali, lecz wreszcie mrok wynagrodził ptakowi to czuwanie połówką cytryny, kilkoma pestkami awokado wraz z garścią łupin, a także nietkniętym pomidorem, które to dary Pięć Osiem skonsumował z chłodną zawziętością, by następnie wgramolić się na noc do płytkiej, acz zadowolającej dziury po sęku, a spędziwszy w niej kolejne dwa dni, udał się na poszukiwania świeższej stawy i po dalszych peregrynacjach osiadł wreszcie na niedogłdanym rajskim podwórku na tyłach przejętej przez wierzyciela posesji nieopodal meksykańskiej knajpy Juan's, gdzie inne ptaki już dawno złupiły drzewo nieśplika, zrzucając na ziemię tudzież wysrywając pestki, które dzięki upływowi czasu i ludzkiemu zaniedbaniu wyrosły w dorodny nieśplikowy ogród, nawiedzany tłumnie przez legendarne stado papug z North Berkeley, istne Zielone Królestwo, z dala od trosk i smutków Telegraph Avenue.

IV. Powrót do wieczności

Zmiana stanu skupienia. Ruch cząsteczek, z płynu w gaz. Nad filiżanką ze sklepu wszystko-za-dolara w Chinatown unosi się smoczy latawiec pary.

– Dostyc spania! – rozległ się głos Irene Jew. Roleta ze świstem opuściła posterunek i przez wyłom wdarło się słońce. – Wstawać trzeba! Dziś ważny dzień!

Gwen otworzyła oczy. Na jaskrawym tle okna arabski pyłków: ruch cząsteczek. A Gwen była jedną z nich, wielką, grubą cząsteczką przewalającą się bezładnie przez otchłań kosmosu.

– Ważny dzień – pozwoliła sobie na ironię. – Hura.

Jej świat składał się obecnie z czterech ścian i samotnego okna na tyłach dojo, ukrytych za drzwiami bez klamki, zamaskowanymi naturalnych rozmiarów zdjęciem, na którym w całej, w locie uchwyconej sylwetce (wspaniała klata, wyrzeźbiony brzuch, obuta w pantofel stopa, zęby zaciśnięte w drapieżnym uśmiechu) prezentował się patron i numen Instytutu Sztuk Walki im. Bruce'a Lee. Życie Gwen skurczyło się do materaca, worka marynarskiego w kolorze niebieskim i jedzenia z papierowej torebki, a każdy dzień był kolejną smętną kartą w dziejach bezdomności.

Trzydziesty szósty tydzień to u ciężarnej kobiety podatny grunt dla uzalania się nad sobą, więc owe pierwsze myśli po przebudzeniu wydały się Gwen całkiem trafną oceną sytuacji.

Wymalowaną w górski krajobraz filiżankę obejmowała Sensei Jew drobnymi dłońmi, nauczonymi uzdrawiać, ale i zadawać śmiertelne ciosy przez Lama Sai Winga, który z kolei szkolił się u wielkiego medyka i naprawiacza krzywd, Wonga Fei Hunga. Odziana w czarne bawełniane spodnie i bezkształtną białą tunikę, mistrzyni siedziała w kucki przy materacu, wyczekując, aż ostatnia z przechowywanych tu potajemnie osób, a zarazem najświeższa przyczyna irytacji, dźwignie się wreszcie z legowiska do pozycji siedzącej. Filiżanka spoczęła teraz w ponadrozmiarowych dłoniach Gwen, które ujmowały już tysiąc delikatnych niemowlęcych główek i w których

również drzemała wielopokoleniowa mądrość sięgająca w prostej linii wieku dziewiętnastego, a konkretnie akuszerki Juneteenth Jackson, praprababci Gwen, z Tulsy w Oklahomie.

– Ciepła woda z *kranu* – skrzywiła się Gwen, nie tylko na to, że przyszło jej pić coś takiego, lecz na cały ciąg zdarzeń, który przywiódł ją do kolejnej samotniczej pobudki w tej szafie, szumnie nazywanej pokojem, której jedyną ozdobę stanowiła waza z dynastii Ming ze sklepu „wszystko-za-dolara”, z wetkniętą weń czerwoną gerberą z plastiku, będącą w istocie długopisem. I jeszcze materac kupiony po zniżce, zalatujący starymi goframi. Aż po tę chwilę, w której wypicie filiżanki ciepłej wody z kranu stało się (nie śmiałyby odmówić Mistrzynie Jew) koniecznością. – Ale ja potrzebuję kawy.

– Od kawy dziecko nerwowe – oznajmiła Mistrzynie Jew. – Z domu jeszcze ucieknie kiedyś.

A więc prócz ciepłej wody z kranu Gwen była zmuszona przełknąć zawołowaną krytykę jej własnej ucieczki od domowego ogniska. Właściwie po dziewięćdziesięcioletnim chińskim mistrzu kung-fu, nawet jeśli był kobietą, nie należało się spodziewać nadzwyczaj nowoczesnych poglądów na relacje małżeńskie.

Gwen upiła łyczek i jak zawsze zdumiało ją to, że ciepła woda może być tak smaczna i przyjemna, tak bardzo na miejscu, gdy spływa do przełyku, że w efekcie rozluźnia się jakaś napięta, głęboko ukryta struna i zaczyna pękać lód, którego istnienia w swej duszy nawet się nie podejrzewało. Mistrzynie Jew twierdziła, że wszelkie dolegliwości potrafi uleczyć cygarem piołunowym i regularnymi dozami ciepłej wody. W mrocznych odmętach brzucha Gwen dziecko jej beznadziejnego męża powitało przyjęty napój trzepotliwym kopniakiem.

– Plecy jak? – spytała Mistrzynie Jew.

Gwen sięgnęła dłonią mięśni krzyża, by dokonać palpacji. Przez ostatnie parę dni jej ciąża robiła coraz oryginalniejszy, a przy tym dotkliwy użytek z największych zgrubień mięśni w tamtym miejscu. Po przebudzeniu Gwen powitały bolesne skurcze, babcine spazmy i sztywne stawy. Wzruszyła ramionami.

– Bola.

Mistrzynie Jew uklękała przy Gwen i niczym ogrodnik, który chce przesadzić krokusa, zatopiła palce w korzeniach splotu lędźwiowego. Gwen, czując ból, wciągnęła gwałtownie powietrze, ale nagły szorstki dotyk chłodnych, suchych i delikatnych palców staruszki wstrząsnął jej wygnanym sercem. Gwen kochała Mistrzynie Jew tak, jak należało kochać swego mistrza kung-fu: zaciekle miłością dziecka.

– Lepiej – stwierdziła Mistrzynie Jew.

– Trochę – przyznała Gwen.

Oto dlaczego Gwen wciągnęła się w treningi w Instytucie im. Bruce'a Lee i tak długo w nich wytrwała, po czterech latach ciężkiej pracy zdobywając czarny pas: ponieważ dla *qigong*, tak jak dla Mistrzynie Jew, nie miało jak widać znaczenia, czy się weń wierzy.

Oddała pustą filiżankę staruszce, która nie skwitowała pełnego wdzięczności spojrzenia Gwen gestem ani słowem. Mistrzynie Jew zauważyła, że piękne rysy młodej kobiety stężały, a jej oczy zaszyły mgiełką. Wyglądało na to, że tej nocy Gwen weszła w kulminacyjny etap ciąży. Dziecko miało się zjawić już całkiem niedługo, a jej życie było w proszku. Zaharowywała się. Doglądała innych brzemiennych matek, zaniedbując własne zdrowie. Co gorsza, ostatnie trzy noce przespała w tym maciupkim pomieszczeniu, w tej tylnej kieszeni świata, który aż iskrzył od męskiej energii. Mistrzynie Jew odcharknęła kulkę flegmy i z kocią subtelnością wypluła ją w lnianą chustkę.

Nie, tak dalej być nie może.

Gdy w poniedziałek wieczorem Gwen przyjechała na zajęcia ze śladami łez na policzkach i spakowanym workiem marynarskim w bagażniku swego bmw, Mistrzynie Jew, idąc za głęboko zakorzenionym instynktem, wyciągnęła dłonie, by pochwycić tę upadającą młodą kobietę. Teraz jednak okazało się, że nie załatwiła sprawy należycie. Irene Jew była bardzo stara (lubiła się nawet przechwalać, nadwerężając wiarę słuchaczy, że jest najstarszą Chinką po zachodniej stronie Gór Skalistych) i w ciągu wielu lat tułaczego wygnania, z Guangdongu, przez Hongkong i Los Angeles, aż po Oakland, wręczała niezliczonym uczniom czarny pas w dowód najdłuższej nauki, najcięższych treningów, a także ogromu bólu, nudy, poświęcenia i wysiłku. Niektórzy otarli się o wybitność, inni

o błyskotliwość, lecz tylko u kilkorga cechy te szły ze sobą w parze. Do tej pory jednak żadne z nich nie było czarnoskórą ciężarną kobietą, która jeździ kabrioletem bmw. Mistrzynie Jew nigdy nie była pewna, jak ma się zachowywać wobec Gwen Shanks.

– To miejsce bardzo złe dla ciebie – powiedziała. – Złe pachnie. Wygląda źle też. Brzydko.

– Tak. – Gwen wciągnęła chrapliwie powietrze, co mogło zwiastować łzy albo jeden z jej rozparskanych paroksyzmów śmiechu. Przez chwilę masowała twarz, potem odjęła od niej dłonie i otworzyła oczy. – To znaczy nie, tu jest w porządku, ale... Przepraszam. – Sięgnęła po lizeskę z ładnego brązowego jedwabiu o metalicznym odcieniu, która leżała złożona przy materacu, i owinęła się nią. Miała na sobie dobraną pod kolor jedwabną piżamę z białymi zdobieniami. – Po prostu muszę się dobrze wyspać.

Z marynarskiego worka wystawały ubrania, buty i buteleczki z balsamami, popakowane w woreczki strunowe. Czas wstać i ubrać się stosownie, w końcu był to ważny dzień – o piętnastej miały wraz z Avivą stanąć przed komisją, która zadecyduje, czy Towarzyszki Porodu zachowają akredytację. Gwen spojrzała na ciuchy wciśnięte do worka trzy wieczory temu, wszystkie te porozciągane topy i spodnie do jogi, absurdalne staniki i geriatryczne majtasy.

– Raz, jeden raz się dobrze wyspać.

– Poduszki ci twojej trzeba.

– Tak jest – powiedziała Gwen, stęskniona za chłodnym bezmiarem poduszki ciężowej Garnet Hill, która oplatając od wielu miesięcy jej nogi, ramiona i brzuch, była jej najprawdziwszym kochankiem. – Poduszki mi mojej trzeba, i to jak.

– Do domu jedź – powiedziała Mistrzynie Jew. – I weź.

– Nie mogę.

Mistrzynie Jew odwróciła się do Gwen plecami. Przez cztery wysokie okna dojo po drugiej stronie porysowanej, lśniącej podłogi z bambusa prześwitywał błękitny blask letniego nieba nad Oakland, poprzecinany przewodami telefonicznymi. Za wielkim betonowym szkieletem starego marketu Golden State flejtuszyła się palma, zadzierając zieloną kieckę.

– Okej, ja wiem, że pani zawadzam. Strasznie jestem wdzięczna, że tak długo dała mi pani tutaj pomieszkać. Dziś, jak już będzie po wszystkim, pójdę do jakiegoś hotelu, wynajmę apartament. Może w którymś z tych małych w Emeryville, niedaleko kina. Tam jest IKEA pod bokiem. Kupi się łóżeczko, naczynia, co tam będę potrzebować. Wiem, że tu głównie leżałam, dąsałam się i rozczulałam nad sobą. Plecy mnie bołą, no i może jednak jestem w lekkim szoku. Jest sporo pytań, na które nie znam odpowiedzi. Czy dam radę sama zająć się niemowlakiem. Czy będę w stanie dalej robić to, co robiłam przez ostatnie dziesięć lat.

Mistrzynie Jew wciąż stała tyłem do Gwen, która zdążyła się już zorientować, że jej przemowa była obraźliwa i nieprzemysłana, tak pod względem długości, jak i tonu.

– Przepraszam – dokończyła Gwen. – Naprawdę. Jutro, najpóźniej pojutrze się stąd wyniosę.

Filizanka (mniejsza od tamtej, złoto-czerwona, z kunsztownym orientalnym wzorem i motywem złotej rybki) znalazła się tuż przed oczami Gwen, zanim ta w ogóle się zorientowała, że Mistrzynie Jew wykonała jakiś ruch, to była nagła usterka wizji, brak łączności, flesz, i nim do Gwen dotarło, że szajbnięta starowinka faktycznie cisnęła jej coś w twarz, uczuła szczypanie w prawej dłoni, a pod palcami chłód przechwyconej filizanki, z której na nasadę kciuka ściekała właśnie ostatnia kropelka.

– Ważny dzień. Ubieraj się – powiedziała pani Jew. – Potem jedź po poduszkę.

Gwen była niespokojna o to, jaki ma status pod własnym dachem, na czym tam właściwie stać. Zaplanowała więc coś na kształt małżeńskiej inwazji na Grenadę: postanowiła rzucić do walki ogromne siły, by zdobyć skromny, a nawet niedorzeczny cel. Lecz kiedy przejeżdżała pod uspionym domem o szóstej pięćdziesiąt jeden rano (z którą to godziną jej mąż nigdy nie był blisko zaznajomiony), wszystko wyglądało tak zwyczajnie (z pomalowanych na niebiesko cedrowych gontów wciąż odłaziła

farba, gałęzie wiciokrzewu nadal dusiły listewki płotu, wzdłuż frontowej werandy stały puste pojemniki na mineralkę Arrowhead), że całkowicie straciła bojowy zapał. Minęła dom i przez chwilę rozważała nawet, czy po prostu nie jechać dalej.

W istocie, poduszka ciężowa, jak wyjaśniła swojej mistrzyni, dawała jej więcej niż tylko gwarancję snu: zdarzały się noce, kiedy czuła wręcz, że z całego otaczającego świata tylko ta poduszka ją rozumie i zdolna jest jej współczuć. Poduszka stała się ucieleśnieniem nieznanego, rosnącego w środku Gwen dziecka i choć niema i bezkształtna, to przepojona była niewątpliwie jego osobowością, a może i obecnością. Poduszkę tę Gwen tuliła co noc jak lalkę, gdy w jej przedziwnych ciężowych snach dziecko przemieniało się w rozmaite stwory, ziemiopłody, obiekty na ogół znacznie cudaczniejsze niż pościel. Mimo to Gwen rozumiała, że jest to tylko poduszka ciężowa, zamówiona przez internet za całe czterdzieści pięć dolarów. Bez problemu można ją było zastąpić.

– Chrzanić – powiedziała na głos, parkując przed domem państwa Lahidji. – Chcę tę cholerną poduszkę i już.

Nie wysiadła z samochodu. Wzięła parę oddechów według zasad *qigong*. Po omacku szukała migotliwego paciorka w samym środku swego jestestwa, starając się zaprząć energię *qi* do roboty, a przynajmniej nieco ją uporządzić. Upomniała siebie samą, że ma już dziś na głowie dostatecznie dużo konfliktów i nie powinna podnosić poziomu stresu (mierzonego w radach), na jaki już naraziła własną osobę oraz dziecko. Nie miała ochoty na konfrontację, lecz jej oburzenie wszystkimi czynami i zaniechaniami Archy'ego jako męża, ojca i faceta nie zelało przez to ani odrobinę, a wręcz skupiło się, niczym rój pszczół, wokół sumy czterdziestu pięciu dolarów. Nie miała zamiaru jej marnować. Wyprowadzając się od Archy'ego, zostawiła w domu wiele wartościowych rzeczy i jeśli nigdy ich nie odzyska, to trudno, niech jednak poduszka ciężowa będzie zadośćuczynieniem za resztę porzuconego życia i dobytku. Wysiadła z auta. Rozwiązanie było jedno: wejść tam nie jak batalion Marines opanowujący jakąś kokosową wysepkę, tylko jak siły specjalne. A więc chirurgiczna precyzja. Bez hałasu. Wejść, wziąć, wyjść.

Gwen postanowiła najpierw sprawdzić tylne drzwi. Przepięła się (było naprawdę ciasno) chodnikiem z potrzaskanej cegły, który wiał się między domem a drucianą siatką, porośłą wilcami jak jakiś dziczyły kosz. Przemknęła pod kuchennymi oknami, obok pojemników do segregowania śmieci, przez całą tę mroczną strefę, do której w ciągu tych wszystkich lat rzadko się zapuszczała – ciasne, zacienione listowiem przejście, przyjazne (tak jej się w każdym razie zawsze zdawało) szczyrom. Myśląc o tym, od razu przyspieszyła kroku.

Ogródek na tyłach domu wyglądał gorzej, niż zapamiętała. Murowany grill, brugmansja kwitnąca żółtymi kapeluszkami czarodziejów, siatka w wielu miejscach przesłonięta zielonymi falami bluszczu, jaśminu i wilca. Kosmata kępa trawy pampasowej. Żałosny odcinek betonu, który jakiś poprzedni mieszkaniec domu w wyniku nadmiernego lenistwa, a może optymizmu pomalował na kolor trawy. Przez ten nędzny, zaniedbany, dżunglowaty bajzel z pewnością trzeba było obniżyć ceny nieruchomości aż po Claremont Avenue. Straszny wstyd. Ale Gwen nie było tu zaledwie tydzień; na ten obraz nędzy i rozpaczali pracowali całe lata. A teraz wiernie odzwierciedlał jej nieuporządkowane życie.

Odwrociła wzrok od wybrakowanej kratownicy wzdłuż fundamentów, od paska uszczelniającego, który wystawał ze szpar wokół tylnych drzwi, luźny jak raperskie gacie. Kiedy razem z Archym kupili ten dom, była to niemal ruina: tania, nosząca ślady fatalnego użytkowania. Sporządzili wtedy listę napraw i ulepszeń, dzieląc je na konieczne, opcjonalne i fantazyjne. Założyli nowe muszle i zlewy, kierując się wypożyczoną z biblioteki książką. Odnowili podłogi, jeszcze raz zamontowali okna, połatali dach. Był to ich pierwszy wspólny, małżeński projekt i wspominając tamten szczęśliwy czas, Gwen czuła ukłucie żalu i straty. Z biegiem czasu odhaczyli wszystkie konieczne zmiany, lecz wykonanie opcjonalnych okazało się opcją mniej kuszącą. Na długo zanim dotarli do fantazyjnych, lista poszła w zapomnienie.

Gwen otworzyła zamek w tylnych drzwiach i pchnęła, ale drzwi odpowiedziały jej pięknym za nadobne. Zamknięte na łańcuch. Był naprawdę imponujący, zamocowany jeszcze przez poprzedniego właściciela, i Gwen nie pamiętała, by któreś z nich kiedykolwiek

z niego korzystało. W wigorze, z jakim łańcuch powstrzymał Gwen przed wejściem do jej własnego domu, było coś obez władniającego. Czyżby Archy zmienił po jej wyprowadzce zamki? Co za zniewaga! Już miała zacząć się dobijać do drzwi, żądając wyjaśnień, lecz przypomniała sobie swe matczyne postanowienie, by zachować spokój. Przyszło jej do głowy, że bez niej Archy mógł się tu czuć mniej bezpiecznie, i ta myśl ją ujęła. Zamknęła tylne drzwi z cichutkim trzaskiem i okrążając dom, przekradła się z powrotem ku frontowym.

Już w środku zorientowała się, że delikatny, rozedrgany pomruk – który wspinając się po schodach werandy, wzięła za płynące spod starej jodłowej podłogi wibracje lodówki albo nawilżacza w piwnicy, może nawet za odgłos jakiejś odległej betoniarki czy też śmigłowca medycznego lądującego przy szpitalu dziecięcym – był w istocie chrapaniem dwóch chłopców. Ze starego śpiwora Gwen sterczała naga połowa Juliego Jaffe, od pasa wzwyż, szokująco blada, z drobnymi sutkami, różowymi jak noski świnek morskich. Titus leżał elegancko pogrzebany pod śpiworem jej męża, w motywy z serialu *Dla każdego coś innego*, wystawiając tylko kuriozalnie chwytnie palce nóg i górną część twarzy. Na stoliku do kawy piętrzył się lodowiec opakowań od DVD: *Strutter*, *Zabójca z getta*, *Cwaniak z duszą*, wszystkie te wariackie, chałowe filmotwory, które w latach siedemdziesiątych wysrywał z siebie ojciec Archy’ego, albo może to one wysrywały jego. Pod styropianową muszelką, z której niczym czułki jakiegoś sporego ostrożnego stawonoga wyrastała para frytek, tkwiła jeszcze jedna płyta, z etykietą prezentującą niebywałe afro Valletty Moore pieśczonej lufę i tłumik magnum 357, w owej ikonicznej pozie z plakatu do *Nefertiti*: czterdzieści pięter brązowej nogi, na parterze para członków typu chodź-się-ruchać, a w ramach frontonu żółty satynowy kombinezon z krótkimi nogawkami. W pokoju wisiał ciężki zaduch dojrzewających ciał, popcornu z mikrofali i czegoś jeszcze – niewątpliwie czegoś straszego.

Podczas swych nocnych zapasów z jej śpiworem Julie dopełzył tak daleko, że Gwen niemal na niego nadepnęła. Ta zapadła, bezwłosa pierś, brwi ściągnięte w wiecznym zadziwieniu i miękkie, proste włosy przylizane nocnym potem do kościstego czoła rozbudziły w Gwen odległe wspomnienie wieczorów, kiedy zostawała z nim,

żeby Aviva i Nat mogli wyjść, i śpiewała mu mroczne kołysanki swojej babci. Jak się okazało, sama miała dopiero stracić niewinność: wszystko to było jeszcze, zanim Nat i Aviva wyswatali ją z Archym, a jej życie zawodowe zgotowało jej to z dawna już wzbierające rozczarowanie.

Wolała nie patrzeć na Titusa, chrapiącego w najlepsze pod głupawą, acz tragiczną opończę, zdobną w wizerunki Gary'ego Colemana i Todda Bridgesa w dopasowanych swetrach. Było jej go żal, ale nie życzyła sobie tego uczucia, więc zamiast tego dopuściła do siebie złość. Tymczasem tajemniczy zapach (teraz już jej nos brzemiennej nie miał co do tego żadnych wątpliwości), niczym całun śmierci nad polem bitwy, okazał się smrodem starego hamburgera. Niebaczenie przyjrzała się dokładniej styropianowej muszelce na stole. Po jej zewnętrznej ściance ciekła niczym wosk szaroróżowa, paciorkowata smużka tłuszczu, na co z żołądka Gwen wystartowała w kierunku ust rakietą gorącej złości.

Była gotowa założyć się o czterdzieści pięć dolców, że wśród procedur operacyjnych ninja i Zielonych Beretów próżno szukać torsji. Takie upokorzenie byłoby już naprawdę nieznośne; we wczesnej fazie ciąży Archy poświęcił całkiem sporo czasu, nawet się nie skarżąc, zajmowaniu się jej różnymi wydzielinami.

Cząsteczki utlenionego tłuszczu podążyły za nią jak małe cuchnące wróżki, gdy Gwen skradała się korytarzem do sypialni. Otworzyła drzwi: żaluzje były zaciągnięte, ale wskutek czyjejś niedbałości za starą, należącą kiedyś do cioteczki Archy'ego bieliźniarką w stylu Marii Antoniny listewki w oknie były mocno przekrzywione. Na łóżku w świetle przekradającym się pod przeciwprostokątną powstałego w ten sposób trójkąta Gwen ujrzała swojego męża rozwalonego na wznak. Łóżko było okrągłe, do małżeńskiego majątku wniósł je Archy (mawiał, że takie mają tajni agenci), i teraz, z kończynami rozrzuconymi na cztery strony, przypominał jej narysowanego przez Leonarda da Vinci nagusa, tego od kwadratury koła czy czegoś tam. Tylko że Archy nie był nagi: miał na sobie spodenki koszykarskie California Golden Bears. Tuż obok niego leżał cel jej misji, zgięty w pół, zignorowany, choć może po prostu pragnący jakoś się z tej sytuacji wywinąć. Wszystkie inne, zwyczajniejsze poduszki skopano albo zepchnięto na podłogę, gdzie

leżały teraz w zgnębionych pozach. Archy zwykle spał na materacu płasko, poduszki używając tylko do tego, by zakryć twarz, gdy w pokoju było za jasno. Na pewno nie będzie mu brakować poduszki ciężowej.

Cząsteczki niesione nurtem powietrza z opakowań po burgerach w salonie poniechały już chyba pogoni za Gwen. Mogła znów oddychać przez nos, do którego docierał teraz zapach jej sypialni, jej męża, jej życia. Pomarańczowo-goździkowa woń jego wody po goleniu, jakaś taka świąteczna. U samego początku ich znajomości zakochała się w tym zapachu. Teraz zdawał się raczej dodawać jej energii, był ożywczy i krzepiący, umocnił ją tylko w zamiarze zdobycia tego, po co przyszła. Jej ruchy były ostrożne, powolne, nie ważyła się oddychać. Chwyciła dwie garście pełnej pierza poduchy i poczęła cierpliwie odciągać ją od materaca, milimetr po milimetrze.

Archy przekulał się na bok i biorąc głęboki wdech, zarzucił nogę na poduszkę. Przyłgął do niej biodrami, objął i ścisnął jeszcze mocniej. Przytulił się do niej, wzdrygnął, westchnął głęboko i zachrapał. Gwen zamarła, przerażona, podekscytowana, z dotkliwym poczuciem, że się ją zdradza, choć nie byłaby w stanie powiedzieć, kto jej to zrobił: mąż czy też poduszka ciężowa.

– Jeszcze nie wstawaj – powiedział Archy, nie otwierając oczu. Błagał przez sen. Zacerpnął jeszcze jeden niespieszny haust nieświadomości, delektując się nim i mlaskając ze znawstwem. – Nie zostawiaj mnie.

Gwen rozważyła kilka potencjalnych replik, w tym: „Za późno, skurwielu”, „Przepraszam”, „Już nigdy cię nie zostawię” oraz „Człowieku, gadasz z poduszką”.

W milczeniu wypuściła z rąk obiekt wart czterdzieści pięć dolarów. Obróciła się i wyszła chyłkiem z sypialni, po czym z wyćwiczoną bezgłością domknęła drzwi. Uniósłszy wzrok, na drugim końcu korytarza dostrzegła Titusa, który przyglądał się jej z zakłopotanym uśmieszkiem. W oczach lśnił ten sam zielony błękit co u Luthera Stallingsa, migoczący nieprzeniknionym polem siłowym, jak to u czarnoskórych o jasnych oczach.

– Ja tylko przyszłam po moją specjalną poduszkę – wyszeptała żałośnie.

Titus skinął głową, po czym chyba zauważył, że Gwen nie trzyma niczego w dłoni.

– Ale zmieniłam zdanie – dodała.

Poczuła w brzuchu pulsujący ucisk, niechybnie objaw odwodnienia. Chłopiec zszedł jej z drogi, gdy ruszyła do kuchni. I tylko dlatego, że sterczał teraz gdzieś za nią, nie wycofała się stamtąd, dokonawszy potwornego odkrycia.

– Boże jedyny – wyjąkała.

Chłopiec ponurym parsknięciem przyznał jej rację.

– Coście tu wyprawiali?

– Bo on powiedział, że kawę można zmielić w mikserze.

– Kto powiedział?

– No, Julie.

– A powiedział też, że można strzelać gulaszem z pistoletu na wodę? Bo tak tu wygląda.

Chłopak wzruszył ramionami.

Wmaszerowała dzielnie do kuchni, wstrzymując oddech, jakby wchodziła do zwolnionego przed chwilą toi toia. Nalała sobie szklankę wody z kranu.

– Teraz już rozumiem, dlaczego zamknęliście tylne drzwi na łańcuch. – Jednym łapczywym haustem wychyliła całe trzysta mililitrów. – Chodziło o to, żeby chronić postronnych.

– To też przez Juliego – powiedział Titus. – On się tak cyka. – Na jego ustach znów wykwitł ten uśmieszek, nieuśmieszek; za dużo w nim było ciekawości.

– No, wiem – zgodziła się Gwen.

Dopiero teraz w jej tonie bądź też wyrazie twarzy wychwyił jakąś nawykową czułość, więc postanowił poddać Gwen dokładniejszemu badaniu. Czujniki jego dociekliwości mierzyły teraz jej obwód. Wskazując krągły brzuch, powiedział:

– I do tego ta specjalna poduszka.

– Ciężowa.

– Żeby się oprzeć, jak się śpi?

– Właściwie to nie śpiam – odparła Gwen. – Ale bez niej to już w ogóle.

– Aha, okej. A ten dzieciak tam, w środku. To jest jakby, no, mój brat.

Gwen przemknęło przez myśl, żeby zmyć szminkę z brzegu szklanki, lecz gdyby ktoś, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu, miał dostrzec taki szczegół wśród tych Pollocków z marynary i termicznych kopców z talerzy i rondli, wówczas ślad ten mógł posłużyć za rodzaj wizytówki, srebrnej kuli, jokera z zagiętym rogiem.

– Albo siostra – powiedziała.

– Ultrasonografa nie robiliście?

– Ultrasonografu. Poprosiliśmy, żeby nam nie mówili.

– Że niby taka zaskoczka.

– Archy chciał. Ja nie lubię zaskoczek. – Zabrzmiało to bardziej uszczypliwie, niż planowała, choć z drugiej strony całkiem à propos.

– Nie mogłaby pani po prostu się dowiedzieć, ale mu nie mówić?

– Mogłabym – odparła.

– Co... Aha. Już pani to zrobiła – zgadł Titus. – Mam rację?

Gwen zdjęła łańcuch z tylnych drzwi.

– Brat przyrodni. Półbrat – oznajmiła Titusowi, nim wyszła na zewnątrz, by stawić czoła reszcie tego dnia. – A drugie pół... to już nie wiem.

– Kto to był? – dopytywał się facet.

Wciąż tylko te pytania, ledwie facet znajdował syna w jakimś pomieszczeniu, to już zaczynał nimi obracać jak kośćmi do gry: „Płatki Rice Krispies lubisz?”, „A bułeczki drożdżowe?”, „Baseball?”, „Gwiezdne wojny?”, „Brzoskwinie?”, „Dziewczyny?”, „Mos Defa?”, „Koty?”, „Psy?”, „Mentosy?”, „Małpy?”, „Nikt cię nie nauczył, że się rano myje zęby?”, „Czy ta koszula nie była kiedyś biała?”, „Ile można grać w tę cholerną grę?”, „A jakbyś, kurwa, dla odmiany przeczytał jakiś komiks Marvela, to coś by ci się stało?”, „O zmywaniu naczyń słyszałeś kiedyś?”, „Słuchasz Duke’a Ellingtona?”, „Wiesz, kto to był Billy Strayhorn?”, „Jezu, czy ty naprawdę chcesz starego wykończyć?”. Rzuczał tymi kośćmi, nie certolił się. To akurat nie było nic nowego; Titus czuł się jak wir, wokół którego kręca się pytania dorosłych, coś jak to dryfujące

kłębowisko śmieci na Pacyfiku, gdzieś jeszcze za Hawajami, o którym było któregoś wieczora na Discovery: ogromne, obracające się mrowie reklamówek i plastikowych butelek. Każda rozmowa stawała się w końcu sprawdzianem, odbiorem raportu, przesłuchaniem, katechezą. Na końcu każdego zdania wił się rzemień bicz, lśnił haczyk wędki. A wszystkie te pytania, co do jednego, były w zasadzie retoryczne, całkiem bez miejsca na odpowiedź.

– Kto to był kto? – odpowiedział pytaniem Titus.

Przyjąć, przetrwać i oddać tym samym. Niech mają.

– Z kimś rozmawiałeś. Kobiety jakby głos. To była Gwen?

– Kto to jest Gwen?

– Chłopaku, wiesz, kto to jest Gwen. Moja *żona*.

Titus wzruszył ramionami. Był to, wbrew pozorom, gest bardzo skomplikowany, trzyczęściowy, wielopoziomowy jak wolkańska szachownica. – Może.

– Może?

– No była.

Na tę wieść ze wzroku faceta uszło wszelkie życie, zwisły smętnie wielkie poliki Misia Yogi. Stał tak przy drzwiach do sypialni, gdzie jeszcze kilka minut temu stała jego *żona*, i wciąż od nowa wiązał niewydarzoną kokardę w talii playboyskiego szlafroka. Do faceta dotarł nagle widok skarpet walających się po korytarzu, odór męskiego bytowania. Zamknął oczy, po dwóch–trzech godzinach snu ledwo działające; skóra wokół nich była aż fioletowa ze zmęczenia. Na pewno wyobrażał sobie teraz spustoszoną kuchnię, hałdy śmieci w dużym pokoju i drobnego białego chudzielca tamże, w samych majtasach, zaplątanego w stary śpiwór pełen zaskorupiałych plam. Rekonstruował w głowie prawdopodobną trasę jej wizyty. Wiedział, jak bardzo musiała być tym wszystkim zde gustowana. Cały scenariusz przewijał mu się w myślach niczym retrospekcja pod koniec filmu detektywistycznego, gdzie widzimy, w jaki sposób doszło do morderstwa, i teraz wszyscy siedzą w bawialni czy innej oranżerii, pod wypchanym łbem tygrysa i gablotą z motylami, a detektyw wyłuszcza sprawę. „Stała dokładnie w tym miejscu; wystarczyło się obudzić i wtedy z pewnością by ją pan zobaczył. Pan się jednak nie obudził. Prawda, panie Stallings?”. Powoli

i z rozmysłem przeciągnął dłonią po twarzy, jak gdyby w nadziei, że uda mu się wymazać jej rysy. Potem powieki się odemknęły.

– Ja pierdolę – powiedział. – Jaki tu, kurwa, chlew.

I ruszył korytarzem, niemal ocierając się po drodze o Titusa, ciągnąc za sobą ten charakterystyczny zapach cytrynowego sprayu do czyszczenia mebli. To, co zastał w dużym pokoju, zdawało się nie tyle potwierdzać, ile intensyfikować, a nawet całkiem przerastać jego najgorsze obawy.

– Musiała akurat dzisiaj – wyjęczał na granicy słyszalności. Przynajmniej raz nie brzmiało to jak pytanie.

Toteż Titus nie odpowiedział. Tym razem akurat nie dlatego, że postawił sobie za punkt honoru lekceważenie lub też unikanie pytań ojca, a także wszystkich bezsensownych pytań, jakie zadawali mu dorośli. Powód był inny: co właściwie miał odpowiedzieć? Wprawdzie była mowa o poduszce ciężowej, lecz Titus rozumiał, że to właściwie niczego nie wyjaśnia, poduszka jest jedynie tym, co Hitchcock nazywał MacGuffinem. Krągłość Gwen, wybrzuszona ukrytym w środku braciakiem, jej poważny sposób rozmawiania z Titusem, ale nie w stylu weź-ty-się-lepiej-za-siebie-chłoptasiu, nie jak mama Juliego, tylko jakoś tak po naukowemu, sceptycznie, z autentycznym zaciekawieniem: jak to w ogóle ubrać w słowa?

Usłyszał głos ojca:

– Wstawaj, Jaffe.

Julie natychmiast usiadł, mignęły różowe sutki, jak u małego pitbulla, na ciele bezwłosym, choć nie całkiem, ponieważ (kto wiedział, ten wiedział) spod lewego ramienia sterczał pojedynczy twardy drucik, jakby rzęska, z której Titus już nie raz i nie dwa sobie podrwiwał. Julie mrugnął, starając się skupić na facecie rozbiegany wzrok, nieotrzeźwiały wciąż od oparów ostatniego snu tej nocy.

– Była tu Gwen – powiedział do niego facet.

Julie skinął podbródkiem i dopiero po chwili zrozumiał, że wymaga się czegoś więcej. Pokręcił głową.

– Nie wiem – spróbował.

– Ja cię nie pytam. Titus mówi, że tu była. Dopiero co. – Odwrócił się do Titusa. – W tym pokoju? – Titus znów przytaknął. – W kuchni?

- Naląła sobie wody z kranu.
- Chryste Panie – wyjąkał Archy. Przeniósł wzrok z powrotem na Juliego. – Czyli jej nie widziałeś?
- Spałem – odparł Julie.
- No, ja też. Nie spał tylko Titus, ale jak zwykle ziomal nie ma na ten temat za dużo do powiedzenia.

Titus wyczuł, że miał to być przytyk, choć jego zdaniem nie było czego krytykować. Milczenie mogło cię co prawda pogrążyć, lecz nigdy tak skutecznie jak gadulstwo. Nie wyrywał się więc z odpowiedzią, gdy jego ojciec podszedł do rozproszonych i prawdę mówiąc (zważywszy na kiepską jakość taśmy filmowej, niedoskonałą pracę kamery, podrzędną konwersję wideo, przewidywalne i zarazem niedorzeczne fabuły, a także drewniane dialogi), w najlepszym razie niekompletnych dowodów na to, że Luther Stallings jaśniał kiedyś z ekranów gettowych grindhouse'ów. Z początku facet zdawał się nie zauważać płyt DVD: jego uwagę zaprzętnęły zmięte chusteczki, kubki zero siedem litra i zatłuszczone pojemniki z resztkami jedzenia. Z rozpaczliwą energią człowieka, który stara się uratować bezwartościowe bibeloty przed nadciągającą pożogą, zbierał ze stołu obrębione serem pudełka, zużyte widelce i papierki od słomek, wraz z całą resztą śmieci, które zostawili po sobie chłopcy o wpół do czwartej rano (faceta wciąż jeszcze nie było w domu, miał gdzieś w centrum angaż), gdy zgasili wreszcie telewizor i poszli spać. Facet wszystko to ułożył w chybotliwy stosik, który trzymał teraz w ramionach, jak gdyby żona mogła w każdej chwili wrócić.

- Ja pierdołę – powtórzył.

Zadudniło, gdy pomaszerował do kuchni, a na widok jej katastrofalnego stanu aż warknął. Tłukł się przez chwilę, szperając pod zlewem, aż wygrzebał worek na śmieci i wrzucił doń cały przytuszczony stos. Wessał w siebie złość jak huragan morską wodę i przetoczył się przez kuchnię, zgarniając śmieci, które znalazły się na jego drodze. Chłopcy znów usłyszeli ciężki tupot i chwilę później zjawił się w salonie tłusty czarny Święty Mikołaj z dżezbródką i worem z grubej folii.

- Po prostu nie wierzę, chujki jedne, że zostawiliście moją, kurwa, chatę w takim stanie! – powiedział, oceniając sytuację precyzyjnie,

choć niesprawiedliwie, ponieważ chłopcy, hołdując takim właśnie zasadom prowadzenia domu, szli jedynie za przykładem, jakim po odejściu żony świecił on sam. Odpowiedzialność za opłakany stan kuchni ponosił więc w równym stopniu co pozostali. – Ze też musiała przyjść akurat dziś – ciągnął, jak gdyby Gwen, przychodząc poprzedniego lub, dajmy na to, następnego dnia, zastałaby wysprzątnany i lśniący dom, a właśnie tego dnia nastąpiło niewytłumaczalne zaburzenie żelaznego harmonogramu porządków. – Tu jest jak w jakiejś, kurwa, ćpalni. Powinna była... Ej. Co jest.

Facet najwyraźniej dopiero teraz dostrzegł okładkę *Nocnego spec*, jednej z płyt, które Titus i Julie przynieśli zeszłego wieczora z wypożyczalni Videots na College Avenue. Podniósł pudełko, odwrócił i przeczytał, co tam wypisano: hajp, uczoną gadkę, kompletne brednie.

– „Quentin Tarantino poleca” – powiedział. – Ehe...

Studiując pudełko, rozstawił szerzej nogi, wyprostował plecy. Złość uderzyła o brzeg i zaczynała pustoszyć ład. Karmiła się sama sobą, jak sądził Titus, całkiem dobrze zaznajomiony z repertuarem złości. Facet grzebał teraz wśród pozostałych pudełek rozrzuconych po blacie. Tarantino miał rację: w katalogu Stallingsa najmocniejszą pozycją był *Nocny spec*, film o skoku na bank, bez gatunkowych domieszek i przesadnej tandety, po prostu gliniarze, rabusie, te sprawy, z muzyką Charlesa Stepneya i zdjęciami Richarda Kline’a, który pracował przy *Zielonej pożywce* i jeszcze paru fajowych filmach z tamtej epoki, między innymi przy którejś *Planecie małp*. Ów tani, chropawy i nierówny film ukazywał jasno i dobitnie, po wsze czasy, prawdę o fizycznym wdzięku Luthera Stallingsa w roku 1975, piękno jego szerokich nozdrzy, jego łajdacki uśmiech, zabójczą architekturę jego dłoni.

Facet spytał:

– Co to za szajs?

Titus już miał powiedzieć: „To twój ojciec”, ale w ostatnim momencie zreflektował się, że mogłoby to zabrzmieć tak, jakby twierdził, że Luther Stallings, jego własny dziadek, to szajs. Tymczasem, wprost przeciwnie, Lutherowi Stallingsowi należało się inne słowo, i to pisane wielką literą: *Sztos*.

Przed początkiem lata, a nawet tego tygodnia, nazwisko Luther Stallings było dla Titusa zaledwie wspomnieniem czyjegoś wspomnienia, jak przeboik z ery disco albo jakiś ówczesny wiceprezydent. Były to raczej luźne obrazy, motyle, które złapały się w kratkę jego rozpedzonego umysłu. Po pierwsze: artykuł w starym, strasznie starym, tutenchamońsko wręcz starym egzemplarzu „Ebony”, wygrzebanym z szuflady w stoliku nocnym jego babci. Z artykułu Titus zapamiętał tylko nazwisko aktora, tytuł *Strutter* i fotografię zrobioną w salonie jakiegoś domu w Los Angeles, gdzie Luther Stallings w obcisłych czarnych spodniach i białych butach za kostkę rzuca jakiemuś zamazanemu chłopakowi piłkę do koszykówki. Po drugie: porysowany, wyblakły urywek w klipie Wu-Tang Clan, raptem kilka sekund, gdzie smukły czarny facet o jasnej karnacji przy użyciu pięści i stóp wyrządza dotkliwą krzywdę gangowi krwiożerczych taoistów. Po trzecie i najniklejsze: wspomnienie złej opinii (a raczej zaledwie jej gryzący osad zamknięty w butelce nazwiska Stallings), jaką jego babka żywiła do wszystkich męskich przodków Titusa.

Nic go jednak nie przygotowało na bezsprzeczną wspaniałość Luthera Stallingsa, przebijającą z samych filmów, nawet z totalnych knotów. Nijak nie mógł się spodziewać tego przedziwnego ciepła, które rozlało się w jego sercu, gdy poprzedniego wieczora siedział na kanapie z najlepszym, a zarazem jedynym przyjacielem, jakiego miał w życiu, śledząc baletowe figury zamachowca z *Nocnego specja* na tle świetnych fur i tabunów ślicznotek, w tym jednej ze srebrnym afro. Luther Stallings, a właściwie idea Luthera Stallingsa wywoływała w Titusie uczucie, które było dla niego całkowicie nowe: że on sam skądś się jednak wziął. Z jakiejś legendarnej ojczyzny spowitej mgłami Szaolinu lub ukrytej w samym sercu odległej wakandyjskiej technodżungli. Leżąc obok Juliego w ciemnościach dużego pokoju i oglądając swojego dziadka na ekranie, Titus poczuł, że korzenie jego życia tkwią w epoce mitu i herosów. Po raz pierwszy, odkąd zyskał świadomość własnego ja, małego i lekceważonego jak miedziak w dolnej szufladzie świata, Titus Joyner dostrzegł w swoim życiu blask jakiejś wartości, a w sobie samym coś z powabu.

Facet spytał:

- Festiwal filmów z Lutherem Stallingsem se tu urządzacie?
- Gościu był dobry – powiedział Julie.
- Nie, Julie. Nie był.
- No ale w kung-fu i takich tam.

Facet nie oderwał nawet wzroku od plastikowego opakowania. Mówił cicho, z wściekłością cedząc słowa:

– Nie życzę sobie w moim domu tego skurwiela. Pod żadną postacią. Ani z krwi i kości, ani z elektronów i pikseli. Nie życzę sobie nawet, do cholery, żebyś wymawiał to imię. Okej? Rozumiemy się?

Facet zgarnął rekwizyty wypożyczone na ich festiwal Stallingsa i ułożył w byle jaki stosik, który próbował następnie wręczyć Titusowi. Ten tylko się im przyglądał. Facet wcisnął je więc Juliemu.

– Zabieraj to z mojego domu! – krzyknął.

– Jezu, dobra, Archy – powiedział Julie. – Weź wyluzuj! – Chłopak był oszołomiony tym, jak gwałtownie i brutalnie wepchnięto mu w ręce te parę płyt. Patrzył na faceta, jak gdyby miał się zaraz rozplakać. – Przepraszam, Archy. Ja nie...

– To twój *tato*. – Titus usłyszał swój głos, ku własnemu zaskoczeniu, a nawet zgrozie. – Był, kurwa, gwiazdą kina. Powinieneś być z niego dumny.

– Hm.

– Właśnie że był dobry – powiedział Titus. – Był naprawdę dobrym aktorem. Lepszym niż Fred Williamson i napażał się też lepiej. I lepiej od Jima Kelly’ego, z którego był żaden aktor. Lepiej niż te wszystkie białasy, Chuck Norris, ten taki kolo z brwiami...

– John Saxon – podpowiedział Julie.

– John Saxon. I lepiej niż większość tych klasycznych Chinoli. Sonny Chiba, Sammo Hung. No nie udawaj, przecież uwielbiasz takie bzdety, na pulpicie masz screenshota z *Gry śmierci*, Bruce się nawala z tym wielgachnym kolesiem, co wygląda jak przerośnięty struś. Jak możesz nie cenić Luthera Stallingsa? Zero logiki! Gościu gra na fortepianie. Świetnie grilluje i no, w ogóle. – To akurat wiedział tylko z dodatków do *Nocnego specjału*. – Ale chodzi mi o to, że nawet jeśli go nie lubisz, to i tak musisz kolesia szanować.

Ów niezwykle rano najwyraźniej przyniósł facetowi kolejną niespodziankę.

– Przez dwa tygodnie mówisz może z osiem słów na krzyż – powiedział facet. – A teraz będziesz mi takie mówki walił? I jeszcze o tym, co mam czuć?

– To twój ojciec.

– Mhm. A więc, idąc tym torem, rozumiem, że ty musisz szanować mnie?

– W życiu – powiedział Titus. – Ty jesteś tylko dawcą spermy.

Uwaga ta, wypuszczona przy brzdęku struny natchnienia, wbiła się w cel z niemal słyszalnym stukotem. Facet aż się gibnął do tyłu, zanim się zebrał do ataku.

– Dobra, po pierwsze – powiedział – to nie było zwykłe „dawanie” spermy, człowieku, ja twoją matkę nią obdarowałem. Po drugie, nie żaden struś, tylko Kareem Abdul, kurwa, Jabbar. Po trzecie, i dobrze mnie teraz słuchaj, mam wystarczająco dużo problemów na głowie, pojutrze muszę pochować człowieka, który naprawdę był dla mnie jak ojciec, muszę załatwić wyzerkę i alko dla jakichś stu osób. Zebrać orkiestrę marszową, odszukać papugę. W garażu, rozumiesz, w garażu stoi sobie ten hammond, który zmiądzzył Cochise’a Jonesa, a muszę go podreperować, żebyśmy mogli człowieka godnie pożegnać. Z każdej, kurwa, strony wyłażą mi jakieś sprawy osobiste, dziecko w drodze, żonie po prostu odjechało. Spałem może trzy godziny. Tamten chudy chujek łązi mi tu w samych gaciach, śpiwór mu się owinął o nogę jak jakaś, kurwa, wielka skarpetka. I wy, dwa pedały – Archy wyszarpnął ostatnie kilka klocków Jenga, na których trzymała się rozchwiana wieża jego luzu – włazicie mi tu, rozrzucacie płyty po całej chałupie, w dupie macie mnie i to, co wam każę robić, w całym, kurwa, domu robicie bajzel...

Julie podniósł na niego oskarżycielski wzrok. Facet go rozczarował i Julie nie chciał, by były co do tego jakieś wątpliwości.

– Mowa nienawiści – wytknął.

– Taa? – odparł facet. – Bo wiesz co, ziomek, to był, kurwa, pikuś w porównaniu z tym, co wam teraz, chujki, powiem. Ubierajta się, pakujta i wypierdalać mi stąd, ale już, jeden, kurwa, z drugim.

Wypad z baru. Zabierać mi to całe kinomańskie gówno i jazda mi stąd.

– Serio? – spytał Julie.

Wyglądało na to, że facet zamierza niezwłocznie zademonstrować Juliemu powagę swych intencji. Złapał pudełko z kopią *Struttera*, pierwszego filmu z Lutherem Stallingssem, wówczas zaledwie osiem lat starszym od Titusa. Cisnął je na ziemię i po czterokroć zdeptał.

– Wy-pier-da-lać.

Plastik zachrząścił dwa razy, przy trzecim pudełko pękło na pół. Za ostatnim trzasnęła płyta. Na dywanie mieniły się trzy kawałki tęczy.

– Dzbanie jeden – wycedził Titus.

W morderczej, naiwnej furii zamachnął się na ojca. Okręciwszy się stylowo wokół własnej osi, stracił grunt pod nogami i upadł. Ręka, którą się podparł, nadziała się na pogruchotane pudełko. Skaleczył się odłamkiem tęczy tak, że krwawiło tylko trochę, bolało za to jak jasna cholera.

– Jak ja cię, kurwa, *nienawidzę* – powiedział Titus głosem, który nawet w jego własnych uszach zabrzmiał strasznie dziewczęco i piskliwie. – Jak ja cię, do kurwy nędzy jebanej, *nienawidzę!*

Facet stał nad nim z rękami na biodrach, spoglądając w dół, rzeżąc od haustów atmosfery, którą do spółki popsuli.

– O. I to – powiedział – to faktycznie jest mowa nienawiści.

Dwie przecznice od Brokeland Records, kręcąc wściekle kierownicą *el camino*, by wpasować się tyłem w puste miejsce przy Apgar Street, wysysając z grubaśnego džointa ostatnie zwęglone milimetry użyteczności i starając się jednocześnie potwierdzić zamówienie na dziesięć kilo *al pastor*, sto pięćdziesiąt tortilli i cztery litry salsy *pico de gallo* z tacowozu Sinaloa na East 14th Street, Archy Stallings trącił przypadkiem jakąś wewnętrzną żyłkę podwiązaną do zamaskowanych ładunków skruchy. Dręczył go ten niemięski, nieodpowiedzialny wybuch przy chłopcach, dręczyła go krzywda, którą wyrządził Gwen, i to, że jego żona była świadkiem całkowitej

nędzy, w jaką popadł po jej odejściu. Dręczyła go wreszcie jego etiopska przygoda: z klarownością, jaką przynosi gandzia, bolał teraz nad melancholią atramentowych źrenic Elsabet, gdy patrzyła na niego, z ustami pełnymi jego fiuta. Ale dręczyła go też ogólna nieumiejętność zapanowania nad rzeczonym fiutem i ta ostatnia kłótnia z panem Jonesem; nie bez znaczenia był też fakt, że dobrał brązowe brogisy do garnituru w kratkę glen, bardziej błękitną, niż mu się wydawało. Zgasił silnik i tkwił w miejscu jak hi-hat skruchy, rozwibrowany od srogiego pacnięcia.

Gdy już miała wrócić na linię dziewczyna od tacos, by zręcznymi, choć łamanymi frazesami poinformować go, że operacja zakończyła się niepowodzeniem i jego karty Visa nie udało się uratować, na antenie KCSM Clifford Brown Jr. podrzucił tytuł kawałka, który musiał się zacząć, zanim Archy wsiadł do samochodu: Freddie Hubbard z coverem *Better Git It in Your Soul* z 1970 roku, gdzie, jak ujął to Brown Jr., „na organach grał nieodżałowany pan Cochise Jones, skarb Oakland”, i ni stąd, ni zowąd Archy poczuł, że znalazł się na skraju łez. Dalej niż na ów skraj Archy zwykle się nie zapuszczał. Skrucha, ból, żałoba, utrata: gdy wzbierały w nim takie uczucia, dyspensa choćby na jedną łzę narażała na niebezpieczeństwo prastare korzenie i mury oporowe. To się mogło skończyć błotną lawiną, nawałą czerni, która go pochłonie.

Wszystko przez to, że Clifford Brown Jr. jakoś tak ładnie powiedział. „Nieodżałowany. Skarb”.

– Wiedziałem, że moja karta nie domaga – Archy zgodził się z dziewczyną od tacos, swobodnie sobie popłakując. – Ale nie, że była w aż tak złym stanie.

– Pan nie martwi – odparła tamta, biorąc rozdygotanie jego głosu za objaw żałoby po panu Jonesie, który jako klient tacowozu Sinaloa był mu niemal tak wierny jak półkom Brokeland Records, zdarzało mu się nawet popaść w niemal muzyczną ekstazę na widok tych wszystkich obracających się kawałów połyskliwej, chrupiącej wieprzowiny ułożonych na szpindlu niczym sterta smakowitych singli. Może zresztą dziewczyna miała rację? – Pan zapłaci gotówkę, kiedy pan odbierze, okej? Pojutrze, jedenasta rano? Okej?

Archy odparł, że tak w istocie będzie okej. Robił wszystko, żeby wziąć się w garść. Starał się myśleć o Tonym Starku, Iron Manie,

z odłamkami metalu tuż przy ścianie serca, człowieku skazanym na żywot w zbroi i na promienie repulsora, którymi musiał odpierać nieustanne ataki. Odejście Gwen być może rozbudziło w nim żal po śmierci matki... WUM! Repulsorem. Gdyby cofnąć się w czasie i powiedzieć czternastoletniemu Archy'emu Stallingsowi, że pewnego dnia jego własny syn będzie nosił w sobie jedną wielką pretensję do beznadziejnego faceta, który, niczym kojot z kreskówki, zostawił w jego życiu dziurę w dokładnym kształcie uciekającego ojca... WUM! Repulsorem go.

– Pojutrze – powiedział Archy, ocierając policzek nadmiernie błękitnym rękawem marynarki.

Wtedy na drugiej linii piknął Nat Jaffe.

– O jedną przecznicę jestem – powiedział mu Archy.

Była jedenasta czterdzieści siedem, a więc spóźnienie Archy'ego wykraczało poza zwyczajowe granice zaledwie o dwanaście minut; byłoby wspaniale (choć Archy nie miał na to szczególnej nadziei), gdyby współnik powstrzymał się od serwowania mu tradycyjnej zjebki. Tylko nie dziś.

– Masz gościa – poinformował go Nat głosem chłodnym, a nawet lodowatym.

Archy'ego zdjął strach od samego czubka głowy, jak gdyby uciskał go tam niewygodny kapelusz. Liczba kandydatów do tytułu Straszliwego Gościa była aż nadto długa, by zaludnić wizję katastrofy, lecz sam rdzeń lęku stanowiło wspomnienie wizyty, którą złożył im w trzeciej klasie podczas zajęć z historii najnowszej dyrektor szkoły w ów wtorek, kiedy umarła jego matka. Od tamtej pory każdy gość był potencjalnie panem Ashenbachem niosącym wyłącznie złe wieści. Wrogowie, kochanki, nieznanne dotychczas potomstwo, gliniarze i *federales*, doręczyciele pism procesowych, dłużnicy i pożyczkodawcy, mściwi etiopsy ojcowie, bracia lub starszyzna klanu, któryś z dziewięciu tysięcy idiotów, jacy go w ciągu tych wszystkich lat nękali lub w jakiś sposób na niego wpłynęli, ludzie podróżujący w czasie z któregoś z wielu wątpliwych okresów jego życia. Bankwell, Feyd, Titus albo Gwen. W końcu jednak uznał, że panem Ashenbachem *du jour* jest najpewniej jego rodzony ojciec.

– Koleś nazywa się Goode – wycedził Nat tonem wystudzonym o kolejne dziesięć stopni. – Podobno twój bliski przyjaciel. Przyszedł z obstawą.

Okazało się, że to tylko Walter, w bluzie od dresu za pięćset dolarów, czający się za tym małym księżycem. „To nie księżyc... to Gwiazda... znaczy się Taku”, ze słuchawką w lewym uchu i drugą dyndającą jak medalion na piersi. Szyja, ucho i nadgarstek obwieszane srogim lanssem, czarny T-shirt, niebieskie dżinsy, niebieskie top-sidery bez skarpetek.

– Zaraz to normalnie spierdolisz – wymruczał Walter Archy’emu do ucha. Ten zaś na szczęście zadbał o to, żeby nałożyć okulary przeciwsłoneczne w okrągłych szylkretowych oprawkach, w końcu nikt nie przyłapałby Dizzy’ego albo Mingusa, jak szlochają nad jakąś głupotą, którą zrobili albo przeciwnie, której zaniechali. – Nie spierdol tego.

– Luz – powiedział Archy.

– I niech twój ziomal też tego nie spierdoli.

– Nat?

– Jezu, co jest z tym gościem w ogóle.

– Przewrażliwiony?

– No, tak jakby.

– Kolo potrafi się przewrażliwić – przyznał Archy.

O ile zjawiwszy się tego ranka w sklepie, sympatyczny poniekąd pan Gibson „G Bad” Goode starał się zgodnie z obyczajem wymienić kilka uprzejmości z panem Natem „Upierdliwcem” Jaffe, to gdy Archy wszedł do Brokeland Records, wydawało się, że ci dwaj robią wszystko, by traktować się nawzajem jak powietrze. Zainstalowali się po przeciwnych stronach sklepu, Nat przycupnął jak zwykle za kasą, udając, że bardzo wnikliwie studiuje odcinki czeków w podrapanym czarnym segregatorze, a Goode, rozsiadłszy się w głębi pomieszczenia, obracał w palcach pasmo koralików z zasłony z Milesem Davisem, przerzucając jednocześnie zawartość pudeł z hip-hopem. Na sklepowym sprzęcie kręcił się bajecznie brzmiący egzemplarz *Melting Pot* Bookera T & the MG’s (Stax, 1971), a za sprawą przypadku, tego zmyślnego didżeja, dokładnie w chwili, gdy Archy stanął w progu, Goode wyciągał z pudła dwunastocalowy

singiel Roxanne Shanté, *Live on Stage* (Breakout, 1989), którego opoką były sample z Bookera T.

Gdy Archy wszedł do sklepu, Goode obrócił się na pięcie, ale Nat ani drgnął, garbiąc się na swym stołku niczym jakiś wyhalsztukowany skąpiec z Dickensa, krzywy jak paluch dociśnięty do gryfu, pomrukujący jak trącona basowa struna.

– Joł-joł-joł – zagaił Archy.

Czując, że głowę wciąż mu uciska kapelusz strachu, markował niewinną lekkość, grał na zwłokę, badając atmosferę w sklepie: tu zerknął na termometr, tam przebiegł wzrokiem sejsmogram. Fikały igły, wszystkie wskaźniki wychylały się w czerwień.

– Witam, panie Stallings – odparł Gibson Goode.

W T-shircie i džinsach wartych razem tysiąc dolarów, z Roxanne Shanté pod pachą, zajechał na przód sklepu na kółkach niewidzialnej deskorolki. Archy rozważył jeszcze jeden, ostateczny wykręt: mógł przecież udawać, że nigdy nie poznał Goode'a we własnej osobie, nie latał jego zeppelinem i nie ma bladego pojęcia, co ten jegomość robi w jego, Archy'ego, starutkim sklepiku z używanymi winylami na Telegraph Avenue w to piękne sierpniowe popołudnie. Ale nie: nadszedł czas konfrontacji. Pora naprężyć mięśnie, wziąć się w garść. Wyznać, że miał chwilę słabości. Że kusila go propozycja szefowania Działowi Tłustych Bitów, gdzie mógłby mieć stałą pensję i trochę się poszarogęcić.

Ale kiedy otworzył usta, wysmyknął się z nich ten sam splot kłamstw i wymówek co zawsze.

– O mój Boże – powiedział. – Kogo moje oczy widzą! Nat, wiesz, kto to?

– Tak się składa, że wiem.

Uścisk dłoni G Bad i Archy rozpięli nad sobą jak namiot, by chwilę później go zdemontować, złożyć, schować. Archy filował na współnika: z taką miną Nat zwykle słuchał jakiegoś niesamowitego nowo odkrytego kawałka. To był drwiący uśmiezek głębokiej analizy, a przy tym zaskoczenia, że coś takiego mogło mu umknąć, choć przecież o wszystkim wiedział wszystko, co warto było wiedzieć.

– Nat, pokumaj. Normalnie Gibson Goode! W naszym sklepie!

– Coś podobnego.

– Wiem, że jesteś podjarany.
– Jeszcze jak.
– A wyraziłeś to jasno?
– Wyraził, wyraził – wtrącił Goode.
– Dawniej się pan tu strzygł, prawda? – Archy zadał to pytanie jak dziennikarz ABC przeprowadzający wywiad dla 20/20, wystawiając mu łatwą, wysoką piłkę. – Kiedy tu jeszcze był zakład U Spencera?

Nat uniósł wzrok znad trzywarstwowej książeczki czekowej, zdradzając minimalne zainteresowanie Goode'em.

– Wielu ludzi się tu strzygło – powiedział uprzejmie Nat.

– *Pan* również? – zagadnął go Goode.

Namierzali się wzrokiem jak dwa radary ręczne.

– Za młody byłem, nie załapałem się.

– Wywalić te wszystkie winyle, wstawić kilka foteli fryzjerskich i prawie nie byłoby różnicy – powiedział Goode. Otworzył wyciągnięte z kieszeni metalowe pudełeczko z miętówkami Flow, które już od dawna cieszyły się jego oficjalną rekomendacją, i zaoferował jedną Natowi, który jednak pokręcił głową. – No, prawie by nie było.

– Niech pan jeszcze trochę zostanie – powiedział Nat. – O dwunastej mamy drugie spotkanie COCHISE.

– O dwunastej? A po co czekać? – odparł Goode bez mrugnięcia okiem. – Czy wy się tu, kurwa, nie spotykacie co pięć minut?

– Chyba naszła mnie właśnie ochota, żeby się spotkać. Teraz – powiedział Nat. – Archy, współniku mój? Spotkamy się? Może być z udziałem publiczności. Niech pan zostanie chociaż na tym, panie *G Bad*. – Machnął w stronę Waltera i Taku, stojących za oknem. – Tamci też mogą dołączyć.

– Nat...

– A pan co, robotę przyszedł Archy'emu zaproponować?

Goode pojął, jak sprawy stoją: Nat nie miał o niczym pojęcia, Archy nie pisał mu słówkiem.

– To akurat niech zostanie między Archym a mną. – Uśmiechnął się. – Jesteśmy konkurencją. Nie muszę panu mówić, co sobie umyśliłem.

– Umyślił? Czy już zrobił?

– Pan Goode już mi zaproponował pracę, Nat – powiedział Archy.
– Kierownika działu muzycznego.

– Chyba Działu Tłustych Bitów. Słyszałem, że tak to się ma nazywać.

– Owszem – przyznał Goode.

– Kierownika – powtórzył Nat. – Łał, super. Gratki.

– Nie powiedziałem „tak”.

– Nie?

– Nie.

– Aha. A powiedziałaś „nie”?

Goode przysłuchiwał się temu wszystkiemu, rozjarzone teledetektory słały dane do mózgu, który kolejno analizował wszystkie opcje.

– Raz powiedziałem – bąknął Archy. – Może nie jakoś bardzo stanowczo.

Nat wycelował kciuk w Archy’ego.

– Niech pan się już przyzwyczaja, panie G Bad, bo tak to właśnie będzie wyglądało.

Archy czuł, że krew uderza mu do policzków, zalał go wstyd kontemplatora, uwięzionego w świecie nieustannie domagającym się jakichś decyzji. Myśliciela wiecznie podgryzanego przez psy pośpiechu. Który w głębi duszy, niczym jakąś wzgardzoną wiarę, wyznaje naczelną zasadę wszelkiego życia: jedyną decyzją, której człowiek nigdy nie pożałuje, jest ta, której nie podjął.

– No a ten twój ojczulek – powiedział Goode. – Pan Strutter. Odnalazł się w końcu?

Archy nie był gotowy na pytanie o Luthera; wydawało mu się, że już raz tego ranka przydusił pokrywką ów kipiący kocioł. Wciąż nie dopuszczając do siebie tej myśli, zaczynał rozumieć, że ojca (który ciągle gdzieś tam kombinował, rzucając kośćmi jak Julie w tym swoim *D&D*) nie uniknie; prędzej czy później będzie się musiał z nim zmierzyć.

– Nic mi o tym nie wiadomo – powiedział, próbując przejrzeć tor tego śledztwa.

– Twój stary? – zdziwił się Nat. – A co on ma do tego?

– Ale kumasz, że nasz wspólny ziom, Brat Flowers, i tak go znajdzie? – powiedział Goode. – Z twoją pomocą czy bez... Napuścił

na niego wszystkich swoich ludzi, całą tę bandę siostrzeńców, wszędzie go szukają. Niejeden gość ma dług u Flowersa, a tu taka okazja, żeby raz-dwa wyrównać rachunki. Wiesz, wystarczy numer domu. Nazwa motelu. Takie tam.

– A niech se szukają – powiedział Archy. – Na zdrowie. Mi to zwisa. Głowy do tego nie mam teraz, wie pan?

– Ach, głowy nie masz do tego?

– Tak jakby nie bardzo. Nie mogę się tym teraz zajmować.

– Niedługo może będziesz musiał.

Goode mówił chłodno, rzeczowo, najwyraźniej los i lokalizacja Luthera Stallingsa były mu równie obojętne, a Archy w końcu pojął, że to jego się tu ostrzega. Goode próbował mu przypomnieć, że nic się nie zmieniło; oferta pracy w Dogpile nadal zależała od tego, czy Archy pomoże Flowersowi wytropić Luthera.

– Jasne – powiedział Archy. – Pomyślę. Tylko że pojutrze.

Cóż za piękne słowo z punktu widzenia kontemplatora: „pojutrze”. Prawdziwy adres utopii.

– Dobra, przez sekundę poudaję, że nadażam za tym, co się tu odpierdala – wciął się Nat. – Czyli nie dość, że ty, Archy, nie zamierzasz mi pomóc walczyć z tym molochem, wyjść z tym do ludzi, naciskać radnych, Komisję Planowania Przestrzennego, tych od raportu o oddziaływaniu na środowisko i tak dalej, to jeszcze zastanawiasz się, czy by nie podjąć pracy u tego gościa w Dogpile? Czy ja dobrze rozumiem?

– Być może – oznajmił Archy. – Być może nie.

– Archy... w chuja se lecisz?

– Nat – odparł jego wspólnik – przez ileś lat naprawdę się starałem, i to w dobrej wierze, odpowiadać na twoje pytania retoryczne. Więc dziś, ten jeden raz, obawiam się, że to konkretne pytanie będzie musiało pogodzić się ze swym przeznaczeniem, a więc, jak mniemam, obyć się bez mojej i w ogóle niczyjej odpowiedzi.

– Arch. – W głosie Nata po raz pierwszy dało się wyczuć nutkę rozpaczy, w oczach autentyczny ból. – Ja cię potrzebuję. Nie możesz olać tej sprawy. Dupek musi poczuć czynny opór.

– Serio? – odezwał się Goode, również nieco boleściwie, chociaż tu chodziło raczej o szerszą, bardziej uniwersalną koncepcję bólu,

będącego następstwem obcowania z debilami. – Piszesz się na to, Stallings? Chcesz odebrać tej dzielnicy, gdzie sam się wychowałeś, jakieś dwieście pięćdziesiąt, trzysta dobrze płatnych miejsc pracy? Plus dochody, podatki? Rewitalizację? Poczucie dumy?

– Może – odparł Archy, kojąc skołataną nerwy dotykaniem tych słów, jak gdyby obracał w palcach gładki, okrągły kamyk, z obu stron tak samo przyjemnie chłodny. – Może nie. Na razie zajmuję neutralne stanowisko.

– Mhm. Aha – powiedział Goode. – Okej.

– Chuja tam. – Nat przestał wreszcie udawać, że para się buchalterią, zatrzasnął trzywarstwową książeczkę czekową, trzepnął ołówkiem o blat. Zwiesił się z wyżyn swojego stołka jak Snoopy, któremu znudziło się udawanie sępa i postanowił trochę побыć węzem. – Nie ma tak. Nie żartuję, Archy. Albo chcesz mnie wyruchać, albo wyciągnąć z tego gówna. Co wybierasz?

Brązowe buty Archy’ego okrążyły kontuar, a sam Archy precyzyjnie przesunął się obok Nata, czerpiąc jakąś paskudną satysfakcję z tego, że jego wspólnik zszedł mu z drogi. Choć przecież wiedział, że pod względem fizycznym Nat nie ma w zwyczaju tchórzyc, w końcu raptus wdał się przez te lata w dziesięć razy tyle bójek i pyskówek co on. Archy uruchomił wszystkie pola siłowe, na jakie pozwalały mu obwody zbroi Iron Mana: luzik, spokers, czil. Po co się żreć, po co się ciskać. Zdjął ze ściany oprawiony egzemplarz *Redbonin*, który powiesił tam w dniu pierwszego zebrania COCHISE. Oparł dolną krawędź ramki o blat, rozłożył naciętą z tyłu trójkątną tekturową nóżkę, ustawił tak, by zdjęcie piegowatej twarzy pana Jonesa, kipiącego tu młodą, dziką energią, spoglądało groźnie na Gibsona Goode’a. Płyta, która powinna znajdować się w środku, stała w papierowej koszulce wśród odłożonych towarów na półce za kasą. Archy wyciągnął ją z papieru, uniósł w stronę okna i przez chwilę przyglądał się, jak światło spływa wodniście po jej migotliwych rowkach. Stan bardzo dobry, rzadkie wydanie z najmniejszym ponoć nakładem wśród wszystkich tłoczeń CTI. Położył płytę na talerzu gramofonu i nastawił pierwszy kawałek, cover *I Don’t Know How To Love Him* z musicalu *Jesus Christ Superstar*.

Cochise Jones lubił grać covery pod włos, rozpalić mroczne serce ballady latynoskim tempem i połyskiem vibrata albo dokopać się do

tęsknoty i smutku skrywanych przez skoczny przeboik. Sześciominutowy popis Cochise'a w kawałku otwierającym *Redbonin'* stanowił klasyczny przykład hammondowego rewizjonizmu, wywracania piosenki na nice. Najpierw wjeżdżał Gary King z tłustym, masywnym basem, brzmiącym jak funkowa czołówka jakiegoś sitcomu o getcie z lat siedemdziesiątych, a za nim Cochise, z pierwszymi czterema drawbarami wyciągniętymi na maksa, sprawiając, że radosna melodia Lloyda Webbera dostawała drżączki; pan Jones wyciągał tu na wierzch niepokój wpisany w jej tytuł, wszak kochać Go można było na tysiące sposobów, a czasu, by wybrać najlepszy, miało się tak niewiele. Palce Cochise'a hycaly po klawiszach jak po knotach świeczek, które chciał podpalić jedną zapalką. Gdy w nasuwany przez Idrisa Muhammada gorący, burleskowy rytm wpasował się King, Cochise na poważnie wziął się do demolki, garściami rwąc melodię i rozrzucając jaskrawe strzępki, okraszone w zawrotnych pasażach całkiem nowymi dźwiękami. Rujnował kompozycję, przeszywał ją na wylot, z jakąś błazeńską euforią wykpiwał. Można było pomyśleć (a niektórym krytykom zdarzało się też pisać), że sens i duch pierwotnego utworu znaczy dla Cochise'a Jonesa tyle co wiersz dla rekina pożerającego poetę. Lecz po jakichś trzech minutach Cochise zaczynał budować, nawarstwiać skrawki i z kilku nut powtarzanych na tle bluesowych akordów lewej ręki wykuwała się solówka, gęsta, a przecież elementarna, dźwięk organów nabierał szorstkiej chrypliwości *vox humana*, melodia smutniała, wyostrzała się, bezczelniała. W idealnie nagłośnionym wzmacniaczu Leslie obracał się głośnik wysokotonowy, rozpędzały się wirniki, a piosenka ukazywała wreszcie swe prawdziwe oblicze, stając się wyznaniem porażki, konfesją niewiedzy i bezradności. A potem, w ostatnich taktach, bez ostrzeżenia wchodziły niepodrabialne smyczki Creeda Taylora, manieryczne, powściągliwe, nienadmiernie gustowne. Nutka ckliwości, drgnienie patosu, wobec których zamierały bębny i bas, pozostawiając Cochise'a Jonesa w towarzystwie najemnych skrzypiec kilku smętnych studyjnych Żydów, którzy też zaraz cichli i słyhać było już tylko gasnące organy pana Jonesa, które niosły objawienie: cały utwór był jednym wielkim przeprosinami, wyrazem, tak jak tylko w bluesie bywa, bezbrzeżnego żalu.

Archy nacisnął guzik unoszący ramię marantza 6300 o cudnym, stalowym połysku, który własnoręcznie przywrócił maszynie ocalonej przez Nata ze sterty śmieci na którejś z ulic Montclair. W ciszy, która potem zaległa, wsunął płytę z powrotem do koszulki, a koszulkę do koperty.

– Nat – powiedział Archy. – Przepraszam. Wiem, że jestem najbardziej nieefektywnym, niezdecydowanym i ogólnie beznadziejnym współnikiem, jaki mógł ci się trafić. I pana, panie Goode, też proszę o wybaczenie: przychodzi pan do mnie z tak wspaniałą ofertą, a ja zachowuję się w sposób, który pewnie wydaje się panu grubiański i niewdzięczny. Ale w tym momencie, i przez następne czterdzieści osiem godzin, dopóki nie upewnię się, że ten facet spoczywa bezpiecznie i w spokoju pod ziemią... – Ujął w obie dłonie kopertę, niczym hostessa na ringu, i uniósł ją wysoko, posyłając groźne spojrzenie pana Jonesa to w kierunku Nata, to G Bada. – Idźcie obaj w pizdu.

Skinął głową, tyleż sobie samemu, co obu interlokutorom, po czym, wsadziwszy pod pachę kopertę z płytą, wyszedł na ulicę, po raz pierwszy od iluś dni czując się podejrzanym wolnym od żalu i gotowym na wszystko, z kursem tradycyjnie obranym na pojutrze.

Ostatni poranny sztandar lata, błękit obrębiony złotem i barwą brzoskwini, rozpościerał się z wolna nad miastem, gdy dwóch wędrowców zamieszkałych w owym tajemnym świecie, który rozmaite łotry, karciarze i szermierze zwali w swych opowieściach Brzegiem Rzeki, podążało ulicą Blake'a ku bastionowi Klanu Jew-Tang, dostrzegając już cedrowe gonty wyblakłe na kolor suchych sierpniowych wzgórz. Uzbrojeni jedynie w subtelną broń samotności, pozostawili za sobą, niczym stosy trupów, zawód, jaki sprawiła im nauka w Szkole Żółwia. Właściwie wciąż byli chłopcami i choć różniły ich rasa, temperament oraz koncepcja miłości, jednoczyło ich poczucie, że ostatki ich chłopiństwa stanowią balast, który należy czym prędzej odciąć. Pod względem umysłowości

jednak chłopięstwo pozostawało w pełnej mocy, sprytnie zacierając granicę między życzeniem a planem.

- Nie zostanę. Żeby było jasne. Nie ma bata po prostu.
- Tylko na parę dni.
- Za długo.
- No to aż zdobędziemy jakąś kasę.
- Nawet dzisiaj mogę zdobyć. Ile masz?
- Sto siedem dolarów.
- Hm.
- Sto osiem. Znaczy wiesz, pewnie wystarczy na autobus, ale...
- Sam autobus to będzie ze sto.

Ich życzeniem, przystrojonym w maskę planu, było odnalezienie legendarnego mistrza, przebywającego w okrytej tajemnicą kryjówce wśród pustyni południa, by zaoferować mu swe szermierskie usługi. Zapowiadała się długa, naszpikowana niebezpieczeństwami podróż, której nikt przy zdrowych zmysłach by się nie podjął, lecz jeden z chłopców opanował do perfekcji kung-fu rozpaczy, drugi zaś kung-fu miłości, tak więc zbrojni w owe prastare techniki przeszli nietknięci, skutecznie chronieni od wiedzy o tym, że porażki nie da się uniknąć. Był w każdym razie koniec lata, a więc czas, gdy życzenia czternastoletnich chłopców bywają ślepe na fakty. Dlatego też po drodze odbyli krótki postój w domostwie, w którym wzrastał niegdyś jeden z młodzieńców, nim całkowicie o władnął nim gorzki czar Brzegu Rzeki; kradzieżą bądź szabrem mieli nadzieję zdobyć tam prowiant na drogę ku południowym rubieżom.

- Miałbym więcej niż sto osiem dolarów, tylko w kwietniu coś mi odjechało i na Solano Stroll kupiłem ten debilny hełm wikinga.
- Ile żeś za to dał?
- Dwieście dwadzieścia pięć. Nawet nic nie mów.
- Kurde no.
- Wiem. Ale ty, to są prawdziwe rogi. Z prawdziwego byka.
- Nawet na łeb ci się nie mieści.
- Bo ja łeb mam taki wielki, co zrobię.
- A w ogóle to hełmy wikingów *nie miały rogów*.
- Wiem. Przepraszam. Nie wiem, co mi do tego łba wielkiego strzeliło. Ale jeszcze cię wtedy nie znałem.

– Dobra tam. Mogę skombinować kasę. Tylko muszę, jakby, trochę zwędzić albo może, hm, może nawet znam kombinację do sejfu, w którym cioteczka trzyma pieniądze. Tak że teges.

– W sejfie trzyma?

– A jakim wielkim, ciężkim i w ogóle. W tym domu, co ona mieszka, to się nie dziwię. Ma jakieś trzysta, trzysta pięćdziesiąt, oszczędza na nową perukę. Taką, wiesz, z ludzkich włosów. Co je przywożą z Indii, tam są takie świątynie, ludzie se golą głowę i to jest, jakby, no, ofiara. Czyli muszę się tylko dostać do tego sejfu i...

– Ale kombinację znasz?

– Bez ostatniej cyfry. Ale tarcza jest tylko do pięćdziesięciu dziewięciu, więc luz.

Podkradali się do twierdzy Jew-Tangu z istic kocią rezerwą, używając technik Ciszy i Lekkości. Mimo rozwagi i niewiarygodnego wprost skupienia na zadaniu, zachodząc posesję od tyłu, poczuli na sobie czyjś wzrok.

– Co tu się, do jasnej...

– O. Cześć, mamó.

W kuchennym oknie wychodzącym na ogród stała matrona Klanu Jew-Tang. Nie było tajemnicą, że wzrokiem umie przeszyć ciemność, zarówno tę w zakamarkach świata, jak i tę w ludzkim sercu. Na sam dźwięk jej głosu, wyostrzonego podobnie jak wzrok i słuch podczas wieloletnich niemiłosiernych studiów nad skłonnością mężczyzn i planów do niespełniania oczekiwań, wielki zamiar dwóch młodych wojowników, powzięty jednomyślnie podczas ucieczki ze Szkoły Żółwia, rozpadł się w głowie jej syna na całkiem nierealne kawałeczki. Młodzieńcy zwrócili wzrok ku jej straszliwej sylwetce na tle padającego ukośnie światła: odziana w surowe szaty, jak gdyby miała stanąć przed jakimś trybunałem, przetrząsała ich dusze wzrokiem, przed którym nic nie mogło się ukryć. W jednej dłoni trzymała filizankę, w drugiej zaś przezroczyste podłużne pudełeczko z przegródkami zawierające tygodniową porcję tajemnych pastylek, z których to gorzkich kruszonych specyfików czerpała wiele ze swych legendarnych mocy.

– On nas, no, wywalił – powiedział jej syn.

– Nic nam nie jest – dodał ten drugi.

– Wywalił?

- Nie, psze pani.
- Tak – powiedział jej syn.

Wszystkie techniki, których uczono adeptów w prastarych szkołach kłamstwa za murami górskich twierdz, zdałyby się na nic wobec tej niepozornej matrony, niepokonanej mistrzyni kung-fu Stalowego Spojrzenia. Jej syn wiedział doskonale, że jedyną szansą na wyjście z opresji jest opowiedzenie takiej wersji faktów, by kłamstwo, skryte w owczej skórze prawdy, mogło prześliznąć się pod palcami jej uwagi w zbawiennej chwili ślepoty.

– Ale tak tylko na dzisiaj – powiedział jej syn. – Czyszczenie dywanów.

- Archy zamówił czyszczenie dywanów?
- No tak.
- Rozumiem. Możesz to skrócić?
- Że co?
- Czy możesz to skrócić? Ściszyć? Co to w ogóle jest?
- Return to Forever.
- Łojezu. Dzięki. A te bagaże to niby po co?
- Pralka się popsowała. Ti musi pranie zrobić.

Ten, do którego odnosiło się owo mistyczne miano, pokiwał głową, lecz syn nie miał złudzeń. Matka nie uwierzyła w ani jedno słowo, choć gdyby opowiedział prawdę, zareagowałaby pewnie tak samo.

– No, się ścięli, jakby. – Syn podjął kolejną próbę, wyżej unosząc obdartą płachtę owczej skóry. – Z Archym.

- „Pokłócili się”.
- Pokłócili się. Z Archym. I Archy go wywalił.
- Ale jak to? O co się pokłócili?
- No, nie było jakichś tam rękoczynów, ale, no, żeśmy wrócili tylko, żeby, no wiesz. Żeśmy wrócili.

Matka skinęła uprzejmie głową, dając niewątpliwy dowód niewiary, a także znak, że w dalszej części dochodzenia obecność syna nie będzie potrzebna.

- A ty? Co masz do powiedzenia? – spytała drugiego młodzieńca.

Przez kilka długich sekund, podczas gdy truto cesarza, trwoniono królewskie majątki i z katastrofalnym skutkiem lekceważono słowa proroków, nie padła żadna odpowiedź.

– Głodny jestem – odezwał się w końcu drugi młodzian.

– Coś podobnego – odparła matrona. – To czemu nie weszliście przez frontowe drzwi?

Dłuższa chwila upłynęła chłopcom na milczącej naradzie i obmyślaniu wiarygodnej odpowiedzi.

– Bo byliśmy głodni? A kuchnia jest na tyłach? – powiedział wreszcie jej syn i ujrzał, że jej oczy niczym mgłą zasnuwają się znużeniem.

– Włażcie już – powiedziała.

Powłócząc obolałymi stopami, wspięli się, zmęczeni, po schodach tarasu, który górował nad ogrodowymi cyprysikami wśród schludnie zgrabionych kamyków. Zrzucili plecaki, odwiesili oręż i przekroczyli prastary próg z piaskowca, za którym rozpościerała się kuchnia ze sklepionym sufitem i grubymi kamiennymi murami, wśród których wciąż straszył dym tysiąca minionych biesiad i hulanek. Przed ich nadejściem zdążyła rozpaścić ogień, w potężnych kotłach wytopić tłuszcz, kaczkom i kurczakom poukręcać łby.

– W zamrażarce zostało naleśników – powiedziała. – Mogę wam odgrzać w mikrofalach. I tyle. Mam spotkanie, mam przed sobą kompletnie szalony dzień, mam chwilę dosłownie. Mam się nie spóźnić!

– Poradzimy sobie.

– Naprawdę, mam. Luz. Możesz iść.

Zasiedli jednakowoż przy stole, gdzie przez te wszystkie lata zbierali się rozstawieni niegodziwcy i amatorzy zbrodni, by oddawać hołd gościnności przybytku i opróżniać piwnice z wina ryżowego, a spiżarnie z kaczek wiszących na hakach niczym fałdy na długiej kurtynie. Zasię matrona Klanu Jew-Tang postawiła przed nimi ucztę prawdziwą, z klusek kraszonych tłuszczem, wszelakich na ruszcie opiekanych narządów, marynowanych nóżek wieprzowych, także i jaj, skarbów istnych, które przez trzy zimy zagrzebane czekały pod ziemią.

– Syropu sobie weźcie – powiedziała z rękami skrzyżowanymi na piersi kusego jedwabnego zakietu w szarym kolorze. – Czyli co, chcesz się z powrotem wprowadzić?

– On... ups.

– Rany boskie, Julie. Masz serwetkę i zbieraj mi to zaraz.

– Wiesz, że nie chcę – powiedział ten drugi. – I ty też tego nie chcesz. Nie lubisz mnie przecież.

– Gdybym naprawdę cię nie lubiła... – odparła matrona Klanu Jew-Tang w preferowanym przez siebie epigramatycznym stylu – ... to nigdy nie dałabym ci satysfakcji, mówiąc ci o tym.

– I tak nie zostanę.

– Dobra. To jaki jest plan?

Chłopcy konsultowali się, w ogóle się nie konsultując, rozmawiali, nie otwierając ust, jeden szukał wzroku drugiego, oczu nie odrywając od talerza.

– Juliusie, ja i tak cię złamię.

Jej syn odłożył sztucze rzeźbione z kła narwala i westchnął.

– To jest jakieś kretyństwo – powiedział. – Titus, daj spokój, przecież wiesz, że tak. Że niby Quentin Tarantino złapie się na to twoje: „Ej, cześć, stary, mam czternastkę na karku i tylko wyglądam na dwanaście, któreśy, kurwa, do mojej przyczepy?”.

Na to jego kompan ukrył twarz w dłoniach i zapłakał.

– Okej, pokłóciłeś się z tatą – powiedziała matrona, odczekawszy chwilę dla przyzwoitości, i podała mu ścierkę, by otarł łzy.

– Wali mnie to.

– Możesz tu zostać – powiedziała matrona. – Możesz zostać tak długo, jak będziesz chciał albo musiał.

– Nie zostanę.

– Titus, ja rozumiem, że będzie z ciebie kiedyś geniusz kina. Nie, serio, czytałam twój scenariusz i oczywiście, co ja tam wiem, ale mnie wydał się bardzo dobry. Tylko że musisz mieć co najmniej osiemnaście lat, żeby Quentin Tarantino mógł wziąć cię pod swoje skrzydła. Bo nawet gdyby chciał, to na pewno są na to jakieś przepisy związkowe. Posłuchaj, teraz muszę lecieć. Już jestem spóźniona. Czy możesz w dwadzieścia pięć sekund albo nawet mniej powiedzieć mi, co cię tak smuci?

Na jego niezłomnym kamracie wywarło wrażenie to, jak długo rycerz skrytego smętku zdawał się rozważać ową kwestię.

– Nie wzięła poduszki – wybąkał wreszcie.

– Co? Kto nie wziął?

Jej syn podjął tedy bohaterską próbę zdania pospiesznej relacji z nieudanego najazdu Cesarzowej na Szkołę Żółwia pod osłoną

wczesnego poranka.

– Ona nie może spać bez tej poduszki – powiedział Titus. – Bo to ją, no, stresuje. I mojego brata pewnie też.

– Jestem pewna, że z twoim bratem wszystko w porządku – uspokoiła go matrona. – Ale mam pomysł.

Wyszła, by po niedługiej chwili wrócić z poduszką, wytworem barbarzyńskiego ludu północy wypchanym najdelikatniejszym gęsim puchem.

Z dostojną powagą, chyląc czoło, matrona powierzyła im Długi Piernat Snów Niezakłóconych. Po czym rzekła:

– Chłopcy, wam po prostu trzeba czegoś do roboty.

Zakradłszy się na górę po wąskich schodach, Gwen otworzyła drzwi zapasowym kluczem. Zzuła espadryle, by przejść po wypolerowanej drewnianej podłodze dojo pokrytej warstewką parmezanowego zapaszku stóp ku ciemnej jak woda ścianie z lustrem, które zaczynało się przy stojakach na broń. Śledził ją syk gołych podeszew przywierających do zimnej bambusowej podłogi, by zaraz się od niej odkleić. Długie lustro przeganiało zaledwie część cieni, innym dając schronienie, jak gdyby utknęły w nim na zawsze odbicia dawnych uczniów, czterdziestoletnie dzieje młodzieży z West Oakland, która kopniakami, ciosami i stylową próbowała wydostać się z dotychczasowego życia.

Chociaż Gwen miała trochę pietra, znalazłszy się sam na sam z tym lustrem nawiedzanym przez cienie, cieszyła się, że dojo jest puste. Wcale nie marzyła, by znów stanąć przed mistrzynią. Zamierzała zabrać swój skromny dobytek i zniknąć, zanim Irene Jew wróci z wizyty u lekarza tradycyjnej medycyny chińskiej, do którego chodziła w czwartki rano, by oczyścić jej *qi*.

Tego ranka Mistrzynie Jew, zaciskając wokół Gwen czarny pas determinacji, powierzyła swej uczennicy jasne, proste, nawet elementarne zadanie: odzyskać poduszkę, używaną, nieszczęśliwie wartościową, sztuk jeden. Lecz tak jak wszystko, czego Gwen się ostatnio tknęła (co uświadomiła sobie na głos, rozmawiając

z senatorem stanu Illinois), owa misja ratunkowa okazała się stratą czasu.

Z całym prawdopodobieństwem traciła czas od samego przyjazdu do Kalifornii w 1994 roku. Z zażenowaniem spoglądała teraz na tamtą Gwen Shanks, która zjawiała się w Berkeley z dyplomem pielęgniarki z Uniwersytetu Johns Hopkinsa, listem polecającym dla Avivy Roth-Jaffe oraz wielce egzaltowanym zamiarem przywrócenia bogatej spuścizny akuszerstwa zarówno swej położniczo udyplomowanej rodzinie, jak i całej czarnej społeczności. Dzięki swym zręcznym dłoniom, mocnym nerwom i urzekającej pacjentki umiejętności obracania ich hipisowskiej abrakadabry w sceptyczny żart przez długi czas Gwen mogła udawać, że nie słyszy głuchoj ciszy panującej w poczekalni, gdy zaczynała nasłuchiwać czarnych głosów. Teraz słyszała już tylko tę ciszę. Co zaś się tyczy jej małżeństwa, zakochała się w Archym Stallingsie, nie mając złudzeń co do jego przeszłości seksualnej czy też siły charakteru. Lecz jej wybuchy wielkoduszności – idące śladem jego występków niczym tyfus za powodzią – kazały jej powątpiewać, czy istnieje jakaś różnica między Iluzją a jej upartą siostrą Fantazją, która paradowała w aluminiowej czapce, snując szalone teorie.

Nie tak miało się potoczyć życie Gwendolyn Ward Shanks. Od zerówki u pani Hampt w prywatnej szkole Georgetown, gdzie trafiła już po samodzielnej lekturze *Małych kobietek*, przez Jack and Jill²³, aż po Uniwersytet Howarda, który ukończyła z najwyższym wynikiem na roku i gdzie wybrano ją na przewodniczącą pierwszego oddziału stowarzyszenia studentek Alpha Kappa Alpha, Gwen była szkolona, przygotowywana (wręcz, jak powiedziałyby jej ojciec, stworzona) do tego, by odnosić sukcesy. Realizować ambicje przodków i potwierdzać zasadność ich starań, zawierać odpowiednie związki małżeńskie, mierzyć wysoko, piąć się coraz wyżej i nie dawać za wygraną. Gwen przypomniał się teraz wykład, który pewnego wieczora zrobił jej Julie, wówczas dziesięcio-, może jedenastoletni, o różnicy między terraformowaniem a pantropią. Gdy modyfikowało się atmosferę i środowisko naturalne planety, żeby dostosować je do wymogów ludzkiej fizjologii, był to przykład terraformowania, pantropia zaś polegała na wprowadzaniu zmian w fizyczności i psychice człowieka po to, by umożliwić przetrwanie,

a nawet dobrobyt w ciężkich, nieprzyjaznych warunkach. Usiłując przeżyć na planecie Ameryka, niektórzy czarni zdecydowali się na gorzką, wręcz epicką tragedię terraformowania, inni, jak rodzice Gwen, a wcześniej ich rodzice i dziadkowie, zaangażowali się w długi i elitarny program pantropii. Jej owocem byli Gwen i jej bracia: zdolni do samodzielnego, swobodnego życia w atmosferze sukcesu, umiejący szybować i brać zakręty na termice sposobności i opierać się zabójczej grawitacji kolonizowanego świata.

Okazało się jednak, że Gwen nie była przygotowana do życia na powierzchni planety Brokeland. W ostatnim tygodniu dotarło do niej wreszcie, jak ciężko oddycha się jej osobliwym powietrzem, zaczęła odczuwać miazdzący ciężar tutejszej grawitacji. Musiała zrezygnować z kolejnych darów oraz atrybutów godności i pozycji, na które sobie ciężko zapracowała, aż wreszcie, po incydencie w Królowej Saby i tej krwawej jatce, zwanej też porodem córeczki Frankenthalerów, straciła ostatni, a przy tym najcenniejszy i okupiony największym wysiłkiem punkt przewagi: opanowanie. Jak ująłby to Julie Jaffe: wtopa!

A teraz jeszcze komisja, którą zwołano na popołudnie, by ponownie przeczłgać Gwen przez wspomnienie tego spartaczonego porodu. Nie miała siły stawiać jej czoła; nie miała nawet siły stawić czoła Avivie. W tym momencie bycie położną wydawało jej się mniej więcej tak samo atrakcyjne jak bycie żoną Archy'ego oraz macochą jego dziecka. Czowała wstręt do kung-fu, do siebie, do Oakland. Właściwie nigdy nie lubiła zatoki San Francisco, za chwiejną i płochliwą pogodę, za niebo, z którego o każdej porze roku sączyła się szarość, i za to, że poobstawiała się wzgórzami i punktami widokowymi niczym jakaś diwa rzędem krzesel, by trzeba ją było podziwiać. A ludzie? Fetyszyści i sekciarze ze skłonnością do schizm i manii prześladowczych, zbawienia upatrujący jedynie w smaku jajka złożonego w ogródku przez kurę z tradycyjnej, historycznej hodowli. Gwen wiedziała, że musi zabrać bambetle z pokoiku na górze, zanim Irene Jew wróci od terapeuty *qi*, władować wszystko do bagażnika i wypruć w siną dal. Najlepiej do jakiegoś miasteczka bez żadnych fiksj, gdzie ludzie już dawno wywieźli winyle na wysypisko i nie wybrzydząją w kwestii jajek.

Postawiła wszystkie żagle, by łapały zrywający się wiatr paniki; kto wie, co ją jeszcze mogło czekać na tych ponurych wodach.

Zmierzając do wejścia zamaskowanego plakatem (Bruce Lee, wspięty), niemal dostała w twarz skrzydłem innych, otwartych znieściana drzwi. Prowadziły do miniaturowej łazienki z kabiną prysznicową z PCV, dudniącą jak bęben za każdym razem, gdy Gwen się w niej obracała.

– O, prze... O, cześć!

Była to Valletta Moore. Choć czas, szluga i przyciężkawy makijaż zrobiły swoje, z nikim nie dałoby się jej pomylić. Jej zdjęcie z czasów świetności, wycięte ze starego numeru „Ebony”, wisiało na ścianie piwnicznego warsztatu ojca Gwen w Mitchellville, zajmując honorowe miejsce wśród narzędzi na hakach i wypełnionych śrubkami słoiczek po odżywkach dla dzieci i trapiąc nastolatkę wszystkim tym, co odróżniało Vallettę Moore (wysoką, o jasnym odcieniu karnacji oraz iście planetarnych piersiach) od Gwen, dla jej ojca stanowiąc przy tym najwyraźniej ideał czarnej kobiecości.

Nawet bez szpilek, z których jej nogi startowały na tamtym zdjęciu niczym rakiety Saturn V ku bujnej afrosferze, Valletta była wysoka, prawie metr osiemdziesiąt. Musiała mieć przynajmniej pięćdziesiątkę, ale spod spódniczki wyglądającej, jakby ktoś kilka razy obwiązał jej biodra i górę ud czarnym bandażem elastycznym, wystawało tyle nogi, że między jedną a drugą można by porozwieszać druty telefoniczne i słać w świat niesłychane komunikaty. Lśniące włosy ściągnięte były ciasno z tyłu, usta połyskiwały fioletową pomadką. Nim jej wściekle zielone oczy skryły się za szklami wielkich okularów Dolce & Gabbana, mignął w nich nieco psi wzrok zaskoczonych winowajczyni. Przyłapanej, pomyślała Gwen, na gorącym uczynku.

Valletta Moore spuściła głowę, zarzuciła na ramię pasek sporej czerwonej torebki z plastiku i skinąwszy chłodno Gwen, prześliznęła się obok. Czółenka na bluznierczo wysokim obcasie stuknęła o świętą podłogę dojo. Niewykluczone, że ostentacyjnie zawadiacki krok był przejawem opanowania, lecz w tak samo pewny, wyważony sposób mogła brać nogi za pas sklepowa złodziejka. W każdym razie serpentyna papieru toaletowego, powiewająca z paska króciutkiej mini niczym transparent za samolotem, poważnie psuła efekt.

– A! Hm. Panno... Pani Moore.

Zawahawszy się, kobieta przystanąła, a puste studio wypełniło się na chwilę echem jej kroków. Już miała obrócić się ku Gwen, ale zmieniła zdanie. Poprawiła pasek torebki na ramieniu i bez słowa ruszyła do drzwi.

– Dobrze, niech pani idzie, Valletto Moore. Pod banderą papieru toaletowego – powiedziała Gwen. – Zawsze lepiej mieć zapas. Tak na wszelki wypadek.

Od wyniosłego frontu Valletty odłączyła się naprężona, szponiasta, a mimo to elegancka dłoń, niczym inspicjentka posłana za kulisy po perukę zgubioną przez odtwórczynię głównej roli. Gorączkowa bezradność dłoni obmacującej tył spódniczki wzruszyła Gwen na tyle, że musiała ruszyć z pomocą. Valletta obróciła się błyskawicznie i odskoczyła, widząc, co Gwen kombinuje.

– Dzień dobry – powiedziała Gwen, w trzech palcach prawej ręki trzymając, mniej więcej na wysokości ramienia, zwisający skrawek papieru toaletowego, jak gdyby się spodziewała, że na drugim końcu zmaterializuje się jo-jo.

– Coś takiego – odparła Valletta Moore z nutą oskarżenia i wyrzutu w głosie.

Lustrowały się jak bokserzy albo koguty na ringu. Po obu stronach załadowano krioamunicję, rozmieszczono wyrzutnie. Tam, gdzie spotkał się ich wzrok, wyrastały wielkie śnieżne hałdy, podzwaniały pękające kryształki lodu.

– Mogę jeszcze w czymś pomóc? – spytała Gwen. – Czy *sifu* Jew wie, że pani tu jest?

Valletta Moore objęła wzrokiem brzuch Gwen w całej jego widowiskowości, mrużąc oko, jak gdyby oglądała deskę, by upewnić się, że jest idealnie prosta.

– A ty to niby kto?

– „Niby kto”? Że się na Halloween, kurwa, przebrałam?

Gwen poczuła perfumy tamtej, coś ciężkiego, kojarzącego się z płatkami Froot Loops. Może Poison. Przypomniała sobie, że odkryła ten zapach, niczym ucisk zbliżającej się migreny, zaraz pierwszej nocy w sekretnym pokoiku. Choć Valletta Moore nie była dawną uczennicą pani Jew, to (rozumowała Gwen) być może ojciec Archy’ego wrócił do Instytutu im. Bruce’a Lee, szukając schronienia

u starej nauczycielki, ale ulotnił się tuż przed zjawieniem się tu Gwen.

No to super. Już i tak było jej wstyd chować się w tak obskurnej pajęczej jamie, za zamaskowanymi drzwiami, ale mogła przynajmniej wyobrazić sobie, jak sugerowała Mistrzynie Jew, że idzie w ten sposób w ślady zbiegłych lamów i prześladowanych wyznawców Falun Gong. Tymczasem możliwe, że cały ten czas leżała obok pogiętego kokainisty nieroba z innej epoki i jego zmarnowanej ekseksdziewczyny w szufladzie opisanej raz na zawsze „Wtopa!”.

– Jak pani tu weszła? – chciała wiedzieć Gwen.

– Mam klucz.

– Słyszałam, że zapasowy jest tylko jeden.

Gdy Valletta rozpięła torebkę, by wyłowić z niej i triumfalnie okazać klucz do drzwi Instytutu, Gwen kątem oka dostrzegła na tle satynowej podszewki dziurę we wszechświecie, dokładnie w kształcie sporego pistoletu, który sobie tam tkwił, wchłaniając całe światło widzialne.

– Skąd pani ma ten klucz? – spytała Gwen pewnym głosem, choć serce przelewało się jej w piersi, wierzgając jak ten chłopczyk, który mieszkał w jej brzuchu. – Przychodzi tu pani na lekcje?

Spojrzała przez studio na gablotę, w której rozpościerała się złotomosięzna konurbacja trofeów pani Jew, uszeregowanych w zakurzone linie miejskich horyzontów. Po całych pokoleniach owadów pozostały w owej nekropolii jedynie puste pancerzyki i zgubione odnóża. Na najwyższej półce, oparte o ścianę, stało kilka ramek z czarno-białymi zdjęciami przedstawiającymi panią Jew w towarzystwie niektórych spośród jej najślynniejszych współpracowników i uczniów, był tu między innymi przyszły Kato, w białym gi i ze śmiertelnie poważną miną godną mykologa, oraz czarny przystojniak z wysokim afro, który schylał się, żeby przysunąć do buźki drobniutkiej *sifu* swą roześmianą twarz, twarz człowieka, w którym Gwen już dawno rozpoznała ojca Archy’ego, Luthera Stallingsa. O istnieniu Instytutu im. Bruce’a Lee dowiedziała się właśnie od Archy’ego, który w swych rekomendacjach zwykł kierować się ostrożną nostalgią, a było to jeszcze jesienią roku 2000, gdy ktoś jej powiedział, że sztuki walki mogą pomóc na sztywność

kolan i krzyża, doskwierającą jej, odkąd jeep wagoneer wjechał jej w tyłek.

– Też się pani tu uczyła?

To „też” wisiało w powietrzu, bez żadnego komentarza, niczym szpilka przytrzymująca strzepy mapy, którą Gwen usiłowała poskładać, obecną tu kobietę łącząc ze zdjęciem Luthera Stallingsa w gablocie z trofeami; łącząc Stallingsa z jego synem, który nie chciał go znać, a którego wciąż widziała, jak na ich weselu płacze w łazience z druzgocącej ulgi, że jego tatuś, idealnie spełniając oczekiwania, choć niestety zawodząc nadzieje, jednak się nie zjawiał; wreszcie łącząc to wszystko z opowieściami Archy’ego o metach dilerów kraku i rozprawach sądowych oraz, w czasach jeszcze odleglejszych, o nagiej kobiecie golącej nogi w łazience umeblowanej w stylu duńskim kawalerki w El Cerrito.

– A ja cię znam? – spytała Valletta Moore z wyraźnym powątpiewaniem.

– Nigdy się nie poznałyśmy – odparła Gwen. – Nazywam się Gwen Shanks. Wiem, kim pani jest. – Zdając sobie sprawę, że pewnie popełnia błąd, ale nie mogąc się przemóc, by dać tej kobiecie, mimo jej żalostnego stanu, satysfakcję, że rozpoznała jej sławną twarz z filmów albo, dajmy na to, z lśniącej fotki przypiętej dwadzieścia lat wcześniej do ściany warsztatu, Gwen dodała: – Jestem żoną Archy’ego Stallingsa.

– Cooo? Pierdolisz! – Unosząc okulary, Valletta Moore oślepiła Gwen zielenią. – Bez kitu? I dzieciaka będziecie z Archym mieli?

– Nie. Jestem po prostu potwornie gruba.

– Akurat.

– Nie – wyznała Gwen. – Tak się tylko nad sobą użalam.

– Och. Skarbie.

– No ale, Jezu... Valletta Moore. Jak się pani miewa?

– Jak się miewam? – Zdawała się chybotać na jakiejś krawędzi. – Robię swoje. Czaisz?

– Teraz już chyba powinnam.

– I *staram się* trzymać fason.

– Ależ trzyma pani. I to jak.

– Dzięki, skarbie. A ty co... Tu teraz mieszkasz?

– Ja się właśnie... Nie. Jestem w trakcie przeprowadzki.

- To nie jesteś już z Archym?
- Nie, proszę pani. W tym momencie nie. Chyba się...
- Nic nie musisz mówić. Jeśli chłopak ma nawet tylko dziesięć, piętnaście procent ze swojego ojczulka, to bardzo współczuję i wszystko jasne.
- A z nim wszystko w porządku? Z Lutherem? Czy on... ma jakieś kłopoty?

Valletta zdawała się rozważać najlepszą odpowiedź.

- Przepraszam – powiedziała. – Miło cię poznać, Gwen, ale naprawdę muszę lecieć. – Postąpiła krok w jej stronę. Nachyliła się. Zagarnęła Gwen na trzy sekundy w tropik perfum, olejku do włosów i gumy do żucia o smaku piña colady. – No dobra. Trzymaj się.

Raz jeszcze poprawiła na prawym ramieniu pasek ciężkiej torby. Już miała się odwrócić, gdy Gwen spytała:

- A może to pani ma kłopoty? Czy mogę jakoś pomóc?
- Trzym fason – odparła Valletta Moore, w pośpiechu odwracając strony równania. – I rób swoje.

Poszła. Gwen rozmyślała nad jej pożegnalnymi słowami, ze zdziwieniem odkrywając, że na ich dźwięk rozlało się w jej piersi jakieś ciepło, niemal płomień nostalgii. Coś gdzieś dzwoniło: urywek tekstu piosenki? Odzywka rzucona w tłum pod sam koniec jakiejś płyty koncertowej? Slogan? Ach. To musiały być słowa jej bohaterki z któregoś z tych okropnych filmów. Kiedy przejmuje stery pikującej awionetki, ma skoczyć ze schodów pożarowych na dach autobusu pędzącego na przedmieścia, zbroi się na ostateczne starcie z gangiem handlarzy heroiną. Albo ze szpitalną komisją akredytacyjną.

Gwen weszła do sekretnego pokoiku i zamiast spakować rzeczy i pruć w siną dal, jak planowała, poddała swoje ciuchy surowej inspekcji, starając się znaleźć coś, co nadałoby się do wystąpienia przed komisją. Nic z tego: będzie musiała iść na zakupy, czasu wystarczy akurat na to i na wizytę w Glama-Ramie. Przez cały ten czas kołatały jej się w myślach tamte słowa i wreszcie zdołała pochwycić je w locie: „Rób swoje i trzym fason”. Pożegnalne słowa Candygirl Clark, bohaterki granej przez Vallettę Moore w filmach o Strutterze. Rozbierając się, Gwen dumiała nad tym, czy było to coś wysmażonego przez scenarzystę, jakiegoś Żyda, który starał się

myśleć jak zajebista soul sista, czy też może wzięło się z improwizki, z czegoś, co Valletta mówiła w rzeczywistości. W ręczniku, który nie był w stanie całkiem jej opasać, i z włosami upchniętymi pod czepek weszła do łazienki i zauważyła, że pokrywa zbiornika spłuczki jest przekrzywiona. Zajrzawszy tam, znalazła przyklejony od wewnątrz plastikowy worek, rozcięty, pusty. Odłożona na miejsce pokrywa zadźwięczała jak dzwon.

W jej życiu mnóstwo rzeczy było nie tak i gdy opadły ją wszystkie naraz, podjęła podziwu godny i skuteczny wysiłek, by je rozpoznać i posegregować. Sprawdziła się jako meteorolożka niepowodzeń, stawiając czoła istnej burzy informacji. Tak to właśnie było z kłopotami: zjawiały się jednocześnie, jak zgraja żalobników obsiadających bar podczas stypy. Z taką sytuacją można sobie było poradzić, tylko obsługując pojedynczych gości, i właśnie tak zdecydowała się postąpić. Odkręciła wodę w prysznicu, dając jej się nagrzać i przypatrując się swej twarzy w stalowym lustrze, póki nie zniknęła jak San Francisco w letniej mgle. Gwen skierowała strumień wody, najgorętszej, jaką była w stanie wytrzymać, na punkty nośne ciała, w nadziei, że uda się uśmierzyć bolesne skurcze po kolejnej nocy bez poduszki ciężowej. Gdy wyszła z łazienki, rozpromieniona, parująca, okazało się, że najnowszy z jej kłopotów postanowił samopas odnaleźć drogę (dosłownie) do jej drzwi. A w każdym razie do jakichś drzwi. Pod czarno-białym plakatem, oparta o pokrywającą go taflę pleksi, zgięta wpół, jak gdyby chciała uchylić się przed Bruce'em Lee, który przelatywał nad nią z uniesionymi stopami, zaciskając pięści, w wiecznie niedokonanym wyskoku, tkwiła duża, miękka prążkowana poduszka ciężowa. Obok niej na podłodze leżał kwadratowy żółty paragon, na odwrocie którego Julie Jaffe wypisał swym błazeńskim pismem z samych wersalików: RÓB SWOJE I TRZYM FASON.

Obok środkowych drzwi w autobusie numer 1 siedziała młoda matka, Latynoska, z włosami ściągniętymi na czubku głowy w palemkę, trzymając na kolanach chłopczyka, z którym sprzęgnięta

była kabelkiem od słuchawek: każde miało jedną w lewym uchu. Chłopiec ścisnął jedyną ocalałą rękę figurki, która wyglądała na Goliata ze starej kreskówki *Gargulce*. Dawno temu to właśnie władczy głos Goliata, jego ciosana ze skały muskulatura i lwia grzywa wywołały u Juliego, który oglądał *Gargulce* na kanale Disneya, przebudzenie czegoś, co z przejęciem wspominał jako pierwszą świadomą erekcję. Kreskówki dawno już nie puszczały, a chłopczyk pewnie nawet nie wiedział, kim był Goliat, nie był świadom jego tragicznej gargulczej przeszłości, a właściwie smutnego losu całej gargulczej rasy. Dla niego ta zabawka była jedynie niedoskonałą enigmą, zarazem fajną i ułomną. Matka pewnie zamawiała mu na eBayu stare, popsute zabawki, żeby oszczędzić, albo zdawała się na to, co uda się wygrzebać z pojemników działu dziecięcego w sklepach charytatywnych Goodwill. Albo może sprzątała u kobiet, które rozdawały służbie rupiecie wzgardzone przez ich własne pociechy. Chłopczyk pewnie miał Goliata za zwykłego zabawkowego potwora; takie uprzedzenia i ignorancja były przecież dla potworów chlebem powszednim. Juliego aż zakłuło ze współczucia dla potworów i dla siebie samego; najbardziej jednak było mu żal tego chłopczyka z zabawką bez jednej ręki, który miał do tego w uchu tylko jedną słuchawkę. Juliemu zawsze udawało się znaleźć powody, by żałować współpasażerów.

- Żadna tam *moja* babcia – mówił Titus.
- Dobra, ale mimo wszystko.
- A ty co, nie ruchałbyś?

Tego typu chęć trudno było sobie wyobrazić, ale Julie nie czuł potrzeby tłumaczenia się z tego. Nie wytknął też rozmówcy, że ujmując sprawę teoretycznie, niemal równie zajebista co Valletta Moore byłaby wojowniczką w stalowym staniku i kolczudze, popadająca niekiedy w krwiożerczy szal berserkera, a jednak gdyby taka, powiedzmy, Czerwona Sonja wsiadła nagle do autobusu numer 1 jadącego do centrum Oakland, to dylemat, czy Julie, cytat: ruchałby, koniec cytatu, niekoniecznie byłby dylematem naczelnym. Nie mówiąc o tym, że mogłaby być czyjaś babcia.

- No spoko – powiedział zamiast tego Julie. – Totalnie.
- Ciota.

– Mowa nienawiści.

Jak gdyby w odpowiedzi udzielonej w tym niemym, zawiłym języku, którym załatwiali sekretne sprawy, asekurując swą przyjaźń, Titus wziął dłoń Juliego i przycisnął ją sobie do rozporka dżinsów. Siedzieli na tyłach zgrabnego przegubowego van hoola o nowiutkim przestronnym wnętrzu, a za nimi ani w bezpośrednim otoczeniu nie było nikogo, chociaż autobus nie był całkiem pusty, a w związku z tym gest Titusa nie był też całkiem ukradkowy. Julie przycisnęła dłoń do napiętego dżinsowego wzgórka i rozcapierzając palce, tarła go w tę i z powrotem. Ale Titus patrzył na Vallettę i (Julie nie miał wątpliwości) wyobrażał sobie, że kwestia ruchania przestaje być li tylko hipotetyczna. W scenie gwałtu otwierającej film *Niewolnicy z „Mayflowera”* obnażone piersi Valletty Moore odznaczały się wdzięcznym podobieństwem do bakłażanów: na tle jaśniejszej niż gdzie indziej skóry z rozległych brodawek wyrastały mięsiste sutki. Gdy gramoliła się spod ciała białego gwałciciela, dźgniętego w gardło nożem zaimprovizowanym z odłamka gramofonowej płyty, można było zobaczyć, na pauzie, „tu!” i jeszcze „tu!”, splątany cień jej podbrzusza. Titus niewątpliwie robił teraz z tego materiału użytek. W każdym razie nagość, którą sobie wyobrażał, nie była nagością Juliego, który nie miał w tej kwestii złudzeń. Titus pewnie nawet nie myślał o tym, że to dłoń Juliego wędruje ku jego rozporkowi.

Palce Juliego odstawiły komediową scenkę z guzikami i gumką Titusowych bokserek, gdzie fiut Titusa odegrał rolę pajacyka, co wyskakuje z miniaturowego samochodu, węża oswobodzonego ze zgrywnej puszkii z orzeszkami. W dotyku był gładki i chłodny jak gargulcza skała. Pieszcząc go, Julie starał się (na ile pozwalała mu fantazja) widzieć Vallettę Moore, tak jak widział ją Titus, ale udało mu się jedynie wyobrazić sobie, że jego usta są ustami Valletty, czerwonym od szminki, wyrazistym O wokół członka Titusa. Że jego głowa podryguje mechanicznie nad biodrami Titusa, tak jak głowa Valletty w scenie miłosnej z Lutherem Stallingssem w filmie *Strutter 2. Spuszczony z łańcucha*. Pomysł, że Julie mógłby kiedykolwiek upodobnić się do Valletty, w ten czy jakikolwiek inny sposób, wydał mu się tylko odrobinę mniej absurdalny niż to, że miałby ją ruchać, i uśmiechnął się na myśl o swej nieszczęsnej naturze gargulca.

Sprawy między Titusem a palcami Juliego zaszły na tyle daleko, na ile mogły, by nie trzeba było angażować chusteczek. Titus odtrącił rękę Juliego i wciąż mając przed oczami Vallettę, zapiął rozporek. Delikatnie ścisnął palce Juliego.

Julie powiedział:

- Ej, ale serio nie powinieneś mówić „ciota”.
- Oj tam, oj tam.
- Ja nie żartuję. To jest...

Titus mu przerwał:

- Proszę bardzo, możesz mnie nazwać „cz...”.
- Taa, jasne.
- Mi to zwisa.
- Akurat.

Titus zmarszczył czoło i przymknął oczy, na próbę odgrywając tę scenkę w myślach. Rozwalony na siedzeniu, niemal leżąc, z nogami sięgającymi miejsca dla niepełnosprawnych i z najkami jak dwie głowy z Wysp Wielkanocnych, zajmował w dodatku prawie jedną trzecią miejsca Juliego.

- Może rzeczywiście – zgodził się.
- Ale ja bym cię i tak *nigdy* tak nie nazwał.
- Okej, hipisku. Miłość, kwiatki i pokój na świecie.
- A tempehu byś nie chciał?

Zza okularów w stylu Run-DMC wzrok Titusa wwiercał się w tył głowy Valletty, ona zaś wpatrywała się w okno przed sobą lub też, co było mniej prawdopodobne, obserwowała coś przez szybę. Jak gdyby na przekór nieuleczalnemu ekolewactwu i potężnemu napromieniowaniu tęczowością, na jakie, zdaniem Titusa, wystawiło Juliego dzieciństwo pod kloszem Berkeley, autobus przetoczył się obok ruiny, w której mieścił się dawniej bar Kapka Miodu. Bar ten, należący kiedyś do Czarnych Panter, wspomniany był dwukrotnie na stronach pożyczonej im przez Petera van Edera książki o dziejach tej partii. Na parkingu napadnięto i pobito ich „ministra obrony”, Hueya Newtona, a parę wieczorów później, być może w odwecie, ktoś zastrzelił w barze niejakiego Everetta „Popcorn” Hughesa. Dziś na kuloodpornych okiennicach w bagdadzkim stylu, oślepiających facjatę Kapki Miodu, wisiał odważny, choć dziwnie sformułowany napis, głoszący smukłą, bezszeryfową czcionką, że na terenie posesji

powstanie wkrótce MindBridge: Ośrodek Badań nad Konsumpcją Ludzi.

– Chyba już wiem, skąd się bierze tempeh – oznajmił Julie.

– No dobra – Titus zwracał się właściwie do tyłu głowy Valletty Moore. – To dokąd jedziemy?

– Jedyńka daje do East Oakland. International Boulevard i chyba potem Fruitvale, jakoś tak.

Julie wiedział, że Titus nie pyta o trasę autobusu ani o to, gdzie może ich ona zaprowadzić. Sednem było inne pytanie: dokąd jedzie *tamta*. Niczym we śnie dosłownie wpadli na nią, gdy wychodziła jak gdyby nigdy nic przez frontowe drzwi Instytutu im. Bruce'a Lee. Siłę zderzenia Juliego z tą kobietą zamortyzowała poduszka ciężowa, tu w charakterze powietrznej. Znalazłszy się znienacka w chłodnych, mięciutkich objęciach jej zapachu, Julie niemal ją wówczas rozpoznał: „Wygląda jak ona i pachnie tak jak ona mogłaby pachnieć ale jakie to dziwne przecież właśnie obejrzałem sześć spośród dziewięciu filmów w których wystąpiła między 1974 a 1978 rokiem czyli wszystkie dostępne na DVD albo VHS ciekawe ile ona może mieć lat skoro urodziła się w jakimś 1954”, a potem, gdy znów wyszli na ulicę, zostawiwszy Gwen poduszkę z kartką, i zobaczyli tę kobietę czekającą przy wiacie przystanku po przeciwnej stronie Telegraph Avenue, był już pewien, że to ona: Valletta Moore we własnej osobie. Smukła, piękna, kocia, z ową wyniosłością Candygirl Clark; jednak napromieniowane tęczą oczy chłopaka z East Bay dostrzegły w niej też coś z lekka transowatego.

Titus, rozpoznawszy ją, całkiem zamilkł, tak jak tylko on potrafił, wyłączając wszystkie nieistotne systemy i całą moc napędu impulsowego kierując do czujników. Oto Valletta Moore czeka sobie w najlepsze na autobus AC Transit, klepiąc telefonem o biodro: trudno odgadnąć wyraz jej twarzy ukrytej za okularami słonecznymi w stylu zamorskiego dyktatora, ale kobieta stoi niemal skulona, może ze zniecierpliwienia albo dlatego, że bardzo chce jej się siku. Głowę, jak talerz radaru, obraca za każdym przejeżdżającym autem. Gdzieś się wybiera. Kogoś wypatruje.

Myśl, że Valletta jest być może umówiona na schadzkę z Lutherem Stallingssem, przyszła obu chłopcom do głowy jednocześnie, ponieważ od zderzenia przy wejściu do Instytutu

zdążyli nie tylko zostawić poduszkę pod drzwiami, które (dla Juliego była to myśl równie przerażająca jak ta, że miałyby odbyć stosunek płciowy z Vallettą Moore czy z Czerwoną Sonją) przesłaniały bezmiar nagiego ciała Gwen Stallings, ewidentnie w owej chwili mydlonego i splukiwanego, zdążyli także zerknąć na oprawione zdjęcie w zakurzonej gablotce: Luther Stallings w kwiecie wieku, pozujący obok tej małej chińskiej *sifu* z kuku na muniu, gdy miała raptem sto lat, a nie, jak dziś, jakieś sto trzydzieści pięć.

– Ej, pokumaj – powiedział wtedy Titus, przyglądając się stojącej na przystanku Valletcie.

Znów działały wszystkie systemy. Olśniewającą dłonią poklepał lekko bok swego eleganckiego afro, po czym przeszedł przez ulicę, ignorując światło i nadjeżdżające pojazdy; Julie mógł już tylko zamknąć pochód w roli zaniepokojonego dziadunia. Po jakimś czasie wsiedli za nią do autobusu. Sunęli teraz po linii wytyczonej od zdjęcia z lamusa kung-fu do Valletty Moore, która sama przejęła ołówkę, by wyznaczyć dalszą trasę, mającą ich powieść wprost do kryjówki czarownika.

Błędem byłoby twierdzić, że Julie nie miał złudzeń co do tego, czy Luther Stallings okaże się godny zachwytu, szacunku, a nawet (objawiającej się jak dotąd niemal czystym fanbojstwem) miłości, którymi to uczuciami darzył tego człowieka Titus, a więc, co za tym idzie, także zakochany w Titusie Julie. W istocie, Julie Jaffe był jednym z tych nielicznych stworzeń, które zdolne są patrzeć w przeszłość z optymizmem, a w dodatku, oglądając dostępną filmografię Luthera Stallingsa, czuł podniecenie seksualne podobne temu, którego musiał doświadczać Titus, gdy wlepił oczy w Vallettę Moore. I nawet nie dlatego, że Stallings był piękny, choć rzeczywiście był, a jego styl walki miał w sobie coś z tej gibkości, z jaką schylony biegacz kradnie bazę, nie dbając o czystość portek. Największe wrażenie robiło na nim to, czym Luther Stallings wręcz emanował. Juliemu cisnęło się na usta słowo „równowaga”: facet był niespieszony, pewny siebie, zawsze gotów improwizować. Czy coś tak niebywałego i delikatnego można było w całości sfingować? Cechę tę, w wersji soft, miał też Archy, a po nim Titus: wszystko to musiało się brać z jakiejś faktycznej esencji zawartej w sławnym pierwowzorze.

Dlatego też u kresu podróży autobusem kilka złudzeń Juliego pozostało nietkniętych, gdy szedł za Titusem podążającym za Vallettą Moore na wschód, ku Franklin Street, gdzie kobieta otworzyła telefon, chwilę rozmawiała, by zaraz zniknąć w barze szybkiej obsługi Loving Donut, którego szyld głośił obojętnie, co było chyba skutkiem nieuważnego użycia języka, że oferuje się tam SUPER PĄCZKI SAJGONKI. Lecz nawet pominiawszy odrazę, z jaką jego ojciec i Archy wyrażali się zawsze o Lutherze Stallingsie, Julie czytał przecież dostatecznie dużo książek, dostatecznie dużo widział filmów, by podejrzewać, że gdyby Titus faktycznie poznał swojego dziadka, czekałoby go rozczarowanie, być może z gatunku tych straszliwych. Biorąc pod uwagę taki właśnie przebieg wydarzeń, Julie miał w połowie nadzieję, że Valletta Moore, nie widziawszy Luthera Stallingsa od dwudziestu lat, idzie po prostu, powiedzmy, zapłacić rachunek za prąd i wstąpiła tu jedynie po pączka, w drugiej zaś połowie liczył na to, że naprawdę znaleźli się na tropie tego legendarnego człowieka. Archy'emu z kolei Titus okazywał jedynie pogardę i nigdy nie powiedział niczego, co by w najmniejszym stopniu mogło sugerować, że w jego sercu ziele dziura w kształcie ojca, lecz Julie, niczym badający egzoplanetę astronom, obecność takiej dziury wnioskował z tego, jak wokół Titusa zakrzywiało się pole. Czuć ją było w jego ambicji i pogardzie. Czuć ją było w odwadze, która kazała Titusowi wyprzedzić Vallettę Moore, dać nura w czeluści Loving Donut, gdzie królowała szczotkowana stal i białe płytki podłogowe rodem z policyjnej kostnicy, i ustawić się przed nią w kolejce. Juliemu przypomniła się powieść szpiegowska, w której wyczytał, że najlepszym sposobem na śledzenie kogoś jest iść przed nim, lecz manewr Titusa odznaczał się jeszcze większym rozmachem.

Titus poprosił o sześć sajgonek i dwa pączki z lukrem; Julie zapłacił. Valletta Moore, na żadnego z nich nie zwracając najmniejszej uwagi, zamówiła chow mein z kurczakiem i dwanaście sajgonek na wynos.

Płaciła drobniakami, powoli, trzaskając kolejnymi monetami o kontuar i z każdą irytując się coraz bardziej, jak gdyby Azjatka przy kasie ją poganiała albo przeszkadzała jej w obliczeniach. Jednak Azjatka milczała z nieodgadnionym wyrazem twarzy, choć

w tym szczególnie cierpliwym milczeniu było coś, co można by wziąć za pogardę. Uregulowanie rachunku pochłonęło wszystkie miedziaki, które Valletta Moore była w stanie wygrzebać z grzechotliwej torebki. Gdy Azjatka zaproponowała, że uzupełni brakujące cztery centy, Valletta popatrzyła na oferowaną drobnicę z takim niesmakiem, jak gdyby należało ją czym prędzej zebrać chusteczką i wyrzucić do śmieci. Potem wyszła z białą papierową torebką na chodnik, gdzie przezorni chłopcy już dawno uprzedzili jej kroki. Ich przykrywka: dwóch stałych nastoletnich gości Loving Donut. Plan łatwy do zapamiętania, szatański w swej prostocie.

Julie nie chciał tknąć papierowej torebki podsuwanej mu przez Titusa, a co dopiero jej zawartości, tak cuchnącej kapustą i palonym cukrem, że aż przewracało mu się w kiszkaach, dostatecznie już poskręcanych od lęku, od emocji związanych z waleniem Titusowi gruchy w autobusie i od dreszczyku pogoni.

– Widziałeś, w jakim oleju oni to smażą?

– W silnikowym – odparł Titus. – Normalnie do volkswagena mógłbyś wlać.

Gdyby nakręcić film z Titusem jedzącym sześć sajkonek i dwa pączki, myślał Julie, a potem puścić go od tyłu, można by pomyśleć, że strzela nimi z ust, bam, bam, leciałyby jak kule z armaty. Trzydzieści sekund po rozpoczęciu posiłku wszedł do środka, żeby popić to wszystko szklanką mleka, również na koszt Juliego.

Titus wychynął z Loving Donut w samą porę, by ujrzeć przyjazd wielce żalostnego toronado. Samochód trząsał się, sapał i toczył dysputy z niewidzialnymi przeciwnikami jak jakiś żul z Telegraph Avenue; na progach i nadkolach rdza pozostawiła krwawe ślady kłów. Być może kiedyś, w jakiejś bardzo odległej epoce, auto było szare albo zielone, potem jednak musiało wpaść w ręce najbardziej niezdecydowanego lakiernika w dziejach motoryzacji, który na całej jego powierzchni wypróbował wszystkie możliwe podkłady.

Kierowca zwolnił, nie zatrzymując się, i sięgnął przez siedzenie pasażera, by odwiązać z rygla pętelkę z żółtej nylonowej linki, której drugi koniec przymocowany był do uchwyty na suficie. Drzwi otworzyły się z jękiem. Valletta wskoczyła na siedzenie pasażera jak futbolista, który dał susa nad obrońcą. Zatrzasnęła drzwi, na powrót okręciła linką rygiel i natychmiast podjęła z kierowcą jakąś

wcześniejszą kłótnię, której pogłos w odbijającym od krawężnika aucie szedł o lepsze z jego krztuśliwym chrząkaniem, wyraźnie wskazującym na rozedmę, astmę i gruźlicę.

Za kierownicą bezsprzecznie, niewątpliwie: Luther Stallings.

– O ja cię – powiedział Titus, a w jego głosie pobrzmiwało szczere zdziwienie.

I tu pogoń dobiegłaby końca, chłopcy musieliby poszukać drogi powrotnej z Franklin Street, gdyby Julie nie dojrzał człowieka w turbanie, który właśnie w owej chwili wychodził z jednopiętrowego biura obok Loving Donut. Trzymał paczkę tabletek na nadkwaśność Roloids i mały odświeżacz Febreze w spreju.

– Teraz zrobię coś strasznie rasistowskiego – ostrzegł Julie Titusa, siebie lub też krytykanckich bożków rodzinnego miasta.

Smętne toronado utknęło na światłach na rogu Dwunastej i Broadway. Julie podszedł do jegomościa w turbanie i spytał, czy (dziwnym zrządzeniem losu) nie jest taksówkarzem, a jeśli tak, to czy jego taryfa nie stoi przypadkiem gdzieś w pobliżu.

Juliemu oszczędzona jednak została demaskacja rasistowskich pokładów jego umysłu, przynajmniej tym razem, ponieważ okazało się, że za drzwiami, z których wyszedł ów mężczyzna w turbanie, mieści się dyspozytornia oraz główna siedziba obsługującej Berkeley i Oakland firmy taksówkarskiej Yellow Cab. Tak oto, dzięki zrządzeniu geografii, grubiańskie pytanie Juliego przemieniło się w rozsądny, nawet logiczny wniosek.

Człowiek w turbanie zmierzył ich wzrokiem i niemal zasłonił się odświeżaczem Febreze, być może sugerując, że jeśli to jakieś podśmiejki, to chłopcy dostaną ze spreja.

– A kto pyta się? – chciał wiedzieć.

Należący do pana Singha ford crown victoria stał tuż za rogiem, zaś wzdłuż dolnej partii drzwi, pod szablonowym logo Berkeley-Oakland Yellow Cab, widniało zapisane pochyłą czcionką zdumiewająco zaciekle wezwanie: NIECH BĘDĄ PRZEKŁĘTE INDIE IMPERIALISTYCZNI NISZCZYCIELE PURYSTANU! Chłopcy usiedli z tyłu. Juliemu zostało w portfelu dwadzieścia jeden dolarów. Miał nadzieję, że to wystarczy, by dotrzeć do celu, czymkolwiek miałyby się on okazać.

– Za tamtym samochodem – powiedział Titus.

Kwestię tę można było zapodać na wiele sposobów; Titus zdecydował się na lekki posmak BBC, à la agent John Steed w *Rewolwerze i meloniku*. Juliemu przypadła więc, przynajmniej w myślach, rola Emmy Peel albo Tary King. Nie był to wcale łatwy wybór, ponieważ obie opcje miały swój urok.

– Nie. Takie gierki nie – sprzeciwił się pan Singh. – Nie, nie, nie. Jeśliby wsiadaliście do samolotu, to nie mówiliście by pilotowi: „Za tamtym boeingiem”.

– Może i bym tak zrobił – odparł Titus. – Skąd pan to może wiedzieć.

– Wiem takie coś: „za tamtym samochodem”, a potem taksiarz kulka w łeb. Nie, nie. Nie ma „za tamtym samochodem”. Tamtemu samochodowi damy spokój!

– Ale taka jedna pani zostawiła w autobusie portfel – powiedział Julie, wymachując własnym, z napisem 21 JUMP STREET na żółtym plastiku. – Chcemy go jej tylko oddać.

– Na pewno to jest nieprawda!

– Joł, ale bez kitu – powiedział Titus, przyjmując gettowy akcent z równie szczerą swobodą co przed chwilą głos Patricka Macnee. – Tam w tej furze, c’nie, jest moja stara. Cały dzień tylko wóda i hera, i tak za bardzo tego zioma nie zna, co z nim tam jest. A kolo niby jest niebezpieczny, czaisz? Dajesz, ej. Na starą muszę mieć oko, c’nie?

W głosie chłopaka rozbrzmiewał dość autentyczny tryl i Julie się trochę przeląkł. Scenariusz ten spłynął z ust Titusa tak swobodnie i z nutą tak niekłamane go doświadczenia, że Juliego znów zakłuło w sercu, jak wcześniej w autobusie, gdy przyglądał się maluchowi z jednorękim gargulcem.

– Na moje uszy to jest sprawa dla policji – zawyrokował pan Singh.

– E tam. Ziomki powiedzą, że nie mają czasu na takie pierdy. Kumasz bazę?

Pan Singh przyjrzał się odbiciu Titusa we wstecznym lusterku. W oczach pana Singha, pomyślał Julie, było jakieś markotne piękno.

– Spróbuję dogonić – oświadczył pan Singh, wrzucając bieg. – Ale dozwoloną prędkość nie przekraczam!

– Luzik – odparł Titus. – Byle nie za blisko.

Pan Singh wyglądał na zniesmaczonego.

– Gierki – powiedział.

Ghost Town, Dogtown, Jingtletown, istniały całe połacie Oakland, o których Julie wiedział bardzo niewiele, w tym ów stary, łachmaniarski, zmaltretowany skraj ziemi między zatoką a płataniną międzystanówek 880 i 890: opuszczone bazy wojsk lądowych i marynarki, wyludnione przecznice, gdzie wszystko wyglądało jak sprasowane przez jakiś ekonomiczny meteor, strzępy mokradła z czaplami dla ozdoby. Do tego oczywiście cały klucz żurawi załadunkowych rozmieszczonych wzdłuż zachodniego przyczółku miasta, pierwszy oddział kawalerii oaklandzkiej sposobiący się do ataku na San Francisco, kontenery u stóp olbrzymich kwatermistrzów jak bele siana, których miano użyć w decydującym szturmie. Juliego od zawsze fascynowały kontenery w porcie Oakland, widziane z mostu, te kolosalne sterty barwnych klocków, jakby ktoś poniechał prób ułożenia ambitnego zestawu Lego. Z pozoru wymienne jak żetony w kasynie, zawsze mogły mieścić w sobie coś nowego i zaskakującego, piłki futbolowe, poliuretanowe repliki sushi, niebieskie lasery, czapki Świętego Mikołaja, dziesięciokilowe worki *chicharrones*. Teoretycznie były w nieustannym ruchu, import, eksport, przeładunek: chwytane, przeciągane, opuszczane na platformy pociągów, naczepy ciężarówek i pokłady ospałych statków, którymi tu przyływały i na których miały ruszyć w dalszą podróż. Lecz Juliemu jakoś nigdy nie udawało się przyłapać żurawia w trakcie pracy, a swobodne, choć eleganckie sterty kontenerów zawsze wyglądały na nieruchome, jak gdyby sprawami w porcie rządziła magia rodem z *Toy Story* i jego wzrok mógł w tej tajemnej robocie jedynie przeszkodzić.

– Widzicie te? – powiedział pan Singh, gdy podążali za toronado szeroką aleją, przecinającą tereny niegdysiejszej Składnicy Marynarki Wojennej w Oakland, jak głośiła tablica pamiątkowa na starej bramie opatrzonej graficiarskim tagiem, podobnym do pisma orków. Po wschodniej stronie alei stały z rezygnacją godną skazańców ogromne, otynkowane na szaro budynki kolejowe z betonu. Wzdłuż strony portowej odwijał się, niczym bela tkaniny, stalowy płot zwieńczony drutem kolczastym, za którym sposobiła się

do ataku stalowa kawaleria. – Takie wielkie, metalowe, co ludzie mówią, że jak konie?

– George Lucas – przepowiedział Julie półgłosem. – Transportery AT-AT.

– Wiecie, te, co w *Gwiezdnym wojnach* – uściślił pan Singh. – Te takie wielkie stwory, co łążą. Roboty takie wielkie, łążące.

– Transportery AT-AT – odparł Julie. – Na śniegu. – Wiedział, że jego ojciec, gdyby im towarzyszył, czułby się w obowiązku nadmienić, że to legenda miejska o East Bay, podobnie jak twierdzenie, że nazwę tę nadał regionowi pionierski sabat satanistów, posługując się świńską łaciną²⁴. Julie, który już dawno poprzysiągł sobie, że ani odrobinę nie będzie podobny do ojca, z największym trudem powstrzymał się od poprawienia pana Singha.

Titus w ogóle się nie odezwał. W milczeniu obserwował tył jadącego przed nimi toronado, tak jak wcześniej, w autobusie, tył głowy Valletty Moore.

– Właśnie! I o! Patrzą teraz! Widzą? Bardzo często George Lucas jeździł po tym moście, w jedną stronę, w drugą stronę jeździł, bo był, tak słyszałem, ze Stockton. Albo z Fresno.

– Z Modesto – powiedział Julie.

– Z Modesto, jeszcze gorzej. Młody człowiek był, do San Francisco przyjeżdżał, pił espresso kawę i doświadczał francuskie kino. Rano wracał do Modesto, a to jest straszna dziura, co ja mogę potwierdzić. I właśnie tutaj, widzicie, inspirował się do łążących maszyn AT-AT w *Gwiezdnym wojnach*!

– Zajebicie – powiedział Titus, odrywając wzrok od toronado tylko na chwilę, dostatecznie jednak długą, by znów znaleźć się wśród lodów Hoth, w cieniu tych olbrzymich krocących nóg, między którymi mykały strzelające linami starfighterzy. – Stop, stop.

Dotarli do fragmentu starego węzła kolejowego, gdzie budynki utrzymano w przyzwoitym stanie, a niektóre nawet odnowiono. Na betonowym pustkowiu bez torów kilka metalowych zajezdni i stacyjek tłoczyło się wokół ogromnej hali, piętrzącej się niczym średniowieczna twierdza. Na istnym totemie z szyldów ogłaszali się spawacze, producenci mebli na zamówienie, frezarze stali narzędziowej, wytwórcy włókna szklanego, a na samym dole

warsztat samochodowy Motor City: Serwis–Blacharstwo–Usługi. Toronado wtoczyło się na plac, żwir chrząścił pod kołami, a przy zmniejszonej prędkości spazmatyczny kaszel auta jeszcze się nasilił. Samochód odtańczył pijacką rumbę ku jednemu z trzech frontowych wjazdów do warsztatu Motor City, dźwignął się jeszcze na tyle, by wpełznąć weń do połowy, i tam, ostatni raz zatrząsłszy kastanietami, zdechł. Kierowca wysiadł, a cień Valletty Moore prześliznął się po przedniej kanapie, by przejąć stery.

Facet miał na sobie bluzę Oakland Raiders z numerem 78 i wypisanym na barkach nazwiskiem SHELL. Spodnie do kung-fu i jakieś sandały, może skórzane japonki. Niósł długą drewnianą pałkę, pewnie kij *bo* – nie, to jednak była laska – w każdym razie wywijał nią jak oldskulowy gliniarz na patrolu.

– No dobrze. To ja odjeżdżam – ogłosił pan Singh, gdy Stallings wychynął z auta, kręcąc kijaszkiem. – I was też zabieram. Gratis.

Stallings nie spojrział w ich stronę, zdawał się w ogóle nie zauważać taksówki. Okrążył szpotawe toronado i przez chwilę przyglądał się bagażnikowi. Następnie uniósł laskę, odchylił się na smukłych, strachowróblich nogach i delikatnie wepchnął jej czubek w okrągłą dziurkę od klucza w bagażniku. Ugiął kolano, przekręcił nadgarstek i (za sprawą *qi* lub najczystszej polotu, o ile faktycznie coś je od siebie różni) delikatnie pchnął toronado. Chybotnęło się w tył, po czym wtoczyło się przodem do warsztatu, pokonując pozostały odcinek. Z iście blofeldowską zwawością zjechały stalowe drzwi, by zatrzasnąć się za autem. Luther Stallings stał jeszcze chwilę, przypatrując się zamkniętym wrotom, jak gdyby przedstawiały jakąś alegorię. Potem błyskawicznie się obrócił i wskazał czubkiem laski forda crown victoria.

– O ja pierdole – powiedział Titus.

Pan Singh i Julie osiągnęli błyskawiczne porozumienie co do tego, że należy natychmiast zawrócić i odjechać na taki dystans, jaki zapewnić im może w poczuciu pana Singha dwadzieścia jeden dolarów.

Nim jednak ten ostatni zdążył zapalić silnik, Titus wysiadł. Z kieszonki koszuli wyciągnął kilka banknotów poskładanych z tak origamiczną precyzją, że mogłaby to być paczka sterylnych

chusteczek. Wysupłał dwudziestkę, wyglądającą jak niedorobiony żuraw pokoju, i podał ją panu Singhowi.

– Ja się tym zajmę – powiedział.

Julie też wygramolił się z taksówki. Pierwszy raz się zdarzyło, by Titus za coś zapłacił.

– Macie tu moją wizytówkę – powiedział pan Singh, podając Juliemu prostokąt z wytłoczonym nazwiskiem, danymi kontaktowymi oraz zaskakującą informacją, że jest także specjalistą od kuchni pendzabskiej.

– Spoko – odparł Julie, zbyt przejęty, przestraszony czy też zakłopotany, by wspomnieć, że choć podróżuje z ośmiościeżkowcem, to komórki nie posiada. – Dzięki.

Sięgnął do portfela z Johnnym Deppem i wydobył stamtąd na chybił trafił jedną ze swych wizytówek. Dopiero podawszy ją panu Singhowi, zorientował się, że na tej akurat widnieje napis:

JULIUS L. JAFFE

libertyn

Na słowo to natknął się w wiktoriańskich powieściach pornograficznych, które jego matka trzymała w swojej szafie, w pudełku po butach, wśród zwykłych pudełek z butami. I nawet jeśli Julie deklarował powołanie nieco mniej pragmatyczne niż pan Singh, z obu wizytówek w równym stopniu przebijała nadzieja. Specjalista od kuchni pendzabskiej przypatrzył się kartonikowi, po czym zerknął na Luthera Stallingsa. Ów, opierając się na lasce, szedł już powoli w kierunku Titusa, nie zdradzając się jednak z konkretnym zamiarem. Wąsy pana Singha odtańczyły powolne hula wokół zasznurowanych ust, gdy kontemplował wizytówkę Juliego. Potem, kilkakrotnie się za siebie oglądając, zawrócił i odjechał.

Libertyn bez teki dołączył do przyjaciela, który tymczasem, być może mimo woli, uskutecznił totalną imitację charakterystycznego kroku swego dziadka, kroku zintensyfikowanego jeszcze przez coś (może uraz, a może chorobę), co wymagało podpierania się laską, i była to imitacja tak dokładna, że zakrawała na kpinę. Stallings

przekrzywił głowę, mierząc Titusa wzrokiem; Titus przechylił swoją pod tym samym ciekawskim kątem. Chyba żaden się nie zorientował, że odgrywają numer Harpa i Groucha z *Kaczej zupy*.

– Ha – powiedział Stallings, a Titus posłusznie odpowiedział:

– Ha.

Włosy Stallingsa były gęsto przetykane popielatą siwizną. Ciało miał znacznie mniej niż w złotym okresie. Stan zębów był taki sobie; niektóre się całkiem pogubiły. Mimo to jednak wyglądał nie najgorzej, bez ewidentnych śladów rozjebki czy choroby, a jeśli nawet nie prezentował się równie znakomicie co jego filmowa ekspartnerka, i tak był w znacznie lepszej kondycji niż oldsmobile, a więc w kondycji, ogólnie rzecz biorąc, dość bliskiej oryginału, z chłodnym kanciarskim błyskiem w oku włącznie. Julie widział teraz, że buty na bosych stopach to ani sandały, ani japonki, tylko bawełniane pantofle, które w Chinatown można było kupić za pięć dolarów, prosto z pojemnika. Spodnie do kung-fu połyskiwały jak pizama lalki albo tani kostium na Halloween. Nie odrywając wzroku od Titusa, Stallings wyciągnął przed siebie laskę. Szerokim zamachem wycelował w Juliego jej końcówkę, która teraz, całkiem znieruchomiawszy, niczym różdżka zdawała się badać jego duszę: gest jak z *Pogromcy czarownic*. Julie poczuł, że oblewa go rumieniec, jak gdyby miało się zaraz wydać, że kieszenie ma wypchane lulkiem i mandragorą.

– A ten biały chłopak to kto? – spytał Titusa Stallings.

Padła jakaś odpowiedź, ale tak cicha, że Julie nie usłyszał.

– Że kto? – spytał Stallings. Jak dotąd w jego tonie nie było złości ani rozdrażnienia, wciąż jeszcze gotów był znosić głupców tudzież mamroczących chłopców, lecz było jasne, że to się może w każdej chwili zmienić.

– Mój przyjaciel – powiedział głośno Titus, wyraźnie zawstydzony.

Stallings opuścił laskę i obczaił sobie Juliego, raz z góry na dół i raz z lewej do prawej, lecz wciąż wydawał się nieprzekonany, by nie powiedzieć sceptyczny. – Twój „przyjaciel” – powtórzył, jak gdyby Titus twierdził, że Julie to jego niewidzialny ziemniak albo gadający niebieski ankylozaur.

– Czego oni tu? – Przy wjeździe na drugie stanowisko stała Valletta Moore z dłonią w czerwonej torebce.

– Archy to mój ojciec – powiedział Titus.

– Archy Stallings?

– Tak, psze pana.

– Poważnie? Mój wnuk jesteś?

Titus skinął głową.

– Ten to ma dzieciaki po całym mieście – zauważyła Valletta.

Zyskawszy konkretny cel, Luther pospieszył do nich. Titus, cały sztywny, poszedł w dziadkowe objęcia. Nie bez oporów, ale poszedł. Luther Stallings, przed laty całkiem poważny pretendent do zaciekle dyskutowanego miana Najtwardszego Czarnego Faceta na Świecie, otarł parę całkiem niestosownych łez.

– No ja cię kręcę.

Puścił Titusa, odsunął się o krok i chrząknął. Chwycił oburącz srebrzoną gałkę i osadził laskę mocno w ziemi przed sobą. Powiódł wzrokiem po alei przecinającej nagą przestrzeń starej zajezdni, a potem w drugą stronę, gdzie na pierwszy rzut oka nie było czego oglądać, prócz wilców toczących dziki spór z drutem kolczastym. I nieba: nieba w dużych ilościach, podartego na srebrne i błękitne strzępy. Były jeszcze ciężarówki z naczepami pełnące po wiaduktach ku dokom, jak paciorki na niekończącym się sznurze. I gdziekolwiek spojrzeć, stopy kontenerów z wymalowanymi nazwami, które Juliemu wyglądały na imiona zawodników w *Street Fighterze*: „K” Line, Yang Ming, Maersk, Star. A jeszcze dalej szare płaszczyzny i krawędzie San Francisco.

– Chodźcie lepiej do środka – powiedział Luther.

Titus ruszył w stronę warsztatu. Stallings obejrzał się na Juliego, który się wahał, sparaliżowany niedorzecznym lękiem, że Valletta Moore może mieć w torebce pistolet. Chociaż bał się też tego faceta z laską, tej infernalnej strefy Oakland, cieni w warsztacie, które gęstniały właśnie w sylwetkę mężczyzny, sporego, korpulentnego, z groźnymi wąsiskami, których właściciel plasował się gdzieś między szefem gangu motocyklowego a generalissimusem.

– Co jest? – spytał Luther Stallings Juliego. – Ciebie też przytulić?

– Poproszę – powiedział Julie, ale zaraz dotarło do niego, że Luther Stallings robi sobie jaja.

Facet nie zdążył się jeszcze odwrócić i bez oglądania się za siebie ruszyć szybkim krokiem do drzwi warsztatu Motor City: Serwis–Blacharstwo–Usługi, a Julie już poczuł ostre ukłucie straty.

– Rany, spójrz tylko na tego słodziaka – powiedziała gorzko Aviva.

Frog Park w porze lanczu, niemowlęta i ich pasterze na nasłonecznionym wygonie. Chłopczyk miał rudawe kędziorki, tak jak kiedyś Julie. Wylegiwał się u boku matki i karmił ją właśnie ziarenkiem ciecierzycy; majtał mu się odpięty kombinezonik.

– Obłądny, co?

Poza włosami chłopczyk w ogóle nie wyglądał jak Julie. Może jeszcze ten ką, pod jakim sobie leżał, i ta beztroska, z jaką ufał matce, że go podtrzyma: to rozczulało Avivę. Choć może chodziło po prostu o te wszystkie lata, które przysypały ją jak lawina. Musiała odwrócić wzrok. Już prawie żałowała, że udało jej się namówić Nata, by zamiast jeść w sklepie, zjadł z nią wczesny lancz w jakimś miłym miejscu. Torebka z kanapkami z Genova Delicatessen, trochę smażonych karczochów i dla każdego jedna aranciata. Ostatni posiłek: jej kpina zabrzmiała jakoś ponuro i Aviva była zaskoczona, że Nat, zgarbiony nad kontuarem Brokeland Records, z podbródkiem ujętym w dłoń, od razu przystał na jej terminologię. Z masztów powiewały same czarne żagle, jak na tym okręcie z greckich mitów; tradycyjnie, zostawiwszy za sobą kolejny labirynt, Nat płynął ku niej na pokładzie „Kapryśnego Kolesia”. Tymczasem wciąż nie wiedziała, gdzie właściwie podziewa się Archy. By wyjaśnić jego nieobecność, a także przyczynę złej atmosfery między współnikami bądź też w ich otoczeniu Aviva musiała już tylko złożyć formalny wniosek; wciąż jednak się wstrzymywała. Ten jeden raz niech to Nat posłucha. Niech się rozgląda, gdzie by tu kucnąć i przeczekać, czego się chwycić, gdy ona odkorkuje butelkę z dżinem paniki, oddając się temu, co można by nazwać odwrotnością myślenia życzeniowego.

– Jeśli mnie wsadzą... – powiedziała.

– Ło matko – odparł Nat, z kocią godnością wyławiając z kanapki cebulowe wstęgi Möbiusa i układając je na białym opakowaniu rozpostartym na ławce między nimi. – Zaczyna się.

– Obiecay mi, że zmusisz Juliego, żeby mnie odwiedzał.

– Aviva...

– Nie będzie chciał – upierała się Aviva. – Za bardzo będzie wkurzony.

– Nikt cię nie wsadzi.

– Aha. Skąd ta pewność?

Chłopczyk opierał się o mamę niczym bóg z włoskiego fresku o ulubioną chmurę, cały w matczynym niebie jej nagiego brązowego ramienia. Może z oczu też był troszeczkę podobny do Juliego; no i te spuchnięte od histaminy policzki...

– Aviva, przecież to tylko przesłuchanie w szpitalu. A nie rozprawa sądowa. I chodzi o coś, co zrobiła Gwen. Ty musisz tam tylko z nią pójść.

– Gwen niczego nie zrobiła.

– Nie no, jasne, ja tylko mówię...

– Ale właśnie o to chodzi! Prawdziwy błąd Gwen nie polegał na tym, że odpyskowała lekarzowi. To znaczy, oczywiście, to był błąd. Ale była zmęczona. Wykończona. To był naprawdę długi dzień. A gość się totalnie, ale to totalnie prosił.

– Domyślam się – powiedział Nat. – W ogóle trudno mi sobie wyobrazić Gwen Shanks, której puszczają nerwy.

– To było niezemskie. Imponujące. – Smakowite, ale i mdłe, jakby we dwie zjadły cały tort urodzinowy. Aviva poczuła wtedy, że napawa się tym wyskokiem Gwen: przez piętnaście okropnych lat musiała znosić butę i pogardę lekarzy, a teraz strzepnęła je z ramion jak łupież. Piętnaście lat bohaterskiej powściągliwości, zmilczanych ripost i *l'esprit d'escalier*. – Ale i tak był to błąd.

– Utrata kontroli nad sobą zawsze jest błędem – powiedział Nat bez cienia autoironii.

– Hm – odparła Aviva.

– Oj, cicho.

– No w każdym razie... To pierdolone przesłuchanie, które musimy dzisiaj przecierpieć. Wiesz, tu nie chodzi o to, że Gwen odwaliło na porodówce. Jeśli pójde do paki, to nie dlatego.

– Dobrze wiedzieć.

– Gwen uważa, że Lazar ją znieważył, bo jest czarna. A wiesz dobrze, jaką ja mam zasadę na takie sytuacje.

– Chodzi ci o zasadę „Co ja mogę wiedzieć o doświadczeniu czarnych”?

– No bo co ja w sumie mogę wiedzieć o doświadczeniu czarnych? Jestem pewna, że jak się do niego dorwała, zaczęła go wyzywać i wymachiwać mu palcem przed oczami, to dla Lazara była już tylko stereotypem z urazówki, wiesz: wkurzona czarna kobieta. Ale wielki błąd Gwen nie polegał też na tym, że jest kobietą i że jest czarna, tylko na tym, że jest *położną*. Wykwalifikowaną pielęgniarką i położną, która obsługuje i porody szpitalne, i porody *domowe*.

– A oni takich nienawidzą.

– Oni w ogóle nienawidzą położnych, a już zwłaszcza tych, które przyjmują porody w domu. Chcieliby, żebyśmy nie istniały. Chcą nam powiedzieć: „Wybierajcie. Możecie pomagać przy porodach tu u nas, w szpitalu, albo możecie je sobie urządzać w domu, z tą waszą paczulką, jedzeniem łożyska i mandalą wytatuowaną nad dupskiem. Ale, drogie panie, jeśli nadal chcecie sobie odstawiać te szopki w domu, to z akredytacją przy szpitalu możecie się pożegnać”.

Zorientowała się, że kilka kobiet dokoła, mam, opiekunek, ogląda się, żeby zobaczyć, kto w tak piękne sierpniowe popołudnie ciska takie gromy na starego, zgarbionego biedaka w garniturze jak do bilardowni, grzebiącego niemrawo w kanapce. Przynajmniej jedna z mam była pacjentką Towarzystek Porodu, miała na imię Dina, albo może Deanna, i teraz przyglądała się Avivie z mieszaniną zażenowania i fascynacji, jakby zobaczyła swojego rabina w bermudach koszącego trawnik.

– To znaczy – ciągnęła Aviva, zniżając głos – my to wiemy. To są niezbite, niepodważalne fakty. Reszta szpitali w East Bay już tę sprawę rozwiązała. Jeszcze tylko w Chimesie pozwalają położnym pomagać i przy domowych, i przy szpitalnych porodach. I tylko szukają wymówki, żeby pójść tą samą drogą co reszta. No i oczywiście cała władza jest w ich rękach, prawda?

– Prawda.

– A jak *u nich* się trafi taki poród jak Lydii? To mówią: „Ha, no tak, zdarza się, mama żyje, dziecko żyje, po co drążyć temat”. Nie wiem, gdyby Gwen nie odpieprzyło, może byśmy się jakoś prześliznęły. Ale cóż, Gwen odpieprzyło, a kiedy przyszła pora, żeby przeprosić za to, że jej tak odpieprzyło, to Gwen, nasza złociutka, nie chciała tego zrobić. Tak więc teraz, dziś, na tym przesłuchaniu...

– No właśnie, co będzie?

– Myślę, że zawieszą nam akredytację. Na miesiąc czy dwa. Sześć. Żeby nam dać do myślenia. A potem, za dwa miesiące albo za sześć, przywrócą je tylko pod takim warunkiem, że przestaniemy prowadzić porody domowe. A jak już dopadną mnie, zmuszą do tego całą resztę. I widzisz, Nat...

Odłożyła kanapkę, wytarła palce i pociągnęła spory łyk piekącej oranżady. Maluch oddalił się tymczasem nieco od miejsca, w którym leżała jego mama, dyrdał teraz po trawie, biorąc wyraźny kurs na drabinki. Matka patrzyła za nim, puchnąc z dumy, nieświadoma, że za każdym razem, gdy takie maluchy sobie gdzieś drepcą, to wracają odrobinę inne, starsze o dziesięć sekund i bliższe dnia, gdy porzucą cię na dobre. Poławiacze pereł na treningu: za każdym razem wytrzymują pod wodą parę sekund dłużej.

– Ale ja *nie przestanę* – powiedziała Aviva. – Tak im tylko powiem, żeby się odczepili, i dalej będę przyjmować porody w domach, po kryjomu. Obojętne, czy w jurtach, czy w domkach na drzewie, na osiedlach komunalnych, czy na szczycie Grizzly Peak, w szklanym pałacu za milion dolarów, z którego widać most Dumbarton. I pewnego dnia, prędzej czy później, coś mi nie pójdzie. Będę musiała zawieźć pacjentkę do szpitala. Wszystko się wyda. Odbiorą mi akredytację. Potem śledztwo, komisja i kiedy już przeciągną ten proces na tyle, że nasza rodzina nie będzie miała z czego żyć, bo będziemy po uszy w długach za honoraria całej masy prawników, stanowa komisja medyczna odbierze mi licencję. – Poczuła jakąś dziwną radość, odbita też w oczach męża, w których rodziło się pytanie, pewnie coś w rodzaju: „Czy ja też tak gadam?”. – A kiedy już odbiorą mi licencję, Nat, to obiecuję ci: nadal będę prowadzić porody domowe. Będę to robić dla tych, którzy żyją poza systemem. Na marginesie. Na nielegalu. Dla matek, które uciekają przed prawem. Matek w sektach, w komunach. Obstawię każdy wariacki,

wysoce niewskazany scenariusz, w którym ktoś potrzebuje zbuntowanej akuszerki. Ponieważ dzieci powinny się rodzić w domu i właśnie my powinniśmy je łapać. I taki jest mój cały system wartości, koniec kropka. Rozumiesz? Możesz sobie mówić, że jest błądy, staroświecki albo szalony...

– Ale czy ja kiedykolwiek...

– ...ale chciałabym, żebyś przez jedną minutę albo tak naprawdę, ponieważ jesteśmy małżeństwem od siedemnastu lat, przez dwie sekundy zastanowił się, czy byłabym gotowa w imię tych wartości iść do więzienia.

– Nawet nie pytaj – powiedział Nat. – Już zaczynam zbierać przepisy na ciasta.

Uśmiechnęła się i trzepnęła go w ramię, mocno, nie bez czułości.

– Aua.

– Dupek.

Dżin, ów lej cienistego dymu, spłynął z powrotem w paszczę butelki. Aviva zakorkowała ją i cisnęła w jakąś czeluść, w której było jej miejsce.

– Przepraszam – powiedziała. – Musiałam się wygadać.

– Rozumiem.

– Musiałam to komuś powiedzieć.

– Po to tu jestem – odparł.

– Taka robota.

– Super – powiedział. – Niedługo będę mógł przejść na pełen etat.

Dopiero teraz wychwyciła w jego głosie nutkę żalu, jak gdyby coś mu się w gardle zacięło.

– Hej – powiedziała. – Kochanie, o co chodzi?

– O nic – odparł. – Taki tam, kurwa, sklep z płytami.

– To święta ziemia – ozwał się starzec; a przynajmniej jakoś tak.

Prawdę mówiąc, Titus nie słuchał zbyt uważnie, a raczej słuchał, nawet się wsłuchiwał, ale w inną, większą historię, *Historię Titusa Joynera*, której finał, a przynajmniej jeden z finałów, miał się rozegrać tutaj. Właśnie tu, we fluorescencyjnym chłodzie i smrodku

tej prastarej groty na zaginionej Atlantydzie, albowiem warsztat Motor City: Serwis–Blacharstwo–Usługi okazał się istnym gabinetem osobliwości, miejscem ostatecznego spoczynku inkaskich łodzi podwodnych, nazistowskich spodków UFO i staroegipskich promieni śmierci. Tu, gdzie na stalowych hakach wbitych w dwie ściany z pustaków wisiały kości, skóry i wąpzia legendarnych bryk: atrapy, felgi szprychowe, chromowane zdobienia, złupione z dziesiątków monstrialnych automobili lub też zachowane na pamiątkę. Tu, gdzie przy długiej ścianie naprzeciw opuszczanych stalowych drzwi piętrzyło się istne Smithsonian, z półkami pełnymi części i przyrządów w skrzątnie opisanych pojemnikach, koszyczkach i szufladkach. Tu. Teraz. Wśród lodów planety Hoth, gdzie Titus musiał chować się w cieniu kroczących AT-AT. W kryjówece Cleona Struttera i Candygirl Clark, gdzie obmyślał wraz z nimi skok na kasy swej pancерnej jaźni, by wydrzeć stamtąd zazdrośnie strzeżony skarb. Tak więc Titus słuchał: całym bacznie pilnowanym, na zamek czasowy zatrzaśniętym sercem. Nie samej nawijki Luthera Stallingsa, tylko tajemniczej historii własnego życia od tej chwili naprzód, w której to zawikłanej opowieści niezborny wykład staruszka był tylko jednym z wątków.

– Święta ziemia. Oakland, Kalifornia. Tu się kończy marzenie. Tu się, kurwa, kończy trasa.

– Tylko wykład się nie kończy – wtrąciła Valletta Moore niemal powyżej progu słyszalności, z naciskiem na „niemal”. – Jak widać.

Siedziała przycupnięta na stołku barowym, zgarbiona jak jubiler nad odwróconym stalowym bębniem z rozpostartą na nim płachtą ubrokaconej tapicerki ze skaju, w „biurze” wykrojonym – za sprawą dwóch porośniętych tłuszczem kanap, drewnianego sekretarzyka i szafy biurowej – z tylnego kąta tej dudniącej echem szopy z pustaków, pod plakatem, na którym wściekle pomarańczowy podrasowany pikap reklamował coś, co nazywało się House of Kolor. W jednym uchu Valletty tkwiła biała słuchawka, druga dyndała pod tym zwróconym ku Lutherowi, ich właścicielka zaś w skupieniu pochylała się nad rozłożonym na lśniącym obrusie rzędem drobnych przyborów i buteleczek: było tam wszystko, co mogło się przydać do serwisu i lakierowania paznokci. Czasem opuszczała na nos okulary w półoprawkach, pilnując, by nie

pozostały tam dłużej niż kilka sekund. W poniechanej słuchawce monotony, bardzo bhrythyjski męski głos wybrzękiwał *Autobiografię panny Jane Marple* albo jakiś inny bzdet. Podmorska jaskinia dekoltu Valletty Moore, ledwie dostrzegalna w rozpięciu bluzki, kolejna, mniejsza Atlantyda, zaginiona pośród piegów i leciuteńkiego zapachu pysznogłówki, stanowiła inny, bardzo wyrazisty splot w opowieści o Titusie Joynerze.

– Facet ma widownię – stwierdził stary pulchny Meksykanin, Hiszpan czy kim on tam był.

Właściciel warsztatu, Sixto Cantor. Wąsata twarz z pomarańczowych pobrużdżonych skał jak u Thinga z Fantastycznej Czwórki, szeroka jak auta, z których żył, okolona gęstą siwą czupryną spływającą łabędzio na tył głowy jak płetwa jakiegoś gruchota z czasów Fonziego. Na wszytej w niebieski kombinezon plakietce czerwone litery układały się w imię EDDIE. Jego oczy pływały w okularach ochronnych z chropawą czarną oprawką niczym parka bojowników w akwarium. Przynajmniej jedno z nich nieustannie doglądało sześćosobowej ekipy przy pierwszym stanowisku, złożonej z trzech Latynosów, dwóch czarnoskórych i mikrogo punkowca z zamiłowaniem do body artu, którzy skrzętnie patroszyli jakiegoś grata z lat osiemdziesiątych, być może chevroleta citation. Żerowali na nim jak stado piranii.

– Do nocy stąd nie wyjdziemy – dorzucił.

– No, ja właśnie o nocy mówię – powiedział Luther Stallings. – Także spoko. Historię tworzy się w nocy, jak powiedział Henry Ford. I o to właśnie ludziom chodzi, kiedy mówią o amerykańskim *śnie*.

Tak perorował, leżąc na podłodze na wznak, ubrany tylko w białe piżamowate spodnie do kung-fu. Balansując na kości ogonowej opartej o matę z pianki, setkami ładował brzuszki. Rowerki, skośne, wspinanie po linie: ich miarowy, nożycowy puls nadawał rytm wykładowi, przerywanemu jedynie z rzadka grymasem, gdy coś chrupnęło w biodrze, albo, jeszcze rzadziej, parsknięciem rozdrażnionej Valletty Moore. Zerkając na Juliego, Titus za każdym razem łapał go na obserwowaniu mięśni brzucha mężczyzny, to falujących, to znów pęczniejących pod skórą, naciągniętą ciasno jak w fotelu sportowym. Julie miał przy tym minę człowieka, który

patrzy na tenisówkę wirującą w bębnie suszarki: jakby mdłości walczyły w nim z hipnotyczną fascynacją.

– Dla nas wszystko się zaczęło, kiedy białasy chciały się kimnąć w pociągu.

Już od jakichś piętnastu czy dwudziestu minut jego dyskurs poruszał się po tych właśnie lokalnych torach, szlakiem „Sekretnej Historii Czarnych w Kalifornii według Luthera Stallingsa”, a stary popierał swe tezy cytatami i przytoczeniami ze źródeł o niepodważalnym autorytecie, przy czym nazwiska autorów albo miały dopiero zostać wyjawione, albo, gdy już padły, Titusowi nie kojarzyły się zupełnie z niczym. Teza numer jeden, naczelna, nie do przeoczenia, zakładała mniej więcej tyle, że gdyby naprawdę solidnie pogrzebać, zagłębiając się w kopalnie wiedzy, tak jak czynił to stary w ciągu swych długich lat na wygnaniu, okazałoby się, że Oakland jest w sensie dosłownym Krainą Snów. Reszta, no cóż, umknęła gdzieś między warkotliwym szczekaniem sprężarki powietrza, nieustającym potokiem bzdur płynących z ust pracowników Motor City, widokiem czegoś, co wyglądało na prawe drzwi Batmobilu (te od strony Robina) ze starego serialu, wiszące w odległym kącie na haku jak półtusza wołowa, a podmorskim światem, którego wierzeje odmykały się za każdym razem, gdy Valletta Moore pochylała się, by pomalować brzeżek kolejnego paznokcia, bo szczerze mówiąc, Titus nie śledził wywodu zbyt uważnie, chociaż rozumiał i nawet był gotów poprzeć pogląd, że istnieje silny związek między „Sekretną Historią Czarnych w Kalifornii” a snem i bezsennością białego człowieka. Ponieważ, ponieważ... hm, coś było o tym, jak to w dawnych czasach biali zmierzający na zachód musieli się dobrze wyspać, żeby z należytą werwą podbijać i ujarzmiać, więc zwrócili się do człowieka nazwiskiem Pullman. No i ten białas, Joe, wróc, George Pullman, wziął się zaraz do roboty i nie żeby chciał się zachować przyzwoicie, ale ponieważ po prostu był sknerą, a że od ręki potrzebował wielu wykwalifikowanych, ale tanich sług, to zaczął zatrudniać dopiero co wyzwolonych czarnych mężczyzn, żeby doglądali snu białasów. Okraszając wywód pomrukami, które czasem zdawały się zastępować lub zagłuszać te fragmenty, które pozwoliłyby słuchaczowi się połapać, stary odmalował rozgrywające się co noc

sceny, a więc czujnych czarnych facetów wsłuchanych w niosące się po całym wagonie sypialnym odgłosy snu bogaczy, marzycieli, rozkołysanych jazdą wśród bezmiernych mroków ku krainie zachodzącego słońca, ku najodleglejszemu brzegowi amerykańskiego snu, co z powodów niewątpliwie wyjaśnionych podczas szczególnie głośnego pomruku brało się z tego, że słowo „Ameryka” jest w istocie szczątkową wersją nazwy „Amenthe-Ra”, określającej Krainę Zachodu w Starożytnym Egipcie, dokąd podróżowało się po śmierci, chociaż oczywiście nie pociągiem, tylko łodzią, płynącą na zachód łodzią, taką jak te, które obładowywali swym smutkiem afrykańscy przodkowie bagażowych Pullmana, nawet jeśli dla starożytnych Egipcjan śmiertelna podróż do Amenthe-Ra była jedynie rodzajem snu, a właściwie marzenia sennego – nie Marzenia à la Martin Luther King, lecz tej osobliwej podróży, jaką odbywa co noc uspiony ludzki mózg, chociaż, nawiasem mówiąc, te związki też były warte rozważenia, bo niby dlaczego doktor King, syn masona z loży Prince’a Halla, zdecydował się na obrazowanie tak kluczowe dla „Sekretnej Historii Czarnych w Kalifornii”, na język bagażowych Pullmana, oswobodzonych, zrehabilitowanych i wyniesionych na szczyty podczas Snu Białasa?

– Takiej wolności jak oni nie miał żaden czarny facet w dziejach – wyjaśnił chłopcom Luther Stallings. – Tylko że to była taka jakby sekretna wolność.

Z jego słów wyłaniał się obraz bagażowych Pullmana jako olbrzymich, elegancko ulizanych wojowników nocy, zbrojnych w uśmiechy, podróżujących po tych wszystkich zadupiach i pipidówkach, by rozglądać się po kraju i wzorem tajnych agentów wozić ze sobą skrzętnie ukryte nowiny o potajemnym świecie czarnej Ameryki, najnowsze płyty, plotki, magazyny, fryzury, by propagować te tradycje i style wszędzie tam, gdzie mieszkali czarni, a przede wszystkim śpiewać pieśń o Kalifornii, zwłaszcza o mieście Oakland, gdzie bagażowi Pullmana zeskakiwali z pociągów, by w promieniach zachodzącego słońca wyciągnąć się na kanapach domów, które kupili za pieniądze wyduszone z pana George’a Pullmana, gdzie zakładali rodziny, które będą posyłać dzieci i wnuki do college’ów, szkół zawodowych, a wreszcie i do Kongresu, a rano znów wsiadali do pociągów, by pędzić na południe

i na wschód, by głosić wieść o własnym dobrobycie, tak więc kiedy wybuchła druga wojna światowa, Oakland było już Hollywoodem dla aspirującej czarnej klasy średniej, tylko że w odróżnieniu od Hollywood, gdy człowiek trafił do Oakland, miał przynajmniej jakieś szanse na sukces.

– Hollywood – odezwał się Titus, czując, że powinien coś powiedzieć. – No nieźle.

Przedstawiona tak szczegółowo „Sekretna Historia” wydawała się po prawdzie nieco nudnawa, oparta na wydarzeniach, detalach i zjawiskach historycznych, których niejasność tylko się wzmagала, gdy jego dziadek spinał je ze sobą jak wagony: strajki i związki zawodowe czarnych, burżuazja i kluby nocne przy Siódmej Ulicy, stocznie, Ku Klux Klan maszerujący za dnia ulicą Broadway wśród wiwatujących szpalerów białego Oakland, a jednak trajektoria tej opowieści, z jej czasowym i przestrzennym rozmachem, rozbudziła w Titusie poczucie, że doznał objawienia.

– I to była prawdziwa „kolej podziemna”²⁵: ukryta pod inną koleją, w samym jej środku. A tu była pętla. Tu, gdzie teraz stoicie: hala peronowa. Widzicie tamtą krechę, szparę w betonie, jakby wielkie koło, które wszystko otacza? To gramofon. Wielki, stary, betonowy gramofon, który gra muzykę snów.

Wyglądało na to, że stary skończył przemowę. Podniósł się, zdyszany, lśniący od linii włosów aż po łydki.

– Tylko że już się nie kręci – powiedział Eddie.

Luther Stallings popatrywał to na Titusa, to na Juliego, łakomy ich reakcji, ciekaw, jak radzą sobie z tym, co usłyszeli, i co teraz poczną ze swymi małutkimi umysłami, skoro zostały rozsądzone.

Julie zerknął na Eddiego.

– To naprawdę z Batmobilu? – spytał.

– Ha. – Valletta Moore pokręciła głową. – Luther, oni też cię nie słuchają. – Wtykała właśnie między palce lewej dłoni małe piankowe separatory. – Nikt cię nie słucha.

– Gościu powinien był zgarnąć Oscara za te wszystkie role małomównych typów – podsumował Eddie.

I obaj z Vallettą zaczęli się skręcać ze śmiechu.

– Ja słucham – oświadczył Titus, siłąc się na ton, który nie brzmiałby kłótliwie, ponieważ kłócenie się z Vallettą Moore

sprawiało mu przykrość, a także, jak można było wywnioskować z filmów, w których ją widział, mogło się źle skończyć.

– No – powiedział Luther, częstując starą pociskiem chmurnego spojrzenia, z drugiej rury zaś paląc do Eddiego. Otarł pot postrzępionym, ale czystym kwadracikiem irchy. – I proszę. Słuchaj, chłopcze – zwrócił się do Titusa – jak chcesz zdobyć wiedzę, musisz zadawać pytania. Więc pytaj. Śmiało.

Titus rozumiał, że powinien nawiązać do zakończonego przed chwilą wykładu, lecz wygrał naturalny odruch najszczerzej ciekawości. Zamiast więc wrócić do kwestii obrzędów funeralnych w starożytnym Egipcie i wolnomularzy od Prince’a Halla, ku własnej konsternacji usłyszał, jak pyta:

– Czemu mieszkasz w garażu?

Od strony Eddiego Cantora doleciał ich kolejny atak tłumionego śmiechu, a właściwie seria mimowolnych, przepaszających półkaszlnięć. Valletta Moore tym razem zadowolona się studiowaniem własnego odbicia w świeżej warstwie połyskliwego lakieru na paznokciu lewego palca wskazującego i paroma słowami, wymówionymi szeptem niemal operowym, które, gdyby się wsłuchać, brzmiałyby jak: „Oho, to będzie dobre”.

Stary siedział, długimi ramionami przyciskając kolana do piersi. Zasznurował usta i wysuwając podbródek, pokręcił lekko głową. Zamknął oczy, by zaraz znów je otworzyć. Zdawało się, że już dość długo milczy. Titus zaczął żałować pytania, zwłaszcza kiedy w oczach starego błysnęły łzy, choć kryzys ten błyskawicznie zażegnano, ani jednej nie pozwalając skapnąć. Titus już miał wycofać pytanie i rozejrzeć się za zastępczym, gdy jego dziadek powiedział:

– Narobiłem w życiu debilnych rzeczy. Taka prawda.

Titus zerknął na Juliego, od którego spoważniałej nagle twarzy biło znawstwo ze szczyptą świętoszkowości.

– Prochy – powiedział Julie.

– Debilniejszych jeszcze od prochów – odparł stary. – A to już jest naprawdę, wierzcie mi, konkret. Ale od trzynastu miesięcy, jednego tygodnia i dwóch dni nie biorę i nie piję. Totalnie się ogarnąłem. Mogę oficjalnie powiedzieć, że trwają przygotowania do produkcji mojego filmu...

Valletta Moore złożyła kolejną uwagę z sylab lewitujących tuż nad progiem słyszalności. Przypominała teraz zaczarowaną lutnię z disneyowskiego filmu *Taran i magiczny kot*: gdy ten koleś, co na niej grał, ten, jak mu tam, bard, wymyślał kolejny sposób, by wyolbrzymić swe wyczyny albo umiejętności, w lutni pękała struna.

– *Strutter 3?* – spytał Titus.

– Zgadłeś. Tylko że, hm, jak się robi coś takiego, wiesz, niezależnego i się działa na takim poziomie, no, niestudijnym, jak Stallings Productions, to żeby coś sfinansować, trzeba, kurde, czasem być trochę kreatywnym. I dlatego, odpowiadając na twoje pytanie, nie żebym się akurat takiego spodziewał, ale, hm, wykombinowałem, jak jedną z tych debilnych rzeczy, co to je robiłem daaawno temu, trochę, rozumiesz, przekreślić, żeby na moje wyszło. Podpiąć się pod takiego jednego bogola z branży.

– Albo tak ci się tylko wydawało – wtrąciła Valletta Moore.

– Valletta, do jasnej...

– Myślałeś, że ci się uda skroić tego...

W jednej chwili stary był na nogach, jakby otworzył się parasol. Wystarczył kolejny ułamek sekundy, by podporządkować kończyny logice dalece klarowniejszej niż ta, która rządziła jego naukami. Jakby zerwał się wir powietrzny o niewielkim zasięgu, przypominający Diabła Tasmańskiego z kreskówek, a potem, tak jak z wprawieniem toronado w ruch za pomocą czubka laski, wszystko sprowadziło się do punktu styczności stopy z podłożem, tych kilku centymetrów kwadratowych. Stalowy bęben rąbnął o cement podłogi z brzdękiem, który miał w sobie ostateczność chińskiego gongu. Buteleczki i przybory Valletty poleciały na wszystkie strony. Pompa hydrauliczna przy podjeździe zamarła, zachłystując się powietrzem.

– Ehm – powiedział Julie do Valletty Moore. – Wszystko w porządku?

Były to pierwsze słowa, jakie do niej skierował, odkąd weszli do warsztatu.

– Och, nic mi nie jest, skarbie – powiedziała pogodnie Valletta. Pełzała po warsztacie na czworakach, usiłując wszystko pozbierać, sprawdzając, czy butelecзки nie popękały i czy nic się nie wylało. – Dzięki, że pytasz.

– Sprawdzę lepiej tamtych przygłupów – powiedział Eddie.

Za szybami akwarium z okularów dwa bojowniki mykały wte i wewte, gdy Eddie rozglądał się po bałaganie, na który przyzwolił w swym zasadniczo nieskazitelnym warsztacie, a z jego miny wynikało, że powody takiego przyzwolenia nie są już dla niego oczywiste. Titus pomyślał, że te oczy umieją pewnie w mig ocenić potencjał ozdowieńczy, ocaleńczy wraku po kapitalnej niegdyś maszynie. Próbował wyczytać z nich oznaki nadziei, lecz trudno było złapać wzrok Eddiego kursujący wciąż między nim a Juliem.

– Gdzieś was, chłopcy, podwieźć?

– Yyy, no...

Julie wstał, obejmując się ramionami, przyzwyczajony do towarzystwa ludzi, którzy ze sobą rozmawiają, dzielą się uczuciami, stają w kółeczku jak Troskliwe Misie, żeby się gremialnie przytulić, gdy już jest po wszystkim, i na pewno nikt niczego nie wywraca kopniakiem, a ścian i podłóg nie znaczą bryzgi krwistego lakieru.

Luther Stallings sięgnął po laskę i oparł się na niej obiema rękami, spoglądając na wnuka. Nie dawał po sobie poznać, jakich słów lub czynów właściwie oczekuje.

– Dzięki, nie trzeba – powiedział Titus.

Eddie skinął głową i oddalił się, by poddać krytyce wysiłki swej ekipy, wrzeszcząc coś pogardliwym spangliszem. Laska Luthera stuknęła o betonową podłogę, gdy ten stąpał bezszelestnie w pantoflach à la Bruce Lee po morzach i kontynentach plam ku toronado, stojącemu na najbliższym stanowisku. Przez okno po stronie kierowcy wyciągnął ze stacyjki kluczyki, potem obszedł auto i otworzył bagażnik. Wyciągnął z niego plastikowy pojemnik z dwoma zamknięciami i przydźwigał do jednego ze stołów. Spojrzał na Titusa, po czym spytał:

– Ziom, chcesz ten mój film zobaczyć czy nie?

Będzie musiała robić swoje, ale trzymanie fasonu może niestety nie wchodzić w rachubę. Z tym ostatnim wiązałoby się bowiem utrzymanie stanu metafizycznego, z którego Gwen, niczym dom na

podmytej deszczem stromiźnie, już dawno się ześliznęła. Postanowiła jednak dać z siebie wszystko, gotowa przestać się czaić, porzucić kryjówki i całe to tchórzliwe małżeńskie i zawodowe ninjutsu. Postawić na bezpośredniość, siłę i bezczelność Candygirl Clark, nawet jeśli jest to wyzwanie nieosiągalne dla kobiety w trzydziestym siódmym tygodniu, która od trzech dni całą garderobę ma w walizce i śpi na gąbce.

Mając jeszcze trzy godziny do rozstrzygającego starcia w szpitalu Chimesa, Gwen przejechała tunelem Caldecott do Krainy Białych Ludzi. W miarę jak szosa rozciągała się i prężyła mięśnie przed biegiem ku pogórzcu Sierra Nevada, jej bmw coraz lepiej wtapiało się w lokalną atmosferę. Wyostrzały się cienie, popołudnie nabierało pustynnej migotliwości. Szczebotały spryskiwacze. Piłki golfowe kreśliły białe tęczę w błękitnie nieba nad klubem Contra Costa. Wśród szafu zakupów na ramionach kobiet w spódniczkach do tenisa lśnił w słońcu złoty meszek.

W sklepie ciążowym A Pea in the Pod Gwen powierzyła swą rozbuchaną trójwymiarowość prostej sukience A-line z elastycznego szarego dżerseju, do której dobrała szary żakiet. Z niezadowolaniem odkryła, że z poduszkami na ramionach marynarki przypomina lotniskowiec. Ponieważ dzianina podjeżdżała jej tak wysoko na brzuchu, tył sukienki zdawał się zwiśać o dobre osiem czy dziesięć centymetrów niżej, tworząc coś na kształt samorzutnego trenu. Przez resztę dnia będzie musiała co chwila poprawiać przód sukienki, niczym nastolatka próbująca swej odwagi w ultraminiówce.

Przy kasie poprosiła o nożyczki, żeby rozprawić się z poduszkami, co sprawiło (zważywszy na szok, jaki odmalował się na pokrytej złotym meszkiem buzi młodej ekspedientki, gdy Gwen kierowała sukienkę kupioną dopiero co za sto siedemdziesiąt pięć dolarów), że poczuła się całkiem zajebiście. Stamtąd udała się do sklepu Easy Spirit, gdzie za pomocą wanadowych szczypiec i przenośnej osłony przeciwoodpryskowej przekazała swe zużyte espadryle jednostce ratownictwa chemicznego i wyszła w całkiem bezdusznej parze trumniaków typu Mary Jane. Choć miały urok cementu i elegancję pustaków, dało się w nich chodzić bez bólu ani uszkodzeń ciała;

Gwen uznała nawet, że bibliotekarsko-zakonny sznyt wcale nie wyklucza tego, że mogłaby nimi komuś zajebać.

Tak wyposażona, wróciła przez portal międzywymiarowy Caldecott do Oakland, by w Glama-Ramie powierzyć fryzurę subtelnemu, acz z pewnością nie cichemu artyzmowi Tyneece Fuqui. By sprostać tej awaryjnej sytuacji, Tyneece była zmuszona (jak wyjaśniła ze szczegółami, mocno poirytowana) przełożyć telefoniczną konsultację z jasnowidzką z hawajskiego Makawao, której podczas ich poprzedniej sesji niemal udało się zlokalizować dwie sztabki złota zrabowanego przez III Rzeszę, przywiezione z wojny przez pradziadka Tyneece i zakopane ponoć w jednym z trzech ogródków należących do trzech różnych kobiet z Oakland, matek jego dziewiętnaściorga dzieci. Wprowadzając Gwen w arkana numerów seryjnych nazistowskiego złota, tudzież w dzieje swych licznych, łaknących kruszcu krewnych, Tyneece robiła przegląd zmizerniałych loków Gwen, wyłapując bumelantów, maruderów i dekowników, by spleść tę zgraję ciasno, jakby naciągała klientce sprężynę determinacji. Masowała jej głowę, szyję i ramiona, a nowej asystentce kazała zająć się zbolałymi stopami Gwen. Wreszcie, zdziaławszy, co się dało, zawezwwała pana Roberta, po którego posłała, gdy tylko dotarło do niej, z czym Gwen musi się tego dnia zmierzyć.

I oto zjawił się pan Robert, pchając przed sobą wózek bagażowy w rodzaju tych używanych przez stewardesy, na którym jechał porysowany plastikowy przybornik do makijażu. Pan Robert okazał się drobnym, szykownym jegomościem w spodniach w zieloną kratę, w limonkowym golfie z krótkim rękawem i w białych butach z zamkiem z boku; fryzurę miał jak Sammy Davis. Ostatnio obsługiwał przede wszystkim wesela i bale maturalne, z rzadka jakąś quinceañerę, lecz w swoim czasie był niezawodnym wizażystą czarnego Hollywood i całe wygasłe już pokolenie telewizyjnych aktorek, od Diahann Carroll po Roxie Roker, liczyło na jego talent do przeciwdziałania wizualno-technicznej tendencyjności białych kamerzystów i mistrzów oświetlenia. Po paru sekundach intensywnej inspekcji pan Robert wzruszył ramionami, jakby zdeprimowany.

– Mówili, że sytuacja awaryjna – powiedział. – Ale skarbeńku, ty masz w sobie taki ogień, że zaraz mi się waciki spalą.

– Panie Robercie, pan mi tu kitów nie wciska!

– Ależ ja nie żartuję! Ty promieniejesz! Dawać licznik Geigera! I jeszcze taki pancerny skafander, co go nosi Homer Simpson!

Pan Robert był straszliwym, ale i anachronicznym plotkarzem; wyróżniały go także surowe, pointylistyczne pacnięcia pędzelkiem oraz nawyk zadawania pytań bez czekania na odpowiedź. Gdy już skończył, ujął jej podbródek w smukłe, suche palce i wygiąwszy jedną brew w sceptyczny łuk, przez chwilę obracał jej głowę raz w tę, raz w drugą stronę. Następnie pozwolił Gwen przejrzeć się w lustrzanej ścianie salonu.

– Wyglądam prawie pięknie – powiedziała jego odbiciu.

– Prawie? – odparło odbicie, wyraźnie dotknięte. – Kurwa, skarbeńku, u pana Roberta nie ma „prawie”.

– Faktycznie, panie Robercie, ma pan rację, dziękuję – przyznała szybciotko, słysząc rozeźlony klekot pędzelków i buteleczek odkładanych do różowego przybornika. – Wyglądam *szatowo*.

Nic nie odpowiedział, ale dostrzegła drgnienie lewego wąsa, półuśmiech półzadowolenia. Zbierał utensyilia powoli i z uwagą, od czasu do czasu rozmasowując ból starości w pięknych smukłych brązowych dłoniach. Tyneece już wzięła od Gwen pieniądze za tę awaryjną sesję, lecz kiedy pan Robert podniósł wzrok znad pudełka z przyrządami, zobaczył w dłoni Gwen dwudziestodolarowy napiwek. Pokręcił głową i odsunął jej wyciągniętą rękę.

– Po prostu następnym razem zgłoś się do mnie – powiedział.

– Ale... panie Robercie...

– Urodziłem się w kuchni mojej mamy – powiedział. – W Rosedale, w Missisipi. Na ten cudowny świat przyszedłem w dłoniach akuszerki. Takiej jak ty.

– Ach, no, hm – powiedziała Gwen, wzruszona, zakłopotana, żałując (choć przecież teoretycznie oznaczało to postęp), że przeminęła epoka czarnych akuszerok odbierających porody czarnych dzieci: tych kobiet, które po jednym oślizłym maluszku wyciągały na światło dnia przyszłość. – Dziś może się okazać, że już długo nie popracuję.

Jak to najwyraźniej miał w zwyczaju, choć może po prostu był przygłuchy, pan Robert zignorował jej słowa.

– Zanim wezwwała tatka, żeby mnie pierwszy raz zobaczył – ciągnął – ta pani wyciągnęła z torebki szminkę. I wiesz co? Pomalowała mamie usta. Uczesała jej włosy. Doprowadziła ją do porządku, rozumiesz? Przygotowała. A w każdym razie tak mi zawsze mówiła mama. I czasem się zastanawiam, czy to dlatego, hm, czy to stąd wziął mi się ten pomysł... – Jedną dłonią ujął się pod bok, a drugą wskazał przed siebie niczym dżin z przyszłości zwracający się do siebie samego z tamtych odległych już czasów Rosedale. – „Panie Robercie, będziesz pan kiedyś wizazystą!”. – Dźwignął przybornik, ułożył go na wózku i owiązał niedbale zieloną linką elastyczną. – Myślisz, że coś takiego... coś, co działo się zaraz po twoim urodzeniu... że da się coś takiego zapamiętać? I że to może zostać w człowieku na resztę życia?

– Niemowlęta są zdolne do wszystkiego. Nie zdziwiłabym się – odparła Gwen.

O czternastej pięćdziesiąt pięć, schowawszy do zamykanej kieszonki w torebce kwit z parkomatu szpitala Chimesa, Gwen powlokła się ku wielkim automatycznym drzwiom, przez które przechodziła już tyle razy, czasem późno w nocy, czasem w samym środku długiego popołudnia, kiedy indziej nad ranem, a stawką zawsze było coś znacznie większego niż jej własny, mikry, osobisty los. Przez filtr poczekalni szpitala przewalały się ludzkie dopływy i strumienie East Bay w całej swej dzikiej, lokalnej różnorodności. Gangster podbijający do windy z bukietem z lili i gerber pod pachą, stary, ogorzały bidok w wojskowych szortach, z szopą siwych włosów jak u szalonego naukowca, jednooki, trójpalczasty brodaty motocyklista, który wyglądał jej na niedbającego o siebie diabetyka zżeranego przez neuropatię, dwie świeżo upieczone mamy (jedna Azjatka, jedna ściśle spowita w zasady islamu) z noworodkami na rękach, czekające w przyozdobionych wózkach inwalidzkich, aż mężowie podjadą autami pod wejście. Kitle, fartuchy, koszule nocne, bluzy z numerami zawodników i wzorzyste hipisowskie spódnice; dwóch buddyjskich mnichów w barwach szafranu, pewnie Tajowie ze świątyni przy Russell Street. Na ich widok Gwen zapragnęła nagle tych kokosowych naleśniczków ze szczypiorkiem,

które serwowali tam w niedzielę rano, ale był czwartek, a poza tym Candygirl Clark nie dopuściłaby do tego, by jakaś zachcianka, nawet taka, której przedmiotem są naleśniki z tajskiej świątyni, odwróciła jej uwagę od obranej misji.

– Łał – powiedziała Aviva, ogarniając wzrokiem owoc determinacji Gwen. Buty, sukienka, żakiet, bujne loki wskrzeszonej koafiury. – Aleś się odstawiła.

Gwen poprawiła przód sukienki.

Aviva prezentowała się najpoważniej, jak się dało: szczupła, skuteczna, w brązowo-szarej garsonce ze spódniczką tuż przed kolano. Jej włosy, równomiernie (by nie powiedzieć: starannie) przetykane siwizną, były spięte szeroką klamrą z repusowanego meksykańskiego srebra. Bez makijażu, prócz odrobiny koloru na ustach, o odcień lub dwa mocniejszego od jej naturalnego różu. Wypoczęta, opanowana i, przynajmniej zdaniem Gwen, wyglądająca troszkę tak, jakby już pogodziła się z losem. Przyjrząwszy się bardzo dokładnie Gwen, Aviva zatrzymała się dłużej przy oczach, jak gdyby starała się z nich wyczytać jakąś wskazówkę co do stanu umysłu współniczki.

– Gotowa? – spytała.

– Jeszcze jak – odparła Gwen.

– O? – Tonem czujnym, zaciekawionym. – Wiesz coś, czego ja nie wiem?

– Jeszcze nie – odparowała Gwen. – Ale znamy się dopiero dziesięć lat.

– Ha – odparła Aviva; jej wykrywacz ściemy był jak zwykle ustawiony na diabelnie niski próg.

Gwen starała się robić wielkie oczy i udawać niewiniątko, choć, o dziwo, czuła się silna, pewna i wyłączając brak sześciu parujących naleśniczków z mleka kokosowego posypanych zieloną cebulką i umoszczonych w papierowej kołysce, całkiem gotowa.

– Będę się po prostu starała, wiesz, zachować w tej kwestii godność – powiedziała. – Nie zamierzam się już nigdy więcej wygłupić.

– Dobry plan – przyznała Aviva. – Okej. To chyba idziemy.

Gwen spojrzała na zegarek.

– Dajmy mu jeszcze minutę.

– Dajmy komu minutę?

– Moby’emu – odparła Gwen i właśnie w tym momencie dostrzegła tego wielkoluda, jak drobi kroczyki w lewo, żeby uniknąć kolizji ze starszym małżeństwem, które wspólnymi siłami starało się wyjść przez drzwi frontowe; we dwójkę tworzyli coś w rodzaju ludzkiego szałas, tymczasowego schronienia przed światem.

Do Moby’ego zadzwoniła zaraz po tamtym brzemiennym w skutki prysznicu, ostatnim, jaki miała wziąć w Instytucie im. Bruce’a Lee, kiedy to, niesiona olśniewającym podmuchem tych wszystkich anionów, odkryła, że przepełniło ją tchnienie Candygirl Clark.

– Ja znam te twoje autoironiczne komentarze, że jakie grube są kobity w ciąży i w ogóle... – powiedział jej wówczas Moby przez telefon – ...ale serio, tylko wieloryby reprezentuję.

– Tak, ja to wiem – odparła wtedy. – Ale w Szpitalu Ogólnym Chimesa nie wiedzą.

– A sugerowali, żebyśta przyprowadziły prawnika?

– Nie, wręcz przeciwnie, bo formalnie rzecz biorąc, dziś mają tylko rozeznaczyć się w temacie. Ale właśnie dlatego to jest taki dobry pomysł. Posłuchaj, Moby, nawet nie musisz nic mówić. Tylko tam usiądziesz. Krawat, aktówka, no i jesteś taki wielki, można się wystraszyć.

– Bez kitu! Że niby mnie?

– Zdecydowanie masz potencjał.

– Potencjał zajebistości?

– Hm, no, w pewnym sensie.

– Czyn-nik stra-chuuuu!

– O, właśnie.

Istotnie, słysząc wtedy w głosie Moby’ego tłący się entuzjazm, a do tego ten straszliwy akcent z musicalu *Breakdance 2*, Gwen zaczęła się wahać, lecz dziś nie było już czasu na wahanie, rozterki i obiekcje. Dziś trzeba było robić swoje oraz, w miarę możliwości własnych i pana Roberta, trzymać coś, co od biedy można by nazwać fasonem.

A tu gostek zjawia się w brązowych birkenstockach na czarne skarpety, nad tym wszystkim zaś góruje najbardziej workowaty z jego granatowych garniturów.

– Boże jedyny – powiedziała Aviva.

- Yyy...
- Co on tutaj robi?
- Chodziło mi o coś jakby czynnik strachu – powiedziała Gwen. – Ale żeby od razu w klapkach?
- Gwen!
- Wszystko pod kontrolą.
- Wszystko *pod kontrolą*?
- Ma tylko tam siedzieć. Taka, no wiesz, fizyczna prawnicza obecność.
- Dobrze – powiedziała Aviva, co znaczyło, że nie jest dobrze. – Czegoś tu nie rozumiem. Kiedy Garth Newgrange groził nam wielomilionowym pozwem, po którym mogłyśmy nie tylko stracić pracę, ale, kurwa, totalnie zbankrutować, nawet nie chciałaś *porozmawiać* z prawnikiem.
- Garth nie ma żadnych podstaw do pozwu. Dziecku nic nie jest, Lydii też.
- A potem na takie coś jak dziś... – kiedy było trzeba, Aviva umiała być tak samo głucha jak pan Robert – ...przyrowadzasz gościa, co ostatni proces miał w SeaWorld.
- Witam panie – powiedział Moby tonem tak uniżonym, że aż mdliło. Ciałem Gwen wstrząsnął kolejny dreszcz niepewności. Jednak w windzie wiozącej ich na górę Moby przyjął postawę zaskakująco profesjonalną, mówiąc cicho i szybko, pławiąc się we własnym znanstwie.
- Gadałem z radcą prawnym – powiedział współpracownik. – Mówi, że nawet jeśli wniesiono oficjalną skargę, to nie znaczy, że, rozumiecie, że tego się nie da później zatrzeć. W kamieniu nikt tego nie wrył. Komisja działa uznaniowo i może oddalić skargę, jeśli Lazarowi damy satysfakcję, a im pretekst. I wtedy, Gwen, masz probację na pół roku, może rok. Potem wszystko wraca do normy.
- „Pretekst” – powtórzyła Gwen. – Jakiego rodzaju „pretekst”, zdaniem działu prawnego, mamy im dać? I jak miałybyśmy „dać satysfakcję” Lazarowi?
- Rany boskie, Gwen, przecież wiesz, co musisz zrobić – powiedziała Aviva.
- Co?

Aviva nic nie odpowiedziała, nie czuła się w obowiązku, jak zawsze zadowolona z siebie i z telepatycznych mocy, jakie przypisywała swej bezsprzecznej nieomyślności. Tym razem Gwen stawiała opór; zdając sobie sprawę, że magicznym słowem jest „przeprosić”, wytrzymała spojrzenie Avivy. Drzwi windy otworzyły się na czwartym piętrze dla jakiegoś ducha, po czym znów się zamknęły i winda pojechała dalej.

– Przeprosić – wycedziła wreszcie Aviva. Zabrzmiało to trochę jak bezosobowy rozkaz.

– „Przeprosić”? – Gwen udała lekki szok. – *Lazara? Za co?*

– Za nic. Bo to puste sformułowanie. „Bardzo mi przykro”. Kiedyś, jak ktoś mówił, że mu przykro, to znaczyło, że mu coś doskwiera. Ale o tym nikt nie wie i nikt nie ma tego na myśli. To tylko *słowa*, Gwen. Symbol, zwykła krateczka przy jednej z pozycji na czyjejs liście, po prostu weźmiesz ołówek i... – Postawiła w powietrzu ptaszek. – Wyklepiesz formułkę, przyjmiesz lekarstwo i wszyscy będziemy mogli wreszcie...

– Przyjmę lekarstwo – powtórzyła Gwen, wydychając kolejną partię ironicznych cudzysłówów, chociaż chyba powoli kończyły jej się zapasy. – Nie no, jasne, w końcu to lekarze, nie? Byle nie próbowali mi go podać doodbytniczo...

Na szóstym piętrze drzwi znów się otworzyły, za to Gwen się zamknęła. Po drodze do sali obrad udało im się kompletnie pobłądzić w labiryncie przesmyków i przedsionków, ale zaraz natknęli się na samego Lazara, który wycierał usta w spód rękawa, odwracając się od kranu w połowie wyłożonej niebieskim dywanem odnogi korytarza za kadrami. Miał na sobie jasnoblękitną koszulę, a do tego dzianinowy krawat z kwadratowym wykończeniem i spodnie z twillu, tak ciasno opięte na udach cyklisty, że nogawki podjeżdżały do poziomu powodziowego.

– Przykro mi, że to zaszło tak daleko – powiedziała Aviva.

– Wiem, że pani jest przykro – odparł, wymownie unikając wzroku z Gwen. Otworzył drzwi do sali obrad i puścił je przodem.

Gdy się sobie przedstawiali, Gwen zrozumiała, że jednak ma fart: w skład komisji akredytacyjnej wchodziło obecnie trzech położników. Znała całą trójkę, zdarzało im się razem pracować i – tak jak Aviva – była z nimi w dobrych stosunkach, a w przypadku

doktora Bernsteina, który dziś przewodniczył, wręcz w ciepłych. Ten ostatni przysłał już do nich dziesiątki pacjentek, Gwen odnosiła nawet wrażenie, że stary Aryeh Bernstein zarywa do Avivy – tak po lekarsku, by czas szybciej zlatywał. Jednak fart Gwen polegał na czymś innym.

3 BIAŁYCH POŁOŻNIKÓW, napisała Aviva na wierzchniej kartce jednego z żółtych notatników A4 wręczonych współniczkom przez szpitalną protokolantkę, gdy już usiadły, KONTRA 1 CZARNA POŁOŻNA = CAŁKIEM FAIR.

– Całkiem – powiedziała Gwen na głos, chociaż nie była do końca pewna, gdzie na skali białości powinno się umieścić doktora Soleymanzadeha.

Stenografka, budząca respekt starsza Filipinka, nagrywająca również obrady na dyktafon, zmarszczyła brwi i wstukowała na klawiaturze siedem liter. Bernstein się wzdrygnął, zaskoczony stukotem klawiszy, najwyraźniej w obawie, że zaczyna się bez niego.

– A zatem – powiedział, skinąwszy Soleymanzadehowi po swej lewej stronie i Leery’emu, który siedział z prawej. – Pani Jaffe, pani Shanks. Gwen, Aviva. Jak wiecie, zebraliśmy się tu dziś, by zbadać zasadność skargi złożonej przez doktora Lazara, obecnego tu Paula Lazara, a dotyczącej incydentu na oddziale urazowym, do którego doszło dwudziestego sierpnia. Na razie chodzi tylko o ustalenie faktów, chcemy mianowicie uzyskać bardziej kompletny obraz zajścia i na tej podstawie doktor Soleymanzadeh, doktor Leery i ja będziemy rekomendować działania w sprawie waszej akredytacji przy Szpitalu Ogólnym Chimesa. Skarga jest poważna i nie ma wątpliwości, że dotyczy istotnej sprawy. Powinienem również nadmienić, że władze szpitala najpewniej podejmą kroki zgodne z naszą rekomendacją, jakakolwiek ona będzie. Jednakowoż...

– Albo nie podejmą – wtrącił Moby, jak gdyby faktycznie wnosił tym coś do dyskusji.

– *Jednakowoż* – podjął Bernstein – chciałbym najpierw przypomnieć wam, Gwen, Avivo, że przesłuchanie to mieści się w ramach postępowania szpitala i oddziału w zakresie etyki i statusu pielęgniarek położnych z akredytacją przy Chimesie.

Podkreślam, że nie jest to postępowanie prawne. Obecność adwokata nie jest wymagana.

– Panie doktorze... Bernstein. Widzi pan, z adwokatem to trochę jak z parasolem – powiedział Moby, którego Gwen jeszcze nigdy nie widziała tak zrelaksowanego i tak bardzo w swoim żywiole; nie miał już w sobie nic z Boogaloo Shrimpa z *Breakdance'u*. – Jak się go ze sobą nie weźmie, to zawsze pada.

– Panie doktorze, ja wszystko rozumiem – powiedziała Gwen. – Po prostu jestem ostrożna. Mam nadzieję, że i pan będzie ostrożny.

Brwi Leery'ego wystrzeliły ku niebu, by po chwili opaść jak spadochron na grań czoła: Gwen niewątpliwie zrobiła wrażenie.

– W porządku – stwierdził Bernstein. – I oczywiście masz do tego pełne prawo. Dziękuję, panie Oberstein.

– Do usług, panie doktorze.

– Zanim przejdziemy do poważnych zarzutów i innych kwestii narosłych wokół tej sprawy, myślę, że dobrze byłoby, gdybyśmy poświęcili chwilę na uświadomienie sobie najistotniejszego, a mianowicie, że matce i niemowlęciu nic się nie stało. Tak więc nie o tym tu dziś rozmawiamy.

Siedem różnych wariacji na temat nabożnego skinięcia głową: w tej kwestii panowała całkowita zgoda.

– A więc, panie doktorze Lazar – ciągnął Bernstein. – Wszyscy czytaliśmy pańską skargę i jak sądzę, jasno wynika z niej, że pana zdaniem po pierwsze, pani Shanks zachowała się nieprofesjonalnie, a po drugie, że nie dołożyła wystarczających starań...

– Słuchajcie – wtrącił się Lazar, dupek na wieki wieków, amen, co było wśród lekarzy cechą statystycznie typową i w związku z tym raczej niepodpadającą pod fart Gwen. – Tu nie chodzi o to, kto wyżej nasika, okej? Nie interesuje mnie, kto nawalił, jak nawalił ani nawet to, czy ludzie chcą rodzić we własnej wannie. Dla mnie wszystko sprowadza się do tego, że obecna tu pani Shanks, kiedy się z nią skonfrontowałem, mając po temu pełne prawo, zrobiła się napastliwa i agresywna, zaczęła mi grozić. Rozumiecie? I jeśli to nie jest przykład niewłaściwego zachowania położnej z akredytacją, to co mogłoby nim, do kurwy nędzy, być?

Zerknął na stenografkę, być może zastanawiając się, czy powinien kazać jej to wykreślić z protokołu, czy też poprosić o zgodę na

przeformułowanie pytania retorycznego.

– Napastliwa, agresywna, może i tak – powiedział doktor Soleymanzadeh, przystojny mężczyzna o jastrzębich rysach i nieprzyzwoicie pięknych brązowych oczach. Przerzucał właśnie leżące przed nim na stole oświadczenie Lazara, dwie strony z podwójnym odstępem, pozbawione zasadniczo konkretów, a właściwie, skoro już o tym mowa, czegokolwiek, co wynagradzałoby lekturę. Wszystko mocno przeinaczone, choć w gruncie rzeczy, pomyślała sobie Gwen, prawdziwe. – Ale że ci groziła, Paul? Trochę trudno uwierzyć.

– A przecież to jest sedno sprawy, czyż nie? – powiedział doktor Leery, staruszek, najśłodszy i najmniej kompetentny z zebranych tu lekarzy. – Agresywność, napastliwość, nie bardzo wiadomo, czy...

– Paul, mówisz, że pani Shanks ci groziła – powiedział Bernstein.
– Ale czytając twoją relację, jakoś nie bardzo umiem...

– Dobrze, może nie fizycznie.

– Ale ci groziła.

– Może bardziej *stanowiła zagrożenie*.

Gwen czuła na sobie wzrok Avivy i Moby'ego, czekających, aż się wtrąci, zaprzeczy, pokłóci. Ale ona nie przyszła się tu kłócić z tymi skurwielami. Czekwała na swój moment.

– No dobrze – powiedział Bernstein. – Coś czuję, że robi nam się z tego dyskusja o odcieniach semantycznych. Czy mógłbyś... czy moglibyśmy cię prosić o więcej konkretów?

Dziwna sprawa; Lazar jakby naraz stracił wszelkie zainteresowanie obradami, których sam się domagał. W świetle brzęczących lamp kompaktowych wyglądał na bardziej znużonego niż kiedykolwiek; z jego oczu jeszcze nigdy nie biła aż taka martwota. Wzruszył ramionami, kompletnie znudzony sobą i całą resztą.

– No, stała tuż przede mną – powiedział, jak gdyby to miało o wszystkim przesądzać, i choć czekali na ciąg dalszy (nawet Gwen poczuła perwersyjną nadzieję, że nastąpi), on najwyraźniej już skończył.

Bernstein zwrócił się do Gwen:

– Pani Shanks, będzie pani łaskawa się do tego ustosunkować?

Gwen udała, że konsultuje się z adwokatem, który natychmiast wyprostował się na krześle, odrobinę spanikowany. Klepał się po mentalnych kieszeniach, jak gdyby zostawił portfel w autobusie. Wzrokiem zaś przypominał jej: cisza i zajebistość. Następnie, widząc, że tego oczekuje, wolno pokiwał głową. Gwen wstała, niby posłusznie, wiedząc, co ma zrobić, i co gorsza, wiedząc też, w jaki sposób; ponieważ jak sobie tłumaczyła, innego wyjścia po prostu nie ma.

– Dziękuję, doktorze Bernstein – powiedziała. – Tak, chętnie się ustosunkuję. Doktorze Leery, doktorze Soleymanzadeh, nie będę kłamać. Byłam wtedy wściekła. Na pewno stałam bardzo blisko, może nawet „tuż przed” doktorem Lazarem. Ale proszę na mnie spojrzeć.

Podniósłszy się, wykonała jeden ospały obrót wokół własnej osi, napawając się własnym ogromem.

– Po pierwsze, chciałabym zaznaczyć, że nawet gdybym stała w odległości tak stosownej, jakiej tylko mógłby sobie życzyć doktor Lazar, to spore obszary mojego ciała i tak byłyby „tuż przed” nim. – Lekarzy ścisnął łańcuszek śmiechu; nawet ponura stenografka na jeden moment wykrzywiła usta w grymasie. – Po drugie – ciągnęła Gwen – czy ja panom wyglądam na niebezpieczną? Stanowią zagrożenie? – Bo po cóż w takiej chwili wspominać, że ma czarny pas, że choć niższa od Lazara o dobre trzydzieści centymetrów i gibka obecnie niczym worek piachu, to gdyby zechciała, mogłaby pogruchotać mu wszystkie kości? Zerknęła na Moby’ego: wielkolud był zachwycony, kiwał głową, aż mu poliki latały, dumny, jak gdyby wszystko to razem przećwiczyli. – Ale zostawmy to, w porządku, niech mu będzie. Z tym się zgodzę. – Głowa Moby’ego znieruchomiła. – Agresywna. Napastliwa. Stanowiąca zagrożenie. – Poczciwy Moby zaczął chyba żałować, że nie pozostał przy wielorybach. – Jak już mówiłam, byłam wściekła. Panowie, miałam prawo być wściekła. Ponieważ chwilę wcześniej ten człowiek, Paul Lazar, potraktował mnie w sposób tak obrzydliwy i wstrętny, że jestem przekonana, a w każdym razie taką żywią nadzieję, że i panowie by się wściekli. – Nie odrywała wzroku od twarzy trzech inkwizytorów, obawiając się, że jeśli tylko spojrzy na Avivę, straci zimną krew. – Ten człowiek, Paul Lazar... Wiem, że nie chcecie

panowie tego słyszeć. I nie chciałam wam o tym mówić. Nie chciałam o tym mówić nikomu, nawet mojemu adwokatowi, ponieważ wiem, że gdybym to zrobiła, doradziłby mi złożenie skargi do Komisji do spraw Równych Szans w Zatrudnieniu. Ale nie potrafię stać bezczynnie, pozwalając, by coś takiego uszło temu człowiekowi na sucho. Dopuścił się bowiem najpodlejszych rasistowskich...

– Chwila – odezwał się Lazar. – Zaraz, co tu...

– ...najpodlejszych uwag na temat mojej rasy.

– Pani chyba żartuje!

– Drwił z moich włosów. Z włosów czarnych ludzi, z prostowanych włosów.

– Ale ja...

I nagle sobie przypomniał. To było jak ukłucie szpilki; powietrze ulatywało z niego ze świstem, podczas gdy twarze Leery'ego, Bernsteina i Soleymanzadeha nasiąkały zrozumieniem, kłopotliwym, ukradkowym, niczym wrzątek w filiżance ciemniejący od torebki z herbatą. Gwen rzuciła Avivie wyzywające spojrzenie: albo mnie wspieraj, albo spieprzaj. Doktorzy, w tym Lazar, też skierowali ku niej wzrok, ciekawi, co powie Aviva Roth-Jaffe, Alice Waters wśród położnych, skała, na której wspierał się bastion współczesnego akuszerstwa w East Bay.

Aviva wyglądała na wstrząśniętą; bardziej wstrząśniętej Avivy nie można sobie było wyobrazić. Wahala się sekundę, dłuższą jednak od normalnej, wydatne usta zacisnąwszy w dramatycznie płaską linię EKG. Wreszcie skinęła głową, mówiąc:

– To prawda.

– Nazwał mnie szamanką.

– Nic takiego nie powiedziałem!

– Oskarżył mnie o praktykowanie wudu.

– Ary, to nieprawda. – Lazar szukał oparcia w Bernsteinie. Już przytomniejszy, żywszy, przemawiał tonem, który był tak przepełniony prawdowością, że nijak nie przystawał do mówienia prawdy. – Nie miałem na myśli...

– Poczekalnia pełna świadków – ciągnęła Gwen. – Wszyscy słyszeli, co pan powiedział. Na pewno można ich łatwo odszukać przez recepcjonistkę. Wszyscy potwierdzą. Powiedział pan: „Jeszcze

pięć minut tych kadzidełek czy innego wudu, które sobie tam panie odstawiały, i ta mamuśka by nie przeżyła”.

Lazar otworzył usta, jak gdyby chciał zaprotestować, ale zaraz je zamknął.

Bernstein przeniósł wzrok na Avivę, która spojrzała na Gwen z nadzieją, niedowierzaniem, a przede wszystkim, jak sądziła Gwen, z obawą, że jej współniczka wie, co robi.

– Pamiętam, że tak było – powiedziała Aviva. – Nie jestem pewna, czy padły dokładnie takie słowa, ale doktor Lazar rzeczywiście powiedział coś o tym, że praktykujemy wudu.

Bernstein spojrzał na Lazara:

– Paul?

– Ale dlaczego jak wudu, to od razu rasizm? – bronił się Lazar. – Chodziło mi tylko o, wiesz, te newage’owe bzdury, aromaterapia i tak dalej!

– Jeżeli chodziło panu o aromaterapię – podchwycił Moby, gotów pomóc Gwen wykorzystać przewagę – to czemu powiedział pan „wudu”?

– No właśnie, czemu? – dodała Gwen.

– Może powinniśmy tu sprowadzić radcę prawnego – zaproponował Moby.

– Naprawdę nie sędzę, żeby... – zaczął Bernstein.

– Żałuję, że nie byłam w stanie utrzymać nerwów na wodzy – oświadczyła Gwen. – Naprawdę. Całe życie zawodowe, a właściwie całe życie w ogóle oparłam na konsekwentnym panowaniu nad sobą. Robiłam wszystko, co w mojej mocy, żeby być ponad, i zawsze mi się to udawało. Ale kiedy ktoś zniża się do takiej retoryki, takiej mowy nienawiści, to przepraszam bardzo... uważam, że mam obowiązek się przeciwstawić.

– Wszyscy mamy – dodał Moby.

– Oczywiście – powiedział Bernstein. – Gwen, nikt się nie spodziewa, że będziesz tolerować taki język. Paul, muszę przyznać, że jestem bardzo zaskoczony.

– Z pewnością – oświadczył Leery – było to jedno wielkie nieporozumienie. Zła ocena sytuacji.

– To był koniec jego zmiany – powiedział Soleymanzadeh. – Paul najwyraźniej był przemęczony.

Gwen zauważyła, że Aviva obgryza paznokcie, choć był to nawyk, którego w sobie nienawidziła i który od lat starała się przezwyciężyć. Wyglądała, jakby jej było niedobrze, jakby miała zaraz wstać i wyjść z sali.

– Dobrze, chciałbym coś zaproponować – oznajmił Bernstein. – Uważam, że powinniśmy jeszcze raz przemyśleć całą sprawę w świetle tego, cośmy tu właśnie usłyszeli. Wziąć tymczasem to wszystko pod rozwagę i...

– Przepraszam – powiedział Lazar zza dłoni, którymi zakrywał twarz. – Okej? – Opuścił dłonie, których odcisk w ziemistej cerze policzków płonął jeszcze przez chwilę jak czerwony osad furii, a potem zniknął. – Miałem przegrzany mózg, byłem zmęczony i totalnie wkuty. To znaczy mówicie mi, że jestem dupkiem, no dobrze, to nie jest dla mnie żadna nowość. Może dla innych tu obecnych też. Ale jestem dupkiem równych szans! Jestem dupkiem dla wszystkich, czarnych, białych, niebieskich, zielonych. – Jakimś cudem, choć koślawo, jak gdyby powoływał się na pogłoski, legendy i dawno zapomniane podania ludowe, zdołał ułożyć twarz w coś, co miało przypominać uśmiech. – Ary, dopomóż trochę.

– Jesteś, hm, nieokrzesany – zasugerował Bernstein.

– O tym właśnie mówię. Jestem totalnie nieokrzesany. I dlatego... niech pani mnie posłucha, pani Shanks. Gwen. Przykro mi, że coś takiego powiedziałem. Okej?

Wszyscy obrócili głowy, by spojrzeć na Gwen, przekonani, że przyjmie te gównno warte przeprosiny Lazara (ten wyświechtany unik: „Nie jestem rasistą, wszystkich nienawidzę tak samo”), a co więcej, że się opamięta, przełamie, podda i sama też przeprosi. Że odbije tę pustą, nieistotną piłeczkę, o której mówiła Aviva. Odhaczy kratkę na liście Paula Lazara.

– Niezłe, całkiem niezłe – powiedziała Gwen. Wzięła do ręki żółty notatnik, wciąż całkowicie pusty. – Aryeh, doktorze Soleymanzadeh, doktorze Leery. Dziękuję za poświęcony mi czas.

– Pani Shanks – zaczął żałośliwie Leery.

– Rany boskie, Gwen – powiedziała Aviva, zwracając się następnie do lekarzy tonem nadzwyczaj szczerym i ciepłym. – Jej też jest przykro. Obu nam jest przykro. Bardzo cenimy sobie dobre stosunki ze szpitalem Chimesa. Zarówno te osobiste, jak i te

zawodowe. – Ów drugi przymiotnik zaakcentowała w swoim notatniku, gdzie widniały trzy nabazgrane słowa: KOSZT PROWADZENIA DZIAŁALNOŚCI!

– Nie, Aviva – sprzeciwiła się Gwen. – Może jestem jakaś dziwna, ale nie jest mi przykro. Czarni tak mają, prawda, Paul?

– Skąd miałbym wiedzieć.

– Z niecierpliwością będę więc czekać na opinię panów doktorów, a także Komisji do spraw Równych Szans w Zatrudnieniu. A teraz – powiedziała Gwen, wciąż na fali, machając na Moby’ego i mówiąc głównie do siebie – panowie wybaczą.

Tak oto, trzymając coś bardzo zbliżonego do fasonu i robiąc swoje, Gwen poszła odzyskać swój dom.

„Pan Stallings – twierdził A.O. Scott z «New York Timesa» w recenzji filmu *Strutter 3. Łomot po staremu* – nie tylko odkupił własne winy, ale zbawił przy okazji cały amerykański gatunek filmowy, który zwykło się opatrywać wulgarną nazwą «blaxploitation». Możemy mieć nadzieję, że dzięki temu świetnemu dziełu ów haniebny epitet zostanie raz na zawsze pogrzebany”.

To był tylko jeden z wycinków. Obok leżały entuzjastyczne recenzje z „Time’a”, „Ebony” i „Entertainment Weekly”, artykuły przewodnie z „People” i „Esquire”. To z nich zaczerpnięto cytaty do reklam prasowych i blurbów na opakowaniu DVD, same użyteczne wykrzykniki (ODWAŻNY! PORAZAJĄCY! albo WARTKA AKCJA: TRZYMA W NAPIĘCIU DO SAMEGO KOŃCA!). Na plakacie, nad sylwetkami Candygirl Clark i Cleona Struttera w planie pełnym, które były zwrócone niemal całkiem do kamery i nachylone ku sobie, tak że jego lewy bark stykał się z jej prawym, ogromne litery obwieszczały: OBA KCIUKI W GÓRĘ!!! ROGER EBERT I RICHARD ROEPER.

– Wyglądają na prawdziwe – powiedział Titus.

Sprawy przedstawiały się zupełnie inaczej, ale jego uwaga zabrzmiała szczerze. Był to kolaż tekstów i ilustracji, które wycięto z prawdziwych gazet i magazynów, oraz komputerowych

wydruków, których czcionki z umiarkowanym sukcesem naśladowały te z oryginalnych materiałów. Przeglądając owo amatorskie archiwum, Julie czuł, że ściska go w piersi, choć nie był pewien, czy to przez zgrzebną prostolinijność tej podróbki, czy też przez podrabianą, lecz szczerą prostolinijność Titusa, który zarzekał się, że to wszystko wygląda na prawdziwe.

– Na maksa – zgodził się Julie.

W pojemniku było też siedem szkiców scenariusza, w tym sześć zanotowanych pochyłym pismem na więziennej papeterii. Cienki plik starych zdjęć portretowych Luthera Stallingsa z czasów, gdy naprawdę był Lutherem Stallingsem: kamienna twarz rozświetlona tym szulerskim błyskiem w oku Struttera, piękna i młoda. Streszczenia i diagramy, w większości odręczne. Czerwona teczka opisana BUDŻET, z arkuszami bardzo oficjalnie wyglądających obliczeń, i niebieska, z napisem PLENERY, która pękała w szwach od zdjęć 10 × 15 centymetrów, przedstawiających Chinatown, East Oakland, muzeum i wnętrze lokalu, który Julie rozpoznał jako piekarnię Merritt.

Tekturowa aktówka o fakturze skóry okazała się zawierać stertę storybordów do filmu, historyjek obrazkowych, które wykonano techniką odrobineń tylko bardziej zaawansowaną niż ludziki z kresek, a następnie naklejono taśmą na panele wycięte z pudełek po pizzy. Ale największym skarbem, a zarazem żalonym sercem całego archiwum był niewątpliwie plakat, tak wielki, że w aktówce zmieścił się dopiero po złożeniu na pół. Narysowany kredkami, co musiało zająć sporo czasu: kolory położono delikatnie, a jednak gładko i równo, być może rozcierając je później chusteczką, by nadać im stosowną mglistość snu. Upozowane sylwetki Struttera i Candygirl były niezdarne i (nawet jak na Vallettę Moore) zbyt długonogie, a po martwych oczach i uśmiechach łatwo było poznać, że twarze przerysowano, skądinąd dość wiernie, z fotografii.

– Artysta spod celi – wyjaśnił przepraszającym tonem Luther, przyglądając się krytycznie plakatowi. Uśmiechnął się; oto i błysk ze starych zdjęć portretowych. Julie zobaczył w nim Archy'ego, a potem przypomniał sobie Titusa, jak stał na chodniku przed Instytutem im. Bruce'a Lee, knując tę całą przygodę. – Ale nie powiem, jak dla mnie, wygląda całkiem nieźle.

– Gdzie skołujesz kasę na ten film? – spytał Titus. – Znaczy na prawdziwy.

– Tu, tam. – Luther celował w ton dowcipny, sugerujący tajemnicę, ale chyba szybko zdał sobie sprawę, że to może brzmieć jak kompletna lipa. – Mówi wam coś nazwisko Gibson Goode?

No jasne, przecież Titus non stop nawijał o akcjach biegowych i nagrodach Grammy: Julie orientował się na tyle, by wiedzieć, że były rozgrywający Steelersów rzucił na szalę całą swą fortunę, legendę i magię, by unicestwić Nata Jaffe wraz z Brokeland Records.

– No to część od niego, za wyświadczone usługi. Część... hm, polegam na gotówce z innego źródła, powiedzmy, że lokalny biznesmen. Eks... tego, wspólnik, czaicie, mój stary ziomal, nigdy mnie nie zawiódł. Jak od niego wydebię i dojdzie to, co obiecał Goode, to razem... – Luther postukał palcem w czerwoną teczkę. – Tak na moje to ten cały film da się zrobić za jakieś, no, sto patyków. I tyle mniej więcej mam nadzieję uzbierać.

Julie nie mógł się napatrzeć na ręce Luthera. Czerwony brąz grzbietów wpadał w złoto na łączących je z wnętrzem dłoni południkach. Choć palce były smukłe, długie i ruchliwe, nikt nie śmiałyby kwestionować ich legendarnej śmiercionośności. Wyglądały jak rzeźbione najszlachetniejszymi narzędziami w królewskim porożu.

– Twój dobry ziomal ma taką kasę – powiedział Titus – a ty śpisz w garażu?

Rozległ się cichy, ponury śmiech Valletty, która zdążywszy przejść od manikiuru do pedikiuru, wstawała właśnie od stołu.

– Chłopak gada z sensem – stwierdziła. Wsunęła stopy w niebieskie sandały Scholl i klapiąc nimi o cementową podłogę, podreptała do łazienki, na której drzwiach jakiś mistrz aerografii wysprayował fotorealistycznego Conana Barbarzyńcę w stylu Franka Frazetty: topór i miecz złożony na podłodze, heros siedział na kibelku i stawiał kloca, a na jego facjacie malowała się iście barbarzyńska radocha. – Musi to mieć po mamusce. – Trzasnęła drzwiami łazienki.

– Chłopcze, my tu mamy wygodnie jak cholera – powiedział jego dziadek. – Serio. Nie żebym nie kombinował, jak się lepiej urządzić. Ale wiesz co? Nie truj już.

Brzęczenie sprężarki niosło się po całym budynku, dudniąc w konstrukcji jak jeden wielki alarm przeciwpożarowy, tak że nawet powietrze zdawało się dzwonić od uderzeń. Juliemu ten dźwięk zaczynał już działać na nerwy. Do tego ktoś tu warzył porcję morderczej blacharskiej mikstury, której smród przywodził mu na myśl przypalane banany.

– Przepraszam, nie chciałem – powiedział Titus.

Julie po raz pierwszy słyszał z jego ust te słowa w takiej konfiguracji.

– Gość nie do końca jest moim kumplem, jeśli już chcesz wiedzieć. Powiem tak: swojeśmy razem przeżyli. Daaawno temu, w okresie jurajskim. – Wskazał na wrak toronado. – Jak jeszcze, kurwa, dinozaury po ziemi chodziły. – Zrobił pauzę, by zachichotać z tej autoironii, i jakby stracił wątek: być może wspominał epokę wielkich gadów. – Myśmy z tym kolesiem mieli swoje nieporozumienia, czaisz? Pieśń, kurwa, przeszłości. Ale on nie nawali. Jak chce tu dalej prosperować z tym swoim lokalnym biznesem, to *nie może* nawalić, to jest w sumie tego typu sytuacja, no.

Juliemu to wszystko wydawało się podejrzane, a z tego, co wiedział o paru ostatnich dekadach historii Luthera Stallingsa, wnioskował, że może chodzić o narkotyki. Czyżby Luther „wziął odsiadkę na siebie” i „garował”, żeby tajemniczy ziomal z okresu jurajskiego mógł pozostać na wolności, a teraz, zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, przyszedł czas, by tamten odplacił Lutherowi za „przyjęcie na klatę” wyroku? A może, dumał Julie, garściami czerpiąc z filmów oglądanych przez ostatni tydzień w ramach kursu i zapominając, że Luther nie jest genialnym złodziejem, że tylko grał genialnego złodzieja w jednym dość słabym i jednym okropnym filmie, może było jak w *Ucieczce gangstera*, to znaczy zagadkowy „kumpel” tak wszystko rozegrał, żeby Luthera wypuścili, bo miał dla niego robotę? W wyobraźni Juliego tajemnicza postać dobroczyńcy coraz bardziej wyglądała jak aktor Ben Johnson, więc całkiem wyträciło go z równowagi, gdy dziadek Titusa oświadczył:

– Twój stary go zna. To Chan, Chandler Flowers, od pogrzebów.

– Też go znam! – wykrzyknął Julie, zaskakując siebie samego i Luthera Stallingsa, który chyba wolał nie pamiętać, że siedzi tu z nimi jeszcze ten chłopak. – Jest w radzie miasta. Kupuje w Brokeland Records. Lubi Kinga Curtisa.

– Kinga Curtisa, Earla Bostica, Illinois Jacqueta – zgodził się Luther Stallings. – Kocha te wszystkie fujarki.

– Pan Chan – dodał Julie.

– „Pan Chan”, sranie w banię – odparł Luther. – Coś wam powiem, zbyt elastyczny to ten Chan nie był. Uparty koleś, oporny. Ale swój rozum kiedyś miał, więc jestem pewien, że w końcu się po niego pofatyguje.

– Wolałbyś *nie*, stary ćwoku.

Luther Stallings dał się zaskoczyć, tak samo jak Julie i Titus. Gdyby to był jakiś bandzior albo, powiedzmy, Ben Johnson ze spluwą, Luther miałby przechlapane. To tyle, jeśli chodzi o instynkt wyostrzony latami treningów w zakresie tajemnych sztuk walki oraz bezduszną rzeczywistością więziennej egzystencji. Luther natychmiast się otrząsnął i dobył laski, lecz było za późno, o czym świetnie wiedział: widmowe kule zdążyły mu podziurawić głowę i tors. Opuścił laskę, zde gustowany.

– Kurwa, Eddie! – zawołał. – To ma być kryjówka?

Z głębi garażu doleciał ich obcesowy, zblazowany głos Eddiego:

– A, właśnie. Gościa masz.

– Joł-joł, Ed. Co tam, ziomuś?

– Strzałeczka, Archy. Jak fura?

– Chodzi, wygląda.

– Dzieciak już jest?

– Jeszcze trochę. Julie, Titus. Do auta i to, kurwa, w tej chwili.

Archy’ego Stallingsa poznał Julie jako czterolatek. Próbował sobie teraz przypomnieć, czy przez te wszystkie lata kiedykolwiek widział go wkurzonego dwa razy w jednym dniu. Luther się uśmiechał, a w każdym razie odsłaniał zęby w dziwnym grymasie, jak gdyby właśnie przegrał zakład, obstawiając, że nie dojdzie do czegoś, co przerażało go znacznie bardziej niż strata pieniędzy.

– No, no – powiedział. – Jaki duży ten knypek.

W ustach Archy’ego błysnęła niewielka biała miętówka, surfująca na spiętrzonych fali jego języka.

– Chłopcy – rozkazał. – Auto.

– Weź się, człowieku, odpierdol – powiedział Titus.

Przez jakiś czas, może godzinę, może półtorej, w każdym razie czas spędzony w warsztacie Motor City, gdzie siedzieli rozdygotani od sprężarki hałasującej, jakby kto kości meł w mikserze, przyglądając się, jak piraci Eddiego Cantora masakrują lutlampami chevroleta citation, by przeobrazić go w coś nowego, odprawiają czarodziejską rzeź jak z ilustracji do *Nordyckich bogów i olbrzymów* niczym jakieś motokrasnoludy pochłonięte wymianą reflektorów na diamenty, opon na dziki, a silnika na smocze serce, podczas gdy Valletta Moore, przerzuciwszy się z paznokci u rąk na pedicure, zgięła smukłą nogę, opierając ją o stalowy bęben, tak że chłopcom udawało się czasem dostrzec cienistą krainę między jej udami, który to obraz w retroimaginacji Juliego już na zawsze miał się złąć z wizją jego rodzinnych stron, roztoczoną przez Luthera Stallingsa pykającego brzuszki dziesiątkami, aż falowały mięśnie, z tym staroegipskim pomysłem, że za sprawą bagażowych od Pullmana Oakland stało się dla czarnych krainą odrodzenia, no więc przez cały ten czas, siedząc na starej syfiastej sofie, Titus po raz pierwszy sprawiał wrażenie zrelaksowanego. Wygładziła się kanciastość, poluzowały się struny. Jego słowa brzmiały szczerze, jak gdyby nie okalał ich nawias ironicznej frazy, impresji celebryty, parodii telewizyjnego gangsta. A teraz struny znów się naprężyły i Julie nie byłby w stanie powiedzieć, czy to Titus, czy raczej jakiś urojony dzieciak z getta powiedział: „Weź się, człowieku, odpierdol”.

– Wnuk do mnie wpadł – oświadczył Luther. – W odwiedzinie. I mój ziomal Julius. Co nie, chłopaki?

– Tak jest.

„Mój ziomal”. Julie delectował się tytułem.

– Tak jest! – odpowiedział.

– Coś ci nie pasi? – chciał wiedzieć Luther. – Jakieś wąty?

– Aha, czyli nagle jest twoim wnukiem.

– Jakie tam nagle. Będzie już, no, chłopcze, ile ty tam masz lat?

– Czternaście.

– Będzie już czternaście lat.

– Czternaście lat gównie o tym wiedziałeś i gównie cię to obchodziło.

– I kto to mówi.

– O ja, zaorane – ocenił Titus, jakby ta riposta sprawiła mu przyjemność, choć Juliemu trudno było sobie wyobrazić, co może być przyjemnego w myśli, że przez czternaście lat twojego życia ojciec nie dbał o ciebie ani trochę bardziej niż dziadek.

Lecz Julie już wcześniej odkrył, że tak jak inne znane mu czarne dzieciaki Titus umie wyłuskać humor z rzeczy, które Juliego jedynie by przygnębiły.

– Jak nas wytropiłeś? – spytał Archy’ego.

– Jeden klient jest właścicielem firmy taksówkarskiej. Pan Mirchandani. Dałeś kierowcy wizytówkę?

– No tak.

– Pan M rozpoznał nazwisko i zadzwonił do mnie.

– Miły ten pan M – powiedział Julie.

– Taa – powiedział Archy. – Okej, wyratowałem was z opresji, a teraz musimy się zbierać.

Julie ruszył w stronę Archy’ego, gotowy natychmiast jechać do domu, jednak obejrzawszy się na Titusa, zrozumiał, że jeszcze trochę postoją, wywlekając międzypokoleniowe brudy.

– No, ruchy! Do Costco muszę jechać, mam spotkanie z orkiestrą marszową. Ruszać dupska i do auta, raz, raz!

– No jedź – rzucił Titus. Potem nieco łagodniej: – Ej, Julie, serio, jedź do domu.

– A ty chcesz tu zostać – powiedział Julie. – W... hm... w warsztacie.

– Siema, Archy.

– Cześć, Valletta. Co tam?

– A, wiesz, jak jest. Dzień jak co dzień w staroegipskiej, kurwa, Krainie Odrodzenia.

– Że jak?

Valletta pokręciła tylko głową, tak delikatnie, że wyglądało to na mimowolny gest, jak gdyby powtórzenie tej uwagi było zbyt upokarzające.

– To jak ci się tym razem widzi fucha przyszywanej matki? Pardon, przyszywanej babci. Bo wygląda na to, że będziesz miała jeszcze jedną gębę do wykarmienia.

– A tego nie słyszałam.

– Taki jest układ, Luther? Titus zostaje tu z tobą? – Archy rozejrzał się powoli, teatralnie, acz badawczo po warsztacie Motor City: Serwis–Blacharstwo–Usługi. – Za wygodnie to tu chyba nie jest. Naprawdę tu z Vallettą śpicie?

Julie też się nad tym zastanawiał. Bał się nawet rozważyć możliwość, że dwie bure sofy, których pierwotne barwy przepadły w odmętach czasu, mogły również, wskutek nieznaczących modyfikacji, służyć istotom ludzkim za legowiska.

– Ujdzie – oświadczył Luther.

– Dobrze to słyszeć. Czyli upchniecie jeszcze jednego?

Luther nic nie odpowiedział, stał tylko z rękami skrzyżowanymi na piersi i z obrażoną miną, poruszając ustami, jak gdyby próbował sformułować argument, zgodnie z którym Archy powinien mu okazywać więcej szacunku. Wreszcie wzruszył ramionami, zwracając się do Titusa:

– No już, idź – powiedział.

Chłopaka jakby zmięło. Jego twarz w jednej chwili straciła całą zaciekłość, odpłynął z niej cały blask. Titus nie drgnął, nie odezwał się ani słowem. Julie patrzył na to wszystko z boleścią, nawet nie dlatego, że jego przyjaciela spotkał tak wielki zawód, ale dlatego, że Titus wierzył, choćby tylko przez chwilę, że Luther pozwoli mu zostać.

– No idź! – powtórzył Luther. – Nie sądzę, żeby Eddie Cantor miał ochotę prowadzić dom opieki.

Stojący przy stanowisku Eddie powoli i stanowczo pokiwał głową, jak gdyby zastanawiał się, czy nie zaznaczyć przypadkiem, że nie prowadzi też hotelu, ośrodka przejściowego ani noclegów ze śniadaniem.

Titus zaryzykował szalony eksperyment.

– Dziadku... – spróbował. Słowo to brzmiało w jego ustach egzotycznie, niebywale, jakby odnosiło się do jakiegoś mitycznego lub też dawno wymarłego bytu.

– Pomalutku – powiedział Luther.

– Jeśli w ogóle – rzucił Archy, a Valletta dodała:

– Święte słowa.

– No idź – powiedział Luther. – Zobaczymy się jeszcze.

W ostatnim przyplywie obezwładniającego uczucia Titus zwiesił się cały jak małe dziecko i wydał przewlekły jęk. Potem się wyprostował i mijając Archy'ego, ruszył rozhuśtanym krokiem Struttera przed siebie, ku otwartemu wjazdowi na środkowe stanowisko.

– Człowieku, jak mogłeś dopuścić, żeby twój własny ojciec żył w takich warunkach? – powiedział.

Julie dość niespodziewanie uczył, że Archy, do niedawna jego ulubieniec spośród wszystkich ludzi na świecie, zachował się jak ostatni burak w stosunku do Luthera, który doprowadził się przecież do porządku, naprawdę żałował swoich czynów i zwyczajnie potrzebował pomocnej dłoni. Julie nie czuł się jednak na siłach, by to uczucie wysłować, więc podszedł tylko do stojącego na stole pojemnika i wskazując zdjęcia portretowe, spytał:

– Myśli pan, że mógłbym sobie jedno wziąć? Naprawdę lubię pana filmy.

– Co? – spytał Luther.

Patrzył za wnukiem, który stąpając wściekle i dumnie, wychodził właśnie w olbrzymią pustkę, gdzie pociągi i statki potężnej nacji wymieniały się niegdyś załadunkiem, a Oakland tuczyło się wojną, żerując na ciele San Francisco; Titus szedł w widmowe ślady prapradziadka, który pracował w tych dokach i pewnego dnia drugiej wojny światowej wyleciał w powietrze podczas eksplozji w Vallejo, chociaż może to jednak było w Martinez.

– Jasne, bierz.

Julie podszedł do plastikowego pojemnika. Już miał wyjąć z niego zdjęcie, kiedy w samym rogu dostrzegł spłowiałą i pomarszczoną łupinę, jakby pustą granatowo-fioletową poczwarkę, z której wykluć się mogła tylko rękawica Batmana. Wzdłuż palców ciągnęły się ciemne plamy, materiał rozłaził się w szwach. Po małych oldskulowych płetewkach Julie domyślił się, że musiała pochodzić z tego samego klasycznego okresu co drzwiczki z czerwonym symbolem nietoperza wiszące na ścianie warsztatu. W jego wyobraźni (gdy patrolował ulice Genoshy, Wakandy albo korytarze Niebieskiej Strefy Księżyca w MTO) Dezire nosiła długie fioletowe rękawiczki. Juliemu nigdy nie przyszło do głowy, że powinny być

ozdobione płetewkami. Schwycił zbłąkany artefakt i wepchnął głęboko w kieszeń obciętych szortów.

– Masz długopis? – spytał Julie Archy’ego, gdy już wybrał sobie zdjęcie i odwrócił się od pojemnika.

– Julie... – W głosie Archy’ego pojawił się ostrzegawczy ton.

– Chcę autograf. No weź. Nie bądź kutas.

– „Nie bądź kutas”. Tak będziesz teraz ze mną rozmawiał?

– Chcę *autograf*.

Archy wyłowił z kieszeni długopis, włączył go pstryknięciem i podał Juliemu.

– Powiedz mi, że to tylko kwestia czasu – powiedział Luther ściszym głosem, bazgrojąc coś w prawym dolnym rogu zdjęcia. – Niech się tylko moi partnerzy wywiążą. Jak wtedy ze mną zagada, to obczaimy, co się da zrobić.

I to był właśnie moment, w którym Julie pojął, że przedsięwzięcie pod tytułem *Strutter 3* jest skazane na porażkę. O ile od początku do końca nie jest mrzonką. Natychmiast postanowił, że dopilnuje, by się ziściło, by doszło do skutku, by Strutter został wskrzeszony jeszcze jeden, ostatni raz, by urządzić łomot po staremu: robi to dla Titusa, dla Luthera, ale i dla świata filmu.

NIE PRZESTAWAJ MARZYĆ, napisał Luther. Z NAJLEPSZYMI ŻYCZENIAMI, LUTHER STALLINGS.

Świętej pamięci Randall „Cochise” Jones: doczesne szczątki. Umyte, upudrowane, umalowane. Naturalne kanały wypełnione formaldehydem. Złamane żebra znów na miejscu. Powieki zaklejone, szczęka zadrutowana, paznokcie obcięte tak krótko jak za życia, palce na brzuchu, splecione w treliż. Resztki wyrozumiątego uśmiechu. Psychodeliczny garnitur sportowy Rona Postala, który w 1975 roku kosztował trzysta dolarów. Niebiesko-białe caponki Stacy Adams. Gęsta, rudo-szara flaga włosów, wywinięta krnąbrnie w lewo, jak za życia. Ciało złożone niczym eleganckie narzędzie albo instrument w welurowej ciemności trumny, przedpłaconej już w 1997 roku. Welur, zgodnie z zaleceniami, w odcieniu fioletu

o nazwie zinfandel. Satynowa poduszka podtrzymująca pięciokilową głowę. Od zewnątrz trumna pięknie wykończona orzechem jak obudowa wzmacniacza Leslie; ponadto, jak w Zaginionej Arce, złożone kwiatony i gargulce. Wszystko załadowane na wózek, by wjechać windą towarową do garażu na tyłach przedsiębiorstwa Flowers i Synowie, gdzie czekał już oldsmobile 98 cotner bevington, rocznik 1969, w doskonałym stanie, wypożyczony z domu pogrzebowego w Richmond specjalnie na potrzeby transportu do Brokeland Records. Tam miało się odbyć czuwanie połączone z pogrzebem, zaplanowane od jedenastej do piętnastej lub do wyczerpania przekąsek. Gdy już żywi uporają się z pożegnaniem, trumna miała zostać wtoczona z powrotem do karawanu. Pół godziny później miało nastąpić złożenie do grobu na cmentarzu Mountain View, u boku szczątków drugiej żony nieboszczyka, Fernandy. I to by było na tyle. Plan pogrzebowy pana Jonesa zakładał skorzystanie z wintydzowego cadillaca '58, na stanie u Flowersów, lecz ów zachorzał na alternator. Sam pan Jones, gdyby wiedział o zamianie, nie mógłby mieć zastrzeżeń do wspaniałego, ciemnego oldsa 98, gotowego pruć jak nietoperz przez najciemniejszą nawet dolinę.

– A nie trzeba jakiegoś pozwolenia, żeby ciało wystawić w sklepie z płytami?

– Nie mam pojęcia. Ale jeśli tak, to Chan Flowers musiał to załatwić. Koleś załatwił dosłownie wszystko.

– Nie wątpię – powiedział Singletary. – Nie wątpię. Ale serio, uważajcie, światła nie ma, wyłącznik na górze schodów się popsuł.

Mając do dyspozycji dość czasu i łopat, można byłoby przekopać się z piwnicy zakładu Flowers i Synowie, gdzie ciało Cochise'a Jonesa spoczywało w zinfandelowym mroku, do piwnicy jego domu na Czterdziestej Drugiej, jednak wejść do środka byłoby już nieco trudniej. Piwnica, datowana na ostatnią dekadę dziewiętnastego wieku, była nieustępliwa i sucha. Dom zbudował emerytowany kapitan statku rzecznego z Sacramento, pożeniony

z Portugalką, którą wciąż pamiętało kilkoro najsędziwszych sąsiadów, w tym pani Wiggins. Zapach tysięcy płyt analogowych plądrowanych przez bakterie i pleśń nie zdołał całkowicie przykryć uporczywej woni karczochowych serów, które, prócz szynek i marynowanych pomidorów, owa staruszka wytwarzała tu przez całe dziesięciolecie.

– Mam nadzieję, że się nie wkurzył o tego cadillaca – niepokoił się Singletary.

– Jeśli to ten olds, co go mieli na pogrzebie Ardisa Robinsona... – powiedział Nat, mając na myśli ceremonię sprzed dwóch lat, gdy chowano filar sceny funkowej okolic San Francisco lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych – to będzie dobrze.

Podążając za Singletarym, Nat i Archy schodzili do piwnicy w domu Cochise'a. Chłodne ściany przy schodach były z gładkiego oaklandzkiego piaskowca.

– Czyli zabukowaliście Chińczyków, tak? Lubię to Green Street Mortuary Band. Tacy wojskowi i poukładani. Chociaż tak naprawdę to, kurwa, nie ma tam ani jednego Chińczyka.

– Nie, ci już mieli fuchę. Musiałem trochę improwizować. Będzie Bomp and Circumstance, zna pan?

– To te lesbijki?

– Mają bardzo dobry zestaw kawałków wzorowany na Chińczykach, wie pan, te wszystkie hymny i takie tam. Kai, Kai Fierro, co pracuje u Gwen? Ona gra tam na saksie. Obiecała, że pożegnają pana Jonesa z odpowiednim szykiem.

– No tylko że... – zauważył Singletary – o lesbijki to on też nie prosił.

– Prawda, prawda.

– Trochę cię to męczy, co?

– Chwilami.

U dołu schodów pstryknął przełącznik. Instalacja ze szczerbami martwych tub flirtowała z ciemnością, by po chwili, cyknąwszy, zapłonąć równomiernym światłem. Coś w granicach (ocenił Archy na oko) siedmiu, ośmiu tysięcy płyt, gromadzonych całymi latami z czułą bezsilnością.

– Nie zdawałem sobie sprawy – powiedział Nat. Miał na sobie włoski garnitur z lat sześćdziesiątych z wąskimi klapami, bez

mankietów u nogawek, z szorstkiego czarnego jedwabiu przetykanego szarościami. Krawat śledzik. Spiczaste czarne mokasyunki. Wyglądał jak Peter Sellers, który dawno nie był u fryzjera, a teraz zbierał się po długiej, nieprzespanej nocy gdzieś w roku 1964. – To znaczy wiedziałem, ale nie pojmowałem.

– Facet się totalnie nie kontrolował – powiedział Archy z podziwem. On z kolei ubrany był w swój najmniej intrygujący garnitur, stary zwykły ciuch od Armaniego, kupiony na przecenie w Men's Warehouse: marynarka na dwa guziki, z pojedynczym rozcięciem. Nosił go tylko na pogrzeby i raz, dawno temu, gdy na imprezę halloweenową przebrali się z Natem za *Facetów w czerni*. – Bogu niech będą dzięki.

– Chuj z Bogiem – powiedział Nat. – Najlepszego klienta nam ubił.

– Macie piętnaście minut. Dziesięć, jak nie przestaniecie bluźnić. – Singletary wyciągnął telefon i spojrzał krzywo na wyświetlacz. – Nie pasi, to dzwonię do Amoeba Records.

Jedyny potomek kapitana z Sacramento i Portugalki pozostawił po sobie syna, który zginął w Korei, oraz córkę, Fernandę, która owdowiwszy Cochise'a Jonesa, przekazała mu dom. Państwo Jones nie mieli dzieci, a spadkobierczyni pana Jonesa, córka jego świętej pamięci siostry, mieszkała gdzieś pod San Diego i życzyła sobie, żeby cały majdan sprzedać. Dlatego Garnet Singletary dopilnował, by dom posprzątano, pomalowano i połatano, a także, jako wykonawca testamentu, sobie samemu powierzył jego sprzedaż. Archy miał też nieodparte wrażenie, że Garnet Singletary polecił któremuś spośród swych tyleż rozlicznych, co rozlazłych krewnych i pieczeniarzy, których na takie właśnie okoliczności utrzymywał przy sobie w stanie gotówkowego uzależnienia, by wystąpił jako przykrywka firmy, która odkupi dom od spadkobierców, ponieważ co do zasady Garnet Singletary wolał negocjować sam ze sobą. Archy'emu wyglądało to na całkiem niezły system. Król Lansu umiał sobie radzić.

– Chyba nie przyszliśmy na biznes? – Archy spojrzał na Nata. – Nie dziś, prawda?

Garnet i Nat milczeli, chociaż żaden z nich nie wydawał się zaniepokojony wizją handlowania winylami staruszka w dniu jego

pogrzebu.

– Myślałem, że przyszedliśmy tylko, no, podziwiać – powiedział Archy.

– Proszę bardzo, podziwiajcie – odparł Garnet. – Wasz kwadrans, róbcie z nim, co chcecie. Potem dzwonię do tych z Amoeba.

Większość albumów miała swoje obwoluty z PCV i była przechowywana pionowo w skrzynkach, ale tu i tam widziało się chwiejne stosy płyt porujnowanych pozycją horyzontalną, a część tańszych rzeczy walała się nawet bez plastikowych czy papierowych koszulek. Między ustawionymi jedna na drugiej skrzynkami powstały kręte uliczki; brakowało tylko Minotaura.

Po dziesięciominutowej przechadzce Archy był gotów dać kolekcji miano pierwszorzędnej. Oceniał, że niemal połowa płyt do tego podziemnego zbiornika dotarła przez Brokeland. Jakieś dwadzieścia procent nosiło naklejki z cenami, które wskazywały na pochodzenie z koszy innych sklepów handlujących używanymi płytami w rejonie San Francisco i w całym kraju. Dziesięć procent stanowiły pływające szczątki, przypadkowy szajs: gospel z lat pięćdziesiątych, stare płyty komików Slappy'ego White'a i Moms Mabley, zadziwiająco sporo Conwaya Twitty'ego, George'a Jonesa, Merle'a Haggarda. Pozostałe dwadzieścia pięć procent, mniej więcej, obejmowało coś w rodzaju osobistych zbiorów pana Jonesa: nagrania sesji i koncertów, w których brał udział, płyty przyjaciół, współpracowników i rywali, ze sto rzadkich płyt szelakowych zawierających muzykę w stylu Harlem stride i boogie woogie, kilka kompletnych dziesięciopłytkowych zestawów z lat czterdziestych z utworami organowymi kompozytorów takich jak Bach, Buxtehude czy Widor. Właścicielem tych ostatnich był niegdyś ojciec pana Jonesa, który przez wiele lat pracował jako organista w domu pogrzebowym Flowers i Synowie, a także w kilku okolicznych kościołach. Trudno było mieć pewność po tak pobieżnym niuchu, ale Archy wycenił kolekcję na niższe rejony sum pięciocyfrowych. A może i więcej.

– I co myślisz? – spytał Nat, ujawniając się jako Minotaur, który w samym sercu labiryntu odciął Archy'emu drogę. – Ile byś powiedział, piętnaście? Zaoferowałibyśmy dwanaście i pół?

Mówił ściszym głosem, niezupełnie szepcząc, ale Singletary był zajęty maglowaniem kogoś przez telefon, być może Airbusa.

– Kto widział? – mówił Singletary. – Ale gdzie ją widział? Aha. Mówiła coś? Co mówiła? Do cholery, Airbus, co mówiła?

– Dwanaście i pół – powiedział Archy. – Nat, posłuchaj. Może to nie jest najlepszy moment, żeby... Bo właśnie chcesz włączyć w ten biznes jeszcze więcej kasy.

– Dokładnie tak.

Archy przyjrzał się badawczo twarzy wspólnika, próbując ustalić, czy Nat robi sobie z niego jaja. Nat był przekonany, że ma twarz pokerzysty, lecz niestety srodze się w tej kwestii mylił. Zdradzały go oczy. Facet myślał, że potrafi ukryć odrazę, którą odczuwał wobec zacofanych bliźnich, lecz w najlepszym razie udawało mu się unieruchomić całą twarz, z wyjątkiem oczu, tak że zastygała w ołowianą maskę ze szparkami, z których kapiała rozżarzona pogarda. Jednak w tym momencie Archy widział na twarzy Nata jedynie entuzjazm, pewien rodzaj samozadowolenia, objawiającego się zasznurowaniem ust zawsze, gdy Nat sądził (zazwyczaj i tu srodze się myląc), że zdobędzie przewagę w negocjacjach. Nat zstąpił niczym Orfeusz do tej piwnicy wypełnionej zapomnianą muzyką, ubrany w pogrzebowy garnitur, z nadzieją, że wyprowadzi Brokeland Records z powrotem na powierzchnię ziemi, do krainy żywych, a uczyni to za pomocą zastrzyku towarów, którego woń poczują nawet kolekcjonerzy w odległej Japonii.

– Tylko że ja, no... Nie jestem pewien, to znaczy, nawet gdybym miał przy sobie tyle gotówki...

– Ja mam. Albo mogę zdobyć. Jeśli ty... A. – Przez szczeliny zaczęła przesączać się świadomość, że Archy nie jest gotowy na wyznanie swych win, w każdym razie jeszcze nie dziś. Maską Nata łagodniała, policzki już nie były tak kanciaste. – Archy, tutaj są takie rzeczy, że w Japonii, we Francji bez problemu dostalibyśmy...

– Znała niemiecki? – krzyknął do nich ze schodów Singletary. – Papuga pana Jonesa. Mówiła po niemiecku?

Archy spojrział na Nata, który w zniecierpliwieniu wzruszył tylko ramionami.

– Nic nam o tym nie wiadomo – powiedział Archy.

– Jakiś inny ptak – przekazał Airbusowi Singletary. – Ten to nigdy nie słyszałem, żeby robił cokolwiek poza udawaniem hammonda B-3.

– Wykluczyć też nie można! – krzyknął Archy. – Znał masę dziwnych numerów.

– To może z *nim* powinienem był zakładać biznes.

– Aha, czyli będziesz teraz strzelać fochy.

Nat nie odpowiedział. Przesunął włochatym paluchem po zadrukowanych grzbietach w stojącej najbliższej skrzynce. Archy dostrzegł, że to wszystko płyty muzyków, którzy, tak jak wówczas pan Jones, nagrywali dla CTI. Hank Crawford, Grover Washington Jr., Johnny Hammond. Były tu też pewnie płyty, na których wystąpił sam pan Jones. Na jakimś etapie swego życia Archy musiał być w posiadaniu większości płyt Creeda Taylora, ale i tak zrobiły na nim wrażenie, gdy zobaczył je razem w tej skrzynce i w dwóch stojących bezpośrednio nad i pod nią, wszystkie te albumy produkowane przez Taylora albo Dona Sebesky'ego, kiedy Archy był jeszcze szczawiem, rejestrowane przez Rudy'ego Van Geldera, tłoczone w jakiejś fabryce w New Jersey, a potem rozprasane milionami po nieistniejących już rodzinnych sklepach muzycznych w całym kraju, po lokalnych sieciówkach z lat siedemdziesiątych, które dawno splajtowały albo zostały wchłonięte przez sieci ogólnokrajowe, wszystkie te smakowite bity i (w większości) ze smakiem przyrządzone smyczki, ostatnia próba odzyskania jazzu jako muzyki rozrywkowej, do której da się tańczyć, a nie tylko dziedziny sztuki, której trzeba kustoszować, przepiękne płyty z surowymi fotografiami na okładkach i konfiguracjami muzyków, które odradzały się dzięki zakulisowym wysiłkom pana Jonesa. Archy był przyzwyczajony do wyprzedawania odziedziczonych kolekcji po kawałku, lecz jeszcze nigdy nie dotarło do niego, jaki to wandalizm: nagle poczuł się jak barbarzyńca pośród skrzynek tylu spustoszonych imperiów.

– Ładne – przyznał, też wodząc palcem po grzbietach płyt.

– Pięćkęne – poprawił go Nat, hojnie obdarzając to słowo resztkami akcentu ze starego Południa.

– Nat – powiedział Archy. – Z dziką wprost radością pozwoliłbym ci wydać dwanaście i pół tysiąca dolarów, których nie masz, na te płyty dla naszego sklepu, żebyśmy mogli je sobie zostawić na dwa, trzy lata i powysiadywać jak dwaj tatkowie pingwiny. Cały dzień słuchać Idrisa Muhammada, tego starego szajbusa Williego „Liona”

Smitha; pan Jones tyle tego miał, nawet tę płytkę dla Versatile z Grantem, kurwa, Greenem, co jej nigdy nie wydali, przecież ja...

– No właśnie, widziałeś? – Nat uczeplił się tego, podsycając płomyczek.

– Tylko że ja już za długo spierdalam, się opierdalam i generalnie przepierdalam życie. Muszę się ogarnąć, bo za chwilę będę mieszkał w warsztacie blacharskim. Muszę mieć ubezpieczenie, wypłaty, te wszystkie dorosłe bzdety. Jak Gwen pójdzie na macierzyński, ja będę musiał się zajmować nią i dzieckiem. A muszę się jeszcze dogadać z Titusem, ten chłopak po prostu...

– Wróciliście do siebie?

– Że co?

– Z Gwen. Wprowadziła się z powrotem?

– Wczoraj wieczorem.

– Ej, to spoko!

– Mhm, ona się wprowadziła, a mnie wywaliła na zbity pysk. Mówi, że to też jej dom i tak dalej. Wróciła do domu, ale coś jakby... Coś w nią wstąpiło. Miotacz ognia, kurwa, na ful.

– No tak, słyszałem, że wczoraj była w formie. I że urządziła tym białasom z Chimesa rozróbę w stylu Mau Mau.

– To są słowa Avivy? W stylu Mau Mau?

– Moja interpretacja.

– Czarna położna walczy o swoje przed bandą białych lekarzy i to jest od razu Mau Mau?

– Ja tam nie mam problemu z maumauizacją – odparł Nat. – Skuteczna technika.

– No kamień z serca, czarni mogą odetchnąć – powiedział Archy.

– Bośmy się wszyscy wstrzymywali w oczekiwaniu na twój werdykt.

– To na czym stoimy? – wtrącił się Garnet Singletary tonem gotowym na rozczarowanie. Wypełniał sobą wylot wąskiej alejki, w której Archy i Nat zdawali się od jakiegoś czasu zalegać.

– Stoimy na tym, że Archy się ogarnia – powiedział Nat.

– Nie brzmi to jak oferta – stwierdził Singletary.

– Nat, stary, błagam. Możemy się tym wszystkim zająć jutro. Przecież nie musimy teraz. Panie S, szacun, wiem, że pan się spieszy, ale dzisiaj mam na głowie jedną jedyną rzecz, chcę

pożegnać Cochise'a Jonesa tak, jak sobie tego życzył i jak na to zasługuje. Do niczego innego głowy nie mam.

– Czyli przechodzisz do Goode'a? – Nat się zaśmiał, a raczej warknął z niedowierzaniem. – Zara! Moment! *To* właśnie teraz robisz? Już wzięłeś tę robotę! Jezu, Archy, po to tu jesteś? Twój koleś, jak mu tam, Kung-Fu, dał ci swoją książeczkę czekową i powiedział: idź, włącz tam, zrób se zaopatrzenie do Działu Tłustych Bitów?

– Przystopuj, Nat, bo już suniesz w parano.

– Czyli niedaleko – zauważył Garnet Singletary.

– Bardzo wątpię, czy ta oferta jeszcze w ogóle istnieje – powiedział Archy. – Może za długo człowieka zwodziłem.

– Że też ci podałem swoją wycenę.

– A może *mnie* byś podał swoją wycenę? – zasugerował Singletary. – Bo to ja sprzedaję te cholerne płyty. Zresztą nie, zrobimy inaczej. Ja tobie podam wycenę. Siedemnaście tysięcy dolarów.

– Za siedemnaście patyków mam od pana odkupić płyty, które już raz kupiłem i sprzedałem? – powiedział Nat. – Niektóre są dla mnie jak dzieci, a pan mi każe za nie płacić dwa razy.

– Zaproponuj mi coś – powiedział Singletary, nie dając po sobie poznać, że zauważa rosnącą nerwowość Nata. – To może i sprzedasz dwa razy.

– A, jebać – powiedział Nat. – Już mamy jeden pogrzeb. Pochowajmy wszystko. Tu i teraz. Dajmy se siana. – Przecisnął się obok Singletary'ego i jego spiczaste mokasyunki ruszyły z łomotem po schodach.

– Chyba jest więcej ludzi, których żeś za długo zwodził – podsumował Singletary.

– Wiem – odparł Archy. – Chciałbym wiedzieć, co jest ze mną nie tak.

– Mam taką jedną teorię.

– Mianowicie?

– Może masz już potąd spleśniałych, zakurzonych, porysowanych, przeskakujących, rozlatanych winyli.

– Mówił pan, żeby nie bluźnić.

– Może masz już potąd Nata Jaffe. Gość zaczął mi działać na nerwy pięć minut, zanim go poznałem.

Archy uczuł pokusę, by się z tą teorią zgodzić, ale pachniało mu to nielojalnością, więc powiedział tylko bez entuzjazmu:

– Hm? Nie, człowieku, Nat to mój czarny ziom.

Singletary zadumał się nad tą konstatacją.

– Gdyby to się sprowadzało do smażenia nóżki z kurczaka – powiedział – byłbym niemal gotów zgodzić się z takim opisem.

– Tak że teges. Niech pan dzwoni do Amoeba czy gdzieś. Do Ricka Ballarda z Groove Yard.

– Zaraz, chwila – powiedział Singletary. – Nie bądź taki szybki. Powiedz mi no. Ile chciał mi dać?

– Coś mówił, że jedenaście. Pięć i pół od głowy, ale ja tyle nie mam, on, o ile wiem, też nie.

– A nawet gdyby miał, gdyby skądś tę kasę wykopał i gdybyście kupili kolekcję pana Jonesa za coś między jedenaście a piętnaście, bylibyście w stanie na tym zarobić?

– Trudno powiedzieć.

– Och, z pewnością.

– Może trochę. Może trochę więcej niż trochę. Nat mówił, że Francja, że Japonia, chociaż to nic pewnego. Ale nie powiem, nie powiem, poprawiłby się nam inwentarz, no bo kurde, jakie tu są rzeczy! Może gdybyśmy rozbudowali stronkę i częściej organizowali odsłuchy... Gdybyśmy więcej włożyli energii w biznesowe aspekty tego całego biznesu, a trochę mniej gędzili za ladą.

– E, takich rzeczy to nie gadaj – powiedział Singletary. – Bo się jeszcze wycofam z idiotycznej oferty, którą zamierzałem ci złożyć. Bo wiesz co, tak po prawdzie to głównie mnie obchodzi jakiś podrapany bootleg Rahsaana Kirka i Ornette'a Colemana, co brzmi jakby gęś ruchała rower, rzadki egzemplarz z koncertu w Paryżu w sześćdziesiątym siódmym. Słucham czegoś takiego pięć minut i mam ochotę komuś jebnąć. Szczerze mówiąc, żadnego jazzu nie lubię. Taki styl, w jakim grał pan Jones, czyli przez większość czasu jest rytm, coś takiego może być, ale jak wracam do domu po pracy, browarek, muzyczka, te sprawy, to wiesz, co lubię sobie włączyć? Peabo Brysona.

– Peabo ma też na koncie kawałki z długimi solówkami.

– Już ci tłumaczę, o co mi chodzi. Wiem, że uważasz, że się wmieszałem w ten cały protest rozbuchany przez twojego współnika tylko po to, żeby wkurzyć Chana Flowersa. Tylko dlatego, że od zawsze mam chłodne stosunki z panem radnym. No i jasne, częściowo taki jest powód. Ale prawdziwy powód nie ma z tym nic wspólnego. Prawdziwy powód jest taki, że pamiętam, jak w waszym sklepie był zakład fryzjerski Eddiego Spencera. A jeszcze wcześniej, kiedy poszedłem do cywila, zaraz po wojnie, rządził się tam niejaki Angelo, przychodzili starzy Sycylijczycy, żeby im przycinać wąsiska. Już ja znam Sycylijczyków, więc mogę z pełnym autorytetem stwierdzić, że marnotrawna, bezcelowa, kłamliwa i przemądrzała gadanina panuje w waszym sklepie przynajmniej od jakichś sześćdziesięciu lat. Ten Abreu, co wtedy przemawiał na zebraniu: miał chłop rację. To jest instytucja. Jak wy pójdziecie z torbami, to, bo ja wiem, może będę musiał wpuścić tam jakieś newage'ówki handlujące matami do jogi. I potem ludzie będą mieli „dni ciszy”, będą chodzić z takimi małymi zawieszkami na szyi, z napisem „Dzisiaj milczę”. Dla mnie to byłaby jednak strata.

– Garnet Singletary. – Archy pozwolił, by na jego twarzy wykwitło najszczerze zdumienie. – Jednoosobowe towarzystwo opieki nad zabytkami. I jeszcze się do tego rozkleja.

– Wiele złego się człowiekowi przytrafia, jak się zaczyna starzeć.

– Czyli co? Pan nam po prostu da te płyty?

– Jakżebym mógł? Przecież należały do pana Jonesa. Nie mogę nimi dysponować. Wiesz o tym. Ale może spadkobiercy mogliby wstawić je u was w komis. A wy moglibyście ich kiedyś tam spłacić. Jak już je posprzedajecie w tej tam Francji czy innej Japonii.

– Ha – powiedział Archy. – No to bardzo dziękuję, panie Garnet.

– Chyba przez ten pogrzeb taki się zrobiłem sentymentalny.

– Dobry z pana człowiek.

– Jak to się rozejdzie, będę musiał zaprzeczyć.

– To samo ze mną i z tym, co powiedziałem o Nacie. Że jest moim... i tak dalej. Pan nikomu nie mówi. A już na pewno nie Natowi. Zaraz by mu uderzyło do głowy.

– Zdobędzie jeszcze parę odznak, to może go przyjmiemy do klubu.

– Tak jest.

– Tymczasem, Archy Stallingsie, musisz wykombinować, czego właściwie chcesz od życia. Musisz się zdecydować.

– Stara śpiewka – odparł Archy.

Idąc z powrotem na górę, minęli salon pana Jonesa, który mimo aury miejsca ogołoczonego sprawiał wrażenie jakiegoś nadmiaru: wyszywanki i plastikowe owoce, jak gdyby dekorowały go damy z jakiejś minionej epoki, może nawet Portugalka we własnej osobie. Na samym środku pokoju czekały jeden obok drugiego dwa długie stalowe wieszaki, a na nich pełno sportowych garniturów nieboszczyka. Szeroka paleta obejmowała z jednej strony barwy odważne, nawet nieroztropne, jak to w latach siedemdziesiątych, z drugiej zaś zgaszone odcienie gliny garncarskiej; w oliwkowych brązach i różowawych szarościach było coś z lekka radzieckiego, a nawet maoistycznego. Te kraciaste już dawno porzuciły Szkocję, by udać się w podróż po nowych krainach jaskrawości, a jeden z nich, czerwono-biało-czarno-błękitny, zawsze kojarzył się Archy’emu z podkładkami w naleśnikarniach IHOP.

– Rany, te wszystkie garniaki – powiedział Archy. – Dosłownie w każdym go widziałem.

– O dziwo, jest na nie całkiem niezły zbyt – odparł Singletary. – Sprawdziłem.

– Może powinienem się przekwalifikować.

– O, nadciąga Airbus.

Wielkolud spotkał się z nimi u samego szczytu schodów; miał na sobie piękny ciemnogranatowy dres, głowę ogoloną do gładkości glazury. Należąca do Singletary’ego nówka toyota avalon stała zaparkowana na drugą, mrugając awaryjnymi. Otworzyły się drzwi po stronie pasażera i wysiadła z nich Kai Fierro, recepcjonistka Gwen. Włosy zaczesane do tyłu à la Fabian Forte, w ręku saksofon w miękkim pokrowcu. Ubrana była w niebieski mundurek licealnych dęciaków, z mosiężnymi guzikami, jaki zwykły nosić wszystkie członkinie Bomp and Circumstance, a na głowie miała banalną czapkę kapitańską z obowiązkowym deseniem jajeczniczy na daszku.

– To jest rzekomo, eee, liderka tej chińskiej orkiestry marszowej – powiedział Airbus, jak gdyby ustępował przed tyradami wariatki, żeby nie wyprowadzać jej jeszcze bardziej z równowagi. – Stała

przed waszym sklepem z jeszcze jedną białą laską, się nazywa, yyy, Jerry coś tam, i jeszcze dwiema starszymi paniami, z trąbką i saksem. Że niby umówiona tu ze Stallingsem. Chcą wiedzieć, co jest grane i które będą jechane.

– Siema, Arch – powiedziała Kai. Uścisnęła dłoń Garneta Singletary’ego, równo i po męsku, przedstawiając się: – Kai jestem.

W tym jej potrząsaniu dłonią Króla Lansu Archy dostrzegł coś podniecającego, zabawnego.

– Dzięki, że przyjechałyście – powiedział.

– Prawdziwy zaszczyt – odparła Kai. – Cochise Jones to takie nazwisko, że, no, dla wielu z naszego zespołu dużo znaczy.

– Wiecie, że urodził się w Nowym Orleanie – powiedział Archy. – Dlatego uwielbiał ten cały zamęt z orkiestrami pogrzebowymi. Zawsze powtarzał, że tutaj to tylko Chińczycy umieją człowieka porządnie pochować.

– Ale wiesz co, tam w śródmieściu to wcale nie wygląda jak w Nowym Orleanie. Ci goście tak naprawdę *nie swingują* – powiedziała Kai. – Te rzeczy, cośmy na dzisiaj ćwiczyły... Archy, to są wszystko takie proste wojskowe rzeczy. Może tak być? Sporo hymnów, *Naprzód, żołnierze Chrystusa* i inne takie.

– No zaraz – wtrącił Airbus z prawdziwym wielkoludzi oburzeniem. – *Naprzód, żołnierze Chrystusa*? To niby chińskie?

– Ale mamy wszystko porządnie przećwiczone. Aha, muszę dodać, że zrobiliśmy swingujący aranż *Redbonin*’ i to też chcemy zagrać.

– Brzmi dobrze – powiedział Archy, choć ze zmarszczoną brwią przyglądał się tandetnemu, skrojonemu na piętnastolatkę mundurkowi. – Ale jeszcze jedna rzecz. Jaki nosisz rozmiar?

Spod szumu pojazdów na Telegraph Avenue i miarowego warkotu auta Singletary’ego wydobyła się cicha, ledwo słyszalna basowa nuta, by po chwili rozbrzmieć nieco głośniejsz. Na południe od nich, nad West Oakland, czarny zeppelin obwąchał niebo spiczastym ryjkiem.

– Athletics grają dziś z Tampa Bay Rays – powiedział Archy. – Wszyscy spojrzą do góry, zobaczą toto i się podjarają. I będą mówić: „Ty, paa, leci ten cały sterowiec Dogpile!”.

– Zajrzałam do takiego Dogpile w L.A. – powiedziała Kai. – Zajebistość.

– Nie dobijaj mnie – odparł Archy.

Przeto rzekł Bóg:

– Co to ma, kurwa, być?

W kabinie „Minnie Riperton” Walter Bankwell nawet nie starał się markować luzu. Latanie sterowcem nie sprawiało mu przyjemności, zbyt był zestresowany, żeby się napić i zrelaksować. Nie lubił też, kiedy wszyscy inni na pokładzie „Riperton” się relaksowali, chociaż, jak się okazało, podstawową i ewidentną funkcją zeppelinu (prócz tego, że wprost fenomenalnie przyciągał wzrok) były korporauty dla klientów utracjuszy, aktorów, piosenkarzy i raperów, ludzi z mediów, bonzów od obuwia sportowego albo tej zgrai bibliotekarzy z biednej dzielnicy, którzy wygrali jakiś konkurs czy coś w tym stylu, w każdym razie wszyscy ci ludzie wlatywali w niebo wraz z G Badem i jego obstawą i dostawali totalnego pierdolca.

Walter nie bał się wysokości; niepokoił go raczej zbiornik z gazem. Choć rozumiał doskonale różnicę między helem a wodorem, to jednak w „Minnie Riperton”, mimo jej bezwładu i ogromu, było coś kruchego, niewystarczającego; sama nazwa, przywodząca na myśl prującą się tkaninę, nie polepszała sprawy. Zeppelin miał swoje pięć minut, nie skończyło się to najlepiej. Świat poszedł naprzód, jak w przypadku ośmiościeżkowców. Taki ośmiościeżkowiec, fakt, potrafił się zapchać, zeżreć taśmę albo zetrzeć w proch plastikowe kółeczko, ale na pewno nie wyleciałbyś przez niego w powietrze.

Walter czuł się nieswojo. I z pewnością wcale nie miał czuć się swojo, nawet jeśli byłby skłonny się napić i rozluźnić. Taki właśnie był prawdziwy cel posiadania zeppelinu; nie chodziło o wizerunek ani relacje z klientami, tylko o to, żeby potwierdzić boskość Gibsona Goode’a zamieszkującego swą niebiańską rezydencję. Dziś Waltera wezwano przed podniebny tron, ponieważ Bóg był niezadowolony.

Z plastikowego garbu pełniącego funkcję stolika Bóg wziął egzemplarz „Oakland Tribune”.

– Widziałeś? – spytał.

Nagłówki, pomyślał z goryczą Walter.

– „Właściciel sklepu z używanymi płytami podkręca obroty w walce z krajową siecią” – przeczytał. – Tak, widziałem. Gość wychodzi na palanta. Jeszcze trochę popodkręca te obroty, to będzie brzmiał jak Kaczor Donald.

– Sensowne porównanie – powiedział Gibson Goode. – Nie ogarniam, czemu tak jest, ale w takich środowiskach, wiesz, karty sportowe, rzadkie magazyny, autografy, palantom jakoś łatwo się przebić i ludzie za nimi idą. Ale właściwie nie to mnie martwi – ciągnął Goode. – Chuj mnie obchodzi jakiś biały swingujący klezmerek i dwudziestoosobowa banda podburzonych przez niego białasów z nietolerancją laktozy.

– Okej. To co pana martwi?

– Ty mnie martwisz.

Pod gazetą, którą Goode zdjął przed chwilą ze stolika, leżała spora biała koperta pocztowa obrzeżona zielonymi krzyżykami. Facet miał pod ręką wszystko, co mogło mu się przydać do prezentacji, łącznie z gorylem Taku, który siedział w kąciku jadalnianym, stanowiąc poważną konkurencję dla ruchu wznoszącego pojazd. Spluwa na pokładzie sterowca: tylko czekać, aż przypadkiem wypali.

– Coś takiego przyszło do mojego biura w Fox Hills – powiedział Goode. – Wygląda na robotę jakiegoś czubka.

Fotografia wydrukowana na gładkim papierze, kolory zarazem mdłe i wyraźne: rozgwiazdowaty splot chabrowych fioletów rzucony na błękitno-zieloną morę. Chociaż może jednak skan: na szkle położono trójwymiarowy przedmiot, odcinający się ciemnymi barwami od bezmiaru błękitno-zielono jaśniejącej pustki, która wychodziła na odbitkach, gdy nie zamknęło się kłapy skanera. Bezmiaru świata nieskanowanego.

– Coś jakby rękawiczka – ocenił Walter.

– Był też list. Że to rękawiczka.

– List od kogo?

– Od Luthera Stallingsa. Że niby łączy twojego wujka z zabójstwem Popcorny Hughesa, że krew, DNA, takie rzeczy, co to nawet po tylu latach można sprawdzić.

– Ha.

– Chan Flowers i te jego tajemnicze zaszłości, o których nikt się nie może dowiedzieć. Nie miałem z tym problemu, jak byliśmy po różnych stronach. Czaisz? Ale teraz, jak już jesteśmy po tej samej, to mi nieszczególnie leży, żeby gdzieś tam krążyły takie, no, memorabilia. I jeszcze jakieś skany.

– Fioletowa rękawiczka? – powiedział Walter.

Goode cisnął mu zdjęcie w twarz.

– A skąd ja mam, kurwa, wiedzieć? – krzyknął. Dźwignąwszy się z miejsca, podszedł do okna i spojrzał na misę stadionu. – Wiesz, że Oakland Athletics wzięli mnie na miotacza – powiedział.

– Widziałem pana – odparł Walter. – USC Trojans kontra California Golden Bears w jakimś osiemdziesiątym piątym. Ganiałem wtedy za taką jedną, Nyreesą, pracowała w bufecie na stadionie Evans Field. Chodziły ploty, że mogą tam być skauci z MLB i od Athletics, i od San Francisco Giants.

– Wybili mi tylko dwa hity. Od naszych żadnej pomocy, zero obiegów. Jednemu z tamtych się fartnęło, słaby hit z niepełnego zamachu. Skiepsiłem z narzutem, odbili bez problemu. Wystarczyło.

– Też nic nie ugrałem – powiedział Walter. – Z Nyreesą znaczy.

– Dobra. – Goode obrócił się raptownie od okna, kompletnie zaskakując Waltera, który stracił równowagę i rymsnął na dupsko. Goode stanął nad nim i popatrywał z góry wzrokiem niepozabawionym pogardy. – Po pogrzebie, na którym oczywiście się zjawi, radny Abreu, jak sam zaproponował, pójdzie ze mną na mecz. Myślałem, że zechce usiąść w łoży, ale mówi, że woli na trybunach. A mam miejsca zaraz za ławką Athletics.

– Abreu.

– Z jakiegoś powodu przyszło mu do głowy, żeby się przyjrzeć kwestiom podatkowym i jeszcze paru innym w tym interesie, który dzięki staraniom twojego wujka robię z władzami miasta, żeby zagospodarować teren po markecie Golden State. Kulisy raportu o oddziaływaniu na środowisko, moje powiązania z Komisją itede.

– Czyli on też wyciąga od pana forszę.

– O co chodzi z tym Oakland? Debilne miasto, zawsze musi w ostatniej chwili odwalić jakiegoś Gilligana, coś zjechać. No ale nie

tym razem. Tym razem Szyper zrobi, co trzeba²⁶. A jeśli uznam, że za bardzo mi ciąży ten twój wujek Chan... Wiesz, tutaj na górze trzeba uważać, żeby nie przekroczyć dopuszczalnej wagi.

Kung-Fu pomyślał, że w takim razie może powinni byli zostawić Taku na lotnisku, lecz refleksję tę postanowił zatrzymać dla siebie.

– Pokaż wujkowi zdjęcie, pokaż mu list i to, co tam jest o tej nocy, kiedy kropnęli Popcorną Hughesa. Wszystko mu pokaż. Dowiedz się, co zamierza z tym bałaganem zrobić. Przekaż mu, że życzę sobie, żeby to ucichło. I że chcę mieć gwarancję. Bo inaczej, kto wie, może zacznę szukać gwarancji u radnego Abreu? Kumasz?

– Jak najbardziej – powiedział Walter. – A kiedy lądujemy?

Gdy ojcowie poszli spotkać się z Singletarym w piwnicy nieboszczyka, chłopcy wzięli się do roboty. Porozsuwali pod ściany wielkie kosze na kółkach, towar wynieśli do kanciapy: po pachy w zapachu, w ołowianym ciężarze analogów. Obnażona w ten sposób podłoga Brokeland Records (palimpsest czerwono-białego linoleum, spod którego tu i ówdzie wyzierała w przetarciach warstwa zielono-śmietankowa) okazała się bardziej syfiasta, niż dał im do zrozumienia Archy. Titus chwycił miotłę, a Juliego przydzielił do odkurzania sprzętów. Obiecano im zapłatę za poświęcony czas, co miało ten nieoczekiwany skutek, że Titus był w dobrym nastroju. Udało mu się zlokalizować gdzieś w Los Angeles jedną z sióstr matki. Nie zgodziła się wysłać mu pieniędzy, ale powiedziała, że jeśli się tam jakoś dostanie, przygarnie go. Miał teraz w życiu cel; było nim złamanie serca biednemu Juliemu Jaffe.

Julie dysponował staroświecką miotłką z komicznych niebieskich piór, wyrwanych z kapelusza starszej pani albo z dupy strusia w kreskówce Warner Bros. Atakował nią kurz, czując się jak Królik Bugs i cały czas czujnie obserwując Titusa. Ten do swej pracy podchodził nader poważnie: wytyczał na podłodze sektory piasku i owadzich nóg, usypywał kopczyki, a potem kucał, by jednym ruchem zmieść wszystko na szufelkę. Podkoszulka odcinała mu się białą od skóry ramion, a dzinsy nie były spięte paskiem, więc spod

ich talii wyzierała czasem kratka bokserek. Julie, pacając tu i ówdzie miotełką z piór, czuł zamęt pożądania; przypominało mu się, że kiedyś podniecał go Królik Bugs, te biodra, zgrabniutki biały ogonek i położone po sobie uszy, kiedy udawał dziewczynę, cały uszminkowany i zalotny.

– Czyli że kto to ma być? – Titus odpoczywał teraz, oparty o miotełkę, przyglądając się zasłonie, którą Julie malował przedostatniego lata, w gruncie rzeczy dosłownie przez całe lato, od końca piątej klasy do początku szóstej, koralik po koraliku, zaciskając zęby.

– No, to miał być Miles, ale...

– Miles Davis? Trąbka? Widzisz, zaczynam się orientować – Obróciwszy się, Titus przyłapał Juliego na podziwianiu jego smukłej talii i linii bioder, jak u Królika Bugsa. Julie wyszarpnął z miotełki pióro, chociaż wcale nie miał takiego zamiaru. – To co, na razie chyba styka tego?

Julie udał, że rozgląda się po sklepie. W kanciapie, w torbie na zakupy z logo sieci Berkeley Bowl, czekały eleganckie koszule i czyste spodnie na pogrzeb, starannie poskładane przez Avivę.

– Za parę minut wrócą tamci – powiedział Julie. – Możemy się przebrać albo...

Poszli do kanciapy. Julie ściągnął majtki i rozluźnił mięśnie, a Titus splunął w dłoń i na chwilę wsadził Juliemu kutasa. Bolało, ale ból ten wydał się Juliemu interesujący, zasługiwał na dokładniejszą analizę; warto byłoby jeszcze się nad nim pozastanawiać. Za każdym razem, kiedy Titus wysuwał się nieco przed kolejnym pchnięciem, Julie czuł coś bliższego ulgi niż bólu. Po minucie czy dwóch Titus całkiem z niego wyszedł.

– Chyba słyszałem drzwi – powiedział.

Poszedł do łazienki i stanął w rozkroku nad malutką umywalką. Julie ściągnął zakurzone džinsy. Spienione mydło, palce Titusa, ten jego zdumiewający penis.

– Nie jestem gejem – rzucił Titus po wyjściu z łazienki. – Powiedziałbym ci, gdybym był. Nikomu innemu, ale tobie tak.

– Okej.

– Bo ja się nie chcę z tobą całować ani nic. Wiesz, być twoim chłopakiem. – Pokręcił stanowczo głową. – Ale ruchać cię mogę.

- Okej.
- Ale ty jesteś. Gejem, znaczy.
- Hm.
- Wiesz o tym, nie?
- Chyba.

Włożyli czyste dżinsy i koszule z krótkim rękawem, kupione w Targecie specjalnie na tę okazję. Julie pomyślał, że mogliby być braćmi. W Berkeley coś takiego nie wydawało się wcale nieprawdopodobne.

Titus wyciągnął do Juliego prawą rękę, powoli, rozcapierzając palce. Splotły się dłonie zahaczone kciukiem o kciuk, a chłopcy zderzyli się klatkami. Titus objął go ramieniem; w tym przeciągłym uścisku Julie czuł się bezpiecznie, choć wiedział przecież, że gdy Titus go puści, zostanie tylko uczucie osamotnienia.

Wychodząc z piwnicy Cochise'a Jonesa, Nat gotów był obłożyć byłego współnika dożywotnim milczeniem. Gdy był w formie, potrafił przez kilka dni z rzędu ograniczać się do gniewnych monosylab.

Przez pierwszą godzinę, czy coś koło tego, utrzymywanie brzemiennej, soczystej ciszy przychodziło mu bez najmniejszego trudu: wraz z Archym i chłopcami rozsuwali wtedy pod ściany pojemniki z płytami, targali stosy rzadkich winyli do kanciapy, rozkładali stoły pod jedzenie i alkohol, wieszali na ścianach zdjęcia Cochise'a Jonesa. Na jego ulubionym stołku ustawili wielkoformatową fotografię: ubrany w skórzane spodnie, kamizelkę i kapelusz stetson, pan Jones jedzie na srokaczu podczas oaklandzkiej parady z okazji Dnia Czarnoskórego Kowboja. Julie najwyraźniej uznał ojcowską małomówność za stosowną do okazji powagę. Titus chyba niczego nie zauważył albo miał to gdzieś; może i jedno, i drugie. Co się zaś tyczy Archy'ego, ten był zaprawiony w znoszeniu ciszy Nata, toteż Nat wiedział, że na reakcję z tej strony trzeba będzie poczekać dłużej niż godzinę.

Lecz wtedy przed sklepem pojawił się oldś 98, w nim zaś gość honorowy. Dwaj młodzi Flowersowie wwieźli do środka szczątki Cochise'a Jonesa, zamknięte w trumnie przypominającej *Nasz cudowny samochódzik*; brakowało tylko prążkowanych skrzydeł i Dicka Van Dyke'a. Pod kierownictwem Archy'ego ekipa Flowersa zaparkowała trumnę za szklanym kontuarem. Wszystko było gotowe, siostrzeńcy już chwycili brzegi wieka i właśnie wówczas Nat poczuł, że musi jednak zaprzepaścić bardzo obiecujący początek tysiącletniej ciszy i naradzić się ze zdrajcą.

– Serio robimy otwartą trumnę? – spytał.

– Ma pan z tym problem? – chciał wiedzieć jeden z siostrzeńców.

– Wiecie, kupowałem już płyty w różnych podejrzanych miejscach

– wyjaśnił Nat. – Ale w żadnym nie można sobie było pooglądać nieboszczyka.

Archy myślał przez chwilę, jak gdyby szukając kontrprzykładu, jakiejś winylni w czarnej dzielnicy Hadesu, Chicago albo innej Filadelfii. Następnie zwrócił się do siostrzeńców:

– Dobra. Jak on tam wygląda?

Po kilkusekundowej niemej naradzie większy z siostrzeńców powoli skinął głową.

– Naprawdę całkiem – zapewnił ten drugi.

Archy powiedział:

– Dawaj, otwieramy i się obaczy.

Flowersowie unieśli wieko, a Julie i Titus przecisnęli się bliżej, licząc na jakieś objawienie. Julie po raz pierwszy zobaczy trupa, pomyślał Nat, czując ukłucie paniki. Nie miał w zanadrzu żadnego komentarza, żadnej uspokajającej formułki, żadnych słów zdolnych uzupełnić tę chwilę o jakiś kontekst albo złagodzić jej efekt; być może zresztą potrzebował ich nie tylko jego syn, ale i on sam. W całym swym życiu Nat był dosłownie na kilku pogrzebach z otwartą trumną i od tego widoku za każdym razem brązowiały kartki w księdze życia, matowiało srebro świata, śniedziały złocenia. Tylko paralizująca męska panika powstrzymała gwałtowny impuls, by otoczyć Juliego ramieniem i odwieść jego wzrok od tej sceny.

– O jaaa – powiedział Titus z autentycznym podziwem.

– Nat, no proszę cię – dodał Archy. – Pochowasz coś takiego i nawet nie spojrzysz?

Garnitur, który Cochise Jones polecił wykorzystać do pochówku, nie był tak po prostu jaskrawy, brzydki czy intensywnie kraciasty. W swym ekscesie ów klejnot kolekcji ocierał się o dostojność czy wręcz magię. Biały, obszywany lamówką w kolorze palonej pomarańczy, miał w sobie coś z olśniewającego kowboja²⁷, choć na karczku i mankietach rękawów i nogawek wybuchał płomieniem dzikich, pseudoazteckich haftów, abstrakcyjnych wzorów przywodzących na myśl różowe kwiaty, zielone sukulenty i krwistoczerwone serca. Owo „azteckie wdzianko”, jak je nazywał, Cochise miał dotychczas na sobie trzy razy: raz, gdy akompaniował Billowi Jamesowi w hotelu Eden Roc tej nocy, gdy nadciągnął huragan Eloise, raz w kasynie Sahara w Las Vegas, gdzie garnitur otrzymał pochlebny recenzję od Sammy’ego Davisa Juniora, i raz, z nieprawdopodobnymi konsekwencjami, gdy pan Jones występował przed lokalną publicznością w klubie Eli’s Mile High. Po tej legendarnej nocy, grubymi zgłoskami zapisanej w annałach oaklandzkich burd, Cochise wyprawił azteckie wdzianko na emeryturę, dostrzegając w nim znamię przeznaczenia. Takiego garniaka nie powinno się marnować na dzień jak co dzień, nawet jeśli na co dzień było się królem hammonda B-3.

Nat spojrział na Juliego, który obejmował się ramionami. Minęło jeszcze parę sekund, nim Nat poczuł dostateczny wstyd, by pospieszyć synowi z odsieczą i go objąć. Julie miał na sobie za ciasną koszulę w drobną czarno-białą kratkę z krótkim rękawem. Jego bark odnalazł znajome zagłębienie w ojcowskim łokciu. Jego ramię, chude jak kij od szczotki, wciąż było miękkie jak u małego dziecka. Pod dotknięciem Nata chłopiec natychmiast się rozluźnił.

- Wygląda zajebiście – oświadczył.
- Tak?
- No ba.
- Dobra – powiedział Nat do Archy’ego. – Robimy z otwartą.

Aviva zjawiała się kwadrans przed jedenastą, wyhaczywszy miejsce zwalniające się właśnie przed karawanem, który stał przy samym

Brokeland Records.

Nat sterczał na chodniku, robiąc wszystko, by nie wyglądać tak, jakby na nią czekał. Ona jednak nie raz widziała go stojącego na przystanku, gdy łało, a autobus się spóźniał. Facet ewidentnie czekał.

Podjechała pod krawężnik, a Nat wszedł do auta i zamknął drzwi. Jak po skoku na bank, pomyślała Aviva: chciałby się jak najszybciej ulotnić.

– Zaparkowałaś niczym Doris Day – powiedział.

– Sie wie. Ktoś już jest?

– Tylko nasi. I, rzecz jasna, trup. Umarlak. – Jego głos zabrzmiał dziwnie, jakby spłycony ironią.

W tym garniaku à la Belmondo Nat wyglądał na wymiętego i rozczarowanego. Na nią nawet nie spojrział, najwyraźniej mając gdzieś, jak się ubrała na stypę po panu Jonesie czy co to tam się miało dzisiaj odbyć. Odnotujmy jednakowoż, że miała na sobie czarny kostium Donny Karan, kupiony w Crossroads, i perłowoszarą bluzkę, a do tego parę statecznych sandałów. Styl biznesowy (w końcu była to sprawa, którą należało załatwić), jeśli pominąć chustę, którą tym razem obwiązała włosy. Rok temu dostała ją od pana Jonesa na urodziny; chusta należała kiedyś do nieboszczki Fernandy. Była wzorzysta, w owoce i liście brzoskwini, więc jak na pogrzeb, czysty ogień. Nat naprawdę powinien był zauważyć.

– Zrobiłam zakupy w Smart & Final. Wszystko jest w bagażniku.

– Dzięki.

– Coś nie tak?

– Nic – odparł.

Zaraz potem ukrył twarz w dłoniach. Nat nigdy nie pozwalał sobie na załamanie nerwowe: kończyło się na bohaterских próbach usidlenia łez w strefie osłoniętej dłońmi. Zawsze ją to obezwładniało.

– Kochanie, co się dzieje? – spytała. – Chodź tu.

Przytuliła go, gotowa przetrzymać kryzys, podczas gdy on wmasowywał smutek z powrotem w twarz. We wczesnej fazie małżeństwa Aviva namawiała go, by pozwolił sobie na płacz. Lecz Nat, jak wreszcie zrozumiała, nigdy sobie na to nie pozwalał,

pewnie nawet nie umiał, może więc ciągle namawianie go do tego było nie fair. Może lepiej było zostawić biedaka w spokoju.

Dlatego przeżyła szok, gdy jego dłonie opadły niczym młodzieńcze złudzenia, odsłaniając faceta, którym wstrząsał stuprocentowy płacz. Owładnięty miękkim, wilgotnym i nieco babcinym smutkiem Nat porykiwał żałośnie, aż mu się trzęsły ramiona. I to wszystko z powodu pana Jonesa! Coś podobnego. Po tylu latach pobożnych, acz zrezygnowanych życzeń Aviva wreszcie ujrzała męża we łzach i odkryła, że ten widok – ów kruszejący zamek z piasku – właściwie ją irytuje. Przecież to nie był Nat, ten władca biegunów, którego znała, w jednej chwili nieposiadający się ze złości, w drugiej przeżywający napad euforii.

– Wiem, jak bardzo go lubiłeś – powiedziała Aviva, wyciągając z torebki chusteczkę. – Ja też.

Nat wydmuchał nos, wciągnął głęboko powietrze, wypuścił.

– Lubiłem – powiedział. – Naprawdę gościa lubiłem. Ale to nie... ja nie dlatego...

– To o co chodzi? Nat, co się stało?

– Pokłóciłem się z Archym. Rozstajemy się.

– Co?

– Rozwodzi się ze mną. Bo? Już za bardzo go wkurwiam tym swoim marudzeniem. – Jeszcze raz parsknął w chusteczkę, w równych proporcjach śluzem i drwiną. – Co to jest w ogóle za powód?

– Bierze tę robotę w Dogpile?

– Mam nadzieję. Bo ja go, kurwa, na oczy nie chcę widzieć.

– Nat. – Nie chodziło o to, że Archy żądał rozwodu; Nat, jak wносиła z jego naburmuszenia, czuł się porzucony. – Archy i Gwen mają teraz swój własny dramat.

– Jasne. Pod tytułem „prawdziwe życie”.

– Czyli uważasz, że do tej pory Gwen Shanks i Archy Stallings żyli w świecie fantazji?

– Idę o zakład, że Gwen czuje się tak, jakby do tej pory żyła w świecie fantazji. Czarna położna i milion białych mamulek. Czarni zawsze żyją w świecie fantazji, to po prostu nie jest *ich* fantazja.

– Mhm – powiedziała Aviva, z migrenowym pulsem w skroniach przeczuwając, że zbliża się wykład z teorii jaffeańskiej. – Okej, to

pogadajmy o tym, co zamierzasz zrobić.

– Co zamierzam zrobić? Okej. Pogadajmy. Jedno wiem. Nie chcę mi się już handlować używanymi, kurwa, winylami.

– Nat.

– Bo ja tak naprawdę, wiesz, tak naprawdę, to ja nienawidzę płyt. Nie. Inaczej: nienawidzę *muzyki*. Wszelkiej muzyki. Tak jest. Wyrzekam się jej. Muzyko, wypierdalaj! Muzyka to szatan. Służymy jej utajonym celom. Jest jak wirus z kosmosu, który sam się rozmnaża, jak w *Tajemnicy Andromedy*. My jesteśmy zaledwie nosicielami. Marionetkami. Tak naprawdę to muzyka pociąga za sznurki.

– Nat.

– Ale pomyśl, Aviva. Muzyka doprowadziła do tego, że łazimy z jakimś gównem w uszach, barachło przyczepia nam się do ciuchów. Nie, ja dziękuję za coś takiego. Chyba pójdę, nie wiem, w handel serem czy coś. Serem będę, kurwa, handlował. A ty mi możesz pomagać. Daj se już spokój z tymi dzieciakami. Ile można, przecież już tyle ich jest na świecie. Wiesz, czego naprawdę potrzeba? Dobrego sera. No bo sama powiedz, czemu mamy jeździć aż do North Berkeley, do Cheese Board, po produkty najwyższej jakości? Czy Oakland nie zasługuje na własny kolektyw serowarski? Albo South Berkeley i Oakland razem. Chociaż czekaj, nie ser. Jebać ser. W serze to same zarodniki, pleśń, chuj wie co. Zresztą może ser też chciałby skolonizować nasze umysły. Wiesz, może to jest jeden wielki bój o władzę nad ludzkim układem nerwowym, ser versus muzyka, co?

– Nat...

Ktoś zapukał w okno i oboje aż podskoczyli. Nat opuścił szybę, za którą stał Julie, wyglądając uroczo, jak mały chłopczyk w koszuli dorosłego. Obok sterczał Titus, który wyglądał po prostu jak dorosły. Dwóch chłopaków żujących wielkie kawały gumy.

– Siema, pani Jaffe – przywitał się Titus.

– Co wy tu? – spytał Julie, dokonując błyskawicznej analizy nieładu, w jakim znajdowała się twarz Nata, jego włosy i garnitur. – Co jest tacie?

– Co jest? Pogrzeb jest, Julie – odparła Aviva. – Proszę was, żebyście wyładowali ten cały bajzel z bagażnika. Lód, napoje.

Pownoście do środka.

Żuju, żuju.

– Okej – powiedział wreszcie Julie. – Dajemy, Ti.

Okrążywszy volvo, chłopcy otworzyli tylną klapę. Aviva obserwowała Titusa we wstecznym lusterku, jak smukłymi ramionami objął cztery worki lodu i dźwignął; jego twarz lekko się tylko napięła z wysiłku. Julie też pokornie obwiązał wstążeczką swych chudych rąk cztery worki, zachybotał się do przodu i podreptał, skulony jak facet ze skurczem żołądka.

– „Dajemy, Ti” – powiedział Nat. – Mały, kurwa, pozer.

Roześmiała się, ucieszona tym, że wracało mu rozdrażnienie. Wypuściła go z objęć, ściskając już tylko jego dłoń; obrączki brzęknęły o siebie jak krzemień o stal albo dwie szampanki w toaście. – Dasz radę?

– Tak – odparł.

– Wiesz, że jakoś się to wszystko ułoży, prawda?

– Nie – przyznał. – Ale pewnie mogę poudawać.

Wysiedli. Nat chwycił dwie skrzynki coli w puszkach, Aviva skrzynkę pomarańczowego jarritos i ruszyli śladem chłopców do sklepu.

– O kurde – wyrwało się Avivie na widok ciała w trumnie odpicowanej mosiądzem niczym jakaś machina z Juliusza Verne’a. Wezbrana fala burgundowego weluru unosiła twarz pana Jonesa jak wygładzone dryfem drewno. Oplecione pnączami mankiety rękawów i nogawek sportowego garniaka trawił ogień. – Czy to jest to słynne azteckie wdzianko?

– W ostatnim wcieleniu.

– Cześć, Aviva.

Obróciła się do Archy’ego, który stał przy stole z przekąskami, wciśnięty z częściowym powodzeniem w garnitur przedsiębiorcy pogrzebowego. Próbowwała wyczytać coś z jego twarzy, przejrzystej jak u niemowlęcia, lecz nic prócz oczu, boleściwie i stosownie zmrużonych, nie przykuło jej uwagi. Nie widziała żadnych śladów poczucia winy czy wyrzutów sumienia z powodu tego, co musiało zajść między nim a Natem zaledwie parę godzin wcześniej. Żadnej konsternacji, kulenia ramion. Wiedziała jednak dostatecznie dużo,

nawet za dużo, o jego zaszłościach z Gwen, by rozumieć, że skrucha może się pojawić dopiero po kilku dniach.

– Super wyglądasz, Aviva – powiedział. – I widzę, że założyłaś chustę Fernandy.

– Dzięki, Archy – odparła.

Poczuła na ramieniu rękę męża; ciężar dłoni sam w sobie był komunikatem. Nawet bez odwracania się wiedziała, że Nat patrzy spode łba na Archy'ego, ten zaś wydał usta i przewrócił oczami ze zniecierpliwieniem, które tylko potwierdziło jej intuicję.

– Tego kurczaka wam starczy? – spytała Aviva.

Wzdłuż całego stołu z jedzeniem ciągnął się spowity chmurami łańcuch strzelistych szczytów ze smażonego kurczaka; bez butli tlenowych i przewodnictwa Szerpów nie było co próbować.

– Ale żartujesz teraz, co? – upewnił się Nat. – Nie no, serio mam jeszcze przynieść?

Strawę dostarczono z tacowozu Sinaloa i z piekarni Merritt, czyli dwóch miejsc, w których pan Jones najbardziej lubił jadać. Bezkresne llanos zielonych sosów do enchilady i tamale, istny Popocatépetl z al pastor; od Merritta owa niebotyczna kurczacza sierra. Aviva wiedziała, jak przykro musi być Natowi, że akurat na tym ze wszystkich przyjęć nie może podać smażonego kurczaka własnej roboty, lecz Aviva kazała mu przysiąc, niczym Bogu po potopie, że już nigdy nie spustoszy ich kuchni.

– Żartuję – uspokoiła go. – Ale jeszcze tylko powiem, że jak czarni i Żydzi robią wyzerkę, na kurczaki pada błądy strach.

– Powiedziałem Avivie, że zamykamy sklep – oznajmił Nat. – Na dobre. Zgodnie z twoim życzeniem.

– Zamy... kacie... sklep? – wydusił Julie między jednym sapnięciem a drugim, chwiejnym krokiem manewrując z dwiema skrzynkami martinelli's w stronę stołu z trunkami.

– Ty się nie interesuj – powiedziała Aviva. – Archy, prawda to? Wzięłaś robotę w Dogpile?

– Nie – odparł Archy. – Niczego nie zrobiłem i mam zamiar tak trzymać, jak długo się da, a przynajmniej do jutra. Nat po prostu fiksuje.

Aviva złapała Nata za łokieć i obróciła go przodem do siebie, zasłaniając mu całe pole widzenia, póki się nie poddał i nie spojrzał

jej w oczy.

– Nat, fiksujesz? Bo jeśli tak, to masz przestać. Na jakieś cztery godziny. Cztery godziny bez fiksowania, odjeżdżania w kosmos i szybkiej zmiany faz. Potrzebujesz Archy’ego. A Archy ciebie. Prawda, Archy?

– Bywa – odparł Archy.

– Już macie na głowie umarlaka, a zaraz zwali wam się tu jeszcze z pięćdziesiąt osób.

– Bardziej koło setki – uściślił Archy.

– Więc bądź facetem i weź się w garść – powiedziała do męża. – Jutro może już nie będziecie współnikami, kto wie. Ale dzisiaj, bez dwóch zdań, jeszcze nimi jesteście. I jako wspólnicy macie obowiązek stać prosto i reprezentować dzielnicę. Dla pana Jonesa.

– Ojej, super, Aviva. Jaka ty jesteś dorosła! Chylę czoła i w ogóle – odparł Nat. – Ale ta sprawa z Archym ma pewien wymiar, którego w całej swej mądrości i dojrzałości nigdy nie pojmiesz. Bo w tym wymiarze chodzi tylko i wyłącznie o winyle.

Rozważała kilka różnych ripost: ciętych, lekceważących, sardonicznych. Postanowiła jednak trzymać język za zębami, bo jeśli faktycznie chodziło o winyle (a faceci tacy jak Archy i Nat w imię winyli gotowi byli wszczynać wojny, zakładać imperia, tracić godność i przepuszczać fortunę), to Nat miał rację: tego akurat Aviva nigdy nie zamierzała pojmować.

– Ale wiem, o co ci chodzi – oznajmił Nat. – Dlatego potraktuję ten dzień jako mój ostatni wspólny z Archym, spędzę go odpowiednio do okazji, czyli tak, żeby jak najlepiej uczcić pamięć Cochise’a Jonesa. Okej? Tylko się nie spodziewaj, że będę z Archym gadał.

– Zrobił ci ciche dni? – spytała Archy’ego Aviva.

– Może. Nie zauważyłem.

– Zrobił – powiedział Titus. – Totalnie.

Wszyscy obrócili ku niemu wzrok. Jak na Titusa Joynera wśród dorosłych była to całkiem długa przemowa.

Gwen zjawiała się niemal dwadzieścia minut po czasie, za to po piętnastu godzinach snu we własnym łóżku. Czowała się jak po solidnym kortykosteroidzie: nie spieszył jej nawet fakt, że z trudem mieści się w drzwiach. Mnóstwo najróżniejszych ludzi przyszło reprezentować dzielnicę i uczcić tym samym pamięć pana Jonesa. Ludzie z okolicy, hipsterzy, krzepcy i brodaci zbieracze analogów. Kai ze swoim zespołem, czyli osiemnaście kobiet w olśniewających garniturach z kolekcji pana Jonesa. Stali bywalcy: Moby, pan Mirchandani, Singletary. Obok trumny Chan Flowers ze splecionymi ramionami i starczym bujnym fryzem, połyskliwym jak u Jamesa Browna, przypatrywał się twarzy nieboszczyka, mrużąc krytycznie oczy. Wszyscy na stojąco, prócz kilkorga szczęśliwców tuż przed kontuarem, którym dane było zasiąść na rozkładanych krzesłach.

Wzrok Gwen odnalazł Archy'ego. Jej mąż stał całkiem z tyłu, przy zasłonie z koralików, górując smętnie nad bufetem. Gwen nie pozwoliła, by jej wzrok zatrzymał się dłużej na jego słodkich, smutnych, spuchniętych oczach. W sklepie zainstalowano też coś w rodzaju platformy, na której w świetle reflektorów stanął morderczy hammond B-3. Obok, ze skrzyżowanymi ramionami, tkwił Nat, jak gdyby gotów udaremnić kolejne akty przemocy. Uniósł brew na przywitanie, by po chwili znów przenieść wzrok na nieznanego Gwen białego staruszka, który stał po drugiej stronie organów, przed wzmacniaczem Leslie. Z wielką powagą, podbitą bliżej nieokreślonym europejskim akcentem, prawił o poglądach politycznych pana Jonesa, o których Gwen (podobnie jak większość zebranych) nie miała dotychczas bladego pojęcia. Okazały się czerwone jak sam wódz Apaczów.

Wzrok Gwen przykuła obwiązana tropikalną chustą głowa jej współniczki w rzędzie krzesel przed kontuarem. Aviva była jedną z tych, którym udało się usiąść. Uniósła dłoń, pokazując, że jest koło niej wolne miejsce, i teraz Gwen już musiała skorzystać. Wiedziała, że Aviva jest na nią zła, i ta świadomość wystarczyła, by i Gwen przyprawić o złość. Była jednak za bardzo w ciąży, by stać.

Gdy Gwen niczym lodołamacz przeciskała się przez kry tłumu, Aviva podniosła torebkę, zajmującą do tej pory miejsce dla współniczki.

– Co to za facet? – wyszeptała Gwen do jej ucha, sadowiąc się na krześle.

Włosy Avivy pachniały liściem laurowym.

– Chyba z tej biblioteki marksistowskiej parę numerów dalej.

To, że na Telegraph Avenue jest jakaś biblioteka marksistowska, również było dla Gwen nowością. Próbowała wyobrazić sobie przybytek, gdzie mógł zagrzać miejsce człowiek gustujący w takich ciuchach jak pan Jones, który zdaniem starego bibliotekarza marksisty o piskliwym głosie nie tylko rozumiał teorię bazy i nadbudowy, lecz także wiedział, że podłożem wszelkiego rasizmu w Ameryce jest walka klas.

– To jest to azteckie wdzianko? – szepnęła Gwen, po raz pierwszy odnotowując cały splendor nieboszczyka.

Aviva skinęła głową.

– Ćśś – zgañła je kobieta siedząca u drugiego boku Gwen, jakaś cudaczna stara Cruella z brązowym podpalanym shih tzu na kolanach.

– Przepraszam – szepnęła Gwen do strasznej staruszki.

– Ja też – powiedziała Aviva do Gwen, jak gdyby i to trzymała na przyjęcie współpracownicy.

Gwen zastanawiała się, czy nie wyprowadzić Avivy z błędu co do przeprosin, które rzekomo właśnie złożyła za to, co Aviva nazwała jej występem podczas przesłuchania w szpitalu. Coś ją jednak powstrzymało. I nie były to skrupuły – gdzieżby. Już prędzej miękka jak śnieg pierzyna snu, pod którą spędziła noc. W każdym razie Gwen czuła bardziej niż kiedykolwiek, że postąpiła słusznie, konfrontując się z tymi marionetkami ubezpieczycieli, a także wyrzucając Archy'ego z domu, żeby wreszcie odpocząć. To nie ewentualność, że mogła się wczoraj pomylić, przesadzić, przekombinować, przegiąć, skłoniła Gwen do podtrzymania tych opacznie rozumianych przeprosin. Była to czysta kalkulacja, nawet jeśli dobrze zamaskowana. Niech Aviva sądzi, że ją przeproszono; to ułatwi sprawę później.

Po facecie z biblioteki marksistowskiej przemawiał szczerbaty perkusista, zapewne młodszy, niż się wydawało, bo tych ćpuńskich lat miał ze sto dziesięć, a potem wstał Moby, by opowiedzieć, jak pierwszy raz zaszedł do Brokeland Records. Pan Jones siedział

wówczas na swoim zwyczajowym miejscu, z rozłożoną na kontuarze talią kart, i dobywanymi z kieszeni marynarki ziarenkami słonecznika wynagradzał sukcesy swej papugi Pięc Osiem w odróżnianiu kolorów czerwonych od czarnych. „Takich bystrzaków jak te ptaszysko to żeś nawet nie widział” – Moby cytował pana Jonesa może nieco zbyt wiernie, naśladowując jak zwykle gettową gadkę. „Się nie nauczy w pokera, to tylko dlatego, że go uczył nie dość dobrze”.

Większość zebranych wybuchnęła śmiechem. Gwen zerknęła ku organom, ciekawa, jak wygłupy wielorybiego adwokata znosi Nat, który, jak doskonale wiedziała, nie cierpiał pozerskich numerów Moby’ego. Trzeba przyznać, że Moby naprawdę nie miał do tego smykałki. Może gdyby nie był taki słodki i tłusty, gdyby nie ta jego nedorzeczna zaczeska do tyłu, Gwen czułaby się nieco dotknięta jego gadaniną, którą poskładał (niewątpliwie w intencji szczerego hołdu) z porozrzucanych fragmentów: tu coś z hiphopowych tekstów, tam Grady w serialu *Sanford i syn*, krzta Martina Lawrence’a, a w samym jądrze coś bardzo podejrzanego, być może Morgan Freeman jako Swobodny Czytacz²⁸. Nat był tym wszystkim szalenie rozdrażniony, co natychmiast dało się wywnioskować z jego pozycji na ławce organowej: siedział odwrócony ku sali, dociskając pedały irytacji i wywijając mankiety. Jeśli chciałeś uchodzić za białego, wystarczyło trzymać się z dala od co ciemniejszych krewnych, lecz jeśli byłeś białasem, który przez całe życie kręcił się na skraju czarnej społeczności, najgorszą rzeczą, jaka mogła ci się przytrafić, był inny białas, który starał się robić to samo.

Po tej przemowie, a raczej rzutach wolnych, Moby dopchał się z powrotem do swojego krzesła, przybijając po drodze masę piątek i zółwików.

– Dzięki, Moby – powiedział Nat z tyłu sali. Wszyscy obrócili ku niemu wzrok, wykręcając szyje. – Nie pałałbyś do tego ptaka taką sympatią, gdybyś wisiał mu tyle kasy co ja.

Miał to być żart (Aviva faktycznie się roześmiała), ale zabrzmiał jakoś gniewnie; na miejscu detektywa badającego zaginięcie papugi Gwen z całą pewnością wezwałaby Nata na przesłuchanie.

– To teraz trochę pogram – obwieścił Nat niczym periodontolog, który musi wykonać zabieg. Jak gdyby nie miało to być przyjemne

dla żadnej ze stron. – A potem pan Stallings wygłosi laudację.

Gwen nie mogła sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz słyszała, by Nat mówił o Archym „pan Stallings”. Spojrzała na Avivę, żeby zobaczyć, czy ta wychwyciła jakąś spinę między ich facetami, ale Aviva nie widziała niczego prócz Nata. Siedziała wyprostowana i wpatrywała się w niego z taką uwagą, z jaką Chan Flowers przyglądał się wcześniej złożonemu w trumnie nieboszczykowi: pragnąc, by był idealny.

Nat skinął wzmacniaczowi Leslie, po czym pstryknął przełącznikiem. Leslie ożył, rozwibrował się, jakby przez tajemny, zabytkowy mechanizm przeszedł podmuch wiatru. Nat zasiadł do hammonda, który (w każdym z możliwych sensów) odebrał panu Jonesowi życie. Na takim akurat instrumencie Nat dotąd nie grał, ale miał wrodzoną łatwość radzenia sobie ze wszystkim, co wydaje dźwięki, i umiał w lot opanować grę na tyle, by nabrać słuchacza. Ponieważ często siadał do fortepianu, Gwen założyła, że pod jego palcami organy zabrzmiały podobnie: będzie coś modernistycznego, kanciastego, trudnego w odbiorze, w stylu Monka.

Nat poluzował krawat. Załagodził waśń między połami koszuli, talią, paskiem i tyłkiem. Pogmerał chwilę przy drawbarach i przełącznikach hammonda, bardziej gwoli rytuału niż precyzji. Odliczył i kiwnąwszy głową na cztery, zaczął grać. Rozpoznała stary numer Carole King, *It's Too Late*. Organy miały piskliwe, bluesowe brzmienie i sporo dymu w ochryplym gardle. Nat nie cudował ze staccatem, nie doprawiał półtonami: nogami cisnął pedały, podsycając żar. Ze słów pamiętała tylko refren, chociaż i to wystarczyło, by złapała ją melancholia utworu. Pragnęła rozejrzeć się za Archym, ale powstrzymała ją obawa, że jeśli ich oczy spotkają się przy tej piosence, Archy pomyśli, że ona mu chce przekazać ten sam komunikat co Carole King swojemu facetowi.

Po części (może nawet całkiem) wiedziała, że tamta awantura była trochę na siłę, że hormony przyzwoliły jej na to, by poprzez teatr odejść i powrotów wyrazić całe upokorzenie, jakie Archy jej zafundował. Słuchając gry Nata, unikała wzroku Archy'ego, zastanawiając się, czy ten smutek, który widziała wcześniej na jego twarzy, wiąże się z ich małżeństwem. Archy postanowił, że wyprowadzi się zaraz po pogrzebie, a właściwie ona tak

postanowiła. Do bagażnika el camino trafił już jego worek marynarski i dziesięć skrzynek płyt. Wyrzucała go w przypiływie urażonej dumy, ale teraz miał odejść naprawdę; ta perspektywa właściwie od zawsze napawała ją graniczącym z pewnością lękiem. Nieuchronność jego odejścia dotarła do niej teraz z taką mocą, że zmaćło jej się w głowie i zaczęła się zastanawiać, czy Nat celowo wybrał ten kawałek jako komentarz do jej związku z Archym.

Aviva pochyliła ku niej głowę i nie odrywając wzroku od męża, szepnęła do ucha Gwen:

– Dla pana Jonesa to był motyw przewodni – powiedziała. – W każdym razie tak twierdzi Nat.

Gwen zrozumiała, że bez względu na rzekomy temat i okoliczności powstania, kawałek *It's Too Late* był o panu Jonesie. O tym, że leży teraz, kompletnie bez sensu, w trumnie. O wszystkich godzinach, które przesiedział przy łóżku umierającej żony. O zebranych tu ludziach, którzy nie mieli być może okazji go poznać, i o tych, którzy prawdopodobnie rozmawialiby z nim inaczej, wylewniej, gdyby tylko wiedzieli, że widzą go po raz ostatni. O Titusie dorastającym bez ojca, o Avivie, która starała się za wszelką cenę utrzymać przy sobie swoje jedyne dziecko, i o marzeniu, jakim było Brokeland Records. O bardzo wielu życzeniach, planach i ambicjach żywionych przez tych, którzy dziś się tu zgromadzili. Zrozumiała, że wybierając *It's Too Late*, Nat pewnie wcale nie zamierzał odnieść się wprost do jej małżeństwa z Archym. Był to „motyw przewodni” pana Jonesa, a wyrażone w nim uczucie było zawsze na miejscu.

– Idealnie – powiedziała Gwen.

Nazywam się Archy Stallings. Okej, dobra. Dziękuję. Tak. Dzięki. Dla tych, co mnie nie znają: jestem współwłaścicielem tego sklepu, Brokeland Records, aha, dzięki, czyli lokalnej instytucji od, można tak liczyć, dwunastu lat, ale w sumie powinniśmy się z tym liczeniem cofnąć znacznie dalej. Serio. Do czasów, kiedy jeszcze nie było winyli, kiedy jeszcze nawet pana Jonesa nie było, a wiecie, że

pan Jones siedział tu baaardzo długo. I mam na myśli to, że siedział tu, dokładnie *tutaj*. Bez ściemy. O tu, na tamtym stołku, z którego teraz patrzy na was jego zdjęcie, dodam, że z najlepszych lat, pokumajcie to borsalino! W ciągu tych wszystkich lat pan Jones władował w to miejsce sporo czasu i hajsu. Najpierw, jak jeszcze był tu zakład fryzjerski. U Spencera, tak jest. Sam się tu jako młodziak parę razy strzygłem. A potem, czyli przez ostatnie dwanaście lat, pan Jones zostawiał tu jeszcze więcej hajsu, bo kupował analogi! Całą masę analogów, ode mnie i mojego współnika, Nata Jaffe, który przed chwilą dał tu niezłego czadu, mam rację? No przecież. I to jeszcze w popisowym numerze pana Jonesa, *It's Too Late*. Dzięki ci, Nat-o, za to.

No więc gdybyście chwilę pogadali z panem Jonesem, bo to zawsze chwilę trwało, zanim człowiek zdołał coś z pana Jonesa wydusić, gość wolał słuchać, być świadkiem, założę się, że większość z was aż do tego popołudnia nie miała pojęcia, chociaż z drugiej strony szacun dla doktora Hanseliusa z biblioteki, ale Jezu Chryste, Cochise Jones, patrzcie państwo, tak żeś się pan stroił na co dzień, tak żeś się pan po mieście woził wielką furgonetą, z tą złotą wykałaczką w zębach, a po kryjomu, w tajemnicy pan żeś był *komunista*! Cochise Jones to dla mnie jak, no, prawie jak ojciec, gotówką czasem poratował, miał na mnie zawsze oko. I gadał ze mną, a jak już mówiłem, nie przychodziło mu to, czaicie, z łatwością.

No ale, ale jak już człowiek coś z niego wydusił, to prędzej czy później okazywało się, że pan Jones przyjechał tu do Oakland skądś z Luizjany, z okolic Nowego Orleanu, chyba ze Slidell? Tak, no i miał wtedy jakieś czternaście, piętnaście lat. Jego ojciec dostał robotę w fabryce konserw, tam, gdzie teraz jest wydział komunikacji. Fabryka konserw Lusk, zgadza się. Oczywiście, ja tego wszystkiego pamiętać nie mogę. Ale pan Jones sporo mi opowiadał, wicie, czasem, jak akurat papuga wreszcie zamknęła dziób i Nat też przestał marudzić, ha, ha, to wtedy staruszek się trochę rozgadywał. O naszej okolicy. O tym, co pamiętał. O tym, jak był małym chłopcem w Luizjanie i co słyszał od starych ludzi, a niektórzy sięgali pamięcią naprawdę daleko, prawie że do czasów niewolnictwa.

Nie wiem, ilu czarnych przyjechało do Oakland z Luizjany, Alabamy, Teksasu, kiedy przeniósł się tu pan Jones ze swoją rodziną. Wiele, wiele tysięcy, dziesiątki tysięcy. No więc większość z tego, co mieli, dużo tego nie było, zostawili na Południu, ale przywieźli tu ze sobą muzykę, która towarzyszyła im od, no nie wiem, od placu Congo w Tremé. Jazz, boogie, muzykę kościelną. Wsiadali z pociągu w Oakland, a wiecie, tu się wtedy naprawdę sporo działo. I gdyby ktoś wtedy wszedł do tego sklepu, toby pewnie usłyszał już prawie rockandrollowego, powojennego jump bluesa. Z radia, które Eddie Spencer trzymał na tej półce, o, za moimi plecami.

Wystarczy dziś tego posłuchać. Taki na przykład Joe Houston, przecież to rock and roll, co nie? Jedno i to samo. Albo Big Joe Turner. I właśnie od czegoś takiego zaczynał pan Jones. I jeszcze od muzyki kościelnej, a muzyka kościelna to taki, no, taki pra rock and roll. Z miny mojego współnika zgaduję, że nie wszystko mu się w tej mojej teorii podoba, ale wiecie co, zagraliśmy w marynarza i wyszło, że to ja robię laudację, więc wytrzymajcie ze mną jeszcze chwilę, okej? Bo coś mi się wydaje, że wszystkim wam się spodoba to, do czego zmierzam.

No więc w szkole średniej pan Jones miał zespół, same czarne dzieciaki, grali rhythm and bluesa, covery Driftersów. Ale czasem grał też z paroma białymi chłopakami, nazywali się chyba the Pearl Tones, dobrze mówię? W liceum Skyline, w każdym razie. Nawet jak już pan Jones wypłynął, w sześćdziesiątym czwartym czy piątym, kiedy grał straight-ahead jazz, czyli trochę tak, jakby Ahmad Jamal przerzucił się całkiem na organy, czaicie, to jeszcze ciągle miał ten rockandrollowy sznyt. I wiem, że zawsze się tym, no, może „przejmował” to za dużo powiedziane, ale trochę mu było smutno, że ludzie tak siedzą i tak tego jazzu *śluchają*. Na przykład tych rzeczy, gdzie grał u Erica Dolphy’ego. Znaczą, coś tam niby kiwają głowami, coś tam przytupują, ale wiecie, nie skaczą, nie szaleją, tak jak to, historycznie rzecz biorąc, czarni generalnie mają w zwyczaju.

Tymczasem w radiu pan Jones słyszy wtedy Jimiego Hendrixa, Sly’a Stone’a. Czyli nie że białe chłopaki grają czarną muzykę, jak zawsze, ani nawet że czarni goście grają w stylu białych, tylko przez jakiś czas, ten jedyny czas, przez te, ile tam, cztery, pięć lat, te

wszystkie style się ze sobą mieszają. Weźmy takich Temptations, niektóre późne kawałki są naprawdę ciężkie, i to jest taki rockowy wygar. A w ogóle to pan Jones znał Stone'a, jakoś tam nawet byli skoligaceni. I trochę z takich pomysłów zaczął pan Jones wykorzystywać w tym jazzie, co go wtedy grał.

I chociaż w prawej ręce już zawsze miał jakąś delikatność, wicie, miękkość, to jego lewa gdzieś w sześćdziesiątym siódmym czy ósmym zaczęła naprawdę *mocno* funkować. Ale pan Jones tego swojego stylu by tak nie nazwał. „Funk”. Chyba nigdy nie słyszałem, żeby użył tego słowa. Ani innych: muzyka kościelna, jump blues, rock and roll, hard bop, soul-jazz. Nic z tych rzeczy. Myśmy się tu z Natem często wyklócali o gatunki, no wicie, *Street Lady* Donalda Byrda to soul-jazz czy już raczej podchodzi pod jazz-funk? A hard bop, czy to w ogóle coś znaczy? Pan Jones nigdy się w te dyskusje nie włączał. Ale raz, dobrze pamiętam, powiedział, że to, co gra, to „Brokeland Creole”.

Creole, ta kreolskość, no, dla mnie to jest, wicie, w punkt. Bo to znaczy, że przestajemy odgradzać jedno od drugiego. To jest Afryka i Europa upichcona na tej samej patelni. Chopin, hymny, muzyka irlandzka, polirytmia, gadające bębny. I ludzie. Bo wicie, Cochise... Jego matka miała w większości czoktawską krew, jeśli dobrze pamiętam. Z kolei mój ojciec jest w połowie Meksykaninem, a to przecież już są dwie rzeczy, pół na pół. No więc: Brokeland Creole. Tu kiedyś był Meksyk, wcześniej Hiszpania, a jeszcze wcześniej kraj Indian Ohlone. Potem biali, Chińczycy, Japończycy i czarni, którzy przywieźli tu posmak delty Missisipi, ten seminolski, houstoński klimat. Filipińczycy. Ich też dawać na grilla, bez krępacji. Brokeland Creole! I jeszcze trochę Meksykanów, Gwatemalczyków. Tajów, Wietnamczyków. Hmongów. Hm, Persów. Pendżabów, panie Mirchandani. Właśnie, pan Mirchandani to jest dobry przykład. Te wszystkie świetne samosy tam z tyłu, przy kurczakach? No... tak, okej. O coś mi tu na pewno chodziło, zaraz sobie przypomnę. Serio. Nie no, dobra.

Chodziło mi tylko, że Cochise Jones... Och. Przepraszam. Ha. Nie, dzięki, wszystko pod kontrolą. Pan Jones był dla mnie jak ojciec, a ja, ja tego naprawdę potrzebowałem. I o to mi właśnie chodziło, ale nie tylko. Bo jeszcze chciałem powiedzieć, że skoro już tu stoje

i wygłaszam tę laudację, to moim obowiązkiem jest, żebyśmy razem, hm, przyjrzeni się życiu tego człowieka i jakby, no, wyciągnęli z tego jakiś morał. Racja? To jedziemy.

Wydaje mi się, hm... Że jak ludzie zaczynają się przyglądać innym, takim zupełnie innym od siebie, to ze wszystkich związanych z nimi rzeczy najprędzej polubią ich muzykę.

Jest taki, jakby to, hm, taki ideał, który nam z Natem zawsze przyświecał, jak żeśmy sobie myśleli o tym sklepie. Nie żebyśmy to mieli zaplanowane, może nawet nigdy o tym otwarciu nie gadaliśmy. Ale idzie o coś takiego: na jedwabnym szlaku, tym, co wiecie, od Europy do Chin... Same plemiona, pustynie, no i długa, trudna podróż, taka, że zajmie parę lat, i to bez żadnego tam opierdalania się po drodze. Ciężka droga, jak nie bandziory, to burze piaskowe. Niesiecie światło innych cywilizacji, raz w jedną stronę, raz w drugą, ale te wszystkie bandy dokoła chcą się po prostu dalej tłuc i wyżynać, i upewniać się, że są lepsze od całej reszty. No bo wiecie, że nazwy plemion, jak się je przetłumaczy, to wszystkie znaczą to samo? „Ludzie”. Jakby poza nimi żadnych prawdziwych ludzi nie było! No ale mimo wszystko brniecie dalej, bo jednak da się w ten sposób zarobić trochę kasy, racja? A przy okazji zanieść coś z tej zbiorowej mądrości z jednego końca świata na drugi. Tak się właśnie wykuwa ta kreolskość. No i od czasu do czasu, raz na jakieś kilkaset kilometrów, trafi się oaza, co nie, taki karawanseraj, gdzie wszyscy się zbierają, żeby wyciłować, rozsiąść się, posłuchać dobrej muzy i wymienić niestworzone opowieści. Nat, stary, ty wiesz, o czym ja tu gadam, co? Takie mniej więcej mieliśmy marzenie. Brokeland Creole.

Pan Jones był jednym z filarów tego naszego karawanseraju. Tkwił tam w kącie jak bożek, nasze bóstwo domowe. I już go nie ma, a my, ja i Nat... Jezu. Okej, Aviva, jednak daj tę chusteczkę. Dzięki.

– Możesz pojechać z nami – mówił jakiś głos, chyba Flowersa. – Bez zmarłego nie zaczną.

W odpowiedzi jedynie cisza, częściowa, wzmocniona przez dobiegające z frontowej części sklepu odgłosy wychodzących gości: szuranie krzesłami, oferty podwózki, rękojmię własnej bądź cudzej trzeźwości. Wygajerowane opryszki z domu pogrzebowego rozdające mapki, dzięki którym żałobnicy trafią na grób: „Proszę pani! Może mapkę?”.

Titus zapiął rozporek. Teraz tylko dobrze to rozegrać, wyjść z łazienki do kanciapy, jak gdyby nigdy nic, samemu. Chłopak wychodzi z kibelka i zapina rozporek w lewisach, no i co z tego? Zamiary swe zakomunikował Juliemu za pomocą używanych przez służby specjalne znaków ręcznych: „Ja wyłączam światło. Ty zostajesz. Ja idę, odwracam uwagę. Ty liczysz do trzydziestu; wychodzisz z łazienki, wymykasz się tylnymi drzwiami”. Julie skinęła głową: „Zrozumiano”. Było to jednak niezgodne z prawdą, ponieważ gdy tylko Titus wyłączył światło, Julie od razu otworzył drzwi. No, uchylił, w tym przynajmniej wykazując się ostrożnością: półtora centymetra, potem trzy.

Wtedy padła odpowiedź:

– Daję panu pięć minut.

Ojciec. Archy. Ściśnięte gardło, a jako przykrywka napastliwy ton. Archy był znudzony dyrektorem domu pogrzebowego, znudzony przykrywaniem wszystkiego nudą. Zły, zmęczony.

W panującym w łazience mroku Titus i Julie wymienili spojrzenia: zmiana planów. Samotnicza sztuka podsłuchiwania była kolejną rzeczą, którą obaj wprost uwielbiali. Dwa palce Juliego przytrzymały drzwi uchylone zaledwie na trzy centymetry.

– Wystarczy mi pięć *sekund* – odparował Flowers – żeby ci powiedzieć, że jesteś najgłupszym i najbeznadziejniejszym czarnuchem, jakiego w życiu widziałem. A mam w tym zakresie rozległe gorzkie doświadczenie.

Archy na to:

– Oszczędzę panu tych pięciu sekund, bo już to wszystko wiem.

– To może inaczej? Przekombinowałeś.

– Tym też mnie pan nie zaskoczy.

Archy opierał się o jeden z wyposażonych w kółka stojaków z koszami, które przepchnęli rano do kanciapy, tak że w jego wielkie dupsko w brzydkich czarnych spodniach od garnituru wpijał

się róg działu Disco. Na języczku białego plastikowego separatora widniał intrygujący napis YELLOW MAGIC ORCHESTRA. Titus przez chwilę wyobrażał sobie ciepłą, cukierkową muzykę, która mogłaby kryć się pod taką nazwą.

– Mam nadzieję, że nie liczyłeś na wyrwanie w najbliższym czasie jakiejś posadki u Gibsona Goode’a. Bo jeśli chodzi o ciebie, to Goode już się rozmyślił.

Archy Stallings wyglądał, jakby było mu niezręcznie i niewesoło: stał ze skrzyżowanymi ramionami i patrzył spode łba, a jeszcze róg kosza z płytami dźgał go w dupę. Być może ból pomagał mu zachować skupienie, trzymać gardę. Facet mógł być nawalony albo trzeźwy, ale Titus nie umiał ocenić.

Wygłosił to swoje przemówienie, które rozlało się na wszystkie strony, Indianie, Wietnam, gumbo, nawet Sly Stallone! Pod koniec rozprawy o tym, że życie to dla niego tak naprawdę jeden wielki bałagan, facet się przytkał, rozkleił. Titus puścił sobie wtedy w głowie taką scenkę: ciężarna kobieta wstaje, przytula tatę swego dzidziusia, on kładzie dłoń na jej kolosalnym brzuchu i wspólnie decydują, że skoro życie to i tak jeden wielki bałagan, mogą równie dobrze przestać z tym bałaganem walczyć. Trzeba w nim po prostu zrobić miejsce dla dzidziusia, który będzie miał matkę i ojca: jedno drobne zwycięstwo tych pożytecznych wątpliwości nad złymi, punkt dla pozytywnego chaosu. Lecz gdy film w Titusowej głowie dobiegł końca, okazało się, że w rzeczywistości to ojciec Juliego, Nat, zaoferował Archy’emu pocieszenie, tuląc go do piersi. Pudełko chusteczek jeszcze przez jakiś czas krążyło po sali.

Potem, jakżeby inaczej, były napoje. Piwo, wino, cola. Wychlali wszystko. Wszystko też zżarli, rzucając się na bufet jak zwolnieni więźniowie, obsiadając go jak rój pszczoł topniejące lody na patyku. W godzinę wszystko zniknęło. Przez długi czas, nietknięta wśród kostek lodu, pływała w wiadrze samotna puszka toniku, by wreszcie spotkać się z butelką jałowcówki, która nie doczekała publicznych występów. Sobotnie popołudnie, już ostatnie tego lata, trwało sobie w najlepsze, aż w końcu trzeba było jechać na cmentarz, jeśli ktoś się wybierał.

Gdy już poznikało jedzenie, właściciel domu pogrzebowego wydał instrukcje siostrzeńcom i zorganizował kondukt, sugerując temu

i owemu, by nie pchał się za kierownicę, a wszystko to życzliwym szeptem, nic niemającym wspólnego z głosem czarownika, którym teraz traktował Archy'ego. Następnie po raz ostatni zamknięto trumnę z panem Jonesem, a Titus odtworzył sobie scenkę, w której udało mu się przekonać kilku zaufanych sprzymierzeńców, by wspólnie zrobili skok na ciuchy umarlaka, nim na wieki wieków pochłona je pleśń, mrok i niepamięć. Ustalili, że na skrzyżowaniu złapią karawan między dwa tiry, podjadą innym karawanem, zamienią trumny. Nie będzie się azteckie wdzianko, takie cacko, marnowało pod ziemią! Pod koniec tej montowanej w głowie sceny Titus sam siebie mocno przeraził, wyobrażając sobie pstrokatego trupa, który gnije w nieskazitelnej garniturze sportowej. Wdzianko skrojone z materiałów z ery kosmicznej, żaden robak tego nie tknie. Już zawsze będzie świeże, jak wafelek Twinkie.

– Czyli co? – mówił dyrektor domu pogrzebowego. – Zamykacie z Natem interes. Dobrze rozumiem?

– Wiem, że byłby pan z tego zadowolony.

– Tylko częściowo zadowolony – odparł tamten. – Czyli tak jakby w ogóle.

– Zamkniemy sklep, to Nat na pewno odpuści ten cały protest. A pan nie będzie już sobie musiał nim zawracać głowy.

– Twój koleżka już i tak mi nabruździł – powiedział Flowers. – Teraz wokół całego interesu węszy Rod Abreu i udaje, że chce go storpedować. Gibson Goode ma myśleć, że Abreu to wróg i że, jak to się mówi, trzeba go mieć jak najbliżej siebie. Że trzeba go przekabacić. Dziś, dokładnie w tej chwili, Rod Abreu siedzi sobie na trybunach Coliseum i na rachunek G Bada wpierdziela nachosy.

Titus nie widział twarzy dyrektora, jedynie kędziorki siwej plerezy. Z tonu głosu wnioskował jednak, że na jego facjacie musi się malować obrzydzenie i pogarda. Taki wyraz twarzy u Flowersa nietrudno było sobie wyobrazić.

– A powiedz mi taką jedną rzecz – ciągnął. – Jeśli zamkniesz sklep, skulisz się jak mała stonoga, to skąd weźmiesz pracę, żeby zarobić na utrzymanie dziecka?

Sekundę temu Archy zdawał się kompletnie zjebany, zagubiony. Jego policzki jeszcze przed chwilą przypominały budyń. Teraz jednak sprawiały wrażenie zrobionych z betonu i skały.

– Idę pożegnać pana Jonesa – powiedział. – Bo jeszcześmy z tym nie skończyli. Nie muszę z panem jechać. Mam swoje auto.

– A mapkę masz? Nie trafisz bez mapki.

– Dam sobie radę.

– Mountain View, dziewięćdziesiąt hektarów. Sto pięćdziesiąt tysięcy pochowanych. Pięć, sześć pogrzebów dziennie. Tu Żydzi, tam Chińczycy. Czarni właściwie wszędzie. Tam masz swoje Brokeland Creole. Tylko na cmentarzu Mountain View faktycznie coś takiego znajdziesz. Ale nie bez mapki. Ktoś cię musi *poprowadzić*.

– Aha, mhm. Co pan, rycerz Jedi?

– Posłuchaj.

– Albo Morfeusz.

– Nie zasługujesz na to, chłopcze. Ale i tak jestem gotów ci pomóc. Jeszcze możemy to wszystko naprostować. Luther ma coś, czego ja chcę. Nic strasznego, nielegalnego, żadne tam prochy, spluwy, kradzione towary, nic z tych rzeczy. Okej? Znaczy, no dobra, to jest rzecz skradziona, ale skradziona mnie! Jest moja! Naprawdę. – Coś mu się zacięło w gardle, chrypa przechodziła niemal w rżenie. – Jest moja, on ją ma, a ja chcę ją odzyskać. Ja mam pieniądze, Luther jest splukany. Domyślam się, że przez te wszystkie lata to i owo mogło ci się obić o uszy na mój temat i teraz może wyobrażasz sobie nie wiadomo co. Kiedy człowiek robi w branży pogrzebowej, a jeszcze pochodzi z rodziny, która jest z tą branżą związana, ludzie opowiadają niestworzone historie o tym, jak prowadzi interesy. Dlatego chciałbym cię uspokoić. Nie chcę nic Lutherowi robić, nie chcę z nim zadzierać, Archy, jak Boga kocham, ja nie chcę mieć z tym człowiekiem do czynienia ani trochę bardziej niż ty. Mnie ten facet wymęczył, na długo zanim zabrał się do męczenia ciebie. Jestem szanującym się biznesmenem, zasiadam w radzie miasta. Nie mam nic wspólnego z gangsterką, wiem, co się o mnie rozpowiada, ale to wszystko kłamstwa i plotki, ludzie mają po prostu bujną wyobraźnię. Raz, kiedyś, jako młody chłopak, popełniłem błąd. Dawno temu, zaraz jak wróciłem z marynarki. Popełniłem błąd, ale miałem fart, i jakoś tak, z pomocą twojego ojca, by mu oddać sprawiedliwość, udało mi się z tym uporać. Przestałem szaleć i zachowywać się jak głupek. Zacząłem traktować

życie poważnie, ustatkowałem się, wyszedłem na swoje. Twojemu ojcu się tak dobrze nie powiodło. Przez cały ten czas, kiedy ja szedłem w górę, on się staczał. Przez ostatnie dziesięć, dwanaście lat zaglądał tutaj, czasem na trzeźwo, ale przeważnie na takim haju albo na takim głodzie, że ledwo mówił. Jednak wyciągnąć rękę przeważnie potrafił, a ja mu nigdy nie odmówiłem jakiejś gotówki.

– Szantażował pana.

Dyrektor domu pogrzebowego zmilczał tę uwagę.

– Wszystko się jeszcze może ułożyć – powiedział. – Jeszcze możesz trafić za kontuar informacji w Dziale Tłustych Bitów salonu Dogpile na Telegraph Avenue i nawijać młodziakom, kiedy wpadną po nowego Lil' Bow Wowa. Zniżka dla pracowników i zabierasz do domu DVD *Mozart dla bobasów*, żeby się mały przez sen nauczył grać na wiolonczeli.

– A w zamian co?

– Synu, przecież wiem, że wiesz, gdzie on jest.

– Ale ja naprawdę nie wiem.

Titus, przykucnięty w łazience, z Juliem schylonym tuż nad nim, słyszał, jak facet kłamie. W warsztacie blacharskim rozwścieczyła go pogarda, jaką jego ojciec czuł do swojego ojca. Teraz było mu go żal, bo z tej nienawiści facet tak się zamotał, że nie chciał nawet pozwolić, by jego biedny, stary, odćpuniony kung-fu-tatko odzyskał kasę, która przecież mu się należała jak psu zupa.

– Jak sobie chcesz – powiedział dyrektor.

Było jasne, że po raz pierwszy podczas tej rozmowy Archy się zastanawia. Raz jeszcze rozważa całą sprawę. Decyduje, że zrobi, co trzeba.

– Nie mam żadnego powodu, żeby ułatwiać temu człowiekowi życie – powiedział. – Znam pana od zawsze, Bracie Flowers. Ale coś mi się wydaje, że pokazał się pan od strony, w którą nigdy nie wierzyłem.

– To tylko interesy.

– Nie. Jest pan przedsiębiorcą pogrzebowym. Dyrektorem domu ostatniej posługi. Grzebanie człowieka to chyba coś więcej niż interesy.

– No więc...

– Ani razu nie powiedział mi pan: „Moje kondolencje. Pan Jones był wspaniałym człowiekiem i świetnie się ubierał. Bardzo mi przykro”. Niczego w tym stylu.

– No oczywiście, że bardzo mi przykro – powiedział Flowers.

Lecz tamten już wychodził z kanciapy, zmierzając na cmentarz i pogwizdując *It's Too Late*.

Patrzcie no. Wychodzą chłopaki z kibelka, Alfalfa i Stymie, *Klan urwisów*. Brakuje tylko tego pitbulka z łatką na oku. Oczyska wybałuszone, mali detektywi, ten czarny ani mru-mru, a chłopak od Jaffego z miną „Tak, tak, wiemy, gdzie go szukać”.

– Podśluchiwaliście – powiedział Chan Flowers. – A to z moralno-etycznego punktu widzenia nieładnie. Wszystkie cywilizacje od zarania dziejów się co do tego zgadzały.

– Nie chcieliśmy. – Ten miał na imię Julie, żeńskie imię w sam raz dla zniewieściałego chłopaczka. – Przepraszamy.

Flowers zadał jedyne pytanie, jakie można było zadać podśluchiwaczom.

– I coście waszym zdaniem usłyszeli?

Julie odparł, że tak naprawdę nic nie usłyszeli poza tym, że Flowers chciał znaleźć Luthera Stallingsa, żeby zwrócić mu pieniądze, które był mu winien. Dodał, że choć zobowiązano ich do milczenia, byliby skłonni wystąpić w roli posłańców.

– Posłańców? Jakich posłańców? Na cholere mi posłańcy? Nie możecie mi po prostu powiedzieć, gdzie on jest?

Chłopcy popatrzyli po sobie. Większość uwagi Flowersa skupiona była na zarządzaniu własną irytacją (ćwiczona latami sprawność nigdy nie stała się jego drugą naturą), jednak mimo zniecierpliwienia nie umknęła mu iskierka autentycznej przyjaźni między tymi dwoma. Bardzo go ona zdumiała.

– Coś słyszeliśmy, że, no, jest jakaś... – Julie oblał się jaśniutką czerwienią – ...tego, kosa.

Flowers upewnił się, czy Titus w ogóle umie mówić.

– Jesteście jak pan Jones i ta jego papuga – powiedział. – Flip i Flap.

Zerknął przez drzwi ku wejściu do opustoszałego sklepu. Feyd i Walter. W karawanie czekał Bankwell. Czas ruszać z paradą.

– Dobra – powiedział Flowers. – Zrobimy tak. – Z kieszonki na piersi wydobyl książeczkę czekową i od ręki, opierając się o stos płyt, wystawił Lutherowi Stallingsowi czek na kwotę dwudziestu pięciu tysięcy dolarów. Podpisał zamasyście, co, jak mniemał, sugerowało wielkoduszność. – Nie ma żadnej kosy – powiedział. – To było dawno temu, w odległej galaktyce. Możecie mu przekazać moje słowa. Było, minęło.

– Przebaczenie jest cnotą silnych – oznajmił Titus.

Julie niemal się uśmiechnął, z satysfakcją, choć i z powątpiewaniem. Ale Flowers rozpoznał jedno z czterdziestu dziewięciu „Przysłów, przemyśleń i słów pociechy”, widniejących na dwóch ostatnich stronach w każdym programie pogrzebu rozdawanym przez pracowników zakładu Flowers i Synowie.

– Widzę, że będę się musiał przy was pilnować – powiedział, podając czek Titusowi. – Zanieś mu to. Do portfela schowaj. Nosisz chyba portfel?

Gdzie tam, miał tylko gęsty zwitek drobnych banknotów. Alfalfa musiał mu schować do tego zabawkowego portfela z plastiku, który zawsze miał przy sobie. Flowers zaczekał do końca tej operacji, niepokojąc się o los czeku, który oczywiście postdatował i zamierzał anulować w poniedziałek z samego rana.

– Bez żadnych zobowiązań, jasne? Nie musi mi wybaczać. Jego forsa, niech z nią robi, co chce. Czaicie? Sztama? Okej. Tymczasem, chłopcy, jestem pewien, że chcielibyście pojechać z nieboszczykiem.

Zrezygnowawszy ten jeden raz ze swoich płaszczy z szamerunkiem na rzecz tęczowo-burego splendoru Biblioteki Garniturów Sportowych im. śp. Cochise'a Jonesa, dziewczyny z Bomp and Circumstance naprawdę się rozkręciły. Zagrały *Być bliżej ciebie chcę*. Zagrały *Stary krzyż*. Maszerowały przed karawanem po Piedmont

Avenue aż do bram cmentarza i taki układ był w sam raz. Może dęciaki wyszły odrobinę blado, niczym światła samochodów w orszaku, może rytm trochę się gubił w rozżarzonej, rozszumianym popołudniu, lecz kiedy trumna zjechała na pasach pod ziemię, dziewczyny odwróciły się od grobu i puzon basowy zapodał zadziorną frazę z początku *Redbonin'*, które dotarło w lipcu 1972 roku do trzydziestego drugiego miejsca na liście czarnych przebojów.

Wtedy, zgodnie z obietnicą, zaczęły swingować.

V. Brokeland

Byli jak dzieciaki z tego komiksu w gazecie (biały nerd, czarny nerd), gdy pięknym niedzielnym rankiem udawali przy wiacie autobusowej rycerzy Jedi, a może samurajów. Tak pochłonięci swym marzeniem, że nawet nie zdawali sobie sprawy, jakie to żenujące. *FoxTrot!* Właśnie. Bankwell Flowers czasem go czytał, chociaż odkąd „San Francisco Chronicle” wywaliło pasek o bassecie Fredzie, strony z komiksami straciły wiele ze swego blasku.

Szczyłe pojechały autobusem do centrum, wysiadły przy Czternastej, przeszły kawałek do Franklin Street, gdzie była pączkarnia, chociaż dawali tam też sajgonki. W środku chińskie ozdóbki, a do tego kalendarz przy telefonie zadrukowany jakimś węzowym alfabetem. Tutejsze grzebienie z ciasta francuskiego były nieco powyżej przeciętnej; Bankwell już dawno przetestował je w ramach nieustającego przeglądu pączkarni od Fremont po Richmond. Jeśli człowiek znalazł się w centrum, ale nie chciało mu się czekać do Federacji Pączków czy położonego jeszcze dalej na północ legendarnego Dream Fluff, można było zadowolić się „super pączkami sajgonkami” z Loving Donut.

Biały nerd z czarnym nerdem wysiedli z autobusu i dla odmiany nie naporzając się mieczami, czekali na pustym chodniku przed pączkarnią, jakby naprawdę coś się tam miało wydarzyć. Biały nerd miał przewieszony przez ramię pasek ze starym zielono-pomarańczowym ośmiościeżkowcem, bez którego nigdzie się nie ruszał; leciały jakieś dinozaury rocka, dużo fletu. Czekali na następny autobus albo może na trąbę powietrzną, żeby porwała cały domek. Minęła minuta, może dwie, bez trąby na horyzoncie i wreszcie czarny nerd, Titus, coś tam powiedział półgębkiem. Jeszcze chwilę poczekali. Titus był szczupły, bardziej umięśniony, niż można by się spodziewać po oksach i po tym jego idiotycznym rozhuśtanym kroku. Chłopak jeszcze rósł, w końcu na pewno dociągnie do wzrostu ojca, chociaż może bez takiego biustu. W odpowiedzi na wciąż niejasną uwagę Titusa ten drugi wyciągnął

niebiesko-żółty plastikowy portfel. Trzymał go tuż przy piersi, jak gdyby w środku siedziały zaczarowane kaczuszki, osierocone króliczki zdane na jego opiekę. Wysupłał banknot i podał Titusowi, który wszedł do środka i wrócił po minucie, trzymając coś, co przypominało martwego szczeniaka.

– Widzę, ziom, że grzebienie na propsie – powiedział Bankwell przez przednią szybę karawanu. Nie był to zdezelowany cadillac ani olds 98, którego trzeba by skądś pożyczać, tylko wysłużony ford crown victoria '84, na stanie domu pogrzebowego Flowersów. Bez obawy ani nadziei, że Titus go usłyszy z przeciwległego rogu ulicy, w końcu szyba była zrobiona z bezpiecznego szkła. – Ciekawe.

– Chyba obleśne – odrzekł kuzyn Walter. Księżę Walter, ulubiony siostrzeniec, niemal jak syn dla gościa, który synów nie miał. Chwilowo jednak w niełasce. – Przecież zawsze to kupujesz.

– Bo to badanie wzdlużne – odparował Bank. – A grzebień to moja, jak to się tam, substancja kontrolna.

– Uuu – powiedział Walter, kładąc dłoń na brzuchu. – Normalnie skarpeta w głębokim tłuszczu.

– No i dlatego właśnie trzeba testować na grzebieniu, kumaszc? – tłumaczył cierpliwie Bank. – Sprawdzasz, czy piekarz się przyłożył. Jak grzebień jest okej, to standardowe pączki będą już tylko lepsze.

– Jużes dzisiaj wtranzolił pączka – odezwał się Feyd.

– Zamknij ryj, Feyd.

– A ty co, za sumienie mu teraz robisz? – spytał mały Walter. – Ja jebe, Gadający Świerszcz się, kurwa, znalazł.

Walter, w podłym humorze, wciśnięty między Bankwella i Feyda na przednim siedzeniu. Wielu oporniejszych pasażerów, którym wcześniej przyszło zajmować to miejsce, uznało tył pojazdu za dalece korzystniejszą opcję. Jednak dla Księcia Waltera zniewaga polegała niewątpliwie na czymś innym. Awansował już wiele lat temu, to inni mieli się zajmować umarlakami, myć ich straszliwe stopy. Usadzać szajbnięte staruszki, wyglądać ewentualnych gangsterów, tolerować napady tragizmu, które przytrafiały się ludziom, zwłaszcza kobietom, gdy zbliżał się pogrzeb. A od czasu do czasu, jak dziś, odwiedzać w imieniu Chana Flowersa kogoś, kto wcale sobie tego nie życzył i zupełnie nie miał nastroju do odwiedzin. Walter już wiele lat temu zostawił to wszystko za sobą,

przeniósł się do L.A., żeby robić w branży fonograficznej, a jeśli od czasu do czasu wracał, to żeby pochwalić się zdjęciami, na których stał obok takich ludzi jak Tupac, Jada Pinkett i Will Smith, Johnny Depp, Snoop Dogg. Wkręcił się jakoś w krąg miłości Gibsona Goode'a. A teraz znów kisił się w karawanie, i to nawet nie za kierownicą. Tłoczył się tu z dwójką kuzynów, których znał kiedyś tylko z tego, że nieuchronnie ogniskowali rodzinny wpierdol.

– Feyd monitoruje – powiedział Bank. – Się gapi, jak coś wkładam do gęby. Nawet, kurwa, coś se tam czasem zapisze. Żarcie mi kolo szpieguje.

– Wujek Chan kazał mu iść na dietę, jeden pączek dziennie i basta – odparł Feyd. – Mówi na ciebie Big Bank, ale kumasz, kurwa, dlaczego?

Walter wybuchnął tym swoim chrypliwym śmiechem Erniego z *Ulicy Sezamkowej*, coś mu się w gardle haczyło. Feyd wyciągnął kieszonkowy waporyzator. Obaj z Walterem byli już solidnie eupaleni świeżutkim, żyłkowanym gramikiem zacnej trawy Vineland County, kupionym na receptę cierpiącej na jaskrę ciotki Feyda. Bank nie zażywał takich substancji. Nie pił, nie jadł wieprzowiny. Jako w siedemdziesięciu pięciu procentach Pięcioprocentowiec, zobowiązany był traktować starszych z szacunkiem i stosować się do zasad wujka Chana, wśród których z całą pewnością był „zakaz imprezowania w samochodach pogrzebowych”. Jak również zakaz puszczenia wulgarnej muzyki, a tu przecież z odtwarzacza kompaktów leciał Ghostface Killah, co prawda cicho, ale ta muzyka tak była przesiąknięta wulgarnością świata, że ciurkało z niej jak z nasączonego bandaża.

– Pierdolony gastroszpieg – wysyczał Bank.

Tymczasem za szybą biały nerd patrzył, jak czarny nerd spożywa wypiek z francuskiego ciasta. Scena jak z horroru: żer obcego o niemożliwie zębatej paszczy. Nie dziwota, że biały nerd był tym widokiem przerażony. Potem przyszła jego kolej, by wejść do pączkarni, ale wyłonił się z niej, dzierżąc różowe pudełko przewiązane białą wstążką.

– Prezent komuś niesie – zauważył Bank.

– O kurwa – powiedział wesoło Walter. – O ja nie mogę. Idzie. To ona.

I faktycznie była to ona, Candyfox Brown, czy jak ją tam zwali w filmach, ta żyrafaista mamuśka z wielkim cycem; przed nerdami przedefilowały właśnie uda jak z gonitwy koni. Przeszła obok i nawet na nich nie spojrziała.

– Valletta Moore – wyszeptał Walter jak w modlitwie. Jakby było mu żal jej, a może siebie samego. – Ja cię sunę.

Czarno-biały nerd obrócił oba łby, śledząc miarowy, precyzyjny stukot jej cielesnej maszynerii. Ruch dwóch łbów, łup-łup, jednorodny, żaloszny, jak u tych psiaków, które kiedyś pokazywali między programami w KOFY-TV, błyskawicznie obracających pyski z wywieszonymi jęzorami, kiedy ktoś pomachał zza kamery schabikiem.

– Co ona nie stanęła? – zdziwił się Walter. – Nie zna ich czy jak?

– Zna, zna, wyluzuj – uspokoił go Bankwell. Odpalił silnik i zawrócił na skrzyżowaniu, więc auto oddalało się teraz od chłopców i pączkarni. – Dekuje się, rozumiesz. Zara wróci, jak zobaczy, żeśmy się zwinęli.

– A my dokąd?

– Kółeczko zrobimy.

Wcześniej spekulowano, że Valletta Moore i ten jej facio, Luther, są napruci krakiem, więc wystarczy znaleźć norę, do której akurat wpełzli. A jednak, choć wujek Chan szukał ich już od jakiegoś czasu, wciąż mu się wymykali, więc jak widać, przynajmniej ona wiedziała co nieco o podstawowych środkach ostrożności. Może jednak wcale nie była tak odjechana, jak głosiła plotka, choć mogła też cierpieć na chroniczną paranoję. Tak czy inaczej, karawan średnio nadawał się do inwigilacji. Zwykle gdy Wujek Chan posyłał Bankwella i Feyda w crown vicu, sprawa była już w fazie, w której kamuflaż stawał się zbyt czysty. Gdyby Batman chciał obserwować życie oprychów w Gotham City, nie przebierałby się w kostium z czarnej gumy, nie rozbijałby się Batmobilem, tylko wysłałby Alfreda w jakimś lamerskim daihatsu. Crown vic, tak jak Batmobil, był swego rodzaju deklaracją, wyjawieniem intencji. Ale wujek Chan, przyparty do muru, obudził się dziś rano z myślą, że zaryzykuje.

– No i jest – powiedział Walter, gdy już okrążyli kwartał między Piętnastą a Broadway.

Dwa skrzyżowania dalej Valletta Moore otwierała właśnie drzwi starego, steranego wozu, chyba toronado, w szaro-rude cętki i zielone smugi: coś jak plasterek mortadeli Oscar Mayer, co przeleżał dwa miesiące w lodówce.

Gdy już Titus i ten drugi opadli na tylne siedzenie, Cleopatra Clark (czy jak jej tam było) wsiadła do auta, ostrożnie zamykając drzwi.

– Dajesz – rzucił Walter, patrząc, jak tamci odbijają od krawężnika.

– Czerwone jest – odparł Bankwell. – Mandat chcesz zarobić? Miśki mi każą zjechać i jak będziesz tamtych śledził?

Bankwellowi Księżę Walter mógł skoczyć.

Nim zmieniły się światła, toronado zdążyło oddalić się na tyle, że można je było śledzić swobodnie i z pełną dyskrecją. Bank był przygotowany, po prawdzie miał nawet nadzieję, że oldsmobile spróbuje jakichś unikowych manewrów, ślizgu à la detektyw Jim Rockford czy czegoś w tym stylu, ale kierowca toronado, najpewniej gość, którego mieli odszukać, zupełnie się w tym zakresie nie wysiłał. Z Telegraph Avenue w prawo, w West MacArthur i na parking motelu Selwyn, jednej z wielu szacownych placówek przy tym bulwarze, której doborowa klientela składała się najwyraźniej z ćpunów, dniówkarzy i rozkochanych w nich owadów. Recepcja mieściła się w domu z dwuspadowym dachem, sam motel wyglądał jak dwupoziomowe pudło, a między nimi był zadaszony przejazd, przez który toronado ledwo się przecisnęło.

– Czyli parking na tyłach – ocenił Walter. Rozsiadł się wygodniej między kuzynami, jak gdyby byli parą poduszek, a księciuniowi zbliżała się pora drzemki. – Już, idź.

– A ty co? – spytał Bank, wysiadając. – Chyba też idziesz?

– No jak? Miałem tu zostać.

– Co?

– Śledzić rozwój sytuacji.

Bank stał cierpliwie przy otwartych drzwiach. Widać było, że ma czas. Po chwili, kręcąc głową na to, jak nisko upadł, Księżę Walter wygramolił się z samochodu.

– Gnata masz? – upewnił się, gdy przecinali bulwar, lecz Bank nie uznał pytania za godne odpowiedzi.

Na parkingu od frontu stały trzy auta: volkswagen typ 3, jasnobrązowy jak plaster, a obok jeep i przedpotopowy datsun B-210. Całym górnym tarasem rządził niepodzielnie wózek pokojówki. W recepcji ze spadzistym dachem też nikogo nie było widać. Na słupach od latarni dwie kamery monitoringowe, ale co tam. Przecież przyjechali tylko w odwiedzinie.

Książę Walter prawidłowo odgadł, że zadaszony pasaż prowadzi do mniejszego parkingu za motelem, całego wyźwirowanego, pod baczynym okiem rzędu pojemników na śmieci. Toronado stało upchnięte między kubłami a wysoką otynkowaną ścianą, która chroniła schowany za nią dom przed miazmatami motelu. Z gładkiej tylnej ściany wyzierały matowe szyby okien – jak oczy kogoś, kto nie wtyka nosa w cudze sprawy. Na parterze, przy licznikach gazu, drzwi pożarowe ostrzegały, by pod żadnym pozorem ich nie ryglować.

– To ja se tu poczekam – oznajmił Walter. – Jakby cię zdybali, spierdalaj przez tylne.

Brzmiało to tchórzliwie, lecz rozsądnie, zwłaszcza zważywszy na to, jak nieprzydatny mógłby okazać się Książę Walter w razie jakichkolwiek kłopotów. Bank podkasał lewą nogawkę spodni od garnituru i z przymocowanej na rzep kabury na wysokości kostki wyciągnął małą berettę bobcat.

– Trzymaj – powiedział, podając pistolecik Walterowi, który wziął go, nie kryjąc oporów. – Pamiętaj, żeby celować koniom w nogi.

Książę Walter skinął solennie głową, dopiero po chwili orientując się w drwinie. Spojrzał na Bankwella spode łba. Kiedy wchodzili przez drzwi pożarowe, Feyd tak się śmiał, że Bank musiał mu kazać zamknąć ryj. Znaleźli się w słabo oświetlonym pomieszczeniu, w którym wisił cukierkowy zapach prania; stało tam kilka pralek i suszarek. W jednej z tych ostatnich wirowało coś jakby para trampek, wygrywając na bębnie tamtamowe rytmy. Fioletowe kłębki kłaczek wiały im spod nóg jak ziele pędzone wiatrem po pustyni, gdy przez kolejne drzwi przechodzili do mrocznego korytarza, obok maszyny do lodu, by zaraz znaleźć się na zewnątrz, pod tarasem na piętrze, przy drzwiach do pokoju 112. Beznamiętne muszki wisały w chłodnym powietrzu klatki schodowej jak kropki na żałobnej woalce.

– Sprawdź tu, ja się przejdę na górę – powiedział Bank.
Coś tak czuł, że tamci będą piętro wyżej.

Nie żeby się cieszył na kłopoty czy przemoc, ale wiedział, że lepiej przyatakować niż zostać przyatakowanym. Wbiegł z brzękiem po stalowych schodach i już miał dać krok na podest, kiedy ktoś podstawił mu nogę. Rymnął jak długi, a na głowie roztrzaskała mu się żarówka. Klatka schodowa rezonowała jak gong. Mimo to, upadając, Bank instynktownie wyciągnął rękę, by złapać tego kogoś – jak się okazało, Titusa. Szczył poleciał razem z nim.

Bankwell poczuł w ustach krew, może i złamany ząb.

– Chuju! – krzyknął.

Skrzypnęły o beton podeszwy mokasynów, gdy się podnosił; załopotał krawat, później poły marynarki. Nie miał zamiaru nadepnąć Titusowi na brzuch, ale jakoś tak wyszło, no i, o Jezu, oto tamten zjedzony grzebień, a raczej gejzer żrącej brązowej papki. Bank odskoczył, stracił grunt pod nogami i właśnie wtedy napadł na niego szermierz.

– Jiaa! – wrzasnął ten chłopak od króliczków w portfelu. – Hai-jiaa!

Pierwszy cios ześliznął się po prawym ramieniu Banka, tuż nad łokciem, lecz drugi już trafił go prosto w tył głowy. Była to katana do ćwiczeń, z mocnego drewna, widywał takie na stojaku w dojo. Cios w łeb, który spadł na niego tuż po bliskim spotkaniu z betonowym podestem, ani trochę nie rozjaśnił mu w głowie. Na szczęście Bank miał przy sobie w pełni legalnego sig sauera, którym posługiwał się całkiem zręcznie. Myślenia to nie wymagało.

Przystawił lufę do gęby tego knypka, jak mu tam: Juliego. Juliego Jaffe. Całe metr sześćdziesiąt pięć rudej samurajskiej furii, level: pan Peabody. Bank nie umiał powstrzymać uśmiechu.

– Ty, paa – powiedział do Feyda, gdy jego kuzyn wbiegł po schodach. – Obczaj. Mały biały Zatoichi.

Pan Peabody opuścił miecz, być może dlatego, że celowały w niego dwie spluwy, a miecz był z drewna. Bankowi wyglądało to bardziej na zdumienie niż na kapitulację; jak gdyby udało mu się odgadnąć sekretną tożsamość chłopaka. Złapał miecz i wykręcił małemu z garści.

– Zatoichi! – powiedział Feyd. – Co fart, ej. Bo przydałby mi się masaż.

Feyd spojrział na leżącego Titusa. Widząc pozostałości grzebienia, zmarszczył nos.

– I co, dziwko? – powiedział do Titusa, który podniósł się, ociekając treścią żołądka i miotając z oczu gromy nienawistnych myśli w stronę Bankwella Flowersa III. – Nieźle żeś się ujebał.

– Dobra już, chodź. Daj im spokój.

Bank obrócił się i zobaczył Waltera zamykającego krótki pochód. Księżę był tu wierzchołkiem luźnego trójkąta, pozostałe dwa zaś stanowili Valletta Moore i Luther Stallings, z rękami w górze. Walter trzymał berette jedną dłonią, wysoko, przekrzywioną w bok, w filmowym stylu, którego wujek Chan nie znosił.

– No, toście mnie znaleźli – powiedział Luther Stallings, gwiazdor oldskulowych filmów kung-fu, gibki, giętki, w świetnej formie, ubrany w kimono, szorty o szerokich nogawkach i czarne pantofle w stylu Bruce’a Lee. Na głowie i w futerku na piersi siwizna, twarz bardziej poorana zmarszczkami niż u starego Flowersa. – Pochowajcie te klamki. Chwila, tylko się ubiorę. Chłopcy, idźcie do domu. Nic mi nie będzie.

Bank widział kiedyś, jakiś czas temu, przynajmniej jeden film, może dwa, z Lutherem Stallingsem w roli głównej. I zapamiętał z nich właśnie coś takiego: konkret, monosylaby, leniwy uśmiech. Więc albo koleś teraz też grał, albo to nigdy nie była żadna gra.

– Idźcie. Julie, Titus – powiedziała Valletta Moore. – No już, chłopcy. Możecie iść.

– Chuja tam mogą – odparł Bank.

– Mogą, mogą – uspokoił go Walter. – I tak nie mamy ich gdzie usadzić.

Uwagę Banka zaprzętnął poziom głupoty, do jakiej zdolny był czasem Księżę Walter, a tymczasem Titus jakby się przebudził. Złapał Juliego za koszulę i pociągnął go w dół po schodach, cztery stopy w tenisówkach zabrzączały na metalowych stopniach, szurnęły asfaltem.

– Nie no, Walter! – krzyknął Bank.

Teraz, gdy już myślał, zamiast po prostu działać, ostentacyjnie podszedł do balustrady, żeby ocenić szanse trafienia uciekających ze

spluwy. Była to jednak czysta ostentacja i wszyscy zebrani dobrze o tym wiedzieli.

– Karawan mamy, debilu! – powiedział Bank. – Nell Carter byśmy zmieścili, i to w trumnie, kurwa, XXL!

– Dobra tam.

– Kung-Fu? – spytał Luther Stallings. Obrócił się, żeby lepiej się przyjrzeć porywaczowi. – Kung-Fu! Walter Flowers!

– No joł-joł, panie Stallings, siemka. Jak leci?

Sędziwy gwiazdor chwycił jego głowę w zapaśniczy krawat, co zmieszany Książę Walter mężnie przetrzymał. Ale Valletta... Owa dama nie była jeszcze gotowa przyłączyć się do tego serdecznego, wzruszającego spotkania po latach.

– Walter, rany boskie – powiedziała. – Co się z tobą porobiło? – Uniosła okulary słoneczne, by potraktować go najbardziej zawstydzającymi promieniami, jakie miała do dyspozycji. – Żeby się w takie idiotyzmy wpakować.

– Cały dzień to sobie mówię – przyznał Książę Walter. – Słowo, kurwa, w słowo.

W ostatnim śnie tej nocy Archy był młodym chłopakiem, ale w jakiś sposób również sobą z terażniejszości, i rozmawiał z matką w mieszkaniu urządzonym w stylu lat siedemdziesiątych. Mauve była zdrowa, nie wisiał nad nią żaden cień i chociaż Archy śnił, pewna część jego umysłu nie mogła się nadziwić temu, o ile wyraźniejsza i bardziej obecna jest matka w tym śnie, niż kiedy starał się ją sobie wyobrazić na jawie. Bo taki to właśnie był sen: samoświadomy, rozpoznawalny już podczas śnienia. Całe cierpienie i tęsknota, wszystko, co wiązało się ze śmiercią matki, z owym nietykalnym punktem w jego duszy, który tkwił tam niczym czarny meteoryt w narożniku Al-Kaby, nagle się uobecniło, gdy Archy siedział z nią, gadając całkiem od rzeczy. Śniąc, rozumiał, że rozmowa nie ma sensu, że sen jest formą żałoby, która wezbrała nagle na skutek śmierci pana Jonesa. We śnie żałoba przynosiła ulgę. W głębi śnionego mieszkania leciała płyta, klasyk, który Maceo

Parker nagrał z Curtisem Mayfieldem, ścieżka z bardzo znanego filmu blaxploitation, *Cylindry i felgi*. Słuchał tej pięknej muzyki, tłustych bitów, słonecznych dęciaków i cienistego basu, i opowiadał jakieś bzdury mamie, takiej, jaką miała już na zawsze pozostać. „Dzięki ci, Boże – myślał sobie terazniejszy Archy – za ten cudowny sen”.

Potem ten kawałek, grający gdzieś w śnionym mieszkaniu ze srebrnymi tapetami, przedzierzgnął się z wolna w *Trespasser* Bad Medicine. Archy obudził się na podłodze w domu nieboszczyka, w płataninie koców przewodzkowych. Usłyszał dzwonek swojego telefonu i już wiedział, że jego matka od dawna nie żyje, tytuł *Cylindry i felgi* byłby koszmarny niezależnie od gatunku, a co gorsza nigdzie poza przypadłym już snem nie istnieje taka wizjonerska płyta Maceo i Mayfielda.

– Twoja komórka – powiedziała Kai.

Niby miała być lesbijką, z tym swoim fryzem na Bowsera z *Super Mario* i z ramionami, na których całkiem nieźle leżał jeden z garniturów pana Jonesa, ale o piątej nad ranem (gdy przez okno wychodzące na podwórko wśliznęli się do piwnicy zmarłego, żeby Kai, zbieraczka płyt gospel i muzyki kościelnej z Południa, mogła sobie urządzić prywatny odsłuch niewielkiej, choć ciekawej kolekcji rzadkich krążków z wytwórni Savoy i Checker, które również znalazły się w zbiorach pana Jonesa) wszystko okazało się bardziej skomplikowane.

– Ziom, twoja komórka.

– Co się stało? – powiedział Archy do telefonu.

– Cześć, tu Julie.

– Tyle to już wiem. Co się stało?

– Okej, po pierwsze: przyznaję, że totalnie nawaliliśmy.

– Aha, i to dopiero po pierwsze?

Dźwignął się z podłogi, ale od razu nim zakolebało, bo od kaca szwankował wewnętrzny żyroskop. Archy powłókł się pod okno w salonie. Słońce wpadało przez kraty smugami, więc wpasowując oczy w jedną ze stref chłodnego cienia, wyjrzał na Czterdziestą Drugą. Kot w kolorze masła orzechowego skradał się ku ofierze po grządce z nasturcjami, wśród rozwłóczonych szpalt gazety. Był niedzielny poranek, 29 sierpnia 2004 roku. Pogrzeb się odbył.

Nastał dzień, kiedy zgodnie z przysięgami Archy miał spoważnieć, zacząć żyć na serio.

– Czyli chodzi o Luthera – powiedział.

– Skąd wiesz?

– Jezus, chyba wam mówiłem, żebyście się od niego trzymali z daleka.

– Dopadli go, Archy. Weszli do jego pokoju i wynieśli te, wiesz, te wszystkie pudła z dokumentami. I jego też zabrali. A Valletta zaczęła... jakby... zaczęła ich kopać i w ogóle. Ale nie żadne kopy z półobrotu, jak w Wing Chun czy coś, tylko tak normalnie, kolanem w jaja, trochę ich też pogryzła, wiesz? No więc ją też musieli zwinąć.

– Ale kto?

– Aha, no i ja walnąłem jednego gościa mieczem.

Włączył się Titus, przekrzykując Juliego zgrywnym tonem, którego nie powstydziliby się jakiś biały nauczyciel chemii z Iowy.

– Tak było – powiedział. – Mogę zaświadczyć.

– Julie? Kogo walnąłeś mieczem?

– No tych z domu pogrzebowego. Ten duży to chyba Bank.

Archy odczuł pewną ulgę, a przynajmniej pociechę, jak to przy niektórych typach porażki. Wczoraj Chan Flowers kazał mu wybierać między swoją przyszłością (odpowiedzialny ojciec na dobrej, właściwie wymarzonej posadzie, i to u szacownego pracodawcy) a kryciem nic niewartego, wypalonego, upalonego, nieszczerze wyszczerzonego krętacza i kombinatora, tej marnej podróby ojca. A Archy po prostu się zmył, czyli po mięczacku wybrał plan B, nie mając ku temu żadnego sensownego powodu prócz resztek żalosnej lojalności wobec człowieka, który nie zrobił dla niego nic poza wtryśnięciem do brzucha jego matki kluczowych białek. A poza tym, chyba czas to przyznać, prawdopodobieństwo, że facet taki jak Archy wybierze coś w rodzaju Planu A, było niewielkie. Serio. Nie był lepszy od Luthera Stallingsa i właśnie do tego sprowadzała się owa czysto hipotetyczna lojalność wobec ojca, jaką się wczoraj wykazał. Tak jak wiele innych typów męskiej solidarności był to zaledwie przejaw tchórzostwa. Luthera nie sposób było dłużej kryć, a Archy'emu udało się tak daleko ujechać

na niezdecydowaniu, że plan A i plan B same odpadły. Była to właściwie stara, sprawdzona technika, znana również jako plan C.

– Gdzie go zabrali? – spytał.

– Nie wiemy. Przyjechali karawanem, tak że... no wiesz.

– Okej. A wy dwaj gdzie jesteście?

Byli w restauracji erytrejskiej, hen na Telegraph Avenue, przy West MacArthur. Mieli gotówkę i telefon. Wiedzieli, jak dojechać autobusem do domu rodziny Jaffe. Julie zapewnił go, że nic im nie będzie, mimo że Titusowi poszła wcześniej krew z nosa, no i się porzygał na ciuchy, teraz już mu nie leciało, ale wygląda to obleśnie, cały śmierdzi i w dodatku boli go głowa.

Archy znał Juliego, odkąd chłopak miał niecałe dwa latka i był malutkim staruszkim, który załamywał ręce w rozwieszonej w przejściu sprężynującej huśtawce dla bobasów. Sprężynowanie nie robiło na nim wrażenia, ale natychmiast się uspokajał, kiedy zapuściło się najbardziej pojechaną muzę, jaką się akurat miało pod ręką, najeksperymentalniejsze płyty Sun Ra, jazz jako kosmiczne promieniowanie, proszę bardzo. Póki grało, mały Julius nie wyglądał, jakby zaraz miał przesłuchanie w skarbówce, tylko siedział, obserwując muzykę tak, jak kot przygląda się duchom. Dlatego teraz Archy bez trudu wysłyszał w głosie chłopca, że ten jest cholernie przerażony.

– Zadzwonisz na policję? – spytał Julie. – Czy my mamy to zrobić?

Archy przysiadł w gaciach na parapecie. Spojrzał na leżącą w łóżku Kai, która urodziła się dziewczyną, ale nie bardzo to czuła i już w jakichś pięćdziesięciu procentach była facetem. Wszystkie organy rozrodcze wciąż miała na miejscu, ale nie pozwoliła Archy'emu zrobić z nich użytku, tylko poprosiła go, żeby ruchał ją w dupę, choć oznaczało to, że będzie sobie musiał poradzić na garść śliny. Kai postępowała według konkretnego przepisu, zestawu kroków: hormony, papiery, operacja. I któregoś dnia miała się obudzić jako koleś, w dodatku pewnie (z całkiem sporym prawdopodobieństwem, trzeba jej było to oddać) jako całkiem niezłe ciacho. Archy zastanawiał się, czy razem z hormonami przepłyną jej też psychiczne i emocjonalne aspekty faceckości, jak gdyby kopiąc w piasku dostatecznie długo, miała się dogrzebać do

wody. Może jeśli ktoś wybierał tę płęć świadomie i postępował zgodnie ze wszystkimi zaleceniami, nagrodą była całkowita pewność; i wtedy takiej osobie nie zdarzało się, dajmy na to, wykonywać beznadziejnego uniku, żeby uruchomić jakiś debilny plan B, co do którego miało się nadzieję, że po prostu się zdezaktualizuje, zanim trzeba będzie cokolwiek w tej sprawie zrobić.

– Zostańcie na miejscu – nakazał Juliemu. – Ja się zajmę Lutherem i Vallettą i zadzwonię do twojego taty, żeby was odebrał.

– Nie.

– Nie?

– No dobra. Tylko, ej, joł, nie mów mamie...

– Przysięgnij, że już nigdy nie powiesz „joł”.

– Przysięgam.

Archy rozprostował i narzucił na grzbiet nieświeżą koszulę, a potem garnitur pogrzebowy. Umył się, podstawiając złożone ręce pod kran, i starał się nie zwracać uwagi na księżycową ruinę fryzury. Poklepał się po kieszonce na piersi marynarki.

– Wzięłam ci klucze – powiedziała Kai. – Auto stoi pod sklepem.

– Dzięki – odparł Archy. Pod powierzchnią pamięci zamajaczył jeszcze jeden fragment wyrazistych snów tej krótkiej nocy. – Dobra.

– Przekopał kieszenie sportowego garniaka, który Kai miała wczoraj na sobie, i znalazł klucze. Kai leżała w kocach pod samą brodę, a jej drobne brązowe oczy śledziły go uważnie.

– Muszę lecieć – rzucił.

– Coś tak właśnie słyszę – odpowiedziała.

– A z tobą wszystko okej?

– Yyy... aua? – Usiadła, odsłaniając całą twarz, te szerokie usta mądralińskiej. – Powodzenia w Belize.

– Dobra... Hm, co?

Wspomnienie wypłynęło na wierzch. Po drodze, o tej nieokreślonej porze, gdy w Lakeside Lounge już pałą się światła, zahaczyli o dom przy Zaułku Zaginionych Zabawek. Gwen w szlafroku na frontowej werandzie, nieruchoma i milcząca niczym posąg, który za chwilę straci umieszczony na czole rubin. Archy powiedział jej: „Weź się przesun”, a potem złapał walizkę wyciągniętą z szafy ściennej w korytarzu i zaczął w niej upychać

najrozmaitsze rzeczy, puszki z tuńczykiem, chyba jakiś stanik. Belize!

– No tak, dzięki, że wyciągnęłaś mnie stamtąd w jednym kawałku.

– Jezu, a ja już nie mam pracy. Gwen się naprawdę wkurwiła.

– Hm, no, przykro mi... – Jeszcze raz rozejrzał się po pokoju, skinął jej na pożegnanie, żałując, że nie ma kapelusza, którym można by przykryć tę potworność, która piętrzyła mu się na głowie, wzbierając złośliwie ku przodowi. – A co do teraz, to, okej, dwie, trzy godzinki i pryskam.

– Do Belize.

– Przynajmniej mam już mapy.

Te oczy, te drwiące usta. Zawiodła się na nim. Sądziła, że nie jest z tych.

– No to baw się – rzuciła po chwili.

– Hm – odparł Archy. – Myślałem, że powiesz co innego.

– A co myślałeś, że powiem?

– „Nie bądź baba”.

– Spierdalaj.

Wyciągnął jej kapitańską czapkę z torby zakupowej, w której nosiła od wczoraj niepotrzebny mundurek orkiestry. – Joł, mogę pożyczyć?

– A weź se – odparła. – Tak dobrze ci leży, że to aż głupie.

Chwilę później Archy paradował po Telegraph Avenue w czapeczce à la L. Ron Hubbard, otwierając telefon i dumając nad pytaniem Juliego. Pierwsza rzecz, którą powie Aviva: zadzwoń na policję. Powiedz komuś, nie trzymaj tego w tajemnicy. Cisza to śmierć. Przerwać milczenie. Avivę, podobnie jak wiele innych kobiet w jej zawodzie, gorzkie doświadczenie nauczyło trzymać się zasad. Tak samo z Gwen, która w rodzinie miała wielu gliniarzy i adwokatów – niemal zawsze opowiadała się za prawem. Żadna z nich nie rozumiała, że Chan Flowers z radością wmiesza w to wszystko gliny. W końcu był radnym, przewodniczącym Komisji Bezpieczeństwa Publicznego, kumpłował się z niejednym kapitanem i szefuńciem Departamentu Policji w Oakland. Gdy umierał funkcjonariusz albo strażak, Chan Flowers grzebał go nieodpłatnie, z ponurą pompą, ku powszechnej aprobachie. Było jasne, że policja

zawsze będzie chronić Chana Flowersa. Gość odzyska to, co Luther mu zwędził, i zaraz będzie „łączyć mnie, kurwa, z McGarrettem”²⁹. Potem już łatwo sobie wyobrazić, jak potoczy się ta historia, gdy oaklandzka policja spotka się ze smutnym staruszką, exsmistrzem kung-fu i szantażystą, a pod koniec, gdy już ruszy maszyna sądownictwa karnego, które sensowniej byłoby nazywać karygodnym, to pewnie Valletta (owa biedna dama z brakami w uzębieniu, która może nawet starałaby się matkować Archy’emu, gdyby tylko Luther jej pozwolił) pójdzie siedzieć.

To akurat Aviva z pewnością by zrozumiała, ale Archy nie miał czasu na wyjaśnienia. Rozsądnie zakładał, że Chan nie zaryzykuje swej pozycji ani reputacji, zlecając wyrządzenie Lutherowi jakiejś krzywdy, czyli że nie napuści na niego paru młodych Flowersów, którzy wgniotą mu zęby w bruk za kostnicą, ale z drugiej strony, gdzieś pod tym całunem władzy i pogrzebowej godności, w Chanie Flowersie coś się jeszcze tliło. Może właśnie takim incydentalnym wgnieceniem zębów w bruk ludzie tego typu gwarantowali sobie ciągłość pozycji i reputacji.

– Jest tam gdzieś Nat?

– Jest – odparła Aviva ostrzegawczym tonem. – Jak się czujesz, Archy?

– A Gwen?

– Siedzi obok mnie, w kuchni.

W pewnym sensie była to dobra wiadomość; być może Gwen siedziała tam, mówiąc: „A jebać, przecież mogę wypić filiżankę kawy, jeśli mam taki kaprys”, miotając klątwy na głowę Archy’ego, w radosnej kuchni swej najlepszej przyjaciółki znalazłszy wreszcie siłę na coś, co powinna była zrobić już dawno, czyli zmierzyć się z prawdą, że Archy to po prostu szpaner i niedojda. Parzą sobie pewnie kawę od Peetsa w tym fantastycznym, francuskim chyba, cyklotronowym ekspresie Nata, szkalując adwokatów rozwodowych, Aviva oczywiście lansuje model zrób-to-sama, że czemu po prostu nie przejść się do księgarni Nolo Press na Parker Street w Berkeley, tam mają wszystkie formularze i książki, nic więcej nie trzeba. Ostatnio między przyjaciółkami panował klimat dość oziębły, a tu proszę, taki dobry pretekst, by wreszcie nastąpiła odwilż. Tymczasem

Nat mógł wymknąć się z domu, specjalnie nie zwracając na siebie uwagi, unikając niepotrzebnych pytań.

– Gwen opowiada ci o wszystkich idiotycznych rzeczach, jakie zrobiłem wczorajszej nocy?

– Pewnie nie o wszystkich – odparła Aviva. – Ale wystarczy.

– To mogę z Natem?

– Czego? – W słuchawce zabręczał głos Nata, tak nadęsanego, że zakrawało to na ostentację, ale Archy wiedział, że Nat, niczym Achilles przesiadujący w swym namiocie, miał do dąsów szczególny talent i nie umiał go kontrolować.

– Musisz pojechać do tej erytrejskiej na Telegraph, zaraz przy MacArthur, i odebrać stamtąd chłopaków, czekają na ciebie. Okej?

– Chyba żartujesz. – Nat w hełmie nurkowym i ołowianych buciorach tkwił w głębinie rowu Yap. – W gaciach jestem.

– Gwen na pewno jest zachwycona.

– Wal się.

– Dobra, Nat, muszę lecieć. Znasz to miejsce, byliśmy tam wtedy, co wiesz.

Kilka przecznic dalej Archy natknął się wreszcie na swoje auto. Na pace wciąż leżała wariacka walizka z wczorajszej nocy, do połowy zagrzebana pod kocem. Te kocy! Motyw przewodni dnia. Symbol koczownictwa, niestałości i ochrony przed szkodami, jakimi groził transport. Archy odciągnął koc i przyjrzał się starej niebieskiej samsonajtkie z plastiku, mrugając gwałtownie, by odpędzić dynamiczny montaż paru innych wspomnień z zeszłej nocy: on wrzeszczy, Gwen milczy, mierzy go wzrokiem, rozumiejąc wreszcie, co z niego za typ: hałaśliwy, pijany, z dupą już właściwie w trokach. Trzy tysiące siedemset czternaście dolarów na koncie Brokeland Records w Wells Fargo. Wyciągnąć. Do auta, do przodu, I-680, I-5, I-10, w Tuscon skrócić na południe, kierunek: Meksyk. Chihuahua, Zacatecas, Veracruz. Po trzech, czterech dniach Belize. Znaleźć hamak i wiaterek, jeść tacosy z mięsem z jakichś sporych gryzoni, co się je znajdzie w dżungli. Nie ma rzeczy niemożliwych dla faceta z trzema tysiącami dolarów i walizką pełną puszek z tuńczykiem i staników ciężowych. W końcu jego fura nie bez powodu nazywa się el camino!

Przykrył walizkę kocem i poszedł kawałek w górę ulicy, do zakładu Flowers i Synowie, zatrzymując się po drodze w Federacji, żeby kupić torebkę pączków z dziurką. Dziś na pewno szykował się jakiś pogrzeb, lecz choć była już dziewiąta rano, pod obrosłymi bluszczem okapami majestatyczne gmaszysko wciąż drzemało. Żadnych śladów życia, drzwi zamknięte na głucho. Archy okrążył budynek. Na tyłach czekały stoicko dwa karawany, każdy w swojej zagrodzie: stary ford LTD crown victoria i nowsza limuzyna, lincoln town car. Maski crown vica tykotała jak garnek wrzątku. Archy podszedł do wejścia służbowego i zapukał dwa razy, grzecznie, acz stanowczo.

– Jak leci, Bank? – przywitał się, gdy mu otworzono. – Po ojczulka przyjechałem. – Starał się, by zabrzmiało to jak punkt w harmonogramie, co do którego wszyscy są zgodni.

Nad głową Archy’ego, trochę w lewo, znajdował się najwyraźniej jakiś mikroskopijny lub zgoła niewidzialny obiekt, który interesował Bankwella bardziej niż Archy.

– Nic nie mogę dla ciebie zrobić – powiedział.

Archy dopiero teraz, czyli nieco poniewczasie, zdał sobie sprawę z zagrożenia wiążącego się z tym, hm, przedsięwzięciem.

– Bank, stary – powiedział. – Pokumaj, co mam. – Wyciągnął przed siebie papierową torebkę, zwyczajną, białą, bez logo ani etykiety, a jednak nie do pomylenia. Przypadek oraz koneserska natura obu panów sprawiły, że w ciągu ostatnich dwóch lat Archy i Bankwell przynajmniej dwukrotnie spotkali się przy ladzie Federacji Pączków. Tamten z pewnością rozpoznawał obiecujące wypukłości i elegancką fałdkę u góry torebki, wskazującą niezbicie, że wypieki zapakowała pani Pang.

– Lukrowane – oznajmił Archy. – Sześć, wszystkie dla ciebie.

Bankwell nie umiał się oprzeć i zerknął na torebkę, lecz w ostatecznym rozrachunku nawet pół tuzina lukrowanych drożdżowych nie było w stanie konkurować z owym niewidzialnym lub też mikroskopijnym obiektem za głową Archy’ego.

– Stary ćpun mi wszystko wygadał – Archy zmienił taktykę. – Coś tam pitolił bez związku i mu się ułało. Że on z Chanem kiedyś tam kropnęli, wiesz, tego gangstera w klubie Czarnych Panter, zastrzelili, ale nikt za to nie beknął.

To były czyste domysły, paciorki plotek i pogłosek nanizane na łańcuszek zuchwałości. Rozmowy z najwcześniejszego dzieciństwa, pamiętane jak przez mgłę z różnych kuchni, wymieszane ze żrącym sykiem lokówki i brzękiem kostek lodu w szklankach z oranżadą Flavor Aid. Dziwna mina jego ojca w połowie nieskładnej anegdoty o Hueyu Newtonie, jakby nagle coś sobie przypomniał. Skąd właściwie Archy miał wiedzieć, że to nie ojciec pociągnął za spust?

– Tak że wiesz, Bank, teraz mnie nie wpuścisz, ale co powie twój wujek? Tak sobie myślę, że pewnego pięknego dnia twoje zachowanie może mu się wydać kretyńskie.

Archy'emu wreszcie udało się na jakieś dwie sekundy utrzymać na sobie wzrok Bankwella, i nie był to wzrok chłodny ani wrogi. Jedynie znużony, udęczony, jak gdyby Bank miał już, kurwa, potąd prób unikania wszystkich dziesięciu tysięcy rzeczy, które pewnego dnia, w retrospekcji, mogą się Chanowi Flowersowi wydać kretyńskie. Potem (nieco jak Gwen zeszłej nocy, gdy usunęła mu się z drogi, żeby mógł wejść do domu i tam dalej gardłować, kompletując wyposażenie na podróż do Belize) Bankwell dał krok wstecz: kamienna brama usuwająca się z turkotem, by skazany na zgubę archeolog mógł wkroczyć do świątyni pełnej węży.

– No to zapraszam – powiedział.

Prócz kojców dla kur tak historycznych, że znosiły pamiątki rodzinne, spółdzielczych pizzerii, czcigodnych volvo, które zjechały z taśmy fabryki Torslanda, jeszcze zanim ABBA dostała pierwszą złotą płytę, całych półek ze wzmacniaczami lampowymi Dynaco, butelek niemowlęcych bez BPA oraz zdezelowanej krainy cudów, znanej też jako Przygodowy Plac Zabaw, jednym z pomniejszych elementów wałów przeciwpowodziowych wzniesionych tu i ówdzie przez Kalifornijczyków z Berkeley w ramach nieustającej walki o ochronę swego polderu przed zalewem konsumeryzmu i kapitalistycznej homogenizacji był telefon ścienny w kuchni rodziny Jaffe: Western Electric, model 554, żółty jak uśmiechnięta buźka, z obrotową tarczą i słuchawką podłączoną do plastikowego

aparatu niemal ośmiometrową węzowatą helisą żółtego kabla, poskręcaną w prastare, nierozplątywalne supły. Spiskując z Archym, by przywieźć chłopaków, Nat musiał wystawić ów kabel na poważną próbę, rozciągając go przez cały salon po włochatej szarozielonej wykładzinie (kolejnej małej tamie przeciwko powodzi) aż do miejsca, w którym listwa spotykała się ze skrajem dębowej podłogi przedpokoju. Nat stopniowo okręcał się żółtymi zwojami niczym widelec atakujący miskę spaghetti albo Kleopatra, nim na własny rozkaz posłano ją Cezarowi w dywanie. W trakcie rozmowy z Archym Nat zdążył zaplątać się w całą długość kabla dzielącą listwę od kuchni i stał teraz jak Charlie Brown omotany linką od latawca.

– I czemu ty tak robisz? – Głos Avivy dobiegał gdzieś zza kopy zmiętych chusteczek, które Gwen zdążyła przez ostatnią godzinę zgromadzić na blacie kuchennego stołu, zbierając plon małżeńskich zgryzot. – Bo ja się boję, że to jakieś sadomaso.

– Co mówił? – spytała Gwen, dmuchając nos, by zaraz dodać chusteczkę do sterty.

– Co mówił? – powtórzył Nat.

Bezwstydnym, tani manewr, by zyskać na czasie. Zastanawiał się (była to kolejna wariacja na temat, który gnębił go od samego rana), ile powinien zdradzić siedzącym w kuchni kobietom. Nim rozwiązał ten dylemat, znów usłyszeli dzwonek telefonu. Po drugiej stronie jakaś kobieta przedstawiła się jako oficer Lester z Departamentu Policji w Oakland.

– Czy jest pan właścicielem czarnego saaba sedana, rocznik dziewięćdziesiąt, kalifornijskie tablice, numer 3AUH722?

– Hm, tak – odparł Nat, czując ucisk w piersi. – Tak, to ja, a czemu pani pyta?

Gwen i Aviva podniosły wzrok, zaniepokojone jego chrapliwym głosem, a Nat tymczasem zaczął się wycofywać z kuchni. Od kostek po talię zaplątany w kabel telefonu, skacowany, może nawet wciąż odrobinę pijany po ostatniej nocy, przemieszczał się znacznie za szybko. Czuł, że traci grunt i starając się zachować równowagę, wyciągnął rękę, by chwycić oparcie vintage'owego fotela Morrisa. Kabel, wyszarpnięty z aparatu, nagle tracąc naciąg, zaczął odwijać się z nóg Nata, zataczając coraz szersze, majestatyczne kręgi,

wirując coraz szybciej, aż wreszcie, gdy z Nata opadł ostatni zwój, końcówka smagneła go w policzek.

– Aua – powiedział Nat, sprawdzając, czy nie cieknie mu krew. – Muszę lecieć.

– Zaraz, dokąd? Kto to był? – spytała Aviva i wtedy zadzwoniła jej komórka, a Nat po raz kolejny został wyratowany od opowiedzenia całej prawdy. Aviva przyjrzała się wyświetlaczowi, otworzyła telefon. – Tu Aviva. Mhm? O, cześć. Czy już jedziemy...? Dobrze, posłuchaj.

Godziny, centymetry; wody, całe to krwawe widowisko; regularne, choć mierzone z pewnym niepokojem skurcze. Nie chodziło nawet o to, że musiał się zameldować oaklandzkiej policji; Nat już od dawna nie zwracał uwagi na niezmiennie w swej zmienności szczegóły sączące się ze słuchawki, gdy jego żona w ramach codziennej pracy sprowadzała na świat kolejnych furiatów, przegrywów i cymbałów. Lecz stojąc przy zlewie i odbijając policzkiem krwawe róże na papierowym ręczniku, Nat widział niepokój, który rozlał się na twarzy Gwen, gdy słuchała Avivy, cierpliwie instruującej najświeższego ojca, żeby wiozł najświeższą matkę do Szpitala Ogólnego Chimesa, gdzie dzień w dzień sprowadzano na świat cymbałów, i to całymi dziesiątkami. Ponury nastrój zwątpienia, który panował tu, odkąd Gwen stanęła w progu, zdawał się ustępować czemuś chłodniejszemu, bliższemu determinacji.

– Audrey i Rain jadą do szpitala – przekazała Aviva wspólnicze, zamykając telefon.

– Mhm – odparła Gwen, jak gdyby Audrey i Rain były osobami, o których słyszała jedynie z plotek, znajomymi znajomych. – Na zdrowie.

Aviva odsunęła się z krzesłem od stołu, zgarnęła narecze kwiecica chusteczek i wyprawiła je do kubła.

– Trzymasz się?

– Trochę wymięta, ale jakoś tam.

– To sprawdźmy, co z naszą akredytacją.

– Yyy...

– Wiem, że... Skarbie, wiem, że cierpisz. Dlatego właśnie musisz pracować. Praca ci dobrze robi.

Mówiła, chodząc po kuchni, jakby przenikały się filmowe obrazy, bo równocześnie robiła siedem różnych rzeczy, tu ustawiając na suszarce opłukane filiżanki i dzbanek do herbaty, tam zapinając torbę, do której przed chwilą wrzuciła nienapoczętą paczkę chusteczek Chux, jeszcze gdzie indziej ściągając włosy frotką i przyklejając Natowi na policzku plaster wygrzebany z szuflady z duperelami. Umknęło jej chyba tylko jedno: wyraz twarzy Gwen, który za to dostrzegł Nat. Przez szum paniki i zniecierpliwienia powoli przebijał się miarowy sygnał żalu.

– To znaczy, Gwen, wiesz, że cię uwielbiam – powiedziała Aviva. Gdy schyliła się nad nim, żeby opatrzeć mu ranę, jej oddech zapachniał Natowi czekoladą: kwaskowa, niemal dymna woń. – A Archy zachowuje się jak ostatni osioł. Tylko że co ci właściwie da, że sobie tu posiedzisz i poryczysz?

– Racja.

– Bo jeśli faktycznie czujesz się źle czy coś...

– Czuję się kurewsko źle, jak chcesz wiedzieć, ale poza tym nic mi nie jest.

Teraz Aviva też to wychwyciła. Zarzucając na ramię torbę awaryjną, obejrzała się, żeby zobaczyć, czy mina Gwen odpowiada tonowi jej głosu.

– Co? – spytała.

– Cały czas próbuję ci powiedzieć, naprawdę bym chciała. Ale po prostu...

Aviva usiadła ciężko i opuściła torbę na podłogę. Dokładnie takie nosiła załoga statku „Sulaco” w filmie *Obcy. Decydujące starcie*; Julie wyszperał tę autentyczną replikę kilka lat temu na WonderConie. Nat nie był pewien, ile było w tym ironii pod adresem pacjentek Avivy rozmyślających o straszliwych istotach, które miały wyskoczyć im z brzuchów.

– Dajesz – powiedziała Aviva.

– Ta cała sprawa z Archym – podjęła Gwen. – To po prostu, naprawdę, to nawet nie jest najważniejsze. Znaczący, hm, to mogłoby być, ale ja do tego nie dopuszczę. Za to ten dzieciak, kimkolwiek się okaże... On będzie najważniejszy. On i moja praca.

– No ale ja właśnie to...

– Moja prawdziwa praca.

– Twoja prawdziwa praca. A co to jest, ta twoja prawdziwa praca?

– Ktoś mi parę dni temu powiedział, że Archy’emu się fartnęło, bo znalazł coś, w co może włożyć całe serce. Nawet jeśli innym to się wydaje bezsensowne albo szalone.

– Aha? – przytaknęła Aviva, choć w jej głosie czaiła się nieufność.
– To akurat chyba prawda, nie?

– Na pewno – odparła Gwen. – Ty coś takiego masz, Aviva. I Nat też. Ale ja... – Zawahała się, jak gdyby postanawiając jednak powiedzieć coś innego niż to, co miała na myśli. – I potem nasza komisja, te doktorzyny. Te zadowolone z siebie, aroganckie bubki...

– Gwen, ale wszystko jest dobrze. Postawiłaś się im i zmiękli. I masz spokój. A ja... Nat? Na co ty się tak gapisz?

Przez kuchenne okno widać było okoloną kwiatami trojeści połąć nieba, czysty błękit. Nat nie mógł oderwać od niego wzroku.

– Na kolibra – odparł.

– Gwen – kontynuowała Aviva – naprawdę nie musisz się już tymi dupkami martwić.

– Ja się nie martwię – powiedziała Gwen. – Ja tylko... mam już dosyć tego, że nic tam nie mogę, Aviva, a oni mogą wszystko. I tego, że codziennie muszę się konfrontować z poczuciem, że moja robota nie ma żadnego sensu. I tego, jak strasznie mnie przygnębia, że czarne dziewczyny nie chcą chodzić do położnych. I szczerze mówiąc, mam też dosyć maksymalnie uprzywilejowanych, neurotycznych, popierdolonych... – Zamilkła. Upchnęła skrzyżowane ramiona między piersi a brzuch, jakby zatykała ołówek za ucho.

– Chciałaś powiedzieć „białych pind”.

– Tak! – zgodziła się Gwen. – Z ich białopindziarskimi alergiami na lateks i białopindziarskimi planami porodu i tym popisywaniem się, która biała pinda jest bardziej maczo. – Gwen udała marudny głos białej dziewczyny: – „Ja wytrzymałam dwadzieścia siedem godzin bez znieczulenia! Och tak, wiem dokładnie, o czym mówisz, ja wytrzymałam czterdzieści cztery!”. Wezmę kredyt. Już rozmawiałam z rodzicami, pomogą. Mama w sumie jest zachwycona.

– Zachwycona, mhm, ale czekaj, w czym pomogą?

– Uznałam, że już teraz zacznę wkuwać. To znaczy najpierw urodzę dziecko, ale zaraz potem. Do wstępnego na medycynę. Za rok we wrześniu, jak już przygotuję podanie, mały będzie miał rok.

– Chcesz iść na *studia medyczne*?

– Mówiłam. Nie chce mi się już z nimi użerać. No to sobie wymyśliłam, że dobra, muszę po prostu zostać kimś takim jak oni. I może wtedy, jak spróbuję złapać kontakt z rodzącą czarną kobietą... może wtedy ona mnie do siebie dopuści.

– Aha – powiedziała Aviva. – Nie no, super. Dzięki, że się tym podzieliłaś. – Gdy wstała od stołu i podniosła torbę Sulaco, jej oczy były dwoma czarnymi węgielkami, jak u Ellen Ripley. – To ja już pójdę do tej swojej bezsensownej roboty. Audrey jest tak maksymalnie uprzywilejowana, że za poród płaci z zasiłku.

Nat chciał ją zatrzymać, ale już była za drzwiami. Na tarasie, na schodach, na podwórku. Po kilku sekundach usłyszeli wzburzone dudnienie silnika Hekate, szurgot auta, cofanego bez żadnej litości po krawężniku.

– Jezu – powiedział Nat.

– No nie? – Gwen wyglądała na oszołomioną. – Szajba.

– Czyli nie jedziesz na ten poród.

– Nie. Nie jadę.

– To mogę ci zadać pytanie?

– Jasne.

– Podwieziesz mnie?

– Co? To znaczy jasne, ale gdzie twoje auto?

Nat wrócił do kuchennego okna, gdzie jego oczom znów ukazała się połać nieba bez skazy, bez cienia, a nade wszystko bez zeppelinów. A jednak ów łagodny błękitny bezkres nie dawał szczególnej otuchy.

– Chodźmy – rzucił. – Wyjaśnię po drodze.

Flowers zadekował ich w jednej z sal odwiedzin, pod szczytem długiego spadzistego dachu. Było to ciasne pomieszczenie, na uboczu, z tapetą w męczące arabeski. Zasłony w oknach miały kolor ciucha przypalonego żelazkiem, na zewnątrz furkotały gołębie. Był

to pokój zarezerwowany dla zmarłych, o których nikt nie pamiętał, po których nikt nie płakał; dziwaczną geometrią przypominał widownię na siłę wykrojoną z balkonu w jakimś pałacu kinowym. Flowers, w czarnym garniturze rodem ze spaghetti westernu, siedział okrakiem na stojącym tyłem do przodu krześle, naprzeciwko Luthera i Valletty, których usadzono ramie w ramie na sofie bez podłokietników, niczym rodziców pogrążonych w żałobie. W zamkniętej trumnie na aksamitnych marach spoczywał anonimowy nieboszczyk.

– No proszę – powiedział Flowers, gdy Bank wprowadził do salki Archy’ego. – Oto i Thurston Howell III³⁰.

– Luther. – Valletta mocno szturchnęła Stallingsa w kolano.

Niezwykłość tamtego snu o matce Archy’ego polegała na tym, z jaką siłą wyciągnął na wierzch zupełnie z pozoru zapomniane szczególiki, takie jak haczykowatość jej pięknego czirokeskiego nosa, meszek na przedramionach, delikatne echo dziecięcego seplenienia. Wszystko to nagle wróciło, niczym dzień na plaży w Stinson (cierpkość zakwasu w piwie Modelo Negra, terkot latawca na wietrze), który staje nam nagle przed oczami, bo w jakiejś dolnej szufladzie natknęliśmy się na kartkę ze starego kalendarza. Gdy Archy przyszedł wtedy do warsztatu Motor City, był tak wkurzony na Titusa i Juliego, tak bardzo nie chciał tam być, tak się okopał we własnej wściekłości, że nie umiał dostrzec prawdziwego Luthera, widział więc tylko to, co chciała widzieć jego furia. Czyli to, co można było zobaczyć, wyobrażając sobie nieżyjącą matkę oraz ojca, którego już dawno, dla własnego bezpieczeństwa, wycięto się ze swojego życia. Fotografie i fantomy, co osiadły na siatkówce.

Teraz mu się jednak przypominało: facet siedział luźno, swobodnie, ale potrafił zerwać się na równe nogi, do pełnej gotowości, najszybciej ze wszystkich znanych mu ludzi, jakby mu kto kawę wylał na kolana. Pod tym względem nic się nie zmieniło. Nadal miał też ten sam dołek w brodzie, jakby zręcznie i celowo wycięty narzędziem garncarskim. I wciąż potrafił patrzeć na człowieka spode łba, tak długo, że w końcu robiło się nieswojo i adresat naprawdę nie wiedział, czy to tylko zgrywa, czy też faktycznie ma na sumieniu jakiś grzech, jakieś dawno zapomniane

przewinienie. I wtedy Luther wreszcie pociągał za linkę, rozpinając nad całą sytuacją sławetny uśmiech Cleona Struttera.

Ale jak on pozimiał: włosy przyprószone śniegiem, szron na brwiach! Chociaż wzrost i obwód wciąż robiły wrażenie, ubyło mu masy, a przez to majestatu. Łypał na Archy'ego spod lodowych nawisów brwi. Jego wzrok był klarowny, może nawet trzeźwy, ale to nie była dla Archy'ego nowość. Nic wielkiego. U Luthera okres trzeźwości przypominał Dzień Świstaka: bez słońca cień nie mógłby przepowiedzieć bezkresu szarzyzny. Archy stanął przy drzwiach i czekał. Wreszcie, niczym jakaś przemijająca tradycja, na jego ustach ożył ten sławetny uśmiech.

– Chan, mam nadzieję, że nie masz nic przeciwko temu – powiedział Luther, nie spuszczać wzroku z Archy'ego – że poprosiłem mojego mediatora, żeby do nas dołączył.

Bez tego się nie obejdzie: Luther musiał mieć swój show. Archy'emu wszystko opadło i już miał powiedzieć „Chwilunia”, ale nagle zdał sobie sprawę, że przybył tu dokładnie w takim celu.

– Swojego zeppelina zaparkowałem na miejscu dla duchownego – powiedział Archy. Na czoło nasunął mocniej kapitańską czapkę, uznając, że najlepiej będzie nosić ją dumnie i na całego. – Mam nadzieję, że nikomu to nie przeszkadza.

Pozwolił ojcu się objąć po raz pierwszy od dziesięciu lat albo i lepiej. Pralnia samoobsługowa, odświeżacz powietrza z motelu, niemyte dziś ciało, perfumy Valletty. Kości ramion. Luther wydał z siebie jakiś dźwięk, z samych trzewi; brzmiało to trochę, jak gdyby Cochise Jones docisnął pedał swojego hammonda.

– Cześć, Valletta – powiedział Archy, uwalniając się z uścisku Luthera.

– Siema, Archy. Przykro mi, że cię w to wkręcili.

– A u ciebie wszystko okej?

– Zupełnie nieźle. Dzięki, skarbie.

Wyglądała jak po bitce. Niewątpliwie włożyła dziś rano nieco energii w to, by się pozbierać: biała bluzka bez rękawów, spódniczka w kolorze czerwonej klementynki na tyle krótka, by człowiekowi zapało dech. Ale od tego czasu wszystko się trochę porozłaziło. Jedna poła bluzki wypęzła na wierzch. Długą, prostą falę włosów zaburzyły sprężynki i loczki. Luther zaś miał na sobie

szlafrok, niebieskie kimono happi w białe żurawie, szare spodenki do kung-fu i pantofle w stylu Ip Mana. Widać było, że Bank i Feyd wyciągnęli go z łóżka.

Siostrzeńcy tradycyjnie przywarowali po obu stronach drzwi, niczym psy Foo. Na tle tej zgrai Feyd prezentował się całkiem elegancko, nawet odważnie, w brązowym garniturze i pomarańczowej koszuli pod ciemnofioletowym krawatem, lecz zawadiackość *malandro* już z niego wyparowała, stał teraz ze spuszczoną głową i stópkami jedna tuż przy drugiej, zbesztany przed chwilą przez wujka Chana (Archy mógłby iść o zakład) za widowisko, jakie niewątpliwie urządzili, spinając się z dwójką zbrojnych w bokkeny, rzygających czternastolatków na klatce schodowej motelu przy bulwarze MacArthur. Bank faktycznie wyglądał na ofiarę przemocy, zagryzał prawy policzek, krawat miał przekrzywiony i generalnie emanował wzburzoną pokorą, dokładnie tak, jakby został napadnięty przez małego, chudego geja z mieczem wystruganym z hikory.

– Hej, Kung-Fu, a w skrzynce kto? – spytał Archy.

Walter, za zasłoną ciemnych okularów, zmilczał. Dłubał przy zamku ciemnogrnatowego dresu z wyszytym wielką czerwoną czcionką nazwiskiem Ali, rozparty na giętym krześle, przeznaczonym dla pracownika, często któregoś z młodszych Flowersów, który miał czuwać przy nieboszczyku, dotrzymywać mu towarzystwa, gdy w pobliżu nie było nikogo innego. W dawnych czasach ta robota często przypadała małemu Walterowi. Z rozpostartym „Sports Illustrated” chłopak mógł całymi godzinami udawać, że wcale nie śpi.

– To pan Padgett – odparł Chan Flowers. Rozkrzyżował nogi, wyciągnął rękę i wstał, serwując Archy’emu pozę dyrektora domu pogrzebowego, ful wypas. – Nauczyciel. Zawinął się w zeszyły wtorek. Chowamy go o czternastej.

– Terrell Padgett? Z naszego technikum? Uczył mnie tam algebry.

– Cud, że to go nie zabiło – wtrącił Luther.

– Taka tam cipa – powiedział Walter zza dłoni zasłaniającej nadąsaną facjatę.

Palec wskazujący Flowersa wyprostował się ku Walterowi i dźgnął trzy razy powietrze, jak gdyby dyrektor otrzepywał

porządnie zmoczony parasol.

– Ani. Słowa. Więcej.

Wzrok Waltera powędrował w dół i zagubił się gdzieś w przesyconym kolorami zdjęciu planety nadrukowanym na ultramodnych kiksach.

– Panie radny – powiedział Archy. – Chan. Co tu się dzieje? Co pan robi?

– Archy, ja... ja przepraszam, że tak wyszło. Ale sądzę, że jeśli mnie wysłuchasz, sam przyznasz, że nie miałem wyboru. Proszę, rozgość się. – Flowers spojrzał na Bankwella i Feyda. – Zabierać się stąd, ale już. Panno Moore, proszę przyjąć moje przeprosiny. Jeśli chce pani iść, jest pani wolna. Feyd, bądź łaskaw odprowadzić pannę Moore do drzwi. – Odwrócił się do Waltera, zwięzając oczy do jaszczurczych szparek. – Do ciebie też mówię, idioto.

Feyd już szedł do Valletty, by pomóc jej się stamtąd zabrać, ale ostrzegła go, żeby trzymał się z daleka, i zaczęła się sposobić do opuszczenia salki, podnosząc się z kanapy dla żałobników niczym cyklon zadzierający kieczę, by przywalić w pole kempingowe. Na sekundę czy dwie zawisała nad Lutherem, spojierając z góry na okrągłą łysinę, jak gdyby rzucała na niego urok, by to się rozpełzło, by na całym łbie zapanowała ruina bezwłosego połysku. Choć może ta biedna dziewczyna kochała go miłością, która dla Archy'ego była jeszcze mniej rozumiała niż jego własna miłość do Luthera, miłością, która wbrew wszelkim oczekiwaniom wciąż migotała pod szklanym kloszem lat. Może Valletta stała tam, pragnąc, by łysina zniknęła, by włosy odsiwiały, twarz się odmarszczyła, lata odminęły. O ile Archy się orientował, Valletta była zakochana w jego ojcu (raz bardziej, raz mniej, na haju, na trzeźwo, gdy był gwiazdą, gdy był glizdą) od tego poniedziałkowego poranka w 1973 roku, gdy po raz pierwszy wszedł na plan *Struttera*. Trzeba przyznać, że trzydzieści lat takiej miłości to nie lada wyczyn. Nawet Jahwe nie potrafił utrzymać miłości Izraelitów na pustyni, żeby od czasu do czasu nie przetopili kolczyków na cielca.

– Daj mu ją – powiedziała do łysin.

Luther ani drgnął, udając, że nie słyszy, i uśmiechając się wciąż do Flowersa, jak gdyby przyszedł tu z własnej woli, żeby wcisnąć

mu prenumeratę jakiegoś magazynu albo przepis na wieczne zbawienie.

– Chuju – wycedziła – jak mu nie dasz, to tyle mnie będziesz widział. Nie żartuję. Żebyś z satelitą i z rentgenem szukał, to mnie nie znajdziesz.

Luther i Valletta za bardzo już byli zżyci z głównymi rolami we wspólnej katastrofie, by nie rozegrać i tej pauzy. Jej oczy śmigły wte i wewte, co zdarza się tylko aktorkom przy zbliżeniach: czytała jego wzrok jak ekran telepromptera.

– Chcesz, to idź, suko – odparł Luther, nie bez tkliwości. – Nie mam zwyczaju pasować, jak ktoś ma dwie pary.

Odchyliła się na piętach. Jej determinacja słabła. Valletta wiedziała, że powinna spełnić groźbę i wyjść, ale pawłowowski dzwonek miłości zbyt dobrze ją wytrenował w myleniu pogardy z przywiązaniem, obojętności z rezerwą. A potem wzruszyła ramionami, posłała Archy'emu całusa i błyskając wnętrzem dłoni jak odznaką, powiedziała:

– Na razie.

Archy patrzył za nią i za jej rozkołysanym tyłkiem; obcasy zmierzały ku drzwiom, stukając jak metronom, tik-tak, tik-tak. Czekał, czy przypadkiem nie obejrzy się na Luthera, ale dotrzymała słowa i już jej nie było. Trzej siostrzeńcy powlekli się za nią i jak się okazało, to poczciwy Kung-Fu obejrzał się za siebie, na Archy'ego, wymaszerowując ze spuszczoną głową, z pięściami wciśniętymi w kieszenie sportowej kurtki. Obejrzał się z ukosa, z wyrzutem, jak gdyby to wszystko była wina Archy'ego. Niewykluczone, że sprawa była dużo prostsza, wręcz dziecinna: może miał zwyczajnie żal o to, że Archy'emu pozwolono zostać w salce, a jemu nie. Na plecach kurtki, wyszyte wielką czerwoną czcionką, widniało hasło JESTEM SUPER. „Superciulem”, pomyślał Archy, gdy Walter trzasnął za sobą drzwiami.

Przecież to był, kurwa, plan Archy'ego: spotkać się w Brokeland Records po pogrzebie, przyjarać, coś tam chociaż pogmerać przy

pobojowisku po stypie. Puścić parę krążków, przywrócić nieco porządku. Powiedzieć, co było do powiedzenia, ustalić, co dalej: z Dogpile, z COCHISE, z ich życiem. Ich wspólnym życiem: jako przyjaciół, wspólników, kumpli z zespołu, ojców. Do upadłego bronić płonącego pokładu Brokeland i zatonać wraz z nim czy skakać do wody, strzegąc się spadających żagwi?

– A mówił coś o Belize? – chciała wiedzieć Gwen.

Jechali jej bmw po chłopców, w KMEL-FM leciała jakaś łupanka, sto dwadzieścia uderzeń na minutę, żeński wokół i prężenie mięśni tradycyjnie wymieszane z pyskaniem kaznodziejstwem. Gwen jakimś cudem udało się wpaść między siedzenie a kierownicę: okręt w butelce, psalm na ziarenku basmati albo inne zmyślne cacko. Wciąż świetnie wyglądała, nawet tak blisko horyzontu zdarzeń, z maksymalnym przeciążeniem. Na głowie miała ghańską chustkę w barwach zachodu słońca, niżej kocie okulary w kolorze pistacjowych lodów. A te jej dłonie zaciśnięte na kierownicy, przepiękne dziwolągi, prawie tak szerokie jak jej męża, ale długie i giętkie, paznokcie przycięte po męsku, ale błyszczące jak bezy.

– Właśnie nic nie powiedział, do tego zmierzam – odparł Nat. – Bo w ogóle się nie zjawiał. Na cmentarzu wsiadł do swojego auta, pomachał i potem już go nie widziałem.

– Bardzo bym chciała móc powiedzieć to samo – wyznała Gwen.
– Dalej nie bardzo wiem, co ma z tym wszystkim wspólnego Kai. Gdybym już i tak nie nabruździła Avivie, to sugerowałabym jej, że dziewczyna powinna wylecieć na zbity pysk.

– Przynajmniej wiesz, że Archy jej nie przeleciał.

Gwen się zgodziła: przynajmniej tyle.

– Ale czekaj, naprawdę rzucasz tę robotę? – spytał Nat, gdy ta wieść zaczęła mu się przesączać do świadomości wraz z pierwszymi miligramami musującej mieszaniny paniki i konsternacji.

Jego życie, niczym świat z legend, balansowało przez wiele lat na grzbietach olbrzymich słoń, stojących na skorupie ogromnego żółwia; pierwszym słońcem była jego spółka z Archym, drugim spółka Avivy z Gwen, żółwiem zaś jego wiara w to, że zwykła, autentyczna przyjaźń między czarnymi i białymi jest możliwa, przynajmniej tu, na ulicach tego małego królestwa, kalifornijskiego

Brokeland. Tu, na Brzegu Rzeki, na rubieżach, wzdłuż niewyraźnej, poplątanej granicy Telegraph Avenue. Teraz ta strzelista konstrukcja więzi i poglądów chwiała się jak piramida słoni cyrkowych z *Dumbo*, gotowa w każdej chwili runąć. I to nie dlatego, że ktoś tu był rasistą. Nie chodziło o jakieś tragiczne nieporozumienie zrodzone z całych stuleci niewolnictwa i krzywdy. Nikt nie rzucał obrzydliwych epitetów, nie uciekał w atawistyczną plemienność. Wśród ich czworga różnice związane z klasą i wykształceniem neutralizowały się na przekór stereotypom i kulturowym oczekiwaniom: i Avive, i Archy'ego wychowały ciotki, które ciężką fizyczną pracą umożliwiły im start na drugoligowe uczelnie. To biały koleś nie skończył liceum, to czarna kobieta pochodziła z wyższej klasy średniej i odebrała kosztowne wykształcenie. Po prostu okazało się, że na żółwiach i piramidzie ze słoni świat się nie utrzyma.

– Myślałeś, że pogrywam z tą biedną kobietą i tylko tak se mówię, że rzucam?

– Nie.

– Nat, naprawdę myślisz, że się z nią drażniłam?

– Ale skąd, psze pani.

Rozeźlonym głosem powiedziała:

– No dobra, czyli wróciłeś do sklepu.

Opowiedział jej, jak znalazł się sam pośród strasznego pobojuwiska po stypie pana Jonesa. Kości, rozsypane fasolki, na porzuconych talerzach kałuże sosów, układające się w tłuszczowo-pomidorowe zestawy Mandelbrota. Stos niedojedzonych tortilli, obrzmiałych i podwiniętych jak strony doszczętnie przemoczonej książki. A Cochise Jones martwy na wieki, już teraz oficjalnie. I to poczucie, które dopadało Nata zawsze, gdy umierał ktoś ukochany: że nad wszystkim, nad samym życiem, zbiera się cień. Częściowe zaciemnienie, jakby ktoś przygasił żarówkę świata. Nat przypomniał sobie, jak parę lat wcześniej zabrał Juliego do muzeum Isabelli Gardner w Bostonie i widzieli tam jaśniejący na ścianie pokrytej patyną czasu prostokąt tapety po skradzionym Rembrandcie, idealny portret tego, co przycupnęło na stołku, gdzie zwykł siadać pan Jones, czyli pustki samej w sobie. Puste puszki, puste butelki, pusty sklep, pusta noc, puste życie Nata, bezowocne, bezsensowne.

– Czyli że Nata Jaffe lepiej nie zostawiać samego – podsumowała Gwen.

– Kyrwaa – Nat próbował załatwić sprawę beztroską – ja zawsze jestem sam.

– Dobry wieczór, już za chwilę kolejny pasjonujący odcinek *Królowej egzystencjalnego patosu!*

– Sam się urodziłem, sam umrę.

Nat dotrzymał umowy o tyle, że wyznał, co mu na sercu leżało, utajniając jedynie kluczowy projekt, jaki zamierzał dokończyć w ciągu dni, jakie jeszcze mu na tym padole zostały. Streścić by go można następująco: „Narobię masę głupstw, nic nikomu nie mówiąc, i to raz po raz, bo się nie umiem, kurwa, powstrzymać”.

– Okej, styka – powiedziała Gwen. – Wyluzuj, wielkoludzie.

Na zdezelowanym szyldzie sklepu Steele's Scuba widmowy nurek zgłębiał podmorskie tajemnice Telegraph Avenue. Gwen zwolniła, gdy jadący przed nimi autobus ukląkł niczym wołek przed dzieciątkiem Jezus, żeby zabrać (chyba to był on? tak!) tego faceta, co wyglądał jak Stephen Hawking. Nat przyglądał się biedakowi, który cierpliwie i uparcie, centymetr po centymetrze, ładował się z wózkiem na autobusowy podnośnik. Ten to dopiero był sam. Ale się nie dawał, wszędzie go było pełno. To była właściwie głowa stercząca z mięsistej łodygi, utkwionej w gokarcie i opiętej pasami, ale chujek wybrałby się i na Trytona, gdyby dało się tam dojechać autobusem AC Transit. Nat może i powstydziłby się tego, że tak się teraz nad sobą użala, tylko że użalający się nad sobą nie znają wstydu. Odwrócił głowę, spojrział w lewo, w prawo, a potem, przełknąwszy trącającego lękiem kaca, uniósł wzrok ku niebu. Z obawą, że lada chwila zobaczy nad sobą dowód głupstw narobionych zeszłej nocy, mającący mściwie na horyzoncie niczym Kolczasty Norman ze starego skeczu Monty Pythona.

– Niech ci będzie – powiedział Nat. – To mam mówić czy jak?

– Czekał, zgadnę. Zacząłeś pić.

– Znalazłem sześciopak ciepłej corony. Jakimś cudem się ostał.

Nat otworzył wtedy pierwsze piwo, a znalazłszy plasterek cytryny, wepchnął go przez otwór puszek. Zrzucił z odświętnego stołka zdjęcie pana Jonesa, znajdując w tym bluźnierczym akcie pewną satysfakcję. Rozsiadł się na obranym wiele lat temu przez

staruszka miejscu, być może starając się rozproszyć pustkę, która się tam skupiła, postanowiwszy, że poczeka na Archy'ego, który żył we własnej strefie Czasu Kolorowych, na swym małym Guamie spóźnialstwa. Tymczasem obali się browara i na swój egzystencjalno-patetyczny sposób poduma nad tym, jak wyjść z tej sytuacji albo chociaż ją obejść. Potem, a jakże, trochę się ogarnie ten chlew.

Czwarta corona: Archy się nie zjawił, nie zadzwonił, w sklepie nie było ani odrobinę czystiej, a Nat darował sobie plasterki cytryny. Problem był wciąż ten sam: jak wyjść z sytuacji albo ją obejść, lecz prawdę mówiąc, sama sytuacja nie wydawała się już Natowi aż tak bardzo złożona. Niegospodarność i nieostrożność, z jaką prowadzili z Archym interesy, kompletnie nie mając do tego głowy; traktowanie odpowiedzialności za wszelkie sprawy, które należało załatwić w związku z Brokeland Records (a nawet życia, wspólnego i osobnego), jako długotrwałej, może nawet ustawicznej gry w cykora, gdzie każdy czeka, aż ten drugi mrugnie i się podda; rozwój cyfrowej dystrybucji muzyki; niskie dochody, które uzyskiwali dzięki przelotnej załodze tropiących okazje akademikowych DJ-ów i ziomali od mixtape'ów, bo to z takich w większości składała się klientela Brokeland Records, podczas gdy dziani kolekcjonerzy zdarzali się znacznie rzadziej; załamanie się rynku japońskiego i rynków zagranicznych w ogóle, nie mówiąc o wyraźnym niezadowoleniu Archy'ego z modelu ich spółki oraz błyskawicznym zakwicie finansowej paniki, lęku żywiciela rodziny na tafli spokojnego zazwyczaj stawiku, jakim była dusza Archy'ego: cztery corony wypłukały z myśli Nata wszystkie pośrednie i bezpośrednie przyczyny nieuchronnej katastrofy Brokeland Records, zostawiając tylko czarny jak pleśń osad wściekłości na Gibsona Goode'a. Do produkcji kozłów ofiarnych alkohol nadawał się tak samo dobrze jak błoto do lepienia golemów.

Kiedy skończyło się piwo, Nat poszperał wśród niedopitków na składanych stołach i pod nimi, by natknąć się wreszcie na śliwkową palinkę, przytarganą przez Bóg wie kogo. We flasce została jedna czwarta zawartości. Nat wlał trochę do jednorazowego kubka z grubego plastiku i walnął dwie, może trzy szybkie kolejki. Taka śliwowica to kordiał na zgryzoty, brandy żałobnika. Nat pamiętał

swojego świeżo owdowiałego ojca, pierwszego Juliusa, po pogrzebie pierwszej małżonki, jak zagubiony w tłumie bezradnych wujków w czyjejs kuchni łapał powietrze, gdy pałaca śliwowica spływała mu do żołądka.

Wdrapawszy się z kubkiem wypalanki z powrotem na stołek pana Jonesa, Nat włączył *A Love Supreme*. I jak można się było spodziewać, to go rozwaliło. Jasne, były tu pasaże majestatycznego liryzmu i takie, w których ucieleśniał się nowoczesny mariaż ambicji z prymitywizmem, i jeszcze jakiś groove nad wszystkie groove'y, funk nad wszelki funk – no jasne, pomyślane to było jako swego rodzaju kadysz, sławiący, na przekór niezliczonym udrękom, Stwórcę, któremu Jego wspaniałe stworzenie, John Coltrane, składa dzięki; ale Nat zawsze miał wrażenie, że tę muzykę (tak jak Nata) napędza tajona furia. Najpewniej była to projekcja uczuć, które on sam żywił wobec swego własnego popierdalonego Stwórcy, jakiegoś mikrego, dalekiego kuzyna owej Doskonałej Istoty, która ulepiła Johna Williama Coltrane'a. Ale gdy tak słuchał strony A z jej wściekłymi powtórzeniami, gdzie saksofon raz za razem odbija się od niewidzialnej bariery jak pszczoła od szyby, gdy chce wlecieć do środka albo uciec na zewnątrz, Nat czuł, że jego niskoczęstotliwościowa wściekłość na tego, kurwa, Gibsona Goode'a i ten jego cały, kurwa, Dogpile Thang gwałtownie zwyczajuje. Igła dopełzła do zamkniętego rowka, a on musiał się wyszczać i właśnie wtedy, o ile go pamięć nie myliła, postanowił, że dobrym pomysłem będzie obyć się bez zwyczajnej przyjemności szczania do własnego kibla, w łazience za zasłoną wymalowaną w wytrzeszczonego Milesa Davisa. Postanowił, że zamiast tego przejdzie się na teren przyszłego Dogpile Thang i naszcza tam.

– Ustawili tam taki znak – opowiadał. – Widziałaś go, Gwen? Wielki, czarno-czerwony. Odcisk łapy, „Tu powstaje dla was...” itede.

– I ty ten znak obsikałeś.

– Pomyślałem, że to mi dobrze zrobi.

– I jak?

– No wiesz, to zawsze jest miłe. Ale chodzi ci, czy podniosło mnie na duchu...?

– Ktoś cię zobaczył, jak tam sikasz?

- O. - Nat uczeplił się tej ewentualności. - Myślisz, że to dlatego?
- Że co dlatego?
- Że dlatego chce ze mną gadać policja?
- A zrobiłeś jeszcze coś?
- To całe... - Nat postanowił przejąć słowo użyte przez Gwen, bo brzmiało tak niewinnie i nieszkodliwie, znacznie lepiej niż „szczanie” - ...sikanie, sam nie wiem. Trochę byłem naprany. Ale nie na tyle, żeby się oszukiwać, że obsikiwanie jakiegoś znaku nie jest trochę słabe.
- Trochę?
- Właściwie poczułem się jak jeszcze większy ciul. I wtedy pomyślałem, że muszę pojechać na lotnisko.
- Po pijaku.
- Och, nie bądźmy tacy drobiazgowi.
- Czemu wszyscy nagle planują jakieś wyjazdy? - dopytywała się Gwen. - I dokąd się wybierałeś? Do Belize?
- Planują wyjazdy? Znasz mnie w ogóle?
- No dobra, faktycznie.
- Chciałem się tylko przyjrzeć temu kurewskiemu zeppelinowi.
- Po co? Żeby go obsikać?
- Naszczać na zeppelin - wyszeptał Nat, gorzko żałując zaprzepaszczonej okazji. - Że też na to nie wpadłem.

Radio miał wyłączone, rozumując logicznie na własny użytek, że skoro muzyka odbiera mu część nadwreżonej uwagi, to cisza ją wzmocni. Był gdzieś poza czasem, poza przestrzenią, podróżując przez podświetloną stroboskopami hiperprzestrzeń piwa i śliwowicy; gdzieś pod nim dudniła tylko ćwierćnutami międzystanówka 880. Jak przez mgłę kojarzyły mu się czyjeś słowa, że wczesnym rankiem widziano sterowiec przycumowany nieopodal Hegenberger Road. O ile to bydlę, połyskliwe i rozdęte do groteskowych rozmiarów niczym ego Gibsona Goode’a, nie wróciło jeszcze do bazy na południu Kalifornii, Nat mógł je odszukać. Niechby było wielkie, błyszczące, niechby zapierało dech w piersiach. Nat był na to

przygotowany, może nawet na to liczył. Niech przynajmniej raz jego porażka otrze się o coś wspaniałego.

Saab wciąż od nowa wyrysowywał jałowy szyfr zapisany w mroku przez drogi lotniska, nazwane na cześć bohaterskich pilotów. Ciszę w aucie wypełniało coraz szczelniej mruczenie Nata, gdy ciekawość zeppelinu, będąca na wpół zgrywą, a na wpół wkurwem, nabrzmiewała w ciemnościach, rozkwitając w autentyczne pragnienie: w wyobraźni Nata sterowiec, niczym wieloryb dla Ahaba, ucieleśniał winę za wszystko, co było nie tak z tym światem. I mniej więcej wówczas, gdy do Nata zaczęło docierać, że jest pijany, że się pogubił i nigdy tego dziadostwa nie znajdzie, a pewnie zdążył już zwrócić na siebie uwagę dronów Departamentu Bezpieczeństwa wyposażonych w kamery termowizyjne, mniej więcej wtedy, gdy zdał sobie sprawę, że z jakiegoś powodu mruczy pod nosem progresję akordów z *Loving You*, wzdrygnął się: w pomarańczowym horyzoncie San Francisco ziała dziura w kształcie zeppelinu.

Co działo się później? Musiał gwałtownie skrócić. Ktoś zarzucił na auto wielką, świetlistą sieć. Potem (wszystko w ciągu tych trzech czy czterech sekund, gdy przebił się przez druciane ogrodzenie) doszło go wiele intrygujących dźwięków. Biły dzwony. Ziemię skrobały żelazne zębiska. Brzdęk, grzmot, szurgot, trzask. I wreszcie huk wystrzału, gdy ten sam dowcipniś, który złowił samochód w ogromną stalową sieć, postanowił, że przezabawnie będzie dać Natowi po pysku poduszką powietrzną.

Potem luka w archiwum. Nat pamiętał słony smak w gardle, rozgrzaną nawierzchnię pod skarpetkami, gasnący syk chłodnicy saaba i świadomość, niestety wciąż jeszcze nie do końca trzeźwą, że oto przytrafił mu się cud. Był przecież cały i zdrowy. I Bóg wyzwolił wreszcie Ahaba od samotniczej pogoni. Nat stał trzydzieści metrów od bestii unoszącej się nad swym nocnym pastwiskiem. Nie potrafił sobie tylko przypomnieć, gdzie podział buty.

Ruszając ku bestii przez połąć asfaltu, Nat wzbudził jakiś czujnik. W kręgu usianych reflektorami słupków sterowiec zapłonął jak neon. Nat skrył się na powrót w cieniu, by tam czekać na rozwój wydarzeń. Ford bronco, z którego wysypie się zgraja strażników? Uzbrojony w lasery wartownik android? Stary samotny stróż

o imieniu Pete albo ksywce Whitey, który zerwie się z fotela, prawie dostawszy zawału, upuszczając na podłogę najnowszy numer „Field & Stream”?

Nic. Choć większość światła ze słupków marnowała się na zbiornik z gazem, czy jak to się tam nazywa w zeppelinach (przez szczelinę pamięci wśliznęło się słowo „komora”), Natowi wydało się, że po przeciwnej stronie asfaltowego pola dostrzega kilka niewielkich budynków. Może Gibson Goode nocował wraz z orszakiem w lśniącej plastikowej gondoli? Nietrudno było sobie wyobrazić, że ktoś z załogi poczuje się w obowiązku wyskoczyć ze spluwą i wypalić parę razy do intruza. Nat zastanawiał się, czy powinien czuć strach. Lecz w oknach gondoli nie zapaliło się światło.

Zeppelin unosił się nad ziemią, przywiązany za nos do stalowego masztu wyrastającego z szerokiej naczepy tira, który przy sterowcu wydawał się mały, choć tak naprawdę musiał być olbrzymi. Sam zeppelin trwał w całkowitym bezruchu, jak gdyby nasłuchiwał kroków Nata. Bryza od zatoki najwyraźniej była mu obojętna. Mimo to wydawał z siebie miarowy pomruk, jak gdyby miał za chwilę z impetem ruszyć. Teraz już kojarzył się Natowi nie z wielorybem, tylko z dogiem niemieckim albo z koniem czystej krwi. Ze zwierzęciem doskonale umięśnionym, charakternym, a przecież uroczym.

– Biedactwo – powiedział do zeppelinu.

Opuścił cieniste schronienie i podszedł do ciężarówki; na atrapie widniał ułożony z chromowanych liter doniosły napis „M • A • N”. Maszt miał konstrukcję teleskopu, jak podnośnik koszowy, tyle że bez zgięcia. Nat słyszał dobiegające ze środka masztu dźwięczenie, gwizd bryzy w przytrzymującym zeppelin odciążu. Do sterowca można się było dostać po umieszczonych z tyłu ciężarówki trzech stalowych stopniach. W ten sposób docierało się na naczepę, następnie, okrążywszy podstawę masztu, po wbitych w jego dolną część metalowych prętach przypominających stopnie z boku słupa telefonicznego, aż do wąskiej stalowej drabinki prowadzącej już na samą górę.

To właśnie tu nieprzemijające odurzenie Nata, wzmocnione być może kapką szoku powypadkowego, starło się z pragnieniem, by

uwolnić szlachetny aerostat z uwięzi. Nat przylgnął na chwilę do zimnego szczebla drabinki na samym szczycie masztu. Wyciągnął rękę, rozcapierzając palce jak mężczyzna, który chce sprawdzić, czy dziecko w brzuchu kobiety kopie. Na ułamek sekundy przed dotknięciem chłodnej powierzchni przypomniało mu się, że niesławny „Hindenburg” spłonął najprawdopodobniej od iskry elektrostatycznej. Ale tu nie było żadnej iskry, pod dłonią czuł tylko napięte brzuszysko sterowca. Strasznie żałował, że nie ma siekiery, nożyc, palnika, żeby przeciąć albo przepalić linę. I wtedy zauważył ciężką dźwignię na trzonie masztu, zaraz obok filiery, z której wychodziła lina, całkiem użytecznie oznakowana jako ZWOLNIENIE AWARYJNE. Odbezpieczył zatrask, stopami w samych skarpetkach zaparł się o pionowe poręcze drabinki i z całej siły szarpnął dźwignię, mocując się oburącz z jej gumowym uchwytem. Dźwignia wysunęła się do przodu, a potem zjechała i z gwizdem stali trącej o stal lina chlasnęła o maszt; odciąg majtał się teraz, zwisając z wielkiego karabinka, którym przypięty był do nosa sterowca.

– No, dawaj, Arch – powiedział Nat, być może rozumiejąc już, skąd w nim naraz tyle tkliwości wobec zeppelinina. – Leć na wolność.

Zeppelin pogardził jego wyzwolicielskim gestem. Wciąż wisiał, dryfując leciuteńko na tej samej wysokości.

– Balast – domyślił się Nat. – No jasne.

Zlazł po maszcie, zeskoczył na ziemię i ruszył na niespieszny obchód gondoli, szukając czegoś, czego można by się pozbyć, systemu ciężarków, może worków z piaskiem jak w *Czarnoksiężniku z Oz*. Niczego takiego nie znalazł. Czując nagłe zmęczenie, usiadł na ziemi i podniósł wzrok ku spodowi gondoli. Wystawały z niego dwa okrągłe, zaplombowane hydranty. Jeśli wierzyć skromnym czerwonym wersalikom, były to ZAWORY ZBIORNIKÓW BALASTOWYCH. Nat wyciągnął rękę, wspiał się na palce i schwycił jedną z plomb. Udało mu się złapać równowagę na tyle, żeby poluzować nakrętkę, która natychmiast wyleciała mu z rąk. Lało mu się na łeb coś zimnego i nieubłaganego, a dokładniej – blisko czterysta litrów wody. Wstrząs natychmiast go otrzeźwił, na tyle skutecznie, by skąpać go w równie wielkiej, a może nawet jeszcze większej ilości lodowatej, bezspornej skruchy w związku

z popełnionym właśnie czynem. Tymczasem zeppelin lekko, z nieprzyzwoitą wręcz gracją, wzbił się w jasne nocne niebo.

– A jak dotarłeś do domu?

– Piechotą. Potem napatoczyła się taksa.

– Auto tak po prostu tam zostawiłeś?

– Dopiero teraz widzę, że to nie było rozsądne.

– Czyli tak cię namierzyli. Po numerach.

– Niewątpliwie.

– Nat, naprawdę...

– Wiem, wiem.

– *Ukradłeś* ten cholerny sterowiec.

– Uwolniłem – zaproponowałem, doskonale rozumiejąc, że słowo to jeszcze nigdy nie brzmiało tak marnie.

– To gdzie on teraz jest?

Nat od rana bał się, że wyglądając przez okno domu albo auta Gwen, kątem oka dostrzeże zeppelina, ale teraz zdał sobie sprawę, że to przeświadczenie było nie tylko całkowicie błędne, ale i megalomańskie. Czemu miałby go śledzić jakiś bezmyślny twór pozostający na łasce grawitacji i wiatru?

– Gdzieś na niebie? – zasugerował.

– Lepiej, żeby tak było! Pozwól, że o coś cię spytam. Jak zadzwonili z policji, czemu się od razu nie przyznałeś?

– Panika? Wstyd?

– Nat, przecież to mogło walnąć w Transamerica Pyramid albo w Bay Bridge!

Nat zastanawiał się w duchu, czy wielki i rozpoznawalny obiekt mógł być dla katastrofy bardziej atrakcyjny niż, powiedzmy, ferma drobiu albo supermarket.

– A może... – powiedział tęsknie – ...może po prostu będzie cały czas leciał w górę. W kosmos.

Znajdowali się o parę przecznic na północ od bulwaru MacArthur, po lewej już było widać restaurację Merkata. Pseudoszachulce, stiuk

i kryty strzechą betonowy dach ostały się z czasów, gdy (trzy albo cztery gastronomie temu) była tu frytkarnia.

– Gdybyś mogła się tu zatrzymać – powiedział, z ulgą zmieniając temat. – To pójdę ich zgarnąć.

– Już idą.

– O nie. Co znowu?

Chłopcy wyszli z Merkaty, powłócząc nogami niczym więźniowie przykuci za kostki do jednego łańcucha. Tony Curtis i Sidney Poitier, bracia w nieszczęściu. Coś im leżało na sercu: brzemię niewoli, tajny plan ucieczki. Julie jakoś zaciekle, całą dłoń, przyciskał do piersi swój przenośny ośmiościeżkowiec. Na widok ich potulnych, zgębionych min Nat wysiadł z samochodu, zastanawiając się, czy nie powinien odegrać wkurzonego taty. O ile w ogóle miał do tego siłę, a co dopiero, wzięwszy pod uwagę wydarzenia ostatniej nocy, moralne podstawy.

– Juliusie Lawrensie Jaffe, coś ty znów narobił?

Szok: syn sam popłynął w jego objęcia. Kościste ramiona, miękkie, rzadkie włosy tuż przy policzku Nata, łzy na gorsie ojcowskiej koszuli. Nat był wstrząśnięty.

– Tato, popsulem magnetofon – wyznał Julie.

Niepocieszony. Objąwszy Nata, zwiśł bezwładnie jak drewniana laleczka po zwolnieniu ukrytego guzika.

– Już dobrze, stary – powiedział Nat. Bez względu na całą samotność i złość, całą głupotę i wstyd, cały ból po utracie współnika, sklepu i wizji, jaką zawsze (dokładnie jak w laudacji Archy’ego) był dla niego Brokeland Records, nawet jeśli wydano nakaz aresztowania go pod zarzutem kradzieży sterowca, który rozwalił już Bay Bridge albo i, kto wie, Sfinksa i Krzywą Wieżę w Pizie, a Nat miał to wszystko na sumieniu, w tej konkretnej chwili, gdy znów trzymał w objęciach szlochającego synka, naprawdę czuł, że jest okej. Bo oto robił coś użytecznego, być może jedyną użyteczną rzecz, jaką jeszcze potrafił. – Chodź, jedziemy do domu.

Julius skinął głową, podniósł wzrok.

– Titus też?

– Jasne, czemu nie. Titus, wszystko w porządku? Jezu, jak ty wyglądasz! Co ci się stało?

Titus miał krew na twarzy i na kołnierzu koszuli, której przód poplamiony był jeszcze czymś innym. W jego wybałuszonych, lśniących oczach już się szklilo i z tęskną miną patrzył, jak Julius mięknie w ramionach Nata. Stał tam zakrwawiony i nie miał się do kogo przytulić. Patrząc na niego, Nat uczuł wstyd. Otworzył ramiona szerzej, żeby i Titus mógł się w nich zmieścić.

Titus potrząsnął głową, zde gustowany; wróciła mu rezerwa. Zrobił w tył zwrot i puścił się biegiem.

– Titus! – zawołał za nim Julie. – Tato, zrób coś! Titus!

Julie zaczął się wyrывać, ale Nat trzymał go mocno. Po krótkiej szamotaninie Julie dał za wygraną, po czym zwrócił się o pomoc do Gwen, która siedziała w aucie, śledząc całą scenę.

– Musimy po niego jechać – powiedział Julie. – Gwen, jedźmy.

– Naprawdę mi się nie wydaje, żeby chciał być teraz z nami – odparła Gwen. – Za to ja mam tutaj coś do załatwienia.

W menu nie mieli suffu, ale dało się z nimi dogadać, więc przeczekawszy krótką krzątaninę przy mikserze, Gwen mogła wreszcie ukoić swój nietypowy ból. Ujęła w dłoń wysoki plastikowy kubek wypełniony (o ile Nat dobrze zrozumiał) chudym beżowym mlekiem z prażonych nasion słonecznika, uniosła do ust i przechyliła. W słodkiej euforii na jej twarzy, w orgazmicznym trzepocie powiek było coś intymnego, podniecającego.

– O taaak, kochanie – wyszeptwała.

Entuzjazmu dla podejrzanej mikstury nie podzielał jednak żołądek Gwen.

– Przepraszam – wybąkała. Pięknymi smukłymi palcami zakryła usta, rozwarła szeroko oczy, znów je zamknęła i puściła się pędem do wyjścia. Na chodniku torsje zgięły ją wpół, a towarzyszył temu odgłos, który Nat później daremnie próbował zapomnieć, coś w rodzaju powtarzanego wciąż od nowa robociego ryku. Nat, ten ateista, modlił się, żeby to się już skończyło. Jakby jej żołądek chciał sam się rozszarpać na strzępy. Kiedy wróciła, jej policzki i czoło lśniły od potu.

– O ja cię – powiedziała. Wciągnęła powietrze, przełknęła, znów wzięła oddech. Gdy otworzyła oczy, Julie podał jej chusteczkę, którą Gwen wytarła usta w sposób nadzwyczaj wytworny. – Dziękuję ci, skarbie.

Stała bez ruchu, zachmurzona, jak gdyby czegoś nasłuchiwała, sprawdzała ząb czubkiem języka albo próbowała sobie przypomnieć, czy na pewno zgasła wszystkie palniki na kuchence. I wtedy Nat poczuł zapach, który skojarzył mu się gwałtownie z piwnicą Cochise'a Jonesa. Delikatny serowy powiew zgnilizny. Po czarnych legginsach Gwen pociekło coś jeszcze ciemniejszego.

– Zaraz wracam – oznajmiła z mrozącą krew w żyłach wesołością.

Do łazienki szła wolno, człapiąc jeszcze bardziej niż dotąd, bo musiała szeroko rozstawiać nogi. Przebytą drogę znaczyły kałuże. Z łazienki wyszła już bez legginsów, które najwyraźniej trafiły do śmieci. Na widok jej gołych nóg wyłaniających się spod jednej z koszul Archy'ego Nat przeżył szok. Gwen wyglądała naprawdę krucho, a on zrozumiał, że niezależnie od tego, jak się wszystko potoczy, czeka ją długa, samotna wędrówka. Samotności tego kalibru nie potrafiłaby sobie wyobrazić nawet taka królowa egzystencjalnego patosu jak Nat.

– Musisz mnie zawieźć do szpitala – oświadczyła Gwen.

Teraz, bez Valletty, będącej już poza zasięgiem rentgenów, nadajników satelitarnych i jego nienasyconego głodu publiczności, stary Luther stracił nieco rezon. Wiercił się na sofie, jak gdyby była czymś usmarowana albo podpięta do prądu, i starannie unikał wzroku Archy'ego. Unosił brwi, ruszał ustami, na pewno kazał Flowersowi iść w chuj, ale niczego nie mówił na głos. W jego głowie toczył się jakiś wielki spór. Starcie nożowników, debata telewizyjna, walka sumo.

– Twój ojciec... – zaczął Flowers. Umilkł, ustawiając słowa w szereg, by kolejno demonstrowały umiejętności. – Twój *tata* od jakiegoś czasu próbuje mnie szantażować – kontynuował, trzymając się lekkiego tonu, jakby był tym wszystkim rozbawiony. – Pewnym

faktem sprzed wielu lat, który nawet wtedy nikogo nie obchodził, a dotyczy kogoś, kogo nikt już dziś nie pamięta. Twój tata chowa się po różnych norach. Wysyła mi ordynarne wiadomości. Rozpowiada rzeczy skandaliczne i kłamliwe.

– Skandaliczne to i może – odparł Luther. Pokręcił głową z zaczątkami drugiego podbródka, starając się udawanemu rozbawieniu kolegi z młodych lat przeciwstawić pozę równie nieprzekonującej moralnej surowości. – Na pewno nie kłamliwe.

– Nie twierdzą oczywiście, że takie zagrywki mnie nie dotyczą – ciągnął Flowers, ignorując Luthera i zwracając się bezpośrednio do rzekomego mediatora, który od dobrych pięciu minut gorzko żałował, że dał się wrobić w ten cały gnój, choć zdawał sobie sprawę, że w ostatecznym rozrachunku decyzja o nieingerencji miałyby równie męczące skutki. – Zważywszy jednak na charakter tego oskarżenia, nie uznałem, jak dotąd, za stosowne prosić o pomoc w wyjaśnieniu sytuacji moich dobrych przyjaciół z Departamentu Policji w Oakland.

– Mam nadzieję, że jednak to zrobisz – powiedział Luther. – Z wielką przyjemnością im o tobie poopowiadam. – Rozejrzał się, czy ktoś nie przybije mu piątki, nie stuknie z nim żółwika, ale musiał chyba uznać, że trafiła mu się trudna publiczność.

– Umówmy się, że on powie, co ma do powiedzenia... – zaproponował Archy'emu Flowers, jak gdyby mówił przez tłumacza – ...ale dopiero po tym, jak ja skończę.

– Zamknij, kurwa, japę – rozkazał Archy Lutherowi.

Luther wzruszył ramionami, zakrył wielkim łapskiem usta niczym Black Bolt powstrzymujący śmiercionośną sylabę, po czym rozsiadł się jeszcze swobodniej na sofie.

– Nie powiem, żebym nie miał na głowie paru innych ważnych spraw – ciągnął Flowers. – Ale starałem się wykurzyć tego faceta z jego obecnej nory, żeby go tu przyprowadzić, usadzić i zmusić, żeby przynajmniej patrzył mi w oczy, kiedy będzie próbował mnie oskubać.

– No to jestem – oświadczył Luther, zbierając się w sobie i wysuwając podbródek, jak gdyby znalazł się tu z własnej inicjatywy, bo taki już z niego szlachetny osobnik, w samotności kroczący ścieżką prawdy i honoru. Choć w rzeczywistości

wygrzebano go jak robaka na ostrzu łopaty. – I w ogóle ci nie grozę, Chan. Co ja żem takiego powiedział, wielkie mi tam wiadomości, poza tym, że, no, w skrócie, że jeśli nie chcesz pomóc kumplowi, z którym żeś się bujał od nie wiem jak dawna, facetowi, który się tak naharował, żeby się ogarnąć i stanąć na nogi, to co z ciebie za człowiek? Czyli w sumie to samo – tu zwrócił się do Archy’ego – co i tobie chciałem przekazać.

– Tjaa, dobra – odparł Archy. – Przekazuj zdrów, i tak za każdym razem przybiję, kurwa, „zwrócić do nadawcy”. – Dalej mówił już do Flowersa. – Chodzi o tego kolesia, którego kropnęli w latach siedemdziesiątych? Zgadza się? W tym barze Czarnych Panter, jak to tam... Kapka Miodu?

– Facet nazywał się Popcorn Hughes – powiedział Flowers. – Gangster, alfons z East Oakland, beznadziejny, chytry przygłup. Spotkało go dokładnie to, na co zasługiwał, tyle tylko że rok, może dwa przed czasem.

– I to dzięki panu tak się pospieszył.

– Nie miałem żadnego powodu, żeby człowieka tknąć – powiedział ostrożnie Flowers.

– Chan próbował się przebić – wciął się Luther. – Stworzyć legendę. Zrobić wrażenie na Hueyu Newtonie. Bo widzisz, jak Huey chciał, żeby kogoś sprzątnęli, to wystarczyło, żeby powiedział, że sobie tego życzy. Byle głośno i wyraźnie. Jak Peter O’Toole w tym filmie, gdzie to było? – Układając rysy w grymas królewskiego gniewu, zaprezentował całkiem niezłego O’Toole’a: – „Czy nikt nie uwolni mnie od tego kłopotliwego kapłana?”. A Pan Chan stał obok i tylko czekał, żeby zrobić, co sobie stary Huey zażyczy.

Z twarzy Chandlera Flowersa niełatwo było cokolwiek wyczytać. Już dawno, przed laty, uformował jej rysy z tą samą starannością, z jaką dopiero co splótł martwe palce Cochise’a. Gdy opowiadało mu się dowcip albo smutną historię, uśmiechał się, jak wypadało, albo przechylał z ubolewaniem głowę: umiarkowana wesołość, współczucie na zawołanie. Na tej twarzy, nieodgadnionej jak pięść, Archy jeszcze nigdy nie widział niczego, co przypominałoby obecny grymas. Niewykluczone, że było to cierpienie albo żal. Być może tylko melancholia. Jego oczy, niczym ciemne tunele, wiodły w głąb przeszłości.

– Stworzyć legendę – powtórzył niemal czule. – Coś takiego rzeczywiście mógłbym wtedy powiedzieć. Z tym akurat się zgodzę.

– Byłeś gotowy zrobić wszystko, żeby nie skończyć tu, gdzie jesteś dziś. Wszystko, co nie byłoby tym, o. – Luther otworzył kompas prawej ręki, by zwrócić ich uwagę na fakt, że znaleźli się na przecięciu kilku stref ironii. – Wszystko, tylko nie to, czego chciał dla ciebie Chandler Drugi. Czyli byłeś gotowy iść na studia. Chodzić z białymi dziewczynami. Zaciągnąć się na okręt jako marynarz. Wstąpić do Czarnych Panter.

Flowers lekko zmrużył oczy, z przyjemnością wspominając wysiłek, jaki wkładał w zgorzenie ojca. Jego śmiech przypominał kropelki spadające na rozgrzaną patelnię; tak śmiał się też jego siostrzeniec Walter.

– To prawda – przyznał. – Tak było.

– Robiłeś, co mogłeś, żeby stary dostał padaczki – powiedział Luther, zachowując poważną minę, lecz bokami, jak światło wokół zamkniętych drzwi, przeciekał śmiech. – Albo zawału.

– Istotnie, dokładałem wszelkich starań – odparł Flowers.

– Plamisz dobre imię rodziny! – Luther najwyraźniej odkurzył starą płytę z drętwym, dętym głosem jakiegoś dawno nieżyjącego czarnego zgreda. – Chandlerze Bankwellu Flowersie, plamisz dobre imię rodziny!

– Plamisz dobre imię... Mój Boże, zupełnie zapomniałem, że on tak...

– Dziwię się, że nie poszedłeś w pedalstwo – powiedział Luther. – To by raz-dwa załatwiło sprawę.

Cisza, która zapadła po tym stwierdzeniu, trwająca zaledwie nanosekundę, była wymowna.

– Hm – powiedział Archy, czując, że płoną mu policzki, lecz twarz Flowersa już znów była opanowana niczym dłonie nieboszczyka. – Czyli co, obaj byliście w Czarnych Panterach czy...?

– Nie, to on – odparł Luther. – Ja się w to gówna nie mieszałem. Tylko go woziłem.

– Aha, no jasne. Ty się przecież w żadne gówna nie mieszasz – powiedział Archy. – Ty i gówna, gdzieżby! Zero związku.

– To wszystko dawne czasy – oświadczył Flowers, a w jego głosie pobrzmiwał nosowy burżujski ton, jakim Luther naśladował przed

chwilą Chandlera Drugiego. Archy zdał sobie teraz sprawę, że Flowers zawsze tak mówił. – Było, minęło.

– Taa? – Luther droczył się, mimo wszystko czerpiąc chyba jakąś radość z towarzystwa starego kumpla. – To co żeś ciągle taki zmartwiony?

Odchylając się niedbale do tyłu i splatając dłonie na wypukłości brzucha, co dało w efekcie pozę osobliwie podobną do tej, w jakiej układał swych nieboszczyków, Flowers powiedział:

– Ja? Wcale nie jestem zmartwiony, Luther.

– To czemu żeś się w sprawie Dogpile rozmyślił? I to tak nagle. Ledwo zdążyłem pójść z wizytą do Gibsona Goode'a i poradzić mu, żeby cię spytał, co się stało z Popcornem, i już. O co chodzi z tym Dogpile?

– Tego to ja też bym się chciał dowiedzieć – dodał Archy.

Na usta Flowersa wypłynął ów nieodgadniony uśmiech wykuty w ogniu setek posiedzeń Komisji Planowania w sali obrad numer 1, gdzie co chwila ktoś się podnosił, by zadawać pytania bez odpowiedzi, żądać rzeczy niemożliwych i wylewać żale nie do ukojenia.

– Podałem ci swoje powody, kiedy ostatnio rozmawialiśmy, Archy. Dotarło do mnie, że bez względu na moją osobistą miłość do waszego cudnego sklepu i na moją lojalność, nie mówiąc o całej historii, która się z nim wiąże, która jest historią czarnych, historią Oakland, historią tej okolicy, ale i moją własną historią, sprzeciwić się panu Goode'owi byłoby z mojej strony egoizmem. Ten Dogpile Thang to szansa dla całej społeczności. Teraz. Dzisiaj. W tej chwili. A do tego, i mówię wam teraz szczerze, jest to szansa dla paru osób bardzo mi bliskich, takich jak najmłodszy syn mojej siostry Candidy, Walter, w całej jego nędzy. No i, jeśli się nie mylę, szansa dla kogoś takiego jak ty.

– Teraz to już zdrowo kituje – powiedział Luther do Archy'ego. – Chan, wiedziałeś, że ten cały syf z Popcornem kiedyś do ciebie wróci. Od dnia, kiedy się, kurwa, „ustatkowałeś”, „poszedłeś w ślady”, zacząłeś pompować formaldehyd, żyjesz w strachu, że to wyjdzie. – Znowu zwrócił się do Archy'ego: – Synu, mam na to dowody. DNA. – Odchylił się na oparcie kanapy, z rękami założonymi za głowę, machając kogucimi skrzydłami łokci. – Takie

gówny przetrwa i milion lat. Wsadź pod mikroskop i możesz se, kurwa, sklonować triceratopsa. Któregoś dnia, pokumajcie, zjawi się taki chujek z *Parku Jurajskiego* i sklonuje Chana Flowersa. „Przejażdżka po prehistorycznym Oakland”! Stoi se Chan, co nie, a obok zasuwa jeepem, kurwa, Laura Dern. Chan, przecież ja bym ich pewnie nawet mógł zaprowadzić w te krzory, tam gdzie leży spluwa. Ten mossberg. Zarośnięty w chuj, ale obstawiam, że cały czas jest w lesie.

– W lesie to ty jesteś, Luther – powiedział Flowers. – I włączysz coraz głębiej.

– Czyli co właściwie masz? – spytał Archy.

– Rękawiczkę – odparł Luther. – Chan miał ją na sobie, kiedy kropnął Popcorną Hughesa. Cała jest w krwi Popcorny, od cholery DNA.

– Rękawiczkę – powtórzył Flowers.

– Twojego brata Marcela. Pamiętasz? Taka mała fioletowa rękawiczka od kostiumu, co go miał na sobie, jak...

– Rękawiczkę! – Flowers był szczerze (lub nie do końca szczerze) rozbawiony pomysłem, że drobne akcesorium galanterii męskiej mogłoby wywołać taki lęk, jaki Luther przed chwilą opisał. – Rękawiczkę, która trzydzieści jeden lat przeleżała u jakiegoś ćpuna w kieszeni? No dobrze, założmy, że coś takiego w ogóle istnieje... – Tu Flowers złowił wzrok Archy’ego, szukając sprzymierzeńca w pogardzie. – Założmy nawet, że krew na tej rękawiczce jest moja albo Popcorny Hughesa, albo Jimmy’ego Hoffy. No i właściwie co z tego?

I oto załopotał jasny, niezawodny porzecz: uśmiech Cleona Struttera odkrywającego karty.

– Kopsnij mi po prostu sto tysięcy dolarów – odparł Luther – i nie będziemy musieli sprawdzać.

– Luther, serio? – spytał Archy. – Szantaż?

Widział, że słowo, rzucone ojcu jak kotwiczka wspinaczkowa, zaczepiło się jednym z pazurów. Luther spuścił wzrok ku stopom w pantoflach, po czym spojrział na Archy’ego. Skinął głową. Nie miał z tym problemu.

– Jeśli tak to chcesz nazwać – powiedział.

– To prawda, że jesteś trzeźwy? Nie ćpasz, nie chlasz?

– Już trzynastcie miesięcy, jeden tydzień i pięć dni.

– Po raz pierwszy od, nie wiem, od końca lat osiemdziesiątych?

Luther przyznał, że to najpewniej prawidłowe obliczenie.

– Czyli teraz to jesteś prawdziwy ty. Zgadza się? Luther Stallings, trzeźwy, nie ćpa, nie chla, po prostu ścierwo i szantażysta.

Chorągiew Lutherowego uśmiechu nieco zwiędła, ale zaraz złapała wiatr i znów ją ochoczo łopotać.

– Synu, ja tylko próbuję zrobić film. Pomóc losowi. Wam się to może wydawać niewykonalne, boście cyniczne kutasy, zero własnych marzeń. A ja? Może i jestem sentymentalny. Głupi. Po prostu sądziłem, że mój najlepszy kumpel, z którym znam się najdłużej, mógłby mi pomóc.

Flowers go poprawił:

– *Znowu* pomóc. Archy, on mnie tym domniemanym morderstwem próbuje szantażować od lat. To mu się nie wzięło z trzeźwości.

Archy wychwycił frazę „domniemane morderstwo” i obracał ją teraz jak gładki kamyczek w garści. Przewinał w myślach całą rozmowę, próbując sobie przypomnieć, czy Flowers przyznał się do jakiegoś wykroczenia, czy w ogóle potwierdził, że coś takiego się wydarzyło. Chyba nie.

– *Znowu* mi pomóc, tak – przyznał Luther. – Ale na większą skalę. Bo widzisz – mówił teraz do Archy’ego – po tej nocy, kiedy zginął Popcorn, zostawiłem sobie tę rękawiczkę. Nie wiem czemu. Chyba na pamiątkę, rozumiesz, dzikiej młodości. Parę lat później, kiedy się władowałem w największe szambo, wiem, nie ma się czym chwalić, nawaliłem, zawiodłem wszystkich, ale... no... – Chwilę trwało, nim odnalazł zgubiony wątek. – Zacząłem szukać tej rękawiczki. Pomyślałem, że to może być, jak mówią, towar zamienny. Ale wyglądało, że się gdzieś zapodziała, bo ja się wtedy dużo przeprowadzałem. Znaczą głównie do pierdła i z pierdła, no. Potem żeśmy się znowu spiknęli z Vallettą. Zaraz po moim odwyku. No i okazało się, że ona ją cały czas miała.

– To jak, panie radny? – spytał Archy. – Chce pan tę rękawiczkę od Luthera?

– Może. – Chan Flowers wycisnął z siebie to słowo, jak gdyby kosztowało go to prawdziwe katusze.

– A założmy, że z jakiegoś powodu Luther panu jej nie da. Co pan wtedy zrobi?

Na tę odpowiedź trzeba było czekać dłużej, lecz gdy w końcu nadeszła, zdawała się nie sprawiać Flowersowi nadmiernego bólu.

– Mam więcej do stracenia niż Luther – przyznał.

– Aha, rozumiem – powiedział Archy. – Będzie zagadkowo, ale i strasznie. To co ze mną, skoro już wiem o rękawiczce? Czy ode mnie też ma pan więcej do stracenia?

– Ty mnie na pewno nie będziesz szantażować, Archy. Tyle wiem. To nie leży w twojej naturze. Silny charakter najwyraźniej odziedziczyłeś po matce.

– Nie wciągajmy jej w to, dobra? Cieszę się, że nie dożyła tego żalostnego dnia. – Odczekał chwilę, żeby zobaczyć, czy jego ojciec ośmieli się zakwestionować takie postawienie sprawy, ale Luther zmilczał. – Czyli jak będzie? – spytał Archy. – Jeśli obiecuję, że nic nie powiem, to po prostu załatwi pan Luthera, a mnie nie?

– Zmarłymi zajmuję się codziennie przez okrągły rok – oświadczył Flowers. – Nie zapominaj o tym. Czasy są niepewne, a ja chciałbym zapewnić sobie minimum bezpieczeństwa. Środki nie grają roli.

Archy był ciekaw, gdzie może się teraz znajdować rzeczona rękawiczka. Luther na pewno gdzieś ją zabunkrował, upchał u jakiegoś typu, z którym kiedyś siedzieli. Pewnie w strunowym woreczku przyklejonym taśmą do wewnętrznej ścianki zbiornika w kiblu. Trzeba ją jakoś przechwycić, myślał. Zanieść na policję i niech oni się martwią, co z nią zrobić. Może to nie jest żaden dowód, może nikogo nie obciąża. Z drugiej strony, jeśli jednak okazałaby się dowodem, może oznaczać koniec radnego Flowersa i, co całkiem prawdopodobne, lokalnej inicjatywy Dogpile.

– Jeśli teraz stąd wyjdę – powiedział Archy do Flowersa – zostawiając tego dupka waszej trosce, bo chyba wszyscy wiemy, jak wysokiej klasy usługi tutaj świadczyacie, to, jak rozumiem, zaufa mi pan, że słówkiem nie pisnę.

– Ja ci ufam, Archy. Szanuję cię i wiem, że mogę z twojej strony liczyć na to samo. Jeśli teraz stąd wyjdiesz, osobiście zagwarantuję, że ta rodzinka, co to ci się kroi, będzie miała wszystkiego pod dostatkiem, póki żyję. Idź i o nic się nie martw. Już my się tu z Lutherem dogadamy.

– Czyli na przykład – powiedział Archy – może wsparłby pan Brokeland Records? Bo rozumie pan, kiedy nasz wspólny przyjaciel G Bad nic już na pana nie będzie miał... zakładając, hm, że uda się panu zdobyć tę osławioną rękawiczkę. Więc w zamian za moje milczenie... – wypowiadając te słowa, poczuł, że w piersi zaczyna mu się obracać wirnik, zupełnie jak ten we wzmacniaczu Leslie – ... może mógłby pan, powiedzmy, wycofać poparcie dla Dogpile Thang? I przejść na naszą stronę, moją i Nata? Bo na swój mały, skromny sposób też coś robimy dla lokalnej społeczności.

– Mam lepszy pomysł – podchwycił Flowers. – Wesprę was tak na serio. Jako cichy wspólnik. Spłacę wam ten wasz dług. Zrobię, cokolwiek będzie trzeba, żeby odpędzić wierzycieli.

– Przyznam, że brzmi to bardzo zachęcająco.

– Archy – powiedział Luther. – Synu. Co ty robisz?

– I muszę tylko... Żebym miał jasność. Muszę tylko stąd wyjść. Zostawić was w spokoju, żebyście, jak to było? Się dogadali?

– Tylko tyle – potwierdził Flowers. – Oczywiście musisz pamiętać, że jeśli policja się jednak kiedyś zainteresuje tą starą, nierozwiązaną sprawą, mogą ci postawić zarzut poplecznictwa.

Archy wstał, kiwając głową jak ktoś, kto rozważa sensowną, a nawet kuszącą propozycję. Potem, wyciągając dłoń, trzepnął ojca w tył głowy, jak gdyby usiadła tam szczególnie dokuczliwa, choć ślamazarna mucha końska.

– Oddaj mu tę kurewską rękawiczkę, Luther – powiedział. – I wypierdalaj. Niedobrze mi się robi na wasz widok, nawet sam zapach mi wystarcza. Dwóch, kurwa, starych krętaczy, szantażystów, bandziorów. Daj panu Flowersowi tę rękawiczkę, bo zaraz sam ci ją zabiorę i pójdę z nią na policję.

– Nie mogę – powiedział Luther.

– Bo? Bo chcesz wziąć tę całą forszę, co on ci jej w życiu nie da, i zrobić ten film, co go w życiu nie zrobisz?

Archy mógł na palcach jednej ręki policzyć okazje, przy których tak przygadał ojcu, że ten zapomniał języka w gębie. Uznał, że to od tego trzepnięcia w łeb, choć może po prostu w swej pogardzie dla projektu Luthera był nadzwyczaj przekonujący. Ojciec znów zaczął coś mamrotać pod nosem, kręcić głową, a Archy'emu przypominał

się żul, który parę dni temu siedział na skrzynce przed piekarnią Neldam's, zazdrośnie strzegąc torebki z bułeczkami.

– Daj mu tę rękawiczkę – powiedział Archy, walcząc (we własnej sprawie, nie dla Luthera) ze współczuciem, które już wkraadało mu się do głosu. – To sam ci ten film sfinansuję.

Jakby wetknąć stek przez kraty rekiniej klatki. Luther, czujny, wygłodzony, uniósł wzrok.

– Jak?

– Sprzedam sklep. Nie wiem, ile dostanę za swoją połówkę, ale ci oddam.

– Dlaczego niby miałbyś zrobić coś takiego?

– Nie wiem – przyznał Archy. – Na pewno nie dlatego, że obchodzi mnie los twojego beznadziejnego czarnego dupska, bo na to mam totalnie wyjebane.

– Chłopcze – powiedział Luther, wstając z krzesła; wciąż miał nad Archym dobre pięć centymetrów przewagi, chociaż ważył paręnaście kilo mniej od syna. – Jestem ci wdzięczny za tę wspaniałomyślną propozycję, ale męczy mnie już twój brak szacunku. Więc ostrzegam. Jeszcze raz się tak do mnie odezwiesz, to ci spuszczę oldskulowy łomot, jakiego od trzydziestu lat nie zaznałeś.

– Weź się, człowieku... – powiedział Archy, nieświadomie powtarzając słowa, jakimi innego poranka potraktował go własny syn – ...odpierdol.

– Panowie – wtrącił się Flowers. Za późno.

Dziejowa decyzja podjęta przez Archy'ego w okolicach roku 1983, żeby odtąd mieć ojca w dupie, zbiegła się niemal dokładnie z ostatnim razem, kiedy próbował Lutherowi przywalić. Tak jak pięć czy sześć wcześniejszych prób, i ta spełzła na niczym. Mimo że Archy był już wielki, silny i odurzony nadchodzącym wiekiem męskim, a Luther był anorektykiem na kraku, synowska masa i jego dzika wściekłość nie miały żadnych szans z głęboko zakorzenioną zręcznością ojca.

Lecz tym razem Archy zaatakował znienacka, wykorzystując przewagę. Rzucił się na Luthera, tak że mała kanapa, na której ten siedział, rymnęła w tył i obaj wylądowali na podłodze. Nim Luther zdążył się pozbierać, Archy wdrapał się na niego, usiadł na nim

okrakiem i przewrócił na brzuch, wciskając jego twarz w krótkowłose szary dywan. Usiadł mu na tyłku, jedną ręką przygwoździł nadgarstki, a drugą złapał za włosy. Wpijając się w czuprynę starego, szarpnął mu głowę do tyłu. – Daj mu ją.

– Pierdol się.

Archy wpił się jeszcze głębiej, szarpnął mocniej.

– Daj mu tę rękawiczkę, Luther.

– Nie mogę. Złaż ze mnie.

– Bo co?

– Bo zgubiłem.

– Zgubiłeś? Czyli co, w ogóle jej wtedy nie znalazłeś? Valletta jej nie miała?

– Miała. Ale przy ostatniej przeprowadzce, nie wiem, no... gdzieś się zawieruszyła. Nie mogę jej znaleźć. Przysięgam. Złażże, kurwa!

– Co?!

– Miałem – powiedział Luther, bezwiednie komponując własne epitafium. – Ale posiałem.

– Naprawdę chciałbym w to wierzyć – oznajmił Flowers. – Będę potrzebował jakiejś gwarancji. Co, jeśli ta rękawiczka znów gdzieś się pojawi?

– To może pisemne oświadczenie – zaproponował Archy. – Pod przysięgą. Niech własnymi słowami napisze, że od lat pana szantażował, że zmyślił tę całą historię z rękawiczką i morderstwem, a pan nie miał z tym nic wspólnego. – Jeszcze raz szarpnął ojcowską głowę, ale już tylko dla emfazy. – Zrobisz to, Luther? Przyznasz się, że go szantażowałeś? Dam ci całą kasę, jaką uda mi się dostać ze sprzedaży sklepu. I będziesz mógł sobie dalej prowadzić ten swój fantastyczny żywot.

– Gotów jestem przystać na takie rozwiązanie – stwierdził Flowers. – Tylko że, hm, do oświadczenia pod przysięgą potrzebny byłby prawnik. Ciężko mi sobie takiego prawnika wyobrazić. Wiem, że mój nawet słyszeć by o tym nie chciał.

Archy zauważył, że pewnie Mike Oberstein dałby się namówić, ale przede wszystkim: co na to wszystko Luther?

– Jak rok temu wychodziłem z odwyku – powiedział Luther – na liście życzeń miałem trzy rzeczy. I żadną z nich nie było: „Niech mój

synalek wali mnie po łbie, targa za włosy i siedzi mi na plecach, jebaniutki waży sto dziesięć jak nic”.

– Mhm – odparł Archy. – No tak. Przepraszam. – Zszedł z ojca i wstał, lekko się zataczając.

Luther przewrócił się na wznak i leżał, popatrując na barankowy sufit i na trumnę, w której spoczywał Terrell Padgett. Oczy mu się zaszklily, ale mrugnął parę razy i już było po łzach.

Archy schylił się, podając Lutherowi rękę. Ten chwycił ją i pozwolił synowi podciągnąć do pionu swój nieważki, umięśniony szkielet. Gdy Archy próbował oswobodzić palce, Luther je przytrzymał. Był to ten zajadły żelazny chwyt, który nieraz dał popalić pustakom, deskom sosnowym, a nawet Chuckowi Norrisowi. Archy poddał się i pozwolił ojcu uścisnąć swą dłoń.

– To był numer dwa na liście – powiedział Luther.

Matka sama była dzieckiem, miała dwadzieścia jeden lat bez dwóch miesięcy, ojciec bobasa gdzieś wyparował. Była jedną z kucharek w restauracji Chez Panisse, dorabiała, sprzedając babeczki z tacowozu. Gdy się poznały z Avivą, była ośmioletnią rudawą blondynką imieniem Rainbow, córką facylitorki w Sieci Przedsiębiorczych Kobiet, do której Aviva wówczas należała. Milczące chucherko, zawsze gdzieś w kącie. Teraz, odrzuciwszy drugą sylabę imienia, zmieniła się w farbowaną na jagodowo brunetkę, jakieś sześćdziesiąt procent jej ciała tonęło w pstrokatej loterii na wpół alegorycznych tatuży (pszczoła, parasol, jajko w kieliszku) i, przynajmniej dziś, grała w swoim świecie główną rolę. W świecie w ogóle. Aviva po tych wszystkich latach nadal była co do tego przekonana, choć złapała już z tysiąc noworodków, a rutyna, nerwice pacjentek i przemysł medyczny dały jej wszelkie podstawy do rozczarowania, znudzenia, blazy. Człowiek lubi myśleć, że jest latarnią w mglistą noc, samym środkiem świetlistej kuli, ale ta pewność, że cały świat kręci się wokół nas, jest tylko zwidem, złudzeniem, o które łatwo we mgle. A jednak kobieta, rodząc, naprawdę znajdowała się w samym środku czegoś, co

opromieniało blaskiem wszystkie cztery wymiary; każde narodziny, niezależnie od miejsca, każdy wektor ewolucji człowieka i ludzkiej wędrówki, wszystko to brało swój początek z jej rozłożonych nóg i tam też zmierzało.

– Chyba się zaraz zesram – powiedziała Rain. Przez dwie godziny od pierwszego skurczu doszła do ośmiu centymetrów, ale transport do szpitala jakoś ją przyblokował. – Co będzie, jak się tu zesram do łóżka?

– Ja ci dam – odparła Aviva.

Trzasnęła zapadka w drzwiach i do środka wlał się szpitalny szum. Aviva siedziała tyłem do drzwi ślicznej, nowiutkiej sali porodowej, w której Rain miała szczęście wylądować: jasne drewno z chromowanymi wykończeniami, a wszystko to na życzenie smukłych Dunek, które przychodziły do szpitala, by rodzić postawnych socjalistów. Audrey, matka Rain, zerwała się z fotela, żeby zaciągnąć wokół łóżka zasłony; karnisze zaterkotały jak pistolet pneumatyczny.

– Pani Jaffe? – Była to jedna z pielęgniarek, Filipinka imieniem Sally, bardzo solidna, wytrenowana, jak Gwen, by cukierkowość łączyć z zajebistością. – Przyszedł pani kochany mąż.

Tym razem to Aviva zerwała się na równe nogi. Nie przypominała sobie, by Nat kiedykolwiek sam z siebie zajrzał do niej do szpitala. Czasem, może, żeby przynieść jej wygodniejsze buty albo coś do jedzenia. Jego pojawienie się tu ni stąd, ni zowąd musiało oznaczać złe wieści, katastrofę. Schodząc za Sally do punktu pielęgniarskiego, żeby się z nim spotkać, wyłowiła z tylnej kieszeni telefon, uznając, że musiała przegapić jakąś pocztę głosową. Ale nie było połączeń od Nata ani od Juliego. W ogóle żadnych nowych połączeń.

Jego konwersy za kostkę rysowały niewidzialną mandalę na błyszczących płytkach, głowę miał spuszczoną, ręce w tylnych kieszeniach dżinsów, w których najbardziej go lubiła. Mruczał soundtrack do swojego zniecierpliwienia. Gdy ją zobaczył, panika tak błyskawicznie przeistoczyła się w ulgę, że aż zachciało jej się płakać.

– Co się stało? – spytała.

– Gwen zaczęła rodzić.

– Jest z nią Archy?

– Nie. Aviva, słuchaj, ona nie jest u siebie w domu. Jest tutaj.
– O nie...
– Tak. Wody jej odeszły, była smółka.
– Dużo?
– Nie za dużo, trochę. Lekarz powiedział, że raczej nie trzeba się jeszcze martwić, ale uznali, że lepiej ją tu położyć i monitorować. Na wypadek zagrożenia płodu.

– Kto jest prowadzącym?
– Ten twój.
– *Lazar*?
– Milusi facet.
– Noż kurwa! Byłeś z nią, jak wody odeszły?
– Tak.
– To czemu nie zadzwoniłeś?

Krew odpłynęła mu z twarzy jak atrament z kałamarnicy, więc Aviva zdążyła przygotować się na to, że słowa, które padną teraz z jego ust, pozostaną w trudnej, może nawet antagonistycznej relacji z prawdą.

– Zgubiłem telefon – powiedział.
– Gdzie zgubiłeś?

Wzruszył ramionami.

– W aucie.

Niewątpliwie kłamał, ale postanowiła na razie odpuścić.

– A w jakim stanie jest Gwen? – spytała.

Odkąd Aviva wyszła z domu, żeby spotkać się z Rain i Audrey w szpitalu, czuła, że pod każdą łagodną sugestią czynioną na użytek Rain, pod każdą cierpliwą rozmową z personelem coś w niej buzuje. Cała jej aparatura emocjonalna (starannie przed wszystkimi ukryta, niczym fabryka wojskowych samolotów z zaciemnionymi oknami) wytwarzała złość; Aviva była wściekła na Gwen.

Chociaż nie, to było coś głębszego, bardziej egoistycznego i tchórzliwego niż wściekłość, kojarząca się Avivie jednak z dopustem bożym, oczyszczającym ogniem. Aviva czuła się zraniona. Jej złość była tą szczególną, gorzką złością oskarżonych. Oto Gwen rozwalala ich spółkę, wyrzekała się wspólnego powołania, i to z powodów, których Aviva nie mogła zbyć, nie przeinaczając przy tym pewnych niewygodnych, kłopotliwych faktów co do natury

i sytuacji demograficznej ich zawodu, a także paradoksalnego, butikowego odium, jakie wisiało nad współczesnym akuszerstwem, nie tak dawno jeszcze ograniczającym się do opieki nad biednymi kobietami spoza miast. Avivę drażniło (nie przesłaniając całkowicie pierdolonych *faktów*) sprawne i bezwzględne, pał licho, że uzasadnione, zmaumauizowanie przez Gwen tamtej żalostnej komisji. Mimo że Gwen ocaliła im w ten sposób tyłki. A może właśnie dlatego.

– Jest nieszczęśliwa – powiedział Nat. – Nie wie, gdzie podziewa się Archy, to po pierwsze. Po drugie, nie będzie jej ten skurwiel Lazar dotykał, koniec cytatu. Po trzecie, leć tam do niej, jak tylko dasz radę. Aviva, ona cię naprawdę potrzebuje. Mówi, że nie urodzi tego dziecka, jeśli ty go nie złapiesz.

– Jakie to wzruszające.

– Tylko przekazuję. I lepiej już do niej wróć. Nie wydaje mi się, żeby Julie jakoś bardzo jej pomagał.

– Julie?!

– Jest tam z nami. On, no...

– Jak to się stało?

Znów ten lekki paraliż mięśni twarzy, rysy poluzowane narracyjną dystonią.

– A, zgarnąłem go – powiedział. – Po drodze było akurat.

– Nat, co tu się, do kurwy nędzy, dzieje? Zresztą nieważne. Później cię zabiję.

– Okej.

– Okej?

– Nie mam planów na później.

– Dobrze. To tak. Powiedz Gwen...

– Aviva? – Był to głos Audrey, która stała na korytarzu, załamując ręce. Głową nieśmiało wskazywała drzwi sali porodowej, w której leżała Rain. – Mówi, że będzie przeciw.

– Suuuper – powiedziała Aviva, kładąc Natowi dłoń na mostku, by i jego odeprzeć, chociaż na dwa kroki. – Nat, powiedz jej, że będę tam, jak tylko się tu uwinę. Pomóż jej się zaaklimatyzować, zaprowadź ją do salki, dobra? Przydaj się na coś. Bądź tata. Możesz to dla mnie zrobić?

– Na pewno mogę poudawać – odparł Nat.

- A tymczasem gdzie się, kurwa, podziewa Archy?
- Próbowałem się dodzwonić, nie odbiera.
- Może wyślij mu tego jakiegoś „esemesa”.
- Co? Ja nie wiem, co to jest.
- Też nie wiem. Juliego spytaj.
- Aviva? – Ton Audrey brzmiał coraz bardziej oskarżycielsko.
- Muszę wracać do Rain – powiedziała Aviva. – Idź. Przekaż Gwen, że niedługo będę.
- A jak cię coś zatrzyma? – spytał Nat. – Jak przyślą tego jebanego Lazara, to ona mu chyba łeb urwie.
- To jest szpital – odparła Aviva. – Przyszycją mu.

- No nie wiem, chyba *Po drugiej stronie lustra* – powiedział Julie.
- Aha, ta broda – przyznała półprzytomnie Gwen, gdy w zatoce bólu zbierał się kolejny skurcz, a ona była miasteczkiem położonym blisko brzegu i wały przeciwpowodziowe gięły się pod naporem fali. Przy poprzednim położyła sobie dłoń Juliego na brzuchu, żeby poczuł, jak skóra twardnieje w blachę. – Spock z brodą.
- Dzisiaj broda jest jeszcze bardziej stylowa niż wtedy – powiedział Julie. – Kozie bródki są modne.
- Prosiła, by odwracał jej uwagę, a on zastanawiał się, czy faktycznie to miała na myśli, bo chyba nic nie mogło odwrócić jej uwagi od dzisiejszego zadania. Gwen była całkowicie skoncentrowana na skurczach. Każdy z nich, gdy tylko nadchodził, poddawany był wyteżonej analizie. Julie dwoił się i troił, chociaż prawdę mówiąc, sam nie do końca był w stanie utrzymać uwagę na wodzy. Wiedział, że powinien trwać przy Gwen, i to bez reszty, przynajmniej póki nie wróci ojciec albo (nawet lepiej) póki nie zjawi się matka. Ale nie mógł przestać myśleć o Titusie, zastanawiając się ciągle, gdzie on może teraz być, dokąd mógł uciec i czy kiedykolwiek wróci. Nieuchwytny Titus, ten włamywacz ześlizgujący się na linie po stromiźnie jego życia. Niedościgły jak przelotna ambicja, jedna z tych fantazji, o których się wie, jeszcze

fantazując, że wymagałyby więcej pieniędzy, farta i zajebistości, niż się kiedykolwiek będzie miało.

– Gadaj do mnie o *Star Treku* – przykazała półgłosem Gwen, leżąc nieruchomo z zamkniętymi oczami, być może odliczając w duchu, chociaż Julie wiernie spoglądał na zegarek, notując częstotliwość i długość skurczów na odwrocie koperty, którą znalazł w jej aucie. – To mi pomaga. A ta broda to chyba była bardziej taka w stylu van Dycka.

– Może – odparł Julie, odklejając uda od skajowego krzesła.

Odwrócił się do Gwen, jej wilgotną lewą dłoń trzymając w swojej prawej. Gwen leżała na łóżku w starej koszulce Xaviera McDaniela z kolekcji Archy’ego i w czystych legginsach, które na jej prośbę Julie zabrał po drodze z domu Stallingsów. Nie protestowała, kiedy podłączali ją pod zapis KTG, ale nie dała się przebrać w fartuch, chcąc udowodnić, jak bardzo jest zdeterminowana wstrzymać poród, póki nie zjawi się Aviva; wszystko, byle pielęgniarki nie musiały wywoływać Paula Lazara.

– No i ta Kobieta Kapitana...

– Mhm, rozumiem. – W cichym głosie Gwen była jakaś skrupulatność, jak gdyby bibliotekarka bólu wodziła palcem po nieskończonym indeksie cierpień. – Podoba ci się?

– No, nie wiem, ona jest... jakaś taka zajebista.

Nie uściślił, że za każdym razem gdy oglądał ten odcinek, widziany pierwszy raz z Gwen, kiedy jego rodzice poszli do kina na *U progu sławy*, lubił sobie wyobrazać, że sam jest Kobiętą Kapitana, że z polem Tantała i gołym brzuchem grasuje po kajucie anty-Kirka, czekając, aż ten powróci w jej objęcia, na ich międzygwiazdne łożo, by całować ją wśród brokatu czerwonej pościeli, w aurze retrofuturyzmu z lat sześćdziesiątych.

Po czterdziestu dziewięciu sekundach milczenia znów otworzyła oczy. Julie zapisał godzinę i czas trwania skurczu na odwrocie koperty, której Gwen jak dotąd nie chciało się otwierać. Widniał na niej stempel firmy adwokackiej Leopold, Valsalva i Rubin i cała sprawa wyglądała Juliemu na poważną, może nawet pilną.

– Koniec – wydusiła, przełykając ślinę i oblizując usta. Julie widział, jak ból dogasa w jej oczach, zupełnie jak w odcinku *Na*

koniec galaktyki, kiedy z Sally Kellerman uszły resztki energii psionicznej.

– Wszystko w porządku?

– Jest dobrze. Ale jeśli wlezie tu Lazar, to już nie będzie. Będziesz musiał go zabić.

– Poradzę sobie.

– Będziesz musiał być moją Kobieta Kapitana i załatwić go tantalem.

– Koleś ma przerąbane.

Ujęła jego dłonie.

– Dobry z ciebie chłopak, Juliusie Jaffe – powiedziała. – Mama cię wychowała jak trzeba.

– Dziękuję.

– Dziś rano w motelu... to wszystko musiało być dla ciebie bardzo, bardzo dziwne.

– To był jakiś kosmos. Nie miałem pojęcia, co jest grane. Dalej nie wiem, o co im wszystkim chodzi.

– Co to byli za goście?

– Nie wiem, pracują dla pana Flowersa, noszą garnitury, tak że trochę wyglądają jak z Czarnego Islamu, tylko że poobwieszani złotem, no i mają krawaty, a nie muszki.

– Tak. No tak.

– Oni mają z Lutherem jakąś spinę. Pan Flowers, znaczy, i Luther. To było bardzo dawno temu, jak Archy jeszcze był mały.

– Archy nie powiedział ci, o co poszło?

– Nie. Powiedział tylko, że się tym zajmie.

Gwen przygryzła dolną wargę, lecz tym razem nie z bólu, i pokręciła głową, odwracając wzrok. Julie miał ją właśnie pocieszyć, że Archy niedługo tu będzie, że zjawi się, jak tylko się dowie, że poród się zaczął. Ale przyszło mu do głowy, że to może nie być prawda. Julie nie miał pojęcia, w co tak naprawdę Archy się wpakował. Ci goście z zakładu pogrzebowego chodzili ze spluwami i pewnie byli niebezpieczni, nawet jeśli ten wielki, Bank, okazał się nadzwyczaj podatny na ciosy drewnianej katany.

– To Titus powinien być na urazówce – powiedziała Gwen. – Coś mu było, prawda? Źle zrobiłam, nie powinnam była go puszczać. To był błąd. Miałam jakieś zaćmienie. Chyba mi akurat trochę odbiło.

– Nos miał zakrwawiony, ale poza tym okej. On jest, no, twardy. – Julie miał pretekst, by opowiadać o Titusie, i był za to Gwen niezwykle wdzięczny. – Bo tam, gdzie mieszkał, to, hm, chyba nie było zbyt fajnie. Na przykład tu, w Oakland. Wiesz, tam przez ulicę od pana Jonesa.

– Coś słyszałam.

– Chujowo go tam traktowali.

– Julius! Słownik!

– Po prostu koszmar.

– Lubisz go, co?

– To mój przyjaciel.

Wolkańskie połączenie umysłów: Juliemu wystarczyło spojrzeć jej w twarz, by wyczytać tam myśl „Bo nigdy wcześniej tak naprawdę żadnych nie miałeś”.

– A o mnie co mówi?

– On... Czy ja wiem? Pewnie się ciebie trochę boi. Na pewno, hm, widziałem, że był tym wszystkim, no, podjarany czy coś.

– Że dzidzius.

– Mhm. Że jego braciszek, że będzie chłopiec. Mówił, że mu powiedziałaś.

– Powiedziałam. Będzie.

– No właśnie, taki podjarany się wydawał. Gdyby wiedział, że zaraz zaczniesz rodzić, toby na pewno nie spierdzielił.

– Ha – powiedziała Gwen, co Julius wziął z początku za wyraz umiarkowanego zainteresowania, dowód, że Gwen odnotowała drobny przyrost informacji na temat, o którym do tej pory wiedziała niewiele. Lecz już po chwili dźwięk ten się pogłębił, zmieniając się w rozwlekły jęk, haaaaaa, z czego Julie wywnioskował, że zbliża się następny skurcz.

Julie usłyszał stukot karty ściąganej ze stojaka za drzwiami. Ledwo zdążył się podnieść, a do pomieszczenia już zaglądał szczupły, błydy lekarz z ogoloną głacą. Miał na sobie niebieski fartuch i stetoskop w roli naszyjnika.

– Co siedem minut! – zameldował Julie, podnosząc kopertę. – Siedem minut!

– Siedem minut! – powtórzył lekarz. – W systemie sześćdziesiątkowym czy metrycznym?

Julie był w równej mierze zmieszany, co zafrapowany: dziesięć miesięcy w roku? dziesięć tygodni w miesiącu? dziesięć dni w tygodniu? Nie, stanowczo za dużo dni.

Gwen miała zamknięte oczy; Julie nie był nawet pewien, czy widziała lekarza.

– Tylko nie ty. – Jej głos był ledwie słyszalny. – Nie ma, kurwa, mowy.

Lazar zerknął na Juliego, szukając sojusznika. Julie skontrował najbardziej bazylijskim ze swych spojrzeń, z całych sił starając się obrócić lekarza w migotliwą tantalową mgiełkę.

– A pani przyjaciel to kto? – Lazar zwrócił się do Gwen. Spojrzał na KTG, próbując chwycić jej nadgarstek. – Ma pani teraz skurcz?

Wyszarpnęła dłoń z jego ręk.

– Nie – wycedziła. – Wszystko ze mną w porządku. Z dzieckiem też. Nic nie wskazuje na zagrożenie płodu. Spokojnie mogę poczekać na Avivę.

I wtedy Gwen porwał skurcz, wciągając ją w wir. Julie czuł, jak z jej myśli wyparowuje on sam, Lazar, cały szpital. Lazar stał przy łóżku, przyglądając się jej. Wcześniej jego oczy zdawały się martwe, wymęczone, lecz teraz Julie dostrzegł w nich jakąś przenikliwość, czujność, może nawet odpowiedź na zew przygody. Lazar czekał i czekał, zerkając na KTG. Gdy Gwen znów otworzyła oczy, powiedział:

– Pani Shanks, zrobimy tak. I tylko tak. Może pani czekać na współniczkę, może pani tu sobie leżeć i liczyć skurcze, ja się z ogromną chęcią usunę z drogi. Ale niech tu tylko *mrugnie* coś, co mi będzie wyglądało na zagrożenie płodu, od razu ładuję się tam i wyciągam dzieciaka. Koniec kropka. Zrozumiano?

Gwen tylko skinęła głową.

Lazar jakby się zawahał, chyba chciał coś dodać. Ale nagryzmolił tylko parę zdań w jej karcie i wyszedł.

– Przepraszam – powiedział Julie. – Nie udało mi się go zabić.

– W porządku – odparła Gwen. – Mamy czas. Chyba. Chciałabym, żeby była tu ze mną moja mama.

Na myśl o mamie pociekło jej trochę łez. Przyznała się, że tęskni za ojcem i braćmi, za całą rodziną, którą zostawiła w Waszyngtonie i w Filadelfii. Julie podał jej chusteczkę, potem jeszcze jedną.

Na to wszedł jego ojciec, grzechocząc kostkami lodu w plastikowym kubku.

– Aviva przyjdzie, jak tylko będzie mogła – oznajmił. – Pewnie lada chwila. No i przyniosłem lód.

– Dzięki, kochany – powiedziała Gwen.

Podał jej kubek, a ona zaczęła w zamyśleniu chrupać kostki. Załzawionymi oczami patrzyła na Juliego, który przestraszył się, że z tego wszystkiego sam zaraz zacznie płakać. Litowała się albo nad sobą, że musi rodzić pięć tysięcy kilometrów od najbliższych, albo nad nim.

– Wiesz, gdzie szukać Titusa? – powiedziała wreszcie pełnymi lodu ustami.

– Może – odparł Julie, niemal z miejsca sporządzając wstępną wersję hipotezy. – Może i tak.

– To leć i go znajdź – powiedziała. – Bo ten bobas na pewno chciałby mieć brata.

– Ciebie nie znam – powiedziała mała sędziwa Chinka. – Skąd twojego kolegę mam znać?

– Znikąd – odparł Julie. – Ale...

– Uczeń mój?

– Nie. Ale, jak już mówiłem, trzyma tu rower. Tak że...

– Myślisz, że głucha jestem?

– Nie.

– Bo bardzo głośno mówisz.

– Yyy...

– Stara Chinka, głucha, głupia. Tak myślisz sobie?

– Nie. – Julie wziął głęboki wdech. „Zaczynij od nowa”. – Dzień dobry – powiedział, wyciągając rękę. – Nazywam się Julius Jaffe.

Wydobył z portfela parę wizytówek i szybko je przerzucił. Wybrał jedną z dawniejszych, na której przedstawiał się jako BADACZ SPRAW TAJEMNYCH. Podał ją starszej pani. Ta przebiegła wzrokiem po kartoniku, zmarszczyła brwi, po czym jeszcze raz mu

się przyjrzała, nie zdradzając ani sceptycyzmu, ani szczególnego zainteresowania.

– Mój kolega Titus – powiedział – chował u pani rower za kubłem na śmieci, w tym, no, w wiciokrzewie? Musiał tam chować, bo, tego, bo jak mieszkał u pani Wiggins... Wie pani, przy Czterdziestej Drugiej, za rogiem, to ciągle mu się coś z tym rowerem działo. Bo tam chyba dużo ludzi mieszka.

– U panny Wiggins. – Najwyraźniej wiedziała, o który dom mu chodzi. – Dobrze.

– Bo na przykład raz ktoś mu wziął i, tego, i se jeździł, co nie? I popsuł. A innym razem ktoś mu ten rower zabrał i sprzedał, bo nie miał na narkotyki, i Titus musiał go ukraść tym, co go kupili. To potem już u pani zaczął chować, no bo, pani rozumie, tego wiciokrzewu tam sporo jest. Że roweru nie widać. I ponieważ ja go teraz szukam, żeby mu powiedzieć, że jego braciszek się rodzi dosłownie *w tym momencie...*

– Głośność – ostrzegła go. – Ciszej.

– Szedłem zobaczyć, czy jest u pani Wiggins. No i patrzę, że jego rower leży w krzakach. Ale potem sobie pomyślałem, w sumie nie wiem czemu: a może on jednak tutaj jest, u pani?

– Tutaj? – Pokręciła głową.

Julie jeszcze nigdy nie widział na jej twarzy czegoś tak bardzo przypominającego uśmiech.

– Tutaj nie.

– Niech pani nie będzie taka pewna. Titus mógł się wśliznąć. Już on potrafi takie rzeczy.

– W oczy mi popatrz, badaczu spraw tajemnych – powiedziała. – Myślisz, że jak stara, głupia, głucha Chinka, to nie wie, że się chłopak wśliznął?

– Nie – zgadywał.

– Musisz być bardzo kiepski badacz spraw tajemnych.

– W sumie...

– Chyba śmieją się z ciebie duchy.

– Pewnie tak.

– Tu żadnego ducha nie ma – powiedziała. – Do swojego domu kolega poszedł. Tam idź szukać, powiedz: „Braciszek w drodze”.

– No dobra, a ten... – ściszył głos, rozglądając się na obie strony Telegraph Avenue – ...a tamten pokój, co pani tu ma?

– Żadnego pokoju nie ma.

– Ale ta taka sekretna sypialnia? Co jest wejście za plakatem z Bruce'em Lee? Gwen tam mieszkała. No, Gwen Shanks.

Mrugnęła, oddając mu wizytówkę.

– Ducha nie ma. Pokoju dla ducha też nie ma. Do widzenia. Powodzenia.

Juliemu przeszło przez myśl, że mógłby przemknąć obok tej wkurzającej staruszki. Wbiec na górę i samemu się rozejrzeć po klitce za drzwiami z Bruce'em Lee. Odwrócił się, upuścił deskorolkę na chodnik, oparł stopę na blacie. Zawahał się jednak, postanowił wypróbować inną taktykę.

– A w ogóle pani to, hm, pani uczyła Luthera Stallingsa, prawda? – spytał. – Tego od filmów. Bo ten mój kolega, Titus, to on jest wnukiem Luthera Stallingsa.

Wyszła za próg w swoim szarym gi i w czarnych sandałach, chuda, lekka jak piórko, krokiem znacznie młodszej osoby.

– Mi pokaż rower tego ducha – powiedziała.

Julie poprowadził ją za róg budynku, na parking, i dalej, po chrzęszczącym żwirze, aż do kubła na śmieci. Rozgarnął gąszcz wiciokrzewu obsypanego kwieciem, które wyglądało trochę jak maślany popcorn. Ciężka kwiatowa woń mieszała się ze zjełczałą aurą śmietnika. Nim Julie zdążył pomóc starszej pani albo chociaż ją powstrzymać, ta chwyciła rower Titusa za kierownicę i z zaskakującą łatwością wyciągnęła z gąszczu. To, że znajduje się tam jakiś rower, zdawała się traktować jak osobistą obrazę, choć Julie miał wrażenie, że jest też zdziwiona, a nawet zdumiona. Zerknęła z ukosa na kwadratowe okienko u szczytu budynku (rzeczywiście było otwarte, chociaż trudno było sobie wyobrazić, że ktoś mógłby się tam wspinać), potem znów spojrzała na rower.

– Dziwny – powiedziała.

– Na to się mówi ostre koło – wyjaśnił Julie. – Bez hamulców, bez przerzutek. Się po prostu pedałuje. Do przodu albo do tyłu.

Wspięła się na siodło, chwyciła kierownicę i ruszyła po żwirze. Nogi pedałowwały do przodu, roztrzepotane palce daremnie szukały hamulca ręcznego. Przyblokowała pedały, zatrzymała się, potem

cisnąc znów do przodu, dotoczyła się do chodnika. Przez trzy sekundy chybotąca się na rowerze jak dzieciak, któremu dopiero co odczepiono boczne kółka: wąty kłębek kości, ścięgien i szarego jedwabiu. W czwartej sekundzie wykombinowała, jak pedałowac do tyłu, i nie bacząc na nic, nie oglądając się nawet za siebie, popędziła po chodniku, by zaraz zniknąć za wysokim ogrodzeniem. Po dziesięciu sekundach znów się zjawiła, pedałowując do przodu, do perfekcji opanowawszy ostre koło. Machnęła na niego szorstko.

– Idziemy – powiedziała.

– Gdzie idziemy?

– Do panny Wiggins. Kolegi poszukać. Badacz Spraw Tajemnych, a domu duchów boi się. Dlatego tu najpierw przyszedł. Bzdury opowiada, że czternastolatek do Instytutu Bruce'a Lee wśliznął się, a ja nie zauważyła. Tu przyszedłeś, bo tam iść boisz się. Tak jest czy tak nie jest?

– Tak jest – przyznał Julie. – Znaczy mniej więcej. Ale serio, Titus nie takie rzeczy potrafi.

– Jeszcze raz obrazisz mnie – ostrzegła go. – I ja z tobą nie pójdę.

Stanął na deskorolce i ruszyli, tyle że starsza pani pruća po chodniku z tak niezwykłą werwą, tak zapamiętała, że Julie nie mógł nadążyć. Przystanąła, dając mu trochę czasu, podbródkiem wskazując swoje ramię. Chwycił je: było żylaste, kościste.

Doholowała go na Czterdziestą Drugą, gdzie skręcili za róg. Minęli tchnący żalostną pustką dom pana Jonesa. Żerdź, na której zwykł siadywać Pięc Osiem, wciąż tkwiła na werandzie, opuszczona. Staruszka pedałowala dalej, ku drzwiom domu, w którym od dawna sypała się w proch cioteczka Titusa, niczym pradawna monarchini królestwa, dziś pogrążonego w ruinie i bezprawiu. Stara Chinka (która kazała zwracać się do siebie „pani Jew”) dźwignęła rower i wniosła go po obłupanych schodach na werandę. Załomotała w drzwi, łup, łup!

– Titus – powiedziała do młodego mężczyzny, który im otworzył. Wyglądał na osiemnaście albo dziewiętnaście lat, miał wyłupiaste oczy, wydatną szczękę i anemiczną poplątaną bródkę. Ponieważ był bez koszuli, widzieli jego płaski brzuch i skórę pokrytą siatką nieczytelnych, zagadkowych tatuazy. Znad paska drelichowych

szortów do kolan wystawała gumka od bokserek i kilka centymetrów granatowych rombów na jasnoniebieskim tle.

– Titus – powtórzyła pani Jew.

Młodziak pogmerał dwoma palcami w klombie bródki. Julie został na najniższym stopniu, bo w swoich przykrótkich spodenkach i podkoszulku bez rękawów wydawał się sobie jakiś nagi i niepokojąco ciotowaty. Z rozwartej paszczy domu nieustannie zionęło marihuaną, coś tam dudniło, pewnie mecz futbolowy. Słyszeli też jakieś głosy, ale nie było w nich gniewu ani wrogości. Brzmiały zwyczajnie. Rozmawiano, śmiano się.

– Jestem instruktorką kung-fu – powiedziała pani Jew.

– *Kung-fu?*

– Instytut Bruce’a Lee. Za rogiem.

Ojciec opowiadał kiedyś Juliemu, że kiedy ten był mały i przez okrągły rok chodził po okolicy w kostiumie Batmana czy Spider-Mana, wszystkim wydawało się to urocze. Ale kiedy pojawiał się w stroju Supermana, ludzie się *rozpromieniali*. Bo prócz tego, że maluch z bardzo poważną miną przebrany w jaskrawy strój z wielkim S faktycznie był uroczy, to w samej idei Supermana było coś, co poprawiało ludziom humor. I gdy wspomniało się Bruce’a Lee, efekt był chyba podobny.

– Bruce Lee – powtórzył młodziak. – Naprawdę tam uczył?

– Ja uczyłam go.

– Serio? Pani?

– Bęcki ode mnie dostawał – powiedziała pani Jew. – Codziennie.

– Ej, joł – zawołał młody, odwracając się przez ramię. – Macie tam Titusa?

Ktoś coś powiedział i gostek usunął im się z drogi. Łatwo to wszystko poszło, bez przemocy, wybiegów ani nawet słowa „proszę”. Julie wstydził się ogarniającej go trwogi, która wcale go nie opuściła, gdy zanurzał się w ślad za panią Jew w czeluści domu. Kiedyś ta stara, ciasna architektura uchodziła być może za urokliwą. Gzyms nad kominkiem miał w sobie coś średniowiecznego, jak to często bywa w niewielkich bungalowach. Tu i ówdzie sufit podtrzymywały imponujące filary z malowanego drewna. W salonie dominował stary tylnoprojekcyjny telewizor, którego przyćmiony słońcem ekran usiłował sprostać palecie barw *Bajeru z Bel Air*.

Pięcioro nastolatków (trzech chłopaków i dwie dziewczyny) na segmentowej sofie w szkocką kratę poklejonej metrami srebrnej taśmy izolacyjnej. Na podłodze dziewczyna mniej więcej w wieku Juliego, w spódniczce uczennicy szkoły katolickiej, i jakieś pięcioro maluchów. Dziewczyna wyglądała Juliemu bardziej na Latynoskę niż na czarną, a jeden mikrus był prawie całkiem biały, z rudobrazowymi kędziorkami. Po drugiej stronie pokoju, naprzeciwko kraciastej sofie, młody facet na wózku inwalidzkim oddychał przez zieloną stalową butlę; roześmiał się spod plastikowej maski. Po podłodze wałała się pusta torebka po pikantnych cheetosach. Na stoliku kawowym stały dwie butle coli. Opakowanie po pizzy. Plastikowy kubełek z Trader Joe's, w którym nie ostał się ani jeden z krakersów w kształcie zwierzątek. Owszem, panował tu bałagan, brud i tłok, w powietrzu wisiały miazmaty chipsów, ale poza tym nie działo się tu nic takiego: zgraja dzieciaków oglądała program, który Julie też lubił. Spodziewał się stroboskopów, odłóżającej tapety, nieprzytomnych ludzi na podłodze, błysku fajek do kraku. Dudniących całą dobę woofarów. Złowrogich ludzi czających się po ciemnych kątach.

Jednak był cholernym rasistą.

Młodziak, którego spotkali w drzwiach, zaprowadził ich w głąb domu, skąd po rachitycznych schodkach zeszli do przybudówki. W jednym z piętrowych łóżek leżał chłopak niewiele młodszy od Juliego, tuląc w objęciach Game Boya.

– Titus? – zawołał Julie.

Znajdowali się w czymś na kształt baraku wyposażonego w łóżka piętrowe z najrozmaitszych epok i stylistyk. Niektóre były ze stalowych rur, inne z porysowanego, zoranego drewna. Panował półmrok. W kącie z tyłu, na dolnym łóżku, pod śpiworem w motywy *Śladem Blue*, Julie wypatrzył Titusa.

– Hej – powiedział.

– Co ty tu robisz? – spytał Titus; Julie czuł, że jego głos, choć przytłumiony śpiworem, jest szorstki od płaczu. – Człowieku, wypierdalaj stąd.

– Okej – odparł Julie i teraz jemu też zachciało się płakać. Już miał się odwrócić, ale otarł łzy ramieniem. Przyglądał mu się chłopaczek od Game Boya. – Ja tylko przyszedłem, żeby, no, żeby ci

powiedzieć, bo może cię to jednak interesuje, że Gwen już rodzi. Znaczący zaraz będzie. Dosłownie za chwilę. To znaczący już ma skurcze. I że jak teraz przyjdiesz, to, no wiesz, to mógłbyś, jakby, przy tym być, no. Być tam, jak się urodzi twój brat.

Titus nie drgnął. Milczał.

– On ma brata? – spytał chłopiec z powątpiewaniem.

– Prawie – odparł Julie. – Titus, no weź. Przyprawiliśmy twój rower. Chodź, nie możesz tego przegapić. To będzie super. Bracia są zajebiści. Sam bym chciał takiego mieć. – Spojrzał na chłopczkę z Game Boyem. – Prawda, że bracia są zajebiści?

– Nie bardzo – odparł tamten.

– Mógłbyś może... wiesz, moglibyśmy tu mieć trochę prywatności?

– A co, łaskę mu będziesz robić?

– No, dokładnie – odparował Julie bez mrugnięcia okiem, rozentuzjasmowany własną śmiałością. Wyciągnął z portfela pięć dolarów. – Masz, kup se cukierków czy coś.

Dzieciak wyszedł. Julie przysiadł w rogu łóżka.

– Wiem, to znaczący rozumiem, że ty... – Wciągnął powietrze, wypuścił. – Chciałem tylko powiedzieć, że wiem, jak bardzo samotny musiałeś się czuć, skoro tu wróciłeś. Okej, Archy faktycznie zachowywał się jak dupek. Ale, słuchaj, będziesz miał brata, to jest, no, to jest jakaś szansa dla ciebie, wiesz? Żeby mieć kogoś, kto cię kocha i podziwia. To znaczący oprócz mnie, bo wiem, że to nie jest, no, nie jest nic wielkiego.

– Wstawaj – powiedziała pani Jew. – Do szpitala. Już. Bo tylek tobie skopię. Rozumiesz ty?

Titus usiadł na łóżku, spojrzał na Juliego, a potem znów na panią Jew. Skinął głową.

Cisza. Pauza między taktami utworu na kotły. Połączyć błękitnego nieba między dwoma rozpędzonymi cumulonimbusami.

Gwen na łóżku porodowym, między skurczami, pałała nienawiścią do jedyne go przyjaciela, jaki jej na całym świecie pozostał. Nienawidziła zapachu jego wody po goleniu, tej mieszaniny cygara wiśniowego i choinki dyndającej w taksówce pod wstecznym lusterkiem. Nienawidziła tego, co kryło się w tym zapachu, jakiejś głębszej, skwaśniałej urazy, która zmiękła na słońcu jak surowy bekon. Nienawidziła jego łysiny błyskającej spod cienia włosów. Nienawidziła pryszczka na prawym skrzydełku nosa i meszku na wierzchach palców. Nienawidziła go za to, że nie jest Archym.

Nat siedział na obitym skajem krześle, wyprostowany, z uniesionym podbródkiem, z zeszywniałymi plecami, i wyglądał, jakby za chwilę miało zdarzyć się coś kompletnie absurdalnego, co będzie od niego wymagać więcej, niż on jest w stanie z siebie dać, może na przykład pielęgniarzka Sally wwiezie tu jakiś dziwny filipiński fortepian z rekinich zębów, szylkretu i włókna kokosowego i każą mu na tym grać. Na jego twarzy mina pod tytułem: „Panie Boże, nie pozwól, by to widowisko stało się jeszcze obrzydliwsze”. Powieki, do połowy opuszczone, to podnosiły się, to zamykały, bo biedak starał się znaleźć idealną pozycję między oczami-zamkniętymi-ze-zgrozy a oczami-szeroko-otwartymi-na-cud-narodzin. Nogi miał rozlatane, ramiona skulone z napięcia. Zważywszy, że facet od siedemnastu lat był mężem położnej, Gwen była zaskoczona tym, jak mało zdawał się wiedzieć, pamiętać albo chociaż przeczuwać w kwestii potrzeb rodzącej. Porodowa mądrość, jaką zdołał przez te wszystkie lata zgromadzić, kończyła się na kubku z lodem i ściereczce, z którą regularnie chodził do łazienki, by ją wypłukać, wyżąć w zlewie, a potem znów zrobić jej zimny, błogi okład na czoło.

– Dzięki, Nat – powiedziała, aż kipiąc z wdzięczności.

W sali porodowej musiało być z tysiąc kelwinów i Gwen czuła się dziwnie lekka, ale nie było w tym nic przyjemnego. Spocona, uwalana, poskręcana. Włosy jak u gorgony. Łóżko: bagno. Jej skóra ogłosiła bunt totalny, jak gdyby dziecko trzeba było nie tylko wypchnąć z macicy, ale też zrzucić jak wylinkę; szpitalny fartuch był nie do zniesienia, wszystko ją obcierało, podniebienie kłuło, jakby utkwiała tam szorstka skórka od grzanki. Gwen czuła dziką, rozpaczliwą potrzebę, by rodzić nago. Pragnęła rozedrzeć ubranie,

porwać je na strzepy jak Hulk swój laboratoryjny fartuch, gdy z poczciwego profesorka przeistacza się w bestię. Ale był tu z nią ten facet, jej jedyny przyjaciel, który miał jeszcze mniejszą ochotę, by ją oglądać nago niż ona, by się przed nim obnażyć. Wystarczyło już, że jego wzrok tańczył po pokoju jak ogrodowy szlauch pod ciśnieniem, gdy tylko Gwen przewracała się na drugi bok albo siadała. Przerażony, zszokowany, ze spuszczoną głową, cały się kurczył w sobie: pałacowy pacholek, którego oddelegowano we wstrętne trzewia labiryntu, by doglądał ryczącego Minotaura. I jeszcze do tego mrucał pod nosem, jęczał. Brzmiało to, jakby ktoś po naprężonej strunie od fortepianu jeździł wte i wewte metalowym kluczem albo pękniętą rurką do gitarowych slide'ów.

– Nat, chłopie, błagam cię, przestań, do cholery, mrużyć.

– Mrużyć? Jak to? – zdziwił się Nat.

Wstał i po raz dziesiąty otworzył jej telefon, żeby sprawdzić, czy nie uda się dodzwonić do Archy'ego. Gwen była już tym gestem mocno zmęczona; nienawidziła go bardziej niż wszystkich innych nieprawdopodobnie denerwujących rzeczy, które Nat uosabiał, robił i mówił, razem wziętych.

– Zastanów się, czy na pewno chcesz to zrobić, Nat. Bo przysięgam na Boga, że jak tylko Archy Stallings stanie w drzwiach, naślę na niego ochronę.

Akurat miał wcisnąć ostatnią cyfrę i teraz jego palec zawisł nad dziewiątką. Przyglądał się jej z uniesionymi brwiami, rozważając mało prawdopodobną ewentualność, że się przesłyszał.

– Odłóż. Kurwa. Ten telefon – powiedziała.

Nat skinął głową. Usta miał zaciśnięte, oczy wybałuszone i całym sobą mówił: „Ahaaa. Okeeej”. Zamknął komórkę. Mniej więcej wówczas, gdy Gwen wypowiadała wulgarne słowo, do pomieszczenia musiała wrócić pielęgniarka Sally; w każdym razie znów była z nimi. I to, jak zauważyła Gwen, z własną kompozycją zapachową: ekstrakt z migdałów, spocona pacha i jakaś niewybaczalna pochodna gardenii.

– Jak tam, mamuśka, dobrze się czujemy? – zagaiła Sally lekko łamaną pielęgniarską angielszczyzną, przesłodzonym, nieznośnie chichotliwym głosikiem. – Pańska żona chyba na razie, he, he,

utknęła – zwróciła się do Nata. – Ta druga mama, o rany! Naprawdę jej się nie spieszy.

– Dajemy tu radę, Sally – odparła Gwen, starając się upchać w głosie tyle normalności, ile się dało. Była naprawdę zmęczona. Tak bardzo pragnęła mieć już to wszystko za sobą, że zbierało jej się (właśnie teraz, gdy chciałyby sprawiać wrażenie radosnej, świeżuteńkiej, gotowej czekać i czekać) na płacz. – Gadamy sobie.

– O tak – przyznał Nat.

– Jaka częstotliwość? – spytała Sally. Podeszła do zapisu KTG. – Hm – powiedziała. – No, mamuśka, przykro mi. Niestety, pani Shanks. Muszę zawołać lekarza. Wiem, że chciała pani, żeby to była Aviva Jaffe. Słyszałam, że miała pani jakieś spięcie z doktorem Lazarem. Ale uważam, że nie możemy dłużej czekać.

– Ale co się dzieje?

– Wygląda mi to na decelerację. Niewielką, ale jednak. Pora na doktora!

– O nie – wyjąkała Gwen, patrząc za kwiecistymi plecami Sally, która niemal wybiegła. – Tylko nie to.

Ledwie wypowiedziała te słowa, gdzieś w środku znów otworzył się wielki, powolny parasol bólu. Przeczesał jej myśli, brutalnie splątał w warkocz. Ból przyćmił wszystko: salę wraz z wyposażeniem, szept pomp i monitorów, upływ czasu, światło, świat. Męża, który ją porzucił i przez którego na tenże świat sama musiała sprowadzać ich dziecko. Ból, który kazał jej zamknąć oczy.

– Oddychaj tak, no wiesz, hi-hi, hu-hu – zaproponował Nat, wygrzebawszy z zakątków pamięci technikę Lamaze'a. Ale Gwen miała kontrpropozycję:

– Zamknij, kurwa, ryj.

Wiosłowała jak szalona, by utrzymać się na powierzchni, pozostać na fali, gdy ta się wreszcie przełamie. Fala była naprawdę ogromna, największa z dotychczasowych, wysoka, szeroka, głęboka, toczyła się z grzotem, bez końca, niczym trzęsienie ziemi. Wobec takiego żywiołu wola Gwen sprowadziła się ostatecznie do słów „błagam, niech to już się skończy”, powtarzanych chyba całymi godzinami.

Tym razem nie było żadnej pauzy między taktami, żadnej połaci błękitu. Ból po prostu zmienił kierunek, przestawiony na inną zwrotnicę w sterowni jej układu nerwowego, rozwarł stalowe

obejmy ściskające brzuch, wnikając gdzieś niżej, głębiej. Gwen ze zgrozą usłyszała wtedy własne chlipanie, dobiegające jakby z bardzo daleka: błagała Nata, by biegł po Avivę i *wyciągnął* ją z tamtej sali, od tej Calineczki, tej wytatuowanej deski, bo dziecko Gwen rodziło się teraz, *już*, i Aviva musi tu być, musi je złapać. Przez tyle lat Gwen z mieszaniną pogardy, pobłażliwości i litości w różnych proporcjach traktowała owe daremne, nieżyciowe marzenia, te ufne wizje przepelnione delikatną poświatą, ambientem i czymś w rodzaju waginalnego *satori*, rojone w planach porodowych przez ciężarne kobiety. Teraz widziała, że jej własny, na klęskę skazany plan porodowy, choć taki prosty, płonie w jej sercu istnym ogniem utopii. Zakładał tylko jeden element, czyli Avivę, opanowaną, przebiegłą, która nie potrzebowała noży, prochów ani syntetycznych hormonów, by przesznułować na stronę światła życie jej dziecka płci męskiej. Reszta była bez znaczenia, niech po prostu będzie przy niej Aviva Roth-Jaffe. Gwen poprzysięgła Natowi i Sally, która wróciła zapowiedzieć lekarza, że nie da dzieciakowi opuścić jej ciała, że zatrzyma go w sobie, będzie ogryzać paznokcie, przywiąże się lassem do granitowych skał, zagnie czasoprzestrzeń w jeden, nieskończony punkt, ale doczeka przyjścia Avivy.

– Biegnij! – spróbowała i może ciut jej wtedy odbiło. – Jezu, Nat, wole jeden. Biegnij, kurwa, po Avivę!!!

A jednak, gdy tak wrzeszczała, walcząc i klnąc się, że nie wypuści bobasa z imponującego uścisku macicy, to silniej niż rozżalenie wskutek zaprzepaszczonego planu porodowego, a nawet tej najnowszej, a przy tym najpoważniejszej wpadki jej męża, czuła, że musi jednak wypchnąć z siebie to dziecko. Wiedziała, że już za późno, by ktoś gdzieś biegł.

Toteż nikt nigdzie nie pobiegł. Nat podniósł się ociężale, z miną skazańca, jak gdyby właśnie się zdecydował na jakiś nieodwracalny krok. Przypominając sobie później tę chwilę, Gwen widziała go, jak wstępuje w słup ostrego światła.

– Jeszcze chwilkę – skamlała Gwen. – Minutkę. Nat, błagam. Poczekajmy jeszcze na Avivę.

– Nie ma mowy, kurwa – powiedział Nat.

Porzuciła więc swe skromne marzenie o utopii, wypchnęła je z siebie z całą gwałtownością rozczarowania.

– Zaraz się zesram – obwieściła.

– Okej – odparł Nat. – Nie krępuj się.

– To będzie obleśne... Cała jestem obleśna...

– Właśnie, byłbym zapomniał – powiedział Nat. Poszedł do łazienki i umył ręce, namydlając je z dokładnością, którą Gwen uznała za chwalebłą z punktu widzenia higieny, lecz wątpliwą, zważywszy na zbliżające się rozwiązanie, jak również na rozmiar kupy, którą miała za chwilę wydalić z kiszek, a która mogła się okazać przedwczesna.

– O rany – powiedziała. – Och, Nat.

Wybiegł z łazienki, susząc dłonie ręcznikiem. Bez wahania, a przynajmniej tak się zdawało, przeniósł wzrok na jej krocze i powiedział:

– Boże jedyny. No dobra.

Nachylił się, wyciągając ku niej dłonie, zgarbiony jak nad klawiaturą fortepianu. Rozżalona Gwen zmusiła się, by przestać przeć. Na samej granicy furii coś zablokowało frustrację, złość płynącą przez nią swobodnie w ciągu ostatniej godziny; teraz to wszystko napierało jak rzeka na tamę. Gwen balansowała między wściekłością a jej ujściem. Gdzieś pośród warstw świadomości i fizycznych odruchów, niczym ściśnięta w garści chłodna dolarówka, odnalazła się myśl, że jej dziecko będzie kolejnym porzuconym synem, a w dodatku synem porzuconego syna. Spadkobiercą dziejów rozgoryczenia i zdrady, przemocy i krzywdy. Dziedzicem stulecia krzywd, całych imperiów goryczy. Ta złość, którą czuła, nie tylko dziś czy przez ostatnie dziewięć miesięcy, ale przez całe życie, którą karmiła się jak promieniami słońca, którą ładowała akumulatory i płaciła za swój udział w amerykańskim marzeniu, otóż ta złość po raz pierwszy wydała jej się balastem. Czymś zgoła tragicznym. Z czego nie dało się czerpać tak, by nie obarczyć tym samym kolejnych pokoleń.

Wtedy do sali wszedł Archy w kapitańskiej czapce. I stał tak, gapiąc się na nią. Wyglądał fatalnie: pognieciony, rozchełstany, rozczochrany. Tuż przed tym, jak jego synek, cały fioletowy, wpadł z wrzaskiem w historię i w ludzką śmiertelność, serce Gwen popękało jak trafione kamieniem lustro. Niewykłuczone, że pewnego dnia uczucie to upodobni się do przebaczenia, lecz

tymczasem była to jedynie litość: dla Archy'ego, dla jego ojca i jego synów, dla wszystkich mężczyzn, po których dziedziczył i którzy dziedziczyli po nim, od statków z niewolnikami, przez wagony sypialne kolei Union Pacific, aż po siodełko ostrokołowca mknącego chyłkiem, w środku nocy, przez Telegraph Avenue.

A potem już trzymała w ramionach własnego malutkiego mężczyznę o mlecznoniebieskich oczach i zapachu rozgrzanych drobniaków i chociaż nie dostała żadnego środka, żadnego znieczulenia, wydało jej się, że i tak ma lekką fazę, bo mogłaby przysiąc, że razem z pielęgniarką i doktorem Lazarem weszła do sali atrakcyjna, umundurowana czarna policjantka z nazwiskiem LESTER na plakietce (brązowa policjantka, złota pielęgniarka, biały lekarz, nagle zrobiła się z tego jakaś upiorna wersja *Ulicy Sezamkowej*) i poprosiła Nata na korytarz. Nat umył ręce i wymieniwszy ze swoim współnikiem winowajcze wzruszenie ramion, wyszedł w ślad za panią oficer Lester.

– Coś przegapiłem? – spytał Archy.

Subaru outback kombi, rocznik 2002, zielone jak mundur, wjechało na podjazd domu przy Stonewall Road i zaparkowało nad krwiście brązową plamą, pozostałością sprzed pięciu tygodni po volvo Avivy Roth-Jaffe i jego przeciekających uszczelkach. Rudobrody, drobny paterfamilias był pod wiatą: dryfując na krze rozpostartej gazety, przemalowywał białe łóżeczko na niebieski kolor. Dojechał do samego dołu sztachetki, wieńcząc pociągnięcie delikatnym skretem nadgarstka, po czym ułożył pędzel na brzegu otwartej puszeki z farbą i podniósł się z ziemi. Na nogach miał upačkane płowe sandały Naot. Jego bojaźliwy uśmiech wskazywał na to, że ani subaru, ani twarze pasażerów na przednim siedzeniu (ogromnego czarnego faceta w berecie koloru dyniowego i czarnego nastolatka, który, co było widać nawet stąd, przeżywał straszliwy, może nawet śmiertelny skurcz zażenowania) nic mu nie mówią.

– Pan powód – powiedziała siedząca z tyłu kobieta, zasłonięta przez kierowcę, jak również przez ustawiony fachowo, a więc

odwrotnie do kierunku jazdy fotelik, nad którym pochylała się teraz z rozpiętą bluzką, z odczepioną miseczką stanika, sutkiem swym dostarczając jedynej uciechy najmniejszemu pasażerowi, którego rodzice jakiś czas temu posprzecwali się o to, czy dać mu na imię Kudu (jak sugerował ojciec), czy też (na cześć dziadka ze strony matki) Clark. Zdoławszy ułożyć go z powrotem do snu po incydencie wywołanym przez niego z bliżej nieznanych przyczyn w samym środku rejsu, dawała mu napić się do syta.

Właśnie wtedy, gdy z mokrym, korkowym cmoknięciem, od którego wokół starszego brata niechybnie gęstniała pokaźna chmura zażenowania, wyciągała sutek z żywego, drzemiącego teraz naczynka, gdzie właśnie zdekantowano sześćdziesiąt mililitrów gęstego mleka końcowego, przy krawężniku zatrzymał się drugi outback. Wytoczyła się z niego wielorybia, wielmożna sylwetka Michaela Obersteina w brązowo-szarym garniturze, odznaczającym się taką brzydota, że należałoby nazwać go nie tyle kaszmirowym, ile koszmarnym, jego właściciela zaś nie tyle ubranym, ile upchanym.

Archy wysiadł z auta, żeby się z nim przywitać, odczekał korzystając z okazji do oswobodzenia się z ciasnego, nijakiego i odrobinę dolegliwego wnętrza, na które skazał go los, odkąd Archy zgodził się, że legendarny w swej niesolidności el camino '74 nie jest być może najodpowiedniejszym pojazdem dla mężczyzny z rodziną. Sprzedaż el camino stanowiła jedynie część zróżnicowanego pakietu ustępstw, poprawek, postanowień i zadośćuczynień, na jakie przystał w ramach warunków swej repatriacji do domu przy Sześćdziesiątej Pierwszej. Liczył, że pewnego dnia, ominąwszy niezliczone zsuwnie i wspiąwszy się po kilku drabinach, dojdzie ową ścieżką opatrności do ostatecznej łaski: przebaczenia. Niektóre etapy tej pielgrzymki były dla niego bolesne, a on rzadko zabiegał o to, by żonie i synom oszczędzić oznak cierpienia. Nikomu jednak nie zwierzył się z tego, jak gorzko szlochał owego dnia, gdy jakiś koleś z Livermore odjechał sprzed domu jego el camino.

Uniósł dłoń, witając Moby'ego, który męczył jeszcze w bocznym lusterku węzeł krawata. Archy skinął następnie powodowi stojącemu przy pół białym, pół niebieskim łóżeczku. Garth miał na

twarży wypisaną czujność, nieufność, wyczerpanie i, tak jak Archy, niedostatek snu.

– Żona zaraz wysiądzie – powiedział Archy. – Chłopak kończy przekazkę.

Powód kiwnął głową i z powrotem przeniósł wzrok na łóżeczko. Jego spojrzenie było pełne żalu albo tęsknoty, jak gdyby perspektywa dalszego malowania była znacznie przyjemniejsza od tego, co zamyśliła sobie Gwen.

Radio na stole warsztatowym w głębi wiaty donosiło o zarzutach wobec Miguela Tejady, a pod radiem, zapięte w bujaczku, leżało niemowlę, zarzewie konfliktu, i odstawiało jakieś skomplikowane mudry. Archy nie pamiętał płci ani imienia. Zauważył, że dziecko ma coś ze skórą, jakieś dziwne znamiona, przebarwienia na palcach i twarzy. W piersi Archy'ego rozpałił się lont paniki; nie przypuszczał dotąd, że Garth może faktycznie mieć jakieś podstawy do pozwu. Ale wtedy zorientował się, że znamiona mają odcień bardzo podobny do plam na szczelisku do połowy pomalowanego łóżeczka.

– Nie wpadłem na to, że będzie chciała polizać – powiedział Garth.

– O ile dobrze rozumiem, one liżą, co popadnie – odparł Archy.

– Joł, Arch – zawołał Moby. – Siema. Panie Newgrange, nazywam się Mike Oberstein, rozmawialiśmy przez telefon.

Moby przynajmniej tym razem darował sobie teatralne zółwiki i piąteczki, dotoczył się do Gartha Newgrange'a i zwyczajnie podał mu grabę. Odwrócił się z powrotem do auta, a tymczasem Gwen wygramoliła się z tylnego siedzenia, przejechała palcem po guzikach bluzki i obciągnęła sukienkę, by zakryć dołeczki w kolanach.

– Hej, Gwen.

– Cześć, Moby. Dzień dobry, Garth.

Moby już wcześniej go ugadał, ustalił, że przyjadą, ale Garth i tak sprawiał wrażenie człowieka w potrzasku. Skrzyżował ramiona i wciągnął głęboko powietrze.

– Dzień dobry.

– To mój mąż, Archy. Archy, poznaj Gartha.

Archy'emu udało się nakłonić faceta, by wysupłał jedną dłoń i mu ją podał. Była drobna, nakrapiana melaninami i lateksowym

półmatem.

– A tam w samochodzie jest Titus, syn Archy’ego. Titus, wysiądź no z auta i przywitaj się z panem jak należy.

Titus (działając w ramach skromniejszego pakietu wynegocjowanego z Gwen, który obejmował zakwaterowanie, wyżywienie, a u kresu własnej ścieżki w *Candyland* mglisty domek z piernika kryty dachem z różowego lukru, czyli rodzinę, która go pokocha i zjebie mu życie) natychmiast wysiadł, zadośćuczynił etykietę kontaktów z nieznanymi, po czym równie szybko wrócił do samochodu. Ów przybysz z odległego świata wciąż tylko bawił z wizytą na ich planecie, ale Archy uznał, że z czasem chłopak przystosuje się do tutejszej grawitacji i mikrofauny. Przez większość czasu trzymał się blisko niemowlęcia, jak gdyby kosmiczną otchłań przewędrował właśnie po to, by przeprowadzić na Clarku swe tajemne badania.

– O – powiedziała Gwen, zauważywszy upačkane farbą dziecko w bujaczku. – Jest i mała Bella.

– Jest – zgodził się Garth, nie dodając: „Żadna w tym twoja zasługa”.

Zapanowała niezręczna cisza, której Archy nie miał siły ani odwagi przerwać.

– Czy moglibyśmy... Garth, pomyślałam sobie, że my, wiesz, ja i ty, że moglibyśmy pogadać? – Gwen wskazała schody, które prowadziły w dół z boczka, z pewnością ku domowi.

– Możemy tutaj – burknął Garth.

Gwen zamrugnęła, zerknęła na Moby’ego.

– Okej – stwierdziła. – W porządku. Tak czy inaczej, ta sprawa nie zajmie chyba zbyt dużo czasu. Właściwie są to dwa słowa. Powinnam była powiedzieć ci je dawno temu, tego dnia, kiedy urodziła się Bella. Ale to nie są, to nigdy nie były słowa, które przychodzą mi z łatwością. Nie wiem czemu. Może dlatego, i nie chcę się tu usprawiedliwiać, ale może ma to coś wspólnego z tym, jak zostałam wychowana. W takim duchu, że właściwie za nic nie muszę przeproszać. I że taka postawa może się stać moją... jak by to ująć? Zasadą. Polityką. Ale nawet jeśli tak jest w szerszym, wiesz, w historycznym sensie, to na poziomie osobistym...

– Miałem ci zwrócić uwagę, jak zaczniesz paplać – wtrącił Moby.

– Dwa słowa – powtórzyła Gwen, jakby do siebie.

Archy delectował się tą sytuacją. Od paru tygodni był w niełasce: głębokiej, przestronnej i doskonale strzeżonej. Próbował sobie przypomnieć, czy kiedykolwiek słyszał z ust Gwen (prócz przypadków całkowicie rutynowych) słowa, które właśnie wypowiadała, opornie, ale przekonująco.

– Przykro mi – powiedziała.

Zdawało się, że chętnie by na tym poprzestała, ale Garth nadal stał z założonymi rękami, marszcząc brwi i nie zdradzając szczególnego skoku temperatury, a Moby uniósł znacząco brew ku płetwom grzywki.

– Przykro mi, że straciłam wtedy panowanie nad sobą – powiedziała Gwen. – Z tamtym lekarzem. Pozwoliłam, by moje... moje...

– Zadufanie? – życzliwie podpowiedział Archy.

Gwen założyła grymas gniewu na cięciwę, wycelowwała w Archy'ego, ale opuściła łuk i pokiwała głową.

– Zadufanie. Przewrażliwienie. To chyba dwie strony tego samego, i chyba dlatego tak trudno mi przeprosić. Ale przepraszam i naprawdę jest mi przykro. W tamtym momencie powinnam się była skupić na Lydii i na dziecku, na niczym innym. A ja je zawiodłam, ciebie też zawiodłam i dzięki Bogu, że ta wasza dziecina jest zdrowa i śliczna, bo gdyby coś jej się stało... – Czują, że emocje biorą górę, ale udało jej się nad nimi zapanować. Mówiła dalej. – Rozumiem twoją złość. Przyjmuję ją. Ale mam też nadzieję, że byłbyś w stanie mi przebaczyć.

– Okej – powiedział Garth.

– Okej, przebaczasz mi?

– Jasne – powiedział. – Czemu nie?

– Czy to znaczy... – spytał Moby. – Niech pan się nie gniewa, ale jako nieformalny adwokat Gwen muszę się upewnić. Wycofuje pan pozew przeciwko niej i Avivie?

– Nie ma sprawy – odparł Garth.

Gdy już wrócili do samochodu i odjechali, Gwen całkiem się rozkleiła. Płakała przez całą drogę; uspokoiła się dopiero na wysokości hotelu Claremont.

– Myślę, że powinieneś spróbować, polecam – powiedziała.

- Już próbowałem – odparł Archy. – Nie zadziałało.
- Wtedy jeszcze nie byłem gotowa – wyjaśniła Gwen. – Nie wiedziałam, że to takie świetne uczucie.
- No dobra – powiedział Archy. – Przepraszam cię, Gwen. Tyle razy zjebałem, i to na tyle różnych sposobów, że jest mi po prostu strasznie przykro. Czy myślisz, że byłabyś w stanie mi przebaczyć?
- Nie – odparowała Gwen.
- Co?
- Ale prawie.

Zerknął na siedzącego obok chłopaka, który nie odrywał wzroku od drogi. Choć jego twarz nie zdradzała niczego szczególnego, jakoś dziwnie lśniły mu oczy.

– No dobra. Titus, ciebie też przepraszam. Przykro mi, że przez pierwsze czternaście lat twojego życia nie byłem dla ciebie żadnym ojcem. Wyrósł z ciebie porządny młody facet i chciałbym odtąd traktować cię jak należy. Czy sądzisz, że pewnego dnia będziesz w stanie mi przebaczyć?

– Okej – powiedziała Gwen. – I o to chodzi. Nieźle ci idzie.

Wtedy zatrzymali się na czerwonym i dzidzius znów się obudził, niepokieszony i głodny, więc Archy wcisnął gaz do dechy, żeby jak najszybciej dowieźć ich do domu. Dopiero po kilku tygodniach olśniło go, że nie doczekał się od Titusa żadnej odpowiedzi, ale wtedy sprawa nie wydawała się już taka pilna.

Archy i Nat spotkali się na miejscu. Były to dwa amfiladowe pomieszczenia na piętrze w niewielkiej dzielnicy handlowej z lat dwudziestych, na samej granicy między Berkeley a Oakland. Czerwone dachówki, dębowy strop, sztukateria w odcieniu skóry Leny Horne. Wśród najmowanych lokali na parterze był sklep z hardkorowymi rowerami, awangardowa pasmanteria i punkt sprzedaży klasycznych wzmacniaczy lampowych.

– Już jest całkiem sporo szajbusów – zauważył Archy. – Idealnie się wpasujesz.

– Bardzo śmieszne – odparł Nat. Mierzył krokami większy z dwóch pokoi, obmyślając, gdzie rozstawi półki, wypełniając je niewidzialnymi winylami. Od ściany do ściany, od podłogi do sufitu. Szatan projektujący pandemonium. – Półtorej tony płyt na drugim piętrze. To cię w ogóle nie stresuje?

– Była całościowa modernizacja – powiedział Archy. – W dwa tysiące pierwszym. Poprzedni właściciel miał tu klub pilates. A wiesz, że ci to mają w chuj ciężki sprzęt.

– O dziwo, miałem w życiu bardzo niewiele do czynienia ze sprzętem do pilatesu.

– Jest ciężki – powiedział Archy, dając wyraz cierpliwości. – Pan Singletary kazał wzmocnić całą podłogę, kosztowało to coś koło dziesięciu tysi.

– Pan Singletary – powtórzył Nat.

Archy dotknął dłonią podbródka, ściągnął ramiona, pokręcił głową. Na jego twarz wypłynął zażenowany uśmiezek.

– Czyli teraz oprócz budynku skurwiel będzie miał na własność *towar* – powiedział Nat. – Chociaż muzykę ma w dupie.

– Lubi Peabo Brysona.

– Peabo jest w sumie niedoceniany – powiedział Nat.

– Nie przez pana Singletary’ego.

– Ha.

Niemowlak się obudził i zaczął robić aferę. Z kieszeni na biodrze samochodowego płaszcza ze skóry Archy dobył butelkę Avent, ściągnął z niej pokrywkę, powąchał smoczek. Kucnął przy foteliku, żeby zainteresować syna butelką, przystawił mu ją do ust i czekał, aż mały znów zapadnie w drzemkę.

– Tyle zachodu, żeby się takiego dorobić – powiedział Archy. – A potem cały czas się tylko modlisz, żeby chujek zasnął.

– Ale wszystko z nim dobrze?

– Chyba tak.

– Odżywka?

– Resztką mrożonego mleka z piersi.

– Nie mogłaby wam pomóc konsultantka laktacyjna?

– Nat, litości.

– Przepraszam.

– Jednego dzieciaka złapał i już Liga La Leche.

– To ile za wynajem?

– Osiemset.

– Aua.

– W tym woda i wywóz śmieci. Jedna trzecia udziałów w połowie łązienki. Powiedziałbym, że to niewiele jak za budynek tak fantastycznego kalibru.

– Domyślam się – odparł Nat. – Brzmi dokładnie jak coś, co powiedziałby prawdziwy agent nieruchomości.

– No, ej, w tę gadkę to ja umiem – przyznał Archy. – Ale na egzaminie tego nie dadzą.

– Będziesz podchodzić?

– Jeszcze się nie zdecydowałem.

– Ten mały to jest świetny patent. Kto by nie chciał kupić domu od wielgachnego czarnego przymilasa z tak prześlicznym niemowlakiem?

Archy rozważył pytanie.

– Prawie nikt.

– Myślę, że musisz spróbować.

– No, ty też – powiedział Archy. – Pan Singletary... Garnet... tak się ślimaczysz, że już na pewno mu się odwidziała ta pochopna oferta.

Nat objął wzrokiem nagie płytki podłogowe, czarne i lśniące jak analogi, ściany świeżo pomalowane na biało i trzy okienka wychodzące na uliczkę za budynkiem.

– Nie będzie kontuaru. Nikt nie przyjdzie posiedzieć, pogadać o bzdetach – powiedział. – Myślałem, że Garnet tylko po to przychodził do Brokeland Records.

– Coś go do tej szczodrości natchnęło. Śmierć pana Jonesa. Wtopa Chana Flowersa z Dogpile Thang. G Bad przenosi cały kram do Frisco. Do Hunters Point.

– Ja słyszałem, że do Visitacion Valley.

– Ale naprawdę, Nat, coś czuję, że mu się ten dobry nastrój zaraz skończy. Chan Flowers już się pozbierał, już strzepuje pył z ramienia. Przerzuca winę, pociąga za sznurki. Już jeden koleś poleciał w Biurze Rozwoju Gospodarczego, bo „władze miasta straciły Dogpile”. I tak dalej, i tak dalej. A ten, co go zwolnili, to wiesz kto? Szwagier radnego Abreu.

– Nie będzie kontuaru – powiedział Nat, podejmując wcześniejszą myśl. – Ani pojemników. Ani separatorów, po których pisze się mazakiem. Ani tego cudnego frontowego okna, przez które można było patrzeć na świat. Nie będzie klientów.

– Oczywiście, że miałbyś klientów – powiedział Archy. – I to z całego świata. Z każdej strefy czasowej. Pomyśl tylko, jakiś koleś z Samoa albo innego, kurwa, Madagaskaru uderzałby do ciebie po pierwsze tłoczenie Blue Note 1568, gruborowkowe, mono, za pięć tysi. W każdym razie mówi się, nie zdradzę kto, ale powiedzmy, że panuje co do tego zgoda, Nat, że akurat kontakty z ludźmi nie są twoją najmocniejszą stroną.

– Ja lubię ludzi, tak w teorii – upierał się Nat. – To właśnie było fajne w Brokeland Records. Że to wszystko była tylko taka nasza teoria.

– Najwyraźniej – zgodził się Archy.

– Czyli co, mówisz, że czas się ogarnąć? Przeprowadzić do realu?

– Daję ci pożyteczny przykład.

– Sprzedając nieruchomości. Fakt, real na poziomie eksperckim.

– To tylko jeden z moich sposobów.

– Za to moim biletem do realu ma być strona internetowa, przez którą będę opylał wstawione w komis czterdziestoletnie krążki winylu niewidzialnym Samończykom.

– Dałem panu Singletary'emu zajrzeć do naszej księgowości – powiedział Archy.

– Że co?

– No. Pooglądał sobie. Naprawdę dokładnie.

Nat aż się wzdrygnął.

– Odważny człowiek.

– Zadawał mnóstwo pytań. Czy znam ludzi, którzy próbują szczęścia w sieci, jak im idzie, czy sprzedają przez eBay, czy przez własny sklep internetowy, czy jeszcze jakoś inaczej. Chyba nawet zrobił rozeznanie, gadał na przykład z tym koleśkiem ze sklepu pocztowego o kosztach wysyłki. I uważa, że to by ci się mogło udać. Wyprzedałbyś szelaki pana Jonesa. Ty byś zarobił i spadkobiercy też. Bo wiesz, Nat, jeśli Garnet Singletary zwęszył tu jakiś zysk, to myślę, że powinienes się wokół tego zakreć.

– Zaraz, to mam się ogarnąć i jeszcze się zakręcić? – spytał Nat. – Jednocześnie?

Pusta butelka wypadła Clarkowi z rączek i hałas natychmiast go obudził.

– O rany – powiedział Archy. – Okej, ludku. Wszystko gra. – Odpiąwszy malucha, chwycił go i wyciągnął z fotelika. Jedna dłoń objęła pupkę, druga wygrywała triole na plecach bobasa. Na Clarku nie zrobiło to wrażenia. Jego ojciec musiał z drugiej kieszeni płaszcza samochodowego à la John Shaft wyłowić ogromny brelok zbrojny w dziesiątki kluczy, a każdy ze stemplem NIE KOPIOWAĆ i napisem SINGLETARY: OBRÓT NIERUCHOMOŚCIAMI na zielonej plastikowej kopertce. Archy zabrzęczał kluczami tuż przed nosem Clarka, który wsłuchiwał się w ten hałas z ewidentnym przerażeniem. Archy chciał podać chłopcu brelok, żeby sam mógł sobie nim podzwonić, ale klucze brzęknęły o podłogowe płytki i Clark niemal wyskoczył ze swojego kombinezoniku OshKosh.

– O ja. – Nat był pod wrażeniem. – Płucka to on ma niezłe.

– A czasem trzeba zrobić coś takiego – powiedział Archy, biorąc syna pod rączki i poddając go zdecydowanej oscylacji: dłonie ojca to wznosiły się, to nurkowały z regularnością zegarowego wahadła. Po chwili, zsynchronizowany z ruchem obrotowym Ziemi, a może po prostu oszołomiony nagłym wzrostem prędkości, Clark nieco się uspokoił. Wciąż jednak nie był gotów całkowicie zaangażować się w milczenie. Do ruchu wahadłowego Archy dodał więc uzupełniający manewr nożny, harmonijny wymach w górę i w dół.

W drzwiach pustej amfilady pojawił się Titus Joyner. Obserwował nedorzeczny taniec ojca z niekłamana, lecz być może dobrotliwą pogardą.

– No co? – spytał Archy.

Titus uniósł dłoń z komórką Archy'ego.

– Zostawiłeś w aucie – powiedział. – Ona dzwoniła.

– Ile razy mam ci, do cholery, powtarzać, żebyś nie mówił „ona”?

– Gwen. To ona dzwoniła.

– Tak? Clark, człeni, weź już wyluzuj. I co mówiła?

– Żebyś nie zapomniał, że wieczorem jest w pracy. W szpitalu.

– O w mordę, faktycznie zapomniałem. Kolację muszę wykombinować. – Spojrzał na Nata. – Gwen zaczęła pracę

w Chimesie, na pół etatu. Pielęgniarka ze specjalizacją położniczą.

- Słyszałem. Aviva spotkała ją na oddziale.
- Przyda się jednak jakiś dopływ gotówki.
- Tak się właśnie domyślaliśmy. Studia medyczne dadzą popalić?
- A jak sądzisz?
- Przecież mogłaby dostać stypendium. Bystra, doświadczona.

Która uczelnia by takiej nie chciała?

- Dziś aż tryskasz różowymi wizjami naszej przyszłości.
- Tylko cytuję Avivę.
- Gwen się martwi, że Aviva ciągle jest na nią wściekła.
- No wiesz, to jednak był cios. Wyobrażasz sobie chyba.
- Wyobrażam sobie.
- Coś jak rozwód. Nie przestajesz tak z miejsca... To znaczy jesteś wściekły, no ale. Może go przejmę na chwilę?
- Nie, stary, dzięki. Pod kontrolą.
- No więc nie przestajesz kochać tej osoby. Tęsknisz za nią.
- To prawda.
- Weź, daj mi trochę potrzymać tego pana!

Terapia wahadłem dawno straciła swój niedoskonały urok, więc Archy wzruszył ramionami i przekazał Natowi dzieciaka, którego wrzaski nabierały już jakiejś kociej chrypliwości.

– Hej, chłopaku. Już dobrze. Chyba jesteśmy kumplami, co? Taaak, my się z Clarkiem znamy nie od dziś.

Lecz choć Nat mruczał pod adresem małego swój najbardziej sonorny, senny materiał, uciszanie nie szło mu ani trochę sprawniej niż Archy'emu.

- Dajcie go – powiedział Titus.

Archy wyraził zgodę skinieniem głowy i Nat przekazał niemowlaka jego starszemu bratu, który wyniósł go z amfilady i ruszył korytarzem ku starym schodom z terakoty. Nim wyszli na dwór, Clarkowi skończyły się powody do narzekania. Leżał na wznak w zgięciu Titusowego ramienia, ciepły, spocony i pachnący zsiadłym mlekiem. Październikowe słońce było przyćmione, łagodne. Do Halloween brakowało jeszcze tygodnia, ale Julie Jaffe, który właśnie zjawił się na horyzoncie wraz ze swoją deskorolką, już był gotowy. Cały na czarno: marynarka, długie spodnie i kowbojski krawat, jak Val Kilmer w *Tombstone*. Na prawej ręce długa

poprzecierana rękawiczka z fioletowej satyny, ze spiczastymi płetewkami. Włosy ufarbowane na matową czerń, kolor tajemnicy, który pochłania całe światło, niczego nie odbijając. Czarne włosy i rude piegi, nieco dziwna kombinacja, ale jakoś mu się to udawało. W uszach wciąż miał białe słuchawki. Julie nadepnął na taila i deska sama wskoczyła mu w objęcia.

– Co tam? – powiedział.

– Joł, stestuj gościa – zaśmiał się Titus. – Normalnie Johnny Cash.

Julie wyciągnął obie słuchawki, pyk, pyk. Spojrzał na niemowlaka, zrobił zeza i posłał mu całusa. Wyciągnął palec i samym czubkiem dotknął łezki, która przylgnęła Clarkowi do policzka.

– Czemu płakał?

– A bo to mu trzeba powodu – odparł Titus.

– Widziałem cię, no, wczoraj, jak wychodziłeś z Fred's Deli.

– Aha.

– I była z tobą ta Kezia. Ładna.

– Ujdzie.

– Chodziliśmy razem do gimnazjum. W sumie do przedszkola też. Zawsze była dla mnie bardzo miła.

– Też cię pamięta.

– I tamtych gości, tego Dariusa i, no, Tariqą. Ich też znam. Są w porządku.

– Aha.

– Znaczy, no, mogłeś gorzej trafić. Fajnie, że się zakumplowałeś. Czy coś.

– Julie.

– Przepraszam.

Titus odwrócił wzrok. Z zaciśniętymi ustami patrzył na mijające ich auta i widać było, że stara się cierpliwie znieść rozdrażnienie.

– Coś wszyscy beczą ostatnio – zauważył.

Starając się nie patrzeć na Juliego, podał mu wielorazową pieluchę, która trafiła tu razem z jego bratem, przyczepiona elektrostatyką do piżamki. Julie otarł pieluchą oczy. Zostały na niej smugi męskiej kredki do oczu, istna kaligrafia smutku.

– Przepraszam – powiedział Julie. – Jestem taki beznadziejny.

– E tam, wyluzuj.

– Też się zakumplowałem z paroma osobami.

– Wiem.

Stali przy pasie awaryjnym ulicy, która niosła ich kiedyś w mrok kilku letnich poranków, dziś już bezpowrotnie minionych.

– O ja pierdole, która godzina? – przerwał wreszcie ciszę Julie.

– Koło trzeciej?

– Kurwa. Tata nie może się spóźnić. Mama mnie po niego wysłała, na pewno ma wyłączoną komórkę. Na górze są?

– No. A na co nie może się spóźnić?

Julie odczekał z odpowiedzią, wziął głęboki wdech. Przewrócił oczami.

– Na zbieranie śmieci nad jeziorem Merritt.

– O w mordę.

– No nie? I jak ja mam nie być beznadziejny?

– Ale żeby ukraść zeppelin... To jest jednak jakby zajebiste.

– Wcale nie jest. On go po prostu odwiązał. Zeppelin sobie poleciał, wylądował gdzieś w Utah. Dobra, idę po ojca.

Julie wszedł do środka, a Titus usiadł na zewnątrz, na najwyższym stopniu. Posadził Clarka obok siebie, podtrzymując go pod pachami, i przez chwilę udawali, że Clark umie siedzieć. Jeśli chodziło o rozrywkę, na tym etapie był to w zasadzie szczyt jego możliwości. Po kilku minutach tej wyśmienitej zabawy w drzwiach znów pojawił się Julie, a za nim Nat. Titus wziął Clarka na rękę, znów układając go sobie w zgięciu ramienia.

– Archy już zamyka – powiedział Nat do Titusa. – Zaraz zejdzie.

– Dobra.

– Macochę pozdrów ode mnie.

– W porządku.

Nat poszedł do saaba, na którym wciąż znać było ślady okrutnego losu, jaki zgotowała mu druciana siatka, wsiadł i pojechał spłacać dług wobec społeczeństwa – wśród wiecznych śniegów gęsiego gówna na plaży jeziora Merritt.

Titus i Julie spleli palce dłoni (jednej gołej, drugiej urękawiczonej), równocześnie je wyszarpnęli i zderzyli się lekko pięściami. Potem Julie ustawił deskorolkę na ulicy.

– Ej joł, Artysto Znany Wcześniej Jako Julie – powiedział Titus. Julie się odwrócił. – Wieczorem pewnie będę. Tak koło dziesiątej?

Spotkajmy się w Wakandzie.

– Jak zdążę z pracą domową – odparł Julie. – Jasne. – Wskoczył na blat deski, odepchnął się nogą i poturkotał chodnikiem, zostawiając Titusa za sobą.

– To jak, nie będziecie nic robić razem? – spytał Archy, który właśnie zszedł na dół, huśtając pustym fotelikiem, i zamknął drzwi frontowe kluczem z rozdzwonionego breloka.

– Może się zgadamy w MTO. Masz go tu. No idź – zwrócił się Titus do Clarka, przekazując opiekę nad maluchem ojcu. – Bo pachniesz, koleś, jak ser. A konkretnie jak Monterey Jack.

Atmosfera między Archym i Clarkiem znacznie się poprawiła od ich poprzedniego spotkania.

– Co mu zrobiłeś? – spytał Archy Titusa.

– Nic.

Patrzyli za Juliem, który mknął na desce w to październikowe popołudnie i tylko raz obejrzał się za siebie.

– Dalej gra jako dziewczyna?

– Tak.

– Jak się nazywa?

– Dezire. Przez „z”.

Archy z wolna pokręcił głową, sytuując tym samym swoją reakcję gdzieś między podziwem a pogardą.

– To tak się teraz kumplujecie. W grze. On jest dziewczyną, a ty jesteś, jak mu tam?

– Black Answer.

– Właśnie. Dezire i Black Answer na mieście. W Wakandzie.

– Głównie to się spotykamy w Niebieskiej Strefie Księżyca.

– Nie no, jasne. – Archy zapiął Clarka w foteliku i zakotwiczył go w bazie na tylnym siedzeniu kombi. – Co nie, mały? – powiedział do niemowlaka. – Gdzieżby indziej?

Clark, nic jeszcze nie wiedząc o postulowanym w komiksach Marvela krytym kopułą schronie po drugiej stronie Księżyca, nijak tej informacji nie skomentował.

– To jest właściwie jedyne miejsce – powiedział Titus.

Wgramolił się na tylne siedzenie, by móc w razie potrzeby robić do Clarka śmieszne miny albo podać mu butelkę. Archy ruszył

Telegraph Avenue w stronę domu, ale kiedy dojechali na Sześćdziesiątą Pierwszą, przegapił skręt.

– Gdzie jedziemy? – spytał Titus.

– Do Wakandy – odparł Archy.

– Gdzie?

– Do Niebieskiej Strefy Księżyca.

Ale gdy tam dojechali, nie zatrzymał się. Ślamazarne, nijakie kombi subaru, w którym pachniało niemowlakiem, zwolniło tylko na tyle, by zdążyli obejrzeć transparent głoszący czcionką jak z baseballowych bluz, że lada chwila otworzy się tu, między Federacją Pączków a Królem Lansu, sklep z kartami kolekcjonerskimi, pod nazwą Dzielnica Pana Nostalgii. Od czwartej klasy, czyli odkąd miał jakieś dziesięć lat, Archy nie interesował się szczególnie kartami baseballowymi, ale potrafił wczuć się w tę konkretną szajbę. Wiedział, że już nigdy nie będzie mógł wejść do tego budynku, bo chyba pękłoby mu serce, ale rozumiał też, że to nowe przedsięwzięcie ufundowane jest na jakiejś obietnicy. A to (przynajmniej zasadniczo) pochwalał. Nie chodziło o towar ani nawet o nostalgię. Najważniejsza była właśnie dzielnica, ta przestrzeń, w której można było dzielić smutki, topiąc je we wspólnej pasji, w rozmowach, które z minuty na minutę stawały się coraz bardziej uczone i wariackie.

– Mam nadzieję, że ci się uda – powiedział do Pana Nostalgii, kimkolwiek koleś był. – Serio, brachu, naprawdę mam taką nadzieję.

Powoli zdjął stopę z hamulca i auto potoczyło się dalej, a on rozmyślał, że może jednak, pewnego dnia, za parę lat, pozbiera się na tyle, że będzie miał odwagę tam zajrzeć. Wejdzie, przywita się, sypnie wiedzą, historią, opowie tamtemu o zakładzie fryzjerskim Angelo, a potem o zakładzie Spencera i o Epoce Brokeland Records. I zobaczy, jak tym razem udało się poskładać świat z kawałków.

Berkeley, Kalifornia

30 września 2011

Podziękowania

Następujący wierzyciele, prekursorzy, facylitatorzy, weryfikatorzy, dobrodzieje, czytelnicy oraz zwolennicy tej książki zostają niniejszym zwolnieni od odpowiedzialności za jej wady:

MacDowell Colony w Peterborough (New Hampshire); Dagmar i Ray Dolby; Steven Barclay i Garth Bixler; Philip Pavel oraz personel Chateau Marmont w Los Angeles; Headlands Institute w Sausalito; Mesa Refuge w Point Reyes Station (Kalifornia); Zak Borovay (muzyka); Kent Randolph (winyle); Beah Haber i Nancy Bardacke (położnictwo i akuszerstwo); Adam Savage (wyzwalanie aerostatów); TaNehisi Coates; Daniel Mendelsohn; Dave Eggers; Jennifer Barth; Mary Evans; Amy Cray; David i Arla Manson; Jonathan Burnham; Michael McKenzie; Howie Sanders; David Colden; Scott Rudin; Sophie, Zeke (MTO!), IdaRose i Abraham Chabon; Magazyn „Wax Poetics” (redaktor naczelny Andre Torres); Josiah Howard, *Blaxploitation Cinema: The Essential Reference Guide*; Yvonne D. Sims, *Women of Blaxploitation*; Flores Alexander Forbes, *Will You Die with Me?: My Life and the Black Panther Party*; Nelson George, *The Death of Rhythm and Blues*; Blaxploitation.com (www.blaxploitation.com); Oakland Geology (<http://oaklandgeology.wordpress.com/>); Funky16Corners (<http://funky16corners.lunarpages.net/>); Birth Stories Diaries (www.birthdiaries.com). Oraz James Rouse, marzyciel z prawdziwego Brokelandu.

Powieść napisano w programie Scrivener na komputerach Apple Macintosh.

Od tłumacza

Tłumacz, cień autora, jego śladem podziękować pragnie wszystkim tym, którzy pomogli w pracy nad polską wersją tej książki (a pytań przy niej było mnóstwo). Wyrazy wdzięczności raczą przyjąć pierwsi czytelnicy: Marcin Wróbel vel Marceli Szpak, Łukasz Najder i – jak zawsze – moja żona, Paulina Ambroży. Za troskliwą opiekę nad redakcją przekładu chciałbym podziękować p. Marynie Wirchanowskiej. Napracował się dr n. med. Jan Bieńkiewicz (Instytut Centrum Zdrowia Matki Polki), który przeczytał uważnie spory kawałek przekładu i wprowadzał mnie w tajniki położnictwa. W sprawach związanych ze sportami amerykańskimi nieoceniona była pomoc Jakuba Kaczmarka (Polskie Centrum Futbolu Amerykańskiego, nfl24.pl), Roberta Roggenbucka (baseball.pl) i Sylwii Rzedzickiej. W kwestiach związanych ze sprzętem muzycznym mogłem liczyć na Pawła Słomkę z wrocławskiego sklepu muzyczny.pl (al. Armii Krajowej 5), a o specyficie płyt analogowych rozmawiałem z Krzysztofem Stangierskim z łódzkiego sklepu Winyl Love (Piotrkowska 59). Zawsze chętni do konsultowania tego czy owego, od rowerów po kulinaria, lingwistykę, *Star Trek* czy sprawy przekładowe, byli: Ewa Brzezińska, Marek Majer, Kaja Gucio, Marek Jedliński, Kondzio Kalinowski, Zosia Baran, Aga Ambroży, Piotrek Płomiński, Kinga Piotrowiak-Junkiert, Agata Ostrowska, Maciek Świerkocki i Marta Maro. W rozwikłaniu paru spraw językowych (w paru różnych językach!) pomogli Piotr Paziński, Norman Ravvin, Mark Tardi i Jurek Wołk-Łaniewski. Kilka powiedzonek jak zwykle podkradłem Bartowi Kawiorskiemu. Wszystkim (także tym niewymienionym tu z nazwiska) jestem bardzo wdzięczny.

¹ „Brokeland” jest złożeniem nazw dwóch sąsiednich miast: Berkeley i Oakland, ale pobrzmiewają w tym określeniu też słowa broke („zrujnowany”, „bankrut”, a nawet „połamany”) oraz land, czyli „ziemia”, „kraina”. [Wszystkie przypisy pochodzą od tłumacza].

² Obie nazwy są znaczące. Pierwsza, Dogpile, dotyczy sytuacji w futbolu amerykańskim, do której dochodzi najczęściej podczas biegów i w wyniku upuszczenia piłki przez zawodnika, kiedy pozostali rzucają się na nią, przepychając się i kładąc jeden na drugim. Angielskie pile to „sterta”, „stos”, „kupa”, dlatego nazwa kojarzy się również z psią kupą. Thang (czyli wariant thing w potocznym języku czarnoskórych Amerykanów), określenie nacechowane pozytywnie, obejmuje szereg znaczeń związanych ze sferą seksualną, a więc na przykład genitalia.

³ Lionel Wilson – pierwszy czarnoskóry burmistrz Oakland. Wybrany z ramienia Partii Demokratycznej, od końca lat 70. do początku 90. sprawował urząd trzykrotnie.

⁴ Alice Waters – kulinarna trendsetterka, właścicielka słynnej organicznej restauracji Chez Panisse w Berkeley.

⁵ The Crucible – mieszcząca się w Oakland organizacja non profit, której celem jest wspieranie więzów między społecznością lokalną, artystami i przemysłem.

⁶ Aluzja do Eddiego Cantora (właściwie Edwarda Israela Itzkowitza), amerykańskiego komika i piosenkarza, który cieszył się niezwykle popularnością od lat dwudziestych do pięćdziesiątych.

⁷ Cytat z *Rozmyślań* Marka Aureliusza w przekładzie Mariana Reitera, Warszawa 1958, s. 18.

⁸ Chodzi o dziewiętnastowiecznego poetę i pioniera, Joaquina Millera.

⁹ Cytat z piosenki Kansas pt. *Portrait (He Knew)*.

¹⁰ Kolejny cytat z piosenki *Portrait (He Knew)* Kansas.

¹¹ Cytat z piosenki Jethro Tull *Bungle in the Jungle*.

¹² *Koniec szlaku (The End of the Trail)* – pomnik autorstwa Jamesa Earla Fräsera znajdujący się w Waupin w stanie Wisconsin. Przedstawia umęczonego rdzennego Amerykanina na koniu, u kresu Szlaku Łez, czyli przymusowej deportacji w latach 30. XIX w. Zarys tej postaci pojawia się również na okładce płyty Beach Boys pt. *Surf's Up*.

¹³ Cytat z piosenki *I Know You Got Soul* (1987) duetu raperskiego Eric B. & Rakim.

¹⁴ Chodzi o współbrzmienie słów *Sunday* (niedziela) i *sundae* (deser lodowy).

¹⁵ WPA – Works Progress Administration, federalny program zatrudniania bezrobotnych w latach 1935–1943; jeden z elementów wprowadzonej przez Roosevelta polityki Nowego Ładu.

¹⁶ Nazwa nawiązuje do słynnej sekwencji marszów wojskowych angielskiego kompozytora Edwarda Elgara, której tytuł, *Pomp and Circumstance*, odnosi się do wielkiej parady. Podstawione w miejsce pierwszego słowa „bomp” sugeruje nowoczesny, dudniący rytm.

¹⁷ (hiszp.) „Wejdz. Proszę, wejdz, mogę cię w tej chwili przyjąć”. „Bardzo mi przykro, ale mam bardzo ważne śniadanie o wpół do ósmej i nie mogę czekać”.

¹⁸ (hiszp.) „Świetnie pani mówi po hiszpańsku!”. „Spędziłam dwa lata w Gwatemali. Uczyłam Majów Kicze zarządzać kooperatywą tkacką”.

¹⁹ William Szekspir, *Juliusz Cezar*, tłum. Leon Ulrich, akt III, scena 2.

²⁰ Cytat z piosenki *Fallin'* De La Soul i Teenage Fanclub z 1994 roku. W pierwszej zwrotce wspomniany jest wrestler Steve Austin oraz Oscar Goldman, fikcyjna postać z serialu *The Six Million Dollar Man*, nadawanego w latach 70. przez ABC.

²¹ The Hungry Samoan – najpewniej aluzja do kalifornijskiego zespołu punkowego The Angry Samoans (Gniewni Samończycy).

²² Cytat z piosenki Carole King *It's Too Late* z 1971 roku.

²³ Chodzi o Jack and Jill of America, mieszczącą się w Waszyngtonie organizację non profit, której celem jest dbanie o rozwój społeczny i kulturalny czarnoskórych dzieci.

²⁴ Świńska łacina (*pig latin*) to dziecięca zabawa językowa, w której szyfruje się komunikat, przestawiając pierwszą literę każdego słowa na jego koniec i dodając końcówkę „ay”. Gdyby East Bay potraktować jako jedno słowo zapisane świńską łaciną, po odszyfrowaniu brzmiałoby ono *beast* (bestia).

²⁵ Aluzja do szlaku bezpiecznych kryjówek niewolników uciekających z amerykańskiego Południa, przypomnianego ostatnio w powieści Colsona Whiteheada *Kolej podziemna. Czarna krew Ameryki*, przeł. Rafał Lisowski, Warszawa 2017.

²⁶ Odwołania do kultowego serialu CBS z drugiej połowy lat 60., *Gilligan's Island* (Wyspa Gilligana), a właściwie do tytułowej postaci nieporadnego, pechowego Szypra.

²⁷ *Rhinestone Cowboy* to tytuł piosenki z 1975 r., którą Glen Campbell, gwiazda country, podbił także szerszą publiczność.

²⁸ Morgan Freeman debiutował w emitowanym w latach 70. przez PBS programie dla dzieci pt. *Electric Company*, gdzie wcielał się w różne role, m.in. Swobodnego Czytacza (Easy Reader).

²⁹ Steve McGarrett to postać grana przez Jacka Lorda w serialu *Hawaii Five-O* nadawanym od końca lat 60. do początku 80. przez CBS.

³⁰ Kolejna aluzja do serialu *Wyspa Gilligana*, tym razem chodzi o postać milionera oderwanego od rzeczywistości.

Redaktor inicjujący: Magdalena Gołdanowska, Joanna Maciuk, Ewelina Węgrzyn,
Elżbieta Kalinowska
Redaktor prowadzący: Magdalena Matuszewska

Przekład: Krzysztof Majer
Konsultacja: Marcin Wróbel
Redakcja: Maria Wirchanowska
Korekta: Grzegorz Krzymianowski, Małgorzata Kuśnierz

Projekt okładki: Aleksandra Nałęcz-Jawecka – to studio

Skład i łamanie: Dariusz Ziach

Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.
02-672 Warszawa, ul. Domaniewska 48
tel. (22) 828 98 08
faks (22) 395 75 78
biuro@gwfoksal.pl
www.gwfoksal.pl

ISBN 978-83-280-8462-9

Skład wersji elektronicznej: Michał Olewnik / [Grupa Wydawnicza Foksal Sp. z o.o.](#)
i Michał Latusek / [Virtualo Sp. z o.o.](#)

virtualo